

Rosamunde Pilcher

Poszukiwacze
MUSZELEK

PROLOG

Taksówka, stary rover przesiąknięty zapachem dymu z papierosów, toczyła się wolno wzdłuż pustej, wiejskiej drogi. Było wczesne popołudnie, sam koniec lutego, cudowny zimowy dzień, bardzo chłodny, a nawet mroźny, a niebo było blade i bezchmurne. Słońce świeciło, kładąc długie cienie, ale niewiele dawało ciepła i zaorane pola leżały twarde jak żelazo. Z kominów rozrzuconych ferm i małych kamiennych domków dym unosił się prosto, jak w kolumnach, w nieruchomym powietrzu, a stada owiec, ciężkich od wełny i zaczynających się cięż, gromadziły się wokół paśników pełnych siana.

Siedząc na tylnym siedzeniu taksówki i patrząc przez zakurzone okno, Penelopa Keeling pomyślała sobie, że nigdy jeszcze nie widziała, by znany jej krajobraz wyglądał tak pięknie.

Droga zakręcała tu ostro i przed nimi ukazał się drewniany drogowskaz zaznaczający boczny trakt wiodący do Tempie Pudley. Kierowca zwolnił i z bolesnym zgrzytem zmieniawszy biegi, skręcił. Taksówka potoczyła się w dół podskakując pomiędzy wysokimi i zasłaniającymi wszystko żywopłotami. W parę chwil później byli już w miasteczku, z jego złotymi domkami z kamienia Cotswold⁰. Mijali kiosk z gazetami, rzeźnika, pub Sudeley Arms, kościół — cofnięty trochę od ulicy, stojący za bardzo starym cmentarzem i zasłonięty rzędem paru odpowiednio ponurych cisów. Niewielu ludzi było widać. Dzieci były w szkole, a niesprzyjająca aura trzymała wszystkich w domach. Tylko stary człowiek, w rękawiczkach i szaliku, prowadził na spacer swojego jeszcze starszego psa.

⁰ Cotswold — kamień z rejonu o tej samej nazwie, o specyficznym żółtozłotym kolorze, używany w budownictwie (przyp. tłum.)

— Który to dom? — zapytał taksówkarz przez ramię. Pochyliła się do przodu, śmiesznie podekscytowana, jakby się czegoś spodziewała.

— To jeszcze tylko kawałeczek. Przez miasteczko. Biała bramka po prawej. Jest otwarta. Tak. No i jesteśmy!

Skręcił, wjechał przez bramę i samochód zatrzymał się z tyłu domu.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła, owijając się szczelnie przed chłodem w swoją ciemnoniebieską pelerynę. Otworzyła torebkę, znalazła klucz i poszła otworzyć drzwi. Z tyłu taksówkarz wyjmował z bagażnika jej małą walizkę. Odwróciła się, żeby odebrać ją od niego, ale on, trochę zaniepokojony, nie wypuszczał jej z ręki.

— Czy nikt na panią nie czeka?

— Nie. Nikogo nie ma. Mieszkam sama a wszyscy myślą, że jestem jeszcze w szpitalu.

— Poradzi sobie pani?

Uśmiechnęła się, patrząc na jego dobrotliwą twarz. Był całkiem młody, miał jasne, gęste włosy.

— Oczywiście.

Zawahał się, nie chcąc się narzucać.

— Jeśli pani chce, to wniosę walizkę. Albo zaniosę na górę, jeśli potrzeba.

— To bardzo miłe z pana strony. Ale poradzę sobie z łatwością...

— To żaden kłopot — powiedział i wszedł za nią do kuchni. Otworzyła drzwi i poprowadziła go wąskimi schodami na górę. Wszędzie pachniało kliniczną czystością. Pani Plackett, niech jej Bóg da zdrowie, nie marnowała czasu pod nieobecność Penelopy. Lubiła nawet bardzo, kiedy Penelopa wyjeżdżała, bo wtedy mogła zabrać się za takie rzeczy jak wymycie lakierowanych na biało poręczy, wygotowanie ścierek i wypucowanie do połysku mosiądzu i srebra.

Drzwi do jej sypialni były otwarte. Weszła, a za nią wszedł młody człowiek i postawił walizkę na podłodze.

— Czy mógłbym w czymś jeszcze pomóc? — spytał.

— Nie, dziękuję, to już naprawdę wszystko. A teraz, ile jestem panu winna?

Wymienił kwotę, wyglądając przy tym na zawstydzonego, jak gdyby było to dla niego krępujące. Zapłaciła i powiedziała, żeby zatrzymał resztę. Podziękował i zeszli z powrotem. Ale młody człowiek nadal się ociągał. Wydawało się, że nie ma ochoty odejść. Przypuszczalnie, mówiła sobie, ma swoją babcie, za którą czuje się w ten sam właśnie sposób odpowiedzialny.

— A więc, na pewno da pani sobie radę sama?

— Obiecuję to panu. A jutro przychodzi moja znajoma, pani Plackett. Nie będę więc już sama.

To właśnie, z jakiegoś powodu, uspokoiło go.

- To ja już sobie pójdę.
- Do widzenia. I dziękuję panu.
- Nie ma za co.

Kiedy odjechał, weszła z powrotem do domu i zamknęła drzwi za sobą. Była sama. Co za ulga. W domu. Jej własny dom, jej własne rzeczy, jej własna kuchnia. Aga, piec olejowy, mruzczał sobie spokojnie i wszędzie było rozkosznie ciepło. Poluzowała zapięcie swojej peleryny i upuściła ją na oparcie krzesła. Na wyszorowanym stole leżał stos listów. Zaczęła je przeglądać, ale nie było w nich ani nic ważnego, ani ciekawego, więc odłożyła je, przeszła przez kuchnię i otworzyła szklane drzwi prowadzące do cieplarni. Myśl, że jej cenne rośliny umierają być może z zimna lub z braku wody, martwiła ją w ciągu ostatnich paru dni, ale pani Plackett zajęła się nimi równie dobrze jak wszystkim innym. Ziemia w doniczkach była wilgotna i lepka, a liście świeże i zielone. Wczesne geranium nosiło już koronę z drobnych pączków a hiacynty urosły co najmniej trzy cale. Za szybą jej ogród leżał w zimowym śnie, czarna koronka bezlistnych drzew odbijała się na tle bladego nieba, ale pod kasztanem przez mech przebijały się śniegulki i pierwsze maślanozłote płatki tojadów.

Opuściła cieplarnię i udała się na górę z zamiarem rozpakowania walizki, ale zamiast tego dała się po prostu ponieść uczuciu radości z powrotu do domu. Kręciła się to tu, to tam, otwierając drzwi, oglądając każdą sypialnię, patrzyła na widok z każdego okna, dotykała mebli, to znów wyprostowała firanekę. Wszystko było na swoim miejscu, nic się nie zmieniło. W końcu wróciła na dół, z kuchni wzięła listy i przeszedłszy przez jadalnię weszła do salonu. Tutaj znajdowały się najcenniejsze rzeczy, jakie posiadała; jej biurko, jej kwiaty i jej obrazy. W kominku wszystko było przygotowane do rozpalenia ognia. Zapaliła zapałkę i przyklęknęła, by przytknąć ją do kawałka gazety. Zamigotał płomyk, sucha podpałka zajęła się, buchnął trzaskający ogień. Dołożyła parę polan i płomień wzniosł się wysoko w górę. Teraz dom znów ożył i skoro wykonała już to małe zadanie, nie można było znaleźć żadnej wymówki, by nie zadzwonić do któregoś z dzieci i nie powiedzieć, co zrobiła.

Ale do którego z dzieci? Usiadła, żeby zastanowić się nad wyborem. Powinna to być Nancy, oczywiście, ponieważ jest najstarsza i lubi myśleć, że jest całkowicie odpowiedzialna za swoją matkę. Ale Nancy będzie oburzona, wpadnie w panikę i będzie głośno robić jej wyrzuty. Penelopa stwierdziła, że nie czuje się na siłach stawić czoła Nancy, jeszcze nie w tej chwili.

A więc może Noel? Może powinna z nim właśnie pomówić jako z jedynym mężczyzną w rodzinie. Ale sam pomysł oczekiwania praktycz-

nej pomocy czy rady od Noela był tak absurdalny, że Penelopa musiała się uśmiechnąć. „Noel, wypisałam się ze szpitala i wróciłam do domu”. Jego odpowiedź na taką wiadomość brzmiałaby, najprawdopodobniej, „Ach, tak?”

Penelopa zrobiła więc to, co i tak cały czas wiedziała, że zrobi. Sięgnęła po telefon i wykręciła numer biura Oliwii w Londynie.

— „Wenus” — głos dziewczyny z centrali zabrzmiał tak, jakby wyśpiewała nazwę żurnalu.

— Czy może mnie pani połączyć z Oliwią Keeling?

— Chwileczkę.

Penelopa czekała.

— Tu sekretarka panny Keeling.

Porozmawiać z Oliwią to było trochę tak, jak próbować uciąć sobie pogawędkę z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Czy mogę mówić z panną Keeling?

— Przykro mi, ale panna Keeling jest na zebraniu.

— Czy to znaczy, że znajduje się na sali obrad, czy jest w swoim gabinecie?

— Jest w swoim gabinecie... — sekretarka zdawała się być skonsternowana i nic dziwnego — ... ale ktoś u niej jest.

— To proszę jej przerwać. Tu mówi jej matka i mam bardzo ważną sprawę.

— A... nie może pani poczekać?

— Ani chwili — zdecydowanie powiedziała Penelopa. — Nie zajmę jej dużo czasu.

— Dobrze.

Znów chwila czekania. I w końcu wreszcie głos Oliwii:

— Mamuś!

— Przepraszam, że ci przeszkadzam...

— Mamusiu, czy coś się stało?

— Nie, nic złego się nie stało.

— No, to Bogu dzięki! Dzwonisz ze szpitala?

— Nie, dzwonię z domu.

— Z domu? Kiedy wróciłaś do domu?

— Około wpół do trzeciej, dziś po południu.

— A ja myślałam, że zatrzymają cię w szpitalu co najmniej tydzień.

— Taki mieli zamiar, ale ja się zaczęłam tak okropnie nudzić i byłam tak wyczerpana. W nocy nie mogłam zmrużyć oka, a na łóżku obok mnie leżała starsza pani, która nie przestawała mówić. Nie, nie tyle mówić co bredzić, biedactwo. Więc po prostu powiedziałam lekarzowi, że nie wytrzymam tego ani chwili dłużej, spakowałam walizkę i wyjechałam.

— Wypisałaś się na własne żądanie — powiedziała bez ogródek Oliwia i słychać było, że jest zrezygnowana, ale bynajmniej nie zdziwiona.

— Dokładnie tak. Nic mi nie jest. Zamówiłam sobie taksówkę, kierowca był przemiły i zawiózł mnie do domu.

— A lekarz nie protestował?

— Nawet bardzo głośno. Ale nic nie mógł zrobić.

— Och, mamusiu! — w głosie Oliwii słychać było śmiech. — Jesteś okropna. Miałam zamiar odwiedzić cię w szpitalu w ten weekend. Wiesz, chciałam przywieźć ci całe tony winogron, a potem zjeść je wszystkie sama, coś w tym stylu.

— Mogłabyś przyjechać tutaj — powiedziała Penelopa i zaraz pożałowała, że to zrobiła, bo mogło to zabrzmieć, jakby była smutna, samotna i potrzebowała towarzystwa Oliwii.

— Wiesz... jeśli naprawdę dobrze się czujesz, to chyba jednak odłożę to na trochę później. Tak naprawdę to jestem potwornie zajęta w ten weekend. Mamusiu, czy mówiłaś już z Nancy?

— Nie. Miałam zamiar to zrobić, ale potem stchórzyłam. Wiesz, jaką ona robi awanturę. Zadzwoń jutro rano, kiedy będzie tu pani Plackett, a ja będę już bezpiecznie okopana i w żaden sposób nie będzie mnie można ruszyć.

— Jak się czujesz? Ale tak naprawdę.

— Zupełnie dobrze. Tylko, tak jak ci mówiłam, jestem trochę niewyspana.

— Nie będziesz się przemęczać, dobrze? To znaczy, nie rzucisz się nagle do ogrodu i nie zaczniesz kopać rowów albo przestawiać drzew?

— Nie, obiecuję, że nie. Zresztą wszystko jest twarde jak żelazo. Nie można nawet wbić łopaty w ziemię.

— Dzięki Bogu za drobne łaski. Mamusiu, muszę już kończyć, mam tu u siebie w gabinecie pracownika...

— Wiem. Twoja sekretarka mi mówiła. Przepraszam, że ci przeszkodziłam, ale chciałam, żebyś wiedziała, co się dzieje.

— Cieszę się, że to zrobiłaś. Bądź w kontakcie, mamusiu, i oszczędzaj się trochę.

— Możesz być spokojna. Do widzenia, kochanie.

— Do widzenia, mamusiu.

Odłożyła słuchawkę, odstawiła telefon z powrotem na stół i opierając się usiadła wygodniej.

Teraz już nic nie zostało do zrobienia. Poczwała się bardzo zmęczona, ale był to łagodny rodzaj zmęczenia, a otoczenie działało kojąco i uspokajająco. Dom był jak dobra, życzliwa osoba, a ona była otoczona jej kochającymi ramionami. W ciepłym pokoju rozświetlonym blaskiem ognia, w znajomym głębokim fotelu, poczuła, ku swojemu zdziwieniu i zaskoczeniu, że ogarnia ją fala bezpodstawnego szczęścia, jakiego nie doznała od lat.

To dlatego, że żyję. Mam sześćdziesiąt cztery lata i miałam atak serca, jeśli tym głupim lekarzom można wierzyć. W każdym razie, cokolwiek to było, przeżyłam. Teraz zostawię to za sobą i nie będę o tym myśleć ani mówić nigdy więcej. Dlatego, że ja żyję. Mogę czuć, dotykać, widzieć i słyszeć, mogę zająć się sobą, wypisać się ze szpitala, znaleźć taksówkę i wrócić do domu. W ogrodzie pojawiły się pierwsze śniegulki, idzie wiosna. Zobaczę ją. Będę przyglądać się temu corocznemu cudowi i czuć, jak z każdym mijającym miesiącem słońce staje się coraz cieplejsze. I dlatego że żyję będę mogła przyglądać się temu, jak to się dzieje i być częścią tego cudu.

Przypomniała sobie historię o kochanym Maurice Chevalier. „Jak pan się czuje mając siedemdziesiąt lat?” — zapytano go. „Nie najgorzej” — odpowiedział. — „Jeśli weźmie się pod uwagę alternatywę”.

Ale Penelopa Keeling czuła się tysiąc razy lepiej niż tylko nie najgorzej. Teraz życie stało się nie zwykłą egzystencją, którą brało się za coś oczywistego, ale premią, podarunkiem, a każdy kolejny dzień przynosił nowe przeżycie, którym należało się rozkoszować. Czas nie trwał wiecznie. Nie zmarnuję ani jednej chwili, obiecywała sobie. Nigdy nie czuła się tak silna, tak radosna. Tak jakby stała się znów młoda, jakby dopiero wszystko się zaczynało i miało się wydarzyć coś cudownego.

ROZDZIAŁ I

NANCY

Czasami myślała sobie, że dla niej, dla Nancy Chamberlain, najprostszą nawet i niewinna czynność była skazana na to, by w sposób nieunikniony stać się najeżoną uciążliwymi komplikacjami.

Choćby dziś rano. Szary dzień w połowie marca. Jedyne co zrobiła... co miała zamiar zrobić... to złapać pociąg o dziewiątej piętnaście z Cheltenham do Londynu, zjeść lunch ze swoją siostrą Oliwią, może wpaść do Harrodsa i wrócić do domu. Przecież w końcu nie było nic szczególnie ohydneho w tym zamierzeniu. Nie planowała oddać się jakiejś dzikiej ekstrawagancji, ani spotkać się z kochankiem; tak naprawdę ta wizyta była bardziej obowiązkiem niż czymkolwiek innym, do omówienia miały sprawy ważne, wymagające podjęcia decyzji, a jednak, gdy tylko powiedziała domownikom o swoich planach, natychmiast okoliczności sprzysięgły się przeciwko niej, musiała stawić czoła obiekcjom, a nawet gorzej — obojętności, i z tego wszystkiego zostało jej wrażenie, jakby to była walka o życie.

Wczoraj wieczorem, umówiwszy się przez telefon z Oliwią, poszła poszukać dzieci. Znalazła je w małym salonie, który Nancy eufemistycznie nazywała biblioteką, wyciągnięte na kanapie przed kominkiem oglądały telewizję. Miały swój własny pokój bawialny i własny telewizor, ale nie było tam kominka i było zabójczo zimno, a telewizor był stary i czarno-biały, nic więc dziwnego, że spędzały większość swojego czasu tutaj.

— Kochani, muszę jechać jutro do Londynu spotkać się z cicią Oliwią i porozmawiać o babci Pen...

— Jeśli ty będziesz w Londynie, to kto weźmie Błyskawicę do kowala, do podkucia?

To odezwała się Melania. Mówiąc, Melania równocześnie żuła ogon swojego kucyka i jedno oko miała utkwione w miotającym się po scenie śpiewaku rockowym, którego obraz wypełniał ekran. Liczyła sobie

czternaście lat i przechodziła, jak to jej matka ciągle sobie powtarzała, trudny okres.

Nancy oczekiwała tego pytania i miała gotową odpowiedź.

— Poproszę Croftwaya, żeby się tym zajął. Powinien sobie dać radę sam.

Croftway był to gburowaty ogrodnik — złota rączka. Zajmował z żoną mieszkanie nad stajnią. Nienawidził koni, zawsze przerażał je i doprowadzał do paniki swoim tubalnym głosem i grubiańskim zachowaniem, ale do jego obowiązków należało również zajmowanie się końmi i robił to, acz niechętnie, wprowadzając biedne, spocone stworzenia do boksów i powożąc nieporęcznym pojazdem na różne imprezy w Pony Club, klubie jazdy konnej. Przy takich okazjach Nancy mówiła o nim „stajenny”.

Rupert, który miał lat jedenaście, usłyszał sam koniec tej wymiany zdań i zgłosił swoje własne zastrzeżenia.

— Powiedziałem, że pójdę jutro na podwieczorek do Tommiego Robsona. Obiecał mi, że będę mógł od niego pożyczyć tygodniki futbolowe. To jak ja wrócę do domu?

Nancy dopiero teraz dowiedziała się o tym zaproszeniu. Postanowiła jednak nie tracić zimnej krwi. Wiedziała, że jeśli zaproponuje zmianę planów to natychmiast wybuchnie wrzaskliwa kłótnia, rozlegną się jęki i skargi: „To niesprawiedliwe”, stłumiła więc swoją irytację i powiedziała najspokojniej jak umiała, że może wróci i autobusem.

— Ale to znaczy, że będę musiał iść na piechotę z miasteczka.

— Przecież to tylko ćwierć mili — uśmiechnęła się, robiąc dobrą minę do złej gry. — Ten jeden raz, chyba cię to nie zabije. — Miała nadzieję, że odpowie jej uśmiechem, ale tylko skrzywił się, ssąc zęby i odwrócił się znów do telewizora. Czekwała. Na co? Może na odrobinę zainteresowania w sytuacji, która była przecież ważna dla całej rodziny. Nawet pytanie o podarunki, które zamierzała im przywieźć, byłoby lepsze niż nic. Ale oni już zapomnieli o jej obecności, całą uwagę skupiając na tym, co oglądali. Stwierdziła nagle, że nie może znieść już tego hałasu i tego wszystkiego i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. W przedpokoju przeszło ją dojmujące zimno, ciągnące z płyt podłogi, wkradające się na górę po schodach, wypełniające pustkę lodowatego podestu.

To była ciężka zima. Od czasu do czasu Nancy mówiła dzielnie do siebie — albo do jakiejś innej osoby-zmuszonej jej słuchać — że zimno jej nie przeszkadza. Była ciepłokrwistym stworzeniem i wcale jej to nie dokuczało. Poza tym, dodawała, nigdy nie jest zimno we własnym domu. Tyle jest zawsze do roboty.

Ale tego wieczora, gdy dzieci były takie nieprzyjemne, a przed sobą miała perspektywę pójścia do kuchni i „pogawędki” z ponurą panią Croftway, wstrząsnął nią dreszcz i mocno otuliła się grubym swetrem,

patrząc jak zużyty chodnik unosi się pod wpływem przeciągu wiejącego od źle dopasowanych drzwi frontowych.

Dom, w którym mieszkali, był stary, dawna georgiariska plebania w małej, malowniczej wiosce w rejonie Cotswold. Old Vicarage¹⁾, Bamworth. To był dobry adres i sprawiało jej przyjemność podawać ten adres w sklepach. Proszę to zapisać na mój rachunek — George Chamberlain, Old Vicarage, Bamworth, Gloucestershire. Miała to wytłoczone jako nagłówek na swoim bardzo drogim, niebieskim papierze listowym od Harrodsa. Takie drobne sprawy jak papier listowy znaczyły wiele dla Nancy. Robiły dobre wrażenie.

Ona i George wprowadzili się tutaj wkrótce po ślubie. Na krótko przed tym wydarzeniem poprzedni lokator miał nagły wylew krwi do mózgu, a po powrocie ze szpitala zbuntował się i poinformował swoich przełożonych, że nie można wymagać od żadnego człowieka... nawet od nieświatowego człowieka kościoła, żeby mieszkał i utrzymywał rodzinę z chudej pensji w domu tak monstrualnie dużym, niewygodnym i zimnym. Władze diecezji, po pewnych dyskusjach i po wizycie archidia-kona, który zatrzymał się w tym domu na noc, zaziębił się i omal nie umarł na zapalenie płuc, w końcu zgodziły się na wybudowanie nowej plebani. Na drugim końcu miasteczka wzniesiono parterowy budynek z cegły, a starą plebanię wystawiono na sprzedaż.

Została zakupiona przez George'a i Nancy. Po prostu porwaliśmy to — opowiadała znajomym, jakby to oznaczało, że ona i George byli szczególnie szybcy i sprytni, i było prawdą, iż dostali ten dom za grosze, ale z czasem dowiedziała się, że tylko dlatego, że nikt inny go nie chciał. — Sporo tam jeszcze będzie z nim roboty, oczywiście, ale to przepiękny dom, późny styl georgiański, i całkiem dużo ziemi do tego... są też stajnie i wybieg dla koni... i tylko pół godziny do Cheltenham i do biura George'a. Po prostu idealne miejsce, naprawdę.

Było to rzeczywiście idealne miejsce. Dla Nancy, wychowanej w Londynie, ten dom był ostatecznym ziszczeniem wszystkich jej snów nastolatki o fantazji wykarmionej na powieściach Barbary Cartland i Georgette Heyer. Zamieszkać na wsi, być żoną dziedzica — to był od dawna szczyt jej skromnych marzeń, oczywiście po sezonie debutantki w Londynie, po ślubie na biało i z druhnami, i z jej fotografią umieszczoną w *Tatler*, magazynie towarzyskim. Wszystko to udało jej się osiągnąć, z wyjątkiem sezonu debutantki w Londynie, i świeżo po ślubie znalazła się jako pani domu w Cotswold, z koniem w stajni i ogrodem, w którym można było urządzać przyjęcia z okazji świąt parafialnych. Mieli takich znajomych, jakich wypada mieć; takie psy

jakie trzeba; George był przewodniczącym lokalnego klubu Partii Konserwatywnej i w kościele, podczas niedzielnych nabożeństw, czytał lekcję.

Na początku wszystko szło gładko. Nie mieli wtedy kłopotów z pieniędzmi i wyremontowali stary dom jak należy. Zabezpieczyli go z zewnątrz, w środku zainstalowali centralne ogrzewanie, a Nancy poustawiała wiktoriańskie meble, które George odziedziczył po swoich rodzicach i radośnie udekorowała swoją sypialnię powodzią perkalu. Ale z upływem lat inflacja zaczęła dawać się we znaki, rosły ceny ropy i pensje dla pracowników, których musieli zatrudnić, a w dodatku coraz trudniej było znaleźć kogoś do pomocy w domu i w ogrodzie. Finansowy ciężar, który zmuszeni byli ponosić, żeby utrzymać dom na skromnej choćby stopie, stawał się cięższy z każdym rokiem i czasami wydawało jej się, że przeliczyli się ze swoimi możliwościami, odgrzyźli zbyt duży kawałek, którego nie mogli teraz przeżuć.

Jakby tego było mało, czekały ich teraz przerażające wydatki związane z edukacją dzieci. Zarówno Melania jak i Rupert uczęszczali do miejscowych szkół prywatnych, jako eksterniści. Melania przypuszczalnie zostanie w swojej szkole do małej matury, ale Rupert był zapisany do Charlesworth, prywatnej szkoły jego ojca. George zapisał go tam w dzień po jego urodzeniu i równocześnie wykupił małą polisę ubezpieczeniową na edukację syna. Ale teraz w roku 1984 suma ta ledwie wystarczyłaby na bilet kolejowy.

Kiedyś, gdy Nancy nocowała u Oliwii w Londynie, zwierzyła się siostrze, mając nadzieję, że ta twarda kobieta, odnosząca sukcesy w swoim zawodzie, da jej jakąś mądrą radę. Oliwia jednak nie okazała ani współczucia, ani zrozumienia. Uważała, że postępują jak głupcy.

— Prywatne szkoły z internatami to anachronizm — powiedziała, zwracając się do Nancy. — Poślijcie go do miejscowej szkoły publicznej, niech się zetknie z bliska z różnymi dziećmi. O wiele lepiej mu to zrobi, na dłuższą metę, niż ta cała rozrzedzona atmosfera i tradycja starego świata.

Ale to było nie do pomyślenia. Ani George, ani Nancy nie brali nigdy pod uwagę państwowej edukacji dla swojego jedyne go syna. Prawdę mówiąc, Nancy pozwalała sobie nawet, od czasu do czasu, na skryte marzenia o Rupercie w Eaton, ozdobione wizją jej samej w kapeluszu na garden party z okazji Czwartego Czerwca; a Charlesworth, szkoła solidna i z dobrą reputacją, wydawała się być najlepszym wyborem wśród szkół zajmujących drugie miejsce po Eaton. Jednakże Oliwii się do tego nie przyznała.

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę — odpowiedziała krótko.

— W takim razie niech spróbuje dostać stypendium. Niech zrobi coś, żeby pomóc sobie samemu. Co za sens wykrwawiać się, doprowadzać się do ruiny z powodu jednego małego chłopca.

Ale Rupert nie był materiałem na stypendystę. Nie było żadnej nadziei na to, by mógł dostać jakieś stypendium, i zarówno George, jak i Nancy wiedzieli o tym.

— W takim wypadku — powiedziała Oliwia, zamykając temat, który ją nudził — wydaje mi się, że nie masz innego wyjścia, jak tylko sprzedać Old Vicarage i przenieść się do czegoś mniejszego. Pomyśl o pieniądzach, które zaoszczędziłabyś, nie musząc utrzymywać tego starego domu.

Lecz projekt ten napełniał Nancy jeszcze większym przerażeniem niż wzmianka o państwowej edukacji dla jej syna. Nie tylko dlatego, że oznaczałoby to przyznanie się do klęski i zrezygnowanie z wszystkiego, czego najbardziej pragnęła i o co walczyła, ale także dlatego, że miała niemiłe podejrzenie, iż ona i George z dziećmi, mieszkający w małym, wygodnym domku na przedmieściach Cheltenham, pozbawieni koni, członkostwa w Instytucie Kobiet i w Komitecie Partii Konserwatywnej, bez przyjęć z okazji świąt parafialnych, bez zawodów gimnastycznych, zostaliby jakoś pomniejszeni, przestaliby interesować swoich znajomych z sąsiedztwa, z hrabstwa, i pozostawieni sami sobie zostaliby skazani na zblaknięcie jak umierające cienie, wtopiliby się w bezmiar nic nie znaczących, zerowych istnień.

Wstrząsnął nią dreszcz, wzięła się w garść, odsunęła od siebie teponure wizje i stanowczym krokiem ruszyła do kuchni poprzez korytarz wyłożony płytami. Tutaj ogromna Aga, piec na ropę, który nigdy nie gasł, sprawiał, że było ciepło i przytulnie. Nancy myślała czasami, a szczególnie o tej porze roku, że to szkoda, iż wszyscy nie mieszkają w kuchni... i każda inna rodzina zapewne uległaby pokusie i spędzałaby tu całą zimę. Ale oni to nie była każda inna rodzina. Matka Nancy, Penelopa Keeling, praktycznie całe życie spędziła w starej kuchni na parterze dużego domu przy ulicy Oakley. Gotowała tam i podawała ogromne posiłki na wielkim, wyszorowanym stole; pisała listy; wychowywała tam swoje dzieci; naprawiała i cerowała ubrania, a nawet podejmowała tam swoich nader licznych gości. A Nancy, która miała żal o to do matki, a nawet trochę się jej wstydziła, całym swoim życiem buntowała się przeciwko temu odrzucającemu konwenansie ciepłemu stylowi życia. Kiedy wyjdę za mąż — przysięgała sobie jako dziecko — będę miała salon i jadalnię, tak jak inni ludzie, a do kuchni będę wchodziła jak najrzadziej.

Na szczęście George był tego samego zdania. Parę lat temu, po poważnej dyskusji zgodzili się, że praktyczność jedzenia śniadania w kuchni przeważa nad nieznacznym obniżeniem standardu. Ale poza to ustępstwo żadne z nich nie było gotowe się posunąć. W związku z tym obiady i kolacje podawano w ogromnej jadalni o wysokim suficie, stół był nakryty jak należy i konwenans zastąpił wygodę. Ta ponura komnata ogrzewana była elektrycznym grzejnikiem wstawionym za kratę kominka i kiedy odbywały się tam prośzone obiady, Nancy włączała grzejnik na

parę godzin przed podaniem posiłku i nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego zaproszone na obiad panie przychodziły poowijane w szale. Gorszym jeszcze przypadkiem, którego nigdy nie zapomniano, było gdy Nancy zauważyła, i nie było co do tego wątpliwości... wystający, spod marynarki jednego z zaproszonych gości brzeg grubego swetra, z wycięciem w kształcie „V”. Nigdy go już więcej nie zaproszono. «•

Pani Croftway stała przy zlewozmywaku, obierając ziemniaki na kolację. Była to osoba przekonana o własnej wyższości (znacznie bardziej niż jej mąż, znany z niewyparzonego języka), do pracy ubierała się w biały kombinezon, jakby samo to miało sprawić, że jej gotowanie stanie się profesjonalne, a posiłki przez nią przygotowane będą jadalne. Nic takiego się nie działo, ale pojawienie się pani Croftway w kuchni wieczorem oznaczało, że Nancy nie musiała sama gotować obiadu.

Postanowiła zacząć prosto z mostu.

— Pani Croftway... nieznaczna zmiana planu. Muszę jutro jechać do Londynu, jestem umówiona na lunch z moją siostrą. Trzeba zająć się problemem mojej matki, a nie można wszystkiego omówić przez telefon.

— Myślałam, że pani matka już wyszła ze szpitala i jest w domu.

— Tak, zgadza się, ale wczoraj rozmawiałam przez telefon z jej lekarzem i on mówi, że matka naprawdę nie powinna już mieszkać sama. Tym razem był to mały atak serca i udało jej się szczęśliwie z tego wyjść, ale mimo wszystko... nigdy nic nie wiadomo...

Opowiadała o tym pani Croftway szczegółowo, nie dlatego że spodziewała się od niej pomocy czy współczucia, ale dlatego że kobieta ta uwielbiała rozmawiać o chorobach i Nancy miała nadzieję, że wprowadzi ją to w nieco lepszy nastrój.

— Moja matka miała atak serca i potem już nigdy nie przyszła do siebie. Zrobiła się niebieska na twarzy i ręce jej tak spuchły, że musieliśmy jej przeciąć obrączkę.

— Nie wiedziałam o tym, pani Croftway.

— Nie mogła już mieszkać sama. Sprowadziłam ją więc do nas, żeby mieszkała ze mną i z Croftwayem. Miała najlepszą sypialnię, od frontu, ale to był dla mnie krzyż pański, mogę to pani powiedzieć, w górę i na dół po schodach cały dzień i ona stukająca kijem w podłogę. W końcu byłam już kłębkim nerwów. Lekarz powiedział, że nie widział kobiety z takimi nerwami jak moje. Zabrał więc matkę do szpitala i tam umarła.

To najwidoczniej był koniec tej przygnębiającej opowieści. Pani Croftway wróciła znów do swoich ziemniaków, a Nancy powiedziała, czując się trochę niezręcznie:

— Jak mi przykro... To musiał być okropny ciężar dla pani. Ile lat miała pani matka?

— Brakowało jej jednego tygodnia do osiemdziesięciu sześciu.

— No cóż... — Nancy starała się, by jej głos zabrzmiał optymistycznie. — Moja matka ma dopiero sześćdziesiąt cztery lata, więc jestem pewna, że uda się ją wyleczyć.

Pani Croftway wrzuciła obrany ziemniak do rondla i obróciła się, żeby spojrzeć na Nancy. Rzadko patrzyła ludziom prosto w twarz, ale kiedy to robiła, nieruchome spojrzenie jej bladych oczu każdego potrafiło zbić z tropu.

Pani Croftway miała swoją własną opinię na temat matki Nancy. Nazywała ją panią Keeling i spotkała ją tylko raz, w czasie jednej z jej nielicznych wizyt w Old Vicarage, ale ten jeden raz wystarczyłby każdemu. Wielka, wysoka kobieta o oczach czarnych jak Cyganka, ubrana w rzeczy, które wyglądały jak z wyprzedaży na cele dobroczynne. A uparta też była, przyszła do kuchni i koniecznie chciała umyć naczynia, a pani Croftway lubiła wszystko robić po swojemu i nie cierpiała, gdy ktoś się wtrącał.

— To dziwne, że ona miała atak serca — wtrąciła teraz. — Wyglądała mi na silną jak byk.

— Tak — powiedziała Nancy słabym głosem. — To był szok dla nas wszystkich — dodała, a jej głos brzmiał tak pobożnie, jak by jej matka już nie żyła i wypadało mówić o niej dobrze.

Pani Croftway zrobiła ponurą minę.

— Pani matka ma tylko sześćdziesiąt cztery lata? — wydawała się nie dowierzać. — Wygląda na więcej, prawda? Dałabym jej dobrze po siedemdziesiątce.

— Nie, ma sześćdziesiąt cztery lata.

— To ile pani ma lat?

To było oburzające. Nancy poczuła, że cała sztywnieje — żeby być tak bezczelną! Krew uderzyła jej do policzków. Tak bardzo pragnęła, by mieć odwagę odciąć się tej kobiecie, powiedzieć jej, żeby nie wtrącała nosa w nie swoje sprawy, ale wtedy być może, złożyłaby jej wymówienie i wraz z mężem odeszliby, a co by wówczas Nancy zrobiła z ogrodem, z końmi, z tym ogromniastym domem i głodną rodziną do nakarmienia?

— Ja mam... — jej głos zabrzmiał jak skrzek. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz. — Jeśli o to chodzi, to mam czterdzieści trzy lata.

— Tylko tyle? A ja dałabym pani pięćdziesiąt od ręki.

Nancy zaśmiała się króciutko, starając się obrócić to w żart, bo cóż innego mogła zrobić?

— Niezbyt mi pani pochlebia, pani Croftway.

— To przez pani tuszę. O to chodzi. Nic tak nie postarza jak nadwaga. Straciła pani figurę. Powinna pani zacząć dietę odchudzającą... To niezdrowo mieć nadwagę. Ani się pani spostrzeże — zarechotała — i to pani będzie mieć atak serca.

„Nienawidzę pani, pani Croftway, nienawidzę”.

— Jest taka dobra dieta w *Woman's Own*⁰, w numerze z tego tygodnia... Je się jeden grapefruit w jeden dzień, a w drugi dzień jeden jogurt. A może na odwrót... Mogłabym to wyciąć i przynieść, gdyby pani chciała.

— Ach tak... To bardzo miło z pani strony. Może. Tak... — głos Nancy drżał, była zmieszana. Wzięła się w garść, wyprostowała się i z pewnym wysiłkiem próbowała zapanować nad pogarszającą się sytuacją. — Ale, pani Croftway, ja tak naprawdę to chciałam pogadać o jutrze. Łapię ten dziewiąta piętnaście, więc nie będę miała zbyt wiele czasu, by sprzątnąć przed wyjściem, więc będzie pani, niestety, musiała zrobić, co pani będzie mogła... Będzie pani tak dobra i nakarmi psy, zrobi to pani dla mnie?... Zostawię im jedzenie gotowe w miskach i potem może je pani przegoni trochę po ogrodzie... i... — ciągnęła dalej szybko, zanim pani Croftway mogłaby zdążyć zaprotestować i zgłosić zastrzeżenia do jej sugestii — może będzie pani mogła przekazać ode mnie wiadomość Croftwayowi, poprosić go, żeby zaprowadził Błyskawicę do kowala. Konia trzeba podkuć i nie chciałabym odkładać tego na później.

— O! — pani Croftway wyraźnie miała wątpliwości. — Nie wiem, czy sam da sobie radę z wprowadzeniem tego zwierzęcia do boksu.

— Ależ jestem pewna, że da sobie radę, robił to już przecież... a potem, jutro wieczór, kiedy wrócę, może moglibyśmy dostać kawałek jagnięcia na kolację. Albo kotlety, czy coś takiego... i trochę tych pysznych brukselek Croftwaya.

Dopiero po kolacji miała możliwość porozmawiać z George'em. A to trzeba było sprawdzić, czy dzieci odrobiły zadania, a to znaleźć baletki Melanii, zjeść obiad i uprzątnąć ze stołu, a to zadzwonić do żony pastora, by zawiadomić ją, że Nancy nie będzie następnego wieczora na zebraniu Bractwa, i tyle innych spraw, które trzeba było załatwić, żeby zorganizować domowe życie, że nie zostawało prawie w ogóle czasu na zamienienie paru słów z mężem, który przychodził do domu dopiero o siódmej wieczorem i wtedy nie chciał już robić nic innego jak tylko siedzieć przed kominkiem ze szklanką whisky i z gazetą.

Ale w końcu wszystko zostało już zrobione i Nancy mogła dołączyć do George'a w bibliotece. Zamknęła za sobą drzwi energicznie, spodziewając się, że podniesie głowę, ale nawet nie drgnął z za rozłożonego *Timesa*, więc przeszła przez pokój do barku, który stał koło okna, nalała sobie szklaneczkę whisky, po czym usiadła w fotelu naprzeciwko niego. Dzielił ich tylko dywan. Wiedziała, że George za chwilę wyciągnie rękę, żeby włączyć telewizor i będzie oglądać wiadomości.

⁰ „Woman's Own” — „Tylko dla Pań”, czasopismo dla kobiet (przyp. tłum.)

- George... — powiedziała.
- Hm?
- George, proszę cię, posłuchaj przez chwilę.

Skończył zdanie, które właśnie czytał, i dopiero wtedy z niechęcią opuścił gazetę. Ukazał się mężczyzna około pięćdziesiątki, ale wyglądający na znacznie starszego, z rzadkimi, siwymi włosami, okularami bez oprawek, w ciemnym garniturze i stonowanym krawacie starszego pana. George był adwokatem i być może wyobrażał sobie, że ta ostrożnie spreparowana aparycja — tak jakby przygotował sobie kostium do zagrania roli w sztuce — wzbudzi zaufanie potencjalnych klientów, ale Nancy miała wrażenie, że gdyby miał tylko trochę więcej pewności siebie, włożył ładny tweedowy garnitur i kupił sobie okulary w rogowej oprawie, to może i jego interesy ożywiłyby się. Zwłaszcza że od czasu otwarcia autostrady z Londynu ta okolica stała się w szybkim czasie ogromnie modna. Wprowadzali się nowi, zamożni mieszkańcy, fermy zmieniały właścicieli, kupowane za sumy przyprawiające o zawrót głowy, najbardziej nawet rozlatujące się domki były porywane w momencie wystawienia na sprzedaż i ogromnym kosztem przerabiane na weekendowe dachy, w których można było wypocząć z dala od zgiełku. Biura pośredników sprzedaży i firmy remontowo-budowlane prosperowały kwitnąco; ekskluzywne sklepy otwierano w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, w małych miasteczkach, i było nie do pojęcia dla Nancy, dlaczego firma Chamberlain, Plantwell i Richards nie dołączyła do czołówki zwycięzców i nie zgarnęła choć części tych zysków, które prawie że leżały na ulicy. Ale George był bardzo staroświecki, trzymał się swoich tradycyjnych metod i przerażała go wszelka zmiana. Był to człowiek ostrożny, nieufny i trudno go było podejść.

- A więc czego mam posłuchać? — zapytał.
- Jadę jutro do Londynu na lunch z Oliwią. Musimy porozmawiać o matce.
- A w czym tkwi problem?
- Och, George, znasz problem. Mówiłam ci, rozmawiałam z lekarzem matki, który powiada, że ona nie powinna już dłużej mieszkać sama.
- No więc cóż zamierzasz z tym zrobić?
- Przypuszczam... że będziemy musieli znaleźć jej gospodynię albo towarzyszkę.
- Nie spodoba jej się to — zauważył George.
- A w dodatku, nawet jeśli kogoś znajdziemy... czy matka może sobie pozwolić na zapłacenie za to? Porządnej kobiecie trzeba by zapłacić około czterdziestu lub pięćdziesięciu funtów tygodniowo. Wiem, że dostała ogromną sumę ze sprzedaży domu na ulicy Oakley i że nie wydała ani grosza na Podmore's Thatch, z wyjątkiem zbudowania tej idiotycznej

cieplarni, ale te pieniądze to kapitał, prawda? Więc czy może sobie pozwolić na taki wydatek?

George poprawił się w fotelu, sięgając po szklanek whisky.

— Nie mam pojęcia — powiedział.

Nancy westchnęła.

— Jest taka skryta, taka okropnie niezależna. Uniemożliwia jakąkolwiek pomoc. Gdyby tylko zechciała wtajemniczyć nas w swoje sprawy, dać ci pełnomocnictwo. Jakże by to ułatwiło mi życie. W końcu to ja jestem najstarsza, a w dodatku ani Oliwia, ani Noel nie ruszą nawet palcem, żeby coś pomóc.

George słyszał już to wszystko wiele razy.

— A co z tą jej dochodzącą panią?... Panią Jak-jej-tam?

— Pani Plackett. Ona przychodzi tylko na trzy przedpołudnia w ciągu tygodnia, żeby posprzątać. Ma własny dom i rodzinę, którą się musi zająć.

George odłożył swoją szklanek i siedział zwrócony twarzą do ognia, z dłońmi ułożonymi na kształt małego namiotu, z czubkami palców przylegającymi do siebie. Po pewnym czasie powiedział:

— Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego doprowadzasz się do takiego stanu, dlaczego tak się tym denerwujesz — mówił takim tonem, jakby rozmawiał z jakimś szczególnie tępym klientem i Nancy poczuła się urażona.

— Nie doprowadzam się do żadnego stanu.

Zignorował to.

— Czy chodzi tylko o pieniądze? Czy też o to, że nie uda ci się znaleźć kobiety tak świątobliwej, żeby zgodziła się mieszkać z twoją matką?

— Przypuszczam, że chodzi o obie te sprawy — przyznała Nancy.

— A jak sobie wyobrażasz udział Oliwii w całej tej skomplikowanej sprawie?

— Mogłaby chociaż przedyskutować to ze mną. W końcu ona przecież nigdy w życiu nic dla matki nie zrobiła... ani dla nikogo z nas, jeśli już o to chodzi — dodała z goryczą, przypominając sobie przeszłe urazy. — Kiedy matka postanowiła sprzedać dom na ulicy Oakley i oświadczyła, że wraca do Kornwalii, żeby mieszkać w Porthkerris, to ja musiałam męczyć się, żeby ją przekonać, że taki krok byłby szaleństwem. A i tak byłaby zapewne tam pojechała, gdybyś nie znalazł jej domku Podmore's Thatch, który przynajmniej jest w zasięgu dwudziestu mil od nas i gdzie możemy mieć na nią oko. Przypuśćmy, że teraz byłaby w Porthkerris mnóstwo mil stąd, z niepewnym sercem i nikt z nas nie wiedziałby nawet, co się dzieje...

— Starajmy się trzymać tematu — poprosił George tonem, który doprowadzał ją do szału.

Nancy postanowiła nie dać się wyprowadzić z równowagi. Whisky rozgrzała ją a jednocześnie odświeżyła stare żale.

— A jeśli chodzi o Noela, to, praktycznie rzecz biorąc, zupełnie opuścił matkę, odkąd sprzedała dom na ulicy Oakley i on musiał się wyprowadzić. To go rąbnęło. Miał dwadzieścia trzy lata i nigdy nie płacił matce ani grosza za mieszkanie, jadł jej jedzenie, pił jej gin i żył sobie jak wolny ptak. To był dla niego szok, możesz mi wierzyć, kiedy wreszcie musiał zacząć sam się utrzymywać.

George westchnął głęboko. Nie miał ani trochę lepszej opinii o Noelu, niż miał o Oliwii. A jego teściowa, Penelopa Keeling, była dla niego zawsze wielką zagadką. Napawało go ciągłym zdumieniem, że kobieta tak normalna jak Nancy mogła wywodzić się z tak niesamowitej rodziny.

Skończył drinka, wstał z fotela, dorzucił polano do ognia i poszedł napełnić sobie znów szklanekę. Z drugiego końca pokoju jego głos dochodził poprzez ciche odgłosy pobrzękiwania szkła.

— Założmy, że stanie się najgorsze. Założmy, że twojej matki nie będzie stać na gospodynię. — Powrócił do swojego fotela i znów usadowił się naprzeciwko żony. — Założmy, że nie uda ci się znaleźć nikogo, kto podjąby się tak trudnego zadania jak dotrzymanie jej towarzystwa. Co stanie się wtedy? Czy zaproponujesz, żeby zamieszkała z nami?

Nancy pomyślała o wiecznie obrażonej pani Croftway. O dzieciach głośno narzekających na nakazy babci Pen. Pomyślała o matce pani Croftway, leżącej w łóżku i stukającej laską w podłogę, o przeciętej obrączce... Powiedziała z rozpaczą w głosie:

— Wydaje mi się, że nie mogłabym tego znieść.

— Ani ja — przyznał George.

— Może Oliwia...

— Oliwia? — głos George'a uniósł się z powątpiewaniem. — Oliwia miałyby pozwolić, żeby jakakolwiek osoba stała się intruzem w jej superprywatnym życiu? Chyba żartujesz.

— W każdym razie Noel nie wchodzi w grę.

— Wydaje się — stwierdził George — że nic w ogóle nie wchodzi w grę. — Ukradkiem odsunął mankiet i spojrzął na zegarek. Nie chciał przegapić wiadomości. — I nie wiem, jak ja bym tu miał zaproponować jakieś konstruktywne rozwiązania, dopóki ty najpierw nie wyklócisz się o to z Oliwią.

Nancy poczuła się obrażona. To prawda, że ona i Oliwia nie były najlepszymi przyjaciółkami... nie miały przecież nic, co by je naprawdę łączyło... ale uraziły ją słowa „wyklócisz się”, tak jakby nic innego nie robiły, tylko się sprzeczały. Miała właśnie zamiar zwrócić George'owi na to uwagę, ale on uprzedził ją, włączając telewizor i tym samym kładąc koniec rozmowie. Była dokładnie dziewiąta wieczór, gdy usadowił się z zadowoleniem do swojej codziennej porcji strajków, ataków bom-

bowych, morderstw i katastrof finansowych, ukoronowanej informacją, że jutrzejszy dzień zaczynie się od ostrego chłodu, a po południu nadciągnie deszcz, który obejmie cały kraj.

Po chwili Nancy, załamana bardziej niż się to da wypowiedzieć, wstała z fotela. Podejrzuwała, iż George nawet nie zauważył, że się poruszyła. Podeszła do barku, hojną ręką dolała sobie whisky i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Poszła na górę, przeszła przez swoją sypialnię i znalazła się w łazience. Włożyła zatyczkę do wanny, odkręciła kurek i nalała pachnącego olejku do kąpieli, z taką samą hojnością, z jaką niedawno posłużyła się butelką whisky. W pięć minut później rozkoszowała się najprzyjemniejszym zajęciem jakie znała, czyli pławieniem się w gorącej kąpieli i piciem zimnej whisky, równocześnie.

Nurzając się w bańkach i w parze roztopiała się wprost w zapamiętanym rozczulaniu się nad sobą. Bycie żoną i matką, mówiła do siebie, jest niewdzięczną rolą. Można się było poświęcać dla męża i dla dzieci, być uprzejmym dla służby, opiekować się zwierzętami, zajmować domem, kupować żywność, prać ubrania. A kto za to podziękował? Kto to docenił?

Nikt.

Łzy zakręciły się w jej oczach, spływając po rozgrzanych i wilgotnych policzkach. Tak bardzo tęskniła za tym, żeby ktoś ją docenił, za miłością, za czułym dotknięciem, za tym, żeby ktoś ją uściskał, powiedział jej, że jest wspiana i świetnie sobie ze wszystkim radzi.

Dla Nancy była tylko jedna osoba, która jej nigdy nie zawiodła. Tatuś był kochany, oczywiście póki żył, ale to jego matka, Dolly Keeling, była tą, która stała się dla Nancy podporą i zawsze trzymała jej stronę.

Dolly Keeling nigdy nie była w dobrych stosunkach ze swoją synową, nie miała czasu dla Oliwii i szybko męczył ją Noel, ale Nancy była jej pupilką, uwielbianą i rozpieszczaną. To babcia Keeling kupowała jej marszczone na karczku sukienki z bufkami, podczas gdy Penelopa byłaby posłała swoje najstarsze dziecko na przyjęcie w jakimś starym, dziedzicznym wdzianku z cienkiego batystu. To babcia Keeling mówiła jej, że jest ładna i brała ją na herbatę do Harrodsa i na przedstawienia panTomimy.

Kiedy Nancy zaręczyła się z George'em, wybuchły okropne kłótnie. Jej ojciec już wtedy nie mieszkał z nimi, a matka nie mogła zrozumieć, dlaczego było tak ważne dla Nancy, żeby mieć tradycyjny ślub w białej sukni, z druhnami i panami we frakach, i z odpowiednim przyjęciem weselnym. Otóż Penelopie wydawało się to idiotycznym marnowaniem pieniędzy. Dlaczego nie urządzić skromnej rodzinnej uroczystości, a potem podać obiad przy wielkim, wyszorowanym stole w kuchni, w domu przy ulicy Oakley? Albo przyjęcie w ogrodzie? Ogród jest ogromny, pełno miejsca dla każdego, a i róże akurat zaczynają kwitnąć...

Nancy szlochała, trzaskała drzwiami i mówiła, że nikt jej nie rozumie i nigdy nie rozumiał. W końcu pograżyła się w rozpacz, która mogłaby trwać wiecznie, gdyby nie interwencja najdroższej babci Keeling. Cała odpowiedzialność została zdjęta z ramion Penelopy, zachwyconej, że może się jej pozbyć, i wszystkim zajęła się babcia. Żadna panna młoda nie mogłaby żądać niczego więcej. Kościół Świętej Trójcy, biała suknia z trenem, druhny na różowo, a potem przyjęcie przy ulicy Knightsbridge 23, z mistrzem ceremonii w czerwonym fraku i szeregiem ogromnych kompozycji kwiatowych dla dekoracji. A kochany tatuś, odpowiednio poinstruowany przez swoją matkę, pojawił się w smokingu, by stanąć obok Nancy i oddać ją panu młodemu; i nawet obecność Penelopy, bez kapelusza, majestatycznej w kreacji z wielu warstw starożytnego brokatu i aksamitu nie mogła zmącić doskonałości tego dnia.

Ach, cóż by teraz dała za babcię Keeling. Leżąc w wannie, wielka, dorosła, czterdziestotrzyletnia kobieta płakała za babcią Keeling. Mieć ją teraz tutaj, żeby mogła okazać Nancy współczucie, pocieszyć ją i podziwiać. „Och, kochanie, jaka jesteś cudowna, tyle robisz dla swojej rodziny i dla swojej matki, a oni to wszystko biorą za coś oczywistego, coś co im się należy”. Ciągłe jeszcze słyszała ten kochany głos, ale była to jej wyobraźnia, gdyż Dolly Keeling już nie żyła. W zeszłym roku, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, ta elegancka dama drobnego wzrostu, z uróżowanymi policzkami, polakierowanymi paznokciami i liliowymi kostiumami z wełny, umarła w czasie snu. To smutne wydarzenie miało miejsce w małym hoteliku w Kensington, który wybrała, tak jak szereg innych starych ludzi, aby spędzić w nim lata swego zmierzchu, i skąd wywiózł ją przedsiębiorca pogrzebowy, z którym kierownictwo hotelu, wykazując pewną przezorność, miało stałą umowę.

Ranek następnego dnia był tak okropny, jak Nancy się tego obawiała. Bolała ją głowa po whisky, było zimniej niż kiedykolwiek i ciemno choć oko wykol, kiedy o siódmej trzydzieści rano dzwignęła się z łóżka. Ubrała się i z poczuciem upokorzenia odkryła, że jej najlepsza spódnica nie dopina się w pasie, więc musiała posłużyć się agrafką, by ją zapiąć. Wciągnęła na siebie sweter z angory, dokładnie pasujący kolorem do spódnicy i odwróciła oczy od wałków tłuszczu, które wylewały się spod zbroi jej imponującego biustonosza. Włożyła nylonowe pończochy, ale ponieważ zwykle nosiła wełniane, więc te nylonowe wydały jej się nieco za cienkie, postanowiła wobec tego ubrać wysokie botki i ledwie mogła dopiąć zamek błyskawiczny.

Gdy zeszła na dół, sytuacja, którą tam zastała, wcale nie poprawiła jej nastroju. Jeden z psów zwymiotował, piec był ledwie letni, a w spiżarni zostały tylko trzy jajka. Wypuściła psy, posprzątała po nich i włąła do Pieca specjalne, ogromnie drogie paliwo, modląc się, by całkiem nie zgasł,

dostarczając pani Croftway powodu do narzekania. Krzyknęła na dzieci, mówiąc im, żeby się pośpieszyły, zagotowała wodę w imbryku, ugotowała jajka, zrobiła grzanki i nakryła do stołu. Rupert i Melania pojawili się, mniej więcej porządnie ubrani, ale kłócąc się, bo Rupert mówił, że Melania zgubiła jego podręcznik do geografii, a Melania twierdziła, że nigdy go nawet w rękach nie miała i że Rupert jest głupim kłamcą, i mamusiu, ona potrzebuje dwadzieścia pięć pensów na prezent dla pani Leeper.

Nancy nigdy nie słyszała o pani Leeper.

George nie zrobił nic, żeby pomóc. Po prostu pojawił się w czasie całego tego zamieszania, zjadł swoje jajko na miękko, wypił filiżankę herbaty i wyszedł. Słyszała, jak jego rover opuszcza podjazd, podczas gdy ona rozpaczliwie śpiesząc się układała naczynia na suszarce, by były gotowe do umycia przez panią Croftway.

— No, to jeśli nie miałaś mojej książki do geografii...

Za drzwiami ujadły psy. Wpuściła je i to przypomniało jej o jedzeniu dla nich, więc napełniła ich miski biskwitami, otworzyła puszkę „Bonzo”, przy czym w pośpiechu przecięła sobie kciuk ostrym brzegiem pokrywki.

— Ojej, ale jesteś niezdarna — powiedział jej Rupert. Nancy odwróciła się do niego plecami i pottrzymała palec pod bieżącą, zimną wodą, dopóki nie przestał krwawić.

— Jak nie będę miała tych dwudziestu pięciu pensów, to pani Rawlings będzie wściekła...

Pobiegła na górę zrobić sobie makijaż. Nie było czasu na delikatne połączenie odcieni różu ani poprawienie linii brwi, końcowy rezultat był daleki od zadowalającego, ale nic już nie można było na to poradzić. Nie miała czasu. Wyciągnęła z szafy futro i pasującą do niego futrzaną czapkę. Znalazła rękawiczki i torebkę z jaszczurczej skórki, z firmy Mappin i Webb. Do niej wsypała zawartość swojej codziennej torebki i wtedy, oczywiście, ta wizytowa nie chciała się zamknąć. Trudno. Nie można było już nic zrobić. Zrobiło się już bardzo późno.

Zbiegła znów na dół, wołając dzieci. Jakimś cudem pojawili się, zbierając tornistry, a Melania wciskała na głowę swoją niezbyt twarzową czapkę. Wyszli tylnymi drzwiami, obeszlili garaż i wskoczyli do samochodu. Bogu dzięki silnik zapalił za pierwszym razem. Wyruszyli.

Odwiozła dzieci do ich osobnych szkół, wyrzucając je dosłownie z samochodu przed bramą, ledwie miała czas na pożegnanie się i już jechała dalej, przekraczając dozwoloną prędkość, do Cheltenham. Było dziesięć po dziewiątej, gdy zaparkowała samochód na parkingu dworcowym i dwanaście po, kiedy kupowała tani bilet powrotny. Przy stoisku z gazetami wślizgnęła się bez kolejki i z czarującym, jak miała nadzieję, uśmiechem kupiła sobie *Daily Telegraph* oraz — co było dziką eks-

trawagancją — magazyn *Harpers and Queen*. Kiedy już zapłaciła, zorientowała się, że nie był to najnowszy numer — prawdę mówiąc, z zeszłego miesiąca — ale nie było już czasu, żeby go zwrócić. A poza tym nie miało wielkiego znaczenia, że nie był to aktualny numer; połyskujący i gładki, z pewnością będzie wspaniałą lekturą. Tłumacząc to sobie, pojawiła się na peronie właśnie w momencie, w którym wjeżdżał pociąg do Londynu. Otworzyła drzwi, pierwsze z brzegu, wsiadła i znalazła sobie miejsce. Padła bez tchu, z łomoczącym sercem. Tak musi się czuć człowiek, któremu udało się uciec przed pożarem, powiedziała do siebie.

Po pewnym czasie, po paru głębszych oddechach i małej, podnoszącej na duchu pogawędce z samą sobą, poczuła się silniejsza. W pociągu na szczęście było ciepło. Otworzyła oczy i poluzowała zapięcia futra. Ułożyła się wygodniej, spojrzała przez okno na przesuwały się za nim zimowy krajobraz i pozwoliła swym strudżonym nerwom dać się ukołysać rytmem pociągu. Lubiła podróże pociągami. Nie mógł zadzwonić telefon, można było usiąść i nie musiało się myśleć.

Przestała ją boleć głowa. Wyjęła puderniczkę z torebki i sprawdziła w małym lusterku, jak wygląda, lekko przypudrowała nos i popracowała ustami, by szminka rozeszła się równiej. Nowy magazyn leżał na jej kolanach, pełen rozkosznych niespodzianek, jak nie otwarte pudełko czekoladek w ciemnej, twardej polewie a miękkich w środku. Zaczęła obracać strony, oglądając reklamy futer, domów na południu Hiszpanii, posiadłości w szkockich górach, biżuterii, Kosmetyków, które nie tylko sprawią, że będziesz wyglądała piękniej, ale faktycznie wyleczą twoją skórę, rejsów na statkach płynących ku słońcu...

Jej pobieżne, bezładne przerzucanie kartek zostało nagle przerwane przez coś, co przykuło jej uwagę. Rozkładana wkładka na całą stronę, z firmy Boothby's pośredniczącej w sprzedaży dzieł sztuki, ogłaszała wyprzedaż obrazów z epoki wiktoriańskiej, która miała mieć miejsce w galerii na ulicy Bond, w środę, dwudziestego pierwszego marca. Jako ilustracją posłużono się reprodukcją obrazu Lawrence'a Sterna (1865-1946). Obraz był zatytułowany *Roznosiciele wody* (1904) i przedstawiał grupę młodych kobiet, w różnych pozycjach, niosących miedziane dzbany na ramionach lub na biodrach. Przyglądając się im, Nancy zdecydowała w końcu, że musiaby to być niewolnice, gdyż stopy miały bosa a twarze smutne (biedaczki, nic dziwnego, dzbany wyglądały na okropnie ciężkie), ich odzienie było skąpe, nędzne kawałki materiału koloru ciemnych winogron i rdzy, prawie niepotrzebnie obnażające okrągłe piersi o różowych sutkach.

Ani George, ani Nancy nie interesowali się sztuką, tak jak nie interesowali się muzyką czy teatrem. W Old Vicarage znajdowała się oczywiście spora ilość obrazów, grafik związanych z tematyką sportową, obowiązkowych w każdej szanującej się posiadłości wiejskiej oraz parę

obrazów olejnych przedstawiających martwe jelenie lub wierne charty z bażantami w pyskach. George odziedziczył je po swym ojcu. Kiedyś, gdy mieli ze dwie godziny do stracenia w Londynie, poszli do Galerii Tatę i pilnie przetupełali przez wystawę obrazów Constablesa, ale jedynym wspomnieniem Nancy z tej wyprawy było mnóstwo wełnistych, zielonych drzew i fakt, że bolały ją nogi.

Ale nawet Constables byłby już lepszy od tego obrazu. Wpatrywała się w niego, nie mogąc zrozumieć, jak ktoś mógł chcieć mieć takie paskudztwo wiszące na ścianie, a cóż dopiero jeszcze zapłacić za nie sporą sumę pieniędzy. Jeśliby taki obraz znalazł się przypadkowo u niej, skończyłyby swoje dni na zapomnianym stryszku albo w ognisku.

Ale uwaga Nancy skupiła się na *Roznosicielach wody* nie z przyczyn estetycznych. Powód, dla którego przypatrywała mu się z taką uwagą był inny: jego autorem był Lawrence Stern, ojciec Penelopy Keeling, a więc dziadek Nancy.

Dziwne to było, ale jego prace były Nancy prawie w ogóle nie znane. Kiedy się urodziła, jego sława — której szczyt osiągnął na przełomie wieku — przygasła już, a nawet przestała istnieć, jego obrazy były już dawno sprzedane, rozeszły się po świecie i zostały zapomniane. W domu matki, na ulicy Oakley, wisiały trzy obrazy Lawrence'a Sterna, dwa z nich to nie dokończone *panneaux*^o przedstawiające nimfy rozrzucające lilie na łąkę umajoną stokrotkami.

Trzeci obraz wisiał w holu na parterze, tuż pod schodami, w jedynym miejscu w domu, gdzie mogła pomieścić się praca o tak wielkich rozmiarach. Był to obraz olejny, owoc późnych lat w twórczości Sterna, nazywał się *Poszukiwacze muszelek*. Było na nim dużo bieli spienionego morza, plaża i niebo pełne pędzących obłoków. Kiedy Penelopa przeniosła się z ulicy Oakley do Podmore's Thatch, te trzy skarby przeniosły się razem z nią. Dwa *panneaux* znalazły się przy podeście schodów, a obraz *Poszukiwacze muszelek* przytłoczył sobą salon, który miał bardzo niski belkowany sufit. Nancy teraz ledwie go zauważała, był jej tak znany, stał się po prostu częścią domu jej matki, tak samo jak wygniecione kanapy i fotele, staroświeckie kompozycje z kwiatów, upchniętych do białych i niebieskich dzbanków, i przepyszny zapach przygotowywanego jedzenia.

Prawdą było, że Nancy od lat już nie myślała nawet o swoim dziadku. Ale teraz, gdy siedziała w pociągu w futrze i botkach, dała się ponieść fali wspomnień i cofnęła się w przeszłość. Swoją drogą nie było aż tak wiele pamiętania. Urodziła się pod koniec 1940 roku w Kornwalii, w małym

^o *panneau* — dekoracja, obramowana płaszczyzna ścienna wypełniona tkaniną, malowidłem lub płaskorzeźbą (przyp. red.)

wiejskim szpitaliku w Porthkerris i spędziła lata wojny w Carn Cottage, pod osłoną dachu Lawrence'a Sterna. Ale jej wspomnienia o dziadku z czasu wczesnego dzieciństwa były mgliste — bardziej świadomość jego obecności niż obraz osoby. Czy kiedykolwiek brał ją na kolana, na spacer, czy czytał jej na głos? Jeśli tak, to nie pamiętała tego. Wydawało się, że żadne wrażenie nie utrwaliło się w jej dziecięcym umyśle, aż do tego ostatniego dnia, kiedy po wojnie wraz z matką opuszczały Porthkerris na zawsze i wyjeżdżały pociągiem do Londynu. Z jakiegoś powodu to właśnie wydarzenie poruszyło Nancy i zostało na zawsze wyraźnie utrwalone w jej pamięci.

Przyszedł je odprowadzić na dworzec. Bardzo stary, bardzo wysoki, coraz słabszy, opierający się na lasce ze srebrną rączką, stał na peronie przy otwartym oknie i pocałował Penelopę na pożegnanie. Jego białe, długie włosy opadały na tweedowy kołnierz peleryny, a na powykręcanych, zdeformowanych rękach miał wełniane mitenki, z których wystawały białe, bezkrwiste jak kości palce.

W ostatniej chwili, kiedy pociąg już ruszał, Penelopa pochwyciła Nancy, uniosła ją, a stary człowiek wyciągnął rękę i przyłożył ją do okrągłego, dzieciennego policzka dziewczynki. Pamiętała zimno tej ręki, jak marmur dotykający jej skóry. Nie było już czasu na nic więcej. Pociąg nabierał prędkości, peron oddalał się, wyginając się w łuk, a on stał, wydając się coraz mniejszy i machał swoim czarnym kapeluszem o szerokim rondzie w ostatnim geście pożegnania. I to było pierwsze i ostatnie wspomnienie Nancy o nim. Umarł następnego roku.

Dawne dzieje, powiedziała sobie. Nie ma się nad czym rozczulać. Ale to niesłychane, żeby ktokolwiek w dzisiejszych czasach chciał kupować jego prace. *Roznosiciele wody*. Pokręciła głową, nie rozumiejąc, wreszcie przestała myśleć o tej zagadce i zwróciła się z radością ku intrygującej nierealności *Kroniki Towarzyskiej*.

ROZDZIAŁ 2

OLIWIA

Nowy fotograf nazywał się Lyle Medwin. Był bardzo młodym człowiekiem o miękkich, brązowych włosach, które wyglądały tak, jakby przy ich stryżeniu posłużono się wazą do zupy, i łagodnej twarzy o dobrych oczach. Było w nim coś bardzo nieświatowego, przypominał seminarzystę pełnego zapału i poświęcenia i Oliwii trudno było uwierzyć, że dotarł tak daleko, biorąc udział w zabójczym wyścigu toczącym się w jego zawodzie i z powodzeniem wytrzymywał konkurencję.

Stali w jej gabinecie przy oknie, pochylając się nad stołem, na którym młody fotograf rozłożył do jej oceny wybrane przykłady swoich poprzednich prac: około dwóch tuzinów dużych, błyszczących, kolorowych zdjęć, przedstawionych z nadzieją na akceptację. Oliwia przestudiowała je bardzo dokładnie, a nawet drobiazgowo i zdecydowała, że się jej podobały. Po pierwsze, były klarowne. Zawsze twierdziła, że fotografie prezentujące modę muszą pokazywać ubrania, ich kształt, sposób układania się spódnicy, grubość swetra, a to właśnie wychodziło na tych zdjęciach z taką siłą, że musiały przyciągać oko. A poza tym, fotografie te miały w sobie tchnienie życia, ruchu, radości, a nawet czułości.

Podniosła jedno. Mężczyzna, typ sportowca, biegnący przez przybrzeżne fale w oślepiająco białym dresie na tle kobaltowo niebieskiego nieba. Opalona skóra, pot, nawet sam zapach słonego powietrza i fizyczne dobre samopoczucie.

— Gdzie pan to zrobił?

— W Malibu. To była reklama ubrań sportowych.

— A to? — podniosła inne, zrobione wieczorem zdjęcie dziewczyny w zwiewnym szyfonie koloru płomienia, z twarzą oświetloną blaskiem zachodzącego słońca.

— To było w Point Reays... Artykuł redakcyjny dla amerykańskiego wydania magazynu *Vogue*.

Odłożyła zdjęcia, obróciła się ku niemu i oparła o **brzeg** stołu. Spojrzała mu prosto w twarz i ich oczy się spotkały.

— Jakie jest pana doświadczenie zawodowe?

Wzruszył ramionami.

— Studia techniczne. Potem wykonywałem różne prace na zlecenie, a parę lat temu zacząłem pracować z Tobym Stryberem jako jego asystent.

— Tak, to właśnie Toby powiedział mi o panu.

— A potem, kiedy przestałem współpracować z Tobym, wyjechałem do Los Angeles. Mieszkałem tam przez ostatnie trzy lata.

— I dobrze panu tam idzie.

Uśmiechnął się trochę lekceważąco.

— Nie jest najgorzej.

Ubrany był jak typowy mieszkaniec Los Angeles. Białe tenisówki, sprane dżinsy, biała koszula i wyblakła kurtka dżinsowa. Okazując szacunek ostrej, nieprzyjemnej pogodzie Londynu, okręcił swoją smukłą, opaloną szyję kaszmirowym szalem czerwonego koloru. Jego wygląd, choć trochę nonszalancki, był niemniej jednak cudownie czysty, jak świeżo wysuszone na słońcu pranie, jeszcze niewyprasowane. Wydał się jej ogromnie atrakcyjny.

— Carla przedstawiła panu zarys zlecenia? — Carla pracowała dla Oliwii, jako redaktor działu mody. — Chcielibyśmy to do lipcowego numeru, ostatnia prezentacja wakacyjnych kreacji, zanim wejdziemy w tweedy na wrzosowiskach.

— Oczywiście... Wspominała o zdjęciach w plenerze.

— Miałby pan jakieś sugestie co do lokalizacji?

— Mówiliśmy o Ibizie... Mam tam kontakty...

— Ibiza.

Chciał szybko się do niej dostosować.

— Ale jeśli pani wolałaby gdzie indziej, to w porządku. Może Maroko.

— Nie. — Oderwała się od stołu i wróciła na krzesło za biurkiem.

— Nie używaliśmy Ibizy już od dawna... ale raczej nie zdjęcia na plaży. Wiejskie, rustykalne tło byłoby trochę odmienne, z kozami i owcami, paru krzepkich wieśniaków pracujących w polu. Mógłby pan w to wciągnąć tamtejszych mieszkańców, żeby dodać autentyczności. Mają wspaniałe twarze i uwielbiają, jak im się robi zdjęcia...

— Świetnie...

— Niech pan porozmawia o tym z Carla...

Zawahał się.

— To znaczy, że mam tę pracę?

— Oczywiście, ma pan pracę. Proszę ją tylko **dobrze wykonać**.

— Jasne. Dziękuję...

Zaczął zbierać swoje zdjęcia, układając je w plik. Nagle odezwał się brzęczyk wewnętrznego telefonu Oliwii, przycisnęła guzik, łącząc się z sekretarką.

— Tak?

— Połączenie z miasta, panno Keeling.

Spojrzała na zegarek. Było piętnaście po dwunastej.

— A kto dzwoni? Właśnie wychodzę na lunch.

— Jakiś pan Henry Spotswood.

Henry Spotswood. Kim, do diabła, był Henry Spotswood? Po chwili przypomniała sobie to nazwisko. Mężczyzna, którego spotkała dwa wieczory temu na cocktail party u państwa Ridgeway. Szpakowate włosy i równy jej wzrostem. Ale wtedy przedstawił się jako Hank.

— Połącz mnie z nim, Jane, dobrze?

Gdy sięgała po telefon, Lyle Medwin z plikiem fotografii pod pachą miękkimi krokami przechodził przez pokój i otworzył drzwi.

— Hej! — był to raczej ruch warg niż słowa pożegnania.

W odpowiedzi podniosła rękę i uśmiechnęła się, ale już go nie było.

— Panna Keeling?

— Tak.

— Oliwio, tu mówi Hank Spotswood, spotkaliśmy się u państwa Ridgeway.

— Oczywiście.

— Mam wolną godzinkę. Czy byłaby szansa na lunch?

— Co, dzisiaj?

— Tak, właśnie teraz.

— Niestety, bardzo mi przykro. Nie mogę. Moja siostra przyjeżdża dziś do Londynu i jestem umówiona na lunch z nią. Jestem już spóźniona, powinnam być w drodze.

— Ojej, a to pech. A co byś powiedziała na kolację dziś wieczór?

Jego głos, raz przypomniany, wywołał z pamięci parę innych szczegółów. Niebieskie oczy. Miła, bardzo amerykańska twarz o regularnych rysach. Ciemny garnitur. Koszula od Brooks Brothers z zapinanym na parę guziczków kołnierzykiem.

— Bardzo chętnie.

— To świetnie. Gdzie byś chciała pójść?

Przez sekundę zawahała się, po czym powiedziała:

— Czy nie chciałbyś choć raz nie musieć jeść w restauracji albo w hotelu?

— Co to oznacza?

— Przyjdź do mnie do domu, ja ci zrobię kolację.

— To byłoby wspaniałe — jego głos zdradzał zaskoczenie, ale w żadnym wypadku nie brakowało w nim entuzjazmu. — Ale czy to nie przysporzy ci roboty?

— Żadna tam robota — odparła i uśmiechnęła się do jego bezpośredniego tonu. — Przyjdź koło ósmej.

Podawała mu adres i parę prostych wskazówek, na wypadek gdyby trafił na przy głupiego taksówkarza, pożegnali się i odłożyła słuchawkę.

Hank Spotswood. To dobrze. Uśmiechnęła się do siebie, potem spojrzała na zegarek i usunawszy Hanka ze swoich myśli zerwała się na równe nogi, chwyciła kapelusz, płaszcz, torebkę rękawiczki i szybkim krokiem wyszła z gabinetu, ruszając na spotkanie z Nancy.

Były umówione w restauracji Kettners w dzielnicy Soho, gdzie Oliwia zamówiła stolik. Oliwia zawsze tam właśnie przychodziła na robocze lunche, związane ze swoją pracą i nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby w tym wypadku szukać czegoś innego, chociaż wiedziała, że Nancy czułaby się o wiele lepiej powiedzmy u Harvey Nicholasa albo w innym temu podobnym miejscu, pełnym zmęczonych kobiet dających wytchnienie swoim stopom po spędzeniu całego ranka na zakupach.

Ale umówiły się jednak w restauracji Kettners, Oliwia była spóźniona i Nancy czekała na nią, grubsza niż kiedykolwiek, w wełnianym swetrze i spódnicy wrzosowego koloru, i w futrzanej czapce prawie w tym samym odcieniu co jej jasne wypłowiałe loki, co sprawiało, że wyglądała jakby wyrosła jej druga warstwa włosów. I oto siedziała tu, jedyna kobieta w morzu biznesmenów, z torebką na kolanach, z dużym drinkiem, gin z tonikiem, na stoliczku obok, a wyglądała tak żałośnie nie na miejscu, że Oliwia poczuła wyrzuty sumienia i w rezultacie przywitała się o wiele serdeczniej niż zwykle.

— Och, Nancy, przepraszam, tak mi przykro, musiałam trochę dłużej zatrzymać się w biurze. Czy długo czekasz?

Nie pocałowały się. Nigdy się nie całowały.

— W porządku.

— Wypiłaś już sobie przynajmniej drinka... Nie chciałybyś jeszcze jednego? Zamówiłam stolik na za piętnaście pierwsza i nie chciałybym, żebyśmy go straciły.

— Dzień dobry, panno Keeling.

— Jak się masz, Gerard. Nie, dziękuję za drinka, trochę się spieszymy.

— Ma pani zamówiony stolik?

— Tak. Na za piętnaście pierwsza. Niestety, trochę się spóźniłam.

— Nie szkodzi. Panie pozwolą za mną.

Ruszył przodem, pokazując drogę, ale Oliwia czekała, aż Nancy dźwignie się, pozbiera torebkę, żurnal i obciągnie sweter na swoim pokaznym siedzeniu, zanim będzie mogła pójść za kelnerem. W restauracji wypchanej po brzegi było ciepło i głośno od gwaru męskich rozmów. Poprowadzono je do stolika, przy którym Oliwia zwykle siedziała, w dalekim kącie sali, gdzie po zwyczajowej ceremonii wzajem-

nych grzeczności, zostały usadzone na wygiętej w łuk ławeczce, stolik dosunięto, a przed nimi położono dwa okazałe menu.

— Może kieliszek sherry, w czasie gdy panie będą wybierać?

— Dla mnie proszę wodę Perrier, Gerardzie... a dla mojej siostry...
— zwróciła się do Nancy. — Czy napiłabyś się wina?

— Tak, bardzo chętnie.

Nie zwracając uwagi na listę win, Oliwia zamówiła pół butelki firmowego wina.

— A teraz, co chciałabyś zjeść?

Nancy nie wiedziała. Menu było przerażająco ogromne i całe po francusku. Oliwia wiedziała, że Nancy może tak siedzieć cały dzień, zastanawiając się co wybrać, więc dała jej parę wskazówek i w końcu jej siostra zdecydowała się na bulion, a potem eskalopki cielejące z grzybkami. Oliwia zamówiła omlet i sałatkę i kiedy to wreszcie zostało załatwione, a kelner już odszedł, zapytała:

— Jaką miałas podróż?

— Bardzo wygodną, naprawdę. Złapałam ten dziewiąty piętnaście. Musiałam się rano trochę spieszyć, żeby zawieźć dzieci do szkoły, ale zdążyłam.

— Jak się mają dzieci?

Starła się, żeby zabrzmiało to tak, jakby była tym zainteresowana, ale Nancy wiedziała, że wcale nie była i, Bogu dzięki, nie rozwinęła tego tematu.

— W porządku.

— A George?

— Dobrze, tak mi się wydaje.

— A pieski? — wytrwale brnęła dalej Oliwia.

— Świetnie... — zaczęła Nancy i potem przypomniała sobie. — Jeden z nich wymiotował dziś rano.

Oliwia skrzywiła się.

— Nie mów mi o tym, w każdym razie dopóki nie zjemy.

Pojawił się kelner, niosąc Perrier dla Oliwii i wino dla Nancy. Zgrabnie i szybko otworzył butelki, nalał wino. Nie odszedł jednak, tylko czekał. Nancy przypomniała sobie, że powinna skosztować wino, wzięła więc do ust mały łyk, po czym ściągnęła wargi, smakując, starając się wyglądać jak znawca i oznajmiła, że wino jest przepyszne. Butelkę postawiono na stole i kelner, nie zmieniawszy wyrazu twarzy, wycofał się.

Oliwia nalała sobie wody mineralnej.

— Nigdy nie pijesz wina? — zapytała Nancy.

— Nigdy w czasie roboczych lunchów.

Nancy uniosła brwi, które ułożyły się prawie w łuk.

— To to jest roboczy lunch?

— A czyż tak nie jest? Czy nie po to spotkałyśmy się tutaj, żeby roboczo omówić sprawę mamusi?

Dziecinne zdrobnienie jak zwykle zirytowało Nancy. Każde z trojga dzieci Penelopy nazywało ją inaczej. Noel zwracał się do niej „mamo”. Nancy już przez szereg lat nazywała ją matką, co uważała za bardziej dostosowane do ich wieku i do statusu społecznego, jaki osiągnęła w życiu. Tylko Oliwia — taka twarda i wyrafinowana w każdej innej dziedzinie — ciągle dalej nazywała ją mamusią. Nancy czasami zastanawiała się, czy Oliwia zdawała sobie sprawę, jak śmiesznie to brzmi.

— I lepiej zabierzmy się do tego od razu. Nie mogę tu siedzieć cały dzień.

Ten zimny ton Oliwii był ostatnią kroplą, która przepełniła miarkę. Nancy, która przyjechała z Gloucestershire na to spotkanie, która musiała posprzątać to, co pies wymiotował, przeciąć sobie palec na puszcze „Bonza”, zawieźć dzieci do szkoły i złapać pociąg w ostatniej chwili, poczuła, jak zalewa ją wielka fala rozgoryczenia i żalu.

„Nie mogę tu siedzieć cały dzień”.

Dlaczego Oliwia musiała być taka ostra, taka bez serca, taka nieczuła? Czy już nigdy nie będą mogły porozmawiać jak siostry w miłej, serdecznej atmosferze, bez ostentacyjnego popisywania się przez Oliwię swoją karierą, tak jakby życie Nancy, zbudowane wokół solidnego systemu wartości: dom, mąż i dzieci, nie było nic warte?

Kiedy były małe, to Nancy była tą ładniutką. Jasnowłosa, niebiesko-oka, o miłym sposobie bycia, i, dzięki babci Keeling, ładnie ubrana. To Nancy przyciągała spojrzenia, wzbudzała podziw i zainteresowanie mężczyzn. Oliwia była zdolna i ambitna, zafascynowana książkami, przejmująca się egzaminami i osiągnięciami naukowymi, ale brzydka, przypominała sobie Nancy, tak okropnie brzydka. Za wysoka i za chuda, o płaskiej klatce piersiowej, w okularach, okazywała niemal arogancki brak zainteresowania płcią przeciwną. Kiedy do Nancy przychodził któryś z jej adoratorów, Oliwia zapadała w pogardliwe milczenie albo znikwała w swoim pokoju, by przynieść sobie książkę.

A jednak miała pewne cechy, które nadrabiały te braki. Nie byłaby córką swoich rodziców, gdyby nie była nimi obdarzona. Jej włosy, bardzo gęste, miały kolor i połysk wypolerowanego mahoni, a w jej ciemnych, błyszczących oczach pojawiały się, tak jak to bywa u niektórych ptaków, iskierki sardonicznej inteligencji.

Cóż się więc stało? Ta nerwowa, wybitnie uzdolniona studentka, ta siostra, z którą żaden mężczyzna nie chciał zatańczyć, jakoś, gdzieś, kiedyś, przeistoczyła się w ten fenomen, którym była Oliwia w wieku trzydziestu ośmiu lat. Redaktor naczelny magazynu *Venus*, kobieta, która zrobiła imponującą karierę.

Jej wygląd dzisiaj był równie bezkompromisowy jak zawsze. Brzydka, może, ale — w sposób porażający niemal — szykowna. Czarny, welurowy kapelusz z głębokim denkiem, szeroki czarny płaszcz, kremowa jedwabna bluzka, złote łańcuszki i złote kolczyki, przypominające kształtem kastet pierścionki na rękach. Jej twarz była bardzo blada, usta bardzo czerwone; i nawet ogromne okulary w czarnej oprawie zdołała obrócić w godny zazdrości dodatek. Nancy nie miała złudzeń. Kiedy szła za Oliwią przez zatłoczoną restaurację do ich stolika, czuła wokół dreszczyk męskiego zainteresowania, widziała ukradkiem rzucane spojrzenia i odwrócone głowy i wiedziała, że obracają się nie za jej ładniutką osobą, ale za Oliwią.

Nancy nigdy nie starała się poznać ciemnych tajemnic życia Oliwii. Aż do tego niesamowitego wydarzenia pięć lat temu naprawdę wierzyła, że jej siostra albo była dziewczyną, albo osobą kompletnie bezpłciową. (Była, oczywiście, jeszcze jedna ponura możliwość, która nasunęła jej się, kiedy pracowicie brnęła przez lekturę biografii Vity Sackville-West, ale to, powiedziała sobie, było naprawdę nie do pomyślenia.)

Będąc klasycznym przykładem ambitnej i zdolnej kobiety, Oliwia wydawała się być całkowicie pochłonięta swoją karierą. Pięła się systematycznie w górę, aż została mianowana redaktorem edycji specjalnych w *Venus*, inteligentnie pomyślanym magazynie dla dobrze sytuowanych, aktywnych zawodowo kobiet, w którym pracowała od siedmiu lat. Jej nazwisko figurowało na pierwszej stronie, w składzie zespołu redakcyjnego, od czasu do czasu jej fotografia pojawiała się w magazynie przy jakimś artykule, a raz, odpowiadając na pytania w programie rodzinnym, wystąpiła w telewizji.

I wtedy właśnie, kiedy wszystko układało się dla niej jak najkorzystniej, będąc, można powiedzieć, w połowie drogi, Oliwia zdecydowała się na niespodziewane i bardzo dla niej nietypowe posunięcie. Pojechała na wakacje na Ibizę, spotkała tam człowieka imieniem Kosma Hamilton i nie wróciła. To znaczy, w końcu wróciła, ale dopiero po roku spędzonym z nim na wyspie. Redaktor naczelny dowiedział się o tym z formalnego listu zgłaszającego jej rezygnację, który przysłała z Ibizy. Kiedy ta oszałamiająca wiadomość dotarła do Nancy, przekazana przez jej matkę, z początku nie chciała uwierzyć. Mówiła sobie, że to zbyt szokujące, żeby było prawdziwe; ale tak naprawdę, nie chciała przyjąć tego do wiadomości, gdyż podświadomie czuła, że w jakiś sposób Oliwia wygrała, a w każdym razie wyprzedziła ją.

Nie mogła się doczekać, żeby obwieścić nowinę George'owi myśląc, że wprawi go w takie samo osłupienie, ale jego reakcja całkiem ją zaskoczyła.

- Interesujące — to wszystko, co powiedział.
- Nie wydajesz się zbyt zdziwiony.
- Nie jestem.

Nancy zmarszczyła brwi.

— George, przecież my mówimy o Oliwii.

— Oczywiście, że o Oliwii. — Popatrzył na zdezorientowaną, zakłopotaną twarz swojej żony i omal się nie roześmiał. — Nancy, chyba nie wyobrażasz sobie, że Oliwia zachowywała się jak zakonnica całe życie? Skryta dziewczyna, z własnym mieszkaniem w Londynie i chodząca własnymi drogami. Jeśli naprawdę myślałaś, że wiodła tam zakonne życie, to jesteś głupsza niż myślałem.

Nancy poczuła piekące łzy w oczach.

— Ale, ale, ja myślałam...

— Co myślałaś?

— Och, George, ona jest taka nieatrakcyjna.

— Nie — powiedział George. — Nie, Nancy, ona nie jest nieatrakcyjna.

— Ale ja myślałam, że ty jej nie lubisz.

— Nie lubię — odparł George i rozłożył gazetę, kładąc koniec rozmowie.

Było tak bardzo nie w stylu George'a, żeby wypowiadać się na jakikolwiek temat z takim zaangażowaniem. Taka spostrzegawczość również była do niego bardzo niepodobna. Patrząc jednak na ten nowy obrót spraw z pewnej perspektywy i przemyślawszy go dokładniej, Nancy stwierdziła w końcu, że George miał prawdopodobnie rację co do Oliwii. Kiedy Nancy już raz pogodziła się z nową sytuacją, wyciągnięcie z niej jakiejś korzyści dla siebie nie wydało jej się zbyt trudne. Możliwość pochwalenia się postacią tak barwną, z bliskiej rodziny, wydawała się Nancy czymś fascynującym i wyrafinowanym zarazem — coś jakby ze starej sztuki Noela Cowarda¹ — a więc, pod warunkiem, że udało się jakoś zatuszować aspekt życia w grzechu, Oliwia i Kosma Hamilton mogli dostarczać całkiem dobrego tematu do rozmowy na przyjęciach. — Oliwia, wiesz, ta moja zdolna siostra, ach, to takie romantyczne, że aż niewiarygodne. Zrezygnowała z wszystkiego, dla miłości. Mieszka teraz na Ibizie... w przepięknym domu. — Wyobraźnia Nancy pędziła już ku innym, miała nadzieję — darmowym możliwościom. — Może następnego lata George i ja z dziećmi dołączymy do niej na parę tygodni. Ale to zależy od tego, jakie będą imprezy w Klubie Jazdy Konnej, my matki jesteśmy niewolnicami Klubu Jazdy Konnej, nieprawdaż?

Ale chociaż Oliwia zaprosiła ich matkę na wakacje do siebie, a Penelopa przyjęła to z zachwytem i spędziła ponad miesiąc z nią i z Kosmą, żadne takie zaproszenie nie przyszło do Chamberlainów i Nancy nigdy tego swojej siostrze nie wybaczyła.

¹ Sir Noel Coward (1899-1973) ang. dramaturg, aktor i kompozytor; autor musicali, komedii, scenariuszy filmowych i popularnych piosenek, (przyp. red.)

W restauracji było bardzo ciepło. Nancy poczuła nagle, że jest jej za gorąco. Żałowała, że nie włożyła bluzki zamiast swetra; nie mogła zdjąć swetra, więc zamiast tego pociągnęła łyk chłodnego wina. Pomimo gorąca zauważyła, że jej ręce drżą.

Obok niej Oliwia mówiła:

— Czy widziałaś mamusię?

— Och, tak. — Odstawiła kieliszek. — Byłam odwiedzić ją w szpitalu.

— Jak się czuła?

— Bardzo dobrze, zważywszy okoliczności.

— Czy to pewne, że to był atak serca?

— O, tak. Trzymali ją na intensywnej terapii przez dzień lub dwa.

Potem została przeniesiona na zwykły oddział, a ona wypisała się i pojechała do domu.

— Lekarzowi się to chyba bardzo nie podobało.

— Nie, był bardzo zdenerwowany. Dlatego zadzwonił do mnie i wtedy mi powiedział, że nie powinna już mieszkać sama.

— Czy brałaś pod uwagę zasięgnięcie drugiej opinii?

Nancy zachnęła się.

— Oliwio, to bardzo dobry lekarz.

— Wiejski lekarz, od wszystkiego.

— Byłby bardzo urażony...

— Bzdura. Uważam, że nie ma sensu załatwianie czegokolwiek w sprawie osoby do towarzystwa czy gospodyni, dopóki nie zbada jej drugi lekarz, specjalista.

— Wiesz dobrze, że ona nigdy nie pójdzie do żadnego specjalisty.

— No to zostaw ją w spokoju. Dlaczego ma się jej łądować na głowę jakąś przy głupią kobietę, kiedy ona chce mieszkać sama? Ma tę miłą panią Plackett, która przychodzi trzy razy w tygodniu i jestem pewna, że sąsiedzi i inni ludzie z miasteczka otoczą ją opieką i będą mieli na nią oko. Przecież ona mieszka tam już od pięciu lat i wszyscy ją znają.

— Ale, przypuśćmy, że będzie miała drugi atak serca i umrze, tylko dlatego, że nie będzie nikogo, kto by jej pomógł. Albo spadnie ze schodów. Albo będzie miała wypadek samochodowy i zabije kogoś.

Oliwia, co było niewybacalne, zaśmiała się.

— Nigdy nie podejrzewałam, że masz taką bujną wyobraźnię. Poza tym, powiedzmy sobie otwarcie, jeśli ma mieć wypadek samochodowy, to będzie go miała, niezależnie od tego, czy będzie u niej mieszkać gospodyni, czy nie. Naprawdę uważam, że nie mamy się co martwić.

— Ale... musimy się martwić.

— Dlaczego?

— Bo to nie tylko kwestia gospodyni... Są inne sprawy do rozważenia. Na przykład — ogród. Dwa akry ogrodu, a ona zawsze zajmowała się nim sama. Okopywanie jarzyn i strzyżenie trawnika. Wszystko. Trudno

się spodziewać, by mogła nadal poradzić sobie z tego rodzaju wysiłkiem fizycznym.

— Nie będzie tego robić — powiedziała Oliwia, a Nancy zmarszczyła brzo-
w. I — Miałam z nią długą rozmowę na ten temat przez telefon parę dni temu.

— Nie powiedziałaś mi o tym.

— Nie dałaś mi dotąd szansy. W jej głosie było słyhać, że czuje się świetnie, jest silna i wesoła. Powiedziała mi, że uważa, iż ten lekarz to idiota, i jeżeli miałyby mieszkać z drugą kobietą, zapewne zamordowałyby ją. Dom jest za mały i ciągle tylko wchodziłyby sobie w drogę, z czym się w pełni zgodziłam. Jeśli chodzi o ogród, to nawet zanim miała ten, tak zwany atak serca, to już zdecydowała, że praca w ogrodzie przysparza jej trochę za dużo kłopotu, skontaktowała się więc z miejscowym przedsiębiorstwem usługowym i załatwiła sobie pomoc. Będzie do niej przychodził człowiek na dwa lub trzy dni w tygodniu. Wydaje mi się, że zaczyna w przyszły poniedziałek.

Wszystkie te informacje nie wpawiły Nancy w lepszy humor. Odebrała to tak, jakby Oliwia i matka konspirowały za jej plecami.

— Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Skąd możemy wiedzieć, kogo oni przyślą? Na pewno mogłaby znaleźć jakiegoś młodego człowieka z miasteczka.

— Wszyscy mili mężczyźni z miasteczka są już zatrudnieni w fabryce wyrobów elektronicznych w Pudley...

Nancy sprzeczała się dalej, ale powstrzymało ją nadejście kelnera. Przyniósł w okrągłej, brązowej ceramicznej miseczce zupę, która pachniała przepysznie. Nagle zdała sobie sprawę, jaka jest głodna, podniosła łyżkę i równocześnie sięgnęła po ciepły, przyrumieniony rogalik.

Po chwili powiedziała sztywno:

— Oczywiście nie brałaś pod uwagę przedyskutowania tego ze mną i z George'em.

— Na litość boską, a cóż było do przedyskutowania? To przecież nie dotyczy nikogo innego tylko mamusi. Naprawdę, Nancy, ty i George traktujecie ją, jakby była zgrzybiałą, dziedzinniałą staruszką; ona ma sześćdziesiąt cztery lata, jest w pełni sił, silna jak wół i równie niezależna jak zawsze była. Przestańcie się wtrącać.

Nancy była oburzona.

— Wtrącać się? Może gdybyście ty i Noel wtrącali się, jak to nazywasz, trochę częściej, to zdjęłoby to choć trochę ciężaru z moich ramion.

Ton Oliwii stał się lodowaty.

— Po pierwsze, nie łącz mnie w parę z Noelem. A po drugie, jeśli masz ciężar na ramionach, to sama go sobie wymyśliłaś i sama na ramiona włożyłaś.

— Nie wiem, dlaczego ja i George **zadajemy** sobie tyle **trudu**. Z pewnością nikt nam za to nie dziękuje.

— A za cóż wam dziękować?

— Za wiele rzeczy. Gdybym ja **nie** była przekonała matki, że to szaleństwo, byłaby pojechała do Kornwalii i teraz zapewne mieszkałaby już w małej chatce rybaka.

— Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego uważałaś, że to taki zły pomysł.

— Oliwio, przecież to setki mil od każdego z nas, na drugim końcu kraju... To śmieszne. Powiedziałam jej to. Nie można cofnąć czasu, tak jej powiedziałam. Bo przecież o to jej właśnie chodziło, chciała odzyskać swoją młodość. To byłaby katastrofa. A poza tym, to George znalazł dla niej Podmore's Thatch. I nawet ty nie możesz powiedzieć, że nie jest to najbardziej czarujący, idealny w każdym calu domek. A wszystko dzięki George'owi. Nie zapomnij, Oliwio, dzięki George'owi.

— Niech żyje George!

W tym momencie znowu im przerwano, ażeby usunąć miseczkę po zupie Nancy i podać eskalopki cielęce i omlet. Resztę wina nalano do kieliszka Nancy, a Oliwia nabrała sobie sałatki. Kiedy kelner znów je opuścił, Nancy spytała:

— A ile ten ogrodnik będzie kosztował? Orodnicy kontraktowi są znani z tego, że żądają bardzo wysokiej pensji.

— Och, Nancy, cóż to ma za znaczenie?

— Oczywiście, że ma znaczenie. Czy matka może sobie na to pozwolić? Bardzo mnie to martwi. Ona była zawsze taka skryta na temat pieniędzy, a równocześnie potrafiła mieć tak ekstrawaganckie wydatki.

— Matka? Ekstrawagancka w wydatkach? Przecież ona nie wydaje na siebie ani grosza. „

— Ale ciągle przyjmuje gości. Jej rachunki za jedzenie i alkohole muszą być astronomiczne. A jeszcze wybudowała tę idiotyczną cieplarnię przy swoim domku. George próbował ją od tego odwieść. Przecież zrobiłaby o wiele lepiej, wydając te pieniądze na podwójne szklenie okien.

— A może ona wcale nie chciała podwójnego szklenia.

— Ty po prostu w ogóle nie przejmujesz się tą sytuacją, czyż nie? — głos Nancy trząśł się z oburzenia. — Żeby nawet nie chcieć rozważyć różnych możliwości!

— A cóż to są za możliwości, Nancy? Oświeć mnie.

— Ona może dożyć dziewięćdziesiątki.

— Mam nadzieję, że tak będzie.

— Jej oszczędności nie będą trwały wiecznie.

W oczach Oliwii błysnęło rozbawienie.

— Czyżbyście się bali, ty i George, że zostaniecie obarczeni zrujnowaną i zależną od was matką? Ciężar kolejnych wydatków, kiedy już zapłacicie za tę waszą stodołę i odwieziecie dzieci do najdroższych szkół?

— To nie twoja sprawa, na co my wydajemy nasze pieniądze.

— I nie twoja sprawa, na co mamusia wydaje swoje.

Usłyszawszy tę ripostę, Nancy umilkła. Skupiła swoją uwagę na cielecinie. Oliwia obserwując ją, widziała, jak policzki siostry czerwienieją, zauważyła też lekkie drżenie jej ust i szczęki. Na litość boską, pomyślała, przecież ona ma dopiero czterdzieści trzy lata, a już jest grubą, żalną, starą kobietą. Poczuła nagle litość dla Nancy, a także coś w rodzaju winy, i zaczęła mówić bardziej ciepłym i serdecznym tonem:

— Na twoim miejscu nie martwiłabym się tak. Ona dostała przecież fantastyczną cenę za dom z ulicy Oakley i spora część z tego jeszcze została, nawet po kupieniu Podmore's Thatch. Wydaje mi się, że stary Lawrence Stern nie zdawał sobie nawet z tego sprawy, ale, dodawszy jedno do drugiego, zostawił ją w całkiem niezłej sytuacji. Co się zresztą dobrze złożyło, także i dla ciebie, dla mnie i dla Noela, bo, powiedzmy to sobie szczerze, nasz ojciec, finansowo rzecz biorąc, był kompletnie przegrany...

Nancy nagle zdała sobie sprawę, że jest u kresu wytrzymałości. Była wyczerpana sprzecznaniem się i nie cierpiała, gdy Oliwia mówiła w ten sposób o najdroższym tatusiu. W normalnych okolicznościach rzuciłaby się do obrony tego ukochanego, zmarłego już człowieka. Ale teraz nie miała na to energii. Spotkanie z Oliwią okazało się kompletną stratą czasu. Nic nie zostało postanowione — ani o matce, ani o pieniądzech, ani o gospodyni, ani w ogóle o niczym. Oliwia, jak zwykle, wystrychnęła ją na dudka i teraz Nancy czuła się jak przejechana przez walec drogowy.

Lawrence Stern.

Znakomity posiłek dobiegał końca. Oliwia zerknęła na zegarek i zapytała Nancy, czy miałyby ochotę na kawę. Nancy zaniepokoiła się, czy jest dość czasu, na co Oliwia odparła, że tak, że ma jeszcze pięć minut i zamówiła kawę, a Nancy, z rozczerwienieniem odsunawszy od siebie wizję pysznego deseru upatrzonego na serwantce ze słodyczami, sięgnęła po magazyn *Harpers and Queen*, który kupiła sobie na podróż pociągami i który leżał teraz na wyściełanym aksamitem siedzeniu obok niej.

— Widziałaś to?

Przekartkowała parę stron, aż doszła do reklamy Boothby's i podała magazyn siostrze. Oliwia zerknęła na niego i pokiwała głową.

— Tak. Widziałam. Ma być wystawiony na sprzedaż w przyszłą środę.

— Czyż to nie zadziwiające? — Nancy wzięła miesięcznik z powrotem. — Pomyśleć tylko, że ktoś chciałby kupić takie obrzydlistwo?

— Nancy, zapewniam cię, że całkiem sporo ludzi chciałoby kupić takie obrzydlistwo.

— Chyba żartujesz.

— Na pewno nie. — Widząc autentyczne zdumienie siostry, Oliwia roześmiała się. — Gdzie ty i George byliście przez tych ostatnich parę lat? W ostatnim czasie notuje się ogromny wzrost zainteresowania malarstwem epoki wiktoriańskiej. Lawrence Stern, Alma-Tadema, John William Waterhouse... ich obrazy są sprzedawane za ogromne sumy na aukcjach u marszandów dzieł sztuki.

Nancy spojrzała innym już, jak miała nadzieję, okiem na ponurych *Roznosicielei wody*. Nic to jednak nie zmieniło.

— Ale dlaczego? — spytała raz jeszcze.

Oliwia wzruszyła ramionami.

— Docenienie ich technik. Wartość rzadkości.

— Kiedy mówisz o ogromnych sumach, co dokładnie masz na myśli? To znaczy, za ile, na przykład, to pójdzie?

— Nie mam pojęcia.

— Mniej więcej, spróbuj zgadnąć.

— No, cóż... — Oliwia zmarszczyła czoło, zastanawiając się. — Może... dwieście tysięcy.

— Dwieście tysięcy? Za to?

— Mniej więcej. Dodać lub ująć dwadzieścia, trzydzieści funtów.

— Ale dlaczego? — jęknęła znowu Nancy.

— Mówiłam ci już, takie są ceny dzieł rzadko spotykanych. Wszystko nie jest nic warte, dopóki ktoś tego nie chce, nie poszukuje. Lawrence Stern nigdy nie był bardzo płodnym malarzem. Jeśli przyglądniesz się drobnym szczegółom na tym obrazie, zobaczysz dlaczego. Musiał poświęcić wiele miesięcy, by to wykończyć.

— Ale co się stało z wszystkimi jego pracami?

— Rozeszły się. Sprzedane. Przepuszczalnie sprzedane prosto ze sztalug, z farbą jeszcze mokrą. W każdej szanującej się prywatnej kolekcji lub publicznej galerii sztuki znajduje się choć jeden obraz Lawrence'a Sterna, w bardziej lub mniej widocznym miejscu. Tylko od czasu do czasu jeden z jego obrazów pojawia się na rynku, wystawiony na sprzedaż. I nie zapominaj, że on przestał malować na długo przed wojną, gdy jego ręce stały się tak powykęcane, że nie mógł utrzymać pędzla. Przypuszczam, że sprzedał wszystko, co tylko się dało i był z tego zadowolony, bo mógł utrzymać siebie i swoją rodzinę. On nigdy nie był bogatym człowiekiem, toteż szczególnie szczęśliwie się złożyło, że odziedziczył po ojcu ten ogromny dom w Londynie i że potem mógł wykupić na własność bez ograniczeń grunt wokół Carn Cottage. To, co uzyskano ze sprzedaży

Carn Cottage, przyczyniło się w ogromnej mierze do opłacenia edukacji nas trojga, a dochód za dom z ulicy Oakley dostarcza mamusi teraz środków na utrzymanie.

Nancy słuchała tego wszystkiego, ale niezbyt uważnie. Nie umiała się skoncentrować, gdyż myślami przeskakiwała z tematu na temat, rozważając różne możliwości, spekulując.

Starając się, by jej głos zabrzmiał całkiem naturalnie i jak gdyby nigdy nic, Nancy powiedziała:

- A co z obrazami, które ma matka?
- Masz na myśli *Poszukiwaczy muszelek*?
- Tak. A także te dwa panneaux z podestu.
- No i cóż o nich chcesz wiedzieć?
- Jeśli by je sprzedać dzisiaj, czy byłyby warte dużo pieniędzy?
- Przypuszczam, że tak.

Nancy przełknęła. W ustach miała sucho.

- Ile?
- Nancy, nie zajmuję się sprzedażą obrazów.
- Ale, tak w przybliżeniu.
- Myślę, że... blisko pięćset tysięcy.

„Pięćset tysięcy”. Słowa te nie zostały powiedziane zbyt głośno. Ale Nancy oparła się o tył kanapki całkowicie ogłuszona. Pół miliona. Oczyma wyobraźni widziała tę sumę wypisaną z oznaczeniem funta i z mnóstwem ślicznych zawijasów. W tym momencie kelner przyniósł im kawę, czarną, dymiącą i aromatyczną. Nancy odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz:

— Pół miliona.

— W przybliżeniu. — Oliwia z jednym ze swoich rzadkich uśmiechów posunęła cukierniczkę w kierunku Nancy. — A więc widzisz, dlatego ty i George nie powinniście się obawiać o mamusię.

To był koniec rozmowy. Wypiły kawę w milczeniu, Oliwia zapłaciła rachunek i wstały, żeby wyjść. Ponieważ udawały się w różnych kierunkach, gdy wyszły z restauracji zamówiły dwie taksówki. Oliwia spieszyła się, więc wsiadła do pierwszej. Pożegnały się na chodniku i Nancy patrzyła, jak siostra odjeżdża. Podczas gdy jadły lunch, zaczęło padać, nawet dość gęsto, ale Nancy, stojąc w potokach deszczu, prawie tego nie zauważyła.

Pół miliona.

Jej taksówka podjechała. Powiedziała kierowcy, żeby zawiózł ją do Horrodsa, pamiętała o napiwku dla portiera i wgramoliła się do środka. Taksówka ruszyła. Usiadła wygodnie na tylnym siedzeniu i poprzez spływające deszczem szyby patrzyła niewidzącymi oczami na mijane ulice Londynu. Nic nie uzyskała w rozmowie z Oliwią, ale dzień nie był stracony. Czuła jak serce wali jej z ukrytego podniecenia.

Pół miliona funtów.

Jednym z czynników, które pomogły Oliwii Keeling osiągnąć tak znaczny sukces zawodowy była, obok jej imponującej inteligencji, zdolność koncentracji, dzięki czemu potrafiła zachować jasność umysłu i skupić się na każdym z napotkanych problemów z osobna.

Organizowała swoje życie, jakby to była Łódź podwodna podzielona na wodoszczelne pomieszczenia, a każde z nich zapieczętowane i całkowicie odcięte od innych. Tak więc dziś rano odsunęła od siebie myśl o Hanku Spotswoodzie i dzięki temu mogła całą uwagę poświęcić rozwiązywaniu problemów Nancy. Kiedy wróciła do biura, już w momencie przekroczenia progu tego szacownego budynku, Nancy i wszystkie jej trywialne troski o dom i rodzinę zostały wymazane, a Oliwia była znowu redaktorem *Venus* i sprawy gazety zaprzętały wszystkie jej myśli. W ciągu popołudnia podyktowała szereg listów, zorganizowała zebranie z dyrektorem działu reklamy, poczyniła przygotowania do promocyjnego lunchu, który miał się odbyć w Dorchester, i dała od dawna już potrzebną reprymendę swojej redaktor działu literackiego. Poinformowała to biedne stworzenie, że jeśli nie potrafi znaleźć żadnych opowiadań lepszych niż te wypociny, które uznała za stosowne przedstawić Oliwii do zatwierdzenia, to *Venus* przestanie w ogóle publikować teksty literackie i redaktor tego działu straci pracę. Biedna kobieta, samotna matka próbująca wychować dwoje dzieci, wybuchnęła płaczem, ale Oliwia była twarda; sprawy gazety miały pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, wręczyła jej chusteczkę i dała dwa tygodnie, okres łaski, na znalezienie wspaniałego tekstu, czyli na dokonanie cudu.

Było to jednak dość wyczerpujące. Zdała sobie sprawę, że to piątek, koniec tygodnia, i odczuła ulgę. Pracowała jeszcze do szóstej, porządkując swoje biurko, zanim wreszcie zebrała swoje rzeczy i zjechała windą do podziemnego garażu, wsiadła do samochodu i wyruszyła do domu.

Ruch był potworny, ale była przyzwyczajona, że zawsze tak było w godzinie szczytu i akceptowała to. Magazyn *Venus*, z trzaskiem wodoszczelnych drzwi w jej umyśle, przestał istnieć; tak jakby w ogóle nie było całego popołudnia, a ona znalazła się z powrotem w restauracji Kettners z Nancy.

Była niemiła dla Nancy, oskarżyła ją o przesadne, histeryczne zachowanie, pomniejszała sprawę choroby matki, zbyła niczym przewidywania miejscowego lekarza. To dlatego, że Nancy zawsze robiła z igły widły... biedna dziewczyna, cóż innego mogła robić z tym swoim nudnym życiem... ale także dlatego, że Oliwia, jakby była ciągle jeszcze dzieckiem, nie chciała myśleć o Penelopie inaczej jak tylko o osobie zawsze zdrowej. A nawet nieśmiertelnej. Nie chciała, żeby była chora. Nie chciała, żeby umarła.

Atak serca. Że też przydarzyło się to jej matce, która całe życie nigdy nie była chora. Wysoka, silna, pełna życia, ale co najważniejsze zawsze

obecna. Oliwia przypomniła sobie kuchnię na parterze domu na ulicy Oakley, serce tego wielkiego londyńskiego domu, gdzie zupa gotowała się wolniutko na ogniu, a ludzie siedzieli i gadali godzinami wokół wyszorowanego stołu przy kieliszku brandy i kawie, podczas gdy jej matka prasowała albo cerowała pościel. Gdy ktokolwiek powiedział słowa „poczucie bezpieczeństwa”, Oliwia myślała o tym przytulnym, przynoszącym pociechę miejscu.

A teraz... Westchnęła. Może lekarz miał rację. Może Penelopa powinna mieć kogoś, kto by z nią mieszkał. Najlepiej byłoby, gdyby Oliwia pojechała się z nią zobaczyć, omówić wszystko spokojnie, a jeśli okaże się to potrzebne, na pewno wymyślą jakieś rozwiązanie. Jutro jest sobota, pojedę więc jutro do niej, powiedziała sobie, i od razu poczuła się lepiej. Pojedzie samochodem do Podmore's Thatch jutro rano i spędzi tam cały dzień. Podjąwszy decyzję, przestała o tym myśleć i pozwoliła, by powstała w ten sposób pustka wypełniła się powoli miłym przewidywaniem nadchodzącego wieczoru.

Teraz była już prawie w domu. Ale najpierw zatrzymała się przed miejscowym supermarketem, zaparkowała samochód i zrobiła zakupy. Graham z chrupiącą skórką, słoiczek *pate de foie gras*⁰, kurczak po kijowsku, wszystko co potrzeba na sałatkę. Oliwa z oliwek, świeże brzoskwinie, sery, butelka szkockiej whisky, parę butelek wina. Kupiła kwiaty, pęk żonkili, załadowała całą tę zdobycz do bagażnika samochodu i przejechała krótką odległość do Ranfurly Road.

Jej dom był jednym z szeregu tarasowo wzniesionych na spadzistej ulicy małych budynków z czerwonej cegły, w stylu edwardiariskim, każdy z nich miał okno wykuszowe, ogródek przed domem i ścieżkę ułożoną z płytek ceramicznych. Z zewnątrz wyglądał bardzo zwyczajnie, co jeszcze bardziej potęgowało efekt zaskoczenia jego wyrafinowanym wnętrzem. Ciasne pokoje parteru zostały przebudowane w jedną przestronną całość, z kuchnią oddzieloną od jadalni tylko ladą, taką jak w barach, i z odkrytymi schodami prowadzącymi na górę. Na drugim końcu pokoju francuskie okna wychodziły na ogród i można było przez nie oglądać wręcz wiejski krajobraz, ponieważ za ogrodzeniem znajdował się kościół z przylegającymi do niego gruntami, około pół hektara ziemi, gdzie w lecie odbywały się pikniki szkółki niedzielnej i ogromny dąb rozpościerał swoje gałęzie.

Właśnie dlatego byłoby bardzo naturalne, gdyby Oliwia urządziła swój dom w stylu rustykalnym, z sosnowymi meblami i kolorowymi firankami z bawełny, ale styl, jaki wybrała, był zupełnie inny i robił wrażenie bardzo nowoczesne i artystyczne. Podstawowym kolorem był biały. Oliwia kochała biały kolor. Kolor luksusu i kolor światła. Biała

⁰ pate de foie gras — pasztet z gęsiich wątróbek (przyp. tłum.)

podłoga z płytek, białe ściany, białe zasłony. Gruźkowato przedzona biała bawełna na głębokich, grzesznie wygodnych kanapach i fotelach, białe lampy i białe abażury. Ale efekt nie był zimny, bo na to pierwotnie białe płótno rzuciła plamy intensywnych kolorów. Poduszki szkarłatne i w kolorze indyjskiego rózu, hiszpańskie dywany, zaskakujące obrazy abstrakcyjne, oprawne w srebro. Stół w jadalni był ze szkła, krzesła czarne, a jedną ścianę jadalni pomalowała na niebiesko i umieściła na niej galerię fotografii rodziny i znajomych.

Było tam też ciepło i nieskalanie, lśniąco czysto. A to dlatego, że Oliwia od dawna już miała umowę ze swoją sąsiadką, która przychodziła codziennie wszystko sprzątać i polerować. Teraz czuła właśnie zapach pasty, zmieszany z zapachem płynącym z doniczki z niebieskimi hiacyntami. Posadziła je zeszłej jesieni i teraz właśnie osiągnęły szczyt swojej wonnej perfekcji.

Powoli i spokojnie, chcąc się odprężyć, zaczęła przygotowania do nadchodzącego wieczoru. Zasunęła firanki, zapaliła ogień w kominku (który był na gaz, ze sztucznymi polanami, ale dawał również przytulne ciepło jak prawdziwy kominek), włączyła stereo, nalała sobie szkockiej whisky. W kuchni przyrządziła sałatkę, zrobiła do niej sos, nakryła do stołu, włożyła wino do lodówki, by się chłodziło.

Teraz było już prawie w pół do ósmej, poszła więc na górę. Jej sypialnia znajdowała się z tyłu domu, z widokiem na ogród i dąb, i także była biała, z grubym, gęstym dywanem pokrywającym całą podłogę i dużym, podwójnym tapczanem. Popatrzyła na tapczan i pomyślała o Hanku Spotswoodzie, zastanawiała się przez chwilę, a potem ściągnęła pościel i poszła na nowo, zastępując ją czystą, z błyszczącego, lodowato gładkiego, świeżo wyprasowanego lnu. Kiedy to zrobiła, dopiero wtedy rozebrała się i puściła sobie wodę na kąpiel.

Rytuał wieczornej kąpieli był dla Oliwii całkowitym relaksem. Tutaj, nurzając się w pachnącej parze, pozwalała swoim myślom dryfować i wędrować swobodnie. Była to przerwa sprzyjająca miłym rozmyśleniom — plany wakacyjne, ciuchy, które mogłaby sobie sprawić w najbliższych miesiącach, mgliste fantazje na temat jej aktualnego mężczyzny. Ale tego wieczora znalazła się z powrotem z Nancy, zastanawiając się czy siostra wróciła już do swego okropnego domu i pozbawionej wdzięku rodziny. To prawda, że miała problemy, ale wszystkie wydawały się wymyślone przez nią samą. Ona i George żyli całkowicie ponad stan, ale byli tak pretensjonalni i wyhodowali w sobie taką manię wielkości, że uważali, iż należy im się jeszcze o wiele więcej. Trudno było powstrzymać się od uśmiechu na wspomnienie twarzy Nancy, z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, kiedy Oliwia powiedziała jej, jaka jest przypuszczalna wartość obrazów Lawrence'a Sterna. Nancy nigdy nie udawało się zbyt dobrze ukryć swoich myśli i odczuć, zwłaszcza gdy była zaskoczona, toteż

wielkie zdumienie malujące się na jej obliczu, zostało prawie natychmiast zastąpione wyrazem wyrachowanego skąpstwa, podczas gdy Nancy oczyma duszy widziała już zapłacone rachunki za szkoły, Old Vicarage zaopatrzoną w podwójnie oszklone okna i bezpieczną przyszłość całego klanu Chamberlainów.

Oliwia nie martwiła się tym. Nie żywiła też obaw o obraz *Poszukiwacze muszelek*. Lawrence Stern podarował ten obraz swojej córce jako prezent ślubny i był on dla niej cenniejszy niż wszystkie pieniądze świata. Ona nigdy go nie sprzeda. Nancy, a także Noel, będą po prostu musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać do momentu, kiedy natura dojdzie swoich praw i Penelopa umrze. Oliwia miała szczerą nadzieję, że nie nastąpi to jeszcze przez wiele, wiele lat.

Jej myśli opuściły Nancy i powędrowały ku bardziej atrakcyjnym tematom. Ten młody, zdolny fotograf, Lyle Medwin. Wybitny. Znacomite znalezisko. A jaki spostrzegawczy.

„Ibiza”, powiedział, a ona mimowolnie powtórzyła za nim to słowo, i on od razu wyczytał w jej głosie, czy w wyrazie twarzy, jakieś wahanie, bo od razu zaproponował inne miejsce. Teraz, wyciskając gąbkę, z której gorąca woda spływała jak balsam po jej nagim ciele, zdała sobie sprawę, że wspomnienia ożyły i krążyły wciąż na skraju jej świadomości, właśnie od momentu tej krótkiej i pozornie nic nie znaczącej wymiany słów.

Od wielu miesięcy już nie myślała o Ibizie. „Rustykalne tło...”, zaproponowała. „Z kozami, owcami i krzepkimi wieśniakami uprawiającymi swoje pola”. Zobaczyła dom, długi i niski, z czerwoną dachówką, tonący w dzikim winie. Usłyszała dzwonki pasących się krów i piejące koguty. Poczowała zapach ciepłej żywicy sosny i jałowca, niesiony przez ciepły wiatr od morza i przygważdżające gorąco śródziemnomorskiego słońca.

ROZDZIAŁ 3

Kosma

Na początku lata 1979 roku, podczas wakacji z przyjaciółmi, Oliwia spotkała Kosmę Hamiltona na przyjęciu, które odbywało się na statku.

Nie lubiła statków. Nie lubiła panującej na nich ciasnoty i uczucia klaustrofobii, spowodowanej tłoczeniem się zbyt dużej ilości ludzi, na zbyt małej przestrzeni, a także ciągłego obijania się, łydkami lub głową, o jakiś żurawik czy o bom. Ten akurat statek był długim na trzydzieści cztery stopy jachtem, zakotwiczonym w odległej części portu i trzeba było popłynąć motorówką, żeby do niego dotrzeć. Oliwia poszła na to przyjęcie, dlatego że szli na nie wszyscy jej znajomi, ale zrobiła to niechętnie i rzeczywiście okazało się, że było tak okropnie, jak przewidywała. Było za dużo ludzi, nigdzie nie można było usiąść, wszyscy byli obleśnie rozochoceni, zgrywali się i pili Bloody Mary³⁾ jedną po drugiej, rozprawiając z głośnym śmiechem o wspaniałej zabawie, na której byli poprzedniego wieczora, a na której Oliwia i jej przyjaciele właśnie nie byli obecni.

Stała w kabinie razem z około czterech innymi osobami, trzymając rękę zaciśniętą na szklance. Czuła się tak, jakby brała udział w przyjęciu towarzyskim w windzie. Jeszcze jedną okropną stroną spotkań na statku było to, że nie można było wyjść. Nie można było po prostu otworzyć drzwi, wyjść, znaleźć taksówkę i pojechać do domu. Było się uziemionym. Co gorsza, była ściśnięta, twarzą w twarz, z facetem, o cofniętej szczęce, który wyraźnie myślał, że ona będzie zafascynowana jego opowiadaniem jak to „służy się” w Gwardii i jak dużo czasu „spędza się” w dość szybkim samochodzie, jadąc z własnego domu, który „ma się” w Hampshire, do Windsor.

³⁾ Bloody Mary — Krwawa Mary, drink składający się z wódki i soku pomidorowego, (przypr. tłum.)

Oliwia wprost umierała z nudów. Kiedy jej rozmówca odwrócił się na chwilę, żeby napełnić sobie szklanę, natychmiast uciekła, wyszła z kabiny i poszła przed siebie, mijając po drodze prawie nagą dziewczynę, opalającą się na dachu kabiny. Na dziobie znalazła pusty kąt i tam usiadła, opierając się plecami o maszt. Nawet tutaj szum głosów atakował jej uszy, ale przynajmniej była sama. Było bardzo gorąco. Z przygnębieniem wpatrywała się w morze.

Czyjś cień padł w poprzek jej nóg. Podniosła głowę, obawiając się gwardzisty z Windsor, ale zobaczyła brodatego mężczyznę. Zauważyła go, gdy tylko weszła na pokład, ale jeszcze nie rozmawiali ze sobą. Miał siwą brodę, ale włosy gęste i jasne, był bardzo wysoki, szczupły i muskularny, ubrany w białą koszulę i wyblakłe dżinsy.

— Czy masz ochotę na jeszcze jednego drinka? — powiedział.

— Chyba nie.

— Czy chcesz być sama?

Miał czarujący głos. Pomyślała sobie, że nie wygląda na ten rodzaj mężczyzny, który mówi o sobie per „się”.

Odparła więc:

— Niekoniecznie.

Przykucnął obok niej. Popatrzyła mu prosto w oczy i dostrzegła, że są tego samego bladego, miękko niebieskiego koloru co jego dżinsy. Jego twarz była opalona, z głębokimi bruzdami. Wyglądał, jakby mógł być pisarzem.

— A więc, mogę się przysiąc?

Zawahała się, a potem uśmiechnęła.

— Czemu nie?

Nazywał się Kosma Hamilton. Mieszkał na tej wyspie od dwudziestu pięciu lat. Nie, nie był pisarzem. Na początku miał swój własny interes: czarterowe wynajmowanie jachtów, potem był agentem londyńskiego biura turystycznego organizującego turnusy wakacyjne na wyspie, a teraz nie musiał już pracować.

Oliwia, jak gdyby wbrew samej sobie, zaczęła być zainteresowana.

— I nie nudzisz się tutaj?

— Dlaczego miałbym się nudzić?

— Nie mając nic do roboty.

— Mam tysiąc rzeczy do roboty.

— Wymień dwie.

Jego oczy błyszczały z rozbawienia.

— To prawie obrażające.

I rzeczywiście, wyglądał tak aktywnie i **był w tak** świetnej formie, że to co powiedziała zabrzmiało prawie **obraźliwie**. Oliwia uśmiechnęła się.

— Nie mówiłam tego dosłownie.

Jego uśmiech był jak światło. Twarz mężczyzny nabierała wtedy ciepłego wyrazu i rozświetlała się, a w kącikach oczu pojawiały się maleńkie zmarszczki. Oliwia poczuła, jakby jej serce ukradkiem poruszyło się i przekreśliło na drugą stronę.

— Mam jacht — powiedział jej — dom i ogród. Całe półki książek, dwie kozy i trzy tuziny kur liliputek. Przy ostatnim liczeniu. Liliputki są znane z ogromnej płodności.

— Czy ty zajmujesz się liliputkami, czy robi to twoja żona?

— Moja żona mieszka w Weybridge. Jesteśmy rozwiedzeni.

— A więc, jesteś sam?

— Nie całkiem. Mam córkę. Chodzi do szkoły w Anglii. W ciągu roku szkolnego mieszka z matką, a na wakacje przyjeżdża tutaj.

— Ile ma lat?

— Trzynaście. Nazywa się Antonia.

— Zapewne bardzo lubi spędzać tu wakacje.

— Tak. Dobrze się bawimy. A jak ty się nazywasz?

— Oliwia Keeling.

— Gdzie się zatrzymałaś?

— W Los Pinos.

— Czy przyjechałaś tu sama?

— Nie. Z przyjaciółmi. Dlatego tu jestem. Jeden z naszej paczki dostał zaproszenie i wszyscy przywlekliśmy się za nim.

— Widziałem, jak wchodziłaś na pokład.

— Nie cierpię statków — powiedziała, a on zaczął się śmiać.

Następnego ranka przyszedł do hotelu, szukając jej. Znalazł ją samą koło basenu. Było wcześniej i znajomi Oliwii spali jeszcze przypuszczalnie w swoich pokojach, ale ona już była po rannym pływaniu i zamówiła sobie śniadanie na tarasie przy basenie.

— Dzień dobry.

Popatrzyła w górę, w stronę słońca i zobaczyła Kosmę stojącego w oślepiającym świetle.

— Cześć.

Jej włosy były mokre i gładkie po pływaniu. Owinęła się w biały, frotowy szlafrok.

— Czy mogę się przysiąść?

— Jeśli chcesz. — Wyciągnęła nogę i pchnęła krzesło w jego kierunku. — Czy jadłeś już śniadanie?

— Tak. — Usiadł. — Parę godzin temu.

— Trochę kawy?

— Nie, dziękuję.

— Cóż więc mogę dla ciebie zrobić?

— Przyjechałem zapytać, czy chciałabyś spędzić ze mną dzień?

— Czy to oznacza, że moi przyjaciele też są zaproszeni?

— Nie. Tylko ty.

Patrzył prosto na nią, nie spuszczać wzroku i w ogóle nie mrugając. Poczła się tak, jakby ktoś rzucił jej wyzwanie i to ją dziwnie zmieszało. Oliwia od lat nie czuła się zmieszana. Żeby jakoś ukryć zażenowanie i zająć czymś ręce, sięgnęła po pomarańczę z koszyka z owocami stojącego na stole i zaczęła ją obierać.

— A co ja mam im powiedzieć? — zapytała.

— Po prostu powiedz im, że spędzisz dzień ze mną.

Skórka pomarańczy była twarda i rozboleła ją paznokcie.

— A co będziemy robić?

— Myślałem, że może weźmiemy jacht... zapakujemy jedzenie na piknik... Daj to. — Zniecierpliwiony, pochylił się do przodu i wziął od niej pomarańczę. — Nigdy tego tak nie obierzesz. — Sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął nożyk i zaczął nacinać pomarańczę, dzieląc ją na cztery części.

Obserwując jego ręce, powiedziała:

— Nie cierpię statków.

— Wiem. Powiedziałaś mi wczoraj. — Włożył nożyk z powrotem do kieszeni, zgrabnie obrał owoc i wręczył go Oliwii. — A teraz — powiedziała, podczas gdy ona odebrała go w milczeniu. — Co powiesz? Tak czy nie?

Oliwia oparła się o tył krzesła i uśmiechnęła. Rozłożyła pomarańczę na cząstki i zaczęła je jeść jedną po drugiej. Kosma obserwował ją w milczeniu. Robiło się coraz bardziej gorąco. Delektując się smakiem świeżego cytrusa na języku, poczuła, że jest jej ciepło i jest zadowolona jak kot wygrzewający się na słońcu. Powoli kończyła jeść pomarańczę, oblizwała palce i spojrzała ponad stołem na mężczyznę, który czekał. Powiedziała:

— Tak.

Tego dnia Oliwia odkryła, że rejs statkiem może jednak mieć swoje uroki. Jacht Kośmy był znacznie mniejszy niż ten, na którym odbywało się przyjęcie, ale o wiele przyjemniejszy. Po pierwsze, było tylko ich dwoje, a po drugie, nie kiwali się bezsensownie przy nabrzeżu, tylko odbili od brzegu, postawili żagiel i mijając ścianę portu, wymknęli się na pełne morze. Popłynęli wzdłuż wybrzeża aż do bezludnej, błękitnej zatoczki, której turyści jeszcze nie zdołali odkryć. Tutaj zarzucili kotwicę i pływali, skacząc z pokładu i wspinając się z powrotem przy pomocy potwornie niewygodnej drabinki linowej.

Słońce stało już wysoko na niebie i zrobiło się tak gorąco, że Kosma zamontował płócienny daszek nad kabiną i zjedli swój piknik w jego cieniu. Chleb, pomidory, plasterki salami, owoce i sery, i słodkie wino, które było chłodne, ponieważ Kosma zanurzył wcześniej butelki w morzu, obwiązawszy ich szytki sznurkiem i spuściwszy je do wody.

A potem było mnóstwo miejsca, żeby rozciągnąć się na pokładzie i spokojnie opalać; a jeszcze później, gdy wiatr osłabł i słońce zaczęło ześlizgiwać się w dół, opuszczając nieboskłon, a światło odbite od wody drgało na przodzie biało pomalowanej kabiny, dość miejsca, żeby się kochać.

Następnego dnia pojawił się znowu, w swoim małym, poobijanym, ale jeszcze sprawnym citroenie z opuszczanym dachem. Tym właśnie samochodem, który bardziej przypominał ruchomy kubeł na śmieci niż cokolwiek innego, zawiózł ją w głąb wyspy, gdzie miał swój dom. Jak należało się tego spodziewać, towarzystwo, z którym przyjechała Oliwia, zaczęło się na nią coraz bardziej dąsać. Mężczyzna, który pojechał z tą grupą specjalnie jako partner Oliwii, wygarnął jej, co myśli o takim zachowaniu, posprzeczał się, a on obraził się na dobre, co w zasadzie tylko ułatwiło rozstanie.

Znów był piękny poranek. Droga wiodła w łagodne góry, przez drzemiące, złote miasteczka, obok małych, białych kościółków i gospodarstw, gdzie kozy pasły się, skubiąc rzadką trawę, a cierpliwe muły zaprzężone do kołowrotów dreptały w kółko.

Wszystko było tak, jak przed wiekami, nietknięte przez turystykę i komercjalizację. Droga pogorszyła się, zostawili za sobą asfaltową szosę i citroen podskakując toczył się w dół wąskim traktem, ciemnym i chłodnym, biegnącym w cieniu zagajnika sosen parasolowatych, aż wreszcie zatrzymał się i stanął pod masywnym drzewem oliwkowym.

Kosma wyłączył silnik i wysiedli z auta. Oliwia poczuła chłodny powiew na twarzy i dostrzegła skrawek odległego morza. W dół wiodła ścieżka poprzez sad migdałowy, za którym stał dom. Długi, biały, z czerwonym dachem i fioletowymi plamami kwiatów bougainvilli¹⁾. Wokół rozciągała się szeroka dolina schodząca ku wybrzeżu. Wzdłuż frontu domu biegł taras opleciony dzikim winem, a poniżej mały, gęsty ogród opadał w stronę niewielkiego basenu, połyskującego przejrzyście i turkusowo w słońcu.

— Co za miejsce! — To wszystko, co była w stanie powiedzieć.

— Wejdz, oprowadzę cię.

Był to dom o bardzo oryginalnej i skomplikowanej architekturze. Schody poustawiane nieregularnie, jakby znalazły się w tym miejscu przez przypadek; każdy pokój znajdował się na innym poziomie. Kiedyś była to ferma, na górze więc urządzono kuchnię i salon, a pokoje na dole, w pomieszczeniach, które dawniej służyły jako obora, stajnia i chlewik, teraz były sypialnie.

¹⁾ bougainvillia — drzewiaste pnącze tropikalne o różowych lub purpurowych przylistkach. (przyp. red.)

Wybielone wnętrza i prostota ich wyposażenia tchnęły surowością i chłodem. Parę kolorowych chodników na podłogach z desek, meble zrobione tu na miejscu, krzesła z wyplatanyimi siedzeniami z trzciny, wyszorowane drewniane stoły. Firanki wisiały tylko w salonie, a gdzie indziej głęboko osadzone okna były zaopatrzone w okiennice.

Ale było też mnóstwo rzeczy zachwycających. Kanapy i fotele o głębokich, miękkich poduchach, przykryte malowniczymi bawełnianymi kocami, dzbany pełne kwiatów, koszyki pełne polan przy otwartym kominku. W kuchni z belek sufitu zwieszały się miedziane rondle i pachniało przyprawami i ziołami. A wszędzie widać było ślady tego, że przez dwadzieścia pięć lat dom ten zamieszkiwał człowiek wykształcony i o wielkiej kulturze. Setki książek, nie tylko na półkach, ale także na stołach, na parapetach i na szafie obok jego łóżka. Były też świetne obrazy i dużo fotografii, i mnóstwo płyt długogrających, porządnie ułożonych na stojakach koło gramofonu.

Wreszcie zwiedzanie zostało zakończone i wyszli przez niskie drzwi, w dół po jeszcze jednych schodach i przez wyłożony czerwonymi kafelkami przedpokój na taras.

Stała, odwrócona plecami do rozpościerającego się widoku, i przyglądała się domowi.

— Jest bardziej doskonały, niż mogłam to sobie wyobrazić — powiedziała.

— Usiądź sobie i popatrz na widok, a ja przyniosę kieliszek wina.

Na płytach tarasu stały wiklinowe fotele i stół, ale Oliwia nie chciała usiąść. Oparła się o wybieloną ścianę domu, przy której z ceramicznych wanienek wystrzelały w górę pachnące cytryną gerania, o liściach podobnych do bluszczu, a armia mrówek, wiecznie zajętych, maszerowała tam i z powrotem w dobrze zorganizowanych kolumnach. Panowała absolutna cisza. Wsłuchując się w nią, wyłapywała delikatne, przytłumione dźwięki. Dobiegający z daleka krowi dzwonek. Miękkie gdakanie zadowolonych kur, ukrytych gdzieś w ogrodzie, ale wyraźnie słyszalne. Powiew wiatru.

Całkiem nowy świat. Przejechali tylko parę kilometrów, ale równie dobrze mogła się znajdować o tysiące mil od hotelu, od swoich znajomych, od nudnych przyjęć, w stylu tego cocktail party na jachcie, od zatłoczonego basenu i ulic pełnych krzątających się ludzi, od sklepów, od jaskrawych świateł i hałaśliwych dyskotek. Gdzieś jeszcze dalej był Londyn, *Venus*, jej mieszkanie, jej praca — rozpływające się, przechodzące w nierzeczywistość, jak zapomniane sny, które nigdy nie były realne. Jak naczynie, które zbyt długo było puste, poczuła, że wypełnia się spokojem. Mogłaby tu zostać. Cichy głos i ręka leciutko ciągnąca ją za rękaw. To jest miejsce, w którym mogłaby zostać.

Usłyszała go z tyłu, za sobą, jak schodził po kamiennych schodach. Podeszwy luźnych sandałów uderzały o stopnie. Odwróciła się i patrzyła, jak wyłaniał się z ciemnego otworu drzwi (był tak wysoki, że automatycznie pochylał głowę). Niósł butelkę wina i dwa kieliszki, słońce stało wysoko, a jego cień był czarny. Postawił kieliszki i oszronioną, pokrytą kropelkami, „spoconą” butelkę i sięgnął do kieszeni dżinsów, skąd wyciągnął cygaro, które zapalił zapałką.

— Nie wiedziałam, że palisz — powiedziała.

— Tylko cygara. Od czasu do czasu. Byłem z tych, co palą pięćdziesiąt dziennie, ale wreszcie udało mi się zerwać z nałogiem. Dzisiaj jednak wydaje się być odpowiednia okazja do pofolgowania sobie trochę.

Odkorkował butelkę i nalał wina do kieliszków; podniósł jeden z nich i wręczył Oliwii. Był lodowato zimny.

— Za co wypijemy? — zapytał.

— Za twój dom, jakkolwiek on się nazywa.

— Ca'n D'alt.

— A więc, za Ca'n D'alt i za jego właściciela.

Wypili.

— Obserwowałem cię z okna kuchni — powiedział. — Stałaś tak bez ruchu, zastanawiałem się, o czym myślisz.

— Bo wiesz... tutaj... rzeczywistość rozplywa się, zanika.

— Czy to dobrze?

— Chyba tak. Ja... — zawahała się, szukając odpowiednich słów, bo nagle stało się ogromnie ważne użycie dokładnie dobranych słów. — Nie jestem oswojonym, domowym stworzeniem. Mam trzydzieści trzy lata i jestem jednym z redaktorów magazynu, który nazywa się *Venus*. Zajęło mi dużo czasu, żeby dojść do tego etapu. Zarabiałam na siebie i na swoją niezależność, odkąd skończyłam Oxford. Ale nie mówię ci tego, żebyś mi współczuł. Tego właśnie chciałam. Nigdy na Tomiast nie chciałam wyjść za męża, mieć dzieci. Nie chciałam tego rodzaju stabilizacji.

— A więc?

— Chodzi mi o to, że... to jest miejsce, gdzie wydaje mi się, że mogłabym zostać na zawsze. Nie czułabym się tu w potrzasku, ani że grozi mi zakorzenienie. Nie wiem, dlaczego tak jest — uśmiechnęła się do niego. — Nie wiem dlaczego.

— No to zostań.

— Na dzisiaj? Na noc?

— Nie. Po prostu zostań.

— Moja matka zawsze mówiła mi, że bym nie przyjmowała nieokreślonych zaproszeń. Zawsze musi być data przyjazdu, mówiła, i data wyjazdu.

— Miała całkowitą rację. Powiedzmy, że data przyjazdu jest dziś, a datę wyjazdu określisz sobie ty sama, kiedy zechcesz.

Przypatrywała mu się, usiłując ocenić, czym się **powodował** i co **miał** na myśli, mówiąc jej to. W końcu zapytała:

— Czy prosisz mnie, żebym z tobą zamieszkała?

— Tak.

— A moja praca? To jest dobra praca, Kosma. Dobrze płatna i odpowiedzialna. Zajęło mi to całe moje dotychczasowe życie, żeby się dostać tam, gdzie teraz jestem.

— W takim razie już czas, żebyś zrobiła sobie porządną przerwę. Żaden mężczyzna ani, jeśli już o to chodzi, żadna kobieta nie może pracować wiecznie. Taki „Sabbatical”^o. Rok. Dwanaście miesięcy można by nazwać przerwą. Dłużej to byłaby już ucieczka.

— Mam też dom. Samochód.

— Pożycz je najlepszym przyjaciołom.

— A moja rodzina?

— Możesz ich tu zaprosić.

Jej rodzina tutaj. Wyobraziła sobie Nancy, smażącą się obok basenu, podczas gdy George siedziałby w domu, w kapeluszu, z obawy przed udarem słonecznym. Wyobraziła sobie Noela, wybierającego się na łowy na plażę topless i wracającego na wieczorny posiłek ze zdobyczą, przypuszczalnie jakąś dojrzałą blondyną, nie mówiącą żadnym znanym językiem. Wyobraziła sobie swoją matkę... ale nie, to zupełnie co innego. To jest właśnie otoczenie jakby wymarzone dla jej matki, jej środowisko. Ten czarujący, nietypowy dom, ten splątany ogród. Sad migdałowy, spieczony słońcem taras, nawet kury liliputki — szczególnie kury liliputki — byłaby nimi zachwycona. Oliwii przyszło do głowy, że w jakiś niejasny sposób właśnie dlatego natychmiast polubiła Ca'n D'alt i od razu poczuła się tu swobodnie, jak w domu.

— Nie tylko ja mam rodzinę — powiedziała. — Ty też masz zobowiązania, które musisz wziąć pod uwagę.

— Tylko Antonię.

— A czy to mało? Przecież nie chciałbyś jej zranić.

Podrapał się w szyję i przez chwilę wyglądał na zażenowanego.

— Może to nie jest najbardziej odpowiedni moment, żeby o tym wspominać, ale były inne panie — wyznał.

Oliwia roześmiała się, widząc jego skrępowanie.

— Antonia nie miała nic przeciwko temu?

— Rozumiała. Podchodziła do tego filozoficznie. Potrafiła się zaprzyjaźnić. Ma dużo wiary w siebie.

Zapadła cisza. On wydawał się czekać na jej odpowiedź. Oliwia popatrzyła w dół na swój kieliszek.

^o sabbatical — „roczny szabas”, roczny urlop przyznawany mniej więcej raz na dziesięć lat wykładowcom uniwersytetów zachodnich w krajach anglosaskich, (przyp. tłum.)

— To niełatwa decyzja, Kosmo — odparła wreszcie.

— Wiem. Musisz to przemyśleć. Co byś powiedziała, gdybyśmy przygotowali sobie coś do jedzenia i jeszcze porozmawiali o tej sprawie?

Tak też zrobili. Weszli do domu, a on zaproponował, że ugotuje makaron z sosem grzybowym i szynką, a ponieważ ewidentnie był o wiele lepszym kucharzem niż ona, Oliwia wyruszyła do ogrodu, znalazła grządkę z jarzynami i wybrała stamtąd zieloną sałatę, parę pomidorów, a głęboko, pod cienistymi liśćmi odkryła pęczek młodych bakłażanów. Te zdobycze zaniósła do kuchni i stanawszy przy zlewozmywaku przygotowała prostą sałatkę. Zjedli przy kuchennym stole, a potem Kosma stwierdził, że czas na sjęstę, więc poszli razem do łóżka i było jeszcze lepiej niż za pierwszym razem.

O czwartej, kiedy upał już zelżał, poszli na dół do basenu i pływali nago, a potem leżeli susząc się w słońcu.

Zaczął opowiadać o sobie. Miał pięćdziesiąt pięć lat. W dniu, w którym skończył szkołę został powołany do wojska i był w czynnej służbie przez większą część wojny. Stwierdził, że podobało mu się takie życie, więc gdy wojna się skończyła, a on nie mógł wymyśleć niczego innego, czym chciałby się zajmować, został zawodowym oficerem. Kiedy miał trzydzieści lat, jego dziadek zmarł i zostawił mu trochę pieniędzy. Po raz pierwszy w życiu był niezależny finansowo, a nie mając żadnych zobowiązań rodzinnych, zrezygnował z pracy w wojsku i wyruszył poznawać świat. Dotarł aż do Ibizy, wówczas jeszcze nietkniętej przez turystykę i zadziwiająco taniej, zakochał się w wyspie i postanowił, że tu właśnie zapanuje korzenie, więc dalej już nie wędrował.

— A co z twoją żoną? — spytała Oliwia.

— A co miało być?

— Kiedy ona ci się „zdarzyła”?

— Mój ojciec umarł i pojechałem do domu na pogrzeb. Zostałem trochę dłużej, żeby pomóc matce uporządkować jego sprawy. Miałem wtedy czterdzieści jeden lat, nie byłem już młodym człowiekiem. Spotkałem Jane na przyjęciu w Londynie. Była mniej więcej w twoim wieku. Prowadziła kwiaciarnię. Czułem się samotny — sam nie wiem dlaczego. Może to miało coś wspólnego ze stratą ojca. Nigdy przedtem nie czułem się samotny, a wtedy właśnie tak, i nie chciałem wracać sam. Była bardzo urocza i cała gotowa do wyjścia za męża, i uważała, że Ibiza brzmi szalenie romantycznie. To był mój największy błąd. Powinienem być ją najpierw tu przywieźć, coś jak przedstawienie swojej dziewczyny rodzinie. Ale nie zrobiłem tego. Pobraliśmy się w Londynie i po raz pierwszy zobaczyła to miejsce już jako moja żona.

— Czy była tu szczęśliwa?

— Na początku, przez krótki czas. Ale tęskniła za Londynem. Tęskniła za przyjaciółmi, brakowało jej teatru, koncertów w Albert Hall,

chodzenia na zakupy, spotkań ze znajomymi i wyjazdów na weekendy. Zaczęła się nudzić.

— A jak było z Antonią?

— Antonia urodziła się tutaj. Prawdziwa mała „Ibizanka”. Sądziłem, że urodzenie dziecka wpłynie uspokajająco na matkę, ale to jakoś jeszcze pogorszyło sytuację. Więc postanowiliśmy, całkiem po przyjacielsku, że się rozstaniemy. Nie było w tym żadnej goryczy, ale też i nie było powodu do rozgoryczenia. Wzięła ze sobą Antonię i dziecko mieszkało z matką do ósmego roku życia, a potem, jak zaczęła chodzić do szkoły, to przyjeżdżała tu do mnie na wakacje na lato i na ferie wielkanocne.

— Czy nie uważasz, że to spore obciążenie?

— Nie. Nie sprawiała mi wcale kłopotu. Nieco dalej, wzdłuż tej drogi jest mała ferma. Mieszkają tam Tomas i Maria, to bardzo miła para. Tomas pomaga mi w ogrodzie, a Maria przychodzi czasem posprzątać w domu i to ona opiekowała się moją córką. Są bardzo dobrymi przyjaciółmi. Dzięki temu Antonia jest dwujęzyczna.

Zrobiło się już znacznie chłodniej. Oliwia usiadła, sięgnęła po bluzkę, włożyła ręce w rękawy i zapięła guziki. Kosma także się poruszył i oświadczył, że po całej tej rozmowie czuje się spragniony i musi się czegoś napić. Oliwia stwierdziła, że ma ochotę na filiżankę dobrej herbaty, na co Kosma odparł, że wcale na to nie wygląda, ale wstał i wyruszył powolnym krokiem w kierunku domu, żeby nastawić wodę na herbatę. Oliwia została obok basenu, delektując się samotnością, bo wiedziała, że on za chwilę wróci. Woda w basenie była nieruchoma. Na drugim jego końcu figurka chłopca grającego na fujarce, odbijała się w przejrzystej tafli jak w lustrze.

Nad nią przelatowała mewa. Odchyliła głowę do tyłu, żeby śledzić jej wdzięczny lot. Skrzydła ptaka połyskiwały różowo w świetle zachodzącego słońca, i w tym momencie wiedziała już, że zostanie z Kosmą. Podaruje sobie, jak jakiś wspaniały prezent, jeden rok.

Palenie za sobą mostów, jak odkryła Oliwia, okazało się przeżyciem o wiele bardziej wstrząsającym, niż można było sądzić. Miała wiele do zrobienia. Najpierw pojechali do Hotelu Los Pinos, spakować jej rzeczy, zapłacić rachunek i oddać klucz. Zrobili to wszystko jakby ukradkiem, przerażeni, że ktoś ich zobaczy. A Oliwia, zamiast spotkać się z przyjaciółmi i wytłumaczyć, co się stało, wybrała bardziej tchórzliwą drogę, zostawiając list w recepcji. Należało wysłać telegramy, napisać listy, odbyć rozmowy telefoniczne z Anglią, a połączenia były często fatalne, coś trzeszczało na linii i niewiele mogła zrozumieć. Kiedy wszystko zostało już załatwione, myślała, że poczuje się wolna i pijana szczęściem, ale zamiast tego stwierdziła, że jest chora ze zmęczenia i trzęsie się w panice. I rzeczywiście była chora. Starła się to ukryć przed Kosmą,

lecz kiedy trochę później znalazł ją leżącą na kanapie płaczącą z wyczerpania i nie mógł jej uspokoić, wszystko się wydało.

Był bardzo wyrozumiały. Położył ją do łóżka w małym pokoiku Antonii, żeby miała ciszę i spokój, i pozwolił jej spać przez trzy noce i dwa dni. Budziła się tylko, żeby wypić trochę ciepłego mleka, które jej przynosił, albo zjeść kromkę chleba z masłem czy jakiś owoc.

Trzeciego ranka otworzyła oczy i wiedziała, że wszystko minęło. Czowała się zdrowa, odświeżona i pełna sił żywotnych. Przeciągnęła się, wstała z łóżka i otworzyła okiennice na wczesny poranek, perłowy i słodki, wciągnęła nosem zapach wilgotnej ziemi pokrytej rosą i usłyszała pianie kogutów. Zagotowała wodę i zrobiła herbatę. Z czajnikiem i dwoma filiżankami na tacy przeszła przez kuchnię i na dół, po innych schodach, do pokoju Kośmy.

Okiennice były jeszcze zamknięte i w pokoju panował mrok, ale on już nie spał.

Kiedy pojawiła się w drzwiach, powiedział:

— Witaj.

— Dzień dobry. Przyniosłam ci poranną herbatę.

Postawiła tacę obok niego i poszła otworzyć szeroko okiennice. Ukośne promienie słońca wypełniły pokój światłem. Kosma wyciągnął rękę po swój zegarek.

— Wpół do ósmej. Ranny z ciebie ptaszek.

— Przyszłam ci powiedzieć, że czuję się lepiej. — Usiadła na jego łóżku. — I przeprosić, że byłam taka słaba, i podziękować za to, że byłś taki wyrozumiały i dobry.

— A jak mi podziękujesz? — zapytał.

— Przeszedł mi do głowy jeden sposób, ale może jest za wcześnie rano.

Kosma z uśmiechem posunął się, robiąc jej miejsce obok siebie.

— Nigdy nie jest za wcześnie — stwierdził.

— Jesteś bardzo uzdolniona — powiedział jej potem.

Leżała zadowolona, z głową w zagłębieniu jego ramienia.

— Tak jak ty, miałam już trochę doświadczenia.

— Proszę mi powiedzieć, panno Keeling — rzekł tonem kogoś, kto usiłuje naśladować głos Noela Cowarda — kiedy straciła pani swoje dziewictwo? Jestem pewien, że nasi słuchacze bardzo by chcieli wiedzieć.

— W czasie mojego pierwszego roku na uniwersytecie.

— A w jakim college'u?

— Czy to istotne?

— Mogłoby być.

— Lady Margaret Hall.

Pocałował ją. Powiedział:

— Kocham cię — a jego głos nie brzmiał już jak imitacja Noela Cowarda.

Dni mijały, bezchmurne, gorące, długie i leniwe, wypełnione tylko mało ważnymi zajęciami. Pływanie, spanie, przechadzki po ogrodzie, żeby nakarmić kury liliputki, zebrać jajka, względnie odrobinę popracować w ogrodzie. Poznała Tomasa i Marię, którzy wydawali się zupełnie nieskrępowani jej przybyciem i witali ją każdego ranka szerokim uśmiechem i długim serdecznym uściskiem dłoni. Nauczyła się trochę hiszpańskiego, na potrzeby kuchenne, i obserwowała, jak Maria przyrządza swoją ogromną paellę⁰. Ubranie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Spędzała całe dni bez makijażu, chodząc boso, w starych dżinsach albo w kostiumie kąpielowym. Czasami robili sobie spacer do wsi, z koszykiem na zakupy, ale — na mocy cichej umowy — nigdy nie zbliżali się do miasta ani do wybrzeża.

Mając czas zastanowić się nad swoim życiem, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy nie pracowała, nie wysilała się, nie pięła się w górę na kolejny szczebel kariery, w wybranym przez siebie zawodzie. Od najmłodszych lat jej ambicją było po prostu być najlepszą. Pierwsza w klasie, pierwsza na liście wyników egzaminów. Uczyła się zawsze tak dobrze, żeby mieć najlepsze stopnie, na małej maturze, na dużej maturze, żeby dostać stypendium. Do późna w nocy pracowała nad swoimi esejami, żeby doprowadzić je do doskonałości, żeby zapewniły jej miejsce na uniwersytecie. A potem Oxford, gdzie wszystko zaczęło się od początku. Znowu długa, systematyczna praca, aż do ostatnich, wykańczających nerwowo, końcowych egzaminów. Ukończyła studia z pierwszą lokatą, z wyróżnieniem z angielskiego i z filozofii. Byłoby zupełnie zrozumiałe i rozsądne, gdyby wtedy zrobiła sobie przerwę i choć trochę wypoczęła, odprężyła się, ale tkwiąca głęboko w jej charakterze i pchająca ją ciągle do przodu energia była zbyt silna. Była przerażona, że może zaprzepaścić jakąś szansę, że ucieknie jej jakaś okazja, że straci rozpęd. Poszła prosto do pracy. To było jedenaście lat temu. Od tego czasu ani na chwilę nie przestała pracować, ani na moment nie zwolniła tempa.

Już po wszystkim. Teraz nie żałowała niczego. Nagle zmądrzała, zdała sobie sprawę, że spotkanie Kośmy i jej wycofanie się z ciągłego wyścigu przyszło w samą porę. Jak osoba cierpiąca na chorobę psychosomatyczną, znalazła lekarstwo, zanim postawiono diagnozę. Była głęboko wdzięczna losowi. Jej włosy błyszcząły, ciemne oczy w oprawie gęstych rzęs lśniły z zadowolenia, nawet rysy twarzy, zdawały się tracić, spowodowaną

⁰ paella — potrawa hiszpańska; ryż duszony z mięsem, kurą, rybą, skorupiakami morskimi i jarzynami, (przyj. red.)

ciągłym napięciem ostrość i stały się bardziej łagodne. Wysoka, bardzo szczupła, opalona na brązowo, jak kasztan, spoglądała na siebie w lustrze i po raz pierwszy zobaczyła siebie jako prawdziwie piękną.

Pewnego dnia została sama w domu. Kosma pojechał do miasta odebrać pocztę i gazety, a przy okazji chciał rzucić okiem na jacht. Oliwia leżała na tarasie i obserwowała dwa małe, nie znane jej ptaszki, flirtujące na gałęzi drzewa oliwkowego.

Gdy tak leniwie przyglądała się ich zalotom, zdała sobie nagle sprawę, że przepełnia ją dziwne uczucie pustki. Przeanalizowała je, spróbowała sprecyzować, skąd się bierze i odkryła, że jest znudzona. To nie Ca'n D'alt ją znudziło, nie Kosma. Była znudzona sobą samą, bo pozwoliła by jej umysł stał się próżny i smutny jak pusty pokój. Zastanawiała się nad tym przez jakiś czas, wreszcie wstała z fotela, weszła do środka poszukać sobie czegoś do czytania.

Kiedy Kosma wrócił, zastał ją tak głęboko pogrążoną w lekturze, że w ogóle go nie usłyszała i była bardzo zaskoczona, gdy nagle pojawił się obok niej.

— Jestem zgrzany i spragniony — zaczął mówić, ale nagle urwał, wpatrując się w nią ze zdumieniem. — Nie wiedziałem, że nosisz okulary.

Odłożyła książkę.

— Tylko do czytania i do pracy, i na robocze lunche z twardymi facetami, którym staram się zaimponować. W każdych innych okolicznościach noszę szkła kontaktowe.

— Nigdy nie zauważyłem.

— Przeszkadza ci to? Czy to zmieni twój stosunek do mnie?

— Ależ skąd. Wyglądasz w nich nadzwyczaj inteligentnie.

— Jestem nadzwyczaj inteligentna.

— Co czytasz?

— George Eliot. *Młyn nad rzeką Floss*.

— Tylko nie zaczynaj się identyfikować z biedną Maggie Tulliver.

— Nigdy się z nikim nie identyfikuję. Masz wspaniałą biblioteczkę. Jest w niej wszystko, co chcę przeczytać albo co chciałabym przeczytać jeszcze raz i to, czego nigdy nie miałam czasu przeczytać. Przypuszczalnie spędzę resztę roku z nosem w książce.

— Wcale mi to nie przeszkadza pod warunkiem, że od czasu do domu, wynurzysz się, żeby zaspokoić moje cielesne żądze.

— Zrobię to.

Pochylił się i pocałował ją w okulary, a potem wszedł do środka przynieść sobie puszkę piwa.

Skończyła *Młyn na rzece Floss* i zaczęła *Wichrowe Wzgórza*, a potem zabrała się za Jane Austen. Czytała Sartre'a, *W poszukiwaniu straconego*

czasu i po raz pierwszy w życiu — *Wojnę i pokój*. Czytała klasyków, biografie, powieści autorów, o których nigdy w życiu nie słyszała. Czytała Johna Cheevera i Josepha Conrada, a także stary wysłużony egzemplarz *Poszukiwaczy skarbów*, który przeniósł ją prosto w lata dzieciństwa, do domu na ulicy Oakley.

A ponieważ te książki były dobrze znanymi przyjaciółmi dla Kośmy, mogli więc spędzać całe wieczory na długich literackich dyskusjach, przeważnie mając w tle akompaniament takiej muzyki, jak *Nowy świat* albo *Wariacje „Enigma”* Elgara, symfonie albo opery słuchane w całości.

Żeby nie stracić całkiem kontaktu ze światem, Kosma prenumerował *The Times*, który przysyłano mu z Londynu co tydzień. Pewnego wieczora, po przeczytaniu artykułu o skarbach Galerii Tatę, powiedziała mu o Lawrensie Sternie.

— To mój dziadek, ojciec mojej matki.

Kosma, co było bardzo miłe, był pod wrażeniem tej wiadomości.

— Ależ to niebywałe! To ogromnie podniecające. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

— Nie wiem. Nie często o nim mówię. Zresztą dzisiaj większość ludzi nawet o nim nie słyszała. Wyszedł z mody i został zapomniany.

— Cóż za wspaniały malarz! — zmarszczył czoło, usiłując coś obliczyć. — Ale on się urodził... kiedyż to było... około roku 1860. Musiał być bardzo starym człowiekiem, kiedy ty przysłaś na świat.

— On już nie żył. Zmarł w 1946, w swoim własnym łóżku, w Porthkerris.

— Czy jeździłaś do Kornwalii na wakacje i na inne okazje?

— Nie. Wtedy dom już został wynajęty innym ludziom, a w końcu matka go sprzedała. Musiała, ponieważ ciągle brakowało jej gotówki i to zresztą był jeszcze jeden powód, dla którego nie wyjeżdżaliśmy nigdzie na wakacje.

— Bardzo ci tego brakowało?

— Nancy przejmowała się tym okropnie. Z Noelem zapewne byłoby tak samo, gdyby nie to, że on się bardzo dobrze umiał o siebie zatroszczyć. Zawsze zaprzyjaźniał się z tymi chłopcami co trzeba, udawało mu się załatwić sobie zaproszenia na wakacje pod żaglami, na narty albo wyruszał z jakąś wesołą kompanią na południe Francji, gdzie spędzali czas w jakiejś willi.

— A ty? — głos Kośmy był pełen miłości.

— Mnie to nic nie przeszkadzało. Nie chciałam wyjeżdżać. Mieszkaliśmy w ogromnym domu przy ulicy Oakley, z równie ogromnym ogrodem. Miałam tam na miejscu wszystkie muzea, biblioteki i galerie sztuki, tylko korzystać. — Uśmiechnęła się, przypominając sobie te wypełnione po brzegi i dające tyle zadowolenia dni. — Dom przy ulicy Oakley należał do mojej matki. Pod koniec wojny Lawrence Stern

przekazał go jej. Mój ojciec był — jakby to powiedzieć — osobą dość lekkiego kalibru. Nie był to człowiek z siłą przebicia ani z wieloma możliwościami. Myślę, że mój dziadek wiedział o tym i postarał się, żeby jego córka mogła być niezależna i żeby przynajmniej miała dom, w którym mogłaby wychować swoje dzieci. Poza tym, on miał wtedy osiemdziesiąt lat i cierpiał na artretyzm. Wiedział, że już nigdy tam nie zamieszka.

— Czy twoja matka jeszcze tam mieszka?

— Nie. Dom stał się zbyt kłopotliwy i zbyt drogi do utrzymania, więc w tym roku wreszcie postanowiła go sprzedać i wyprowadzić się z Londynu. Marzyła o tym, żeby wrócić do Porthkerris, ale moja siostra Nancy, odwiodła ją od tego i w zamian znalazła jej domek w małym miasteczku, które nazywa się Tempie Pudley, w hrabstwie Gloucester. Trzeba to Nancy przyznać, że domek jest czarujący i mama jest bardzo zadowolona. Jego jedyną wadą jest nazwa. Podmore's Thatch⁰ — zmarszczyła nos z niesmakiem, a Kosma się roześmiał.

— Musisz przyznać, Kosmo, że to nieco zbyt trywialne.

— Możecie zmienić nazwę. Na przykład na „Mon Repos”²⁾. Czy jest w nim mnóstwo pięknych obrazów Lawrence'a Sterna?

— Nie. Niestety. Tylko trzy. Chciałabym, żeby miała więcej. Wydaje mi się, że — sądząc z obecnej sytuacji na rynku dzieł sztuki — mogłyby być bardzo wiele warte, za rok lub dwa.

Rozmowa potoczyła się na temat innych artystów epoki wiktoriańskiej. Zaczęli mówić o malarzu imieniem Augustus John i Kosma poszedł poszukać jego dwutomowej biografii, którą Oliwia kiedyś czytała, ale chciała przeczytać jeszcze raz. Dyskutowali o nim dość długo i zgodzili się, że mimo różnych paskudnych cech jego charakteru, ten lubieżny, stary lew budził ich podziw, ale jednocześnie stwierdzili, że jego siostra, Gwen, była znacznie lepszą malarką.

Potem wzięli prysznic, włożyli na siebie w miarę porządną ubranie i poszli do wsi do baru Pedra, gdzie można było wypić sobie drinka, siedząc pod gwiazdami. Niespodziewanie pojawił się tam młody człowiek z gitarą, usiadł na krześle i całkiem po prostu, bez ceremonii, zaczął grać drugą część *Koncertu na gitarę* Rodriga, wypełniając ciepłą ciemność pełną powagi i smutnej skargi muzyką, która jest samą esencją Hiszpanii.

Antonia miała przyjechać za tydzień. Maria już zabrała się do wiosennych porządków w jej pokoju, wywlekając meble na taras, bieląc ściany, piorąc narzuty i koce i trzepiąc dywany z wielką pasją przy pomocy wiklinowej trzepaczki.

⁰ Podmore's Thatch — Strzecha Podmore'a (przyp. red.)

²⁾ Mon Repos — fr. Moje Wytchnienie (przyp. tłum.)

Ta energiczna działalność jakby przybliżała pojawienie się Antonii jeszcze bardziej i Oliwia zaczęła odczuwać niepokój. Nie była to z jej strony wyłącznie samolubna obawa, chociaż perspektywa dzielenia się Kosmą z inną kobietą, nawet jeśli miała ona trzynaście lat i była jego córką, była co najmniej niepokojąca. Prawdziwy lęk tkwił w niej samej, ponieważ bała się, że zawiedzie Kosmę, mówiąc nie to co trzeba albo zachowując się nietaktownie. Według niego Antonia była zarówno czarująca jak i nieskomplikowana, ale to nie uspokajało Oliwii, ponieważ nigdy nie miała do czynienia z dziećmi. Noel urodził się, kiedy miała dziesięć lat i do czasu kiedy wyrósł z niemowlęstwa, Oliwia, praktycznie rzecz biorąc, opuściła już dom i wyruszyła w świat. Były oczywiście latorośle Nancy, ale byli oni tak nieatrakcyjni i tak nieznośni i źle wychowani, że Oliwia starała się mieć z nimi jak najmniej do czynienia. A więc, co należało powiedzieć? O czym rozmawiać? Co oni wszyscy troje ze sobą poczną?

Pewnego dnia, późnym popołudniem, kiedy zmęczeni pływaniem leżeli wyciągnięci na leżakach koło basenu, zwierzyła się Kosmie ze swoich obaw.

— To dlatego, że nie chciałabym nic popsuć między wami obojgiem. Jest oczywiste, że jesteście sobie bardzo bliscy i nie mogę uwierzyć, iż ona nie będzie myśleć, że ja odbieram jej twoje uczucia. Przecież ona ma dopiero trzynaście lat. To jest trochę trudny wiek i trochę zazdrości byłoby absolutnie zrozumiała i naturalną reakcją.

— Jak mam cię przekonać, że tak nie będzie? — zapytał Kosma.

— Troje to fatalna liczba, nawet w najlepszych układach. Na pewno będą takie chwile, kiedy ona będzie cię chciała mieć dla siebie, a ja akurat nie będę dość spostrzegawcza, żeby się usunąć. Przyznaj, Kosmo, że w tym co mówię, jest sporo racji.

Zastanawiał się nad tym i nie odpowiedział od razu. W końcu rzekł z westchnieniem:

— Jest oczywiste, że nie ma sposobu, żeby cię przekonać, iż nie będzie tak, jak się tego obawiasz. Spróbujmy więc pomyśleć w innym kierunku. Co byś powiedziała, gdybyśmy na czas pobytu Antonii zaprosili jeszcze kogoś? Zrobilibyśmy sobie z tego coś w rodzaju party? Czy to by ci pomogło?

Ta sugestia pozwoliła spojrzeć na sprawę w całkiem innym świetle.

— Tak. Jak najbardziej. Jesteś genialny. Kogo zaprosimy?

— Kogo chcesz, pod warunkiem, że nie będzie to młody, przystojny i supermęski mężczyzna.

— A co powiesz na moją matkę?

— Zgodziłaby się przyjechać?

— Natychmiast.

— A nie będzie się spodziewać, że będziemy spać w osobnych

sypialniach? Jestem za stary na skradanie się cichcem po korytarzu. Przepuszczalnie spadłbym ze schodów.

— Moja matka nie ma złudzeń na temat nikogo, a już najmniej co do mnie. — Usiadła, nagle podekscytowana. — Och, Kosma, będziesz ją uwielbiał. Nie mogę się doczekać, żebyś ją poznał.

— W takim razie, nie mamy czasu do stracenia. — Podniósł się z leżaka i sięgnął po dzinsy. — Rusz się, dziewczyno. Jeśli uda się nam to dobrze zorganizować, to twoja matka i Antonia mogłyby się spotkać na Heathrow i przylecieć tym samym samolotem. Antonia zawsze się trochę boi, gdy ma lecieć sama, a twoja matka zapewne chętnie widziałaby kogoś do towarzystwa.

— Ale gdzie idziemy? — zapytała Oliwia, zapinając bluzkę.

— Pójdziemy do wsi i zadzwonimy od Pedra. Czy masz numer twojej matki w Podmore's Thatch?

Wymówił nazwę domku rozkoszując się nią i w taki sposób, że w uszach Oliwii zabrzmiała bardziej zenująco niż zwykle. Popatrzył na zegarek.

— Jest około wpół do siódmej w Anglii. Czy będzie w domu? Co może robić o pół do siódmej wieczorem?

— Pracować w ogrodzie. Albo gotować proszoną kolację dla dziesięciu osób. Albo nalewać komuś drinka.

— Nie mogę się doczekać, żeby już była z nami.

Samolot z Londynu, przez Walencję, miał wylądować o dziewiątej piętnaście. Maria, która nie mogła się doczekać, żeby znów zobaczyć Antonię, zaproponowała, że ugotuje obiad na jej powitanie. Zostawwszy ją więc w trakcie przygotowywania tej gigantycznej uczyty, pojechali na lotnisko. Oboje, chociaż żadne z nich się do tego nie przyznało, byli w stanie nerwowego podniecenia, dlatego przyjechali o wiele za wcześnie i musieli kręcić się po bezdusznym holu Przyłotów przez ponad pół godziny, zanim spikerka ogłosiła w „trzaskającej” hiszpariszczyźnie, że samolot wylądował. Potem trzeba było znowu czekać, aż pasażerowie wysiądą z samolotu, przejdą przez kontrolę paszportów, odbiorą swój bagaż, ale w końcu drzwi się otwarły i ludzka rzeka wypłynęła na zewnątrz. Turyści, bladzi i zmęczeni podróżą, miejscowe rodziny otoczone wianuszkami dzieci, ponurzy mężczyźni w ciemnych okularach i eleganckich garniturach, ksiądz i para zakonnice, i wreszcie — właśnie kiedy Oliwia zaczęła się obawiać, że spóźniły się na samolot — Penelopa Keeling i Antonia Hamilton.

Znalazły sobie wózek, na którym ułożyły swój bagaż, ale trafiły na taki z zepsutymi kółkami, który ciągle zaczynał jechać w złym kierunku, co, z jakiegoś powodu, doprowadzało je do nieustannego chichotu. Były tak zajęte rozmową, śmianiem się i próbami skierowania nieszczęsnego

pojazdu w odpowiednim kierunku, że nie od razu zauważyły Kosmę i Oliwię.

Część zdenerwowania Oliwii brała się stąd, że zawsze po dłuższym niewidzeniu się z Penelopą, bała się, iż jej matka się zmieniła. Nawet nie, że się postarzała, ale że może będzie wyglądać na zmęczoną albo w jakiś inny, tajemniczy sposób, czego się tak lękała, na pomniejszoną. Lecz w momencie, gdy ją zobaczyła, obawy pierzchły. Wszystko było w porządku. Penelopą wyglądała równie żywotnie jak zawsze i w cudowny sposób dystyngowanie. Była wysoka, trzymała się prosto, gęste, siwiejące włosy miała spięte w węzeł z tyłu głowy, a ciemne oczy błyszczały z rozbawienia i nawet szamotanie się z wózkiem nie ujmowało nic z jej godności. Była oczywiście, jak zawsze, obwieszona torbami i koszykami, a na sobie miała swoją starą, niebieską pelerynę, okrycie oficera marynarki, którą kupiła już używaną, pod koniec wojny, od ubogiej wdowy po tym oficerze i od tego czasu nosiła zawsze i na wszystkie okazje od ślubów do pogrzebów.

A Antonia... Oliwia zobaczyła wysokie, szczupłe dziecko, wyglądające na więcej niż trzynaście lat. Miała długie, proste, rudozłote włosy, była w dżinsach, podkoszulku i czerwonej, bawełnianej kamizelce.

Nie było czasu na nic więcej. Kiedy Kosma podniósł rękę i zawołał córkę po imieniu, zobaczyły ich. Antonia zostawiła Penelopę i wózek i ruszyła biegiem w ich kierunku. Z rozwianymi włosami, z parą gumowych płetw pod pachą, trzymając torbę z żaglowego płótna w drugiej ręce, robiąc różne uniki i uskoki, torowała sobie drogę przez obciążony bagażami tłum, żeby wreszcie rzucić się w ramiona Kośmy. Uniósł ją i okręcił w kółko, długie, pająkowane nogi fruwały za nią, wycelowoła porządnie i postawił z powrotem na podłodze.

— Urosłaś — powiedział oskarżycielskim tonem.

— Wiem, o cały jeden cal.

Zwróciła się do Oliwii. Na nosie miała piegi, usta pełne i słodkie, trochę za duże do jej twarzy, o kształcie serca, a jej oczy były szaro-zielone w oprawie długich, gęstych, bardzo jasnych rzęs. W otwartym spojrzeniu tych oczu malował się teraz uśmiech i zainteresowanie.

— Cześć, jestem Oliwia.

Antonia wysunęła się z ramion ojca, wzięła płetwy pod pachę i wyciągnęła rękę na powitanie.

— Bardzo mi miło.

A Oliwia, patrząc w dół na młodą, jasną twarz, zrozumiała, że Kosma miał rację i że jej obawy były bezpodstawne. Oczarowana i rozbrojona wdziękiem Antonii, uściśnięła jej wyciągniętą rękę.

— Cieszę się, że przyjechałaś — powiedziała.

Odetchnąwszy z ulgą, poszła zająć się przedstawicielem swojej rodziny, wciąż cierpliwie czekającym przy bagażu. Penelopą z niemym

zachwytem rozłożyła szeroko ramiona, w jednym z typowych dla niej, serdecznych gestów, a Oliwia radośnie rzuciła się w jej objęcia, żeby ją wyściskać z całych sił, przyłożyć twarz do chłodnego, jędrnego policzka matki i poczuć, od tak dawna znany, zapach olejka paczulowego.

— Mój ty kochany pieśczocho — powiedziała Penelopa. — Nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

Kosma i Antonia dołączyli do nich i wszyscy zaczęli mówić równocześnie.

— Kosma, to jest moja matka, Penelopa Keeling...

— Znalazłyście się na Heathrow bez problemów?

— Bez żadnego kłopotu, miałam w ręku gazetę i trzymałam różę w zębach.

— Tatusiu, było tak śmiesznie w czasie lotu. Ktoś się pochorował...

— Czy to wszystkie wasze bagaże?

— Jak długo musiałyście czekać w Walencji?

— ... i stewardessa wylała sok pomarańczowy na zakonnice.

W końcu Kosma opanował sytuację, przejął kontrolę nad wózkiem i wyprowadził wszystkich z holu Przyłotów w ciepłą, granatową ciemność, wypełnioną zapachem benzyny i dźwiękiem cykad. Jakoś wszyscy upchali się do Citroëna, Penelopa z przodu, a Oliwia i Antonia ściśnięte razem z tyłu. Bagaż ułożyły sobie na kolanach i wreszcie wyruszyli.

— Jak się mają Tomas i Maria? — chciała wiedzieć Antonia. — A kury liliputki? A wiesz, tatusiu, miałam najlepsze stopnie z francuskiego. O, zobacz, tam jest nowa dyskoteka. I boisko do jeżdżenia na wrotkach. Och, musimy pojeździć sobie na wrotkach, tatusiu, będziemy mogli? I naprawdę chciałabym się nauczyć windsurfingu w czasie tych wakacji... czy lekcje są okropnie drogie?

Znana już dobrze droga pięła się w górę, oddalając się od miasta i prowadząc w góry ozdobione, tu i ówdzie, rozrzuconymi światłami ferm. Powietrze było ciężkie od zapachu sosen. Kiedy skręcili na trakt wiodący do Ca'n D'alt, Oliwia zobaczyła, że Maria zapaliła wszystkie zewnętrzne światła, które przeświecały przez gałęzie drzew migdałowych, jak na jakieś święto. I w momencie, gdy Kosma zatrzymał samochód i zaczęli wysiadać, Maria i Tomas byli tuż tuż, idąc do nich przez tę jasność; Maria, tęga, opalona, w czarnej sukience i fartuchu i Tomas, który się ogolił na tę okazję i miał na sobie czystą koszulę.

— Witamy, proszę pana — zawołał Tomas, ale Maria myślała tylko o swoim kochanym dziecku.

— Antonia.

— Och, Mario! — wyskoczyła z samochodu i już biegła w dół ścieżką prosto w objęcia Marii.

— Antonia. Mi niña. Favorita. Como esta usted?⁰

Byli w domu.

Pokój Penelopy, który kiedyś był stajnią osiołka, wychodził wprost na taras. Był tak mały, że mieściły się w nim tylko łóżko i komoda z szufladami, a rząd drewnianych kołków pełnił rolę szafy. Ale Maria potraktowała go tak samo bezlitośnie jak pokój Antonii, więc lśnił czystością i bielą, pachniał mydłem i świeżo wyprasowaną bawełną, a Oliwia postawiła niebieski dzbanek z żółtymi różami, obok paru uważnie wybranych książek, na drewnianym nocnym stoloczku. Dwa wyłożone kafelkami stopnie wiodły do drugich drzwi, które otworzyła i pokazała matce, jak dojść do jedynej w domu łazienki.

— Z bieżącą wodą jest tu chwilami kiepsko; to zależy od stanu studni, więc jak klozecik nie będzie chciał funkcjonować za pierwszym razem, to cierpliwie próbuj dalej.

— Myślę, że jest tu po prostu idealnie. Co za czarujące miejsce.

— Zdjęła pelerynę, powiesiła ją na kołku i obróciła się ku łóżku, żeby otworzyć leżącą na nim walizkę. — Kosma wydaje mi się uroczy. A jak ty świetnie wyglądasz. Nigdy nie widziałam cię wyglądającą tak dobrze.

Oliwia siadła na łóżku i patrzyła, jak matka się rozpakowuje.

— Jesteś aniołem, że przyjechałaś tak szybko i na tak nagłe zaproszenie. To dlatego, że myślałam, iż będzie mi łatwiej, jeśli podczas pobytu Antonii i ty tu będziesz. Oczywiście to nie jest jedyny powód, dla którego cię zaprosiłam. Od momentu, w którym zobaczyłam to miejsce, chciałam ci je pokazać.

— Wiesz, że jestem impulsywana i lubię podejmować szybkie decyzje. Zadzwoiłam do Nancy, żeby jej powiedzieć, że tu jadę i była wściekle zazdrosna. Była bardzo rozgniewana, że nie została zaproszona, ale nie zwróciłam na to najmniejszej uwagi. A jeśli chodzi o Antonię, to jest ona uroczym, kochanym dzieckiem. Nie była ani trochę skrupowana, gadała i śmiała się cały dzień. Tak bym chciała, żeby dzieci Nancy były choć w połowie tak miłym towarzystwem i tak dobrze wychowane. Nie wiem, za jakie grzechy musiała mi się przytrafić para tak okropnych wnuków...

— A Noel? Czy widziałas ostatnio Noela?

— Nie. Nie widziałam go od miesięcy. Zadzwoiłam do niego parę dni temu, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje. Żył.

— Co on porabia?

— Znalazł sobie nowe mieszkanie, gdzieś w bok od King's Road. Ile go to będzie kosztowało, nawet boję się pytać, ale to jego sprawa. Myśli

⁰ Mi niña. Favorita. Como esta usted? — hiszp. Moja dziewczynka. Ulubiona. Jak się masz? (przyp. tłum.)

o opuszczeniu świata wydawniczego i poszukaniu sobie pracy w reklamie. Twierdzi, że ma jakieś bardzo dobre kontakty. Właśnie wyruszył na weekend do Cowes. Jak zwykle.

— A ty? Jak ty się miewasz? Jak się ma Podmore's Thatch?

— Kochany mały domek — powiedziała Penelopa z czułością. — Ciepłarnia wreszcie skończona. Nie umiem ci wprost opisać, jaka jest śliczna. Posadziłam biały jaśmin i winorośl i kupiłam sobie dość elegancki hotel wiklinowy.

— Najwyższy czas, żebyś sprawiła sobie nowe meble ogrodowe.

— Moja magnolia zakwitła po raz pierwszy i kazałam przystrzyc wistarię. Atkinsonowie spędzili weekend u mnie i było tak ciepło, że mogliśmy zjeść obiad w ogrodzie. Pytali o ciebie i przesyłają serdeczności — uśmiechnęła się po matczynemu, z wyrazem zadowolenia i czułości. — A kiedy przyjadę do domu, będę mogła im powiedzieć, że nigdy nie widziałam cię wyglądającą tak dobrze. Kwitnąco. Pięknie.

— Czy to nie był dla ciebie okropny szok, gdy dowiedziałaś się, że zostają tu z Kosmą, porzuciłam pracę i w ogóle zachowuję się jak wariatka?

— Może i był. Ale w końcu, dlaczego nie? Pracowałam całe życie; czasami, kiedy widziałam cię tak zmęczoną i napiętą, martwiłam się o twoje zdrowie.

— Nigdy mi tego nie mówiłaś.

— Oliwio, twoje życie i to, co ty z nim zrobisz, to nie mój interes. Co nie znaczy, że się tym nie przejmuję.

— A więc miałaś rację. Byłam chora. Kiedy już to zrobiłam, odcięłam liny i spaliłam mosty, miałam coś w rodzaju kryzysu. Coś we mnie pękło, rozsypałam się. Spałam przez trzy dni. Kosma był anielski. I potem już było w porządku. Nie zdawałam sobie sprawy, że byłam tak zmęczona. Myślę, że gdybym tego nie zrobiła, wkrótce wylądowałabym w jakimś domu wariatów z małą depresją nerwową.

— Nawet nie wspominaj o czymś takim.

Podczas gdy rozmawiały, Penelopa chodziła tam i z powrotem, układając swoje ubrania w szufladach komody i wieszając na kołkach mocno podniszczone, dobrze znane suknie, które ze sobą przywiozła. Było charakterystyczne dla Penelopy, że nie kupowała niczego nowego czy modnego tylko specjalnie na wakacje. A jednak Oliwia wiedziała, że jej matka nawet w tych „wiekowych szatach”, będzie wyglądała elegancko i dystygowanie, jak zawsze.

Ale niespodziewanie zobaczyła coś nowego. Z dna walizki matka wyciągnęła szmaragdowo-zieloną suknię z surowego jedwabiu, która, gdy ją uniosła i strzepnęła, żeby rozprostować zagięcia, okazała się być haftowanym złotą nitką rodzajem kaftanu, bogatym i zmysłowym, jak z bajki Tysiąca i jednej nocy.

Oliwia była pod wrażeniem.

— Skąd wytrzasnąłeś ten boski ciuch?

— Prawda, że jest przepyszny? Zdaje się, że jest marokański. Kupiłam to od Róży Pilkington. Jej matka przywiozła ten kaftan do domu z jakiejś wyprawy do Marrakeszu, jeszcze za czasów króla Edwarda, a Róża znalazła go na dnie starego kufra.

— Będiesz w tym wyglądała jak cesarzowa.

— Ale to jeszcze nie wszystko!

Kaftan zawieszony na wieszaku dołączył do wyblakłych bawełnianych sukienek, a Penelopa sięgnęła po swoją przepastną, skórzaną torbę i zaczęła grzebać w jej czeluściach.

— Napisałam ci, że droga, stara ciocia Ethel zmarła? Otóż, zostawiła mi mały spadek. To, co od niej dostałam, przyszło parę dni temu, akurat na czas, żebym to mogła tu przywieźć.

— Ciocia Ethel coś ci zostawiła? Nie wiedziałam, że ona w ogóle miała cokolwiek do zostawienia.

— Ja też nie. Ale to jakoś typowe dla niej, zaskakuje nas nawet po śmierci.

Rzeczywiście. Nigdy nie można było przewidzieć, jak zachowa się ciocia Ethel.

Była jedyną i o wiele młodszą siostrą Lawrence'a Sterna. Pod koniec pierwszej wojny światowej, gdy ciocia Ethel miała trzydzieści trzy lata, a kwiat brytyjskich mężczyzn został tak okrutnie przeredzony przez rzezie na francuskich polach bitew, stwierdziła, że nie pozostało jej nic innego, jak zaakceptować swoje nieuniknione staropanieństwo. Wcale tym nie załamana, postanowiła ten stan wykorzystać od najlepszej strony i bawić się tak dobrze, jak tylko będzie to możliwe. Mieszkała w maleńkim domku w Putney, na długo przed tym, zanim ta dzielnica zrobiła się modna. Żeby związać koniec z końcem od czasu do czasu wynajmowała pokój jakiemuś lokatorowi (który także pełnił rolę kochanka? — tego jej rodzina nigdy nie była pewna) i dawała lekcje gry na pianinie. Egzystencja, można by powiedzieć, sama w sobie niezbyt ekscytująca, ale ciocia Ethel, nie przejmując się brakiem pieniędzy sprawiała, że stawała się ona ekscytująca. Cieszyła się pełnią życia, wykorzystując wszystkie możliwości, jakie przynosił ze sobą każdy dzień. Kiedy Oliwia, Nancy i Noel byli dziećmi, wizyty cioci Ethel były zawsze oczekiwane z niecierpliwością, nie dlatego że przynosiła im prezenty, tylko dlatego że tyle było wtedy świetnej zabawy i że była taka inna niż wszyscy dorośli. A pójście do jej domu było największą radością, po prostu dlatego, że nigdy nie było wiadomo, co się tam stanie. Raz, kiedy zasiedli właśnie do przekrzywionego tortu, który upiekła im na podwieczorek, zawalił się sufit sypialni. Innym razem rozpalili sobie niewielkie ognisko w kącie jej maleńkiego ogrodu i płot się zapalił, więc trzeba było wezwać straż

pożarną, która nadjechała z głośnym dzwonieniem. Nauczyła ich także tańczyć kankana i śpiewać dość wulgarne piosenki z music-halli, pełne dwuznaczności, z których Oliwia, choć się trochę wstydziła, zaśmiewała się do łez, ale Nancy zawsze sznurowała usta i udawała, że nie rozumie.

Ciocia Ethel wyglądała, przypominała sobie Oliwia, jak mały, patyczkowany owad, ze stopami rozmiaru dziecka, farbowanymi rudymi włosami i zapalonym papierosem w ręce. Ale mimo (a może właśnie z powodu) jej nieco wulgarnego wyglądu i stylu bycia, miała całe zastępy przyjaciół. Nie było prawie miasta, w którym ciocia Ethel nie miałaby drogiej przyjaciółki szkolnej albo niegdysiejszej sympatii. Sporą część swego czasu spędzała u przyjaciół, którzy ciągle ją prosili, żeby przyjechała, ponieważ tak świetnie się wtedy bawili. A w przerwach między tymi wyjazdami wracała do Londynu na wystawy i koncerty, którymi się pasjonowała, do obfitej korespondencji, aktualnego lokatora, swoich uczniów gry na pianinie i własnego telefonu. Wydzwaniała ciągle do swojego maklera, który musiał być cierpliwym człowiekiem, i jeśli jej skromne udziały poszły w górę o punkt, pozwalała sobie na dwa różowe dżiny zamiast jednego, kiedy słońce zachodziło nad jej miniaturowym ogródkiem. Nazywała je swoimi drinkusiami.

Kiedy doszła do siedemdziesiątki, a rosnące w przyspieszonym tempie koszty utrzymania w Londynie przekroczyły nawet jej możliwości, ciocia Ethel przeniosła się do Bath, żeby być blisko swoich najlepszych przyjaciół, a byli to Milly i Bobby Rodway. Ale Bobby Rodway zmarł, a Milly wkrótce po nim i ciocia Ethel została sama. Przez jakiś czas dawała sobie radę, zawsze pogodna i niepoddająca się losowi, ale jej wiek dawał się jednak coraz bardziej we znaki i w końcu potknęła się na własnym progu o butelkę z mlekiem i złamała nogę w biodrze. Potem już niestety z dnia na dzień zaczęło być z nią coraz gorzej, aż wreszcie zrobiła się tak słaba i nieporadna, że trzeba było umieścić ją w domu starców. Tam, owiniętą w szale, drżącą i momentami tracącą już poczucie rzeczywistości staruszkę odwiedzała regularnie Penelopa, która przyjeżdżała do Bath z Londynu, a później z Gloucestershire, swoim starym volvo. Oliwia towarzyszyła matce w tych wyprawach przez jakiś czas, ale wracała tak załamana i smutna, że potem już zawsze starała się znaleźć jakąś wymówkę, żeby nie jechać.

— Kochane biedactwo — powiedziała teraz Penelopa z czułością. — Czy wiesz, że miała prawie dziewięćdziesiąt pięć lat? Zdecydowanie za dużo... O, jest!

Znalazła wreszcie to, czego szukała. Wyciągnęła z torby stare, sponiewierane, skórzane puzderko na biżuterię. Przycisnęła zatrzak i wieczko odskoczyło, a tam na wyblakłym aksamicie leżała para kolczyków.

— Och! — pełen podziwu cichy okrzyk wyrwał się Oliwii całkiem niechcący, bo też widok kolczyków wprawił ją w prawdziwy zachwyt. Były piękne. Misternie rzeźbione złoto i emalia, uformowane w kształt krzyża, z wisiorkami z rubinów i pereł, a krąg malutkich perełek łączył ramiona krzyża ze złotym pręcikiem. Delikatnością przypominały filigranowe klejnoty wychodzące spod palców renesansowych złotników.

— I one należały do cioci Ethel? — zdołała wyjąkać Oliwia.

— Zadziwiające, prawda?

— Ale skąd ona je wytrzasnęła?

— Nie mam pojęcia. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat przeleżały w banku.

— Wyglądają na antyki.

— Nie wiem. Chyba dziewiętnastowieczne. Przymuszczalnie włoskie.

— Może należały do jej matki?

— Prawdopodobnie. Ale może wygrała je w karty albo był to prezent od bogatego i uwielbiającego ją kochanka. Z ciocią Ethel wszystko było możliwe.

— Czy dałaś je do wyceny?

— Nie miałam czasu. Ale chociaż są ładne, nie wydaje mi się, żeby były wiele warte. W każdym razie pasują idealnie do mojego kaftana. Nie uważasz, że są jakby stworzone dla siebie?

— Tak, absolutnie. — Oliwia oddała puzderko matce. — Ale jak wrócisz do domu, obiecaj mi, że dasz je do wyceny i ubezpieczysz.

— Pewnie powinnam. Jestem taka głupia, jeśli chodzi o te sprawy. — Wrzuciła puzderko z powrotem do torby.

Skończyła się rozpakowywać. Penelopa zamknęła pustą walizkę, wsunęła ją pod łóżko i obróciła się w kierunku lustra, które wisiało na ścianie. Wyjęła szylkretowe spinki z włosów, które rozpuściła i teraz spływały jej na plecy, z pasemkami siwizny, ale gęste i mocne jak zawsze. Przerzuciwszy je do przodu przez jedno ramię, wzięła do ręki szczotkę. Oliwia z zadowoleniem obserwowała dobrze znany jej rytuał: uniesiona ręka, długie, płynne ruchy.

— A ty, kochanie? Jakie masz plany na przyszłość?

— Zostanę tu na rok. Rok przerwy.

— Czy twój redaktor naczelny wie, że po roku zamierzasz wrócić?

— Nie.

— Czy wrócisz do *Venus*?

— Niewykluczone. A może poszukam czegoś innego.

Penelopa odłożyła szczotkę, ujęła włosy w jedną rękę, skrzyła je i upięła z powrotem. Powiedziała:

— Teraz muszę pójść się umyć, a potem będę gotowa przyjąć wszelkie propozycje.

— Nie potknij się na schodach.

Poszła w kierunku łazienki. Oliwia, czekając na nią, nadal siedziała na łóżku. Przepełniała ją wdzięczność za spokój Penelopy i jej praktyczną akceptację zaistniałej sytuacji. Myślała, co by to było, gdyby miała inną matkę, pękającą z ciekawości, snującą romantyczne wizje, łączącą Oliwię z Kosmą, wyobrażającą sobie swoją córkę, stojącą przed ołtarzem w białej sukni, skrojonej tak, żeby dobrze wyglądała z tyłu. Sam pomysł rozśmieszył ją i równocześnie wstrząsnął nią dreszcz.

Kiedy Penelopa wróciła, wstała.

— A teraz, co byś powiedziała na coś do zjedzenia?

— Jestem trochę głodna. — Spojrzała na zegarek. — Wielkie nieba, jest prawie wpół do dwunastej.

— Wpół do dwunastej, to nic. Jesteś teraz w Hiszpanii. Chodź, zobaczmy, co Maria dla nas upichciła.

Wyszły więc razem na taras. Poza zasięgiem świateł świat spowijała ciemność, gęsta i ciepła jak niebieski aksamit. Oliwia szła pierwsza, w górę po kamiennych schodach do kuchni, gdzie znalazły Kosmę, Antonię, Tomasa i Marię siedzących przy stole w świetle świec, bawiących się świetnie przy butelce wina i gadających, wszystkich naraz, w porbrękującej jak kastaniety hiszpańszczyźnie.

— Jest wspaniała — powiedział Kosma.

Byli znów sami we dwoje i to było jak powrót do domu. Kochali się, a teraz leżeli w ciemności, Oliwia wtulona w łuk jego ramienia. Rozmawiali cicho, żeby nie przeszkodzić śpiącym mieszkańcom domu.

— Mamusia? Wiedziałam, że ją polubisz.

— Wiem teraz, skąd wzięłaś swoją urodę.

— Ona jest sto razy ładniejsza ode mnie.

— Musimy ją pokazać. Nie wybaczone by mi, gdybym pozwolił jej wrócić do Anglii, nie przedstawivszy jej nikomu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Urządzymy przyjęcie. Możliwie jak najszybciej. Wprawimy w ruch towarzyską maszynę.

Przyjaciele. To był całkiem nowy pomysł. Od czasu tej nieudanej imprezy na statku, Kosma i Oliwia spędzali cały swój czas we dwoje, rozmawiali tylko z Tomaszem, Marią i paroma miejscowymi mężczyznami, którzy bawili w barze Pedra.

— Ale kogo zaprosimy? — zapytała.

Poczuła raczej, niż usłyszała jego śmiech. Otoczył ją ramieniem.

— To będzie dla ciebie niespodzianką, kochanie, ale ja mam przyjaciół i znajomych na całej wyspie. W końcu mieszkam tu od dwudziestu pięciu lat. Czy myślałaś, że jestem wyrzutkiem społecznym?

— Nigdy o tym nie myślałam — powiedziała i było to prawdą. — Nie potrzebovałam nikogo innego oprócz ciebie.

— A ja tylko ciebie. Zresztą sądziłem, że potrzebujesz odpocząć od ludzi. Bałem się o ciebie w czasie tych dni, kiedy tylko spałaś bez przerwy. Zdecydowałem wtedy, że najlepiej będzie przez jakiś czas prowadzić ciche i spokojne życie.

— Tak.

Nie zdawała sobie z tego wszystkiego sprawy, a ich bycie sam na sam brała za rzecz oczywistą. Teraz, patrząc z pewnego dystansu, zastanawiała się, dlaczego nie odczuwała tego braku kontaktów z innymi ludźmi, na który sami się zgodzili.

— O spotkaniach też nigdy nie myślałam.

— To trzeba teraz o tym pomyśleć. Jak ci się podoba pomysł urządzenia przyjęcia?

Pomyślała, że to wspaniała propozycja.

— Ogromnie.

— W stylu nieformalnym czy absolutnie uroczystym?

— Och, oczywiście w uroczystym. Moja matka przywiozła ze sobą kreację balową.

Następnego ranka przy śniadaniu zrobił listę nazwisk, w czym pomagała mu i równocześnie przeszkadzała jego córka.

— Och, tatusiu, musisz zaprosić madame Sange.

— Nie mogę, umarła.

— No, to Antoine, on na pewno będzie mógł przyjść.

— Myślałem, że nie lubisz tego starego kozła.

— Rzeczywiście, niezbyt go lubię, ale chciałabym go zobaczyć. A także chłopców od Hardbackow. Są strasznie mili i może zaproszą mnie na wspólny windsurfing, a wtedy nie będziemy musieli płacić za lekcje.

Wreszcie lista została skompletowana i Kosma wyruszył do baru Pedra, żeby spędzić ranek przy telefonie. Goście, którzy nie mieli telefonu dostali pisemne zaproszenia, doręczone przez Tomasa, który z narażeniem życia, swojego i wszystkich innych spotykanych na drodze, rozwoził je Citroënem Kośmy. Odpowiedzi napłynęły wielką rzeką i ostateczna liczba zaproszonych wynosiła siedemdziesiąt. Na Oliwii zrobiło to duże wrażenie, ale Kosma był skromny. Powiedział jej, że on zawsze był jednym z tych, którzy trzymają światło pod korcem.

Wezwano elektryka, żeby zamontował sznurki kolorowych światełek wokół basenu. Tomasz pozamiatał i posprzątał, porozstawiał stoliczki, powynosił fotele i krzesła. Antonii przydzielono mycie szklanek i dawno nie używanej porcelany oraz znajdowanie obrusów i serwetek położonych gdzieś na zapomnianych półkach. Oliwia i Kosma, zaopatrzeni w listę tak długą jak jej ramię, wyruszyli do miasta na zakupy, skąd wrócili wykończeni i obładowani różnymi artykułami spożywczymi; oliwą z oliwek, pieczonymi migdałami, workami kostek lodu, pomarańczami, cytrynami i skrzynkami wina. A przez cały ten czas Maria i Penelopa

pracowały w kuchni, gdzie w całkowitej zgodzie, nie znając ani słowa wzajemnie ze swoich języków, gotowały szynki, piekły drób, przyrządzały paelle, biły pianę z białek, mieszały sosy, zaczynały chleb i kroily pomidory.

W końcu wszystko było gotowe. Goście mieli przyjść o dziewiątej; o ósmej Oliwia postanowiła wziąć prysznic i przebrać się. Zauważyła Kosmę, ogolonego i pachnącego cudownie. Siedział na łóżku i próbował włożyć złote spinki w mankiety swojej najlepszej koszuli.

— Maria tak nakrochmaliła tę cholerną koszulę, że nie mogę włożyć spinek do dziurek.

Usiadła obok i wzięła od niego koszulę i spinki. Patrzył na nią.

— A ty, w co się ubierzesz? — zapytał.

— Mam dwie piękne, nowe suknie, które kupiłam, żeby zrobić wrażenie na gościach Hotelu Los Pinos, ale żadnej z nich nie miałam jeszcze na sobie. Ty wszedłeś w moje życie i od tego momentu byłam zmuszona chodzić w łachmanach.

— Którą z nich włożysz?

— Są w szafie, możesz wybrać.

Wstał, otworzył szafę i zaczął w niej grzebać, grzechocząc wieszakami, aż w końcu znalazł sukienki. Jedna, krótka, z jaskraworóżowego szyfonu, z warstwami zwiewnych spódniczek. Druga — długa, szafirowoniebieska, bez wcięcia w pasie, spływająca w dół z głęboko podciętej stójki i cieniutkich jak sznurowadła ramiączek. Wybrał tę niebieską, wiedziała zresztą, że tak zrobi, pocałowała go, oddała mu koszulę i poszła wziąć prysznic. Kiedy wróciła z łazienki, już go nie było. Ubierała się powoli, z wielką starannością. Zrobiła sobie makijaż, uczesała i ułożyła włosy, włożyła koleczki i rozpyliła odrobinę perfum. W końcu zapięła delikatne sandały uniósłszy suknię nad głowę, włożyła ją na siebie. Ułożyła się na jej ciele, chłodna i lekka jak powietrze. Gdy się poruszyła, suknia poruszyła się razem z nią. Czuła się tak, jakby była ubrana w podmuch wiatru.

Ktoś zapukał do drzwi. Powiedziała:

— Proszę wejść.

To była Antonia.

— Oliwio, jak ci się wydaje, czy to będzie dobre? — Zatrzymała się, żeby się przypatrzeć Oliwii. — Och, wyglądasz tak ślicznie. Jaka przepiękna suknia.

— Dziękuję. A teraz zobaczymy, jak ty wyglądasz.

— Moja matka kupiła mi ją w Weybridge i w sklepie wyglądała fajnie, ale teraz nie jestem pewna. Maria mówi, że nie jest dość uroczyista.

Była to biała sukienka z marynarskim kołnierzem i plisowaną spódniczką. Brązowe nogi w białych sandałach miała gołe, a rudo-złote włosy zaplotła w dwa warkocze i związała z tyłu ogromną kokardą.

— Jest idealna. Wyglądasz w niej czysto i świeżo, jak... jak nie wiem co. Jak nowiuteńka, brązowa papierowa torba?

Antonia zachichotała.

— Tatusi mówi, że musisz już zejść, bo goście zaczynają przychodzić.

— Czy moja matka już tam jest?

— Tak, jest na tarasie. Wygląda fantastycznie. Błagam cię, chodź już...

Chwyciła Oliwię za rękę, wyciągnęła przez drzwi i tak, ręka w rękę, wśród światła, szły przez taras, torując sobie drogę na jego drugi koniec. Oliwia zobaczyła Penelopę pogrążoną już w rozmowie z jakimś mężczyzną i wiedziała, że miała rację, bo w jedwabnym kaftanie i odziedziczonych klejnotach jej matka wyglądała rzeczywiście jak cesarzowa.

Po tym wieczorze cały ich styl życia w Ca'n D'alt się zmienił. Po wielu tygodniach beczynnej samotności teraz wydawało się, że nie mają jednego dnia dla siebie samych. Zaproszenia przychodziły jedno za drugim. Na prośzone obiady, na pikniki, na „barbecue”¹¹, na wyprawy statkiem. Samochody przyjeżdżały i odjeżdżały, wokół basenu nigdy nie było mniej niż tuzin ludzi, spośród których sporą część stanowiła młodzież w wieku Antonii. Kosma w końcu załatwił lekcje windsurfingu i wszyscy razem jeździli na plażę, gdzie one się odbywały. Oliwia i Penelopa leżały na piasku, niby to przypatrując się wysiłkom Antonii, próbującej opanować ten wściekle trudny sport, ale naprawdę pogrążone w ulubionym zajęciu Penelopy, czyli obserwowaniu ludzi. A ponieważ na tej akurat plaży zarówno młodzi jak i starzy byli prawie całkiem nadzy, jej komentarze były przezabawne i obie spędzały większą część czasu zaśmiewając się i chichocząc.

Od czasu do czasu trafiła się jednak „leniwy” dzień. Wtedy nie ruszali się z domu, większość czasu spędzali w ogrodzie, a Penelopa, w starym słomkowym kapeluszu, ze swoją świeżą opalenizną i w zszarzałej, bawełnianej sukience, w której wyglądała jak rodowita mieszkanka Ibizy, brała parę sekatorów i atakowała wybujałe róże Kośmy. Ciągłe pływali, żeby się odświeżyć i zażyć ruchu, a gdy wieczorem robiło się chłodno, chadzali na krótkie spacerunki wśród pól, mijając domki i fermy, gdzie małe dzieci z gołymi pupcami bawiły się wesoło w kurzu razem z kozami i kurami, podczas gdy ich matki ścierały pranie ze sznurów albo nabierały wody ze studni.

Kiedy przyszedł czas odjazdu Penelopy, żadne z nich nie chciało, żeby wyjeżdżała. Kosma, z namowy Oliwii i swojej córki, oficjalnie zaprosił ją, by została na dłużej, ale, mimo że ją to wzruszyło, odmówiła.

¹¹ barbecue — przyjęcie w ogrodzie, w trakcie którego piecze się rozmaite mięsa na grillu, (przyj. tłum.)

— Po trzech dniach ryby i goście cuchną, a ja byłam z wami miesiąc.
— Ale ty nie jesteś ani rybą, ani gościem i nie cuchniesz ani trochę
— zapewniała Antonia.

— Bardzo jesteś miła, ale muszę jechać do domu. Nie było mnie tam i tak już za długo. Mój ogród nigdy mi tego nie przebaczy.

— Ale przyjedziesz jeszcze kiedyś, prawda? — upierała się Antonia.

Penelopa nie odpowiedziała. Zapadło kłopotliwe milczenie. Kosma podniósł wzrok i popatrzył w oczy Oliwii.

— Och, powiedz, że przyjedziesz — prosiła Antonia.

Penelopa uśmiechnęła się i pogładziła rękę dziewczynki.

— Może — powiedziała. — Kiedyś.

Wszyscy pojechali odprowadzić ją na lotnisko. Nawet już po pożegnaniu czekali jeszcze, żeby zobaczyć, jak jej samolot wystartuje. Kiedy już odleciał, a dźwięk silników cichnąc stopniowo w końcu zamarł w ogromnej nieskończoności nieba i nie było powodu zostawać dłużej, wrócili do samochodu i w milczeniu odjechali do domu.

— To już nie to samo, bez niej, prawda? — powiedziała Antonia ze smutkiem, kiedy znaleźli się na tarasie.

— Nic nie jest takie samo bez niej — odparła Oliwia.

*Podmore's Thatch,
Tempie Pudley,
Gloucester shire.*

17 sierpnia

Moi kochani Oliwio i Kosmo,

Jak mam Wam dziękować za Waszą wielką dobroć i za to, że daliście mi w podarunku tak niezapomniane wakacje? Nie było ani jednego dnia, w którym nie czułabym się otoczona serdecznością i tak dobrze, jak u siebie w domu. Wróciłam do domu z tylu wspomnieniami, że mam wrażenie, jakbym przywiozła wielki album ze zdjęciami. Ca'n D'alt to naprawdę magiczne miejsce, a Wasi przyjaciele uroczy i tak ogromnie gościnni, wyspa i nawet — a raczej powinnam powiedzieć — zwłaszcza plaża topless są fascynujące. Brak mi Was wszystkich, a szczególnie Antonii. Dawno nie spędziłam tyle czasu z tak czarującą, młodą osobą.

Mogłabym tak płeść w nieskończoność, ale myślę, że oboje wiecie, jaka Wam jestem wdzięczna. Przepraszam, że nie napisałam wcześniej, ale nie miałam ani chwili wolnej. Ogród zmienił się w kłębawisko chwastów, a w krzakach róż — same martwe główki. Może powinnam znaleźć sobie ogrodnika.

A propos ogrodników, w drodze do domu zatrzymałam się na parę dni w Londynie. Mieszkałam u Friedmannów i byłam na wspianym koncercie w Festival Hall. Wzięłam też kolczyki do Collingwood's do wyceny, tak jak mi radziłaś, i nie uwierzysz, ale ten pan powiedział, że są warte co najmniej cztery tysiące funtów. Kiedy „skończyłam mdleć”, zapytałam o możliwość ubezpieczenia ich, ale kwota, jaką wymienił, była tak ogromna, że po prostu zaniósłam je do banku, gdy tylko wróciłam do domu, i zostawiłam je tam. Biedactwa, chyba są skazane na spędzenie życia w banku. Zapewne, mogłabym je sprzedać, ale są takie śliczne. W każdym razie miło wiedzieć, że są i mogą zostać spieniężone, gdybym nagłe zdecydowała się na jakieś szaleństwo, jak na przykład, kupienie sobie traktorka do ścinania trawy. (To wyjaśnia aluzję do ogrodników.)

Nancy i George z dziećmi byli u mnie w niedzielę na lunchu. Przyszli, niby to usłyszeć o Ibizie, ale naprawdę, żeby opowiedzieć mi o nikczemnościach Croftwayów i o tym, że zaproszono ich na lunch do lorda pułkownika. Podałam im bażanta i świeży kalafior z ogrodu, i szarlotkę z dodatkiem „mincemeat”, ale Melania i Rupert narzekali i kłócili się, i nie zdobyli się nawet na najmniejszy wysiłek, żeby ukryć swoje znudzenie. Nancy jest beznadziejna, jeśli chodzi o ich wychowanie, a George zdaje się nawet nie zauważać ich okropnych manier. Byłam tak zirytowana na Nancy, że specjalnie, trochę jej na złość powiedziałam o kolczykach. Nie wykazywała żadnego zainteresowania — nigdy zresztą nie odwiedziła biednej cioci Ethel — dopóki nie doszłam do tych magicznych słów, cztery tysiące funtów. Wtedy natychmiast nastawiła uszu i wyglądała jak pies myśliwski, który poczuł zwierzynę. Zawsze było łatwo czytać w jej myślach i wiedziałam, że w jej wyobraźni rysowała się już wizja pierwszego balu Melanii, z następującym komentarzem, który ukazałby się w kronice towarzyskiej w „Harpers and Queen”: „... Melania Chamberlain, jedna z najpiękniejszych debiutantek w tym roku, miała na sobie suknię z białej koronki i sławne kolczyki swojej babki, z rubinów i pereł”. Może się myliłam.

Jestem okrutna i nielojalna wobec mojej córki, ale nie mogę sobie odmówić przyjemności podzielenia się z Tobą tym żartem.

Dziękuję raz jeszcze. To takie nieadekwatne, ale jakież są inne słowa dobitniej wyrażające wdzięczność?

Moc serdeczności, Penelopa.

Mijały miesiące. Boże Narodzenie nadeszło i minęło. Teraz był luty. Deszcz i burze unieruchomiły ich w domu, gdzie spędzali czas przy płonącom kominku. Bardzo szybko jednak napłynęły pierwsze powiewy wiosennego powietrza, zakwitły drzewa migdałowe i w południe robiło się już na tyle ciepło, że można było posiedzieć na zewnątrz.

" mincemeat — legumina z rodzyneków, jabłek, migdałów i skórki pomarańczowej, (przyp. tłum.)

Luty. Oliwia sądziła, że wie już prawie wszystko o Kosmie. Ale myliła się. Pewnego popołudnia, gdy szła pod górę przez ogród, niosąc koszyk jajek kurek liliputek, usłyszała zbliżający się samochód, który wkrótce potem stanął pod drzewem oliwkowym. Kiedy wchodziła po stopniach na taras, zobaczyła dziwnie wyglądającego mężczyznę, który zbliżał się ku niej. Było oczywiste, że jest to miejscowy, ale ubrany o wiele bardziej oficjalnie, niż to było tu w zwyczaju. Miał na sobie brązowy garnitur i krawat, na głowie słomkowy kapelusz, a w ręce niósł teczkę pełną papierów.

Uśmiechnęła się pytająco, a on unióśł kapelusz.

— Buenos dias⁰.

— Buenos dias.

— Señor Hamilton?

Kosma był w domu, pisał listy.

— Tak?

Przeszedł na angielski.

— Czy mógłbym się z nim zobaczyć? Proszę mu powiedzieć, że przyszedł Carlos Barcello. Ja poczekam.

Oliwia poszła znaleźć Kosmę i zastała go przy biurku w salonie.

— Masz gościa — powiedziała. — Nazywa się Carlos Barcello.

— Carlos? O Boże, zapomniałem, że miał przyjść. Odłożył pióro i wstał. — Muszę z nim porozmawiać.

Zostawił ją i zbiegł po schodach. Usłyszała jego powitanie: „Hombre!”

Weszła do kuchni i ostrożnie ułożyła jajka w żółtej porcelanowej misce. Potem zaciekawiona podeszła do okna i obserwowała Kosmę i pana Barcello, kimkolwiek on był, idących w kierunku basenu, pograżonych w rozmowie. Postali tam przez jakiś czas, a potem wrócili na taras, gdzie spędzili parę chwil zaglądając do studni. Usłyszała jeszcze, jak weszli do środka, ale doszli nie dalej jak do sypialni. Spuszczali wodę w klozecie. Zastanawiała się, czy pan Barcello był hydraulikiem.

Potem znowu wyszli na taras, trochę jeszcze pogadali, wreszcie pożegnali się i samochód pana Barcello odjechał. W chwilę później ze schodów dobiegł odgłos kroków Kośmy, który wszedł do salonu, dołożył polano do ognia i przypuszczalnie wrócił do pisania swoich listów.

Była prawie piąta. Zagotowała wodę, zaparzyła pełen czajnik herbaty i zaniósła mu.

— Kto to był? — zapytała, stawiając tacę.

Nie przerywał pisania.

— Hm?

— Kim był twój gość? Pan Barcello.

⁰ Buenos dias — hiszp. Dzień dobry, (przyp. tłum.)

Obrócił się na krzesło, uśmiechając się do niej z pewnym rozbawieniem.

— Dlaczego wydajesz się być taka zaintrygowana?

— Oczywiście, że jestem zaintrygowana. Nigdy go przedtem nie widziałam i nosi się dość elegancko jak na hydraulika.

— A kto powiedział, że on jest hydraulikiem?

— A nie jest?

— Boże drogi, oczywiście, że nie — powiedział Kosma. — To właściciel domu.

— Właściciel domu?

— Tak, właściciel tego domu.

Poczuła nagle, że jest jej zimno i ma dreszcze. Założyła ręce na piersi i patrzyła na niego, pragnęła, żeby w jakiś sposób wytłumaczył jej, że źle zrozumiała, że się myli.

— To znaczy, że ten dom nie jest twoją własnością?

— Nie.

— Mieszkasz w nim od dwudziestu pięciu lat i nie jesteś jego właścicielem?

— Powiedziałem ci. Nie.

Dla Oliwii było to niemal obrzydliwe. Ten dom, w którym mieszkali, pełen wspomnień wspólnie spędzonych chwil, pielęgnowany przez nich ogród, mały basen, widok. To wszystko nie było własnością Kośmy. Nigdy do niego nie należało. Należało do Carlosa Barcello.

— Dlaczego do tej pory go nie kupiłeś?

— On za nic w świecie nie chciał go sprzedać.

— Nigdy nie myślałeś o poszukaniu innego?

— Nie chciałem innego. — Wstał powoli, jakby pisanie listów go zmęczyło. Odsunął krzesło i poszedł wziąć sobie cygaro z pudełka leżącego na półce nad kominkiem. Odwrócony do niej plecami, mówił dalej: — A poza tym, gdy Antonia zaczęła chodzić do szkoły, a ja byłem zobowiązany do uiszczania opłat, to od tego momentu nie było mnie już na nic stać.

Przy palenisku stał dzbanek ze zwitkami papierów do zapalania ognia, pochylił się, żeby wziąć jeden, przyłożył go do płomienia i potem zapalił od niego cygaro.

„Nie było mnie już na nic stać”. Nigdy dotąd nie rozmawiali o pieniądzach. Był to temat, którego ani razu nie poruszyli. Przez te wszystkie miesiące wspólnego życia Oliwia, bez zastanawiania się nad tym, pokrywała część codziennych wydatków, płacąc, jednego dnia za pełną torbę zakupów w kasie supermarketu, innego dnia — za bak pełen benzyny. Czasami, jak to się zdarza, jemu akurat zabrakło gotówki i ona płaciła za drinki w barze, w czasie wspólnie spędzanego gdzieś wieczoru. Nie była przecież bez grosza i wcale nie uważała, że dlatego, iż mieszka

z Kosmą on ma ją utrzymywać. Różne pytania przychodziły jej teraz do głowy, ale bała się je zadać, bała się odpowiedzi, które mogła na nie usłyszeć.

Obserwowała go w milczeniu. Zapaliwszy cygaro, wrzucił zwitek w płomień i obrócił się ku niej, ramiona oparł o półkę nad kominkiem. Powiedział:

— Wydajesz się być bardzo zaszokowana.

— Jestem zaszokowana, Kosmo. Wprost nie mogę w to uwierzyć. To jest wbrew przekonaniu, które bardzo głęboko we mnie tkwi. Posiadanie domu na własność zawsze wydawało mi się najważniejszym z priorytetów. Daje poczucie bezpieczeństwa, w każdym sensie tego słowa. Dom na ulicy Oakley należał do mojej matki i dlatego, jako dzieci, zawsze czuliśmy się bezpiecznie. Nikt nam go nie mógł zabrać. Jedno z najwspanialszych uczuć na świecie, to wejść do domu z ulicy, zamknąć drzwi za sobą i wiedzieć, że się jest w domu.

Nie skomentował tego, tylko zapytał:

— Czy ty jesteś właścicielką swojego domu w Londynie?

— Jeszcze nie. Ale będę za dwa lata, kiedy wreszcie spłacę go spółce budowlanej.

— Prawdziwa kobieta biznesu z ciebie.

— Nie trzeba być kobietą biznesu, żeby sobie obliczyć, że to nieekonomiczne — płacić czynsz przez dwadzieście pięć lat i na koniec nic z tego nie mieć.

— Uważasz, że jestem idiotą.

— Nie, Kosmo. Nie uważam tak. Przypuszczam, że mogę zrozumieć, jak to się stało, ale to nie zmienia faktu, że nie mogę się tym nie przejmować.

— Martwisz się o mnie?

— Tak, o ciebie. Właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że żyłam z tobą cały ten czas, nie zastanawiając się nawet z czego żyjemy.

— A chcesz wiedzieć?

— Tylko jeśli ty chcesz mi powiedzieć.

— Procent z paru udziałów, które zostawił mi mój dziadek, i moja wojskowa emerytura.

• — I to wszystko?

— Tak. To jest wszystko.

— A jeśli tobie się coś stanie, to twoja emerytura umrze razem z tobą.

— Oczywiście. — Wyszczrzył do niej zęby, starając się wymusić uśmiech na jej napiętej, zagniewanej twarzy. — Ale nie urządź mi jeszcze pogrzebu, mam, bądź co bądź, dopiero pięćdziesiąt pięć lat.

— A Antonia?

— Nie mogę jej zostawić tego, czego nie mam. Po prostu mam nadzieję, że do czasu zanim ja odejdę, znajdzie sobie bogatego męża.

Do tej pory spierali się, ale jeszcze nie była to prawdziwa kłótnia. Jednakże, kiedy niefrasobliwym tonem rzucił ostatnie zdanie, Oliwia poczuła, jak się w niej wszystko zagotowało i straciła panowanie nad sobą.

— Kosma, nie mów takich rzeczy, nie mów w taki koszmarny, archaiczny, wiktoriański sposób, skazując Antonię na zależność od jakiegoś mężczyzny na resztę jej życia. Każda kobieta powinna posiadać coś własnego, co należy tylko do niej.

— Nie wiedziałem, że pieniądze są tak ważne dla ciebie.

— Nie są dla mnie ważne. Nigdy nie były. Są wtedy ważne, kiedy ich się nie ma. Dlatego że można za nie kupić wspaniałe rzeczy; nie szybkie samochody, futra, rejsy na Hawaje czy inne takie bzdury, ale prawdziwie wspaniałe rzeczy jak niezależność, wolność i godność. I wykształcenie. I czas.

— Czy po to pracowałaś całe życie? Żeby teraz móc zagrać na nosie aroganckiemu samcowi, wiktoriańskiemu pater familias^o?

— To niesprawiedliwe! Ujmujesz to tak, że wychodzę na najgorszy rodzaj fanatyczki z ugrupowania Wyzwolonych Kobiet, na jakąś paskudną, agresywną, afiszującą się lesbijkę.

Nie odpowiedział na ten wybuch, a ona poczuła się natychmiast zawstydzona, pragnąc, żeby te gniewne słowa można było cofnąć. Nigdy przedtem się nie kłócili. Jej nagła wściekłość minęła i odzyskała równowagę. Odpowiedziała na jego pytanie głosem umyślnie spokojnym.

— Tak. To jest jeden z powodów. Mówiłam ci, że mój ojciec był lekkoduchem. Nie miał na mnie żadnego wpływu. Ale zawsze byłam i jestem zdecydowana naśladować moją matkę, być silną i niezależną od nikogo. Poza tym, czuję potrzebę twórczej pracy i ten rodzaj dziennikarstwa, który uprawiam, zaspokaja tę potrzebę. Mam szczęście. Robię to, co kocham robić, i jeszcze mi za to płacą. Ale to nie wszystko. Jest we mnie jakiś wewnętrzny przymus, jakaś siła napędowa, która jest zbyt mocna, żeby móc ją zwalczyć. Potrzebuję pracy, która jest wyzwaniem, sytuacji konfliktowych, konieczności podejmowania decyzji, krótkich terminów. Potrzebuję napięcia, przyływu adrenaliny, to mnie podnieca.

— A czy jesteś dzięki temu szczęśliwa?

— Och, Kosmo. Szczęście. Nie ma Czarodziejskiego Ptaka Szczęścia ani Krainy po drugiej stronie Tęczy. Przypuszczam, że to sprowadza się do tego, że jak pracuję, to nigdy nie jestem całkowicie nieszczęśliwa, a kiedy nie pracuję, to nigdy nie jestem całkowicie szczęśliwa. Czy coś z tego rozumiesz?

— A więc tutaj nie byłaś całkowicie szczęśliwa?

— Te miesiące z tobą są inne, nie są podobne do niczego, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. To było jak sen, wykradziony z czasu, istniejący poza czasem. Nigdy nie przestanę być ci wdzięczna za to, że dałeś mi coś, czego nikt nie może mi odebrać. Dobry czas. Nie chcę przez to powiedzieć, że to tylko była dobra zabawa, to było coś ogromnie wartościowego. Ale nie można wiecznie żyć we śnie. Trzeba się obudzić. Wkrótce zacznę być niespokojna i przypuszczalnie poirytowana. Ty zaczniesz się zastanawiać, co się ze mną dzieje i ja również. Zrobię więc, małą, prywatną analizę tego problemu i okaże się, że już czas, abym wróciła do Londynu, pozbierała pozrywane nitki mojego życia i zabrała się do roboty.

— Kiedy to nastąpi?

— Może w przyszłym miesiącu. W marcu.

— Powiedziałaś rok. A to byłoby dopiero dziesięć miesięcy.

— Wiem, ale Antonia znowu przyjeżdża w kwietniu. Do tego czasu powinno mnie już tu nie być.

— Myślałem, że dobrze się ze sobą czujecie.

— Zgadza się, tak właśnie było, dlatego muszę wyjechać. Ona nie może się spodziewać, że ja tu zawsze będę. Nie mogę się stać dla niej ważna. Poza tym czeka na mnie mnóstwo spraw, z których wcale nie najmniejszą jest znalezienie pracy.

— Czy uda ci się wrócić do poprzedniego miejsca pracy?

— Jeśli nie, to znajdę coś lepszego.

— Jesteś bardzo pewna siebie.

— Muszę być.

Westchnął głęboko, a potem w geście zniecierpliwienia rzucił na pół wypalone cygaro do ognia. Powiedział:

— Czy jakbym cię poprosił, żebyś wyszła za mnie za mąż, to byś została?

Z poczuciem bezradności, którą słychać było w jej głosie, odparła cicho:

— Och, Kosmo.

— Widzisz, bardzo trudno mi jest wyobrazić sobie przyszłość bez ciebie.

— Jeślibym kiedykolwiek wyszła za mąż — odrzekła — to tylko za ciebie. Ale powiedziałam ci pierwszego dnia, kiedy przyjechałam do Ca'n D'alt, że nigdy nie chcę wyjść za mąż ani mieć dzieci. Kocham ludzi, fascynują mnie, ale potrzebuję mojej własnej, prywatnej przestrzeni. Bycia sobą. Muszę mieszkać sama.

— Kocham cię — powiedział.

Przeszła niewielką odległość, która ich dzieliła, objęła go rękami w pasie i oparła głowę na jego ramieniu. Poprzez sweter i koszulę czuła bicie serca.

— Zrobiłam herbatę i nie wypiliśmy jej, a teraz jest zimna — powiedziała.

— Wiem. — Czuła, jak jego ręka dotknęła jej włosów. — Czy wrócisz na Ibiza?

— Nie sądzę.

— Czy będziesz do mnie pisywać? Czy utrzymasz kontakt?

— Będę ci przysyłała kartki z rudzikami na święta Bożego Narodzenia.

Ujął jej głowę w obie dłonie i obrócił twarzą ku sobie. Wyraz jego bladych oczu był bezgranicznie smutny.

— Teraz już wiem — powiedział.

— Co wiesz?

— Że stracę cię na zawsze.

ROZDZIAŁ 4

NOEL

Było wpół do piątej w ten zimny, ciemny i mokry marcowy piątek, kiedy Oliwia groziła zwolnieniem swojej redaktor Działu Literackiego, a Nancy, otumaniona, kręciła się po luksusowym domu towarowym Harrods, ich brat, Noel, uprzątnął swoje biurko w bardzo nowoczesnie urządzonej biurze Agencji Reklamowej, Wenborn & Weinburg, i zbierał się do domu. Biuro zamykano dopiero o wpół do szóstej, ale Noel pracował w tej agencji już od pięciu lat i uważał, że wcześniejsze wyjście z pracy, od czasu do czasu, należy mu się. Jego koledzy, przyzwyczajeni już do obyczajów Noela, nie zareagowali na jego wyjście, a jeśliby mu się zdarzyło spotkać w drodze do windy kogoś ze zwierzchników, miał już gotową historyjkę: czuje się fatalnie, zapewne bierze go grypa i idzie do domu położyć się do łóżka.

Nie spotkał nikogo i wcale nie szedł do domu położyć się do łóżka, tylko miał jechać do Wiltshire na weekend, który zamierzał spędzić z jakimiś ludźmi, nazwiskiem Early, których nie znal. Camilla Early była szkolną koleżanką Amabel, a Amabel była aktualną dziewczyną Noela.

— Urządzają zabawę w sobotę, będzie też konna gonitwa, którą organizują miejscowi ludzie z towarzystwa — powiedziała mu Amabel. — Może być O.K.

— Czy mają centralne ogrzewanie? — ostrożnie zapytał Noel. O tej porze roku nie miał zamiaru spędzić nawet godziny, trzęsąc się przy skąpym ogniu na kominku.

— No wiesz! Oczywiście, że mają. Oni są ładowani. Przyjeżdżali po Camillę do szkoły ogromnym bentleyem.

To brzmiało obiecująco. Ten rodzaj miejsca, w którym można było spotkać użytecznych ludzi. Jadąc w dół windą, zostawił problemy tego dnia za sobą i pozwolił swoim myślom wyrwać się do przodu. Jeśli Amabel przyjdzie punktualnie, powinni móc wyjechać z Londynu przed wieczorno-piątkowym szczytem na drogach. Miał nadzieję, że ona

weźmie swój samochód i nim odbędą podróż. W jego jaguarze ostatnio było słychać niepokojące stukanie, a poza tym, jeśli pojedą jej samochodem, zawsze jest możliwość, że nie on będzie płacił za benzynę.

Wyszedszy z budynku zobaczył, że ulica Knightsbridge tonie w deszczu i pęka w szwach od samochodów. Zwykle Noel wracał do Chelsea autobusem albo nawet, w letnie wieczory, szedł na piechotę ulicą Sloane, ale teraz, gdy było tak okropnie zimno, odżałował wydatku i zatrzymał taksówkę. W połowie King's Road poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał, wysiadł, zapłacił i skręciwszy w swoją ulicę, przebył na nogach krótki odcinek dzielący go od Vernon Mansions.

Jego samochód stał zaparkowany na chodniku — jaguar typu E, cudownie męski, ale dziesięcioletni. Kupił go od faceta, który zbankrutował, więc dostał go za grosze, ale dopiero po przyjeździe do domu zorientował się, że na podwoziu jest mnóstwo rdzy, hamulce są niepewne, i że pochłania tyle benzyny, ile spragniony człowiek piwa. A teraz zaczęło się to stukanie. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na opony i kopnął jedną z nich. Miękkie. Jeśli jakimś nieszczęśliwym trafem będzie zmuszony użyć go dziś wieczór, będą musieli zatrzymać się na którejś stacji benzynowej i dopompować powietrze.

Zostawił samochód, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do budynku głównymi drzwiami. W środku czuć było stęchlizną i panował zaduch. Była mała winda, ale ponieważ mieszkał na pierwszym piętrze, więc poszedł schodami. Schody, jak również wąski korytarz, który prowadził do jego drzwi, wyłożone były dywanem. Otworzył drzwi kluczem, wszedł do środka, zamknął je za sobą. Był w domu. Dom.

To był żart, doprawdy.

Mieszkania te zostały zaprojektowane z myślą o biznesmenach, którzy mieli dość udręki codziennych dojazdów z głębi hrabstwa Surrey, Sussex czy Buckingham. Każde z nich miało maleńki przedpokój z szafą w ścianie, w której powinien wisieć garnitur do pracy. Dalej była nieduża łazienka, kuchnia rozmiarów kokpitu na małym jachcie i pokój. Z pokoju rozsuwane drzwi prowadziły do pomieszczenia przypominającego psią budę, w całości wypełnionego przez podwójne łóżko. Z wielkim trudem dało się je pościć, ale w lecie było tam tak ohydnie duszno, że w ciepłe dni Noel przeważnie spał na kanapie.

Umeblowanie należało do wyposażenia mieszkania i wliczone było w potwornie wygórowaną cenę czynszu. Wszystko utrzymane w kolorach beżu lub brązu i okropnie monotonne. Okno pokoju wychodziło na mur z cegły stanowiący część nowo wybudowanego supermarketu, wąską alejkę i rząd zamykanych na kłódki garaży. Słońce nigdy tu nie docierało i ściany pokoju, które kiedyś były kremowe, pociemniały i przybrały kolor starej margaryny.

Ale był to dobry adres. A dla Noela znaczyło to więcej niż wszystko inne. Była to część jego wizytówki, tak jak pokazowy samochód, koszule z firmy Harvie & Hudson i buty od Gucciego. Wszystkie te szczegóły były ogromnie ważne, ponieważ w młodości, z powodu okoliczności rodzinnych i sytuacji finansowej nie posłano go do prywatnej szkoły z internatem, tylko uczęszczał do dziennej szkoły w Londynie, został więc pozbawiony wszystkich tych łatwych znajomości i pożytecznych kontaktów, które automatycznie nawiązują uczniowie szkół takich jak Eaton, Harrow czy Wellington. Miał o to żal, który napełniał go goryczą, nawet w wieku prawie już trzydziestu lat.

Ukończenie szkoły i znalezienie pracy nie stanowiło problemu. Czekało już na niego stanowisko w rodzinnej firmie jego ojca, Keeling & Philips, od dawna już działającej, tradycyjnej spółce wydawniczej przy ulicy St. James. Tam właśnie pracował przez pięć lat, zanim przeniósł się do o wiele ciekawszego i znacznie bardziej popłatnego biznesu, jakim była reklama. Ale jego życie towarzyskie, to była całkiem inna sprawa i w tej dziedzinie mógł liczyć tylko na własne siły. Na szczęście nie było to trudne. Był wysoki, przystojny, zdolny do gier sportowych, a ponadto już jako chłopiec wypracował sobie szczerą i otwartą sposób bycia, którym rozbrajał i zjednywał sobie otoczenie. Wiedział, jak być czarującym dla starszych pań, a jak dyskretnie pełnym szacunku dla starszych panów, i z cierpliwością i przebiegłością dobrze wyszkolonego szpiega wkradł się, bez większych trudności, do wyższych sfer londyńskiego towarzystwa. Od lat był na listach, tak zwanych, odpowiednich młodych ludzi, sporządzanych z okazji balów dla debiutujących panien: w czasie sezonu prawie w ogóle nie spał, przychodząc do domu w świetle wschodzącego słońca, zdejmował frak i nakrochmaloną koszulę, brał prysznic i szedł do pracy. Weekendy spędzał w Henley lub w Cowes, czy też w Ascot. Zapraszano go na narty do Davos, na sezon wędkarski do Sutherland, a od czasu do czasu, jego przystojna twarz ukazywała się na błyszczących stronach *Harpers & Queen*, jako „bawiącego się z panią domu”.

Było to swego rodzaju osiągnięcie. Ale od pewnego czasu to już mu nie wystarczało. Miał dość. Wydawało się, że prowadzi to donikąd. Chciał czegoś więcej.

Mieszkanie przyciągało się wokół niego, obserwując go jak ponury członek rodziny, czekając, aż zacznie coś robić. Zaciągnął zasłony, zapalił lampę. Teraz mieszkanie wyglądało odrobinę lepiej. Wyciągnął *Timesa* z kieszeni płaszcza i rzucił na stół. Zdjął płaszcz i przerzucił go przez krzesło. Poszedł do kuchni, nalał sobie dużą whisky i wypełnił szklanke lodem. Wrócił do pokoju, usiadł na kanapie i rozłożył gazetę.

Najpierw przeczytał sprawozdania z giełdy i zobaczył, że Consolidated Cables poszły w górę o punkt. Potem spojrzął na wyniki wyścigów. Szkarłatny Kwiat skończył gonitwę czwarty, a więc pięć-

\

dziesiąt funtów poszło na marne. Przeczytał recenzje nowej sztuki i wreszcie — wiadomości z aukcji dzieł sztuki. Zobaczył, że obraz Millais'a poszedł u Christie's, za osiemset tysięcy funtów.

Osiemset tysięcy funtów.

Od samych tych słów robiło mu się prawie fizycznie niedobrze z frustracji i zawiści. Odłożył gazetę i napił się whisky. Pomyślał o obrazie *Roznosiciele wody* Lawrence'a Sterna, który miał być wystawiony na aukcji u Boothby's w przyszłym tygodniu. Tak jak jego siostra Nancy, nie miał żadnej opinii o dziele swojego dziadka, ale w przeciwieństwie do Nancy, nie przeoczył rosnącego zainteresowania pracami tych dawnych, wiktoriańskich malarzy. W ciągu ostatnich paru lat obserwował powolny wzrost cen w salonach aukcyjnych aż do momentu, kiedy osiągnęły one obecne, gigantyczne rozmiary, które wydawały mu się zupełnie nieproporcjonalne.

Szczytowy punkt na rynku, a on nie miał nic do sprzedania. Nikt z nich nie miał. W domu przy ulicy Oakley były trzy obrazy Sterna i te matka zabrała ze sobą do Gloucestershire, gdzie przytłaczały pokoje o niskich sufitach w Podmore's Thatch.

Ile były warte? Pięćset, sześćset tysięcy? Może jednak, wbrew nikłym szansom na powodzenie, powinien spróbować przekonać ją, by je sprzedała. Jeśli udałoby mu się ją przekonać, zyski musiałyby być oczywiście podzielone. Nancy, na przykład, na pewno upomniałaby się o swój udział, ale nawet wtedy zostałoby sporo dla Noela. Jego wyobraźnia ostrożnie rysowała leżące przed nim wspaniałe plany i możliwości. Porzuciłby swoją pracę biurową w firmie Wenborn & Weinburg i otworzyłby własny biznes. Nie reklama, ale gra na giełdzie, hazard na wielką skalę.

Wszystko czego potrzebował, to prestiżowy adres w West End, telefon, komputer i żelazne nerwy. Tego miał pod dostatkiem. Doić graczy stawiających przeciw bankom, równocześnie smarując wielkich inwestorów. Wreszcie dołączyłby do tych, którzy żyją pełną gębą. Poczuł, niemal seksualne, podniecenie. To mogło się wydarzyć. Brakowało mu tylko kapitału, żeby puścić interes w ruch.

Poszukiwacze muszelek. Może w następny weekend pojechałby odwiedzić matkę. Nie widział jej od wielu miesięcy, ale ostatnio była chora — Nancy, grobowym tonem, przekazała mu tę wiadomość przez telefon — to byłoby dobrym pretekstem do odwiedzin w Podmore's Thatch, a będąc tam mógłby delikatnie skierować rozmowę na temat obrazów. Jeśli ona zacznie szukać wymówek i jako argumentu użyje podatku od wzbogacenia, to on wspomni o swoim przyjacielu, Edwinie Mundym, który zajmuje się handlem antykami i dziełami sztuki, a ponadto jest ekspertem od wywożenia towaru do Europy i umieszczania pieniędzy w szwajcarskich bankach, gdzie są one bezpieczne przed nienasyconą

paszczą Biura Podatkowego. To Edwin pierwszy zasygnalizował Noelowi, że w Nowym Jorku i w Londynie płacą ogromne sumy za alegoryczne dzieła, tak modne na przełomie wieku. A raz nawet zaproponował Noelowi partnerstwo, ale Noel po namyśle odmówił. Wiedział, że Edwin, jak to się mówi, żegluje niebezpiecznie blisko wiatru, czyli bardzo ryzykuje, a Noel nie miał zamiaru spędzić nawet tygodnia w sławnym więzieniu Wormwood Scrubs.

Wszystko to było potwornie trudne. Westchnął głęboko, dokończył whisky i popatrzył na zegarek. Kwadrans po piątej. Amabel miała po niego przyjechać o wpół do szóstej. Podniósł się z kanapy, wziął walizkę z szafy w przedpokoju i szybko spakował się na weekend. Był w tym ekspertem — mając za sobą lata praktyki — i zajęło mu to nie więcej niż pięć minut. Potem rozebrał się i poszedł do łazienki wziąć prysznic i ogolić się. Woda była wrząca, co było jedną z dobrych stron mieszkania w tej herbowej klatce na króliki. Po prysznicu, rozgrzany i świeżo pachnący, poczuł się lepiej. Ubrał się w czyste, zwykłe ubranie — bawełniana koszula, kaszmirowy wełniany sweter, tweedowa marynarka; położył torbę z przyborami toaletowymi na walizce, zapiął zamek błyskawiczny i zwinął brudną bieliznę w węzełek, który położył w kącie kuchni, skąd miała go zabrać, miał nadzieję, pani przychodząca sprzątać.

Czasami nie zabierała bielizny. Czasem w ogóle nie przychodziła. Z głęboką nostalgią przypomniał sobie dawne dobre czasy, zanim jego matka, myśląc tylko o sobie, zdecydowała się sprzedać dom przy ulicy Oakley. Tam było mu jak u Pana Boga za piecem. Całkowita niezależność, własny klucz, własne pokoje na górnym piętrze, a równocześnie niezliczone zalety mieszkania w domu. Ciepła woda o każdej porze dnia, zawsze ogień na kominku, jedzenie w spiżarni, pełna piwnica, z której mógł brać wino, wspaniały ogród, pub po drugiej stronie ulicy, rzeka tuż tuż, pranie zrobione, łóżko posłane, koszule wyprasowane, a przy tym wszystkim nie musiał płacić za nic, nawet za jedną rolkę papieru toaletowego. Ponadto matka nigdy się nie wtrącała w jego sprawy i jeśli nawet słyszała skrzypienie podłogi i lekkie kroki damskich stóp mijających drzwi jej sypialni, to zachowywała się tak, jakby tego nie słyszała i nigdy nie robiła uwag. Wyobrażał sobie, że ta idylla będzie trwała wiecznie i że jeśli kiedykolwiek coś się zmieni, to dlatego że on przeprowadzi jakieś zmiany, więc kiedy matka po raz pierwszy powiedziała mu o swoim zamiarze sprzedania domu i przeprowadzenia się na wieś, poczuł się tak, jakby mu się ziemia spod stóp usunęła.

— A co będzie ze mną? Co, do diabła, ja mam zrobić?

— Noel, kochanie, masz teraz dwadzieścia trzy lata i mieszkałeś w tym domu całe życie. Może już czas, żebyś wyfrunął z gniazda. Jestem pewna, że uda ci się załatwić sobie inne mieszkanie i zacząć własne życie.

Własne życie. Płacenie czynszu, kupowanie sobie jedzenia, kupowanie sobie whisky, wydawanie pieniędzy na tak okropne rzeczy jak proszek Vim do czyszczenia łazienki i płacenie rachunków za pralnię. Aż do ostatniej chwili kurczowo trzymał się domu przy ulicy Oakley, mając nadzieję, wbrew wszystkiemu, że ona zmieni zdanie i ciągle jeszcze się nie wyprowadził, kiedy zajechała ciężarówka, żeby przewieźć jej rzeczy i meble do Gloucestershire. W końcu większość jego rzeczy musiała też tam pojechać, bo w nędznym małym mieszkaniu, które sobie wynajął, nie było miejsca na nagromadzone przez całe dotychczasowe życie klamoty i toboły, które teraz zostały ułożone w małym, zagraconym pokoju w Podmore's Thatch, znanym pod nie całkiem prawdziwą nazwą „pokoju Noela”.

Bywał tam jak najrzadziej, mając do matki żal, nie tylko za jej niezwykle zachowanie, ale także dlatego, że irytowało go, gdy widział ją taką zadowoloną, osiadłą na wsi bez niego. Uważał, że przynajmniej powinna okazać na tyle przyzwoitości, żeby pokazać, iż tęskni za dawnymi, dobrymi czasami, kiedy mieszkali razem, ale ona nie wyglądała na to, żeby go jej brakowało w najmniejszym nawet stopniu.

Było mu to trudno zrozumieć, bo on tęsknił za nią bardzo.

Te wzruszające rozpamiętywania zostały przerwane przybyciem Amabel, spóźnionej tylko piętnaście minut. Usłyszał dzwonek i kiedy poszedł otworzyć drzwi, stała tam, dźwigając swój bagaż, dwie pękate torby, a z jednej z nich wystawała para zielonych zabłoconych kaloszy.

— Hej.

— Jesteś spóźniona — powiedział.

— Wiem, przykro mi. — Weszła, położyła obie torby na ziemi, a on zamknął drzwi i pocałował ją.

— Co cię zatrzymało?

— Nie mogłam znaleźć taksówki i wszędzie są korki.

Taksówka. Nogi mu się ugięły.

— To znaczy, że nie wzięłaś samochodu?

— Złapałam gumę. Nie mam zapasowego koła, a zresztą nie umiałabym go sobie zmienić.

Należało się tego spodziewać. We wszystkich sprawach praktycznych była beznadziejna — jedna z najbardziej zdeorganizowanych kobiet, jakie spotkał. Miała dwadzieścia lat i była drobna jak dziecko, drobnokostista i tak chuda, że robiła wrażenie wymizerowanej. Jej skóra była tak blada, że aż prawie przezroczysta, miała duże, zielone jak winogrona oczy, w oprawie gęstych rzęs, długie, cienkie i proste włosy nosiła rozpuszczone, spadające na twarz. W ten zimny, mokry wieczór miała na sobie zaskakująco lekkie i nieodpowiednie na tę pogodę ubranie. Obcisłe dżinsy, podkoszulek i kusa dżinsowa kurtka. Buty cieniutkie, a kostki gołe. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądała jak cierpiąca na anoreksję pacjentka

z Bermondsey, choć w rzeczywistości była to wielce utytułowana osóbką z arystokracji, Amabel Remington-Luard, córka lorda Stockwooda, właściciela wielkich dóbr w Leicestershire. Co było zresztą pierwszym powodem, dla którego Noel uznał Amabel za niezwykle atrakcyjną osobę, w połączeniu z faktem, że jej wygląd, przypominający bezdomne dziecko, z jakiegoś tajemniczego powodu jemu akurat wydawał się ogromnie sexy.

A więc teraz będą musieli jechać do Wiltshire jaguarem. Ukrywając swoją irytację, powiedział:

— No, to lepiej ruszajmy od razu. Będziemy musieli się zatrzymać na jakiejś stacji po benzynę i żeby dopompować powietrza do opon.

— Ojejku, przepraszam.

— Znasz drogę?

— Gdzie? Do stacji benzynowej?

— Nie. Do tego miejsca gdzie jedziemy w Wiltshire?

— Tak. Oczywiście, że znam.

— Jak się nazywa ten dom?

— Charbourne. Byłam tam mnóstwo razy.

Stał patrząc na nią i na jej, tak zwany, багаż.

— Czy to wszystkie ubrania, jakie masz ze sobą?

— Wzięłam kalosze.

— Amabel, jest jeszcze zima, a jutro mamy jeździć od domu do domu.

Czy wzięłaś płaszcz?

— Nie. Zostawiłam go na wsi w zeszły weekend — wzruszyła kościstymi ramionami. — Ale, mogę coś pożyczyć. Camilla na pewno będzie miała stopy odpowiednich ciuchów.

— Nie rozumiesz o co chodzi. Najpierw musimy tam dojechać, a na ogrzewaniu w moim jaguarze nie można polegać. A ostatnią rzeczą na jaką mam ochotę, to musisz cię pielęgnować, gdy będziesz miała zapalenie płuc.

— Bardzo mi przykro.

Ale nie wyglądała na to, żeby było jej bardzo przykro. Opanowując złość, Noel obrócił się i otworzył rozsuwane drzwi szafy, pogrzebał w jej zatłoczonym wnętrzu i w końcu znalazł to, czego szukał, czyli bardzo stary męski płaszcz, z grubego, ciemnego tweedu, z aksamitnym kołnierzem i podszewką z nieco postrzępionych króliczych skórek.

— Masz — powiedział. — Możesz to pożyczyć.

— Ale fantastyczne! — Wydawała się być zachwycona ponad miarę. Nie jego troskliwością, tylko wyblakłym splendorem wiekowego odzienia. Uwielbiała stare ubrania i traciła sporo swojego czasu i pieniędzy, myszując po kramach na Portobello Road, kupując obwisłe wieczorowe suknie z lat trzydziestych i wyszywane paciorkami torebki. Teraz wzięła od niego ten dystyngowany wrak płaszcza i włożyła na siebie. Całkowicie ją otulał, ginęła w nim, ale przynajmniej nie włókł się po podłodze.

- Och, jaki cudowny płaszcz. Skąd go wytrzasnąłeś?
- Należał do mojego dziadka. Podwędziłem go z szafy mojej matki, kiedy sprzedawała swój londyński dom.
- Nie mogłabym go zatrzymać, co?
- Nie, nie mogłabyś. Ale możesz go nosić w ten weekend. Tamtejsze towarzystwo będzie się zapewne zastanawiać, skąd się w czymś takim przyplątałaś, ale to nie szkodzi, będą mieć temat do rozmowy.

Otuliła się mocniej płaszczem i zaśmiała, nie tyle z jego nikłego żartu, co z czystej zwierzęcej przyjemności noszenia podbitego futrem płaszcza, a że wyglądała przy tym jak niegrzeczne, łakome dziecko, nagle poczuł silne fizyczne pożądanie. W normalnych okolicznościach wzięłby ją od razu do łóżka, ale teraz nie było czasu. Będzie z tym musiał poczekać.

Podróż do Wiltshire była gorsza, niż się tego spodziewał. Ani na chwilę nie przestało padać, a na drodze wylotowej z Londynu wszystkie trzy pasma były zatłoczone i poruszali się w ślimaczym tempie. A gdy wjechali na autostradę, mogli rozwinąć już większą szybkość i na szczęście stukanie w silniku nie odezwało się, a ogrzewanie bardzo słabo, ale działało.

Przez jakiś czas rozmawiali, a potem Amabel zamilkła. Sądził, że przypuszczalnie zasnęła, tak jak to zwykle robiła przy takich okazjach, ale potem zauważył, że przesuwają się i wierci na siedzeniu, jakby próbując czegoś osiągnąć, i wiedział, że nie śpi.

- Co się dzieje? — zapytał.
- Coś trzaska, czy szurgocze — odparła.
- Trzaska? — przeraził się, wyobrażając sobie, jak jego jaguar wybucha i staje w płomieniach. Nawet trochę zwolnił.
- Tak. Trzeszczy, czy też raczej szeleści. Wiesz. Tak jak kawałek papieru.
- Gdzie?
- W płaszczu, w środku. — Znów sięgnęła głęboko do kieszeni.
- W kieszeni jest dziura. Myślę, że to coś utknęło pomiędzy materiałem a podszewką.

Z uczuciem wielkiej ulgi dodał znów gazu i jechał osiemdziesiątką¹.

- Myślałem już, że zaczyna się pożar — powiedział.
- Kiedyś znalazłam monetę, pół korony, w dolnej części podszewki w płaszczu mojej matki. Może to jest banknot pięciofuntowy.
- Raczej stary list albo papierek po czekoladzie. Zbadamy to, jak dojedziemy na miejsce.

W godzinę później dojechali do celu. Amabel, ku zdumieniu Noela, udało się nie zgubić drogi, dała mu wskazówki, w którym miejscu zjechać

z autostrady. Potem jechali przez małe pół wsie, pół miasteczka, wreszcie wąską, wijącą się drogą, pomiędzy ściemniałymi już polami, do miasteczka Charbourne. Nawet po ciemku i w deszczu, wydawało się malownicze, po obu stronach głównej ulicy ciągnęły się chodniki brukowane kocimi łbami i kryte słomą domki, a przed każdym był mały ogródek. Minęli pub i kościół, jadąc wzdłuż alei wysadzonej dębami, dotarli do imponującej bramy.

— To tu.

Skręcił i przejechał przez bramę obok stróżówki i kawałek drogą przez park. W światłach reflektorów zobaczył dom, kwadratowy, biały, w stylu georgiańskim, z miłą dla oka symetrią i typowymi dla tego okresu proporcjami. Światło sączyło się przez zasunięte firanki. Noel podjechał kolistym, wysypanym żwirem podjazdem i zatrzymał się przy frontowych drzwiach.

Wyłączył silnik i wysiedli z samochodu, wyciągnęli torby z bagażnika i weszli po schodach, podchodząc do zamkniętych drzwi. Amabel znalazła dzwonek z kutego żelaza, z przytwierdzoną do niego linką i pociągnęła za nią, po czym stwierdziła: Nie musimy czekać — i sama otworzyła drzwi.

Weszli do przedsionka wyłożonego kamiennymi płytami. Oszklone drzwi oddzielały go od tonącego w świetle holu. Noel zobaczył, że ściany są pokryte boazerią, a okazałe schody wiodą na górne piętra. Gdy oni wahali się, co zrobić, na drugim końcu holu otwarły się drzwi, w których ukazała się kobieta. Pośpiesznym krokiem przeszła przez hol, żeby im otworzyć. Była tęga, siwa i miała na sobie kwiecistą podomkę bez rękawów, służącą za fartuch, nałożoną na porządną, turkusowoniebieską suknię z courtelle⁰. Żona ogrodnika, zdecydował Noel, przyszła, żeby pomóc w czasie weekendu.

Otworzyła drzwi.

— Dobry wieczór. Proszę wejść. Pan Keeling i panna Remington-Luard? Tak, w porządku. Pani Early właśnie poszła się wykapać, a Camilla i pan pułkownik są w stajniach, ale pani Early powiedziała mi, że mam państwa oczekiwać i pokazać wam wasze pokoje. Czy to cały wasz bagaż? Co za okropny wieczór. Czy mieliście bardzo złą podróż? Ten deszcz jest okropny, prawda?

Teraz byli już w środku, w marmurowym kominku palił się ogień i w domu było cudownie ciepło. Żona ogrodnika zamknęła drzwi.

— Proszę iść za mną. Czy dacie sobie państwo radę z bagażem?

Dali sobie radę. Amabel, wciąż otulona w stary płaszcz, niosła jedną swoją torbę, tę z kaloszmami, a Noel niósł drugą i swoją walizkę. Tak

⁰ courtelle — angielska nazwa włókien syntetycznych, welnopodobnych, stosowanych do wyrobu dzianin, tkanin puszystych; odpowiednik polskiej anilany. (przyp. red.)

obładowani podążali za tęą kobietą, która prowadziła ich w górę po schodach.

— Pozostali goście Camilli przyjechali w porze podwieczorku, ale teraz są w swoich pokojach, przebierają się. Pani Early prosiła mnie, żeby powtórzyć państwu, że kolacja jest o ósmej, a jeśli zechcecie przyjść za piętnaście ósma, w bibliotece będą podawane drinki i wtedy możecie spotkać wszystkich...

Łukowate sklepienie nad zakrętem schodów prowadziło do korytarza biegnącego ku tyłowi domu. Na podłodze leżał czerwony bieżnik, na ścianach wisiały grafiki o tematyce sportowej, a Noel poczuł miły zapach, charakterystyczny dla dobrze utrzymanych posiadłości wiejskich, na który składa się woń świeżo wyprasowanej lniaanej bielizny pościelowej, pasty i lawendy.

— A oto twój pokój, kochanie. — Otworzyła drzwi i stanęła z boku, żeby przepuścić Amabel. — A pan, panie Keeling, ma swój pokój tutaj... a łazienka jest pomiędzy pokojami. Myślę, że macie wszystko, czego możecie potrzebować, ale gdyby było potrzebne coś jeszcze, to proszę nam dać znać.

— Dziękujemy pani bardzo.

— Powiem pani Early, że zejdziecie mniej więcej za kwadrans ósma.

Wyszła, z uroczym uśmiechem zamykając drzwi za sobą. Noel, zostawszy sam, postawił walizkę i stał, rozglądając się dookoła. Wszystkie te lata spędzania weekendów w obcych domach, wyostrzyły jego spostrzegawczość do tego stopnia, że potrafił, niemal w momencie przekroczenia progu drzwi wejściowych, oszacować możliwości, jakie kryły się w nadchodzących dniach i wystawić odpowiednią ocenę, według własnego, prywatnego systemu stopniowania.

Jedna gwiazdka to było dno, przeważnie oznaczało wilgotny, mały wiejski domek, a w nim: przeciagi, niewygodne łóżka, nieapetyczne jedzenie, a do picia wyłącznie piwo. Pozostali goście byli wtedy najczęściej niesympatycznymi krewnymi ze źle wychowanymi dziećmi. Noel, znalazłszy się w takiej sytuacji, bardzo często przypominał sobie nagle o niezwykle pilnej sprawie do załatwienia i wracał do Londynu wcześniej rano w niedzielę. Dwie gwiazdki przyznawał najczęściej domom w należącej do wojska strefie hrabstwa Surrey. Towarzystwo składało się tam przeważnie z atletycznie zbudowanych dziewcząt i młodych kadetów z Akademii Wojskowej w Sandhurst. Główną rozrywką był tenis. Grało się na porośniętych mchem kortach, a ukoronowaniem wieczoru była wizyta w miejscowym pubie. Trzy gwiazdki — to były rozległe, bezpretensjonalne posiadłości wiejskie, z mnóstwem psów, z końmi w stajniach, z tłącymi się grubymi polanami na kominkach, świetnym jedzeniem, i prawie zawsze, ze znakomitym winem. Cztery gwiazdki to był szczyt możliwości. Wchodziły tutaj w grę tylko domy ludzi niezmier-

nie bogatych. Do dyspozycji był majordomus, nawet rozpakowywać nie trzeba się było samemu, a w sypialni palił się ogień na kominku. Czterogwiazdkowe weekendy najczęściej wiązały się z balemi na cześć jakiejś debiutującej panny, który odbywał się w sąsiedztwie. W ogrodzie ustawiano duży namiot lub pawilon oświetlony żyrandolami; za nieprzyzwoitą wprost cenę sprowadzano z Londynu orkiestrę, która miała grać całą noc, a o szóstej rano szampan dalej lał się strumieniami.

Charbourne, zdecydował w jednej chwili, to były „trzy gwiazdki” i był z tego całkiem zadowolony. Rzecz jasna, nie dano mu najlepszego pokoju gościnnego, ale to, co miał do dyspozycji było, niemniej, całkowicie wystarczające. Staromodne, przytulne wnętrze, z solidnymi wiktoriańskimi meblami, ciężkimi, perkalowymi zasłonami i wszystkim, czego nocujący gość mógłby potrzebować. Zdjął płaszcz, rzucił go na łóżko i poszedł otworzyć drugie drzwi, które prowadziły do przestronnej, wyłożonej wykładziną dywanową łazienki, z ogromną wanną osadzoną w mahoniu. Po drugiej stronie łazienki były następne drzwi. Przeszedł przez łazienkę i spróbował ruszyć klamką, na wprost spodziewając się, że będą zamknięte, ale otworzyły się i znalazł się w pokoju Amabel. Zobaczył ją, wciąż owiniętą w podbity futerkiem płaszcz, wyciągającą na chybił trafił ubrania z torby, które upuszczała na podłogę u swoich stóp.

Spojrzała na niego i zobaczyła szeroki uśmiech na jego twarzy.

— Z czego się tak cieszysz? — spytała.

— Nasza gospodyni musi być rozsądną kobietą, o nowoczesnych poglądach.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Czasami dopiero po jakimś czasie kojarzyła w czym rzecz.

— Chodzi mi o to, że chociaż w żadnym wypadku nie dałaby nam wspólnego pokoju, to zostawiła nam całkowicie wolną rękę w sprawie tego, co zrobimy prywatnie, pod osłoną nocy.

— Wiesz — powiedziała Amabel — przypuszczalnie ma dużą praktykę. — Pogrzebała głęboko w jednej z toreb i wyciągnęła długą, czarną, pończochowatą suknię.

— A co to takiego? — zapytał.

— Ubiorę to na dzisiejszy wieczór.

— Czy nie jest zbyt pomięta?

Strzepnęła ją.

— To dżersej. Nie powinno się miąć. Czy myślisz, że jest gorąca woda?

— Musi być.

— To świetnie. Wykąpię się. Napuść mi wody do wanny, dobrze?

Wrócił do łazienki, włożył zatyczkę do wanny i odkręcił kurki. Potem wrócił do swojego pokoju i rozpakował się, wieszając garnitury w przestronnej szafie i układając koszule w szufladach. Na dnie walizki leżała

srebrna piersiówka. Słyszał, że Amabel chłapie się już w wodzie, pachnąca para snuła się jak dym przez otwarte drzwi. Z piersiówką w ręce wszedł do łazienki, wziął dwa kubki do mycia zębów i napełnił je do połowy whisky, a potem dolał zimnej wody z kranu, do pełna. Amabel postanowiła umyć sobie włosy. Ciągłe myła włosy, a one nigdy nie wyglądały inaczej. Dał jej jeden z kubków, stawiając go na stoliku obok wanny, żeby mogła po niego sięgnąć, kiedy już wypłucze sobie szampon z oczu. Potem poszedł do jej pokoju, podniósł płaszcz dziadka z podłogi i wziął go ze sobą do łazienki, gdzie usadowił się na pokrywie sedesu, postawił swojego drinka ostrożnie na mydelniczce w rogu umywalki i zabrał się do badania wnętrza płaszcza.

Para przerzedziła się. Amabel usiadła, odgarnęła długie mokre Kosmyki włosów do tyłu i otworzyła oczy. Zobaczyła drinka i sięgnęła po niego.

— Co robisz? — spytała.

— Szukam pięcioletniego banknotu.

Macając gruby materiał, zlokalizował szelest głęboko w obrąbku płaszcza. Włożył rękę do odpowiedniej kieszeni, znalazł dziurę, ale była za mała, żeby jego dłoń mogła przez nią przejść, więc musiał rozerwać ją trochę i dopiero wówczas spróbował jeszcze raz. Sięgając w dół pomiędzy tweed a odwrotną stronę wysuszonych, króliczych skórek, napotykał czubkami palców kłaczki i skrawki futerka. Zaciśnął zęby, wyobrażając sobie zdechłą mysz albo jeszcze coś innego, niewypowiedzianie ohydne, ale odsunął od siebie te nieprzyjemne myśli i wytrwale szperał dalej. Wreszcie w samym rogu obrąbka, jego palce znalazły to, czego szukał. Ostrożnie wyciągnął i oswobodził rękę. Płaszcz ześlizgnął mu się z kolan i spadł na podłogę, a on trzymał w ręce złożony kawałek cienkiego papieru, stary i pożółkły jak jakiś drogocenny pergamin.

— Co to jest? — chciała wiedzieć Amabel.

— Nie jest to pięcioletni banknot. Chyba list.

— Ojej, to wielkie rozczarowanie.

Delikatnie, żeby go nie podrzeć, rozłożył kawałek papieru. Zobaczył pochylone, staromodne pismo, litery nakreślone cienko zaostrzonym piórem.

*Duften Haß,
Lincolnshire.*

8 maja 1898

Drogi Stern,

Dziękuję Ci za list z Rapallo, przypuszczam, że teraz wróciłeś już do Paryża. Mam nadzieję, że w przyszłym miesiącu będę mógł udać się do

Francji, i wtedy, D.V., wstąpię do Twojego studia i oglądnę szkic do „Ogródu Terazzo”. Kiedy już wszystkie przygotowania do podróży będą poczynione, wyślę Ci telegram, informując Cię o dokładnej dacie i godzinie mojej wizyty.

*Szczerze Ci oddany
Ernest Wollaston.*

Czytał to w milczeniu. Kiedy skończył, siedział przez chwilę zagłębiony w myślach, a potem podniósł głowę i spojrzął na Amabel.

— To zadziwiające — powiedział.

— Co tam jest napisane?

— To naprawdę zdumiewające znaleźć coś takiego.

— Och, Noel, na litość boską, przeczytaj mi to.

Spełnił jej prośbę. Gdy umilkł, Amabel dalej nic nie rozumiała.

— Co w tym takiego zadziwiającego?

— To jest list do mojego dziadka.

— No i co z tego?

— Czy słyszałaś kiedyś o Lawrensie Sternie?

— Nie.

— Był malarzem. Bardzo wziętym malarzem wiktoriańskim.

— Nigdy o nim nie słyszałam. Nic dziwnego, że miał taki super płaszcz.

Noel zignorował tę mało trafną uwagę.

— List od Ernesta Wollaston.

— Czy on też był malarzem?

— Nie, ty ciemniaku, on nie był malarzem. Był przemysłowcem w epoce wiktoriańskiej. Sam dorobił się ogromnego majątku, był milionerem. Potem dostał tytuł szlachecki i nazywał się lord Dufton.

— A co z tym obrazem... jak on się nazywał?

— *Ogród Terazzo*. To było zamówienie. Wollaston zamówił ten obraz u Lawrence'a Sterna.

— O tym także nigdy nie słyszałam.

— Powinnaś była. Jest bardzo sławny. Od dziesięciu lat wisi w Metropolitan Museum w Nowym Jorku.

— Jak on wygląda?

Noel milczał przez chwilę, marszcząc czoło z wysiłku, próbując sobie przypomnieć obraz, który znał tylko z reprodukcji, widzianej w jakimś periodyku poświęconym sztuce.

— Taras. Włochy, oczywiście, dlatego pojechał do Rapallo. Grupa kobiet opierających się o balustradę, wszędzie pełno róż. Cyprisy, niebieskie niebo i chłopiec grający na harfie. Bardzo piękne, w swoim stylu. — Znowu spojrzął na list i wszystko poukładało mu się w głowie.

Teraz wiedział już dokładnie, jak to było. — Ernest Wollaston zdobył ogromną fortunę i dołączył do wyższych sfer. Przypuszczalnie zbudował sobie ten wielki, imponujący dom w Lincolnshire. Kupił do niego meble, zamówił dywany specjalnie dla niego tkane we Francji, a ponieważ nie miał odziedziczonych portretów ani obrazów Gainsborougha czy Zoffany'ego, żeby zawiesić sobie na ścianach, więc zamówił u najbardziej prestiżowego artysty tamtych czasów obraz dla siebie. W tamtej epoce to było trochę jak dziś poproszenie jakiegoś faceta, żeby zrobił film. Trzeba było omówić lokalizację, kostiumy, modele. A gdy to wszystko zostało już ustalone, artysta malował szkic olejny, „na brudno”, żeby klient mógł go sobie obejrzeć. Malarz miał przed sobą wiele miesięcy pracy i musiał się upewnić, że będzie to dokładnie to, czego życzył sobie jego klient, i że mu za to zapłaci.

— Rozumiem. — Położyła się w wannie i jeszcze raz się nad tym zastanowiła. — Ale dalej nie wiem, dlaczego tak się tym podekscytowałaś.

— Po prostu dlatego, że... Nigdy nie pomyślałem o tych olejnych szkicach. A jeśli pomyślałem, to zapomniałem o nich.

— Czy są aż tak ważne?

— Nie wiem. Mogą być.

— Ale ze mnie zdolna, mała dziewczynka, że znalazłam ten list szeleszczący w płaszczu.

— Tak. Zdolna z ciebie dziewczynka.

Po chwili złożył list, wsunął go do kieszeni, dokończył drinka i wstał. Popatrzył na zegarek.

— Jest wpół do ósmej — powiedziała. — Lepiej weź się do galopu.

— Gdzie idziesz?

— Przebrać się.

Zostawił ją wciąż jeszcze pławiącą się w wannie i wrócił do swojego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Potem bardzo cicho otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, dotarł do schodów i udał się na dół do holu. Gruby dywan stłumił odgłos jego kroków. Na ostatnim stopniu zatrzymał się i zawahał. Nie było nikogo, chociaż z tylnej części domu dochodziły miłe, domowe pobrzękiwania naczyń, razem ze wspaniałymi zapachami pysznego jedzenia. Te jednak w tym momencie nie zrobiły na nim wrażenia, bo wszystkie myśli skoncentrował na próbie odkrycia, gdzie mógłby się znajdować telefon.

Znalazł go prawie od razu, w holu, w szklanej kabinie pod schodami. Wszedł i zamknął drzwi, podniósł słuchawkę i wykręcił londyński numer. Na drugim końcu podniesiono słuchawkę prawie natychmiast.

— Słucham, tu Edwin Mundy.

— Edwin, tu mówi Noel Keeling.

— Noel, dawnośmy się nie widzieli — jego głos był matowy, z leciutkim śladem akcentu londyńskiego przedmieścia, którego nigdy nie udało mu się całkowicie zgubić. — Co u ciebie słychać?

— Wszystko w porządku, ale słuchaj, nie ma dużo czasu. Jestem na wsi. Chciałem cię tylko o coś spytać.

— O co tylko zechcesz, stary.

— Chodzi o Lawrence'a Sterna, rozumiesz?

— Tak.

— Nie orientujesz się, czy jakikolwiek z jego olejnych szkiców do dużych obrazów pojawił się na rynku aukcyjnym?

Nastąpiła przerwa. Potem Edwin powiedział ostrożnie:

— To interesujące pytanie. Dlaczego pytasz? Czy masz jakieś?

— Nie. W ogóle nie wiem, czy jakieś istnieją. Dlatego do ciebie dzwonię.

— Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś jego szkic pojawił się w którymkolwiek z ważnych salonów aukcyjnych. Ale oczywiście są małe agencje zajmujące się pośrednictwem sprzedaży w całym kraju.

— A ile by... — Noel odchrząknął i spróbował jeszcze raz. — Przy obecnym stanie rynku, za ile by taki szkic mógł pójść?

— Zależy, o który obraz chodzi. Jeśli to szkic do jednego z jego ważniejszych dzieł, to przypuszczam, że za cztery lub pięć tysięcy... ale nie bierz tego jako pewnik. To tylko domysł, w przybliżeniu, stary. Nie mogę powiedzieć na pewno, dopóki go nie zobaczę.

— Powiedziałem ci. Nic nie mam.

— To dlaczego dzwonisz?

— Właśnie sobie zdałem sprawę, że takie szkice mogą jeszcze istnieć, a my nawet o tym nie wiemy.

— Mówisz o domu twojej matki?

— Muszą przecież gdzieś być.

— Jeśli uda ci się je znaleźć — ciągnął dalej Edwin, tonem światowca — to mam nadzieję, że pozwolisz mi się nimi zająć, w twoim imieniu.

Ale Noel nie miał zamiaru dać się przygwoździć tak łatwo.

— Musiałyby najpierw wpaść w moje ręce — i zanim Edwin zdołał wtrącić choć jedno słowo więcej, szybko się pożegnał — muszę lecieć, Edwin. Podają kolację za pięć minut, a ja nawet nie jestem przebrany. Dziękuję za pomoc i przepraszam, że zwracałem ci głowę.

— Żaden kłopot, stary. Cieszę się, że mogłem się na coś przydać. Interesująca możliwość. Udanego polowania.

Odłożył słuchawkę. Powoli Noel zrobił to samo. Cztery do pięciu tysięcy funtów. Więcej niż się ośmielał przypuszczać. Odetchnął głęboko, otworzył drzwi kabiny i wyszedł do holu. Ciągle jeszcze nie było nikogo widać, a ponieważ nikt nie był świadkiem jego rozmowy telefonicznej, nie widział potrzeby zostawiania za nią pieniędzy.

ROZDZIAŁ 5

HANK

Kiedy wszystko już było gotowe do kolacji we dwoje z Hankiem Spotswoodem, Oliwia przypomniała sobie, że nie zadzwoniła do matki z propozycją przyjazdu do Gloucestershire. Chciała jej powiedzieć, że może spędzić z nią całą sobotę, żeby mogły porozmawiać swobodnie, bez pośpiechu. Biały telefon stał koło kanapy i właśnie siedziała wykręcając numer, kiedy usłyszała powoli podjeżdżającą taksówkę. Czuła instynktownie, że to Hank. Zawahała się. Jej matka, jak już raz zaczęła rozmowę telefoniczną, lubiła sobie pogadać, opowiedzieć, co u niej słyszać, spytać o nowiny u Oliwii, nie było mowy o tym, żeby tylko się umówić i odłożyć słuchawkę. Usłyszała, jak taksówka zatrzymała się przed jej bramką, przestała wykręcać numer i odłożyła słuchawkę. Zadzwoni później. Matka nigdy nie kładła się spać przed północą.

Wstała, wyrównała wgłębienie na poduszce i rozejrzała się dookoła, czy wszystko jest w idealnym porządku. Było. Przyćmione światła, drinki czekały gotowe, lód w specjalnym pojemniku, łagodna muzyka płynąca z aparatury stereo, ledwie słyszalna. Obróciła się do lustra wiszącego nad kominkiem, dotknęła włosów, poprawiła kołnierzyk swojej kremowej, satynowej bluzki od Chanel. W uszach miała perły i jej makijaż też był perłowy, delikatny, bardzo kobiecy, całkiem inny od trochę agresywnego, uderzającego makijażu, jaki nosiła na dzień. Czekwała. Usłyszała, jak bramka otwarła się i zamknęła. Kroki. Zadzwonił dzwonek.

Bez pośpiechu poszła otworzyć.

— Dobry wieczór.

Stał na progu w strugach deszczu. Przystojny mężczyzna, o wyrazistych, trochę surowych rysach twarzy, późna czterdziestka. W rękę trzymał, jak należało się tego spodziewać, bukiet czerwonych, wysokopiennych róż.

— Cześć.

— Wejdz, proszę. Co za okropny wieczór. Ale znalazłeś drogę.

— Oczywiście, bez problemu. — Wszedł do środka, zamknęła drzwi, a wtedy wręczył jej kwiaty.

— Drobnym upominek — powiedział i uśmiechnął się; zapomniała już, jak wygląda jego atrakcyjny uśmiech i równe, białe zęby amerykańskiego gwiazdora.

— Są śliczne. — Wzięła róże i automatycznie pochyliła głowę, żeby je powąchać, ale musiano w okrutny sposób przyspieszać ich wzrost, w jakiejś cieplarni, bo nie miały żadnego zapachu. — To bardzo miłe z twojej strony. Zdejmij płaszcz i nalej sobie drinka, a ja włożę je od razu do wody.

Zaniosła kwiaty do swojej małej kuchni, znalazła dzbanek, napełniła go wodą i włożyła róże tak jak stały, nie próbując ułożyć ich w żaden sposób. Ułożyły się same, jak to róże, w bardzo wdzięczny bukiet. Zaniosła dzbanek do salonu i ustawiła go, z pewnym namaszczeniem, na honorowym miejscu, na biurku z orzecha. Czerwone kwiaty na tle białej ściany odcinały się wyraźnie, jak krople krwi.

Zwróciła się do niego.

— To był bardzo sympatyczny gest. A teraz, czy wzięłeś już sobie drinka?

— Nalałem sobie szkockiej whisky. Mam nadzieję, że to w porządku. — Odstawił szklankę. — A co mogę przygotować dla ciebie?

— To samo. Z wodą i lodem.

Usiadła w kącie kanapy i podciągnęła nogi pod siebie. Obserwowała, jak radzi sobie z butelkami i szklankami. Kiedy przyniósł jej drinka, wyciągnęła rękę i odebrała go, a on wziął swoją szklankę i usiadł w fotelu naprzeciwko. Podniósł szklankę.

— Na zdrowie.

— Wszystkiego dobrego — powiedziała Oliwia.

Wypili. Zaczęli rozmawiać. Rozmowa toczyła się gładko. Podziwiał jej dom, interesował się obrazami, pytał o jej pracę i chciał wiedzieć, jak poznała państwa Ridgeway, u których spotkali się na przyjęciu, parę wieczorów temu. A potem, gdy go do tego taktownie zachęciła, zaczął opowiadać o sobie. Był właścicielem firmy produkującej dywany i wykładziny i przyjechał do Anglii na Międzynarodową Konferencję Teksylną. Zatrzymał się w hotelu Ritz. Pochodził z Nowego Jorku, ale przeprowadził się na południe do Dalton w stanie Georgia.

— To musi być całkowita zmiana stylu życia. Z Nowego Jorku do Georgii.

— Tak. — Spuścił wzrok, obracając szklankę w dłoniach. — Ale ta przeprowadzka przyszła w odpowiednim momencie. Ja i moja żona zdecydowaliśmy się właśnie na separację i przeprowadzka ułatwiła uporządkowanie wielu domowych spraw.

— Przykro mi.

- Nie musi ci być przykro. To się po prostu zdarza.
- Czy masz dzieci?
- Tak. Dwoje nastolatków. Chłopiec i dziewczynka.
- Widujesz ich?

— Oczywiście. Spędzają ze mną wakacje. Południe jest świetne dla dzieci. Mogą grać w tenisa okrągły rok, jeździć konno, pływać. Należymy do miejscowego klubu sportowo-towarzyskiego i tam mogą spotykać się z młodzieżą w ich wieku.

- To brzmi wspaniale. Idealny układ.

Nastąpiła przerwa, w czasie której Oliwia taktownie dała mu szansę na wyciągnięcie z portfela fotografii dzieci, czego, na szczęście, nie zrobił. Zaczynała lubić go coraz bardziej.

— Twoja szklanka jest pusta. Czy miałbyś ochotę na jeszcze jednego drinka? — zagadnęła.

Rozmawiali dalej. Przeszli do poważniejszych tematów: amerykańska sytuacja polityczna, problem równowagi ekonomicznej pomiędzy ich krajami. Jego opinie były zarówno liberalne, jak i praktyczne, i chociaż powiedział jej, że głosował na partię republikańską, wydawał się być głęboko poruszony problemami Trzeciego Świata. Po pewnym czasie zerknęła na zegarek i z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że była już dziewiąta.

- Myślę, że już chyba czas, żebyśmy coś zjedli — zaproponowała.

Wstał, zabrał ich puste szklanki i poszedł za nią do małej jadalni. Zapaliła delikatne, przyćmione światło i jego oczom ukazał się pięknie nakryty stół; lśniły kryształ i srebro, a na środku stołu pysznił się bukiet wczesnych lilii. Światło, choć delikatne, było jednak na tyle jasne, że on od razu zauważył tę jedną kobaltowo-niebieską ścianę, pokrytą od sufitu do podłogi oprawnymi w ramki fotografiami, i od razu zwrócił się ku nim.

- Hej, popatrz tylko na to wszystko. Co za świetny pomysł.

— Rodzinne fotografie zawsze wydawały mi się skomplikowanym problemem. Nigdy nie wiedziałam, gdzie je dać, więc rozwiązałam tę łamigłówkę po prostu tapetując nimi ścianę.

Weszła za ladę małej kuchni, żeby wziąć pasztet i ciemny chleb, podczas gdy on stał, obrócony do niej plecami i przyglądał się fotografiom, ze skupieniem i uwagą człowieka zwiedzającego wystawę w galerii.

- Kim jest ta ładna dziewczyna tutaj?
- To moja siostra Nancy.
- Jest śliczna.

— Była — zgodziła się Oliwia. — Ale zupełnie się zaniedbała. Bardzo przytyła i zrobiła się z niej pani w średnim wieku. Ale była śliczna jako dziewczyna. To zdjęcie zostało zrobione tuż przed jej ślubem.

- Gdzie teraz mieszka?

— W hrabstwie Gloucester. Ma dwoje okropnych dzieci i nudnego męża. A jej pomysł na dobrą zabawę, to brać udział w jakimś okropnym pikniku w posiadłościach ludzi „z dobrego towarzystwa”, wlokąc na smyczach dwa psy, labradory, i wykrzykiwać pozdrowienia do znajomych.

Odwrócił się do niej, ze zmarszczonymi brwiami i zakłopotaną twarzą. Oliwia roześmiała się.

— Zapewne zupełnie nie rozumiesz, o czym ja mówię, prawda?

— Nie. Ale chyba wyczuwam, o co chodzi. — Wrócił znowu do fotografii. — A kim jest ta przystojna pani?

— To moja matka.

— A czy masz fotografię ojca?

— Nie, mój ojciec nie żyje. Ale to jest mój brat Noel. Ten przystojny mężczyzna z niebieskimi oczami.

— Rzeczywiście jest przystojny. Czy ma żonę?

— Nie. Ma prawie trzydzieści lat, ale jeszcze się nie ożenił.

— Czy ma dziewczynę?

— Nie ma żadnej stałej. Nigdy nie miał stałej sympatii. Dotąd zawsze tak było, że przerażała go nawet myśl o poważnym zaangażowaniu się, o związaniu się z kimś na dłużej. Wiesz, ten rodzaj faceta, który odmawia zaproszenia na przyjęcie, bo a nuż zdarzy się jeszcze lepsze.

Ramiona Hanka trzęsły się ze śmiechu, był rozbawiony.

— Nie jesteś zbyt miła dla swojej rodziny.

— Wiem, ale co za sens trzymać się kurczowo sentymentalnych złudzeń, zwłaszcza gdy się już jest w moim wieku?

Wyszła zza lady i położyła pasztet, masło i ciemny chleb na stole. Znalazła zapałki i zapaliła świece.

— A to kto?

— Na którą fotografię patrzysz?

— Ten facet z dziewczynką.

— Aha — podeszła i stanęła obok niego. — To jest człowiek, który nazywa się Kosma Hamilton. A dziewczynka to jego córka, Antonia.

— Jakie ładne dziecko.

— Zrobiłam to zdjęcie pięć lat temu. Ona musi mieć teraz osiemnaście lat.

— Czy są spokrewnieni z tobą?

— Nie. To przyjaciel. To był mój przyjaciel. Kochanek, mówiąc dokładniej. Ma dom na Ibizie i pięć lat temu zrobiłam sobie przerwę w pracy... roczną przerwę i spędziłam ją tam, mieszkając z nim.

Hank uniósł brwi.

— Rok. To długi czas, żeby z kimś mieszkać.

— Minał bardzo szybko.

Poczuła jego wzrok na swojej twarzy.

— Czy bardzo go kochałaś?

— Tak. Bardziej niż jakąkolwiek inną osobę.

— Dlaczego nie wyszłaś za niego za męż... a może on już miał żonę?

— Nie, nie miał żony. Ale ja nie chciałam wyjść za niego, dlatego że nie chciałam w ogóle wychodzić za męż, za nikogo. Dalej nie chcę.

— Czy go widzisz?

— Nie. Pożegnałam go i na tym się wszystko skończyło.

— A jego córka, Antonia?

— Nie wiem, co się z nią stało.

— Czy pisujesz do niego?

Oliwia wzruszyła ramionami.

— Wysłałam mu kartkę świąteczną na Boże Narodzenie. Tak się umówiliśmy. Kartka na Boże Narodzenie **co roku**, z rudzikiem **na** kartce.

— To nie brzmi zbyt szczerze.

— Nie, rzeczywiście nie brzmi, prawda? Przypuszczalnie jest niemożliwe, żebyś to rozumiał. Ale ważne jest to, że Kosma rozumie.

— Uśmiechnęła się. — A teraz, skoro już skończyliśmy z moimi krewnymi i przyjaciółmi, może nalejesz wina i coś zjemy?

— Jutro jest sobota. Co zwykle robisz w soboty? — zapytał.

— Czasami wyjeżdżam na weekend. Czasami po prostu zostaję tutaj. Odpoczywam, odprężam się, zapraszam paru przyjaciół na drinka.

— Czy masz coś zaplanowane na jutro?

— Dlaczego pytasz?

— Nie muszę być jutro na żadnym zebraniu. Myślałam, że może weźmiemy samochód i pojedziemy gdzieś razem... mogłabyś mi pokazać tę sławną angielską wieś, o której tyle wciąż słyszę, a której nigdy nie mam czasu obejrzeć.

Kolacja była skończona, naczynia zostawione na potem, światło w jadalni zgaszone. Z kieliszkami brandy i z kawą wrócili znów przed kominek, tylko teraz oboje siedzieli na kanapie, na dwóch jej końcach, na wpół obróceniu do siebie. Ciemna głowa Oliwii opierała się na poduszce w kolorze indyjskiego różu, nogi miała podwinięte pod siebie. Jeden z lakierków spadł i leżał na dywanie u jej stóp.

— Jutro planowałam pojechać odwiedzić moją matkę w Gloucestershire — powiedziała.

— Czy ona się ciebie spodziewa?

— Nie, ale zamierzałam zadzwonić do niej przed pójściem spać.

— Czy musisz jechać?

Oliwia zastanowiła się. Miała zamiar pojechać. Zdecydowała się na to i wtedy od razu poczuła się lepiej. Ale teraz...

— Nie, nie muszę — odparła. — Ale ona była chora, a ja nie widziałam jej od bardzo dawna i powinnam pojechać.

— Ile by cię trzeba przekonywać, żebyś zmieniła zamiar?

Oliwia uśmiechnęła się. Pociągnęła znowu łyk mocnej, czarnej kawy i odstawiła filiżankę, bardzo uważnie, równo, na sam środek spodeczka.

— A jak byś mnie przekonywał? ~

— Mógłbym cię kusić obietnicą wspaniałego posiłku w czterogwiazdkowej restauracji. Albo przejażdżką po rzece. Albo spacerem przez pola. Czymkolwiek, co by ci sprawiło największą przyjemność.

Dumała chwilę nad tą nęcącą propozycją.

— Przypuszczam, że mogłabym tę wizytę odłożyć na przyszły tydzień. Ponieważ się mnie nie spodziewa, więc nie będzie rozczarowana.

— A więc pojedziesz ze mną.

Oliwia zdecydowała się.

— Tak, Pojadę.

— Czy powinienem wynająć samochód?

— Mam zupełnie dobre własne auto.

— Gdzie pojedziemy?

Wzruszyła ramionami i odstawiła filiżankę z kawą.

— Gdziekolwiek chcesz. Do New Forest albo w górę rzeki do Henley. Możemy pojechać do Kent i zwiedzić ogrody w Sissinghurst.

— Może zdecydujemy jutro?

— Jeśli tak wolisz.

— O której godzinie wyruszymy?

— Myślę, że wcześniej. Wtedy mamy szansę wyjechać z Londynu, zanim zacznie się najgorszy ruch.

— W takim razie, może powinienem już wrócić do hotelu.

— Tak — powiedziała Oliwia. — Może powinienes.

Ale żadne z nich się nie ruszyło. W milczeniu spoglądali na siebie przez całą długość kanapy. Było bardzo cicho. Muzyka umilkła, taśmy dawno się skończyły, a na zewnątrz deszcz spływał po szybach. Gdzieś na szosie przejechał samochód, a mały, stary zegar nad kominkiem Oliwii tykał, odmierzając mijające chwile. Była prawie pierwsza w nocy.

Przysunął się do niej, tak jak wiedziała, że zrobi, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie tak, żeby jej głowa nie opierała się już na różowej poduszce tylko na jego ciepłym, muskularnym ramieniu. Drugą ręką odsunął jej włosy z policzka i wziąwszy ją palcami pod brodę, uniośł twarz ku sobie, pochylił się i pocałował w usta. Jego ręka powędrowała od jej brody do szyi i w dół, ku wzniesieniu drobniutkich piersi. Wreszcie powiedział:

— Cały wieczór pragnąłem to zrobić.

— Myślę, że ja też pragnęłam, abyś to zrobił.

— Jeśli wyruszamy tak wcześnie rano, to czy nie jest to trochę głupie, żebym jechał do hotelu, po to tylko, żeby przespać się tam cztery godziny i znów wrócić tu do ciebie?

— Potwornie głupie.

— Czy mogę zostać?

— Czemu nie?

Odsunął się, wpatrując się w jej uniesioną ku niemu twarz, a jego oczy wyrażały dziwną mieszaninę pożądania i rozbawienia.

— Jest tylko jeden problem — powiedziała jej. — Nie mam maszynki do golenia ani szczoteczki do zębów.

— Mam obie te rzeczy. Nowiuteńkie. Na wypadek nagłych przypadków.

Zaczął się śmiać.

— Jesteś zdumiewającą kobietą.

— Tak słyszałam.

Jak zwykle Oliwia obudziła się wcześnie. O wpół do ósmej rano. Zasłony były zasunięte, ale nie całkowicie i przez szparę pomiędzy nimi napływało świeże i zimne powietrze. Było już jasno i niebo było czyste. Zapowiadał się ładny dzień.

Przez jakiś czas leżała, zasnana i odprężona, uśmiechała się z zadowoleniem, przypominając sobie zeszłą noc i z przyjemnością myśląc o nadchodzącym dniu. Obróciła głowę na poduszce i z głęboką satysfakcją przyglądała się śpiącemu mężczyźnie, który zajmował drugą połowę jej ogromnego łóżka. Jedną rękę miał podłożoną pod głowę, a druga leżała wyciągnięta na grubym, białym kocu. Była mocno opalona, jak całe jego zdrowe, młodzieńcze ciało, pokryte drobnymi, złotymi włoskami. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego przedramienia, tak jakby dotykała kawałka porcelany lub rzeźbę, dla samej tylko przyjemności czucia pod palcami kształtu i łuku wygięcia. Lekkie dotknięcie nie zbudziło go, gdy cofnęła rękę, spał dalej.

Jej senne rozleniwienie ustąpiło, a na jego miejscu pojawiła się charakterystyczna dla Oliwii, niespokojna energia. Była już całkowicie rozbudzona i rwała się do jakiegoś działania. Ostrożnie usiadła, odsunęła przykrycia i wstała z łóżka. Wsunęła stopy w pantofle i sięgnęła po swój bladorożowy, wełniany szlafrok, włożyła go i zawiązała pasek wokół wąskiej talii. Wyszła z pokoju, zamknęła drzwi i poszła na dół.

Odsunęła firanki i zobaczyła, że rzeczywiście dzień zapowiadał się śliczny. W nocy był lekki mróz, ale blade niebo było bezchmurne i pierwsze niskie promienie zimowego słońca oświetlały już opustoszałą ulicę. Otworzyła drzwi wejściowe i wzięła mleko, które zaniosła do kuchni i wstawiła do lodówki. Oczyściła talerze z resztek kolacji i ustawiła je

w maszynie do mycia naczyń, a potem nakryła stół do śniadania. Nastawiła kawę, znalazła boczek i jajka, pudełko płatków śniadaniowych. Wróciła do salonu, żeby wyprostować poduszki, zabrać szklanki i filiżanki, rozpalić ogień. Róże, które jej przyniósł, zaczęły się otwierać, płatki odchyłały się od ciasno zwiniętych, wewnętrznych pączków, jak błagalnie wzniesione dłonie. Zatrzymała się, żeby je powąchać, ale, biedactwa, ciągle nie miały żadnego zapachu. Nie szkodzi, powiedziała im, jesteście piękne. Będziecie się po prostu musiały zadowolić waszym wspaniałym wyglądem.

Stuknęła skrzynka na listy i poranna poczta spadła na wycieraczkę umieszczoną przed drzwiami wejściowymi. Właśnie miała pójść ją zabrać, przeszła już przez pół pokoju, kiedy zadzwonił telefon, więc rzuciła się, żeby podnieść słuchawkę, nie chcąc, by ostry dźwięk dzwonka obudził ciągle jeszcze śpiącego na górze mężczyznę.

— Halo!

W lustrze nad kominkiem zobaczyła swoje odbicie, w porannej bladeści, bez makijażu, z ciemnymi włosami opadającymi na jeden policzek. Odsunęła je, a potem ponieważ nie było odpowiedzi, powtórzyła znowu:

— Halo.

Słysząc było buczenie, potem trzask, wreszcie odezwał się wyraźny kobiecy głos:

— Oliwia?

— Tak.

— Oliwio, tu Antonia.

— Antonia?

— Antonia Hamilton. Antonia Kośmy.

— Antonia! — Oliwia osunęła się na kanapę i usiadła w jej kącie, podwijając nogi pod siebie i przyciskając słuchawkę dokładniej do ucha.

— Skąd dzwonisz?

— Z Ibizy.

— Słysząc tak, jakbyś była za ścianą.

— Wiem. Dobre połączenie, na szczęście.

Coś w tym młodym głosie zwróciło uwagę Oliwii. Poczuła, jak uśmiech znika z jej twarzy, palce zacisnęły się na gładkiej, białej powierzchni słuchawki.

— Dlaczego dzwonisz?

— Oliwio. Musiałam ci dać znać. Niestety, to smutna wiadomość. Mój ojciec nie żyje.

Nie żyje. Kosma nie żyje. Nie żyje. Bezwiednie powtarzała szeptem te słowa.

— Umarł późnym wieczorem w czwartek. W szpitalu... pogrzeb był wczoraj.

— Ale... — Kosma umarł. To było nie do uwierzenia. — Ale jak? Dlaczego?

— Ja... Ja nie mogę ci powiedzieć, nie przez telefon.

Antonia bez Kośmy na Ibizie.

— Od kogo dzwonisz?

— Z baru Pedra.

— Gdzie mieszkasz?

— W Ca'n D'alt.

— Czy jesteś tam sama?

— Nie. Tomas i Maria zamieszkali ze mną, żeby dotrzymać mi towarzystwa. Byli wspaniali.

— Ale...

— Oliwio, muszę przyjechać do Londynu. Nie mogę tu zostać, bo dom do mnie nie należy i... z tysiąca innych powodów. W każdym razie muszę znaleźć sobie jakąś pracę. Jakbym przyjechała... czy mogłabym się zatrzymać u ciebie na parę dni, tylko do czasu, aż coś znajdę? Nie prosiłabym cię o to, ale naprawdę nie mam nikogo innego.

— A... a co z twoją matką?

— Ona wyszła za mąż. Mieszka teraz w północnej części kraju, niedaleko Huddersfield. Ja nie chcę tam jechać... później wytłumaczę ci dlaczego. To tylko na parę dni, do czasu, aż coś sobie zorganizuję.

— Kiedy chcesz przyjechać?

— W przyszłym tygodniu. Może we wtorek, jeśli będą wolne miejsca w samolocie. Oliwio, to naprawdę tylko na parę dni, aż sobie coś załatwię.

Jej błagalny głos brzmiał bardzo młodo, tak jakby była jeszcze dzieckiem, które łatwo zranić. Nagle Oliwia przypomniała sobie Antonię taką, jaką była, gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, biegnącą przez wypolerowaną podłogę lotniska na Ibizie, żeby rzucić się w ramiona Kośmy. Poczowała obrzydzenie do siebie samej. To Antonia, ty samolubna krowo, zwraca się do ciebie o pomoc. To Antonia Kośmy, a Kosma nie żyje i fakt, że ona zwraca się do ciebie, jest największym komplementem, jaki może ci złożyć. Raz w życiu przestań myśleć tylko o sobie.

Tak, jakby Antonia mogła ją zobaczyć, uśmiechnęła się pocieszająco, zachęcająco. Głosem, któremu nadała ciepłe i silne brzmienie, powiedziała:

— Oczywiście, że możesz przyjechać. Daj mi znać, kiedy przylatujesz i wyjadę po ciebie na lotnisko, na Heathrow. Wtedy wszystko mi opowiesz.

— Och, jesteś święta. Zobaczysz, że nie sprawię ci kłopotu.

— Naturalnie, że nie sprawisz. — Jej praktyczny, dobrze wyćwiczony umysł zaprzętały już inne ewentualne trudności.

— Czy masz dość pieniędzy?

— Och! — Antonia wydawała się zaskoczona, jakby w ogóle nie pomyślała jeszcze o takich szczegółach i przypuszczalnie rzeczywiście tego nie zrobiła.

— Tak, chyba tak.

— Wystarczy ci na bilet?

— Tak, myślę, że tak. Akurat.

— A więc bądź ze mną w kontakcie. Będę się ciebie spodziewać.

— Tak bardzo ci dziękuję. I... przykro mi, że musiałam ci powiedzieć o tatusiu. 4

— Mnie też jest przykro. — W tym momencie, jak nigdy w życiu, zabrakło jej słów. Zamknęła oczy, jakby chcąc odgrodzić się od bólu spowodowanego utratą, bólu, który jeszcze w pełni do niej nie dotarł.

— To był ktoś bardzo wyjątkowy.

— Tak. — Antonia płakała. Słyszała, niemal widziała te łzy. — Tak. Do widzenia, Oliwio.

— Do widzenia.

Antonia odłożyła słuchawkę. Oliwia zrobiła to samo. Poczuła, że jest jej nagle niesamowicie zimno. Zwinięta w kącie kanapy, otuliła się ramionami, wpatrując się w swój czysty, błyszczący salon, w którym nic się nie zmieniło, nic nie zostało przestawione, a jednak wszystko było inne. Bo Kosma odszedł. Kosma nie żył. Do końca swego życia Oliwia będzie musiała żyć w świecie, w którym nie ma Kośmy. Pomyślała o tym ciepłym wieczorze przed barem Pedra, gdzie siedzieli słuchając chłopca grającego na gitarze koncert Rodriga, wypełniającego noc muzyką Hiszpanii. Dlaczego akurat ta sytuacja przyszła jej na myśl, kiedy miała do wyboru tyle wspomnień z miesiący wspólnie spędzonych z Kosmą?

Odgłos kroków na schodach sprawił, że podniosła głowę. Zobaczyła Hanka Spotswooda schodzącego ku niej. Miał na sobie jej biały, frotowy szlafrok, ale nie wyglądał w nim śmiesznie, bo to i tak był męski szlafrok i nieźle na nim leżał. To dobrze, że nie wyglądał śmiesznie. Nie zniosłaby go, gdyby w tej właśnie chwili, pojawił się wyglądając śmiesznie. Choć właściwie było to idiotyczne odczucie, bo cóż to miało za znaczenie, jak on wyglądał, kiedy Kosma nie żył?

Patrzyła na niego nic nie mówiąc. Powiedziała:

— Usłyszałem telefon.

— Miałam nadzieję, że cię nie obudzi.

Nie wiedziała, że jej twarz była koloru popiołu, a oczy wyglądały jak dwie dziury w masce.

— Co się stało? — zapytał.

Miał odrobinę zarostu i zmierzwione włosy. Pomyślała o wczorajszej nocy i stwierdziła, że dobrze się stało, iż to był on.

— Kosma umarł. Człowiek, o którym mówiłam ci wczoraj wieczorem. Ten mężczyzna z Ibizy.

— O Boże!

W jednej chwili zszedł ze schodów, przeszedł przez pokój, usiadł obok niej i bez słowa otoczył ją ramionami, jakby była zranionym dzieckiem, potrzebującym pocieszenia. Z twarzą wtuloną w szorstki, frotowy materiał własnego szlafroka pragnęła gorąco, żeby mogła zapłakać. Pragnęła, żeby popłynęły łzy, żeby żal mógł z niej wypłynąć w jakiś fizyczny sposób, taki, by przyniósł ulgę w bólu i nieszczęściu, które trzymały ją jak w uścisku obręczy. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Nigdy nie umiała płakać.

— Kto dzwonił?

— Córka Kośmy, Antonia. Biedne dziecko. On umarł w czwartek wieczór. Pogrzeb był wczoraj. Nic więcej nie wiem.

— W jakim on był wieku?

— Przypuszczam... że około sześćdziesiątki. Jednak był taki młody.

— Ale co się stało?

— Nie wiem. Ona nie chciała o tym mówić przez telefon. Mówiła tylko, że umarł w szpitalu. Ona... ona chce przyjechać do Londynu. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu. Zostanie ze mną przez parę dni.

Nic na to nie powiedział, ale jego ramiona zacisnęły się wokół niej, jego dłoń gładka ją delikatnie po ramieniu, jakby była jakimś zdenerwowanym zwierzątkiem. Po pewnym czasie poczuła się trochę lepiej. Przestało jej być zimno. Uwolniła swoje ręce i, opierając je na jego klatce piersiowej, odsunęła się od niego. Była już znowu sobą, opanowaną, silną kobietą.

— Przepraszam — powiedziała. — Zwykle nie reaguję tak emocjonalnie.

— Czy mógłbym coś zrobić?

— Nikt nie może nic zrobić. Wszystko skończone.

— A co z dzisiejszym dniem? Czy wolałabyś, żebyśmy odwołali dzisiejszą wycieczkę? Po prostu zniknę, usunę ci się z drogi, jeśli chcesz. Może chcesz być sama?

— Nie. Nie chcę być sama. Ostatnia rzecz jaką chcę, to być sama.

Opanowała swoje galopujące myśli, uporządkowała je i wiedziała już, że przede wszystkim musi dać znać swojej matce, że Kosma nie żyje. Powiedziała:

— Ale niestety ani Sissinghurst, ani Henley nie wchodzi w rachubę. Będę jednak musiała pojechać do Gloucestershire, zobaczyć się z moją matką. Mówiłam ci, że była chora, ale nie powiedziałam, że miała mały atak serca. A ona tak bardzo lubiła Kosmę. Kiedy mieszkaliśmy na Ibizie, przyjechała do nas i przez jakiś czas była z nami. To był taki szczęśliwy czas. Jeden z najszczęśliwszych w moim życiu. Więc muszę jej powiedzieć, że Kosma umarł i chcę tam być z nią, kiedy to powiem — popatrzyła na Hankę. — Czy mógłbyś pojechać ze mną? Niestety

trzeba jechać dość długo, ale możemy **tam** zjeść lunch i spędzimy z nią spokojne popołudnie.

— Chętnie pojedę. Zawiozę cię.

Był jak opoka. Udało jej się uśmiechnąć, uśmiechem pełnym serdecznej wdzięczności.

— To teraz zadzwonię do niej. — Sięgnęła po słuchawkę. — Powiem jej, żeby się nas spodziewała na lunch.

— A nie moglibyśmy jej zaprosić do restauracji?

Oliwia wykręciła numer.

— Nie znasz mojej matki.

Przyjął to do wiadomości, wstał.

— Czuję zapach kawy — stwierdził. — Co byś powiedziała na to, żebym ja przygotował śniadanie?

Wyjechali z domu i byli już w drodze przed dziewiątą rano. Oliwia na siedzeniu pasażera w swoim własnym, ciemnozielonym alfasud, a Hank przy kierownicy. Na początku jechał z nadmierną wręcz ostrożnością, bojąc się, że zapomni, iż jest po lewej stronie drogi, ale po zatankowaniu benzyny, po pewnym czasie nabrał więcej pewności siebie i dodał gazu, a kiedy znaleźli się na autostradzie prowadzącej w kierunku Oxfordu, jechali już równą siedemdziesiątką.

Nie rozmawiali. On skupił całą swoją uwagę na ruchu otaczających go pojazdów i na drodze, która zakręcała przed nimi wielkim łukiem. Ona była zadowolona, że mogła milczeć. Siedziała z brodą zanurzoną głęboko w futrzanym kołnierzu płaszcza, a jej oczy patrzyły, nie widząc, na monotonny krajobraz, migający za oknami.

Ale gdy przejechali już Oxford, zrobiło się przyjemniej. Był cudowny iskrzący się zimowy dzień i w miarę jak nisko stojące słońce wznosiło się na zimowym niebie, szron na zaoranej ziemi i na trawie topniał, a koronkowe, czarne drzewa rzucały długie cienie na drogę i na pola. Rolnicy zaczęli już orkę i stada mew towarzyszyły traktorom, przysiadając na skibach świeżo rozkopanej czarnej ziemi. Przejeżdżali przez małe miasteczka, w których panował ożywiony ruch sobotniego przedpołudnia. Wzdłuż wąskich uliczek stały zaparkowane samochody rodzin przybyłych na weekendowe zakupy z odleglejszych wiejskich okolic, a chodniki zatłoczone były matkami z dziećmi, wózkami i straganami, na których piętrzyły się tandetne ubrania, plastikowe zabawki, kwiaty i świeże jarzyny, i owoce, a nad straganami fruwały przywiązane do nich baloniki. Trochę dalej, przed wiejskim pubem, natknęli się na złot myśliwych. Na kocich łbach podwórza stukały końskie podkowy, w powietrzu unosiło się ujadanie i skowyt chartów oraz dźwięki myśliwskich rogów wraz z podniesionymi głosami myśliwych, którzy prezentowali się wspaniale w swoich różowych frakach. Hank nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście. „Popatrz tylko na to!”, powtarzał wciąż i chciał

zatrzymać samochód, żeby się przypatrzeć, ale młody policjant zdecydowanie zmusił go do dalszej jazdy. Ruszył, acz niechętnie, oglądając się przez ramię, próbując dostrzec jeszcze choć fragment tej tradycyjnej angielskiej sceny.

— To było jak wyjęte z filmu, z tym starym zajazdem i podwórzem brukowanym kocimi łbami, żałuję, że nie miałem aparatu.

Oliwia cieszyła się jego radością.

— Nie możesz powiedzieć, że nie dostarczyłam ci obiecanych atrakcji, mogliśmy przejechać pół kraju i nie trafić nigdzie na coś równie udanego.

— To mój szczęśliwy dzień.

Przed nimi teraz leżał rejon Cotswold. Drogi stały się węższe i wiły się przez podmokłe łąki i małe kamienne mostki. Domy i zabudowania gospodarskie były murowane z kamienia Cotswold, koloru miodu. Stały w słońcu, złote, otoczone sadami śliw i jabłoni a przed każdym — ogródek, który w lecie byłby feerią kolorów.

— Teraz rozumiem, dlaczego twoja matka zdecydowała się tu zamieszkać. Nigdzie nie widziałem jeszcze takiego krajobrazu i wszędzie jest tak zielono.

— Może to dziwne, ale ona nie przyjechała tu dla pięknego krajobrazu. Kiedy sprzedała dom w Londynie, miała zamiar przenieść się do Kornwalii. Mieszkała tam jako dziecko i pragnęła tam wrócić. Ale moja siostra Nancy uważała, że to za daleko, za daleko od wszystkich jej dzieci. Więc znalazła jej ten dom. W końcu, na dłuższą metę, okazało się to dobrym rozwiązaniem, ale wtedy byłam zła na Nancy za wtrącanie się.

— Czy twoja matka mieszka sama?

— Tak. Ale teraz mamy następne zmartwienie. Lekarze uważają, że powinna z nią mieszkać jakaś osoba towarzysząca, gospoia, a ja wiem, że ona by tego nie zniosła. Jest ogromnie niezależna i przecież wcale nie taka stara. Ma dopiero sześćdziesiąt cztery lata. Wydaje mi się, że to obraza dla jej inteligencji, żeby już teraz zacząć ją traktować jak zdzieciniałą staruszkę. Jest ciągle bardzo aktywna. Gotuje, zajmuje się ogrodem, przyjmuje gości, mnóstwo czyta, słucha muzyki i prowadzi długie rozmowy telefoniczne ze znajomymi. Czasami wyjeżdża za granicę, odwiedzić starych przyjaciół. Przeważnie do Francji. Jej ojciec był malarzem i ona spędziła sporą część dzieciństwa w Paryżu. — Odwróciła głowę, żeby uśmiechnąć się do Hanka. — Ale dlaczego właściwie opowiadam ci o mojej matce? Przecież bardzo niedługo będziesz sam mógł się przekonać, jaka ona jest.

— Czy podobało jej się na Ibizie?

— Była zachwycona. Dom Kośmy to była stara ferma, typowa dla budownictwa na Ibizie, położona w głębi wyspy, w górach. Bardzo

rustykalna i bardzo w stylu mojej matki. Kiedy miała wolną chwilę, znikwała w ogrodzie z parą sekatorów, tak jakby była u siebie w domu.

— Czy zna Antonię?

— Tak. Ona i Antonia były tam w tym samym czasie. Bardzo się zaprzyjaźniły. Tak, jakby bariera różnicy wieku nie istniała. Moja matka potrafi się wspaniale dogadać z młodymi ludźmi, o wiele lepiej, niż ja bym kiedykolwiek potrafiła.

Umilkła na chwilę, a potem dodała w nagłym przypływie szczerości:

— Nawet teraz nie jestem sobie pewna. To znaczy, chcę pomóc dziecku Kośmy, ale wcale nie cieszę się na to, że ktoś będzie ze mną mieszkał, nawet na bardzo krótko. Czy to nie wstyd, musieć przyznać się do takiego uczucia?

— Wcale nie wstyd. To całkiem naturalne. Jak długo ona u ciebie będzie?

— Przypuszczam, że do czasu, aż znajdzie sobie pracę i mieszkanie.

— Czy ma jakieś kwalifikacje zawodowe?

— Nie mam pojęcia.

Przypuszczalnie nie ma. Oliwia westchnęła głęboko. Wydarzenia tego ranka wyczerpały ją uczuciowo i fizycznie. Nie tylko że nie uporała się dotąd z szokiem i bólem, jakim była dla niej śmierć Kośmy, ale w dodatku czuła się przytłoczona problemami innych ludzi. Antonia przyjedzie, zamieszka u niej, będzie trzeba ją pocieszać, podtrzymać na duchu i być dla niej podporą, a w końcu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pomóc znaleźć jej pracę. Nancy będzie ciągle dalej wydzwaniać do Oliwii i wiercić jej dziurę w brzuchu na temat gosposi dla ich matki, podczas gdy matka będzie bronić się rękami i nogami nawet przed sugestią, że ktoś powinien z nią zamieszkać. A w dodatku...

Nagle jej myśli gwałtownie się zatrzymały. A potem ostrożnie wróciły po swoich śladach. Nancy. Matka. Antonia. Ależ oczywiście. Rozwiązanie było właśnie tu. Wszystkie te problemy, odpowiednio ułożone razem, mogły się nawzajem wyeliminować, jak te równania z ułamkami, które dawano nam do rozwiązania w szkole, a odpowiedź była piękna w swojej prostocie.

— Właśnie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł — powiedziała na głos.

— Jaki?

— Antonia może zamieszkać z moją matką.

Jeśli spodziewała się natychmiastowego entuzjazmu z jego strony, to się zawiodła. Hank przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, zanim zapytał ostrożnie:

— A czy ona będzie chciała?

— Oczywiście. Mówiłam ci, ona uwielbiała mamusię. Kiedy moja matka opuszczała Ibizę, Antonia nie chciała, żeby wyjeżdżała. A o ileż

lepiej, tuż po stracie ojca, mieć parę tygodni spokojnego odpoczynku, żeby móc przyjść do siebie, u boku kogoś takiego jak moja matka. Potem Antonia może zacząć przemierzać ulice Londynu w poszukiwaniu pracy.

— Co do tego, to na pewno masz rację.

— Az punktu widzenia mamusi to byłoby coś zupełnie innego niż konieczność zatrudnienia mieszkającej u niej gosposi; byłoby to raczej czymś w rodzaju zaproszenia kogoś z przyjaciół do siebie. Zaproponuję jej to dzisiaj. Zobaczymy, co ona o tym myśli. Ale jestem pewna, że nie powie nie. Jestem prawie pewna, że nie odmówi.

Rozwiązywanie problemów i podejmowanie decyzji zawsze przywracało Oliwii energię, od razu poczuła się lepiej. Usiadła prosto, spuściła zasłonę chroniącą od słońca i przeglądnęła się w lusterku umieszczonym po drugiej stronie. Zobaczyła swoją twarz, wciąż śmiertelnie bladą, a pod oczami cienie jak sińce. Ciemne futro kołnierza podkreślało jeszcze tę bladość, ale miała nadzieję, że jej matka tego nie zauważy. Uszmkowała trochę usta, przycesała się i odsunawszy zasłonę, skupiła uwagę na biegnącej przed nimi drodze.

Przejechali przez Burford i pozostało im już tylko około trzech mil do końca. Droga była jej dobrze znana. „Tu skręcamy w prawo” — powiedziała; Hank skierował samochód w wąską koleinę, przed którą stał drogowskaz z napisem TEMPLE PUDLEY, i zwolnił, tak że auto posuwało się ostrożnie pełznąc. Droga pięła się serpentynami pod górę, na szczycie zobaczyli miasteczko, wyglądające jak dziecinna zabawka schowana w zagłębieniu małej dolinki, obwiedzione srebrną wstążką rzeczki Windrush. Pierwsze domki wyszły im na spotkanie, zbudowane ze złotego, miejscowego kamienia, bardzo stare i piękne. Zobaczyli zabytkowy kościół w otoczeniu cisów. Jakiś człowiek przepędzał stadko owiec, a przed pubem, który nosił nazwę Sudeley Arms, stały zaparkowane samochody. Tutaj właśnie Hank podjechał, zatrzymał się i wyłączył silnik.

Lekko zdziwiona tym Oliwia odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

— Czy, przypadkiem, odczuwasz potrzebę drinka? — zapytała uprzejmie.

Uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Ale myślę, że wolałabyś spędzić trochę czasu sam na sam z matką. Ja wysiądę tutaj i dołączę do was później, wytłumacz mi tylko, jak znaleźć jej dom.

— To trzeci dom, licząc od tego miejsca, po prawej stronie, ma białą bramkę. Ale nie musisz tego robić.

— Wiem. — Lekko dotknął jej dłoni. — Ale wydaje mi się, że tak będzie lepiej dla was obu.

— Jesteś naprawdę bardzo miły — powiedziała i rzeczywiście tak myślała.

— Chciałbym coś przynieść twojej matce. Gdybym poprosił właściciela pubu, czy sprzedałby mi parę butelek wina?

— Na pewno, szczególnie jeśli mu powiesz, że to dla pani Keeling. Zapewne wyciągnie spod lady swoje najlepsze wino.

Uśmiechnął się szeroko, otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu. Patrzyła za nim, jak przechodził przez podwórze wybrukowane kocimi łbami i zniknął w wejściu do pubu, ostrożnie pochylając głowę pod framugą drzwi. Wtedy odpięła pas, wślizgnęła się za kierownicę i włączyła silnik. Była prawie dwunasta.

Penelopa Keeling stała pośrodku swojej ciepłej i nieco zagraconej kuchni, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić, aż wreszcie zdecydowała, że nic, bo wszystko zostało już zrobione. Znalazła nawet czas, żeby pójść na górę i przebrać się z roboczego ubrania, w bardziej stosowne na okazję niespodziewanego, uroczystego lunchu. Oliwia była zawsze taka elegancka, że na jej przyjazd należało przynajmniej trochę się oporządzić. Z tą myślą włożyła grubą, bawełnianą spódnicę z brokatu (bardzo ulubioną i bardzo starą; materiał zaczął swoje życie jako zasłona), męską wełnianą koszulę w paski i sweter, bezrękawnik, koloru pasowych piwonii. Pończochy miała ciemne i grube, a buty ciężkie, sznurowane. Na szyi zawiesiła złote łańcuszki, upięła na nowo włosy i skropiwszy się odrobiną perfum, poczuła się całkiem odświętnie i przepełniona uczuciem miłego oczekiwania. Nieliczne wizyty Oliwii zdarzały się rzadko, co sprawiało, że były tym cenniejsze, toteż od czasu rannego telefonu z Londynu, Penelopa krzątała się, przygotowując wszystko na przyjazd córki.

Ale teraz wszystko było gotowe. Ogień zapalony w kominkach, w salonie i w jadalni, drinki przygotowane, otwarte wino dochodziło do odpowiedniej, pokojowej temperatury. Tu, w kuchni, powietrze pełne było aromatu piekącej się powoli pieczeni wołowej z cebulką i podsmażanych ziemniaków. Upiekła ciasto, obrała jabłka, pokrajała fasolkę wyjętą z zamrażalnika, oskrobała marchewkę. Nieco później ułoży sery na deszczółce, zmiele kawę i zbierze z wierzchu śmietankę z mleka, które przyniosła dziś z mleczarni. Zawiązawszy fartuch, żeby ochronić spódnicę, umyła parę przyborów kuchennych, które leżały tu i tam i położyła je na suszarce. Odłożyła na miejsce kilka rondli, wytarła stół wilgotną ściereczką, napełniła wodą dzbanek i podlała swoje geranium. Wreszcie zdjęła fartuch i powiesiła go na kołku.

Pralka skończyła właśnie wirowanie. Penelopa nigdy nie robiła prania, jeśli pogoda nie pozwalała na suszenie bielizny na dworze, ponieważ nie miała suszarki. Lubiła rozwiesić pranie na świeżym powietrzu. Pachniało

potem tak cudownie i było o wiele łatwiejsze do prasowania. Oliwia i jej przyjaciel mieli nadjechać lada moment, Penelopa wzięła jednak duży wiklinowy kosz, włożyła do niego kłęb wilgotnej bielizny i oparłszy kosz na biodrze, wyszła do ogrodu. Przeszła przez trawnik i przez przerwę w żywopłocie weszła do sadu. Połowa z niego nie była już sadem, ponieważ Penelopa stworzyła tu cudownie obfity warzywnik, ale druga połowa pozostała, tak jak dawniej, z powykręcanyimi, starymi jabłoniami i cicho płynącą Windrush, zaraz za żywopłotem z głogu.

Długi sznur był przeciągnięty pomiędzy trzema drzewami i tutaj Penelopa rozwiesiła swoje pranie, przypinając je spinaczami do bielizny. Ta właśnie czynność, niezmiennie związana z jasnym, świeżym porankiem była jedną z jej największych przyjemności. Gdzieś niedaleko śpiewał drozd, a tuż przy jej stopach, przepychając się przez kępki wilgotnej trawy, zaczynały strzelać w górę kwiaty cebulkowe. Sadziła je sama, tysiące żonkili i krokusów, cebuli morskiej i przebiśniegów. A kiedy te przekwitną, i letnia trawa urosnie gęsta i zielona, inne polne kwiaty pokażą swoje główki. Pierwiosniki i chabry, i maki polne, wszystkie wyrosłe z nasion, które ona sama rozrzuciła.

Prześcieradła, bluzki, poszewki, pończochy i koszule nocne powiewały i tańczyły na lekkim wietrze. Kiedy kosz był już pusty, podniosła go i ruszyła w kierunku domu, ale powoli, nie spiesząc się, odwiedzając najpierw swój warzywnik, żeby sprawdzić, czy zające nie zrobiły sobie przekąski z jej młodej kapusty, a potem zatrzymując się przy swoim malutkim drzewku, *Viburnum Fragens*⁰, którego drobne gałązki oblepione były różowym kwieciem, pachnącym w cudowny sposób latem. Weźmie sekator i utnie parę gałązek, żeby ich aromat wypełnił salon. Ruszyła dalej z zamiarem wejścia do domu, ale znów coś odwróciło jej uwagę. Tym razem był to śliczny widok jej domu, stojącego za szerokim, zielonym trawnikiem, na tle gołych gałęzi dębu i nieskalanie błękitnego nieba. Długi i niski, bielony, ryglowy i ze strzechą, okrytą siatką, wystającą ponad górnymi oknami jak krzaczaste brwi.

Podmore's Thatch, Strzecha Podmore'a. Oliwia uważała, że to śmieszna nazwa i czuła się skrępowana, ile razy ją wymawiała, sugerowała nawet, żeby wymyślić nową. Ale Penelopa wiedziała, że nie można zmienić nazwy domu, tak jak nie można zmienić imienia osoby. Poza tym dowiedziała się od wikarego, że William Podmore był „strzechowym”, czyli układał strzechy w tej wiosce ponad dwieście lat temu, i dom nosił jego nazwisko na pamiątkę. To przesądziło sprawę nazwy i tak już zostało.

Kiedyś były to dwa domy, ale zostały zamienione w jeden przez poprzedniego właściciela, prostym sposobem wybicia drzwi w dzielących

⁰ *Viburnum Fragens* — kalina (przyp. red.)

je ścianach. Oznaczało to, że dom miał dwa wejścia, dwie klatki schodowe i dwie łazienki. Oznaczało to też, że wszystkie pokoje były przechodnie, co było trochę niewygodne, jeśli ktoś z gości akurat pragnął być całkiem sam. Tak więc, na dole była kuchnia drugiego domu, którą Penelopa używała jako skład narzędzi ogrodniczych i gdzie trzymała swoje słomkowe kapelusze, gumowce, swoje fartuchy z grubego płótna, doniczki, koszyki i szpadle. Na piętrze znajdowała się komórka, w której przechowywane były rzeczy Noela, a dalej, jedna za drugą, trzy większe sypialnie. Ta nad kuchnią była jej.

Ponadto wzdłuż całej długości dachu, pod strzechą, biegł ciemny i zakurzony strych, pełen rzeczy, których Penelopa nie miała serca wyrzucić, kiedy w końcu opuściła dom przy ulicy Oakley, a na które nie było miejsca nigdzie indziej. Przez pięć lat obiecywała sobie, że tej zimy posortuje te rzeczy i zrobi z nimi porządek, ale ilekroć wspinała się po chwiejnych schodkach, żeby rozejrzeć się po strychu, ogrom tego przedsięwzięcia przerażał ją i czując się zbyt słabą, odkładała to na jeszcze trochę później.

Ogród, kiedy tu przyjechała, był zupełnie zdziczały, ale tym lepsza była z nim zabawa. Ogród to była jej prywatna mania. Spędzała w nim każdą wolną chwilę, z entuzjazmem fanatyka plewiąc, kopiąc grządki, rozwołąc taczki pełne nawozu, wycinając zeschłe gałązki, sadząc, robiąc przeszczepy, pielęgnując sadzonki. Teraz, po pięciu latach, mogła, stojąc tu, zachwycać się swoim dziełem i być z niego dumna.

Właśnie to robiła, zapominając o Oliwii, zapominając o czasie. Często tak robiła. Czas tracił jakiegokolwiek znaczenie. To była jedna z dobrych stron starszego wieku: nie trzeba się było ciągle spieszyć. Całe swoje życie Penelopa zajmowała się innymi ludźmi, teraz miała tylko siebie samą pod opieką. Wreszcie był czas, żeby zatrzymać się i popatrzeć, a patrząc przypominać sobie. Kąt widzenia poszerzał się jak widoki oglądane ze zbocza góry, na którą z takim trudem trzeba się było wspinać, a doszedłszy tak daleko, szkoda było nie zatrzymać się i nie nacieszyć się nimi.

Oczywiście, starszy wiek przynosił też ze sobą swoje nieszczęścia. Samotność i choroby. Ludzie zawsze tyle mówili o samotności w starszym wieku, ale mając sześćdziesiąt cztery lata, co — trzeba przyznać — nie było wiekiem bardzo zaawansowanym, Penelopa rozsmakowała się w możliwościach, jakie daje życie w samotności. Nigdy przedtem nie mieszkała sama i z początku wydało jej się to dziwne, ale z czasem nauczyła się przyjmować to jako błogosławieństwo i dogadzać sobie na różne „grzeszne” sposoby, jak na przykład, wstawanie kiedy miała na to ochotę, podrapanie się kiedy ją swędziało, słuchanie koncertu do drugiej w nocy. A osobna sprawa była z jedzeniem. Całe życie gotowała dla rodziny i dla przyjaciół i gotowała świetnie, ale z czasem odkryła w sobie

ukrytą skłonność do najbardziej obrzydliwych przekąsek. Pieczona fasola, jedzona na zimno, łyżką z puszki. Sałata polana butelkową śmietaną i pewien rodzaj kiszzonego ogórka, którego wstydziłyby się podać na stół w dawnych czasach, w domu przy ulicy Oakley.

Nawet choroba przyniosła ze sobą pewien rodzaj rekompensaty. Od czasu tej małej czkawki, miesiąc temu, którą głupi lekarze uparli się nazwać atakiem serca, zdała sobie po raz pierwszy sprawę ze swojej śmiertelności. Nie było to przerażające, ponieważ nigdy nie bała się śmierci, ale zaostrzyło jej sposób patrzenia i przypomniało jej bardzo wyraźnie o tym, co Kościół nazywa grzechami zaniedbania. Nie była kobietą religijną i nie rozpamiętywała swoich grzechów, których przypuszczalnie, z punktu widzenia Kościoła, miała mnóstwo, ale, i owszem, zaczęła liczyć rzeczy, których nie zdążyła zrobić. Obok raczej niepraktycznych marzeń w stylu pieszej wędrowki po górach Butanu albo przejścia przez pustynię Syryjską, żeby zwiedzić ruiny Palmiry, co do których pogodziła się już, że nigdy nie zrealizuje, była też jej wielka tęsknota, prawie poczucie konieczności, żeby wrócić do Porthkerris.

Czterdzieści lat to zbyt długo. Tyle lat temu, pod koniec wojny, wsiadła z Nancy do pociągu, pożegnała się z ojcem i wyjechała do Londynu. W rok później ten stary już człowiek umarł i wtedy zostawisz Nancy pod opieką teściowej, pojechała do Kornwalii na pogrzeb. Po pogrzebie, razem z Doris spędziły parę dni porządkując jego rzeczy i opróżniając Carn Cottage, a potem musiała wracać do Londynu, do wzywających ją obowiązków żony i matki. Od tego czasu nigdy tam nie wróciła. Chciała, miała zamiar. Wezmę tam dzieci na wakacje, mówiła sobie. Wezmę je, żeby bawiły się na plaży, gdzie ja się bawiłam, żeby wspinały się na wzgórza i szukały polnych kwiatów na wrzosowiskach. Ale nigdy się to nie stało. Dlaczego nigdy nie pojechała? Co się stało z tymi wszystkimi latami, które przepłynęły jak wartko płynąca woda pod mostem? Okazje przychodziły i odchodziły, ale nigdy z nich nie skorzystała, przeważnie dlatego, że nie było czasu albo pieniędzy, żeby zapłacić za bilety na pociąg. Była zbyt zajęta prowadzeniem dużego domu, problemami, wychowywaniem dzieci, radzeniem sobie z Ambrose.

Przez lata całe trzymała się Carn Cottage, odmawiając sprzedania domu, nie chcąc przyznać się przed samą sobą, że nigdy już tam nie wróci. Przez lata, za pośrednictwem agencji, wynajmowała dom różnym lokatorom i przez cały ten czas mówiła sobie, że kiedyś tam wróci. Weźmie dzieci i pokaże im biały, kwadratowy dom na wzgórzu, z jego tajemniczym ogrodem, otoczonym wysokim żywopłotem, z widokiem na zatokę i na latarnię morską.

Tak to trwało, aż w końcu, w momencie, kiedy jej sytuacja finansowa przedstawiała się naprawdę krytycznie, agencja dała jej znać, że starsi

państwo oglądali dom i chcą go kupić po odejściu na emeryturę. Byli nie tylko starsi, ale też bardzo zamożni. Penelopa, usiłująca nie utonąć w długach, mając troje dzieci do wykształcenia i nieudolnego męża na utrzymaniu, znalazła się w sytuacji, w której musiała zgodzić się na tę propozycję i dom, Carn Cottage, został w końcu sprzedany. Potem, kiedy to się stało, nie myślała już o powrocie do Kornwalii. Gdy sprzedała dom przy ulicy Oakley, przebąkiwała coś nieśmiało o przeniesieniu się do Kornwalii, o swoich marzeniach o zamieszkaniu w granitowym domku, z palmą w ogródku, ale Nancy sprzeciwiła się tym projekTom, i może w końcu wyszło to na dobre. Trzeba to przyznać Nancy, iż w momencie, gdy Penelopa zobaczyła Podmore's Thatch, wiedziała, że nie chce mieszkać nigdzie indziej.

A jednak... byłoby miło, choć raz, zanim umrze, ... wrócić jeszcze do Porthkerris. Zatrzymałaby się u Doris. Może Oliwia pojechałaby z nią.

Oliwia wjechała swoim alfasud przez otwartą bramę, przejechała po skrzypiącym żwirze, mijając przechyloną trochę na bok drewnianą szopę służącą za garaż i za skład narzędzi, i zatrzymała się z tyłu Podmore's Thatch. Na pół oszklone drzwi frontowe prowadziły do wyłożonego kafelkami przedsionka. Wisiały tu płaszcze i peleryny; rozmaite kapelusze ozdabiały częściowo zjedzoną przez mole głowę i rogi jelenia, a z białoniebieskiego, porcelanowego stojaka sterczały parasole od deszczu i od słońca, laski i parę kijów do golfa. Z przedsionka weszła prosto do kuchni, którą przepełniało ciepło i rozkoszny zapach pieczeni.

— Mamusiu?

Nie było odpowiedzi. Oliwia przeszła przez kuchnię, weszła do ciepłarni i od razu wypatrzyła Penelopę, stojącą na drugim końcu trawnika, jakby w transie, z pustym koszem na bieliznę opartym na biodrze i rozwianymi przez wiatr włosami w nieładzie.

Otworzyła drzwi do ogrodu i wyszła na zalany słońcem trawnik.

— Hej! Mamusiu!

Penelopa poruszyła się lekko zaskoczona, zobaczyła córkę i od razu przeszła przez trawnik przywitać się z nią.

— Kochanie!

Oliwia nie widziała matki od czasu jej choroby i teraz wpatrywała się uważnie, szukając jakichś zmian, bojąc się, że je znajdzie. Ale poza tym, że jej matka zdawała się być nieco szczuplejsza, wyglądała tak jak zawsze, zdrowo, z zaróżowionymi policzkami, poruszająca się tym samym młodzieńczym, długim, sprężystym krokiem. Tak jej było żal, że musiała zgasić radość widniejącą na twarzy matki wiadomością o śmierci Kośmy, Przyszło jej na myśl, że może ludzie dalej żyją, dopóki ktoś nie powiedział nam, że umarli. Czy to nie szkoda, że ludzie w ogóle cokolwiek sobie mówią nawzajem?

- Oliwio, jak to cudownie cię widzieć.
- Co tu robisz, tak stojąc z pustym koszem na bieliznę?
- Właśnie to, co widzisz. Stoję i nie mogę się napatrzeć. Co za piękny dzień. Jak wam się jechało? — Spojrzała przez ramię Oliwii.
- A gdzie jest twój przyjaciel?
- Zatrzymał się w pubie, żeby kupić ci prezent.
- Nie musiał tego robić.

Przeszła obok Oliwii i weszła do środka, wytarłszy pobieżnie nogi na wycieracze. Oliwia weszła za nią i zamknęła drzwi. Ciepłarnia miała kamienną podłogę i umeblowania była fotelami i stołkami z wikliny, z mnóstwem poduszek obleczonego wyblakłym kretonem. Było tu bardzo ciepło, liściasto i zielono od roślin doniczkowych, a powietrze było aż ciężkie od zapachu frezji, których rosło tu całe mnóstwo, gdyż były to ulubione kwiaty Penelopy.

— Starał się być taktowny — położyła torbę na jasnym, sosnowym stole. — Mam ci coś do powiedzenia.

Penelopa postawiła swój kosz na bieliznę obok torby Oliwii i obróciła się, stojąc naprzeciw córki. Powoli jej uśmiech zgasł, a w jej pięknych, ciemnych oczach pojawiła się troska, ale kiedy powiedziała: — Oliwio, jesteś trupio blada — jej głos był silny i zdecydowany jak zawsze.

To dodało odwagi Oliwii.

— Wiem. Dowiedziałam się dziś rano. Niestety, to bardzo smutna wiadomość. Kosma nie żyje.

— Kosma. Kosma Hamilton? Nie żyje?

— Antonia dzwoniła do mnie z I bazy.

— Kosma — powtórzyła raz jeszcze, a jej twarz wyrażała ogromny ból i smutek. — Nie mogę w to uwierzyć... Ten kochany człowiek.

Nie zaczęła płakać, Oliwia wiedziała, że tego nie zrobi. Nigdy nie płakała. Przez całe swoje życie Oliwia nie widziała swojej matki płaczącej. Ale rumieńce zniknęły z jej policzków i instynktownie, jakby chciała uspokoić galopujące serce, położyła rękę na piersi.

— Ten drogi, kochany człowiek. Och, córeczko, tak mi przykro. Tak wiele dla siebie znaczyliście. Jak ty się czujesz?

— A jak ty się czujesz? Tak bardzo się bałam ci o tym powiedzieć.

— To szok dla mnie. Tak niespodziewanie.

Wyciągnęła rękę, żeby sięgnąć po jakieś krzesło, znalazła je. Powoli opadła na nie. Oliwia przestraszyła się:

— Mamusiu?

— To głupie. Ale czuję się trochę dziwnie.

— Może kieliszek brandy dobrze ci zrobi?

— Co za genialny pomysł!

— Przyniosę.

— Jest w...

— Wiem, gdzie jest. — Podsunęła stołek. — Daj sobie nogi do góry... Zostań tutaj, tak... Zaraz wracam.

Butelka z brandy stała w kredensie, w jadalni. Znalazła ją i zaniósła do kuchni. Wzięła dwa kieliszki z szafki i nalała dwie spore dawki lecznicze. Ręka jej się trzęsła i butelka dzwoniła o szkło. Rozlała trochę na blat stołu, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia, tylko mamusia i jej słabe serce. Żeby tylko nie miała następnego ataku, dobry Boże, żeby tylko nie dostała kolejnego ataku. Wzięła kieliszki i zaniósła je do ciepłarni.

— Proszę, masz tutaj.

Wręczyła drinka matce. Piły w milczeniu, małymi łydkami. Łagodna brandy rozgrzewała i poprawiała samopoczucie. Po paru łykach Penelopa dała radę uśmiechnąć się blade.

— Czy myślisz, że to jedna ze słabości starych ludzi, żeby aż tak bardzo potrzebować drinka?

— Nic podobnego. Ja też bardzo go potrzebowałam.

— Moje kochane biedactwo.

Napiła się jeszcze. Jej policzki powoli się zaróżowiły.

— A teraz — poprosiła — opowiedz mi jeszcze raz.

Oliwia opowiedziała. Ale nie było zbyt wiele do opowiadania. Kiedy zamilkła, Penelopa odezwała się cicho:

— Kochałaś go, prawda? — i nie było to pytanie, ale stwierdzenie faktu.

— Tak, kochałam. W ciągu tego roku, stał się częścią mnie. Zmienił mnie bardziej niż ktokolwiek inny.

— Powinnaś była wyjść za niego.

— On tego chciał. Ale ja nie mogłam, mamusiu, nie mogłam.

— Szkoda, że tego nie zrobiłaś.

— Nie żałuj tego. Jest mi lepiej tak, jak jest.

Penelopa pokiwała głową. Wyrozumiała, akceptująca.

— A Antonia? Co z nią? Biedne dziecko. Czy ona tam była, kiedy to się stało?

— Tak.

— Co z nią będzie? Czy zostanie na Ibizie?

— Nie. Nie może. Dom nigdy nie należał do Kośmy. Nie **ma** gdzie mieszkać. Jej matka ponownie wyszła za męża i **mieszka** na północy. Przypuszczam też, że ma mało pieniędzy.

— To co ona zrobi?

— Wraca do Anglii. W przyszłym tygodniu. Do Londynu. Zatrzyma się u mnie dzień lub dwa. Mówi, że musi szukać pracy.

— Ale ona jest taka młoda. Ile ona ma teraz lat?

— Osiemnaście. Nie jest już dzieckiem.

— Była takim miłym dzieckiem.

— Czy chciałabyś ją znowu zobaczyć?

— Marzyłabym o tym.

— Czybyś... — Oliwia łyknęła znów brandy. Paliła ją w gardle, rozgrzewała żołądek, dodawała sil i odwagi. — Czybyś wzięła ją do siebie na parę miesięcy? Czy mogłaby z tobą zamieszkać na jakiś czas?

— Dlaczego o to pytasz?

— Z wielu powodów. Dlatego, że Antonia będzie potrzebować trochę czasu, żeby się pozbierać i zdecydować, co ma zamiar zrobić ze swoim życiem. A także dlatego, że Nancy nie daje mi spokoju, powtarzając ciągle, że lekarze powiedzieli, iż nie powinnaś mieszkać sama po tym ataku serca.

Powiedziała to otwarcie, tak jak zawsze mówiła wszystko matce, szczerze, bez owijania w bawełnę, bez kręcenia. Otwartość była typowa i dla Oliwii, i dla jej matki i sprawiała, że wzajemne stosunki między nimi były bardzo udane, a także, dzięki tej bezpośredniości, nigdy się nie kłóciły, nawet w najbardziej napiętej sytuacji.

— Lekarze mówią bzdury — stwierdziła Penelopa zdecydowanym tonem. Brandy także ją rozgrzała.

— Ja też tak myślę, ale Nancy jest innego zdania i dopóki nie będzie tu kogoś, kto by mieszkał z tobą, nie odczepi się i nie przestanie do mnie wydzwaniać. Widzisz więc, gdybyś się zgodziła, żeby Antonia zatrzymała się u ciebie, wyświadczyłabyś także i mnie przysługę. A tobie by się to podobało, prawda? Wtedy, w ciągu tego miesiąca na Ibizie, bez przerwy zaśmiewałyście się razem. Dla ciebie byłaby miłym towarzystwem, a ty pomogłabyś jej przejść przez trudny okres.

Lecz Penelopa wciąż miała wątpliwości.

— A czy tu dla niej nie będzie okropnie nudno? Ja nie prowadzę zbyt ekscytującego trybu życia, a mając osiemnaście lat, mogła zmienić się w bardzo wyrafinowaną młodą pannę.

— Nie robiła wrażenia wyrafinowanej. Kiedy rozmawiałam z nią przez telefon, sprawiała wrażenie takiej jak zawsze. A jeśli marzą jej się jaskrawe światła dyskotek i młodzi faceci, to zawsze możemy ją przedstawić Noelowi.

„Uchowaj Boże”. Ale Penelopa nie powiedziała tego na głos.

— Kiedy miałyby przyjechać?

— Ma zamiar przyjechać do Londynu w przyszły wtorek. Mogłabym ją tu przywieźć na przyszły weekend.

Z niepokojem obserwowała matkę, pragnąc bardzo, by zgodziła się na jej plan. Ale Penelopa zamilkła i zdawała się myśleć o czym innym, gdyż na jej twarzy pojawił się wyraz rozbawienia, a jej oczy się śmiały.

— Co cię tak roześmieszło?

— Nagle przypomniała mi się ta plaża, gdzie Antonia uczyła się windsurfingu. Wszystkie te ciała leżące obok siebie jak brązowe, wędzone

śledzie i starsze panie z obwisłymi, jakby **skórzanymi piersiami**. Co za widok! Czy pamiętasz, jak się śmiałyśmy?

- Nigdy nie zapomnę.
- To był szczęśliwy czas.
- Tak. Najlepszy z możliwych. Czy ona może przyjechać?
- Przyjechać? Jeśli tylko chce, oczywiście że może przyjechać. Na jak długo zechce. To mi dobrze zrobi. Odmłodzi mnie.

Tak więc, do czasu przybycia Hanka, kryzys minął. Propozycja Oliwii została przyjęta, a ból, szok i smutek — na razie — odsunięte na bok. Życie biegło dalej, a Oliwia, znajdując pociechę i podniecie do działania w towarzystwie swojej matki, jak również dzięki brandy, znów czuła, że da sobie ze wszystkim radę. Kiedy zadzwonił dzwonek, poderwała się na równe nogi i przechodząc przez kuchnię, poszła wpuścić Hanka. Miał ze sobą brązową, papierową torbę z uchwytnymi, którą wręczył Penelopie, kiedy został jej przedstawiony. Położyła ją na stole, a będąc jedną z tych osób, którym naprawdę warto dawać prezenty, otworzyła ją natychmiast. Kiedy odwinęła już obie butelki z bibułek, jej zachwyty był wzruszający i dawał wiele satysfakcji.

— Chateau Latour, Gran Cru! Co za czarodziej z pana! Chyba nie powie mi pan, że udało się panu przekonać Hodgkinsa z pubu Sudeley Arms, żeby się z nimi rozstał?

— Tak jak Oliwia mi powiedziała, gdy tylko dowiedział się, dla kogo mają być przeznaczone, nie mógł się doczekać, żeby mi je wręczyć.

— Nigdy nie przypuszczałam, że ma coś podobnego w swojej piwnicy. A więc cuda się zdarzają. Dziękuję panu bardzo. Wypilibyśmy je do naszego lunchu, ale otwarłam już inne wino...

— Proszę to zachować na jakąś uroczystość — powiedział Hank.

— Tak właśnie zrobię. — Odłożyła butelki na komodę, a Hank zdjął płaszcz. Oliwia powiesiła go obok innych sfatygowanych płaszczy w przedsiönku i wszyscy razem wmaszerowali do salonu.

Nie był on zbyt obszerny i było dla Oliwii powodem nieustannego zdumienia, ile najcenniejszych i drogich jej przedmiotów, Penelopa dała radę w nim upchać. Ulubione stare kanapy i fotele, przykryte jasnymi, indyjskimi narzutami, z porzrzucanymi na nich licznymi wyszywami poduszkami. Biurko, zawsze otwarte, na nim pełno listów i starych rachunków. Stół do szycia, lampy, bezcenne dywany, położone na wykładzinie z włosia, mnóstwo książek i obrazów. Porcelanowe dzbanki w rozmaite desenie pełne były suszonych kwiatów. Fotografije, ozdoby, małe przedmioty ze srebra pokrywały każdą poziomą powierzchnię. Tu i ówdzie leżały porzrzucane magazyny, gazety, katalogi nasion, a wśród nich niedokończona robótka na drutach. W tych czterech ścianach zgromadzone zostały chyba wszystkie pamiątki z jej jakże aktywnego

życia, ale, jak to się działo z każdą osobą, która wchodziła tu po raz pierwszy, uwagę Hanka przykuł natychmiast obraz wiszący nad ogromnym kominkiem.

Dominował nad całym pokojem. Jego rozmiary wynosiły, mniej więcej, pięć stóp na trzy. *Poszukiwacze muszelek*. Oliwia wiedziała, że ten obraz nigdy się jej nie znudzi, nawet gdyby miała go w swoim mieszkaniu przez większą część życia. Wrażenie, jakie robił, było jak uderzenie zimnego, słonego wiatru. Pędzące po niebie obłoki, morze pełne spienionych grzyw fal, które rozbijają się i z sykiem wbiegają na brzeg. Subtelne, różowe i szare kolory piasku; płytkie jeziora pozostawione przez odpływ i mieniające się odbitym światłem słońca. I wreszcie, postacie trojga dzieci, stojących w grupie, po jednej stronie obrazu, dwie dziewczynki w słomkowych kapelusikach, z podwiniętymi sukienkami i jeden chłopiec. Wszyscy z opalonymi na brązowo, gołymi nogami, z bosymi stopami, całkowicie zaabsorbowani zawartością małego, czerwonego wiaderka.

— Hej! — po raz pierwszy chyba zabrakło mu słów. — Co za wspaniały obraz!

— Prawda? — Penelopa promieniała, jak zwykle pełna dumnego zachwytu. — Mój najcenniejszy skarb.

— Na Boga... — Szukał podpisu. — Kto to malował?

— Mój ojciec. Lawrence Stern.

— Lawrence Stern był pani ojcem? Oliwio, nigdy mi tego nie powiedziałaś.

— Zostawiłam to mojej matce. Wie o tym znacznie więcej niż ja.

— A ja myślałam, że on należał do... no, do prerafaelitów?

Penelopa pokiwała głową.

— Tak. Jak najbardziej.

— A to wygląda raczej na dzieło impresjonisty.

— Wiem. To ciekawe, prawda?

— Kiedy zostało namalowane?

— Około 1927 roku. Miał swoją pracownię na północnej plaży w Porthkerris i namalował ten obraz z okna tej pracowni. Nazywa się *Poszukiwacze muszelek*, a ja jestem tą małą dziewczynką po lewej stronie.

— Ale dlaczego jego styl jest tu taki inny?

Penelopa wzruszyła ramionami.

— Z kilku powodów. Każdy malarz musi przechodzić pewną ewolucję, zmieniać się. Inaczej niewiele byłby wart. Ponadto, w tym czasie, zaczął cierpieć na artretyzm w rękach i nie był już w stanie pracować pędzlem w ten dawny, delikatny, drobiazgowy i niesłychanie precyzyjny sposób.

— Ile miał wtedy lat?

— W 1927? Przypuszczam, że około sześćdziesięciu dwóch lat. Został ojcem bardzo późno. Ożenił się dopiero, gdy miał pięćdziesiąt pięć lat.

— Czy ma pani jeszcze jakieś inne jego obrazy?

Rozglądał się wokół, patrząc na ściany pełne obrazów, jak na wystawie.

— Nie w tym pokoju. Większość z tych, które tu wiszą, to dzieła jego kolegów. Jest jeszcze para nie dokończonych panneaux, które znajdują się przy podeście. To były ostatnie jego prace, wtedy artretyzm był już tak zaawansowany, że ledwie mógł utrzymać pędzel. Dlatego nigdy ich nie skończył.

— Artretyzm. Jakież to okrutne.

— Tak. To było bardzo smutne. Ale on jakoś bardzo dobrze to znosił. Podchodził do tego z filozoficznym dystansem. „I tak nieźle wykorzystałem ten kawałek życia, który mam już za sobą”, mawiał i ucinał temat. Ale musiało to być dla niego ogromnie frustrujące. Długo potem, kiedy już przestał malować, zachował jeszcze swoją pracownię i kiedy czuł się przygnębiony, kiedy miał chandrę czyli — jak to nazywał — Czarny Pies siedział mu na ramieniu, znikał w swojej pracowni i po prostu stał tam w oknie, patrząc na plażę i na morze.

— Czy pamiętasz go? — spytał Hank Oliwię.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Nie. Kiedy się urodziłam, on już nie żył. Ale moja siostra Nancy, urodziła się w domu w Porthkerris.

— Czy macie jeszcze ten dom?

— Nie — powiedziała Penelopa ze smutkiem. — W końcu musiał zostać sprzedany.

— Czy jeszcze tam pani wraca?

— Nie byłam tam od czterdziestu lat. Ale to dziwne, bo właśnie dziś rano pomyślałam sobie, że naprawdę muszę tam pojechać zobaczyć to wszystko jeszcze raz. — Spojrzała na Oliwię. — Może pojechałabyś ze mną? Tylko na tydzień. Mogłybyśmy zatrzymać się u Doris.

— Och... — Oliwia zaskoczona, wahała się. — Ja... Nie wiem...

— Mogłybyśmy pojechać kiedykolwiek... — Penelopa przygryzła wargi. — Ach, wiem, to głupie z mojej strony. Przecież to jasne, że nie możesz podjąć natychmiastowej decyzji.

— Och, mamusiu, przepraszam, ale to trochę trudne. Nie należy mi się urlop, dopiero w lecie i jestem umówiona z przyjaciółmi na wyjazd do Grecji. Mają tam willę i jacht.

Nie było to do końca prawdą, ponieważ jeszcze nie omówili tego wstępnego, na razie, projektu, ale wakacje były dla niej tak cenne i Oliwia tęskniła za słońcem. Jednak, gdy tylko to powiedziała, poczuła wyrzuty sumienia, zwłaszcza że zobaczyła, jak chwilowe rozczarowanie zachmurzyło twarz Penelopy, zaraz jednak zostało zastąpione wyrozumiałym uśmiechem.

— Oczywiście. Powinam była to przewidzieć. To **tylko taki pomysł**.
A poza tym, wcale nie muszę jechać z kimś.

— To trochę za duża odległość, żeby jechać samej.

— Mogę przecież jechać pociągiem.

— Weź Lallę Friedman. Na pewno spodobałaby się jej wycieczka do Kornwalii.

— Lalla. Nie pomyślałam o niej. Cóż, zobaczymy...

Porzucając ten temat, Penelopa zwróciła się do Hanka.

— My tu sobie gadamy w najlepsze, a ten biedny człowiek nawet nie dostał drinka. Na co by pan miał ochotę?

Lunch był przepyszny. Jedli go powoli, nie spiesząc się. Podczas gdy delektowali się wspaniałą, różową pieczenia, pokrajaną przez Hanka, chrupiącymi jarzynami, sosem chrzanowym i puddingiem Yorkshire, z gęstym, brązowym sosem, Penelopa zasypywała Hanka pytaniami. Pytaniami o Amerykę, o jego dom, żonę, dzieci. Oliwia, krążąc wokół stołu i nalewając wina, wiedziała, że jej matka stawiała te wszystkie pytania, nie dlatego, żeby być uprzejmą lub żeby mieć temat do konwersacji, ale dlatego, że była tym autentycznie zainteresowana. Ludzie — to była jej pasja, a zwłaszcza gdy byli to obcokrajowcy, z odległego państwa, a już szczególnie, jeśli mieli miłe usposobienie i sporo uroku.

— Mieszka pan w Dalton, w stanie Georgia? Nie mogę sobie wyobrazić, jak wygląda Dalton. Czy mieszka pan w mieszkaniu, czy w domu z ogrodem?

— Mam dom i mam ogród, ale my nazywamy go „podwórzem”⁰.

— Przypuszczam, że w takim klimacie w ogrodzie może rosnać prawie wszystko.

— Niestety, bardzo niewiele o tym wiem. Zatrudniam pracownika, który utrzymuje porządek na całym terenie otaczającym dom. Muszę się przyznać, że nawet nie strzygę własnego trawnika.

— To zupełnie rozsądne. Nie ma się czego wstydzić.

— A pani, pani Keeling?

— Mamusia nigdy nie miała nikogo do pomocy — wyjaśniła Oliwia.

— To wszystko co widzisz za oknem, to jej własne dzieło.

Hank wydawał się zaskoczony.

— Nie mogę w to uwierzyć. Po pierwsze jest tego tak dużo.

Penelopa zaśmiała się.

— Nie powinien pan wyglądać na tak przerażonego. Dla mnie to nie jest uciążliwy obowiązek tylko ogromna przyjemność. Nie można jednak mieć sił na wszystko w nieskończoność, więc w poniedziałek rano, tu

⁰ słowo „yard” w języku angielskim oznacza tylko „podwórze”, natomiast Amerykanie używają je wymiennie z „garden” (ang. ogród), [przyp. tłum.]

proszę o fanfary i bicie w bębny, przychodzi zatrudniony przeze mnie ogrodnik.

Oliwia osłupiała.

— Naprawdę? Naprawdę to robisz?

— Mówiłam ci, że będę się za kimś rozglądać.

— Tak, ale zupełnie nie wierzyłam, że to zrobisz.

— Jest bardzo dobra firma w Pudley. Nazywa się Autogarden, co, moim zdaniem, jest nazwą kompletnie bez polotu, ale to nieistotne. Będą mi przysyłać młodego człowieka trzy razy w tygodniu. W ten sposób większość okopywania powinnam mieć z głowy, a jeśli on będzie chętny, poproszę go też o wykonanie innych prac, jak na przykład piłowanie drzewa czy zrzucanie węgla. Zobaczymy, jak to będzie. Jeśli przyślą mi jakiegoś nieroba, albo okaże się, że będzie zbyt drogo kosztował, mogę całkiem łatwo zlikwidować zamówienie. Hank, proszę, nałóż sobie jeszcze pieczeni.

Ogromny lunch zajął większą część popołudnia. Kiedy wreszcie wstali od stołu, była prawie czwarta. Oliwia zaproponowała, że umyje naczynia, ale jej matka nie zgodziła się na to i zamiast tego włożyli płaszcze, i wyszli do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza. Przechadzali się oglądając ogród, Hank pomógł Penelopie przywiązać niesforną gałąź powojnika, a Oliwia znalazła kępkę tojadów pod jedną z jabłoni i zbierała sobie maleńki bukiet, żeby wziąć ze sobą do Londynu. Kiedy nadszedł czas pożegnania, Hank pocałował Penelopę.

— Żadne podziękowanie nie byłoby wystarczające. Było wspaniale.

— Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić.

— Może. Kiedyś.

— Kiedy wraca pan do Ameryki?

— Jutro rano.

— Co za krótka wizyta. Szkoda. Ale tak się cieszę, że pana poznałam.

— Ja również.

Podszedł do samochodu i stał, trzymając otwarte drzwiczki dla Oliwii.

— Do widzenia, mamusiu.

— Kochanie! — uściskały się. — Tak mi przykro z powodu śmierci Kośmy. Ale nie powinnaś się smucić. Po prostu bądź wdzięczna, że mogłaś mieć ten czas wspólnie z nim spędzony. Nie oglądaj się do tyłu. Nie żałuj.

Oliwia postarała się dzielnie uśmiechnąć.

— Nie będę żałować.

— A więc, jeśli tego nie odwołasz, to będę się ciebie spodziewać na przyszły weekend. Z Antonią.

— Będę w kontakcie.

— Do widzenia, kochanie.

Odjechali. Ona odjechała. Oliwia, w swoim pięknym, kasztanowobrazowym płaszczu, z postawionym kołnierzem z nerek, sięgającym aż do uszu i maleńkim bukietkiem tojadów zaciśniętym w dłoni. Jak dziecko. Serce Penelopy przepełnił smutek. Nasze dzieci nigdy nie przestają być naszymi dziećmi, nawet gdy są już trzydziestoośmioletnimi kobietami, odnoszącymi wielkie sukcesy w życiu zawodowym. Samemu wszystko można było wytrzymać, ale patrzeć, jak nasze dzieci cierpią ból było nie do zniesienia. Jej serce podążyło za Oliwią, wracającą do Londynu, ale jej ciało, zmęczone teraz i znużone wszystkimi zajęciami tego dnia, domagało się powrotu do domu.

Następnego ranka zmęczenie i znużenie ciągle jeszcze jej nie opuściły. Obudziła się przygnębiona i nie mogła zrozumieć dlaczego, aż przypomniała sobie o Kosmie. Padał deszcz i akurat w tę właśnie niedzielę nie spodziewała się żadnych gości, więc została w łóżku do wpół do jedenastej. Wtedy wstała, ubrała się i poszła do centrum, do miasteczka po swoje niedzielne gazety. Dzwony biły i garstka ludzi udawała się właśnie na poranne nabożeństwo. Nie pierwszy raz Penelopa żałowała, że nie była osobą prawdziwie religijną. Wierzyła, oczywiście, i chodziła do kościoła na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, bo bez wiary w coś, życie byłoby nie do zniesienia. Ale teraz, patrząc na strumień mieszkańców miasteczka, wypełniający żwirową alejkę pomiędzy nagrobkami, pomyślała, że dobrze by było przyłączyć się do nich, mając pewność znalezienia pociechy. Ale nie zrobiła tego. Nigdy przedtem, w jej wypadku, nie odniosło to żadnego skutku i było mało prawdopodobne, żeby odniosło go teraz. To nie Bóg był temu winien, raczej wynikało to z jej podejścia, jej sposobu myślenia.

Wróciwszy do domu, zapaliła ogień na kominku i przez jakiś czas czytała *Observera*; a potem przygotowała sobie posiłek składający się z zimnej pieczeni, jabłka i kieliszka wina. Zjadła przy kuchennym stole, po czym wróciła do salonu i ucięła sobie drzemkę. Gdy się obudziła, zobaczyła, że przestało padać, z trudem wstała z kanapy, włożyła botki, starą kurtkę i wyszła do ogrodu. Jesienią poprzycinała róże i dobrze nawiozła je kompostem, ale na krzakach było jeszcze trochę uschniętych gałązek, więc dała nura w gęstwinę kolców i zabrała się do roboty.

Jak zawsze, kiedy tym właśnie się zajmowała, straciła poczucie czasu i skupiła całą swoją uwagę na różach, toteż, gdy prostując obolałe plecy, zauważyła dwie postacie idące ku niej przez trawnik, była zaskoczona. Nie usłyszała bowiem nadjeżdżającego samochodu i nie spodziewała się gości. Dziewczyna i mężczyzna. Wysoki i wyjątkowo przystojny młody mężczyzna, o ciemnych włosach i niebieskich oczach, z rękami w kieszeniach. Ambrose. Serce jej stanęło na ułamek sekundy, ale zaraz oprzytomniała, mówiąc sobie, że zachowuje się jak idiotka, bo przecież to nie był Ambrose wychodzący ku niej z przeszłości, tylko jej syn Noel,

który tak bardzo przypominał swojego zmarłego ojca, że jego niespodziewane pojawienie się już nie raz zrobiło na niej to niesamowite wrażenie.

Noel. Oczywiście, jak zwykle z dziewczyną.

Wzięła się w garść, postarała się uśmiechnąć, włożyła sekatory do kieszeni, ściągnęła rękawice i ostrożnie wysunęła się z krzaków róż.

— Cześć, mamó. — Doszedłszy do niej, ciągle trzymając ręce w kieszeniach, pochylił się i lekko pocałował ją w policzek.

— Co za niespodzianka. Skąd się tutaj wzięłeś?

— Spędzaliśmy weekend w Wiltshire, więc postanowiliśmy wpaść tu w drodze powrotnej i zobaczyć, jak się miewasz.

Wiltshire? Wpaść po drodze z Wiltshire? Przecież musieli zboczyć z drogi o mnóstwo kilometrów.

— To jest Amabel.

— Bardzo mi miło. »

— Cześć — powiedziała Amabel, nie wykonując najmniejszego gestu powitania. Była drobna jak dziecko, z włosami jak morskie wodorosty i okrągłymi, bladozielonymi oczami, jak dwie kulki agrestu. Miała na sobie ogromny tweedowy płaszcz, sięgający jej do kostek, który wydawał się Penelopie dziwnie znajomy i w którym po chwili, przyglądając się, rozpoznała stary płaszcz Lawrence'a Sterna. Płaszcz ten zniknął tajemniczo w czasie przeprowadzki z domu przy ulicy Oakley.

Zwróciła się do Noela.

— Spędziliście weekend w Wiltshire. A u kogo byliście? *

— U ludzi nazwiskiem Early, znajomych Amabel. Ale wyjechaliśmy stamtąd po lunchu. Pomyślałem sobie, że nie widziałem cię, odkąd byłaś w szpitalu, więc wpadnę i zobaczę, jak się czujesz. — Spojrzał na nią, obdarzając ją jednym ze swoich najbardziej promiennych uśmiechów. — Muszę powiedzieć, że wyglądasz fantastycznie. Myślałem, że znajduję cię bladą i słabą, leżącą na kanapie.

Wzmianka o szpitalu zirytowała Penelopę.

— To była tylko głupia panika. Nic mi nie jest. Jak zwykle Nancy zrobiła z igły widły. Nie cierpię, kiedy się robi szum wokół mnie zupełnie niepotrzebnie. — Ale po chwili poczuła wyrzuty sumienia, bo to rzeczywiście było bardzo miłe z jego strony, że przyjechał taki kawał drogi tylko po to, żeby ją zobaczyć. — Jesteś kochany, że się o mnie troszczyłeś, ale ja naprawdę świetnie się czuję. To bardzo miło widzieć was oboje. Która to godzina? Wielkie nieba, prawie wpół do piątej. Co byście powiedzieli na filiżankę herbaty? Chodźmy do środka i zjemy sobie podwieczorek. Wprowadź Amabel do domu, Noel. Na kominku w salonie jest niezły ogień. Zaraz tam do was dojdę, gdy tylko uporam się z tymi buciskami.

Tak właśnie zrobił, idąc powoli ku drzwiom cieplarni. Patrzyła za nimi, a potem sama poszła do domu, wchodząc przez pomieszczenie z ogrodniczymi narzędziami, gdzie zdjęła botki i powiesiła kurtkę, po czym poszła na górę. Przeszła przez puste sypialnie do swojego pokoju. Umyła ręce i przyczesła włosy. Zeszła drugimi schodami, do kuchni. Tu nastawiła wodę na herbatę i przygotowała tacę. W puszcze znalazła trochę keksu. Noel uwielbiał keks, a ta dziewczyna wyglądała tak, jakby przydało się jej trochę dożywiania. Penelopa zastanawiała się, czy ona nie cierpi na anoreksję. Wcale by jej to nie zdziwiło. Noel wynajdował sobie najprzedziwniejsze dziewczyny.

Zrobiła herbatę i zaniósła tacę do salonu. Amabel, która zdjęła już z siebie płaszcz Lawrence'a, przycupnęła w kącie kanapy jak chudy kot, podczas gdy Noel kładł nowe polana na dogasający ogień w palenisku. Penelopa postawiła tacę, a Amabel powiedziała:

— Co za szałowy dom!

Penelopa starała się przekonać trochę do niej.

— Tak. Jest przytulny, prawda?

Agrestowe oczy zwróciły się ku *Poszukiwaczom muszelek*.

— Ale szałowy obraz!

— Wszyscy go podziwiają.

— Czy to Kornwalia?

— Tak. Porthkerris.

— Tak myślałam. Byłam tam raz na wakacjach, ale cały czas padało.

— A to pech — nic innego nie przyszło jej na myśl. Starowała się więc wypełnić powstałą pauzę nalewaniem herbaty. Kiedy to już zostało zrobione, filiżanki rozdane i keks pokrajany, zaczęła znów rozmowę.

— A teraz opowiedzcie mi o waszym weekendzie. Czy dobrze się bawiliście?

Tak, odparli. Był udany. Zaproszonych było dziesięć osób. W sobotę rano przejażdżka konna po okolicy, proszony obiad w innym domu, a potem tańce. Poszli do łóżka dopiero o czwartej nad ranem.

Penelopie wydało się to niewyraźalnie okropne, ale powiedziała:

— To musiało być miłe.

Wydawało się, że dla nich temat został wyczerpany, więc zaczęła opowiadać, co wydarzyło się u niej. Opowiedziała o wizycie Oliwii i jej amerykańskim przyjacielu. Amabel powstrzymała się od ziewnięcia, a Noel, który przysiadł na niskim stołeczku blisko ognia, postawiwszy filiżankę herbaty na podłodze i złożywszy swoje długie nogi jak scyzoryk, słuchał uprzejmie, ale Penelopa wyczuwała, że bez zbytniego zainteresowania. Zastanowiła się, czy powiedzieć mu o Kosmie, i zdecydowała, że tego nie robi. Myślała też, czy powiedzieć mu, że przyjedzie Antonia i zamieszka na jakiś czas w Podmore's Thatch, ale stwierdziła, że to nie ma

sensu. Nigdy nie poznał Kośmy i niewiele interesował się sprawami rodziny. Prawdę mówiąc, nic prawie go nie interesowało poza nim samym, gdyż był podobny do ojca nie tylko z wyglądu, ale i z charakteru.

Właśnie miała zamiar zapytać go o jego pracę i o to, jak mu idzie, już otwierała usta, gdy on uprzedził ją, niespodziewanie zabierając głos:

— Mamo, mówiąc o Kornwalii... (Czy rzeczywiście o niej rozmawiali? — przemknęło przez myśl Penelopie...)... czy wiesz, że jeden z obrazów twojego ojca będzie wystawiony na aukcji u Boothby's? *Roznosiciele wody*. Nieoficjalnie mówi się, że mógłby pójść za mniej więcej dwieście tysięcy. Ciekawe, czy tak rzeczywiście się stanie.

— Tak. Wiem. Oliwia wspominała o tym wczoraj w czasie lunchu.

— Powinnaś wybrać się do Londynu. Być przy tym, gdy stuknie młotek. Mogłoby być zabawnie.

— A ty pójdziesz?

— Jeśli uda mi się wyjść na chwilę z pracy.

— To nadzwyczajnie, jak bardzo te dawne dzieła stały się modne. A te ceny, jakie ludzie płacą! Biedny tata przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, za ile idą dzisiaj te obrazy.

— Agencja Boothby's musiała zrobić fortunę na nich. Czy widziałaś ich ogłoszenie w niedzielnym wydaniu *Timesa*?

— Jeszcze nie czytałam *Timesa*.

Gazeta leżała złożona na poręczy fotela. Noel sięgnął po nią, otworzył i znalazłszy to, czego szukał, podał jej. W dolnym rogu strony zobaczyła jedno z regularnych reklam-ogłoszeń, które zamieszczała Agencja Pośrednictwa Sprzedaży Dziel Sztuki Boothby's.

Pomniejsze dzieło czy wielkie odkrycie?

Skierowała wzrok na drobny druk. Okazało się, że na aukcji pokazano dwa małe obrazy olejne o podobnym, wydawać by się mogło, stylu i o podobnym temacie. Jeden z nich sprzedano za trzysta czterdzieści funtów, a drugi za ponad szesnaście tysięcy funtów. Świadoma, że Noel nie spuszcza z niej oka, czytała dalej.

Aukcje Agencji Boothby's przyczyniły się w dużym stopniu do podniesienia rangi i docenienia dzieł tego zaniedbanego wiktoriańskiego okresu. Nasze doświadczenie i fachowa rada są do dyspozycji potencjalnych klientów. Jeśli mają Państwo u siebie obraz z tego właśnie okresu i chcielibyście go wycenić, proszę zatelefonować do naszego eksperta, pana Roya Brooknera, który odwiedzi dom Państwa i będzie służyć radą, całkowicie bezpłatnie.

Dalej był adres, telefon i to wszystko.

Penelopa złożyła gazetę i odłożyła ją na bok. Noel czekał. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Dlaczego chciałeś, żebym to przeczytała?

— Po prostu myślałem, że cię to zainteresuje.

— Że zainteresuje mnie możliwość wyceny moich obrazów?

— Nie wszystkich. Tylko tych pędzla Lawrence'a Sterna.

— W celu ich ubezpieczenia? — pytała dalej Penelopa, mówiąc wciąż tym samym spokojnym tonem.

— Jeśli chcesz. Nie wiem, na ile masz je teraz ubezpieczone. Ale pamiętaj, że rynkowa cena osiąga w tej chwili szczytowy punkt. Parę dni temu sprzedano obraz pędzla Millais'a za osiemset tysięcy funtów.

— Nie posiadam obrazu Millais'a.

— A... a ty nie brałabyś pod uwagę możliwości sprzedaży?

— Sprzedaży? Obrazów mojego ojca?

— Oczywiście nie *Poszukiwaczy muszelek*, ale może *panneaux*?

— One są nie dokończone. Przepuszczalnie nie są nic warte.

— To tobie się tak wydaje. Dlatego powinnaś je dać wycenić. Kiedy się dowiesz, ile są warte, może nawet zmienisz zdanie. W końcu wiszą tam na podeście schodów, nikt ich nie widzi, sama prawdopodobnie nigdy na nie nie patrzysz. Zapewne nawet by ci ich nie brakowało.

— A skąd ty możesz wiedzieć, czy mi ich będzie brakowało, czy nie? Wzruszył ramionami.

— Próbuję zgadnąć. Przecież to i tak nie są dobre obrazy. A ich temat jest tak mdły, że można dostać nudności.

— Jeśli takie jest twoje o nich zdanie, to świetnie się składa, że nie musisz już z nimi mieszkać.

Odwrociła się od niego.

— Amabel, moja droga, czy miałabyś ochotę na jeszcze jedną filiżankę herbaty?

Noel wiedział, że gdy jego matka przybiera ton lodowaty i dystyngowany, za moment straci panowanie nad sobą i wpadnie w złość, a jeśli on będzie się upierał przy swoim, zrobi to więcej szkody niż pożytku, bo po prostu wzmocni tylko jej upór. Przynajmniej udało mu się poruszyć temat i podsunąć swój pomysł. Gdy zostanie sama, kto wie, czy nie przekona się do jego sposobu myślenia. Tak więc, z jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów i ze zbijającą z tropu, zupełnie nagłą zmianą zachowania, przyznał się do przegranej.

— W porządku. Ty wygrywasz. Nie będę już poruszał tego tematu. Odstawił filiżankę, odsunął mankiet i spojrzał na zegarek.

— Spieszycie się? — zapytała go matka.

— Nie powinniśmy zostawać zbyt długo. Przed nami długa jazda do Londynu i ruch na szosie będzie koszmarny. Mamo, czy wiesz może, czy

moja rakieta do squash⁰ jest w moim pokoju? Jestem umówiony na grę, a nie mogę jej nigdzie znaleźć u mnie w mieszkaniu.

Przyjawszy zmianę tematu z wielką ulgą, Penelopa powiedziała:

— Nie wiem. — Jego mały pokój w Podmore's Thatch był pełen pudeł i skrzyń oraz najróżniejszych części sportowego ekwipunku, ale ponieważ on zaglądał tam bardzo rzadko, a prawie nigdy nie zdarzało się, żeby spędził tu noc, nie miała pojęcia, co znajduje się w tym kłębowisku jego rzeczy. — Spróbuj sam poszukać.

— Właśnie tak zrobię. — Rozprostował złożone nogi, wstał ze słowami: — To mi zajmie tylko chwilę — i wyszedł. Usłyszały jego kroki na schodach. Amabel powstrzymała kolejne ziewnięcie, siedziała z miną zasmuconej syreny.

— Czy od dawna znasz Noela? — zapytała Penelopa, nie znosząc siebie za ton, który jej samej wydał się nadęty i formalny.

— Około trzech miesięcy.

— Mieszkasz w Londynie?

— Moi rodzice mieszkają w Leicestershire, ale ja mam mieszkanie w Londynie.

— Czy masz jakąś pracę?

— Tylko kiedy muszę.

— Czy napiłabyś się jeszcze filiżankę herbaty?

— Nie, ale chętnie zjem jeszcze kawałek ciasta.

Penelopa dała jej jeszcze jeden kawałek. Amabel zjadła go. Penelopa zastanawiała się, czy dziewczyna zauważyłaby, gdyby Penelopa wzięła gazetę i zaczęła ją czytać. Myślała też, jak uroczy potrafia być młodzi ludzie i jak kompletnie pozbawiające wszelkiego uroku było to, że nikt nie nauczył Amabel, żeby jadła z zamkniętą buzią.

W końcu poddała się, wzięła tacę z naczyniami po herbacie i zanosła ją do kuchni, zostawiając Amabel, która wyglądała, jakby za chwilę miała zasnąć. Gdy skończyła myć filiżanki i spodeczki, Noel ciągle jeszcze się nie pojawił. Przypuszczalnie nadal szukał zaginionej rakiety do squash. Myśląc, że mu pomoże, poszła na górę kuchennymi schodami, a potem, idąc przez sypialnie, doszła do jego pokoju. Drzwi były otwarte, ale Noela nie było w środku. Zdziwiona Penelopa zawahała się, gdy usłyszała nad sobą skrzypienie ostrożnych kroków. Strych? Co on robił na strychu?

Spojrzała w górę. Stara drewniana drabina wiodła do kwadratowego otworu w suficie.

— Noel?

W chwilę później się pojawił. Najpierw jego długie nogi, potem reszta, przepchnął się przez otwór w suficie i zszedł po drabinie.

— Cóż ty, na Boga, robiłeś tam na górze?

⁰ squash — gra w piłkę odbijaną o mur (przyp. tłum.)

Stanął koło niej. Na marynarce przyczepiły się jakieś kłaczki, a we włosach miał pajęczynę.

— Nie mogłem znaleźć tej rakiety — odparł. — Myślałem, że może jest na strychu.

— Oczywiście, że nie ma jej na strychu. Na strychu są tylko stare rupiecie z domu przy ulicy Oakley.

Zaśmiał się, otrzepując ubranie.

— Co racja, to racja.

— Musiałeś źle szukać. — Weszła do zagraconego, małego pokoju, odsunęła parę płaszczy i ochraniacze na nogi, do gry w cricketa i natychmiast znalazła pod nimi rakiety do squasha. — Tu jest, idioto. Zawsze byłeś beznadziejny, jeśli chodziło o znajdowanie rzeczy.

— A niech to diabli. Przepraszam. Dziękuję ci bardzo, w każdym razie.

Wziął od niej rakiety. Obserwowała go, ale nie zauważyła nic podejrzanego w wyrazie jego twarzy. Powiedziała:

— Amabel miała na sobie płaszcz mojego ojca. Kiedy go zabrałeś? To też wcale go nie zmieszało.

— Zwinąłem go w czasie przeprowadzki. Nigdy go nie nosiłaś, a on jest tak wspaniale dystyngowany.

— Powinieneś był się zapytać.

— Wiem. Chcesz go z powrotem?

— Oczywiście, że nie. Zachowaj go sobie. — Pomyślała o Amabel w nieco wyblakłym splendorze tego płaszcza. Amabel i, bez wątpienia, niezliczone inne dziewczyny. — Jestem pewna, że zrobisz z niego lepszy użytek, niż ja bym potrafiła.

Znaleźli Amabel śpiącą. Noel obudził ją, ziewając, z trudem wstała, z nieprzytomnym wzrokiem. Pomógł jej włożyć płaszcz, pocałował matkę na pożegnanie i wyszli. Kiedy już odjechali, wróciła do środka. Zamknęła drzwi i stanęła w kuchni, przepełniona uczuciem niepokoju. Co on miał nadzieję znaleźć na tym strychu? Doskonale wiedział, że rakiety do squasha tam nie było, a więc czego szukał?

Weszła do salonu, dołożyła polano do ognia. Niedzielne wydanie *Timesa* leżało na podłodze, tam gdzie je upuściła. Schyliła się, podniosła gazetę i jeszcze raz przeczytała ogłoszenie agencji Boothby's. Potem podeszła do biurka, znalazła nożyczki i ostrożnie wycięła ogłoszenie, po czym schowała je do jednej z małych szufladek w swoim biurku.

W środku nocy obudziła się nagle przestraszona. Wzdrygnęła się. Na zewnątrz szumił wiatr; było bardzo ciemno i znowu padało. Okna pobrękiwały i krople deszczu uderzały o szybę. „Byłam tam raz, ale cały czas padało” — powiedziała Amabel. Porthkerris. Pamiętała deszcz, przywiewany znad Atlantyku na podmuchach wiatru. Pamiętała, swoją

sypialnię w Carn Cottage, gdzie leżąc tak jak teraz w ciemności, słyszała fale rozbijające się daleko w dole, na plaży; firanki powiewały w otwartym oknie, a snop światła z latarni morskiej przebiegał po białej ścianie. Pamiętała ogród, z cudownym zapachem escallonii⁰, ścieżkę, która prowadziła na wrzosowiska i widok z samej góry, widok na zatokę i lśniący błękit morza. Morze było jednym z powodów, dla których tak pragnęła tam wrócić. Gloucestershire było piękne, ale nie było tu morza, a ona tęskniła za morzem. Przeszłość to jest inny kraj, ale można go odwiedzić. Nic nie powstrzymało jej od wyjazdu. Sama czy w towarzystwie — to nie miało znaczenia. Zanim będzie za późno, wyruszy drogą na zachód, w kierunku tej poszarpanej łąpy z pazurami, bo tak właśnie na mapie Anglii wyglądała Kornwalia. Pojedzie tam, gdzie kiedyś żyła, kochała i była młoda.

⁰ escallonia — krzew o opadających liściach, ale bardzo odporny na wiatr i z tego względu sadzony jako żywopłot w miejscowościach nadmorskich; o kwiatach karmazynowych, czerwonych lub białych (przyp. red.)

ROZDZIAŁ 6

LAW REN CE

Miała dziewiętnaście lat. Pomiedzy serwisami informacyjnymi, wysłuchiwanymi z niepokojem, radio grało takie melodie jak „Deep Purple”⁰ i „These Foolish Things”²⁾, a także muzykę z ostatniego filmu Freda Astaire'a i Ginger Rogers. Przez całe lato miasto pękało od urlopowiczów. W sklepach pełno było wiaderek i łopatek, i piątek plażowych, pachnących gumą w gorącym słońcu, a eleganckie panie przebywające na wakacjach w Hotelu Castle, szokowały lokalnych mieszkańców, przechadzając się po ulicach w strojach plażowych i opalając się w odważnych dwuczęściowych kostiumach. Teraz większość letników już wyjechała, ale na plaży było jeszcze paru, i kosze oraz budki kąpielowe nie zostały jeszcze zlikwidowane. Penelopa, idąc brzegiem morza widziała dzieci pod opieką umundurowanych niań, które siedziały na leżakach i robiły na drutach, mając oko na swoich małych pupilków, którzy budowali zamki z piasku albo piszcząc wbiegali w płytkie fale.

Był ciepły i słoneczny niedzielny poranek, zbyt piękny, żeby siedzieć w domu. Prosiła Sophie, żeby z nią poszła, ale Spohie wolała zostać w kuchni i przygotować lunch, Penelopa zostawiła ją więc krajającą jarzynę do potrawki z kury. A papa po śniadaniu włożył stary kapelusz z szerokim rondem i poszedł do swojej pracowni. Stamtąd właśnie miała go zabrać Penelopa. Wróćą razem, spacerem pod górę, do Carn Cottage, na oczekujący ich tradycyjny, południowy posiłek.

— Nie pozwól mu wstąpić do pubu, kochanie. Nie dzisiaj. Przeprowadź go prosto do domu.

Obiecała. Do czasu, gdy zasiądą do potrawki, przygotowanej przez Sophie, wszystko będzie jasne. Będą już wiedzieć.

⁰ Deep Purple (ang.) Głęboki fiolet

²⁾ These Foolish Things (ang.) Te szalone rzeczy (przyp. tłum.)

Doszła do końca plaży, do skał i do trampoliny, z której można było skakać do wody. Wspięła się pod górę po cementowych stopniach i doszła do wąskiej uliczki, brukowanej kocimi łbami, wijącej się w dół pomiędzy bielonymi domkami, o nieregularnych kształtach. Było tu mnóstwo, kotów, wyjadających resztki ryb z rynsztoków, a nad głową polatywały mewy, czasami przysiadając na dachach i na kominach, żeby obserwować okolice zimnymi, żółtymi oczyma i wrzeszczeć, nie wiadomo konkretnie na co.

Na dole stał kościół. Dzwony biły na poranne nabożeństwo i o wiele więcej ludzi niż zwykle zebrało się, żeby ciężkim krokiem przejść zwirową alejką i zniknąć w ciemności, za wielkimi dębowymi drzwiami. Ubrani w ciemne garnitury, z nabożnie włożonymi kapeluszami, z poważnymi twarzami, krocząc powoli i dostojnie, przybyli ze wszystkich stron miasta. Nie było wiele uśmiechów i nikt nie pozdrawiał się nawzajem, mówiąc „dzień dobry”.

Było za pięć jedenasta. W porcie zaczął się przypływ i przywiązane do nabrzeża łodzie rybackie, podparte drewnianymi belkami powoli się przechylały. Wszystko wydało się dziwnie opuszczone, wyludnione. Widać było tylko grupkę dzieci bawiących się starym pudełkiem, a po drugiej stronie portu, jakiś człowiek pracował na swojej łodzi. Uderzenia młotka niosły się nad opuszczonym piaszczystym brzegiem.

Zegar kościelny zaczął wybijać godzinę i mewy siedzące na szczycie wieży, uniosły się chmurą białych skrzydeł, podnosząc wściekłą wrzawę, rozgniewane, że dźwięczny dzwon zakłócił ich spokój. Szła dalej, idąc powoli, z rękami w kieszeniach swetra, a małe, nagłe podmuchy wiatru rozrzucały pasma jej długich, ciemnych włosów w poprzek jej twarzy. Naraz zdała sobie sprawę ze swojej samotności. Wokół nie było nikogo. Kiedy skręciła w stromą ulicę odchodzącą od portu, usłyszała przez otwarte okna ostatnie dźwięki Big Bena. Usłyszała głos, który zaczął mówić. Wyobraziła sobie rodziny zebrane w domach, wokół radia, trzymające się blisko siebie i czerpiące pociechę z wzajemnej obecności.

Teraz była już w samym sercu dzielnicy Downalong, w starej części miasta, klucząc w zdumiewającym labiryncie wąskich, brukowanych uliczek i niespodziewanie pojawiających się skwerków, idąc w stronę północnej plaży. Słyszała już szum rozbijających się dużych fal i czuła wiatr. Targał jej bawełnianą sukienką i wicherzył włosy. Wyszła zza rogu i zobaczyła plażę. Zobaczyła sklepik pani Thomas, otwarty przez godzinę, żeby sprzedać gazety. Na stojakach na zewnątrz sklepu leżały wyłożone właśnie gazety, a nagłówki na nich były wysokie i poważne jak nagrobki. Miała parę groszy w kieszeni, a ponieważ jej żołądek, ściśnięty niepokojem, czuł się pusty, weszła i za dwa pensy kupiła sobie małą tabliczkę miętowej czekolady Cadbury.

- Wyszłaś sobie na spacer, co, kochanie? — **zapytała pani Thomas.**
- Tak. **Idę** po papę, jest w swojej pracowni.
- W taki poranek najlepiej być na dworze.
- Tak.
- A więc zaczęło się. — Wręczyła jej tabliczkę czekolady przez ladę.
- Mamy wojnę z tymi przeklętymi Niemcami, pan Chamberlain mówił.
- Pani Thomas miała sześćdziesiąt lat. Przeżyła już jedną niszczącą wojnę, tak samo jak ojciec Penelopy i miliony innych niewinnych ludzi w całej Europie. Mąż pani Thomas został zabity w 1916 roku, a jej syn, Stephen, został już powołany do Lekkiej Piechoty Księcia Kornwalii.
- Zapewne tak musiało się stać. Nie mogliśmy dalej nic nie robić, zwłaszcza odkąd ci biedni Polacy giną jak muchy.
- Właśnie. — Penelopa wzięła swoją czekoladę.
- Serdeczności dla twojego ojca, kochanie. Dobrze się miewa?
- Tak. Dobrze.
- No, to do widzenia.
- Do widzenia.

Gdy wyszła znów na ulicę, poczuła zimno. Wiatr był teraz silniejszy i jej sukienka ze swetrem nie chroniły przed przenikliwym chłodem. Odwinęła czekoladę z papierka i zaczęła ją jeść. Wojna. Spojrzała w niebo, na wół spodziewając się, że w tym momencie pojawią się na nim hordy bombowców, jak formacje dewastujące Polskę, fala za falą, które widziała w kronice filmowej. Ale na niebie były tylko chmury pędzone wiatrem.

Wojna. To było dziwne słowo. Tak jak „umarły”. Im częściej się go powtarzało, im więcej o nim myślało, tym bardziej stawało się niezrozumiałe. Chrupiąc czekoladę, szła dalej wąską, brukowaną uliczką prowadzącą do pracowni Lawrence'a Sterna, żeby go tam znaleźć i powiedzieć mu, że już czas na obiad, i że nie ma wstępować do pubu na piwo, i że wojna w końcu się zaczęła.

Jego pracownia była starym strychem na sieci, pełnym przeciągów, z wysokim sufitem i z dużym oknem, wychodzącym na północ, z widokiem na plażę i na morze. Dawno temu wstawił tu duży, okrągły piec z rurą jako kominem, wychodzącą na dach, ale nawet kiedy w piecu aż huczało, nigdy nie było tu ciepło.

Teraz też nie było tu ciepło.

Lawrence Stern nie pracował już od dziesięciu lat, ale narzędzia jego rzemiosła leżały rozrzucone wszędzie dookoła, tak jakby w każdej chwili mógł wziąć je do ręki i zacząć znów malować. Sztalugi, płótna, na pół zużyte tubki farby, paleta z zaschniętymi farbami. Krzesło dla modelu stało na udrapowanym podium, a na rozchwierutany stoliku leżała głowa z gipsu i stare numery *The Studio*. W całym pomieszczeniu unosił się głęboko nostalgiczny zapach, olejna farba i terpentyna, zmieszane ze słonym wiatrem, który wpadał przez otwarte okno.

Zobaczyła drewniane deski do surfingu ułożone w kącie i kąpielowy ręcznik w paski, rzucony na krzesło, zapomniany. Zastanawiała się, czy będzie jeszcze kiedyś lato i czy te rzeczy jeszcze kiedyś będą używane.

Przeciąg zatrzasnął za nią drzwi. Lawrence Stern odwrócił głowę. Siedział bokiem na krześle koło okna, długie nogi założył jedna na drugą, łokieć oparł na parapecie. Patrzył na ptaki i chmury, na turkusowe, błękitne morze, na fale załamujące się bez końca.

— Papo.

Miał siedemdziesiąt cztery lata. Wysoki i dystyngowany, z twarzą opaloną i pokrytą głębokimi bruzdami i parą błyszczących, zupełnie nie wyblakłych niebieskich oczu. Jego ubranie było równocześnie eleganckie i młodzieńcze. Sprane czerwone spodnie z żeglarskiego płótna, stara, zielona marynarka sztruksowa i zamiast krawata — chustka w grochy, zawiązana pod szyją. Tylko włosy Lawrence'a zdradzały jego wiek, śnieżnobiałe i niemodnie długie. Włosy a także jego ręce, unieruchomione, powykręcane przez artretyzm, który tak tragicznie położył kres jego karierze.

— Papo.

Jego wzrok był ponury, tak jakby jej nie poznał, jakby była kimś obcym, posłańcem, przynoszącym złe wieści, których się obawiał, a którym faktycznie była. Potem nagle się uśmiechnął i uniósł rękę w dobre znany geście kochającego pozdrowienia.

— Córeczko.

Podeszła do niego. Pod jej stopami nierówna, drewniana podłoga chrzęściła od nawianego piasku, tak jakby ktoś rozsypał torbę cukru. Przyciągnął ją do siebie.

— Co jesz?

— Czekoladę miętową.

— Popsujesz sobie apetyt.

— Zawsze tak mówisz. — Odsunęła się od niego. — Chcesz kawałek? Zaprzeczył ruchem ręki.

— Nie.

Odłożyła resztę czekolady do kieszeni swetra.

— Wojna się zaczęła.

Pokiwał głową.

— Pani Thomas mi powiedziała.

— Wiem. Wiedziałem.

— Sophie przygotowuje potrawkę. Powiedziała, że mam ci nie pozwolić iść na drinka do pubu. Powiedziała, że mam cię przyprowadzić prosto do domu.

— W takim razie lepiej chodźmy.

Ale nie ruszył się. Zamknęła okna na zasuwki. Kiedy już to zrobiła, odgłos rozbijających się fal wyraźnie przycichł. Jego kapelusz leżał na

ziemi. Podniosła go i podała mu, włożył kapelusz i wstał. Wzięła ojca pod ramię i wyruszyli razem na długi spacer powrotny do domu.

Carn Cottage stał wysoko na górze ponad miastem. Mały, kwadratowy, biały dom w ogrodzie, otoczony wysokim murem. Gdy się wchodziło przez bramkę w murze i zamykało ją za sobą, to jakby się weszło do tajemniczego miejsca, gdzie nic nas nie może osiągnąć — nawet wiatr. Teraz, pod koniec lata, trawa jeszcze była bardzo zielona, a pielęgnowane przez Sophie, biegnące brzegiem ścieżki, grządki kwiatowe, pełne michałków, lwich paszczek i dalii aż płonęły od ciepłych kolorów. Po ścianie domu wspinało się różowe geranium, o bluszczowatych liściach i powojnik, który każdej wiosny, w maju, otwierał mnóstwo bladoliliowych kwiatów. Poza tym był jeszcze mały warzywnik, schowany za żywopłotem z escallonii, a z tyłu, za domem — poletko ze stawem, rozmiaru dużej kałuży, gdzie Sophie trzymała swoje kaczki i kury.

Była w ogrodzie, wyglądając ich przyjścia i zbierając bukiet dalii. Kiedy usłyszała zamykającą się bramkę, wyprostowała się i podeszła ich przywitać. Wyglądała jak mały chłopak, w spodniach, tenisówkach i biało-niebieskim swetrze w paski. Ciemne włosy, obcięte bardzo krótko, podkreślały smukłą, opaloną szyję i piękny kształt głowy. Jej oczy były duże, ciemne i błyszczące. Wszyscy mówili, że były tym, co miała najpiękniejszego, aż do momentu kiedy się uśmiechała i wtedy nie byli już pewni.

Była żoną Lawrence'a i matką Penelopy. Była Francuzką. Jej ojciec, Philippe Charlroux, i Lawrence byli przyjaciółmi i dzielili wspólną pracownię, w tych dawnych, beztroskich czasach przed wojną 1914 roku. Lawrence znał ją najpierw jako małe dziecko, bawiącą się w ogrodach Tuileries i czasami towarzyszącą swojemu ojcu i jego przyjaciołom w kawiarnianych spotkaniach, w czasie których popijali i zabawiali się nieszkodliwym flirtowaniem z pięknymi dziewczynami z miasta. Wszyscy oni bardzo się przyjaźnili i nie wyobrażali sobie nawet, że ta przyjemna egzystencja może się kiedykolwiek skończyć. Ale przyszła wojna i rozerwła, zniszczyła nie tylko ich więzy przyjaźni, ale całe rodziny, kraje, całą Europę i cały ich świat.

Stracili siebie z oczu. W roku 1918 Lawrence miał już po pięćdziesiątce. Ponieważ był za stary, żeby być żołnierzem, spędził te cztery okropne lata jako kierowca karetki we Francji. W końcu, ranny w nogę, został odesłany do domu jako inwalida. Ale żył. Inni nie mieli tyle szczęścia. Wiedział, że Philippe nie żyje. Ale nie wiedział, co stało się z jego żoną i dzieckiem. Kiedy wszystko już się skończyło, pojechał ich szukać do Paryża, ale to było beznadziejne. Paryż był smutny, zimny i głodny. Co druga osoba, wydawało się, nosiła żałobę, a ulice miasta, które przedtem zawsze napełniały go zachwytem, teraz straciły swój czar. Wrócił do

Londynu, do starego rodzinnego domu na ulicy Oakley. Jego rodzice już nie żyli i dom był zdecydowanie za duży i za rozległy dla jednej osoby. Rozwiązał ten problem, zajmując tylko parter i suterенę, a wynajmując wyższe piętra komukolwiek, kto potrzebował pokoju i był w stanie zapłacić mu choć niewielki czynsz. W dużym ogrodzie za domem miał pracownię. Otworzył ją, oczyścił z brudu i rupieci, których się tam nazbierało, i zostawiając zdecydowanie za sobą wspomnienia z wojny, wziął pędzel do ręki i zaczął życie od nowa.

Ciężko mu szło. Pewnego dnia, kiedy męczył się właśnie nad jakąś diabelnie trudną kompozycją, jeden z jego lokatorów przyszedł mu powiedzieć, że ma gościa. Lawrence był wściekły, już i tak do szafu doprowadzała go frustracja, a w dodatku nie cierpiał, gdy przerywano mu w pracy. Ze złością rzucił pędzle i wytarłszy ręce kawałkiem szmaty, poszedł zobaczyć, kto to mógł być. Wszedł do kuchni przez drzwi od ogrodu. Przy piecu stała młoda dziewczyna, z rękami wyciągniętymi w stronę bijącego z niego ciepła. Sprawiała wrażenie przemarzniętej do szpiku kości. Nie poznał jej.

— Czego pani chce?

Była bardzo chuda, z ciemnymi włosami, związanymi w niezbyt udany koczek z tyłu głowy. Miała na sobie stary, cienki paltocik, spod którego krzywo wystawał rąbek sukienki. Jej buty rozlatywały się i wyglądała na jakąś bezdomną sierotę, na porzucone dziecko.

— Lawrence — powiedziała cicho.

Coś w tym głosie poruszyło jego pamięć. Podeszedł do niej, ujął pod brodę i obrócił twarzą w stronę okna, w stronę światła.

— Sophie.

Prawie nie mógł w to uwierzyć, ale...

— Tak, to ja — odparła. ^

Przyjechała do Anglii, żeby go odszukać. Została sama. Był najlepszym przyjacielem jej ojca. „Jeśli mnie się coś stanie — powiedział jej Philippe — odszukaj Lawrence'a Sterna i pojedź do niego. On ci pomoże”. A teraz Philippe nie żył i jej matka nie żyła, zmieciona przez epidemię grypy, która szalała w osłabionej wojną Europie.

— Byłem cię szukać w Paryżu — rzekł Lawrence. — Gdzie byłaś?

— W Lyonie, mieszkałam u siostry mojej matki.

— To dlaczego u niej nie zostałaś?

— Bo chciałam cię znaleźć.

Została. Przybyła, musiał przyznać, w dobrym momencie, kiedy akurat nie miał żadnej kochanki, był bowiem zmysłowym i atrakcyjnym mężczyzną i od czasu jego studenckich dni w Paryżu cały szereg pięknych kobiet przeszedł przez jego życie, jak w dobrze uporządkowanej kolejce po chleb. Ale Sophie była inna. To było dziecko. Poza tym umiała zająć się domem, z wprawą każdej dobrze wychowanej francuskiej dziewczyny,

gotując, robiąc zakupy, cerując, piorąc firanki i myjąc podłogi. Nigdy nie był tak zadbany. Z kolei ona przestała wyglądać jak wynędzniały włóczęga i chociaż ani trochę nie przytyła, to jednak jej policzki nabrały koloru, włosy kasztanowego połysku i wkrótce mogła zostać jego modelką. Przyniosła mu szczęście. Malował dobrze i sprzedawał. Dał jej trochę pieniędzy, żeby kupiła sobie coś do ubrania. Wróciła dumna, wdzięcząc się w swojej taniej sukieneczce. Była piękna i wtedy przestał o niej myśleć jak o dziecku. Była kobietą i jako kobieta przyszła do niego którejś nocy, i spokojnie weszła do jego łóżka, i ułożyła się obok niego. Miała czarujące ciało i nie odtrącił jej, bo — być może po raz pierwszy w życiu — był zakochany. Została jego kochanką. Po paru tygodniach zaszła w ciążę. Lawrence, zachwycony, ożenił się z nią.

To w czasie jej ciąży pojechali po raz pierwszy do Kornwalii. Dojechali do Porthkerris, które zostało już odkryte przez malarzy z całego kraju, i gdzie się osiedliło wielu współczesnych Lawrence'owi artystów. Najpierw wynajęli ten strych, służący do suszenia sieci, który później został przemieniony w pracownię, i tam spędzili dwa zimowe miesiące, w okropnej niewygodzie i całkowitym szczęściu. Potem dowiedzieli się o Carn Cottage. Domek był do kupienia i Lawrence, mając akurat liczne zamówienia na swoje obrazy, został jego właścicielem. Penelopa urodziła się w Carn Cottage i spędzali tam każde lato, ale kiedy zaczynały dąć jesienne wichry i huragany, albo zamykali Carn Cottage, albo wynajmowali go lokatorom na zimę i wracali do Londynu, do sutereny tego przyjaznego, ciepłego, zatłoczonego domu przy ulicy Oakley. Te podróże odbywały się zawsze samochodem, bo do tego czasu Lawrence stał się już dumnym właścicielem masywnego czteroipółlitrowego bentleya, zaopatrzonego w składany, płócienny dach i wielkie reflektory typu Lucas. Miał także szerokie, skórzane pasy do przypinania złożonego dachu. Co parę lat, na wiosnę, zabierali siostrę Lawrence'a, Ethel, razem z całym mnóstwem toreb i pudeł i przejeżdżali promem do Francji. Jechali na południe, do drzew mimozy, czerwonych skał i niebieskiego morza, czyli nad Morze Śródziemne, do starych przyjaciół z paryskich, przedwojennych dni, Charlesa i Chantal Rainierów, którzy mieli tam wyblakłą willę, z okiennicami i z ogrodem pełnym cykad i jaszczurek. Przy tych okazjach wszyscy mówili po francusku, włącznie z cicią Ethel, która nabierała cech ogromnie galijskich z chwilą, gdy dobijali do Calais, strojąc się w baskijski beret, zawadiacko przekrzywiony i pałac niezliczoną ilość papierosów Gauloises. Wszędzie gdzie szli dorośli, Penelopa szła również, dziecko matki tak młodej, jak siostra i ojca tak starego, że mógłby być jej dziadkiem.

Uważała, że są idealni. Czasami, gdy była zapraszana do domów innych dzieci i musiała siedzieć przy długim, sztywnym i oficjalnym posiłku, w towarzystwie ponurych niań, które czuwały nad zachowaniem

dobrych manier przy stole, albo gdy była zmuszana do brania udziału w grach zespołowych przez jakiegoś byczkowatego ojca, zastanawiała się, jak te inne dzieci mogły znieść takie życie, ograniczone rygorami i dyscypliną, i nie mogła się doczekać, kiedy wróci do swojego domu.

Teraz Sophie nie powiedziała nic o tej nowej wojnie, która się zaczęła. Po prostu podeszła i pocałowała swojego męża, otoczyła ramieniem córkę i pokazała im kwiaty, które zerwała. Dalie. Cała eksplozja kolorów: pomarańczowe, fioletowe, szkarłatne i żółte.

— Wydaje mi się — powiedziała z uroczym akcentem, którego nigdy nie straciła — że przypominają mi Rosyjski Balet. Ale nie mają zapachu. — Uśmiechnęła się. — Nie szkodzi. Myślałam, że się spóźnicie. Cieszę się, że jednak przyszlście na czas. Chodźcie, otworzymy butelkę wina, a potem coś zjemy.

W dwa dni później, we wtorek, wojna zaczęła się na dobre. Zadzwonił dzwonek przy drzwiach frontowych, Penelopa poszła otworzyć i na progu stała panna Pawson. Panna Pawson była jedną z tych bardzo męskich pań, które pojawiały się w Porthkerris od czasu do czasu. Lawrence nazywał je „nieprzystosowane lat trzydziestych”. Nie chciały, widocznie, mieć swojego udziału w zwykłych radościach, takich jak mąż, dom i dzieci, i zarabiały na życie na różne sposoby, przeważnie związane ze zwierzętami, a więc uczyły jazdy konnej, prowadziły hodowlę psów lub fotografowały psy innych ludzi. Panna Pawson miała hodowlę spanieli King Charles⁰ i widok jej, przeganiającej te stworzenia po plaży albo ciągniętej przez nie, przez miasto, na wielu smyczach, był dobrze znany.

Panna Pawson mieszkała z panną Preedy, poważną i w nieco afektowany sposób skromną damą, które uczyła tańca. Nie tańca ludowego, nie baletu, ale jakiejś nowej, dziwnej odmiany tej sztuki, opartej na greckich motywach, głębokim oddychaniu i rytmice. Od czasu do czasu urządzała popis w Ratuszu. Kiedyś Spohie kupiła bilety i wszyscy troje przykładowie poszli. To była rewelacja. Panna Preedy i pięć jej uczennic (niektóre bardzo młode, a niektóre w takim wieku, że powinny były mieć więcej rozumu) weszły na scenę, boso, w pomarańczowych tunikach do kolan i opaskach na głowę, zsuniętych nisko na czoła. Ustawiły się w półkolu, a panna Preedy wystąpiła naprzód. Mówiąc wysokim, donośnym głosem, żeby wszyscy w całej sali mogli ją słyszeć, powiedziała, że zapewne potrzebne będzie małe wyjaśnienie, które w dalszym ciągu swego wystąpienia przedstawiła. Otóż, wydawało się, że jej metoda nie polegała na tańcu, w najczęściej przyjętym znaczeniu tego słowa, lecz na

⁰ King Charles Spaniel — miniaturowa rasa spanieli o bardzo długich uszach (przyp. red.)

serii ćwiczeń i ruchów, które same w sobie stanowiły jak gdyby przedłużenie naturalnych funkcji ciała.

Lawrence wyszeptał: „O Boże!” i Penelopa musiała mu dać kuksańca, żeby siedział cicho.

Panna Preedy mamrotała coś jeszcze przez chwilę, po czym cofnęła się na swoje miejsce i zabawa zaczęła się na dobre. Klasnęła w ręce, wydała komendę: „Raz!” i ona oraz jej uczennice położyły się na plecach jak ogłuszone lub umarłe. Zahipnotyzowana publiczność musiała wyciągać szyje, żeby je zobaczyć. Potem padło: „Dwa!” i wszystkie powoli uniosły nogi, z palcami od nóg skierowanymi ku sufitowi. Pomarańczowe tuniki opadły, ukazując sześć par obfitych, długich majtek, również pomarańczowych, ściągniętych gumką przy kolanach. Lawrence zaczął kaszleć, zerwał się na równe nogi i uciekł. W błyskawicznym tempie przebiegł przejściem między krzesłami i zniknął w drzwiach wyjściowych. Nie wrócił już i Penelopa i Sophie musiały siedzieć przez następne dwie godziny wstrząsane powstrzymywanym śmiechem; krzesła pod nimi się trzęsły, a dłońmi zasłaniały usta.

Gdy Penelopa miała szesnaście lat, przeczytała *Studnię samotności* i spojrzała wtedy na pannę Pawson i pannę Preedy innymi oczami, ale wciąż jeszcze niewinnie zdumiona ich związkiem.

A teraz panna Pawson stała w drzwiach, w swoich solidnych butach, spodniach, w zapinanej na zamek błyskawiczny kurtce, w kołnierzyku i krawacie, i berecie przekrzywionym na bakier na krótko ostrzyżonej, siwej głowie. W ręce trzymała deseczkę, z przymocowanymi do niej kartkami papieru, a przez ramię miała przewieszoną maskę gazową. Była w rynsztunku bojowym i gdyby tylko dano jej karabin i pas z nabojami, mogłaby stanowić cenny nabytek dla każdej szanującej się bandy partyzantów.

— Dzień dobry, panno Pawson.

— Czy twoja mama jest w domu, kochanie? Przyszłam w sprawie przydzielania przesiedleńców.

Sophie pojawiła się i wprowadziły pannę Pawson do salonu. Ponieważ było jasne, że była to bardzo oficjalna wizyta, więc wszystkie trzy zasiadły wokół stołu na środku pokoju, a panna Pawson odkręciła zakrętkę pióra.

— A więc — zaczęła bez żadnych uprzejmych wstępów, to była pilna sprawa, jak konferencja w Sztabie Wojskowym — ile macie pokoi?

Sophie wyglądała na lekko zdziwioną. Panna Pawson i panna Preedy były w Carn Cottage szereg razy i wiedziały bardzo dobrze, ile było pokoi. Ale panna Pawson tak świetnie się bawiła, że byłoby to bardzo małostkowe, gdyby jej to wszystko zepsuć, więc Sophie powiedziała:

— Cztery. Ten pokój, jadalnia, gabinet Lawrence'a i kuchnia.

Panna Pawson zapisała: *cztery* w odpowiedniej rubryczce swojego formularza.

— A na górze?
— Nasza sypialnia, sypialnia Penelopy, pokój gościnny i łazienka.
— Pokój gościnny?
— Nie chciałabym, żeby ktokolwiek mieszkał w pokoju gościnnym, ponieważ siostra Lawrence'a, Ethel, osoba w starszym wieku, jest sama w Londynie i jeśli zaczną się bombardowania, może zechcieć przyjechać i mieszkać z nami.

— Rozumiem. A teraz, klozety.

— Tak — zapewniła ją Sophie — mamy klozet w łazience.

— Tylko jeden klozet?

— Jest jedna ubikacja na zewnątrz, na podwórku z tyłu, od strony kuchni, ale używamy jej do przechowywania drewna.

Panna Pawson zapisała: *jeden klozet, jeden ustęp.*

— A co z poddaszem?

— Poddasze?

— Ile osób mogłoby tam spać?

Sophie była oburzona.

— Ja nie umieściłabym nikogo na poddaszu. Jest tam ciemno i pełno pajaków — a potem dodała z pewnym powątpiewaniem — przypuszczam, że dawniej służące rzeczywiście tam sypiały. Biedactwa.

To wystarczyło pannie Pawson.

— W takim razie zapiszę, że trzy osoby mogą spać u was na poddaszu. Nie można być zbyt wybrednym w tych czasach, wiecie. Nie można zapominać, że mamy wojnę.

— Czy musimy mieć u siebie przesiedleńców?

— O tak! Każdy musi. Wszyscy musimy zrobić to, co do nas należy.

— Kto to będzie?

— Prawdopodobnie mieszkańcy dzielnicy East End z Londynu. Postaram się wam załatwić matkę z dwojgiem dzieci. No to... — Zebrała papiery i podniosła się. — Muszę się zbierać. Mam jeszcze z tuzin innych domów do odwiedzenia.

Wstała wciąż jeszcze z ponurą miną i zaciśniętymi ustami. Kiedy się żegnała, Penelopa na pół spodziewała się, że zaszaluje, ale nie zrobiła tego. Po prostu odeszła przez ogród. Sophie zamknęła drzwi i odwróciła się, stając naprzeciw córki, rozdarta między śmiechem a przerażeniem. Troje ludzi mieszkających na poddaszu. Poszły na górę zobaczyć, jak to wygląda i było jeszcze gorzej, niż pamiętały. Poddasze było ciemne, brudne i zakurzone, pełne pajęczyn i śmierdzące myszami i zapoconymi butami. Sophie zmarszczyła nos i spróbowała otworzyć jedno z okien, ale się nie dało. Stare tapety, w ohydny wzorek, odklejały się od ścian. Penelopa sięgnęła i chwyciwszy za zwisający róg tapety, oderwała ją. Spadła na podłogę, poskręcana, a wraz z nią uniosła się chmura pyłu gipsowego.

— Gdybyśmy pomalowali to wszystko na biało, może nie wyglądałoby tak źle. — Podeszła do drugiego okna, przetarła kawałek szyby i wyjrzała na zewnątrz. — A stąd jest precudowny widok...

— Przesiedleńcy nie będą chcieli oglądać widoków.

— A skąd wiesz? Głowa do góry, Sophie, nie bądź taka przygnębiona. Jeśli przyjadą, muszą gdzieś spać. Albo będą spać tu, albo nigdzie.

To było jej pierwsze włączenie się w „czyn wojenny”. Zdarła tapety, pobieliała ściany i sufit, umyła okna, pomalowała ramy okienne farbą olejną i wyszorowała podłogę. Tymczasem Sophie wybrała się na licytację i kupiła dywan, trzy łóżka, mahoniową szafę i komodę, firanki, grafikę zatytułowaną *Z Valparaiso* i statuetkę dziewczynki z piłką plażową. Zapłaciła za to wszystko osiem funtów, czternaście szylingów i dziewięć pensów. Miły człowiek w płóciennej czapce i długim białym fartuchu dostarczył meble i sapiąc wniósł je na poddasze. Sophie dała mu spory kufel piwa i parę szylingów i poszedł zadowolony, a ona i Penelopa posłały łóżka, powiesiły firanki, po czym nie pozostało już nic innego, tylko czekać — mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że może jednak nie przyjadą — na przesiedleńców.

Przyjechali. Młoda matka i dwóch małych chłopców. Doris Potter, Ronald i Clark. Doris była blondynką, w ciasnej, czarnej spódnicy i z fryzurą a la Ginger Rogers. Jej mąż nazywał się Bert, został już powołany do wojska i był we Francji w Brytyjskim Korpusie Ekspedycyjnym. Jej synowie, w wieku siedem i sześć lat, nazywali się Ronald i Clark, na cześć Ronalda Colmana i Clarka Gable. Byli bardzo drobni, chudzi i bladzi, mieli pałkowate nogi i guzowate kolana, twarde, suche włosy sterczące na wszystkie strony, jak na szczotce. Wszyscy troje przyjechali pociągiem z Hackney. Nigdy nie byli nigdzie dalej niż Southend, a dzieci miały naklejki, jak na bagaż, przyczepione do zbyt małych kurtek, na wypadek, gdyby pogubili się w podróży.

Spokojne życie w Carn Cottage zostało rozbite przez przyjazd rodziny Potterów. W ciągu dwóch dni Ronald i Clark wybili szybę w oknie, zmoczyli swoje łóżka, zerwali wszystkie kwiaty z grządek Sophie, zjedli niedojrzałe jabłka i pochorowali się, i podpalili szopę z narzędziami, która spaliła się doszczętnie.

Lawrence przyjął to ostatnie wydarzenie z filozoficznym spokojem, zaznaczając tylko, że szkoda, iż oni sami nie znajdowali się w środku.

Z drugiej strony okazali się żałośnie nieśmiali i bojaźliwi. Nie lubili być na wsi, morze było za duże, bali się krów, kur i kaczek oraz stonóg. Bali się też spania na poddaszu, ale to tylko dlatego, że na zmianę straszyli się nawzajem historiami o duchach.

Posiłki stały się koszmarem, nie dlatego żeby brakło tematów do rozmowy, ale dlatego że ani Ronalda, ani Clarka nikt nie nauczył najbardziej podstawowych manier. Jedli z otwartymi ustami i pili, gdy

mieli pełne buzie, rzucali się na maselnickę i przewracali dzbanek z wodą, kłócili się i bili, a także odmawiali wprost jedzenia zdrowych i pożywnych jarzynek i deserów przygotowanych przez Sophie.

A na dodatek w domu panował odtąd nieustający hałas. Najprostszej czynności towarzyszyły wrzaski radości, wściekłości, oburzenia lub wyzwiska. Doris robiła to samo. Nie zwracała się do swoich dzieci inaczej, jak tylko krzyząc.

— Co ty wyprawiasz, ty paskudny bachorze? Jeszcze raz tak zrobisz, a strzelę cię w ucho! Popatrz na swoje ręce i kolana, są czarne. Kiedy je ostatni raz myłeś? Ty brudny smarkaczu.

Penelopa dostawała od tego zawrotu głowy, mimo to zdawała sobie sprawę z dwóch faktów. Jeden — to, że Doris, na swój szorstki i nieco prymitywny sposób, była jednak dobrą matką, bardzo przywiązaną do swoich patyczkowatych chłopaków. Drugi — to, że krzyczała na nich, to dlatego, że zapewne robiła tak zawsze, odkąd się urodzili i to na całą długość ulicy Hackney, gdyż przypuszczalnie jej matka krzyczała na nią dokładnie tak samo. Po prostu nie wiedziała, że w ogóle można inaczej. Nic też dziwnego, że ani Ronald, ani Clark nigdy na takie wołanie nie przychodzili. Wtedy ona, zamiast pójść ich poszukać, podnosiła głos o oktawę wyżej i krzyczała dalej.

W końcu Lawrence nie mógł już tego dłużej znieść i zapowiedział Sophie, że jeśli rodzinka Potterów nie uciszy się choć trochę, on będzie zmuszony spakować walizkę, opuścić dom i przenieść się do swojej pracowni. Mówił to całkiem poważnie i Sophie rozwścieczona, że postawiono ją w takiej sytuacji, wpadła do kuchni i wygarnęła Doris wszystko.

— Dlaczego wrzeszczysz na nich cały czas? — Kiedy była zdenerwowana, jej akcent stawał się znacznie silniejszy, a teraz, ponieważ była bardzo rozgniewana, jej głos brzmiał całkiem jak głos przekupki z targu rybnego w Marsylii. — Twoje dzieci są tuż za rogiem. Nie musisz tak wrzeszczeć, mon Dieu, to jest mały dom i doprowadzasz nas wszystkich do szału.

Dla Doris był to szok, ale miała na tyle zdrowego rozsądku, że się nie obraziła. Była dziewczyną o dość łagodnym usposobieniu, a poza tym bystrą. Zdawała sobie sprawę, że trafiając do Sternów miała szczęście. Słyszała już parę okropnych opowieści od innych przesiedlonych rodzin i nie chciała, żeby ją przeniesiono do jakiejś nadętej krowy, która traktowałaby ją jak służącą i kazała jej mieszkać w kuchni.

— Przepraszam — powiedziała dość beztrosko. Uśmiechnęła się szeroko. — Ja już taka jestem.

— A twoi chłopcy — mówiła dalej Sophie, troszkę już spokojniejszym tonem, ale postanowiła kuć żelazo póki gorące — muszą się nauczyć zachowywać przy stole. Jeśli ty nie potrafisz ich nauczyć, to ja to zrobię.

Muszą także przychodzić, kiedy się ich woła. Na pewno będą bardziej posłuszni, jeśli będziesz mówić cicho. Nie są głusi, ale ogłuchną, jeśli będziesz wrzeszczeć.

Doris wzruszyła ramionami.

— W porządku — zgodziła się dobrodusznie. — Spróbujemy. A teraz, co do tych ziemniaków na obiad, chcesz, żebym ci je obrała?

Po tej scenie sytuacja się poprawiła. Hałas się zmniejszył, dzieci, napominane przez Sophie i Penelopę, na zmianę, nauczyły się mówić proszę i dziękuję, jeść z zamkniętymi ustami i prosić o podanie soli i pieprzu. Nawet Doris zaraziła się tym trochę i zachowywała się całkiem wykwintnie, zaginając mały palec i delikatnie dotykając kącików ust serwetką. Penelopa wzięła chłopców na plażę i nauczyła ich budować zamki z piasku, a oni stali się tak odważni, że nawet dali się namówić na brodzenie w wodzie po kostki. A potem zaczęła się szkoła i nie było ich w domu przez większą część dnia. A Doris, która dotąd myślała, że każda zupa pochodzi z puszki, zaczęła się trochę uczyć podstaw gotowania i pomagała w pracach domowych. Jakoś się ułożyło. Nigdy nie miało być już tak jak dawniej, ale przynajmniej było znośniej.

Pokoje na drugim piętrze domu przy ulicy Oakley zajmowali Piotr i Elżbieta Cliffordowie. Inni lokatorzy przychodzili i odchodzili, ale oni mieszkali tam od piętnastu lat i przez ten czas stali się najbliższymi przyjaciółmi Sternów. Piotr miał siedemdziesiąt lat. Zrobił doktorat z psychoanalizy, studiował w Wiedniu, u Freuda i zakończył zawrotną karierę w jednej z londyńskich klinik. Na emeryturze nie przestał jednak pracować i co roku wracał do Wiednia, żeby wykładać na tamtejszym uniwersytecie.

Nie mieli dzieci i gdy jechał wygłaszać wykłady, zawsze towarzyszyła mu żona. Elżbieta, o parę lat młodsza od Piotra, była — w swojej dziedzinie — równie wybitna. Przed wyjściem za mąż wiele podróżowała, studiowała w Niemczech i we Francji i napisała szereg znakomicie przemyślanych powieści, artykułów i esejów, po części politycznych, uznanych za klejnoty precyzyjnej, naukowej kompozycji, dzięki którym zaszła sobie na znakomitą, międzynarodową reputację.

To właśnie Cliffordowie pierwsi uświadomili Lawrence'owi i Sophie, jak ponure rzeczy dzieją się w Niemczech. To ze Sternami rozmawiali długo w nocy, siedząc przy kawie i brandy, przy zasuniętych zasłonach, a w ich zmartwionych głosach słychać było niepokój i złe przecucia. Ale tylko z nimi. W stosunku do reszty ludzi zachowywali całkowitą dyskrecję i nie rozgłaszali swoich poglądów. Robili tak dlatego, że wielu ich przyjaciół w Austrii i w Niemczech było Żydami, a oficjalne wyjazdy Cliffordów do Wiednia stanowiły świetny parawan dla ich podziemnej działalności.

Pod okiem władz, podejmując ogromne ryzyko, nawiązywali kontakty, dostarczali paszporty i załatwiali bilety na podróż, pożyczali pieniądze. Dzięki ich przedsiębiorczości i męstwu szeregu żydowskim rodzinom udało się wydostać z kraju, uciec przez strzeżone granice do bezpiecznej przystani w Anglii, skąd niektórzy jechali dalej do Stanów. Wszyscy przyjeżdżali bez grosza, gdyż byli zmuszeni zostawić swoje posiadłości, majątek i bogactwa, ale przynajmniej byli wolni. Ta niebezpieczna praca trwała aż do początku 1938 roku. Wtedy to władze nowego reżimu dały im do zrozumienia, że nie są już mile widziani. Ktoś musiał donieść. Byli podejrzani i znaleźli się na czarnej liście.

W styczniu, na początku nowego roku 1940 Lawrence, Sophie i Penelopa odbyli naradę rodzinną. W sytuacji, gdy Carn Cottage pękał w szwach, a Doris i jej dzieci zostali zakwaterowani przypuszczalnie na cały okres wojny, nie było mowy o powrocie do Londynu na ulicę Oakley. Ale Sophie nie chciała po prostu porzucić ich londyńskiego domu. Nie widziała go od sześciu miesięcy i chciała sprawdzić, jak mają się lokatorzy, uszyć zasłony zaciemniające do sutereny, zrobić listę pozostawionych rzeczy i znaleźć kogoś chętnego do okopywania ogrodu. Chciała też zabrać ich zimowe rzeczy, bo zrobiło się bardzo zimno, a Carn nie miał centralnego ogrzewania, i chciała zobaczyć się z Cliffordami.

Lawrence uznał, że to świetny pomysł. Niezależnie od wszystkiego bardzo się martwił o swój obraz *Poszukiwacze muszelek*, który wisiał nad kominkiem w ich sypialni. Gdy zaczną się bombardowania, co z pewnością się stanie, obraz może ulec zniszczeniu.

Sophie powiedziała mu, że zajmie się *Poszukiwaczami muszelek*, załatwi, żeby obraz, zabezpieczony w odpowiednim opakowaniu, przetransportować do względnie bezpiecznego Porthkerris. Zadzwoiła do Elżbiety Clifford, że przyjeżdżają. W trzy dni później wszyscy troje udali się na stację i Sophie z Penelopa wsiadły do pociągu. Lawrence nie jechał z nimi. Postanowił zostać, żeby mieć oko na dom. Doris miała nad nim roztoczyć czułą opiekę i była, zdaje się, całkiem zadowolona z tego odpowiedzialnego zadania. Było to pierwsze rozstanie od czasu ich ślubu i Sophie tonęła we łzach, kiedy pociąg odjeżdżał, jakby się bała, że już go więcej nie zobaczy.

Podróż zdawała się trwać całą wieczność. W pociągu panowało lodowate zimno, nie było wagonu restauracyjnego, a w Plymouth dosiadła się ogromna grupa żołnierzy marynarki wojennej, którzy zapełnili wszystkie przedziały, a korytarze zawalił plecakami i workami, wszędzie pełno było marynarzy palących papierosy i grających w karty. Penelopa została ściśnięta w swoim kącie, obok niej zwałił się młody chłopak, w sztywnym i niewygodnym, nowiutkim mundurze i kiedy pociąg ruszył, natychmiast zasnął, z głową na ramieniu Penelopy. Wcześniej zrobiło się ciemno i nic można już było czytać przy nikłym,

przyćmionym świetle. A żeby jeszcze pogorszyć sytuację, pociąg musiał zatrzymać się na dłużej w Reading i w końcu dojechał do stacji Paddington w Londynie z trzygodzinnym opóźnieniem.

Zaciemniony Londyn był jak nieznanne, tajemnicze miasto. Udało im się, dzięki wielkiemu szczęściu, znaleźć taksówkę, którą pojechała z nimi jeszcze jakaś para nieznanomych ludzi, udających się w tym samym kierunku. Taksówka posuwała się ciemnymi, na pół opustoszałymi ulicami, lał deszcz i było wciąż jeszcze przenikliwie zimno. Penelopa poczuła się przygnębiona. Powrót do domu nigdy jeszcze taki nie był.

Ale Elżbieta, uprzedzona o ich przyjeździe, czekała na nie i nasłuchiwała przyjeżdżającej taksówki. Kiedy zapłaciły za kurs i po omacku, w zupełnej ciemności, posuwały się w dół po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych sutereny, drzwi otworzyły się i pospiesznie wciągnięto je do środka, zanim promień światła zdążył przeniknąć mrok obowiązującego zaciemnienia.

— Moje biedactwa, myślałam, że już nigdy nie przyjedziecie. Jesteście tak okropnie spóźnione.

To było cudowne — być znowu razem, toteż nie obyło się bez uścisków, pocałunków, wyjaśnień i opisów okropnej podróży, i w końcu mnóstwa śmiechu, bo to była taka ulga, wreszcie znaleźć się w domu, zostawiając za sobą pociąg, zimno i ciemność.

Dobrze znany, duży pokój ciągnął się przez całą szerokość domu. Ta część od ulicy to była kuchnia-jadalnia, a ta od ogrodu to był salon. Teraz było tu jasno, gdyż Elżbieta utkała koce w oknach, w zastępstwie zasłon zaciemniających, zapaliła w piecu, na którym powoli gotował się rosół z kury, a imbryk właśnie zaczynał mruścić. Sophie i Penelopa zdjęły płaszcze, ogrzały ręce, a Elżbieta zrobiła pełen czajnik herbaty i cały stos grzanek cynamonowych. Wkrótce siedziały już przy stole, tak jak zawsze, jedząc zaimprovizowany posiłek (Penelopa umierała z głodu) i gadając, wszystkie naraz, dzieląc się wiadomościami z wielu długich miesięcy. Przygnębienie zniknęło, a uciążliwa podróż pociągiem należała już do przeszłości i została zapomniana.

— A jak się miewa mój drogi Lawrence?

— Wspaniale, ale martwi się o *Poszukiwaczy muszelek*, gdyby dom zbombardowano, obraz uległby zniszczeniu. To jeden z powodów, dla których tu jesteśmy, żeby dobrze go zapakować i wziąć z sobą do Kornwalii. — Sophie zaśmiała się. — Nie wydaje się martwić o jakąkolwiek inną rzecz, która do niego należy.

— A kto się nim zajmuje?

Opowiedziały jej o Doris.

— Przesiedleńcy! Biedactwa, toż to inwazja dla was — mówiła dalej, opowiadając im wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich paru

tygodni. — Muszę się wam do czegoś przyznać. Młody człowiek z poddasza został powołany do wojska i wyprowadził się, więc pozwoliłam młodej parze wprowadzić się na jego miejsce. To uchodźcy z Monachium. Są w tym kraju od roku, ale musieli opuścić swoje lokum w St. John's Wood i nie mieli gdzie mieszkać. Byli zrozpaczeni, więc zaproponowałam im, żeby przyszedli tutaj. Musicie mi wybaczyć moje rządzenie się w waszym domu, ale oni byli w okropnej sytuacji i wiem, że będą dobrymi lokatorami.

— Ależ oczywiście, bardzo się cieszę. To bardzo rozsądne z twojej strony. — Sophie uśmiechnęła się serdecznie. Elżbieta nigdy nie zaprzestawała swojej odważnej pracy. — Jak się nazywają?

— Friedman. Willy i Lalla. Chciałabym, żebyście ich poznały. Schodzą do mnie na kawę dziś wieczór, więc może ty przyprowadzisz Penelopę i po kolacji dołączycie do nas? Kiedy już sobie odsapniecie. Piotr nie może się was doczekać. Miło będzie pogadać, jak za dawnych czasów.

Gdy mówiła, promieniował od niej entuzjazm, to była jej najbardziej urocza i zaraźliwa cecha. Nigdy się nie zmieniała. Przystojna, pomarszczona twarz, w której żywo błyszczały oczy, była tak samo inteligentna w swoim wyrazie, jak zawsze, a gęste, kręcone, siwe włosy, związane w koczek z tyłu głowy, kołysały się niepewnie, upięte paroma czarnymi spinkami. Jej ubranie było niemodne, ale też i niestare, jakby ponadczasowe, a na rękach, z popuchniętymi stawami, mieniły się liczne pierścionki.

— Oczywiście, że przyjdziemy — powiedziała jej Sophie.

— Około dziewiątej? To będzie frajda.

Przyszły i zastały tam już Friedmanów, którzy przyszedli przed nimi. Siedzieli wokół gazowego pieca, promieniującego ciepłem, w staromodnym salonie Cliffordów. Byli bardzo młodzi, bardzo dobrze wychowani i natychmiast zerwali się na nogi, gdy ich przedstawiano. Ale Penelopa pomyślała, że byli równocześnie jakby starzy. Była w nich jakaś godność ludzi dotkniętych nagle biedą, godność, która była ponad czasem, a gdy się uśmiechali, ich uśmiech nie docierał do ich oczu.

Na początku wszystko szło dobrze. Trochę uprzejmej, wstępnej rozmowy. Dowiedziały się, że w Monachium Willy Friedman studiował prawo, ale teraz zarabiał na życie tłumaczeniami dla londyńskiego wydawcy. Lalla uczyła muzyki, dawała lekcje gry na pianinie. Lalla, na swój dziwny, błydy sposób, była piękna. Jej zachowanie świadczyło o opanowaniu, podczas gdy ręce Willy'ego drżały nerwowo; palił papierosa za papierosem i wydawało się, że jest mu trudno usiedzieć w jednym miejscu.

Był w Anglii od roku, ale obserwując go dyskretnie, Penelopa pomyślała, że robił wrażenie człowieka, któremu ledwo co udało się skądś

uciec. Przepęłniało ją współczucie dla niego. Wyobrażała sobie, jakie musiało być jego życie tutaj. Miał przed sobą ogromnie trudne zadanie zapewnienia sobie jakiejś przyszłości w obcym kraju, pozbawiony przyjaciół i kolegów, musząc zarabiać na życie w sposób nudny i nie dający satysfakcji. A także było bardzo prawdopodobne, że bez przerwy dręczył go nieznośny niepokój o rodzinę, która jeszcze mieszkała w Niemczech. Wyobrażała sobie jego ojca, matkę, braci i siostry, których los, nawet teraz, w tym momencie, mógł zostać przesądzony przez nagłą wizytę o północy. Dzwonek, pukanie do drzwi, rozdzierające noc i potwierdzające najgorsze możliwe obawy.

Po chwili Elżbieta wyszła do swojej małej kuchni i przyniosła tacę z filiżankami, gorącą kawą i talerzem ciasteczek. Piotr wydobyl butelkę koniaku Cordon Bleu i maleńkie kieliszki z kolorowego szkła. Gdy zostały rozdane, Sophie zwróciła się do Willy'ego ze swoim uroczym uśmiechem:

— Tak się cieszę, że państwo tu zamieszkali. Mam nadzieję, że będzie wam tu bardzo dobrze. Przykro mi tylko, że nas tu nie będzie, ale musimy wracać do Kornwalii, zająć się wszystkimi, którzy tam są. Nie będziemy wynajmować sutereny. Jeśli zechcemy przyjechać do Londynu odwiedzić was wszystkich, lepiej, żebyśmy mieli własne pokoje, w których się zatrzymamy. Ale kiedy zaczną się bombardowania, koniecznie używajcie sutereny jako schronu, wszyscy.

Była to propozycja rozsądna i bardzo na czasie. Jak dotąd było bardzo niewiele alarmów lotniczych i odwoływano je po bardzo krótkim czasie, ale wszyscy byli gotowi. Cały Londyn został obłożony workami z piaskiem, w parkach wykopano okopy i schrony, ustawiono zbiorniki z wodą i wypełniono je po brzegi. Specjalne balony, stanowiące barierę powietrzną, unosiły się nad miastem, a w całym mieście, schowane pod kamuflującą je siatką, rozstawione były posterunki artylerii przeciwlotniczej i obsługujący je żołnierze czekali, z minuty na minutę, z godziny na godzinę, z tygodnia na tydzień, na atak lotniczy, który miał nastąpić.

A więc sugestia na czasie i rozsądna, ale na Willy'em Friedmanie zrobiła piorunujące wrażenie.

— Tak — powiedział, jednym haustem wypił koniak i nie odmówił, kiedy Piotr bez słowa napełnił mu znowu kieliszek. Willy zaczął mówić. Był wdzięczny Sophie. Był wdzięczny Elżbiecie za jej dobroć. Gdyby nie Elżbieta, byłby bezdomny. Bez pomocy takich ludzi jak Piotr i Elżbieta on i Lalla już by zapewne nie żyli. Albo jeszcze gorzej...

Piotr wtrącił: — Ależ, Willy... — ale Willy już zaczął i zdawało się, że nie może się zatrzymać. Wypił drugi kieliszek koniaku i wyraźnie nie mógł się już opanować, bo sam sięgnął po butelkę i nalał sobie trzeci. Lalla siedziała bez ruchu, wpatrując się w swego męża okrągłymi, ciemnymi oczami, w których malowało się przerażenie, ale nie próbowała go powstrzymać.

Mówił. Potok słów zamienił się w rzekę, rozlewającą się ponad głowami pięciu zahipnotyzowanych ludzi, którzy siedzieli i go słuchali. Penelopa spojrzała na Piotra, ale Piotr skupiony i poważny, wpatrywał się tylko w biednego, młodego człowieka, ogarniętego szaleństwem. Możliwe, że Piotr wiedział, iż Willy potrzebuje mówić, że kiedyś musiał to wszystko z siebie wyrzucić, a więc dlaczego nie teraz, kiedy on i jego żona byli bezpieczni, w ciepłym pokoju, osłoniętym grubymi firankami i w obecności przyjaciół.

Ciągnęło się to dalej i dalej. Opowiadał im o rzeczach, które widział, o których słyszał, które przydarzyły się jego znajomym. Po pewnym czasie Penelopa nie chciała już słuchać i pragnęła zakryć uszy rękami, zasłonić oczy, żeby wymazać te czarne wizje. Ale słuchała dalej i powoli przepełniała ją przerażenie i obrzydzenie, które nie miały nic wspólnego z oglądaniem kronik filmowych, słuchaniem wiadomości przez radio czy czytaniem gazet. Nagle to wszystko stało się bliskie i potworny strach złapał ją za gardło. Nieludzki stosunek człowieka do człowieka był czymś plugawym i ta plugawość stawała się prywatną odpowiedzialnością każdej osoby. To więc oznaczało słowo WOJNA. To nie był tylko obowiązek noszenia ze sobą maski gazowej, zasłanianie okien i podśmiewanie się z panny Pawson, i malowanie poddasza dla przesiedleńców. To był koszmar nieskończenie bardziej przerażający i to taki, z którego nie można się było obudzić z głęboką ulgą. Trzeba go było wytrzymać i przetrwać, a tego nie można było dokonać uciekając, czy chowając głowę pod koc, lecz tylko biorąc miecz do ręki i idąc mu na spotkanie.

Nie miała miecza, ale następnego ranka wyszła wcześniej z domu, mówiąc Sophie, że idzie na zakupy. Kiedy wróciła, tuż przed porą lunchu, Sophie była zdumiona, gdyż Penelopa ewidentnie nic nie przyniosła.

— Myślałam, że poszłaś na zakupy.

Penelopa przysunęła sobie krzesło, usiadła na nim naprzeciw matki i powiedziała jej, że szła tak długo, aż dotarła do pierwszego punktu rejestrującego ochotników, weszła do środka i zgłosiła się na czas trwania wojny do WRNS^o — Pomocniczej Służby Kobiet Królewskiej Marynarki Wojennej.

^o Women's Royal Naval Service (WRNS lub Wren) — Kobieca Formacja Pomocnicza Królewskiej Marynarki Wojennej (przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ 7

ANTONIA

Niechętnie, skradając się nadchodził świt, w końcu zasnęła znowu, lecz obudziła się tym razem w ciemności, która stawała się już mętna i wiedziała, że poranek jest blisko. Było bardzo cicho. Zimne powietrze napływało przez otwarte okno i obramowane framugą drzewo kasztanowe wznosiło gołe gałęzie do szarego, bezgwiezdnego nieba.

Kornwalia, taka jaka kiedyś była, jeszcze ciągle wypełniała jej umysł, jak piękny sen, ale gdy tak leżała, sen złożył swoje skrzydła i zniknął, z powrotem w przeszłość, gdzie było jego miejsce. Ronald i Clark nie byli już małymi chłopcami, lecz dorosłymi mężczyznami i dawno już poszli w świat. Ich matka nie nazywała się teraz Doris Potter, lecz Doris Penberth, miała prawie siedemdziesiąt lat i ciągle jeszcze mieszkała w małym, białym domku, wśród starych, brukowanych kocimi łbami uliczek Porthkerris.

Lawrence i Sophie już dawno odeszli, Cliffordowie także, a domek, Carn Cottage, zniknął i wreszcie dom przy ulicy Oakley też, i dlatego jest tutaj w Gloucestershire, we własnym łóżku, we własnym domu, Podmore's Thatch. Miała — i to była właśnie jedna z tych sytuacji, gdy ten fakt był dla niej samej niespodzianką, jakby lata złożyły się jedno w drugie i spłatały jej figla — nie dziewiętnaście, a sześćdziesiąt cztery lata. Nawet nie w średnim wieku, lecz starsza pani. Starsza kobieta, z małym, głupim migotaniem w sercu, z powodu którego wyładowała w szpitalu. Starsza pani z trojgiem całkiem dorosłych dzieci i całą plejadą nowych postaci, każda ze swoimi problemami, które teraz wypełniały jej życie. Nancy, Oliwia i Noel. A także, oczywiście, Antonia Hamilton, która miała przyjechać i mieszkać u niej ... kiedy ona ma przyjechać? Pod koniec przyszłego tygodnia. Nie, pod koniec tego tygodnia. Bo dzisiaj jest poniedziałek, poniedziałek rano. Pani Plackett przychodziła w poniedziałki przed południem. Przyjeżdżała na rowerze z Pudley, solidna jak skała, zawsze niezawodna.

No, i ogrodnik. Nowy ogrodnik zaczynał dziś pracę o wpół do dziewiątej rano.

To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, dodało Penelopie energii i wyrwało ją z odrętwienia. Zapaliła lampkę nocną i spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej. Trzeba być już na nogach i ubranym, zanim przyjdzie ogrodnik, bo inaczej pomyśli sobie, że przyszedł pracować dla starej, leniwej kobiety. „Leniwy pan ma leniwego sługę”. Kto to lubił powtarzać to archaiczne przysłowie? Jej teściowa, oczywiście. Dolly Keeling. Któż by inny? Słyszała ją, mówiącą te słowa, podczas gdy przejeżdżała palcem wzdłuż półeczki nad kominkiem sprawdzając, czy nie ma kurzu, albo ścierała pościel z łóżka, żeby zobaczyć, czy zostało prawidłowo posłane. Biedna Dolly. Ona też już odeszła, zachowując pozory młodości do ostatniej chwili, ale nie zostawiając po sobie żadnego poczucia straty. To było smutne.

Wpół do ósmej. Szkoda tracić czas na wspomnianie Dolly Keeling, której zresztą nigdy nie lubiła. Penelopa wstała z łóżka.

W godzinę później była już umyta, ubrana, napaliła w piecu i otworzyła zamki we wszystkich drzwiach. Właśnie kończyła śniadanie. Wypiła mocną kawę, zjadła jajko na miękko i grzankę z miodem. Siedziała teraz nad drugą filiżanką kawy, nasłuchując odgłosu zbliżającego się samochodu. Nie miała dotychczas do czynienia z tą firmą ogrodniczą, ale wiedziała, że wysyłali swoich ludzi do pracy w zgrabnych małych, zielonych autobusikach, z napisem AUTOGARDEN, wymalowanymi dużymi, białymi literami na boku. Widziała, jak kręciły się po okolicy i wyglądały bardzo elegancko i sprawnie. Była trochę niespokojna. Nigdy w życiu nie zatrudniała jeszcze ogrodnika i miała nadzieję, że nie będzie ani gburowaty, ani uparty. Musi mu od razu bardzo zdecydowanie powiedzieć, żeby nic nie przycinał ani nie strzygł bez jej pozwolenia. Niech zacznie od czegoś bardzo prostego i łatwego. Żywopłót z głogu na końcu sadu. Może go przystrzyc. Przypuszczała, że będzie umiał posłużyć się jej małą piłą mechaniczną. Czy w garażu było dość benzyny? Może powinna pójść sprawdzić, póki jest jeszcze czas?

Nie było już czasu, bo w tym momencie jej niespokojne rozmyślenia przerwał niespodziewany odgłos kroków na żwirze, zbliżających się do domu. Penelopa odstawiła filiżankę i wstała, wyglądając przez okno. Zobaczyła go w cichym, chłodnym świetle poranka, idącego ku niej. Wysoki, młody człowiek w nieprzemakalnej kurtce koloru khaki i w dżinsach włożonych do środka czarnych kaloszy. Był z gołą głową, włosy miał brązowe. Obserwowała go; przystanął na chwilę, rozglądał się dookoła, niepewny, być może, czy wybrał dobrą drogę. Zobaczyła linię jego ramion, zarys brody i szczęki. Wczoraj, widząc zbliżającego się poprzez trawnik swego syna Noela, Penelopa doświadczyła tego dziwnego uczucia, jakby jej serce się zatrzymało, a teraz zdarzyło się to samo.

Penelopa oparła rękę na stole, zamknęła oczy. Odetchnęła głęboko. Jej galopujące serce nieco się uspokoiło. Otworzyła znowu oczy. Zadzwoił dzwonek.

Przeszła przez sieni, żeby otworzyć drzwi. Stał w progu. Wysoki, wyższy niż ona. Powiedział: — Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Pani Keeling?

— Tak.

— Jestem z Autogarden.

Nie uśmiechał się. Spod nieruchomych powiek patrzył niebieskimi jak okruchy szkła oczami. Jego twarz była szczupła i brązowa, szorstka od porannego chłodu, skóra obciągnięta ciasno na wysokich kościach policzkowych. Wokół szyi zawiązany miał czerwony, wełniany szalik, ale ręce miał gołe.

Spojrzała przez jego ramię, za niego.

— Nasłuchiwałam odgłosu samochodu.

— Przyjechałem na rowerze. Zostawiłem go przy furtce. Nie byłem pewien, czy to na pewno ten dom.

— Myślałam, że Autogarden zawsze przysyła swoich ludzi do pracy w tych zielonych autobusikach.

— Nie. Ja przyjechałem na rowerze.

Penelopa zmarszczyła brwi. Włożył rękę do kieszeni.

— Mam tu list od szefa. — Wyjął go i rozłożył. Zobaczyła nagłówek listu, dowód, że mówił prawdę. Natychmiast poczuła się zażenowana i zrobiło jej się przykro.

— Ani przez moment nie wątpiałam w autentyczność pana. Po prostu myślałam...

— To jest Podmore's Thatch?

Włożył list z powrotem do kieszeni.

— Tak. Oczywiście. Proszę, niech pan ... niech pan wejdzie.

— Nie. Nie będę pani przeszkadzał. Proszę mi tylko pokazać, co mam robić... może mi pani wskazać, gdzie pani trzyma narzędzia ogrodnicze. Ponieważ przyjechałem na rowerze, więc nie mogłem wziąć żadnych narzędzi ze sobą.

— Nic nie szkodzi. Mam wszystko co trzeba. — Wiedziała, że robi wrażenie wzburzonej, ale naprawdę była wzburzona. — Może... może pan poczeka chwilkę. Wezmę płaszcz.

— W porządku.

Poszła po płaszcz i po botki, zdjęła z haczyka klucz od garażu. Wyszła znowu przed dom i zobaczyła, że zabrał rower sprzed furtki i oparł go o ścianę domu.

— Nie będzie tu przeszkadzał?

— Nie, oczywiście, że nie.

Szła przodem, żwirową alejką prowadzącą do garażu. Otworzyła drzwi kluczem. Pomógł jej rozsunąć ciężkie drzwi, a ona zapaliła światło i ukazał się typowy dla tego rodzaju miejsca bałagan; jej volvo, trzy rowery dzieci, których nie miała serca wyrzucić, rdzewiejący wózek dziecienny, kosiarki do trawy i cała kolekcja grabi, łopat i wideł.

Ostrożnie torowała sobie drogę przez ten skład różności, kierując się ku starej komodzie, zabytku z ulicy Oakley, w której trzymała młotki i śrubokręty, zardzewiałe puszkki z gwoździami i kawałki sznurka. Na tym wszystkim leżała piła.

— Czy potrafi się pan tym posługiwać?

— Jasne.

— To lepiej zobaczmy, czy jest choć trochę benzyny.

Była, Bogu dzięki. Niewiele, ale powinno wystarczyć.

— Chciałabym, żeby pan przystrzygł mój żywopłot.

— Dobra. — Oparł piłę na ramieniu i wziął puszkę z benzyną do drugiej ręki. — Proszę mi tylko pokazać, w którym to jest kierunku.

Lecz Penelopa zaprowadziła go tam sama, chcąc mieć pewność, że się nie pomyli. Pokazując mu drogę, poszła naokoło domu, potem przez oszroniony trawnik, wąskie przejście w pierwszym żywopłocie i sad. Gęstwina głogu, splecione kolczaste gałęzie zagroziły im drogę. Za tym żywopłotem cicho szmerząc płynęła rzeczka Windrush.

— Śliczne ma pani miejsce — zauważył.

— Tak. Tak, jest śliczne. A teraz chciałabym, żeby przyciął to pan do tej wysokości. Nie niżej.

— Czy mam zachować obcięte gałązki na podpałkę?

Penelopa nie pomyślała o tym.

— A warto je zachować?

— Wspaniale się pali.

— Dobrze. Proszę zachować te kawałki, które mogą się, według pana, przydać, a z reszty zrobić tu ognisko i spalić.

— W porządku. — Postawił pojemnik z benzyną na ziemi. — To już chyba wszystko.

Powiedział takim tonem, jakby ją już zwalniał z dalszej rozmowy, ale ona nie chciała się dać zwolnić.

— Czy pan tu będzie cały dzień?

— Do wpół do piątej, jeśli to pani odpowiada. W lecie zaczynam o ósmej i kończę o czwartej.

— A co z przerwą na lunch?

— Na lunch przewidziana jest godzina. Od dwunastej do pierwszej.

— No to... — mówiła już do jego pleców — gdyby pan czegoś potrzebował, będę w domu.

Przykucnął i odkręcił zakrętkę przy silniku piły, wprawna ręką o długich palcach. Nie odpowiedział nic na jej uwagę, tylko skinął głową.

Poczuła się intruzem, jakby mu zawadzała. Odwróciła się i zaczęła wracać przez ogród, trochę zirytowana, z równocześnie rozbawiona swoim oneśmieleniem. W kuchni jej filiżanka kawy, półpusta, czekała na stole. Wypiła trochę, ale kawa była już zimna, więc wylała ją do zlewu.

Do czasu przybycia pani Plackett piła jęczała już dobre pół godziny, a z drugiego końca sadu, w nieruchomym powietrzu poranka, unosił się spiralnie dym z ogniska, wypełniając ogród przepyszny zapachem palącego się drewna.

— A więc przyszedł — stwierdziła pani Plackett, ukazując się w drzwiach, jak żaglowiec z rozwiniętymi żaglami. Jako że pogoda była jeszcze zimowa, miała na sobie futrzany kapturek, a w rękę trzymała plastikową torbę z roboczymi butami i fartuszkiem. Wiedziała o decyzji Penelopy, żeby zatrudnić ogrodnika, tak jak wiedziała prawie o wszystkim, co działo się w życiu jej chlebodawczyni. Były bardzo dobrymi przyjaciółkami i niczego przed sobą nie ukrywały. Kiedy córka pani Plackett, Linda, „wpadła” przez chłopaka, pracującego jako mechanik w Pudley, Penelopa była pierwszą osobą, której pani Plackett o tym powiedziała. Pani Keeling okazała się zresztą prawdziwą podporą, była zdecydowanie przeciwna, żeby Linda wyszła za męża za tego nicponia i zrobiła na drutach śliczny biały płaszcz dla dzidziusia. W końcu okazało się, że miała rację, gdyż wkrótce po urodzeniu dziecka Linda poznała Charlie Wheelwrighta, jednego z najsympatyczniejszych młodych ludzi, jakich pani Plackett zdarzyło się spotkać, i on ożenił się z Lindą i usynowił też małego bękarta, a teraz następny dzidzius był już w drodze. Sprawy potrafiły się jakoś same ułożyć, i to szczęśliwie. Nie da się temu zaprzeczyć. A pani Plackett pozostała wdzięczna Penelopie za jej życzliwą i praktyczną radę w trudnym okresie.

— Chodzi pani o ogrodnika? Tak, przyszedł.

— Zobaczyłam dym z ogniska, gdy pedałowaliśmy przez miasteczko.

— Zdjęła futrzany kapturek i rozpięła płaszcz. — Ale gdzie jest autobusik?

— On przyjechał na rowerze.

— Jak się nazywa?

— Nie zapytałam.

— Jaki on jest?

— Jest młody, umie się dobrze wysłowić i bardzo przystojny.

— Mam nadzieję, że nie przysłali pani jednego z tych niebieskich ptaszków.

— Nie wygląda na niebieskiego ptaszka.

— No cóż... — pani Plackett zawiązała swój fartuch — poczekamy, zobaczymy. — Potarła swoimi spuchniętymi czerwonymi rękami jedna o drugą. — Nieprzyjemny poranek. Nie tyle zimny, co wilgotny.

— Niech się pani napije herbaty — zaproponowała Penelopa, tak jak zawsze to robiła.

— Owszem, chętnie. — Jak zwykle pani Plackett nie odmówiła.

Ranek mijał powoli. Pani Plackett przegoniła odkurzacz po całym domu, wypolerowała mosiężne pręty przytrzymujące chodnik na schodach, wyszorowała podłogę w kuchni i zużyła pół puszki pasty do mebli i do podłogi, a na końcu uporała się z ogromną stertą prasowania. Za kwadrans dwunasta wyszła, żeby zdążyć podać obiad swojemu mężowi, u siebie w domu, w Pudley. Dom po jej wyjściu aż błyszczał czystością i ślicznie pachniał. Penelopa spojrzała na zegar i zaczęła przygotowywać obiad na dwie osoby. Postawiła na ogniu garnek jarzynowej zupy, domowej roboty, żeby się podgrzewała. Ze spiżarni przyniosła pół kurczaka na zimno i bochenek ciemnego chleba, z chrupiącą skórką. Był też mały półmisek musu z jabłek i śmietanka w dzbanuszkach. Nakryła stół w kuchni bawełnianym obrusem w kratkę. Gdyby było słonecznie, nakryłaby stół w cieplarni i tam podała posiłek, ale ciemne chmury wisiały nisko i dzień okazał się być bardzo brzydki. Przy nakryciu dla ogrodnika ustawiła też puszkę piwa i szklankę. Potem może zechce wypić filiżankę herbaty. Aromatycznie pachnąca zupa zaczęła bulgotać. Wkrótce powinien nadejść. Czekala.

Dziesięć po dwunastej, kiedy ciągle się nie pojawił, poszła go szukać. Znalazła bardzo porządnie przystrzyżony żywoplot, dogasające ognisko i stosik chrustu, ale ani śladu ogrodnika. Byłaby go zawołała, ale ponieważ nie znała jego imienia, nie mogła tego zrobić. Wróciła do domu, zastanawiając się, czy po tych kilku godzinach pracy nie zdecydował się dać sobie z tym spokój i nie poszedł do domu, żeby już nie wrócić. Ale z tyłu domu znalazła rower, więc wiedziała, że musiał jednak gdzieś tu być. Przeszła zwirową ścieżką do garażu i tu go znalazła, tuż za drzwiami, siedzącego na odwróconym do góry dnem wiaderku, jedzącego żałośnie wyglądającą kanapkę z białego chleba i ewidentnie całkowicie pochłoniętego rozwiązywaniem krzyżówki z ostatniego numeru *Times a*.

Była oburzona, że odkryła go w takim ciasnym, zimnym i niewygodnym miejscu.

— Na litość boską, co pan tu robi?

Poderwał się na równe nogi, kompletnie zaskoczony jej niespodziewanym pojawieniem się i tonem jej głosu, upuścił gazetę i przewrócił wiaderko, które narobiło okropnego hałasu. Miał jeszcze pełne usta kanapki, więc musiał najpierw przeżuć ją i przełknąć, zanim mógł cokolwiek powiedzieć. Zaczerwienił się, najwyraźniej był ogromnie zażenowany.

— Ja... ja jem mój lunch.

— To ma być lunch?

— Od dwunastej do pierwszej. Powiedziała pani, że to będzie w porządku.

— Ale nie tutaj. Nie — siedząc na wiaderku w garażu. Musi pan przyjść do domu i zjeść lunch ze mną. Myślałam, że pan to zrozumiał.

— Zjeść lunch z panią?

— A jak inaczej? Czy inni pracodawcy nie dają panu posiłku w południe?

— Nie.

— Nigdy nie słyszałam o czymś równie okropnym. Jak pan może pracować cały dzień tylko o kanapce?

— Jakoś daję radę.

— U mnie ten numer nie przejdzie. Niech pan wyrzuci ten obrzydliwy kawałek chleba i wejdzie ze mną do domu.

Wyglądał na zakłopotanego, ale zrobił to, o co go prosiła. Oczywiście reszty kanapki nie wyrzucił, tylko zawinął w kawałek papieru i odłożył do bagażnika z tyłu roweru. Potem podniósł gazetę i schował ją również, ustawił wiaderko w kącie, tam gdzie stało przedtem. Zrobiwszy to wszystko, poszedł za nią do domu. Gdy byli już w środku, zdjął kurtkę, odsłaniając mocno pocerowany, granatowy sweter. Potem umył sobie ręce, wytarł je i zasiadł do stołu. Postawiła przed nim duży talerz dymiącej zupy i zaproponowała, żeby ukroił sobie chleba i posmarował masłem. Sama wzięła mniejszy talerz i usiadła obok niego.

— To bardzo miłe z pani strony — stwierdził uprzejmie.

— Nic takiego. Po prostu zawsze tak robiłam. Zresztą, nie. To nie całkiem tak. Bo przecież nigdy przedtem nie miałam ogrodnika. Ale kiedy u moich rodziców ktoś dla nich pracował, to zawsze dołączał do nas na południowy posiłek. Chyba nigdy nie wyobrażałam sobie, że można postępować inaczej. Przepraszam. Może to małe nieporozumienie zaszło całkowicie z mojej winy. Powinam była się jaśniej wyrazić.

— Nie dotarło to do mnie.

— Oczywiście, to rozumiałyście. A teraz, proszę mi opowiedzieć o sobie. Jak się pan nazywa?

— Danus Muirfield.

— Co za idealne nazwisko.

— Myślałem, że jest całkiem zwykłe.

— Idealne dla ogrodnika. O to mi chodziło. Niektórzy ludzie mają nazwiska w doskonały sposób dopasowane do swoich zawodów. Na przykład, kimże innym mógł być Charles de Gaulle, jak nie zbawcą Francji. Albo biedny Alger Hiss. Urodziwszy się z takim nazwiskiem, po prostu musiał zostać szpiegiem.⁰

field (ang.) pole; hiss (ang.) — syczeć (przyp. tłum.)

— Kiedy byłem chłopcem, mieliśmy księdza w naszym kościele, który nazywał się Paternoster.

— A widzi pan... To potwierdza moją teorię. A gdzie pan spędził dzieciństwo? Gdzie się pan wychował?

— W Edynburgu.

— Edynburg. Jest pan Szkotem.

— Tak. Chyba jestem.

— Czym zajmuje się pana ojciec?

— Jest prawnikiem. Adwokatem. Strażnikiem pieczęci.⁰

— Co za wspaniałe określenie. Takie romantyczne. A pan nie chciał zostać adwokatem?

— Przez jakiś krótki czas — tak, ale potem... — wzruszył ramionami. — Zmieniłem zdanie. Poszedłem zamiast tego na Akademię Rolniczą, na ogrodnictwo.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia cztery.

Była zdziwiona. Wyglądał na starszego.

— Lubi pan pracować dla Autogarden?

— Jest O.K. Przynajmniej jest trochę urozmaicenia.

— Od jak dawna pracuje pan dla nich?

— Około pół roku.

— Czy jest pan żonaty?

— Nie.

— A gdzie pan mieszka?

— W małym domku na fermie Sawcombe'ów. Tuż za Pudley.

— A tak, znam Sawcombe'ów. Czy to miły dom?

— Może być.

— A kto się panem opiekuje, to znaczy, pomaga w prowadzeniu domu?

— Sam się sobą opiekuje.

Pomyślała o tej obrzydliwej kanapce z białego chleba. Wyobraziła sobie nieprzytulny domek, nie posłane łóżko i pranie rozwieszone wokół pieca, żeby wyschło. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przygotowuje sobie porządne posiłki.

— Czy chodził pan do szkoły w Edynburgu? — zapytała go, nagle zaintrygowana tym młodym człowiekiem, chciała wiedzieć, co mu się przytrafiło, jakie okoliczności zmusiły go do tak skromnego życia.

— Tak.

— Czy zaczął pan studia na Akademii Rolniczej zaraz po skończeniu szkoły średniej?

⁰ strażnik pieczęci — szkockie określenie adwokata (przyp. tłum.)

— Nie. Najpierw pojechałem na **parę lat do Ameryki. Pracowałem na rancho** w Arkansas.

— Nigdy nie byłem w Ameryce.

— To wspaniałe miejsce.

— Nie myślał pan nigdy o zostaniu tam... to znaczy, na stałe?

— Myślałem, ale nie zrobiłem tego.

— Czy cały czas przebywał pan w Arkansas?

— Nie. Jeździłem po kraju, sporo widziałem. Sześć miesięcy spędziłem na Wyspach Dziewiczych.

— Co za przeżycie!

Skończył zupę. Zapytała go, czy chciałby jeszcze dodatkę, na co odparł, że chętnie, więc napełniła jego talerz po brzegi. Podnosząc znowu łyżkę zapytał:

— Mówiła pani, że nigdy dotąd nie miała ogrodnika. Czy zajmowała się pani tym ogrodem sama?

— Tak — odpowiedziała z pewną dumą. — Kiedy tu przyszłam, ogród był zupełnie zdziczały.

— Musi się pani świetnie na tym znać.

— Nie byłabym tego taka pewna.

— Czy zawsze pani tu mieszkała?

— Nie. Większą część życia mieszkałam w Londynie. Ale tam też był duży ogród, a przedtem, kiedy byłam dziewczynką, mieszkaliśmy w Kornwalii i tam też był ogród. Mam szczęście. Zawsze miałam jakiś ogród. Nie wyobrażam sobie życia bez tego.

— Czy ma pani rodzinę?

— Tak. Troje dzieci. Wszystkie dorosłe. Jedna z córek jest zamężna, mam też dwoje wnuków.

— Moja siostra ma dwoje dzieci. Wyszła za mąż za farmera w Perthshire — powiedział.

— Czy odwiedza pan Szkocję?

— Tak. Dwa lub trzy razy do roku.

— Musi tam być bardzo pięknie.

— Tak — przytaknął. — I owszem.

Po zupie zjadł większą część kurczaka i cały mus jabłkowy. Nie wypił piwa, ale z wdzięcznością przyjął przygotowaną przez nią filiżankę herbaty. Kiedy wypił herbatę, spojrzął na zegar i wstał. Była za pięć pierwsza. Powiedział:

— Skończyłem z żywopłotem. Przyniosę grubsze patyki do domu, na podpałkę, jeśli pokaże mi pani, gdzie je złożyć. A potem może mi pani powie, co mam jeszcze zrobić, a także, ile razy w tygodniu mam przychodzić.

— Zaproponowałam trzy dni firmie Autogarden, ale jeśli pan pracuje w takim tempie, to możliwe, że potrzebne będą tylko dwa.

- W porządku. To zależy od pani.
- Jak mam panu płacić?
- Pani płaci firmie, a oni płacą mnie.
- Mam nadzieję, że dobrze panu płacą.
- Znośnie.

Sięgnął po swoją kurtkę i włożył ją. Zapytała:

- Dlaczego nie dali panu auta na dojazd do pracy?
- Nie prowadzę samochodu.
- Ależ dzisiaj wszyscy młodzi ludzie jeżdżą. Na pewno z łatwością by się pan nauczył.
- Nie powiedziałem, że nie umiem prowadzić — odrzekł Danus Muirfield. — Powiedziałem, że nie prowadzę.

Kiedy już pokazała, gdzie ma złożyć drewno i dała mu następne zajęcie — miał teraz okopywać podwójnie jej warzywnik — Penelopa wróciła do kuchni pozmywać naczynia po lunchu. „Nie powiedziałem, że nie umiem prowadzić samochodu, tylko że nie prowadzę”. Nie chciał wypić piwa. Zastanawiała się, czy nie został kiedyś zatrzymany za prowadzenie samochodu po pijanemu i czy nie odebrano mu prawa jazdy. Może przejechał kogoś, a ta osoba umarła i złożył ślub, że nie weźmie już nigdy kropli alkoholu do ust. Dreszcz ją przeszedł na samą myśl o czymś tak okropnym. A jednak taka straszna tragedia mogła się wydarzyć. Wiele by też wyjaśniła, co do jego osoby... to napięcie, widoczne na twarzy, to że się w ogóle nie uśmiechał i patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. Było w nim coś dziwnego, ukryte pod maską znużenia. Jakaś tajemnica. Ale lubiła go. O tak, lubiła go bardzo.

O dziewiątej wieczór następnego dnia, czyli we wtorek, Noel Keeling skręcił swoim jaguarem w Ranfurly Road i przejechał ciemną i moką oraz deszczu ulicę, żeby zatrzymać się przed domem swojej siostry, Oliwii. Była to nie zapowiedziana wizyta i przygotował się na to, że jej nie zastanie, bo wieczorami rzadko bywała w domu. Była najbardziej udzielającą się towarzysko kobietą, jaką znał. Ale o dziwo, światło paliło się za zasuniętymi zasłonami w oknach jej salonu, więc wysiadł z samochodu, zamknął go na klucz i podszedł ścieżką do drzwi, żeby zadzwonić. W chwilę później drzwi otworzyły się i w progu stała Oliwia w płomienoczerwonym szlafroku. Była bez makijażu i w okularach. Najwyraźniej nie spodziewała się żadnej wizyty. Powiedział:

- Cześć.
- Noel? — Wyglądała na zdumioną i nic dziwnego, gdyż nie miał zwyczaju wpadać do niej, mimo że mieszkał tylko o parę mil dalej. — Co tu robisz?
- Ot, tak wpadłem. Jesteś zajęta?

— Tak. Przeglądam i czytam pewne materiały potrzebne mi na zebranie, na jutro rano. Ale nie szkodzi. Wchodzi!

— Byłem na drinku u przyjaciół w Putney.

Przyglądził włosy i wszedł za nią do salonu. Jak zwykle było tu cudownie ciepło, ogień na kominku, wszędzie pełno kwiatów... Zazdrościł jej. Zawsze jej zazdrościł. Nie tylko sukcesów zawodowych ale także zaradności i inteligencji, dzięki którym udawało jej się zorganizować każdą dziedzinę swojego bardzo czynnego życia. Na niskim stoliku przed kominkiem leżała teczka, plik papierów, maszynopis do korekty, ale zrobiwszy w nich trochę porządku, zebrała wszystkie papiery i przeniosła na biurko. Podszedł do kominka, niby to ogrzać sobie ręce, ale tak naprawdę po to, żeby rzucić okiem na kartki z zaproszeniami, które miała rozłożone na półce nad kominkiem, i tym samym sprawdzić jej towarzyskie powiązania. Zobaczył, że zaproszono ją na ślub, na który jego nie zaproszono, a także na otwarcie nowej prywatnej galerii przy ulicy Walton.

— Czy jadłeś coś? — zapytała.

Odrzucił się do niej.

— Parę kanaponów. — Był to jeden z nielicznych starych żarcików rodzinnych, który jeszcze przetrwał między nimi.

— Czy masz ochotę na coś do jedzenia?

— A co mi proponujesz?

— Jest reszta *quiche*⁰, które jadłam na kolację. Możesz je dokończyć, jeśli chcesz. Mam też krakersy i ser.

— To by było świetne.

— Przyniosę ci, a ty nalej sobie drinka.

Przyjął tę miłą propozycję i nalał sobie dużą whisky z wodą sodową, podczas gdy Oliwia zniknęła w swojej małej kuchni, przeszedłszy najpierw przez jadalnię i zapalając wszędzie światła. Tam właśnie dołączył do niej, przysuwając sobie wysoki stołek do małej lady, która dzieliła oba pokoje. Wyglądało to trochę jak scenka z pubu, mężczyzna zagadujący dziewczynę podającą drinki zza kontuaru.

— Byłem u mamy w niedzielę.

— Tak? Ja byłam u niej w sobotę.

— Mówiła mi, że byłaś, w asyście jakiegoś szalonego Amerykanina. Jak ci się wydaje, jak ona wygląda?

— Wspaniale, zważywszy tę niedawną chorobę.

— Czy myślisz, że to naprawdę był atak serca?

— W każdym razie na pewno ostrzeżenie. — Spojrzała na niego i z krzywym uśmiechem dodała: — Nancy już ją pochowała, **metr pod stokrotkami**.

⁰ *quiche* — placek lotaryński, ciasto zapiekane z boczkiem, szynką, tartym serem i jajami (przyp. red.)

Noel zaśmiał się i potrząsnął głową. Nancy była jednym z nielicznych tematów, kiedy się zawsze zgadzali.

— Oczywiście, że mamusia za dużo pracuje — stwierdziła Oliwia. — Zawsze pracowała za dużo. Ale przynajmniej zgodziła się zatrudnić kogoś do pomocy w ogrodzie. To już zawsze jest jakiś początek.

— Staralem się ją namówić, żeby jutro przyjechała do Londynu.

— Po co?

— Żeby poszła do Boothby's. Zobaczyć jak obraz Lawrence'a Sterna zostanie sprzedany na aukcji. Ciekawe za ile.

— Ach, tak, *Roznosiciele wody*. Zapomniałam, że to jutro. Czy powiedziała, że przyjedzie?

— Nie.

— A właściwie dlaczego niby miałyby przyjeżdżać? Przecież ona na tym nic nie zarobi.

— Nie. — Noel spojrział w dół na swoją szklankę. — Zarobiłaby, gdyby sprzedała swoje własne.

— Jeśli masz na myśli *Poszukiwaczy muszelek*, to pomyśl o czym innym. Prędzej by umarła, niżby miała się pozbyć tego obrazu.

— A te panneaux?

Twarz Oliwii wyrażała głęboką podejrzliwość.

— Czy rozmawiałeś o tym z mamusią?

— A dlaczego miałbym nie rozmawiać? Musisz przyznać, że te obrazy są okropne. Po prostu butwieją tam, na górze schodów. Przypuszczalnie nawet by nie zauważyła ich zniknięcia.

— Są nie dokończone.

— Chciałbym, żeby wszyscy przestali mi przypominać, że są nie dokończone. Założę się, że mają unikatową wartość, właśnie dlatego, i że ich cena okaże się bardzo wysoka.

— Założmy, że zgodziłaby się je sprzedać — powiedziała Oliwia po pewnym czasie. Wzięła tacę, ułożyła na niej talerze, nóż i widelec, maselnickę, deseczkę z serem. — Czy masz zamiar zasugerować jej, co ma zrobić z uzyskanym w ten sposób kapitałem, czy też pozostawisz to do jej decyzji?

— Pieniądze, które się rozdaje za życia są dwa razy więcej warte niż te, które się zostawia po swojej śmierci.

— Co oznacza, że ty chcesz je dostać w swoje chciwe łapska.

— Nie tylko ja. Cała nasza trójka. Och, nie rób takiej miny, Oliwio, nie ma się czego wstydzić. W dzisiejszych czasach każdemu brakuje kapitału, a nie powiesz mi, że Nancy nie podskoczyłaby na wiadomość o dodatkowej gotówce. Ciągłe tylko narzeka, jakie wszystko jest drogie.

— Ty i Nancy, być może. Ale mnie w to nie wliczaj.

Noel obracał swoją szklanę.

— Ale nie odmówiłabyś?

— Nie chcę nic od mamusi. Dała nam dosyć. Chcę tylko, żeby była zdrowa i bezpieczna, bez kłopotów finansowych i żeby mogła cieszyć się życiem.

— Finansowo ma się nieźle. To wiadomo.

— Czyżby? A co będzie w przyszłości? Może przecież dożyć sędziwego wieku.

— Jeszcze jeden powód więcej, żeby sprzedać te smętne nimfy. Zainwestować ten kapitał na lata złotej jesieni.

— Nie chcę o tym dyskutować.

— Więc nie uważasz, że to dobry pomysł?

Oliwia nic na to nie odpowiedziała, wzięła tacę i zaniósła ją przed kominek. Idąc za nią, pomyślał sobie, że żadna chyba kobieta nie wyglądała tak sztywno i tak groźnie jak Oliwia, kiedy próbowało się zrobić coś, czego ona nie aprobowała.

Postawiła tacę na niskim stoliku, stuknąwszy nią wyraźnie, po czym wyprostowała się, odwróciła do niego i powiedziała:

— Nie.

— Dlaczego?

— Powinieneś zostawić mamusię w spokoju.

— W porządku — z sobie właściwym wdziękiem poddał się, wiedząc, że na dłuższą metę jest to najlepszy sposób, żeby uzyskać to, czego chciał. Usadowił się w jednym z głębokich foteli, przysiadłszy na brzegu, pochylony do przodu, żeby móc poradzić sobie z zaimprovizowanym dla niego posiłkiem. Oliwia stanęła przy kominku, opierając się ramionami o półkę, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie szlafroka. Czuł jej wzrok na sobie, gdy wziął do ręki widelec i nabrał sobie kawałek quiche.

— Zapomnijmy o sprzedaży panneaux. Pomówmy o czymś innym.

— Jak na przykład?

— Jak na przykład o tym, czy widziałaś kiedyś lub słyszałaś, żeby mama wspominała, czy choćby podejrzewałaś istnienie jakichkolwiek olejnych szkiców, które Lawrence Stern wykonywał, przygotowując swoje duże obrazy?

Cały dzień zastanawiał się, czy dopuścić Oliwię do swojego sekretu i opowiedzieć jej o odnalezieniu listu i wynikających z tego możliwościach. W końcu postanowił zaryzykować. Oliwia była bardzo ważnym sprzymierzeńcem do pozyskania. Tylko ona, z nich trojga, miała jakikolwiek wpływ na matkę. Kiedy stawiał pytanie, bacznie ją obserwował. Widział, jak jej twarz aż zeszywniała ze znużenia, a równocześnie nie zniknął z niej wyraz podejrzliwości. Należało się tego spodziewać.

Po chwili powiedziała: — Nie. — Tego też należało się spodziewać, ale wiedział, że mówiła prawdę, tak jak zawsze. — Nigdy o nich nie słyszałam.

— Bo widzisz, jakieś szkice musiały istnieć.

— A co sprawiło, że zacząłeś te poszukiwania?

Opowiedział jej o znalezieniu listu.

— *Ogród Terrazzo*? To jest w Metropolitan Museum w Nowym Jorku.

— Właśnie. A jeśli istniał szkic do *Ogrodu Terrazzo*, to dlaczego nie do *Roznosicieli wody* czy do *Zalotów rybaka* i wszystkich innych arcydzieł, które tkwią w nudnych muzeach w każdej szanującej się stolicy na świecie.

Oliwia zastanowiła się nad tym przez chwilę, a potem stwierdziła:

— Przypuszczalnie zostały zniszczone.

— Bzdura. Staruszek nigdy niczego nie niszczył. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Żaden dom nigdy nie był tak pełen rupieci, które nazbierały się przez lata, jak jego dom przy ulicy Oakley. Chyba że Podmore's Thatch. Wiesz, ten strych u mamy jest okropnym zagrożeniem, jeśli chodzi o możliwość pożaru. Jeśliby jakiś agent ubezpieczeniowy zobaczył, co tam zostało upchane, dostałby ataku.

— Czy byłeś tam ostatnio?

— Byłem tam w niedzielę, szukałem mojej rakiety do squasha.

— Czy tylko tego szukałeś?

— No, przy okazji rozglądałem się.

— Za teczką pełną szkiców?

— Coś w tym rodzaju.

— Ale ich nie znalazłeś.

— Oczywiście, że nie. Nie można by znaleźć słonia w tym strasznym składzie rupieci.

— Czy mamusia wiedziała czego szukasz?

— Nie.

— Noel, jesteś nikczemnym, obleśnym typem. Dlaczego musisz zawsze robić wszystko pokrętnie?

— Dlatego, że ona nie ma bladego pojęcia, co jest na tym strychu, tak samo jak nie miała pojęcia, co się znajdowało na poddaszu domu na ulicy Oakley.

— A co tam jest?

— Wszystko. Stare pudła, szafy pełne ubrań, komody pełne listów związanych w paczuski, kukły krawieckie, wózki dla lalek, zydelki, worki pełne wełny, wagi, pudełka z klockami, sterty starych gazet związanych sznurkiem, wzory ściegów do robienia na drutach, stare ramy od obrazów... wymień cokolwiek, a to się tam znajduje. I tak jak już mówiłem, to wszystko stanowi znakomitą podpałkę i zwiększa ryzyko

pożaru. A strzecha, która jest nad tym, z pewnością nie pomaga. Jedna iskra w wietrzny dzień i wszystko pójdzie z dymem. Można tylko mieć nadzieję, że mama zdąży wyskoczyć z któregoś okna, zanim zginie w płomieniach. To aliche jest pyszne. Czy ty je robiłaś?

— Ja nigdy nie gotuję. Kupuję wszystko gotowe w sklepie.

Odeszła od kominka i przeszła przez pokój do stolika, który stał za nim. Usłyszał, jak nalewała drinka, i pozwolił sobie na uśmiech, bo wiedział, że wzbudził w niej niepokój, a więc przykuł jej uwagę, a to, miał nadzieję, przekształci się w sympatię lub choćby przychyłność dla niego. Wróciła w pobliże kominka i usiadła naprzeciw niego, ze szklanką w rękę.

— Noel, czy naprawdę myślisz, że to jest niebezpieczne?

— Tak. Naprawdę. Uczciwie mówiąc, tak myślę.

— Jak uważasz, co powinniśmy zrobić?

— Opróżnić cały strych.

— Mamusia nigdy się na to nie zgodzi.

— W porządku, no to przynajmniej posortować te rzeczy i uporządkować. Połowa z tych szpargałów nadaje się wyłącznie na ognisko, jak na przykład te sterty starych gazet, wzory ściegów czy wełna na gobeliny...

— Dlaczego akurat wełna?

— Bo cała aż chodzi od moli.

Nic na to nie odpowiedziała. On skończył aliche i zabrał się do sera, szczególnie smacznej odmiany Brie.

— Noel, czy ty aby umyślnie nie wyolbrzymiasz tego problemu, po to, żeby mieć pretekst do węszenia i myszkowania na strychu? Jeśli znajdziesz te szkice albo cokolwiek wartościowego, pamiętaj, że wszystko w tym domu należy do mamusi.

Popatrzył jej prosto w oczy z miną niewiniątka.

— Chyba nie sądzisz, że mógłbym je ukraść?

— Nie wykluczyłabym takiej możliwości.

Postanowił zignorować tę uwagę.

— Gdybyśmy znaleźli te szkice, czy masz pojęcie, ile by były warte? Co najmniej pięć tysięcy każdy.

— Dlaczego mówisz o nich tak, jakbyś wiedział, że one tam są?

— Wcale nie wiem, czy tam są. Ja tylko podejrzewam, że mogłyby tam być. Ale ważniejsze jest to, że ten strych zwiększa ryzyko pożaru i uważam, że coś z tym trzeba zrobić.

— Czy nie uważasz, że przy okazji powinniśmy zadbać o zmianę stawki ubezpieczenia domu?

— George Chamberlain zajmował się tym wszystkim, kiedy kupował ten dom dla mamy. Powinnaś z nim porozmawiać. Ja na Tomiast mam wolny ten weekend, więc pojedę tam w piątek i wezmę się do tej herkulesowej pracy. Zadzwoń do mamy, powiem jej, że przyjeżdżam.

— Czy zapytasz ją o szkice?

— Czy uważasz, że powinienem?

Oliwia nie odpowiedziała od razu. A po chwili stwierdziła:

— Nie. Nie sądzę. — Popatrzył na nią z pewnym zdziwieniem.

— Myślę, że to mogłoby ją zdenerwować, a ja nie chcę, żeby ona się denerwowała. Jeśliby się znalazły, możemy jej powiedzieć, a jeśli nie, to i tak nie ma to znaczenia. Ale, Noel, nie wolno ci wspomnieć ani słowem o sprzedaży obrazów. To ciebie w ogóle nie dotyczy.

Położył rękę na sercu.

— Słowo harcerza. — Uśmiechnął się. — A więc jednak przekonałeś się do mojego sposobu myślenia.

— Jesteś przebiegłym łotrem i nigdy nie przekonam się do twojego sposobu myślenia.

Przyjął to ze spokojem, skończył kolację w milczeniu, a potem wstał i poszedł nalać sobie kolejnego drinka. Usłyszał, jak zapytała:

— Czy naprawdę pojedziesz? Chodzi mi o Podmore's Thatch?

— Nie widzę powodu, żeby nie jechać. — Wrócił do swego fotela.

— A dlaczego?

— Mógłbyś coś dla mnie zrobić.

— Naprawdę?

— Czy mówisz mi coś nazwisko Hamilton, Kosma Hamilton?

— Kosma Hamilton? Ależ oczywiście. Kochasz ze słonecznej Hiszpanii. Nie powiesz mi, że znowu wkroczył w twoje życie?

— Nie. Nie wkroczył w moje życie. Nigdy już tego nie zrobi. Umarł.

Noel, co nie zdarzało się często, wyglądał na prawdziwie zaskoczonego i zaszokowanego.

— Umarł? — Twarz Oliwii była spokojna, ale bardzo biała i nieruchoma, pożałował swojego krotocwilnego tonu. — Przepraszam. Bardzo mi przykro. Ale co się stało?

— Nie wiem. Umarł w szpitalu.

— Kiedy się dowiedziałeś?

— W piątek.

— Ale to był młody człowiek.

— Miał sześćdziesiąt lat.

— Co za cholerny pech.

— Tak, wiem. Ale rzecz w tym, że on ma młodą córkę, Antonię. Ona przylatuje jutro na Heathrow z Ibizy i zatrzyma się u mnie na parę dni, a potem ma pojechać do Podmore's Thatch i dotrzymać towarzystwa mamusi, przez jakiś czas.

— Czy mama wie?

— Oczywiście. Ustaliłyśmy to w sobotę.

— Nic mi o tym nie mówiła.

— Tak też przypuszczałam.

— A ile lat ma ta dziewczyna... Antonia?

— Osiemnaście. Zamierzałam zawieźć ją sama i zostać na weekend, ale będę zajęta z pewnym facetem...

Noel, już znowu taki jak zawsze, uniósł brew.

— Interesy czy przyjemność?

— Wyłącznie interesy. To francuski projektant mody, pedał jakich mało, zatrzymał się w Hotelu Ritz, a ja rzeczywiście muszę spędzić z nim trochę czasu.

— A więc?

— Więc, jeśli jedziesz do Gloucestershire w piątek wieczór, to zrobiłbyś mi przysługę, zabierając ją ze sobą.

— Czy jest ładna?

— Czy twoja odpowiedź zależy od tego?

— Nie, ale chciałbym wiedzieć.

— Gdy miała trzynaście lat, była urocza.

— Nie gruba i pryszczata?

— Absolutnie nie. Kiedy mamusia przyjechała odwiedzić nas na Ibizie, Antonia była tam wtedy. Ogromnie się zaprzyjaźniły. A od czasu, gdy mamusia zachorowała, Nancy ciągle mi powtarza, że mamusia nie powinna mieszkać sama. Wydawało mi się więc, że to całkiem niezły pomysł.

— Wszystko sobie zaplanowałaś i rozpracowałaś, prawda?

Oliwia pominęła milczeniem tę złośliwą uwagę.

— Zawieziesz ją?

— W porządku, w niczym mi to nie przeszkadza. Mogę ją wziąć.

— Kiedy po nią przyjedziesz?

Piątek wieczór... zastanowił się.

— O szóstej.

— Specjalnie się postaram, żeby wyjść na czas z biura i być już wtedy w domu. — Nagle uśmiechnęła się. Cały wieczór była śmiertelnie poważna, ale teraz uśmiechnęła się i przez króciutką chwilę zapanowała atmosfera sympatii i przyjaznego ciepła. Wydawać by się mogło, że są kochającym się rodzeństwem, które właśnie spędziło razem miłą godzinę.

— Jestem ci wdzięczna.

Następnego dnia rano Oliwia zadzwoniła do Penelopy ze swojego biura.

— Mamuś.

— Oliwia.

— Mamusiu, słuchaj, musiałam zmienić plany. Okazuje się, że nie mogę jednak przyjechać w ten weekend, muszę załatwić ważne interesy z pewnym alfonsowatym Francuzem, a sobota i niedziela są jedynymi dniami, które on może mi poświęcić. Strasznie mi przykro.

— Ale co będzie z Antonią?

— Noel ją przywiezie. Jeszcze do ciebie nie dzwonił?

— Nie odezwał się ani słowem. *a* >

— Zadzwoń. Przyjeżdża do ciebie w piątek i zostanie na dwa dni. Mieliśmy długą konferencję rodzinną wczoraj wieczorem i postanowiliśmy, że po prostu musisz uporządkować i oczyścić z rupieci ten twój strych, zanim cały dom pójdzie z dymem; nie zdawałam sobie sprawy, że to taka wiewiórcza dziupla. Jesteś bardzo niegrzeczna.

— Rodzinna konferencja? — Penelopa wydawała się zdziwiona i rzeczywiście była. — Ty i Noel?

— Tak. Wpadł do mnie wczoraj wieczorem i dałam mu kolację. Powiedział mi, że był na strychu, szukając czegoś, i że tam jest tyle rupieci, że to naprawdę grozi pożarem. Więc zdecydowaliśmy, że on powinien pojechać do ciebie, posortować i oczyścić całe poddasze. Nie denerwuj się, naprawdę nie chcemy się narzucać, tylko troszczymy się o ciebie, a on obiecał, że nic nie wyrzuci ani nie spali bez twojego pozwolenia. Myślę, że to nawet całkiem miłe z jego strony. Sam zgłosił się na ochotnika, że upora się z tą robotą, więc proszę cię bardzo, żebyś nie zaczęła się dąsać i mówić, że traktujemy cię jak idiotkę.

— Wcale się nie dąsam i też uważam, że to bardzo ładnie ze strony Noela. Od pięciu lat, każdej zimy miałam zamiar sama to uporządkować, ale to jest taka gigantyczna robota, że nie trudno było znaleźć sobie wymówkę, żeby się do tego nie zabierać. Czy sądzisz, że Noel da sobie radę sam?

— Przecież przyjedzie też Antonia. Przypuszczalnie nawet będzie ją to bawiło. Ale żebyś ty nic nie dźwigała!

Penelopie przyszedł do głowy świetny pomysł.

— Mogłabym poprosić, żeby Danus przyszedł na cały dzień. Przydałaby się jeszcze jedna para silnych rąk i mógłby się zająć doglądaniem ogniska.

— Kto to jest Danus?

— Mój nowy ogrodnik.

— Zapomniałam o nim. Jaki on jest?

— Kochany człowiek. Czy Antonia już przyjechała?

— Nie. Dziś wieczór jadę po nią na lotnisko.

— Przekaż jej serdeczności ode mnie i powiedz, że nie mogę się jej doczekać.

— Zrobię to na pewno. Ona i Noel będą u ciebie w piątek wieczór, gdzieś w porze kolacji. Żałuję tylko, że ja nie mogę przyjechać.

— Będzie mi ciebie brakowało. Ale zobaczymy się następnym razem.

— No, to pa, mamusiu.

— Do widzenia, kochanie.

Wieczorem **zadzwoił Noel**.

— Mamo.

— Noel?

— Jak się miewasz?

— Świetnie. Słyszałam, że przyjeżdżasz na weekend.

— Rozmawiałaś z Oliwią?

— Dziś rano.

— Ona twierdzi, że powinienem pojechać i oczyścić strych. Mówi, że ma koszmarne sny o pożarze twojego domu.

— Wiem, mówiła mi o tym. Myślę, że to dobry pomysł i będę ci bardzo wdzięczna.

— A to miła niespodzianka, myśleliśmy, że będziesz wściekła.

— To źle myśleliście — odparła Penelopa, trochę znużona tym nowym wizerunkiem siebie jako upartej starszej pani, z którą trudno się dogadać. — Poproszę też, żeby Danus przyszedł ci pomóc, na cały dzień. To mój nowy ogrodnik. Jestem pewna, że się zgodzi. Umie też znakomicie rozpalać ogniska.

Noel zawahał się, ale w końcu stwierdził:

— Świetnie.

— A ty przywieziesz ze sobą Antonię. Będę się was spodziewać w piątek wieczór, ale nie jedź za szybko.

Właśnie miała zamiar odłożyć słuchawkę i skończyć rozmowę, ale on wyczuł to i krzyknął: — Mamo! — więc przyłożyła ją z powrotem do ucha.

— Myślałam, że już skończyliśmy.

— Chciałem ci powiedzieć o aukcji. Poszedłem do Boothby's dziś po południu. Jak myślisz, za ile sprzedano *Roznosicielei wody*?

— Nie mam pojęcia.

— Dwieście czterdzieści pięć tysięcy, osiemset funtów.

— Wielkie nieba! Kto go kupił?

— Amerykańska Galeria Sztuki, chyba z Denver, w Colorado.

Potrząsnęła głową ze zdumienia, jakby on mógł ją widzieć.

— Niebagatelna suma.

— Aż się niedobrze robi, prawda?

— Raczej — poprawiła go — daje do myślenia.

Czwartek. Gdy Penelopa wstała i udała się na dół, ogrodnik już pracował. Przekazała mu klucz do garażu, żeby miał dostęp do narzędzi ogrodniczych i z okna swojej sypialni mogła obserwować, jak w pocie czoła okopuje warzywnik. Nie przeszkadzała mu, ponieważ już pierwszego dnia zauważyła, że jest on nie tylko osobą bardzo pracowitą, ale także ceniącą sobie samotność, i że nie był zachwycony jej ciągłym pojawianiem się po to, żeby przypomnieć mu która godzina, sprawdzić jak mu idzie praca i ogólnie rzecz biorąc, gdy robiła z siebie uciążliwą

nudziarę. Jeśli będzie czegoś potrzebował, to przyjdzie ją poprosić. A jak nie, to po prostu będzie pracował dalej.

Jednak za kwadrans dwunasta, gdy trochę posprzątała i postawiła ciasto na chleb na piecu, żeby dochodziło, zdjęła fartuch i poszła do ogrodu, zamienić parę słów z Danusem i przypomnieć mu, że czeka na niego z lunchem. Dzień wydawał się cieplejszy i widać było sporo niebieskiego nieba. Blade słońce jeszcze nie grzało, ale mimo to nakryje stół w cieplarni i tam zjedzą sobie posiłek.

— Dzień dobry.

Spojrzał w górę, zobaczył ją i wyprostował się, opierając się na łopacie. Nieruchome powietrze pełne było mocnych i swojskich zapachów; świeżo skopanej ziemi, przegniłego kompostu, zmieszanego z pewną ilością nawozu końskiego, pochodzącego z pieczołowicie dogładanego przez nią kopczyka.

— Dzień dobry, pani Keeling.

Zdjął kurtkę i sweter i pracował w koszuli z krótkim rękawem. Jego opalone ramiona były szczupłe, ale jednocześnie pięknie umięśnione. Podczas gdy go obserwowała, podniósł dłoń, żeby ztrzeć nadgarstkiem smugę błota z brody. Ten gest wywołał w niej przesywające poczucie deja vu, ale teraz była już na to przygotowana i jej serce biło spokojnie; a nawet sprawiło jej to przyjemność.

— Chyba panu ciepło.

Pokiwał głową.

— Taka praca rozgrzewa.

— Lunch będzie gotowy o dwunastej.

— Dziękuję, przyjdę.

Wrócił do kopania. Tuż obok przysiadł rudzik, jak domyślała się Penelopa — w równym stopniu zainteresowany obecnością człowieka co robaczkami. Rudziki były w uroczy sposób towarzyskie. Odwróciła się, zostawiła pracującego ogrodnika i wyruszyła z powrotem do domu, zrywając po drodze bukiet wczesnych prymulek. Aksamitne kwiaty cudownie pachniały, przypominając jej blade pierwiosnki Kornwalii, którymi usiane były tamtejsze osłonięte dobrze żywopłoty, w czasie gdy reszta kraju tkwiła jeszcze w okowach zimy.

Wkrótce muszę pojechać, powiedziała sobie. Wiosna w Kornwalii — to taki czarodziejski czas. Muszę pojechać niebawem, bo inaczej będzie za późno.

— Danus, co robisz w weekendy? — zapytała.

Dzisiaj podała mu szynkę na zimno, pieczone ziemniaki i kalafior w sosie serowym. Na deser były kruche ciasteczka z konfiturami i rodzaj budyniu, zapiekanego w piekarniku. To nie była przekąska, tylko porządny, pełny posiłek, a ona siedziała i jadła razem z nim, zastanawiając się, czy — jak tak dalej pójdzie — nie stanie się okropnie tęga.

- Nic szczególnego.
- To znaczy, chodzi mi o to, czy pracujesz dla kogoś w weekendy?
- Czasami, w sobotę rano, dla dyrektora banku w Pudley. On woli grać w golfa, a jego żona narzeka na chwasty.

Penelopa uśmiechnęła się.

- Biedny człowiek. A co z niedzielami?
- Niedziele mam wolne.
- Czy zgodziłbyś się przyjść na cały dzień tutaj... w ramach dodatkowej pracy. Zapłaciłabym ci. Nie płaciłabym firmie Autogarden, co zresztą byłoby sprawiedliwe, bo to, co chciałabym, żebyś zrobił, nie jest robotą ogrodnika.

Wyglądał na trochę zdziwionego, co było zrozumiałe.

- A co chciałaby pani, żebym zrobił?

Opowiedziała mu o Noelu i o strychu.

- Jest tam tyle rupieci, trzeba je będzie przynieść na dół i posortować. Nie ma sposobu, żeby on, sam jeden, dał sobie z tym radę. Myślałam, że gdybyś ty przyszedł pomóc, to poszłoby znacznie łatwiej.

- Oczywiście, przyjdę. Ale będzie przysługa. Nie musi mi pani płacić.

- Ale...

- Nie — powiedział stanowczo. — Nie chcę, żeby mi za to płacono. O której powinienem przyjść?

- Około dziewiątej rano.

- W porządku.

- Na lunchu będzie nas gromadka. Będzie też młoda dziewczyna, która przyjeżdża i będzie mieszkać u mnie przez parę tygodni. Noel ma ją przywieźć jutro wieczorem. Nazywa się Antonia.

- To będzie miłe dla pani — stwierdził Danus.

- Tak.

- Trochę towarzystwa.

Nancy nie przepadała za czytaniem gazet. Kiedy musiała iść do miasteczka na zakupy, a robiła to prawie codziennie, gdyż coś mocno szwankowało na linii porozumiewania się pomiędzy nią a panią Croftway, skutkiem czego ciągle okazywało się, że zabrakło masła lub kawy, czy też oleju; wtedy zwykle zaglądała do kiosku i kupowała sobie numer *Daily Mail* albo *Woman's Own*, do przeglądania przy lunchu, który w jej przypadku składał się z kanapki i czekoladowego ciastka. NaTomiasz *The Times* przychodził do ich domu dopiero wieczorem, przynoszony w teczce przez George'a.

Czwartek był dniem wolnym dla pani Croftway, a więc Nancy była w kuchni, kiedy George wrócił z pracy. Na obiad miały być kotleciki rybne, które pani Croftway przygotowała już poprzedniego dnia, ale

Croftway przyniósł pełen koszyk swoich obrzydliwych, przerośniętych i gorzkich brukserek, więc Nancy stała teraz przy zlewozmywaku czyszcząc je, czego nienawidziła, a w dodatku była pewna, że dzieci odmówią ich zjedzenia, gdy dał się słyszeć odgłos podjeżdżającego pod dom samochodu. Po paru chwilach drzwi otwarły się i zamknęły, i wszedł jej mąż, wyglądający nieszczególnie w swoim ciemnym garniturze, który go postarzał i w którym robił wrażenie bardzo zmęczonego. Miała nadzieję, że nie był to dla niego wyjątkowo trudny dzień, ponieważ gdy miał trudny dzień, to często wtedy odgrywał się na niej.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się dzielnie. George tak rzadko bywał w dobrym humorze, że było ważne, aby się nie poddawać, nie ulegać jego ponurym nastrojom i podtrzymywać iluzję — nawet jeśli tylko ona dawała się na nią nabrać — serdecznych i przyjacielskich stosunków. ^

— Cześć, kochanie. Miałeś dobry dzień?

— Taki sobie.

Położył teczkę na stole i wyciągnął z niej *Timesa*.

— Spójrz na to.

Nancy była zdumiona tą nagłą komunikatywnością. Prawie w każdy wieczór, burknawszy tylko coś, znikał w pokoju, który nazywała biblioteką, żeby spokojnie spędzić tam godzinę, sam na sam z gazetą, zanim obiad będzie gotowy. Musiało się stać coś nadzwyczajnego. Miała nadzieję, że to nie wybuch bomby aTomowej. Zostawiła brukselki, wytarła ręce i podeszła, żeby stanąć obok niego. Rozłożył gazetę na stole, otwierając na stronie poświęconej sztuce i długim, bladym palcem wskazał jedną z kolumn.

Patrzyła na rozmazany druk, ale bez żadnego skutku.

— Nie mam moich okularów.

Westchnął, zrezygnowany, nad jej nieporadnością.

— Wiadomości z aukcji, Nancy. Obraz twojego dziadka został sprzedany wczoraj w salonie Boothby's.

— To było wczoraj?

Wcale nie zapomniała o *Roznosicielach wody*. Przeciwnie, rozmowa, jaką miała z Oliwią podczas lunchu w restauracji Kettners, zaprzętała jej myśli prawie bez przerwy, ale tak obsesyjnie zajmowała się obliczaniem ewentualnej wartości obrazu, który jeszcze wisiał w Podmore's Thatch, że straciła rachubę dni. Nigdy nie była szczególnie dobra w pamiętaniu dat.

— Czy wiesz, za ile go sprzedano? — Nancy, z otwartymi ustami, potrząsnęła przecząco głową. — Dwieście czterdzieści pięć tysięcy, osiemset funtów.

Wymawiał te magiczne słowa wolno i wyraźnie, tak że nie mogła się przesłyszeć. Nancy poczuła się słabo. Oparła rękę na stole, żeby nie

stracić równowagi i dalej wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Kupił go jakiś Amerykanin. Aż niedobrze się robi, że wszystko co wartościowe wywożone jest z kraju.

Odzyskała wreszcie głos.

— Ale to był okropny obraz — orzekła.

George uśmiechnął się chłodno, bez cienia humoru.

— Szczęśliwie dla Boothby's i dla poprzedniego właściciela nie wszyscy podzielają twoje zdanie.

Ale ta złośliwa uwaga nawet nie dotarła do Nancy.

— A więc Oliwia niewiele się pomyliła — powiedziała.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Rozmawialiśmy o tym, kiedy jadłyśmy wspólnie lunch w Kettners. Ona przypuszczała, że ten obraz zostanie sprzedany za mniej więcej taką cenę. — Spojrzała na George'a. — Stwierdziła też, że *Poszukiwacze muszelek* i te dwa inne obrazy, które są jeszcze w posiadaniu matki, mogą być warte około pół miliona. Może co do tego też ma rację.

— Bez wątpienia — odpowiedział George. — Nasza Oliwia rzadko się myli w jakichkolwiek sprawach. Obraca się w takich kołach, że łatwo jest jej być bardzo dobrze zorientowaną co w trawie piszczy.

Nancy sięgnęła po krzesło i opuściła na nie swój ciężar, dając odpocząć nogom.

— George, jak myślisz, czy matka zdaje sobie sprawę z ich wartości?

— Nie przypuszczam. — Ściągnął usta. — Powiniennem z nią porozmawiać. Musimy podnieść opłatę ubezpieczeniową. Każdy prawie mógłby wejść do tego domu i zdjąć je ze ściany. O ile się orientuję, ona nigdy nawet nie zamyka żadnych drzwi na klucz.

Nancy poczuła się podniecona. Przedtem nie mówiła George'owi o swojej rozmowie z Oliwią, bo George nie lubił jej siostry i z reguły nie interesowało go, co ona ma do powiedzenia. Ale teraz, skoro on sam poruszył ten temat, wszystko stawało się o wiele prostsze.

Powiedziała więc, kując żelazo póki gorące:

— Może powinniśmy pojechać odwiedzić matkę. Omówić sprawę.

— Chodzi ci o ubezpieczenie?

— Jeśli opłaty pójdą bardzo w górę. Może ona... — Nancy zaszcło w gardle. Odchrząknęła. — Może zdecyduje, że prościej byłoby je sprzedać. Oliwia mówi, że cena rynkowa na te stare wiktoriańskie dzieła osiąga w tej chwili szczytowy punkt... — to zabrzmiało, jakby była znawcą przedmiotu i Nancy poczuła się bardzo dumna z siebie. — Szkoda by było przegapić taką okazję.

Ten jeden raz George zdawał się brać pod uwagę jej zdanie. Zmarszczył brwi, jeszcze raz przeczytał notatkę w *Timesie*, a potem równo i dokładnie złożył go z powrotem.

- To zależy od ciebie. Ty zdecyduj — rzekł.
- Och, George. Pół miliona. Nawet trudno mi sobie wyobrazić taką ilość pieniędzy.
- Oczywiście trzeba by zapłacić podatek.
- Ale nawet wtedy! Musimy do niej pojechać. W każdym razie, już bardzo dawno nie byłam u niej. Najwyższy czas, żebym sprawdziła, jak sobie daje radę, a przy okazji mogę poruszyć ten temat. Taktownie.
- George zdawał się mieć wątpliwości. Oboje wiedzieli, że takt nie jest najsilniejszym atutem Nancy. — Pójdę i zadzwonię do niej od razu.

- Jak się masz, matko?
- Bardzo dobrze. A ty, Nancy?
- Nie przemęczasz się?
- Pytasz się o mnie?
- Oczywiście, że o ciebie. Czy ogrodnik zaczął już pracę?
- Tak, przyszedł w poniedziałek i znowu dzisiaj.
- Mam nadzieję, że jest dobrym pracownikiem.
- W każdym razie mnie odpowiada.
- A czy zastanawiałaś się trochę nad znalezieniem kogoś, kto mógłby z tobą mieszkać? Ja dałam ogłoszenie do naszej miejscowej gazety, ale na razie nie miałam żadnej odpowiedzi, ani jednego telefonu w tej sprawie.
- Nie musisz już się więcej tym martwić. Antonia przyjeżdża jutro wieczorem i będzie ze mną mieszkać przez jakiś czas.
- Antonia? Jaka Antonia?
- Antonia Hamilton. Ach, tak, chyba wszyscy zapomnieliśmy ci powiedzieć. Myślałam, że może Oliwia dała ci znać.
- Nie — odparła Nancy bardzo chłodno. — Nikt mi o niczym nie mówił.
- A więc, ten bardzo miły przyjaciel Oliwii, ten z którym żyła, kiedy była na Ibizie... to takie okropnie smutne... on umarł. A jego córka przyjedzie tu na jakiś czas, żeby się jakoś pozbierać i spokojnie zastanowić, co ma robić dalej.
- Nancy była wściekła.
- No wiesz, muszę powiedzieć, że ktoś mógł się pofatygować i zadzwonić, żeby dać mi znać. Nie byłabym sobie robiła kłopotu z daniem ogłoszenia, gdybym była wiedziała.
- Tak mi przykro, kochanie, ale naprawdę tyle różnych spraw działo się równocześnie i byłam taka zajęta, że zapomniałam. Ale najważniejsze, że nie musisz się już o mnie martwić.
- Ale co to za dziewczyna, jaka ona jest?
- Myślę, że bardzo miła.
- Ile ma lat?
- Dopiero osiemnaście. Będzie świetnym towarzystwem dla mnie.

— Kiedy przyjeżdża?

— Mówiłam ci już. Jutro wieczór. Noel przywozi ją z Londynu. Będzie tu przez weekend i uporządkuje mój strych. On i Oliwia zdecydowali, że mój strych stanowi zagrożenie pożarowe. — Nastąpiła przerwa w rozmowie, a po chwili Penelopa ciągnęła dalej: — Może przyjechalibyście wszyscy na lunch w niedzielę? Weź dzieci i dołączcie do nas. Będziesz mogła zobaczyć się z Noelem i poznać Antonię.

I poruszyć sprawę obrazów.

— Chyba... — Nancy wahała się — chyba będziemy mogli. Poczekaj chwilkę, porozumiem się z George'em...

Zostawiła wiszącą słuchawkę i poszła szukać swojego męża. Nie musiała szukać długo. Znalazła go — wiedziała zresztą, że tam będzie — siedzącego w głębokim fotelu, zasłoniętego *Timesem*.

— George. — Opuścił gazetę. — Zaprosiła nas wszystkich na lunch w niedzielę — mówiła to syczącym szeptem, jakby matka mogła usłyszeć, chociaż telefon był całkowicie poza zasięgiem ich głosów.

— W niedzielę nie mogę — odparł George natychmiast. — Muszę być na lunchu w Klubie Diecezjalnym, a potem mam zebranie.

— W takim razie ja pojedę i wezmę dzieci.

— Myślałem, że dzieci mają spędzić ten dzień u Wainwright'ów...

— A rzeczywiście. Zapomniałam. No to, w takim razie chyba będzie lepiej, jak pojedę sama.

— Tak — powiedział George. — Zdaje się, że tak będzie najlepiej. Nancy wróciła do telefonu.

— Matko?

— Tak, jestem tu, słucham cię.

— George i dzieci mają inne zajęcia w niedzielę, ale ja bardzo chętnie przyjadę, jeśli to ci odpowiada.

— Ty sama? — (Czy w głosie matki słychać było ulgę? Nancy odsunęła tę myśl od siebie.) — To wspaniale, bardzo się cieszę. Przyjedź koło dwunastej, pogadamy sobie. Do zobaczenia.

Nancy odłożyła słuchawkę i poszła powiedzieć George'owi o tym, jak się umówiła z matką. Opowiedziała mu też, długo się nad tym rozwodząc, o bezmyślności i arogancji Oliwii, która bez żadnej trudności znalazła towarzyszkę dla ich matki i nawet nie pofatygowała się, żeby swoją siostrę o tym zawiadomić.

— ... i ona ma tylko osiemnaście lat. Przypuszczalnie jakaś smarkuła, która będzie leżała w łóżku cały dzień i będzie się spodziewać, że ją obsłużą. Jeszcze tylko przysporzy matce pracy. George, czy nie uważasz, że Oliwia powinna była dać mi znać? Przynajmniej omówić sprawę. W końcu to ja wzięłam na siebie obowiązek czuwania nad matką, a żadne z nich nawet nie bierze mnie pod uwagę. To naprawdę niewiarygodna wprost bezmyślność... George?

Ale George wyłączył się; przestał słuchać. Nancy westchnęła i zostawiła go, wracając do kuchni, żeby wyżyć się na reszcie brukselek, dając upust swojemu rozżaleniu.

Noel i Antonia przyjechali z Londynu dopiero piętnaście po dziewiątej wieczorem. Oczywiście wyobraźni Penelopa widziała ich już martwych, tkwiących w poskręcanej masie metalu (w jaguarze) na poboczu autostrady. Była to czarna deszczowa noc i Penelopa ciągle podchodziła do kuchennego okna wypatrując świateł. Właśnie zaczynała się zastanawiać, czy nie zadzwonić na policję, kiedy usłyszała odgłos samochodu pędzącego od strony miasteczka, potem zwalniającego, zmieniającego biegi i skręcającego — dzięki Ci, Panie Boże — w bramę, żeby podjechać z tyłu domu.

Pozostała jeszcze na moment w miejscu, aby się uspokoić. Nic tak nie wprowadzało Noela w zły nastrój, jak to, kiedy wyczuwał, że ona się o niego trzęsie, a w końcu, jeśli wyjechali z Londynu dopiero po szóstej, to było głupie z jej strony, żeby doprowadzić się do takiego stanu. Zostawiła za sobą swój strach i niepokój, przybrała spokojny, uśmiechnięty wyraz twarzy i poszła zapalić światło i otworzyć drzwi.

Zobaczyła podłużny, wyścigowy kształt sfatygowanego z lekka samochodu Noela. Właśnie z niego wysiadł i szedł otworzyć drugie drzwiczki. Wynurzyła się z nich Antonia, wlokąc za sobą jakiś plecak. Usłyszała jak Noel mówi: — Lepiej biegnij od razu pod dach. — Antonia tak właśnie zrobiła, pochylając głowę przed deszczem, biegnąc prosto pod osłonę ganku i prosto w oczekujące ramiona Penelopy.

Upuściła plecak na wycieraczkę i padły sobie w objęcia, ściskając się mocno. Penelopa, przepełniona ulgą i czułością, a Antonia, po prostu szczęśliwa, że jest tu wreszcie, bezpieczna i w ramionach jedynej chyba osoby, z którą chciała teraz być.

— Antonia — Penelopa odsunęła się, ale ciągle jeszcze trzymała ramię dziewczyny, wciągając ją przez drugie drzwi ku ciepłu panującemu w kuchni, z dala od ciemnej, zimnej i mokrej nocy.

— Myślałam, że nigdy już nie przyjedziecie.

— Ja też.

Wyglądała tak samo, a w każdym razie bardzo podobnie jak wtedy, gdy miała lat trzynaście. Wyższa, oczywiście, ale tak samo szczupła, długonoga, o pięknej figurze... a jej twarz dorosła do jej ust, ale poza tym wydawało się, że niewiele się zmieniła. Te same piegi na nosie, te same lekko skośne, zielone oczy i długie, gęste, jasne rzęsy. Wciąż te same złotorude włosy do ramion, ciężkie i proste. Nawet ten sam styl ubierania się; dzinsy, biały podkoszulek i na to męski sweter, z wycięciem w kształcie „V”.

— To cudowne, że **jesteś tutaj**. **Jak wam się jechało? Czy bardzo** padało?

— Paskudnie.

Antonia odwróciła się, kiedy Noel wszedł przez drzwi i dołączył do nich, dźwigając nie tylko walizkę Antonii i swoją własną torbę, ale także porzucony przed chwilą plecak.

— Och, Noel. — Postawił bagaże. — Co za beznadziejnie okropna noc.

— Miejmy nadzieje, że nie będzie padało cały weekend, bo wtedy nic nam się nie uda zrobić — wciągnął powietrze. — Coś pysznie pachnie.

— Zapiekanka z mięsa i ziemniaków.

— Umieram z głodu.

— Nic dziwnego. Zaprowadzę Antonię na górę i pokażę jej pokój, a potem siądziemy do kolacji. Nalej sobie drinka. Jestem pewna, że go potrzebujesz. Zaraz będziemy z powrotem. Chodź, Antonio...

Podniosła plecak, a Antonia wzięła walizkę. Penelopa szła przodem, wskazując drogę, schodami w górę, poprzez maleńki podest do pierwszej sypialni, a przez nią do drugiej.

— Co za cudowny dom — powiedziała Antonia idąc za nią.

— Ma niezbyt praktyczny rozkład. Wszystkie pokoje są przechodnie.

— Całkiem jak Ca'n D'alt.

— To były dawniej dwa domki. Dlatego są dwie klatki schodowe i dwoje drzwi wejściowych. A to będzie twój pokój.

Postawiła plecak i rozejrzała się po starannie przygotowanym pokoju sprawdzając, czy o niczym nie zapomniała. Wyglądał bardzo przyjemnie. Biała wykładzina dywanowa pokrywająca całą podłogę była nowa, ale wszystko inne pochodziło z ulicy Oakley. A więc dwa łóżka z półkolistymi zagłówkami z polerowanego mosiądzu, zasłony w róże, które nie pasowały do narzut na łóżka, mały mahoniowy stoliczek i dwa krzesła z wygiętymi w łuk oparciami. Napełniła glazurowany dzbanek pierwiosnkami i odchyliła narzutę na jednym z łóżek, odsłaniając świeżą, białą bieliznę pościelową i różowe koce.

— Tu masz szafę na ubrania, a przez te drugie drzwi wchodzi się do łazienki. Zaraz za nią jest pokój Noela, więc łazienkę macie na spółkę, ale jeśli będzie zajęta, możesz zawsze przejść na drugą stronę domu i skorzystać z mojej. A teraz... — wyjaśnwszy wszystko, zwróciła się do Antonii: — Co byś chciała zrobić najpierw? Może chcesz się wykapać? Jest mnóstwo czasu.

— Nie. Tylko umyję ręce, jeśli mogę. A potem przyjdę na dół.

Pod oczami miała cienie jak smugi.

— Musisz być zmęczona — zauważyła Penelopa.

— Tak, raczej jestem. Czuję się tak, jakbym ciągle nadrabiała różnicę czasu, u po długim locie. Jeszcze nie przyszałam do siebie.

— Nie martw się. Teraz jesteś już wreszcie tutaj. Nie musisz już jechać nigdzie indziej, w każdym razie aż do czasu kiedy sama zechcesz. Zejdź, kiedy będziesz gotowa, Noel przygotuje ci drinka.

Wróciła do kuchni, gdzie zastała Noela z dużą, ciemną whisky z wodą sodową, siedzącego przy stole i czytającego gazetę. Gdy zamknęła za sobą drzwi, podniósł głowę.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Biedne dziecko, wygląda na wyczerpaną.

— Tak. W drodze niewiele mówiła. Myślałem, że śpi, ale ona nie spała.

— Nic się nie zmieniła. Wydaje mi się, że była najbardziej atrakcyjnym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałam.

— Nie podsuwaj mi pomysłów.

Spojrzała na niego krytycznie.

— Zachowuj się przyzwoicie przez ten weekend, Noel.

Wyglądał jak uosobienie niewinności.

— A cóż masz na myśli?

— Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Uśmiechnął się szeroko, rozbawiony, i w żadnym wypadku nie zawstydzony.

— Kiedy skończę taszczyć wszystkie te rupiecie z twojego strychu, będę na pewno tak wykończony, że będę w stanie tylko paść na swoje wyrko i natychmiast zasnąć.

— Mam nadzieję.

— Och, mamo, przestań. Musisz chyba wiedzieć, że ona zupełnie nie jest w moim typie... białe rzęsy nie są zbyt atrakcyjne, przypominają mi królika. Umieram z głodu. Kiedy będziemy jeść?

— Kiedy Antonia zejdzie.

Podeszła do piecyka i otworzyła drzwiczki od piekarnika, żeby sprawdzić, czy zapiekanka się nie przypala lub czy nie jest jeszcze za mało przypieczona. Wszystko było w porządku. Zamknęła drzwiczki.

— No i co myślisz o tej aukcji w środę? O *Roznosicielach wody*?

— rzucił niby od niechcienia Noel.

— Mówiłam ci. To niestłuchane.

— Czy zdecydowałaś już, co zrobisz?

— A czy muszę coś zrobić?

— To już jest tępota. Przecież ten obraz sprzedano za ćwierć miliona! Ty posiadasz na własność trzy obrazy Lawrence'a Sterna i sama odpowiedzialność finansowa, jeśli już nic innego, zupełnie zmienia sytuację. Zrób to, co ci zasugerowałem, kiedy byłem tu ostatnim razem. Daj je do wyceny ekspertowi. A jeśli nadal nie będziesz chciała ich sprzedać, to na litość boską, ubezpiecz je na nowych zasadach. Każdy co sprytniejszy zawodnik mógłby wejść do domu pewnego dnia, kiedy ty

jestes zajęta w krzakach roż i po prostu wyjsc sobie, wynosząc je z sobą. Nie zachowuj się głupio.

Przeglądała mu się poprzez stół, rozdarta pomiędzy czymś w rodzaju matczynej wdzięczności za jego troskę, a paskudne podejrzenie, że jej syn — tak bardzo podobny do swego ojca — coś knuje. Wytrzymał jej wzrok, patrząc na nią jasnym, otwartym spojrzeniem niebieskich oczu, ale Penelopa pozostała niezdecydowana.

Wreszcie odparła:

— Dobrze, pomyślę o tym. Ale nigdy nie sprzedam moich kochanych *Poszukiwaczy muszelek* i będę dalej czerpała pociechę i ogromną radość z patrzenia na nich. To wszystko, co mi zostało z tamtych dni, z dzieciństwa, z Kornwalii i Porthkerris.

Noel wyglądał na lekko zaniepokojonego.

— Hej, posłuchajcie tylko tych łkających skrzypiec. To niepodobne do ciebie, żeby wpadać w tak sentymentalny nastrój.

— Nie jestem sentymentalna. Po prostu ostatnio rośnie we mnie tęsknota, żeby tam znów być. To ma coś wspólnego z morzem. Chcę znów popatrzeć na morze. Zresztą, dlaczegoż by nie? Nic mnie nie zatrzymuje. Choćby na parę dni.

— Czy jesteś pewna, że to byłoby mądrze? Czy nie lepiej pamiętać to miejsce takim, jakie było? Wszystko się zmienia i nigdy na lepsze.

— Morze się nie zmienia — odpowiedziała Penelopa stanowczo.

— Nikogo już tam nie znasz.

— Znam Doris. Mogę się u niej zatrzymać.

— Doris?

— Była jednym z przesiedleńców, którzy przyjechali do Porthkerris na początku wojny. Mieszkała z nami w Carn Cottage. Nigdy nie wróciła do Hackney. Po prostu została w Porthkerris. Ciągłe jeszcze do siebie piszemy i zawsze mnie zaprasza, żebym przyjechała ją odwiedzić... — zawahała się, po czym zapytała: — Czy pojechałbyś ze mną?

— Pojechać z tobą? — Był tak zaskoczony jej propozycją, że nawet nie próbował ukryć swojego zdumienia.

— Miałabym wtedy towarzystwo. — To zabrzmiało żałośnie, jakby czuła się samotna. Spróbowała z innej strony. — Moglibyśmy się oboje dobrze bawić. Niewielu rzeczy w życiu żałuję, ale żałuję, że nie wzięłam was wszystkich do Porthkerris, kiedy byliście dziećmi. Ale, choć nie wiem dlaczego, nigdy się to jakoś nie udało.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie. Zażenowani spoglądali na siebie. Noel postanowił obrócić to wszystko w żart.

— Trochę jestem za długi na robienie zamków z piasku na plaży. Jego matka nie uważała, żeby to było szczególnie zabawne.

— Są też inne rozrywki.

— Jak na przykład?

— Mogłabym ci pokazać Carn Cottage, gdzie mieszkaliśmy. Pracownię twojego dziadka. Galerię sztuki, którą on pomógł założyć. Wydajesz się być nagle tak bardzo zainteresowany jego obrazami, myślałam, że zechcesz zobaczyć, gdzie się to wszystko zaczęło.

Czasami tak robiła. Wymierzyła mu błyskawiczne uderzenie poniżej pasa. Noel pomógł sobie dużym łykiem whisky, opanował się.

— Kiedy chciałybyś jechać?

— Wkrótce. Przed końcem wiosny. Zanim nadejdzie lato.

Doznał uczucia ulgi, bowiem znalazł idealną wymówkę.

— W tym czasie nie mógłbym wyjechać.

— Nawet na długi weekend?

— Mamo, w biurze toniemy po prostu w dodatkowych zleceniach, a mnie nie należy się teraz urlop, najwcześniej w lipcu.

— No cóż, w takim razie to niemożliwe. — Ku jego uldze, zmieniła temat. — Noel, bądź taki dobry i otwórz butelkę wina.

Wstał. Miał jednak pewne wyrzuty sumienia.

— Przykro mi. Chętnie bym z tobą pojechał.

— Wiem — powiedziała. — Wiem.

Kiedy pojawiła się Antonia, była już za kwadrans dziesiąta. Noel nalał wino i wszyscy zasiedli do zapiekanki. Była też sałatka z owoców i krakersy z serem. Potem Noel zrobił sobie kawę i ogłaszając, że idzie na strych, żeby się tam rozejrzeć przed jutrzejszą robotą, poszedł na górę, biorąc kawę ze sobą.

Kiedy wyszedł, Antonia też wstała i zaczęła składać talerze i szklanki, ale Penelopa powstrzymała ją.

— Nie potrzeba. Włożę to wszystko do zmywarki do naczyń. Jest prawie jedenasta i na pewno tęsknisz już za łóżkiem. Może teraz zechcesz się wykapać?

— Tak, bardzo chętnie. Nie wiem dlaczego, ale czuję się okropnie brudna. To chyba ma coś wspólnego z pobytem w Londynie.

— Tak, ja też zawsze się tak czuję po powrocie stamtąd. Nalej sobie dużo ciepłej wody i dobrze się w niej namocz.

— To była wspaniała kolacja. Dziękuję.

— Moja kochana... — Penelopa była wzruszona i nagle zabrakło jej słów. A było przecież tyle do powiedzenia. — Może, jak będziesz już w łóżku, przyjdę do ciebie na górę, powiedzieć ci dobranoc.

— Zrobisz tak?

— Oczywiście.

Po wyjściu Antonii Penelopa uprzątnęła ze stołu, wystawiła butelki na mleko i już nakryła stół do śniadania. W domu, w którym były drewniane sufity i wszędzie pootwierane drzwi, odgłosy rozchodziły się łatwo, słyszała więc, jak na górze Antonia nalewała sobie wodę na kąpiel, a także dochodzące ze strychu, przytłumione kroki Noela, torującego sobie drogę

pomiędzy różnymi gratami. Biedny człowiek, wziął na siebie gigantyczne zadanie. Miała nadzieję, że nie rozmyśli się w połowie i nie zostawi jej z jeszcze gorszym bałaganem niż ten dotychczasowy. Woda z kąpieli spłynęła, bulgocząc w rurach. Zawiesiła ściereczkę, zgasiła światło i poszła na górę.

Zastała Antonię w łóżku, przeglądającą czasopismo, które Penelopa położyła na nocnym stoliku. Jej ramiona były opalone i szczupłe, a jedwabiste włosy rozsypały się na białej, lnianej poszewce na poduszkę.

Zamknęła drzwi za sobą.

— Jak się czujesz?

— Bosko. — Antonia uśmiechnęła się. — Wsypałam sobie trochę tych wspaniałych soli do kąpieli. Pomyślałam, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu.

— Miałam nadzieję, że tak właśnie zrobisz. Po to tam były. — Przyśiadła na brzegu łóżka. — Dobrze ci ta kąpiel zrobiła. Nie wyglądasz już na tak znużoną.

— Rzeczywiście. Nawet mnie to ożywiło. Czuję się rozbudzona i mam wielką ochotę na pogawędkę. Nie mogłabym teraz zasnąć.

Z góry, poprzez belkowany sufit dochodził właśnie odgłos wleczenia czegoś ciężkiego po podłodze. Penelopa powiedziała:

— Może i lepiej, bo teraz, z tymi hałasami, które Noel wszczyna na górze i tak byś nie zasnęła.

W tym momencie usłyszały głucho tąpnięcie, jakby jakiś ciężki przedmiot nagle spadł, a potem głos Noela: „Do jasnej cholery!”

Penelopa zaczęła się śmiać i Antonia śmiała się także, aż nagle, w jednej chwili przestała, a jej oczy napełniły się łzami.

— Moje kochane dziecko.

— To takie głupie... — Pociągnęła nosem, sięgnęła po chusteczkę i wytarła nos. — Po prostu, to takie cudowne być tutaj z tobą i móc śmiać się znowu z takich sobie głupich rzeczy. Czy pamiętasz jak się śmiałyśmy? Kiedy ty byłaś z nami wtedy, ciągle działo się coś śmiesznego. Kiedy odjechałaś, nigdy potem nie było tak samo.

Już się pozbierała. Widać było, że nie będzie płakać. Łzy wyschły, tylko jej oczy jeszcze trochę błyszczały i Penelopa zapytała łagodnie:

— Czy chcesz porozmawiać?

— Tak, myślę, że tak.

— Czy chcesz mi opowiedzieć o Kosmie?

— Tak.

— Było mi tak przykro. Kiedy Oliwia mi **powiedziała... to był taki szok...** Tak okropnie się zmartwiłam.

— Umarł na raka.

— Nie wiedziałam.

— Rak płuc.

- Ale przecież on nie palił.
- Dawniej palił. Zanim go poznałaś. Zanim Oliwia go poznała. Pięćdziesiąt dziennie, czasami więcej. Zerwał z nałogiem, ale i tak go to zabiło.
- Byłaś z nim?
- Tak. Mieszkałam z nim przez ostatnie dwa lata. Od czasu, gdy moja matka ponownie wyszła za mąż.
- Czy bardzo to przeżyłaś?
- Nie. Cieszyłam się z jej szczęścia. Nie bardzo lubię człowieka, którego wybrała, ale to nie ma nic do rzeczy. Ona go lubi. Wyjechała z Weybridge i zamieszkała na północy, bo on stamtąd pochodzi.
- Czym on się zajmuje?
- Ma jakieś przedsiębiorstwo tkackie... produkcja samodziałów, tkanie wełny, coś w tym rodzaju.
- Czy byłaś tam u nich?
- Tak, byłam na pierwsze Boże Narodzenie po ich ślubie. Ale było okropnie. On ma dwóch koszmarnych synów i marzyłam, żeby stamtąd wyjechać, zanim któryś z nich mnie zgwałci. No, może trochę przesadzam, ale w każdym razie to jest powód, dla którego nie mogłam pojechać do mojej matki, kiedy tatuś umarł. Po prostu nie mogłam. A jedyną osobą, która była w stanie mi pomóc, o jakiej mogłam pomyśleć, była Oliwia.
- Tak, rozumiem, ale opowiedz mi jeszcze o Kosmie.
- A więc, on czuł się dobrze. Wydawało się, że nic mu nie jest. Aż nagle, jakieś sześć miesięcy temu, zaczął okropnie kaszleć. Nie mógł przez to spać w nocy, a ja leżałam i nasłuchiwałam, starając się myśleć, że to nic poważnego. Ale w końcu przekonałam go, żeby poszedł do lekarza i do szpitala na badanie i żeby zrobili mu prześwietlenie. Nigdy już stamtąd nie wrócił. Operowali go. Otworzyli klatkę piersiową i wycięli połowę jednego płuca, a potem zaszli z powrotem i powiedzieli, że będzie mógł niedługo wrócić do domu. Tymczasem zaraz potem on miał zapaść pooperacyjną i to był już koniec. Umarł w szpitalu. Nigdy nie odzyskał przytomności.
- A ty byłaś sama?
- Tak, byłam sama, ale Tomas i Maria mieszkają przecież blisko, a ponieważ nie wyobrażałam sobie nawet, że coś takiego może się wydarzyć, więc nie martwiłam się tak bardzo, ani nie byłam zbyt przestraszona. Wszystko stało się tak nagle. Jednego dnia byliśmy razem w Ca'n D'alt, tak jak zawsze, a następnego dnia on już nie żył. Oczywiście to nie było następnego dnia, ale mnie się tak wydawało.
- I co zrobiłaś?
- Wiesz... To brzmi okropnie, ale musieliśmy szybko zorganizować pogrzeb. Bo, widzisz, na Ibizie pomiędzy śmiercią a pogrzebem może upłynąć tylko bardzo krótki czas. Pogrzeb musi się odbyć następnego

dnia. Można by pomyśleć, że na wyspie, gdzie prawie nikt nie ma telefonu, wiadomość nie miałaby jak się rozejść, ale się rozeszła. Jak telegrafem, jak tam-tamem w buszu. Miał tylu przyjaciół. Nie tylko takich ludzi jak my, ale także prawdziwych mieszkańców wyspy, mężczyzn, z którymi popijał w barze Pedra, rybaków z portu i wieśniaków, którzy mieszkali wokół nas. Wszyscy przyszli.

— Gdzie go pochowano?

— Na cmentarzu przy małym kościółku w miasteczku.

— Ale ... to jest katolicki kościół.

— Oczywiście. Ale to nic nie szkodzi. Tatuś nie chodził do kościoła, ale jako dziecko był ochrzczony w obrządku katolickim. Poza tym, przyjaźnił się z miejscowym księdzem. Przedobry człowiek... umiejący pocieszyć. Odprawił nabożeństwo żałobne dla nas, nie w kościele, ale przy samym grobie, w świetle słońca. Kiedy odchodziliśmy, nie było widać grobu, tyle było kwiatów. Wyglądało pięknie. A potem wszyscy przyszli do Ca'n D'alt, gdzie Maria przygotowała trochę jedzenia i wszyscy napili się wina, a potem odeszli. I tak to się skończyło.

— Rozumiem. To brzmi bardzo smutno, ale, na swój sposób to musiało być miłe. Powiedz mi, czy opowiadałaś to wszystko Oliwii?

— Tylko trochę. Właściwie nie chciała zbyt dużo usłyszeć.

— To w jej stylu. Kiedy Oliwia jest czymś bardzo poruszona albo zmartwiona, ukrywa swoje uczucia, prawie tak jakby chciała udać przed sobą samą, że nic się nie stało.

— Tak. Wiem. Zrozumiałam to i nie przejmowałam się tym.

— Co robiłaś, kiedy byłaś u niej w Londynie?

— Niewiele. Poszłam do Marksa i Spencera i kupiłam sobie trochę ciepłych rzeczy do ubrania. Odwiedziłam też adwokata tatuś. To była bardzo przygnębiająca rozmowa.

Penelopie zrobiło się żal dziewczyny.

— Nic ci nie zostawił?

— Dosłownie nic. Kochany tatuś nie miał mi nic do zostawienia.

— A ten dom na Ibizie?

— Dom nigdy do nas nie należał. Był własnością człowieka nazwiskiem Carlos Barcello. Ale ja nie chciałam tam zostać. A nawet gdybym została, nie miałabym na czynsz.

— A jego jacht, co się z nim stało?

— Sprzedał, wkrótce po wyjeździe Oliwii. Nigdy nie kupił nowego.

— A te inne rzeczy, jego książki, meble i obrazy?

— Przyjaciel Tomasa przechowa je do czasu, kiedy będę ich potrzebować albo będę w stanie przyjechać i je zabrać.

— Trudno w to uwierzyć, Antonio, wiem, ale taki czas przyjdzie.

Antonia podłożyła ręce pod głowę i wpatrywała się w sufit.

— Teraz jestem już spokojniejsza, jest mi smutno, ale już nie martwię

się, że nie mógł dłużej żyć. Byłby bardzo chory i słaby i jego życie nie mogłoby trwać dłużej niż dwanaście miesięcy. Lekarz mi to powiedział. Więc to lepiej, że odszedł tak, jak odszedł. Ale tak naprawdę to najbardziej żał mi tych zmarnowanych lat po wyjeździe Oliwii. Nigdy już potem nie miał innej kobiety. Bardzo kochał Oliwię. Myślę, że to była największa miłość jego życia.

W pokoju zapanowała cisza. Hałasy i odgłosy kroków ze strychu ustały i Penelopa domyśliła się, że Noel postanowił dać już sobie z tym spokój i zszedł.

Po pewnym czasie odezwała się, starannie dobierając słowa:

— Oliwia też go kochała. Na tyle, na ile jest w stanie oddać serce jakiemukolwiek mężczyźnie.

— Chciał, żeby wyszła za niego za męża, ale ona się nie zgodziła.

— Czy masz do niej o to żal?

— Nie. Podziwiam ją. To było bardzo uczciwe i wymagało siły charakteru.

— To bardzo niezwykła osoba.

— Wiem.

— Po prostu nigdy nie chciała wyjść za męża. Przeraża ją zależność od kogoś, oddanie się pod czyjąś opiekę, zapuszczenie korzeni.

— Ma swoją karierę.

— Tak. Jej kariera znaczy dla niej więcej niż cokolwiek innego na świecie.

Antonia zastanowiła się nad tym. Po chwili stwierdziła:

— To dziwne. Można by to jeszcze zrozumieć, gdyby miała okropne dzieciństwo albo przeszła jakiś straszny szok. Ale nie wyobrażam sobie, żeby przy takiej, jak ty, matce mogło się wydarzyć coś podobnego. Czy ona bardzo się różni od twoich pozostałych dzieci?

— Całkowicie. — Penelopa uśmiechnęła się. — Nancy to zupełnie przeciwieństwo. Wszystko o czym zawsze marzyła, to być zamężną kobietą, z własnym domem. Było w niej trochę zamiłowania do bycia „panią we dworze”, ale w końcu cóż w tym złego? Nikomu krzywdy nie robi. Jest szczęśliwa. Przynajmniej wyobrażam sobie, że jest szczęśliwa. Ma to, czego zawsze najbardziej chciała.

— A ty? — zapytała Antonia. — Czy ty chciałaś wyjść za męża?

— Ja? Mój Boże, to było już tak dawno temu, że ledwie mogę sobie przypomnieć. Nie wydaje mi się, żebym wiele o tym myślała. Miałam tylko dziewiętnaście lat i była wojna. W czasie wojny nie planowało się zbyt daleko w przyszłość. Żyło się z dnia na dzień.

— Co się stało z twoim mężem?

— Ambrose? Umarł w parę lat po ślubie Nancy.

— Czy czułaś się samotna?

— Byłam sama, ale to nie to samo co samotna.

— Ja nigdy przedtem nie zetknęłam się ze śmiercią. Aż do czasu śmierci Kośmy.

— Kiedy pierwszy raz umiera nam ktoś bliski, to jest to najbardziej wstrząsające przeżycie. Ale po pewnym czasie jakoś w końcu się z tym godzimy.

— Tak, przypuszczam, że tak jest. On mawiał: „Całe życie jest kompromisem”.

— To mądrze powiedziane. Dla niektórych tak musi być. Ale myślę, że ciebie czeka coś lepszego.

Antonia uśmiechnęła się. Czasopismo już dawno spadło na podłogę, a jej oczy straciły gorączkowy blask. Wyglądała jak dziecko, które zaczyna być senne.

— Jesteś zmęczona — zauważyła Penelopa.

— Tak. Teraz już zasnę.

— Nie budź się za wcześnie. — Wstała z łóżka i podeszła do okna odsunąć firankę. Deszcz przestał padać i z ciemności dało się słyszeć pohukiwanie sowy. — Dobranoc. — Podeszła do drzwi, otworzyła je i zgasiła światło.

— Penelopo.

— Tak?

— To tak cudownie być tutaj. Z tobą.

— Śpij dobrze. — Zamknęła drzwi. «,

Dom pograżył się w ciszy. Na dole wszystkie światła były zgaszone. Noel wyraźnie zdecydował się zakończyć swoją działalność na ten dzień i poszedł spać. Nie było już nic więcej do zrobienia.

W swoim pokoju Penelopa pokrzątała się jeszcze trochę, bez pośpiechu umyła zęby, wyszczotkowała włosy, wklepała krem na noc w twarz. W nocnej koszuli poszła rozsunać ciężkie zasłony. Przez otwarte okno powiał lekki wietrzyk, zimny i wilgotny, ale pachnący słodko ziemią, tak jakby jej ogród, wraz z nadchodzącą już wiosną, drgnął zbudzony z długiego zimowego snu. Znowu rozległo się pohukiwanie sowy, było tak cicho, że mogła usłyszeć łagodny szept rzeczki Windrush, płynącej za sadem.

Odwróciła się od okna, położyła się do łóżka i zgasiła światło. Jej ciało czuło się ciężkie i zmęczone, wdzięczne za wygodny odpoczynek w chłodnej pościeli, na miękkich poduszkach, ale jej umysł był całkowicie rozbudzony, ponieważ niewinna ciekawość Antonii poruszyła sprawy z przeszłości w sposób niepokojący. Penelopa nie bardzo miała ochotę odpowiadać na te pytania, zrobiła to jednak, ostrożnie, nie kłamiąc, ale też i nie mówiąc całej prawdy. Prawda była zbyt skomplikowana, żeby ją można było opowiedzieć, zbyt zawiślana, i dotyczyła spraw, które działy się tak dawno temu. Zbyt dawno temu, żeby można było teraz zacząć rozsupływać splecione nici motywacji, przyczyn i porządku wydarzeń. Nie

mówiła o Ambrose, nie wspominała jego imienia, nie myślała o nim przez czas tak długi, że już nie pamiętała jak dawno. Ale teraz leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność, i wiedziała, że obudzone wspomnienia nie dadzą jej zasnąć. Zmuszą ją do powrotu w przeszłość. Było to niezwykle uczucie, jak oglądanie starego filmu albo odnalezienie starego albumu z fotografiami, o pozaginanych rogach i wystrzępionych brzegach, gdy odwracając strony odkrywało się, że te stare zdjęcia wcale nie są wyblakłe, ale pozostały jasne, wyraźne i żywe jak zawsze.

ROZDZIAŁ 8

AMBROSE

Kobieta, oficer Wren-u, ułożyła leżące przed nią papiery w równy stosik i zdjęła zakrętkę z wiecznego pióra.

— A więc, Stern, musimy zdecydować do jakiej kategorii was przydzielić.

Penelopa siedziała po drugiej stronie biurka i patrzyła się na nią. Pani oficer miała dwa niebieskie paski na rękawie i krótko obcięte włosy. Jej kołnierzyk i krawat były tak sztywne i ciasne, że wyglądały jakby miały ją za chwilę udusić, na rękę nosiła męski zegarek, a na biurku leżała skórzana papierośnica i ciężka, złota zapalniczka. Penelopa rozpoznała w niej jeszcze jedną pannę Pawson i poczuła się całkiem życzliwie do niej usposobiona.

- Czy macie jakieś kwalifikacje?
- Nie. Chyba nie.
- Stenografia? Pisanie na maszynie?
- Nie.
- Dyplom uniwersytecki?
- Nie.
- Musicie zwracać się do mnie „proszę pani”.
- Proszę pani.

Pani oficer odchrząknęła. Czuła się zbита z tropu szczerym, otwartym wyrazem twarzy i rozmarzonymi, brązowymi oczami nowej ochotniczki. Miała na sobie mundur, który jednak zupełnie do niej nie pasował; była za wysoka, jej nogi były za długie, a jej włosy — to już była wręcz katastrofa, miękkie i ciemne, spięte w luźny węzeł, który nie wyglądał ani porządnie, ani trwale.

— Przypuszczam, że chodziliście do jakiejś szkoły?

Na wpół spodziewała się usłyszeć, że ochotniczka Stern była kształcona w domu przez guwernantkę. Wyglądała na tego rodzaju dziewczynę. Trochę lekcji francuskiego, malowanie akwareli i niewiele więcej. Ale ochotniczka Stern odpowiedziała:

— Tak.
— Szkoła z internatem?
— Nie. Szkoła dzienna. Szkoła panny Prichett, gdy mieszkaliśmy w Londynie i miejscowa szkoła powszechna, kiedy mieszkaliśmy w Porthkerris. To jest w Kornwalii — dodała uprzejmie.

Pani oficer zaczęła odczuwać wielką potrzebę zapalenia papierosa.

— Czy to jest wasz pierwszy pobyt poza domem?

— Tak.

— Musicie do mnie mówić „proszę pani.”

— Proszę pani.

Pani oficer westchnęła. Ochotniczka Stern będzie trudnym przypadkiem. Z kulturalnego środowiska, na wpół wykształcona i całkowicie beużyteczna.

— Czy umiecie gotować? — zapytała, straciwszy już prawie nadzieję.

— Niezbyt dobrze.

Nie było innego wyjścia.

— W takim razie, niestety musicie zostać stewardem.

Ochotniczka Stern uśmiechnęła się przyjemnie, wydawała się być zadowolona, że jakaś decyzja została podjęta.

— W porządku.

Pani oficer odnotowała coś w formularzu i zakreśliła pióro. Penelopa czekała, co będzie dalej.

— To chyba wszystko. — Penelopa wstała, ale pani oficer jeszcze nie skończyła. — Stern. Wasze włosy. Musicie coś z nimi zrobić.

— Ale co? — zapytała Penelopa.

— Nie mogą dotykać kołnierzyka, taki jest regulamin w marynarce, wiecie. Najlepiej dajcie je sobie obciąć u fryzjera.

— Ja nie chcę ich obciąć.

— W takim razie... musicie się postarać. Na przykład, spróbujcie się nauczyć robić mały, zgrabny koczek.

— Rozumiem. Dobrze.

— No, to już idźcie.

Penelopa wyszła mówiąc: „Do widzenia”. Drzwi już prawie całkiem się za nią zamknęły, a potem otworzyły się znowu i usłyszała jeszcze: „Proszę, teraz pani”.

Została przydzielona do Królewskiej Szkoły Marynarki Wojennej, Oddział Artylerii na HMS Excellent, na Whale Island⁰. Miała być stewardem, ale ponieważ wyrażała się poprawnie i elegancko, zatrudniono ją w kwaterach starszych oficerów. Jej praca polegała na nakrywaniu do stołu, serwowaniu drinków, wołaniu ludzi do telefonu,

⁰ Whale Island — Wyspa Wielorybów (przyp. tłum.)

czyszczeniu srebra i podawaniu do stołu w czasie posiłków. Przed zapadnięciem zmroku, miała też obejść wszystkie kabiny i zająć się zaciemnieniem, pukając do drzwi, a jeśli ktoś był w środku, mówiła: „Pozwolenie na zaciemnienie statku”. Tak naprawdę, była po prostu wyższego rzędu pokojówką i płacono jej tak jak pokojówce, czyli trzydzieści szylingów co dwa tygodnie. W związku z tym raz na dwa tygodnie musiała uczestniczyć w ceremonii wypłaty. Trzeba było stać w kolejce, aż dochodziło się do komendanta i przed nim należało zasalutować. Komendant miał wiecznie kwaśną minę i wyglądał, jakby nienawidził kobiet, co zapewne było faktem. Podawało się wtedy swoje nazwisko, a on wręczał chudą kopertę.

Prośzenie o pozwolenie na zaciemnienie statku było tylko częścią całego nowego słownictwa, którego musiała się nauczyć i spędziła cały tydzień w ośrodku szkoleniowym, tym się właśnie zajmując. Pokój sypialny to była kabina, podłoga to był pokład, kiedy szła do pracy, nazywało się to, że wchodzi na pokład, „łatany” to było pół dnia pracy, a jeśli się miało kłótnię z koleżanką czy kolegą, to określało się to słowami „darcie mosiężnych szmat”, ale ponieważ ona nie miała z kim się kłócić, więc nie było okazji na użycie tego marynarskiego powiedzonka.

Whale Island istotnie była wyspą i trzeba było przejść przez most, żeby się na nią dostać, co było dość podniecające i miało się wrażenie, jakby się wchodziło na statek, chociaż nie było tak naprawdę. Kiedyś to miejsce było błotnistą mielizną pośrodku portu w Portsmouth, ale teraz powstał tu duży i ważny Ośrodek Szkolenia Marynarki, z placem, na którym odbywały się parady, halą do ćwiczenia musztry, kościołem, z nabrzeżami i falochronem, i ogromnymi bateriami artyleryjskimi, gdzie szkolono żołnierzy. Biura administracji i koszary mieściły się w szeregu budynków z czerwonej cegły, które odpowiadały pomieszczeniom pod pokładem i były kwadratowymi blokami o prostej budowie, ale kwatery starszych oficerów znajdowały się w całkiem eleganckim gmachu, przypominającym pałac, z boiskiem do grania w piłkę.

Hałas był nieustający. Grały trąbki, popiskiwały kobzy, a radiowóz z skrzekliwym tonem nadawał rozkazy dzienne. Żołnierze maszerowali dwójkami we wszystkich kierunkach, a ich ciężkie buty wybijały rytm głuchymi uderzeniami o asfalt. Młodszy oficerowie doprowadzali się do apopleksji, wrzeszcząc na oddziały przerażonych żołnierzy marynarki, usiłujących opanować skomplikowaną sztukę musztry. Codziennie rano odbywał się przemarsz poszczególnych dywizji, kapitańska parada wszystkich oddziałów, przy dźwiękach Królewskiej Orkiestry Marynarki Wojennej, grającej takie melodie jak *Braganza* i *Debowe serca*. Jeśli akurat zostało się zaskoczonym na dworze, kiedy biały sztandar wjeżdżał na maszt, trzeba było się zwrócić w kierunku nadbudówki i stać na baczność, salutując aż do zakończenia ceremonii.

Kwatery dla ochotniczek, gdzie mieszkała Penelopa, mieściły się w zarekwirowanym przez wojsko hotelu, w północnej części miasta. Tutaj Penelopa dzieliła pokój z pięcioma dziewczynami. Wszystkie spały na piętrowych łózkach. Jedna z dziewcząt okropnie śmierdziała, ale nie było w tym nic dziwnego, gdyż prawie nigdy się nie myła. Kwatery znajdowały się o dwie mile od Whale Island, a ponieważ marynarka nie zapewniała im transportu, nie było też autobusów, więc Penelopa zadzwoniła do domu, do Sophie, żeby przysłali jej stary rower. Sophie obiecała, że to zrobi. Nada rower pociągiem, a Penelopa ma go odebrać na stacji w Portsmouth.

— A jak ty się miewasz, kochanie?

— W porządku. — To było okropne, słyszeć głos Sophie i nie być z nią. — A jak ty się masz? Jak papa?

— Panna Pawson nauczyła go posługiwać się pompą.

— A Doris? A chłopaki?

— Ronald dostał się do szkolnej drużyny piłki nożnej. A Clark chyba ma odrę. Mam już przebiśniegi w ogrodzie.

— Już? — Chciała je zobaczyć. Chciała tam być. To przykre, wiedzieć, że oni wszyscy są w Carn Cottage i nie być tam z nimi razem. Myśleć o jej ukochanym pokoiku, z firankami powiewającymi na wietrze od morza i snopem światła z latarni wędrującym po ścianie.

— Czy jest ci tam dobrze, kochanie?

Ale zanim Penelopa zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pip-pip-pip i połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę. Była zadowolona, że rozmowę przerwano i że nie zdążyła odpowiedzieć, bo nie było jej tu dobrze. Czuła się samotna, tęskniła za domem i była znudzona. Nie pasowała do tego dziwnego, nowego świata i obawiała się, że nigdy nie będzie do niego pasować. Powinna była zostać pielęgniarką, zgłosić się do pomocy przy produkcji naboju, robić cokolwiek innego, byle tylko nie pakować się w tę okropną i, jak się zdawało, długotrwałą sytuację, którą zawdzięczała swojej impulsywnej, dramatycznej decyzji.

Następny dzień to był czwartek. Powoli nadciągała wiosna, jeszcze było zimno, ale przynajmniej słońce świeciło cały dzień. O piątej Penelopa, nareszcie po służbie, opuściła wyspę, zasalutowała przed oficerem dyżurnym, stojącym na warcie i przeszła przez wąski most. Przypływ był wysoki, a wzgórze Portsdown w gasnącym świetle wyglądały kusząco wiejsko. Kiedy przyśła jej rower, będzie może mogła jeździć na samotne przejażdżki i znaleźć trochę trawy, na której mogłaby usiąść. Ale tego dnia czekał ją tylko nudny wieczór i zastanawiała się, czy ma dosyć pieniędzy, żeby pójść sobie do kina.

Usłyszała za sobą przejeżdżające przez most auto. Szła dalej. Samochód zwolnił i zatrzymał się koło niej, mały MG, typu wyścigowego, ze złożonym dachem.

— W którą stronę pani idzie?

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że on mówi do niej. Pierwszy raz jakkolwiek mężczyzna zwrócił się do niej, nie licząc oczywiście tych sytuacji, kiedy jakiś oficer zamawiał marchewkę z groszkiem albo różowy gin. Ale wokół nie było nikogo innego, więc musiało mu chodzić o nią. Penelopa poznała go. To był ten wysoki, niebieskooki podporucznik, który nazywał się Keeling. Wiedziała, że był tu na szkoleniu artyleryjskim, ponieważ chodził w białych, zapinanych na guziczki kamaszach, białych flanelowych spodniach i białym szaliku, co było obowiązkowym umundurowaniem oficerów w czasie szkolenia.

Ale teraz był w codziennym, zwykłym mundurze i wyglądał na wesołego chłopaka, bez trosk, wyruszającego gdzieś się zabawić.

— Do kwatery dla ochotniczek — odpowiedziała.

' Pochylił się na bok i otworzył drzwiczki.

— To wskakuj, podwiozę cię.

— Czy pan jedzie w tamtą stronę?

— Nie. Ale mogę pojechać.

Wsiadła i usadowiła się na siedzeniu obok niego. Samochód ruszył bardzo szybko i musiała ręką przytrzymać czapkę.

— Widziałem tu już panią, prawda? Pracuje pani w kwaterach dla oficerów.

— Tak. Zgadza się.

— Odpowiada pani ta praca?

— Nie bardzo.

— To dlaczego ją pani wybrała?

— Nic innego nie umiałabym robić.

— Czy to pani pierwsza placówka?

— Tak. Zgłosiłam się dopiero miesiąc temu.

— Jak się pani podoba w marynarce?

Był taki pełen zapału i entuzjazmu, że nie chciała mu powiedzieć, iż nie cierpi tego wszystkiego.

— Jakoś leci. Powoli się przyzwyczajam.

— Trochę jak w szkole, w internacie, prawda?

— Nigdy nie chodziłam do szkoły z internatem.

— Jak się pani nazywa?

— Penelopa Stern.

— Ja jestem Ambrose Keeling.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę. W pięć minut byli na miejscu, wjeżdżając przez bramę kwatery dla ochotniczek i zatrzymując się z piskiem przed drzwiami, co nie spodobało się dyżurnej, która wyjrzała ze swojego okna, marszcząc brwi z dezaprobatą.

Wyłączył silnik, a Penelopa powiedziała: — Dziękuję panu bardzo — i sięgnęła, żeby otworzyć drzwiczki.

- Co pani ma zamiar zrobić z resztą wieczoru?
- Nic szczególnego.
- Ja też nic. Chodźmy razem na drinka do Klubu Oficerskiego.
- Teraz?
- Tak. Teraz. — W jego niebieskich oczach migotało rozbawienie.
- Czy to taka okropna propozycja?
- Nie... ani trochę. Tylko że... ochotniczkom w mundurze nie wolno wchodzić do klubów oficerskich. Muszę pójść się przebrać w zwykłe ubranie.

To była jeszcze jedna rzecz, której nauczyła się w czasie szkolenia — nazywać ubranie cywilne „zwykłym ubraniem”. Czuła się całkiem dumna z siebie, że pamiętała wszystkie te przepisy, reguły i określenia.

— W porządku. Poczekam na panią.

Zostawiła go tam, w jego małym samochodzie, sięgającego po papierosa, żeby skrócić sobie czas oczekiwania. Weszła do budynku i ruszyła biegiem po schodach, przeskakując po dwa stopnie, nie chcąc tracić ani chwili, przerażona, że jeśli zajmie jej to zbyt dużo czasu, to on straci cierpliwość, odjedzie i już nigdy się do niej nie odezwie.

W swojej kwaterze błyskawicznie ściągnęła mundur, rzuciła go na łóżko, umyła twarz i ręce, wyjęła spinki z włosów i rozpuściła je. Szczotkując włosy z przyjemnością poczuła dobrze sobie znany ciężar opadający na ramiona. Była znowu sobą, wolna, wróciła jej pewność siebie. Otworzyła wspólną szafę i wyciągnęła z niej suknię, prezent od Sophie na Boże Narodzenie oraz nieco sfatygowany stary żakiet z piżmowego futra, który ciocia Ethel chciała oddać na aukcję dobroczynną, ale Penelopie udało się go zachować dla siebie. Znalazła parę całych pończoch i swoje najlepsze buty. Nie potrzebowała torebki, bo nie miała pieniędzy, a nigdy nie używała Kosmetyków do makijażu. Pobiegnęła na dół, podpisała się w „Książce wyjść i powrotów” i wyszła z budynku.

Było już prawie ciemno, ale on wciąż tam był, siedział w samochodzie, jeszcze paląc tego samego papierosa.

— Przepraszam, że zajęło mi to tak dużo czasu. — Niemal bez tchu opadła na siedzenie obok niego.

— Dużo czasu? — zaśmiał się, gasząc papierosa. — W życiu nie znałem tak szybkiej kobiety. Spodziewałem się, że będę czekać co najmniej pół godziny.

Fakt, że gotów był na nią czekać tak długo, był dla niej zaskakujący i bardzo miły. Uśmiechnęła się do niego. Zapomniała o perfumach i teraz miała tylko nadzieję, że on nie zauważy zapachu naftaliny, pochodzącego z żakietu cioci Ethel.

— Pierwszy raz jestem bez munduru, odkąd zgłosiłam się do służby. Zapalił silnik.

— No i jak się czujesz? — zapytał.

— Bosko.

Pojechali do Klubu Oficerskiego w Southsea, wprowadził ją na górę, zasiedli przy barze i zapytał, jakiego chce drinka. Nie była pewna o co poprosić, więc zamówił dwa razy gin z sokiem pomarańczowym, a Penelopa nie zdradziła się, że nigdy jeszcze nie piła ginu.

Kiedy podano im drinki, zaczęli rozmawiać i wszystko szło bardzo łatwo i gładko. Mówiła o sobie, że mieszka w Porthkerris i że jej ojciec, który był artystą, pojechał tam, żeby malować, ale że teraz już nie maluje; powiedziała mu też, że jej matka jest Francuzką.

— Teraz rozumiem. To wyjaśnia wszystko — stwierdził.

— Co wyjaśnia?

— Nie wiem dokładnie. Coś jest w tobie. Od razu cię zauważyłem. Ciemne oczy. Ciemne włosy. Wyglądasz inaczej niż wszystkie ochotniczki.

— Jestem o pół metra wyższa.

— Nie, to nie o to chodzi, chociaż bardzo podobają mi się wysokie kobiety, ale ja miałem na myśli coś... jakiś rodzaj... — wzruszył ramionami i dokończył przechodząc na francuski — jakieś... „je ne sais quoi”⁰. Czy mieszkałaś we Francji?

— Na stałe — nie. Ale spędziłam tam jedną zimę. Wynajęliśmy wtedy mieszkanie w Paryżu.

— Czy mówisz po francusku?

— Oczywiście.

— Czy masz braci i siostry?

— Nie.

— Ja też nie.

Opowiedział jej o sobie. Miał dwadzieścia jeden lat. Jego ojciec, który prowadził rodzinną firmę, zajmującą się wydawaniem książek, umarł, kiedy Ambrose miał dziesięć lat. Gdy skończył szkołę średnią, mógł właściwie zacząć pracować w tej samej firmie, ale nie chciał spędzić życia za biurkiem... a poza tym, wojna wisiła w powietrzu, więc zaciągnął się do Królewskiej Marynarki. Jego owdowiała matka mieszkała w dzielnicy Knightsbridge na Wilbraham Place, ale kiedy wojna wybuchła, opuściła Londyn i pojechała w zaciszny kąt hrabstwa Devon, gdzie zamieszkała w pensjonacie w małym miasteczku.

— Lepiej, że jest poza Londynem. Jest dość słabego zdrowia i gdyby zaczęły się bombardowania, byłaby raczej zaważą niż pomocą.

— Od dawna jesteś tu na Whale Island?

— Miesiąc. Jak dobrze pójdzie, to będę tu jeszcze tylko dwa tygodnie. To zależy od egzaminów. Artyleria to mój ostatni kurs. Nawigację, torpedy i sygnalizację mam już zaliczone, Bogu dzięki.

⁰ je ne sais quoi — fr. coś nieuchwytnego, czego się nie da nazwać (przyp. tłum.)

— A wtedy, gdzie pójdiesz?

— Na punkt zborny na ostatni tydzień, a później już na morze.

Skończyli swoje drinki, Ambrose zamówił następną kolejkę. Potem przeszli do sali jadalnej i zjedli kolację. Po kolacji pojeździli jeszcze po Southsea, po czym zawiózł ją na miejsce, ponieważ musiała zameldować się w swojej kwaterze o wpół do jedenastej.

— Bardzo ci dziękuję — powiedziała na pożegnanie.

Zabrzmiało to bardzo oficjalnie, ale nie umiała wyrazić swej wdzięczności, nie tylko za ten wieczór, który spędzili razem, ale za to, że zjawił się właśnie wtedy, kiedy potrzebowała go najbardziej. Teraz miała przyjaciela i nie będzie już musiała czuć się samotna.

— Czy jesteś wolna w sobotę? — zapytał.

— Tak.

— Mam bilety na koncert, czy chciałabyś pójść ze mną?

— Och! — Nie umiała powstrzymać uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy. — To byłoby cudowne.

— Przyjadę po ciebie w takim razie koło siódmej. Aha, Penelopo... załatw sobie przepustkę na późny powrót.

Koncert miał miejsce w Southsea. Annę Zeigler i Webster Booth śpiewali takie piosenki jak „Only a Rose” i „If you were the only girl in the world”¹.

*Cokolwiek się stanie
W pamięci mej pozostanie
To zbrocze słońcem oświetlone.*

Ambrose trzymał ją za rękę. Tego wieczoru, kiedy ją odwoził, zaparkował samochód w pewnej odległości od budynku, w którym mieściły się kwatery, w cichej, bocznej uliczce, wziął ją w ramiona, włącznie z żakietem pachnącym naftaliną i pocałował. Dla niej był to pierwszy pocałunek mężczyzny i musiała się z tym oswoić, ale po chwili nauczyła się już, na czym to polega i stwierdziła, że nie było to wcale nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie, jego bliskość, jego zdecydowana męskość, zapach jego skóry, obudziły w niej fizyczny odzew, który był dla niej zupełnie nowym przeżyciem. Coś się w niej poruszyło, głęboko. Ból, który nie był bólem.

— Najdroższa Penelopo, jesteś rozkosznym stworzeniem.

Ale w tym momencie jej wzrok padł na zegar umieszczony na tablicy rozdzielczej i zobaczyła, że jest dwadzieścia pięć po dziesiątej. Z żalem

¹ Only a Rose — Tylko róża; If you were the only girl in the world — Gdybyś ty była jedyną dziewczyną na świecie (przyp. tłum.)

wysunęła się z jego objęć, automatycznie podnosząc rękę, żeby uporządkować włosy. Powiedziała:

— Muszę już iść. Nie mogę się spóźnić.

Westchnął, puszczając ją niechętnie.

— Cholerny zegar. Cholerny czas.

— Przykro mi.

— To nie twoja wina. Będziemy musieli zaplanować coś innego.

— Co proponujesz?

— Należy mi się już wkrótce wolny weekend. A ty? Udałoby ci się dostać wolny weekend, w tym samym czasie?

— Ten najbliższy weekend?

— Tak.

— Postaram się to załatwić.

— Moglibyśmy pojechać do miasta. Pójść na przedstawienie i zostać na noc w Londynie.

— Wspaniały pomysł! Nie brałam jeszcze w ogóle wolnego. Jestem pewna, że dostanę przepustkę.

— Jest tylko jeden kłopot... — Wyglądał na zmartwionego. — Moja matka wynajęła swoje mieszkanie jakiemuś staremu nudziarzowi z armii, więc nie będziemy mogli skorzystać z jej garsoniery. Przypuszczam, że ja mógłbym przenocować w moim klubie, ale...

To było bardzo przyjemne uczucie, móc rozwiązać jego problem.

— Pójdziemy do mojego domu.

— Twojego domu?

Penelopa zaczęła się śmiać.

— Nie do mojego domu w Porthkerris, głuptasie. Do mojego domu w Londynie.

— Masz dom w Londynie?

— Tak. Prz ulicy Oakley. To takie proste. Mam klucz, więc to żaden problem.

To wydawało się zbyt łatwe.

— Czy to twój własny dom?

— Nie mój własny. To dom papy. — Ciagle jeszcze się śmiała.

— Ale czy twoi rodzice nie będą mieć nic przeciwko temu?

— Mieć coś przeciwko? A dlaczego by mieli mieć coś przeciwko?

Zastanawiał się, czy powiedzieć jej dlaczego i postanowił tego nie robić. Matka Francuzka i ojciec, który był artystą malarzem. Cyganeria. Nigdy dotąd nie znał nikogo z cyganerii, ale zaczął sobie zdawać sprawę, że oto spotkał kogoś z takiego właśnie środowiska.

— Nie ma żadnego powodu — zapewnił ją pośpiesznie. Ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

— Ale wyglądałeś na tak zdziwionego.

— Może trochę byłem — przyznał i potem zaraz uśmiechnął się

w swój najbardziej czarujący sposób. — Ale może powinienem przestać być tobą zdziwiony. Powinienem chyba zaakceptować fakt, że nic, co ty byś mogła zrobić, nie może mnie zdziwić.

— Czy to dobrze?

— Nie mogłoby być źle.

Odprowadził ją do kwatery i pocałowali się na dobranoc.

Weszła do budynku tak rozanielona i nieprzytomna, że zapomniała podpisać się w księdze na portierni i dyżurna musiała ją specjalnie przywołać, a była w okropnym humorze, bo oficer, który jej się podobał, wziął inną dziewczynę do kina.

Dostała przepustkę i Ambrose przystąpił do realizacji swoich planów. Jego znajomy porucznik, który miał godne pozazdrosczenia koneksje w świecie teatru zdobył dwa bilety na *The Dancing Years*¹ wystawiane w teatrze Drury Lane. Dzięki drobnemu fałszerstwu udało mu się załatwić trochę benzyny, a od innego łatwowiernego kolegi Ambrose pożyczył pięć funtów. Tak więc, w następną sobotę, w samo południe wjechał przez bramę kwater dla Ochotniczek Pomocniczej Służby Królewskiej Marynarki Wojennej i z piskiem opon na żwirze zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi. Właśnie przechodziła jakaś ochotniczka, więc poprosił ją, żeby była taka kochana i znalazła ochotniczkę Stern i powiedziała jej, że podporucznik Keeling jest gotowy i czeka. Dziewczyna gapiła się na mały wyścigowy samochód i na przystojnego młodego oficera, ale Ambrose był przyzwyczajony, że się na niego gapią i uznał jej ewidentną zazdrość i podziw za coś, co mu się należy.

„Nic, co ty byś mogła zrobić, nie może mnie zdziwić” — powiedziała Penelopie bez namysłu, ale jednak, kiedy w końcu się pojawiła, trudno było nie być choć trochę zdziwionym. Była w mundurze, przez ramię miała przewieszony stary futrzany żakiet i małą skórzaną torebkę i to było wszystko.

— Gdzie twój bagaż? — zapytał, gdy wsiadła do samochodu i zaczęła upychać futro na podłodze, pomiędzy stopami.

— Tutaj. — Podniosła torebkę.

— To jest twój bagaż? Ale my przecież jedziemy na cały weekend. Idziemy do teatru. Nie masz chyba zamiaru cały czas mieć na sobie tego cholernego munduru?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale jadę do domu. Mam tam rzeczy do ubrania. Na pewno znajdę coś, co się nada.

Ambrose pomyślał o swojej matce, która lubiła kupować sobie nową suknię na każdą okazję, a potem przygotowania do wyjścia zabierały jej dwie godziny.

— A szczoteczka do zębów?

¹ The Dancing Ters — Tańczące lata (przyp. tłum.)

— Moja szczoteczka do zębów i szczotka do włosów są w torebce. To wszystko, czego mi potrzeba. No, to jedziemy do tego Londynu, czy nie?

Był jasny, pogodny dzień. Jakby stworzony na taką wyprawę, na wyrwanie się z szarzyzny, na święto, na weekendowy wyjazd z osobą, która naprawdę się nam podoba. Ambrose wybrał tę drogę, która prowadziła przez górę Portsdown i na jej szczycie Penelopa obejrzała się za siebie, i wesoło pożegnała się z Portsmouth. Przejechali przez Purbrook, potem przez wrzosowiska do Petersfield, gdzie orzekli, że są głodni, więc zatrzymali się i weszli do pubu. Ambrose zamówił piwo, a sympatyczna kobieta zrobiła im kanapki z mielonką, które podała pięknie przybrane kawałeczkami kalafiora.

Pojechali dalej przez Haslemere i Farnham, a potem przez Guildford. Wjechali do Londynu od strony Hammersmith, w dół ulicą King's Road i skręcili w Oakley, tak dobrze znaną, aż radość było znów ją zobaczyć. Na drugim jej końcu rysował się Most Alberta, latały mewy, w powietrzu unosił się słony, błotnisty zapach rzeki, a z oddali dochodziło buczenie holowników.

— To tu.

Zaparkował swoje MG, wyłączył silnik i siedział, patrząc na wysoką fasadę eleganckiego starego domu z tarasami. Był wyraźnie pod wrażeniem.

— Czy to to?

— Tak. Wiem, że balustrada wymaga pomalowania, ale nie mieliśmy czasu. Oczywiście jest o niebo za duży, ale nie mieszkamy tu sami. Chodź, pokażę ci.

Pozbierała zakiet i torebkę, potem pomogła mu postawić dach samochodu, na wypadek gdyby zaczęło padać. Kiedy to zostało już zrobione, wziął swoją walizeczkę i stał, pełen przyjemnego oczekiwania, spodziewając się, że Penelopa wejdzie pó imponujących schodach z kolumienkową balustradą, do drzwi frontowych i otworzy je kluczem. Poczł się więc nieco rozczarowany, kiedy Penelopa poprowadziła go kawałek w dół chodnikiem, otworzyła bramkę z kutego żelaza i zbiegła po schodkach do sutereny. Poszedł za nią, zamykając za sobą bramkę i zobaczył, że wejście to nie było zapuszczone, ale przeciwnie — sprawiało całkiem przyjemne wrażenie. Bielone ściany, pomalowane na czerwono kubeł na śmieci i szereg podłużnych doniczek, które w lecie z pewnością były pełne geranium i pelargonii.

Drzwi, tak samo jak kubeł na śmieci, były jaskrawoczerwone. Poczekał, aż je otworzy i ostrożnie wszedł za nią. Znalazł się w jasnej, uroczo urządzonej kuchni, jakiej jeszcze w życiu nie widział. Swoją drogą, nie widział ich w życiu tak wiele. Jego matka nigdy nie wchodziła do kuchni, chyba że musiała powiedzieć Lilly, naczelnej kucharce, ile osób będzie na obiedzie następnego dnia. Ponieważ nie spędzała w ogóle czasu

w kuchni, ani w niej nie pracowała, nie interesowało jej, jak jest urządzona. Toteż Ambrose pamiętał kuchnię jako nieprzytulne, niewygodne pomieszczenie, bardzo ponure, pomalowane na butelkowo zielony kolor i pachnące rozmokłymi drewnianymi deskami. Lilly, kiedy nie nosiła akurat węgla, nie gotowała, ani nie odkurzała mebli, bądź nie podawała do stołu, przebywała w małym pokoiku obok kuchni, wyposażonym w żelazne łóżko i komodę, pomalowaną na żółto farbą olejną. Musiała wieszać swoje ubranie na haku, na drzwiach, a jeśli chciała się wykapać, mogła to zrobić tylko w środku popołudnia, kiedy nikt inny nie potrzebował łazienki, potem przebierała się w swój najlepszy uniform, czyli czarną suknię i muślinowy fartuszek. Kiedy wybuchła wojna, Lilly wstrząsnęła panią Keeling oświadczając, że odchodzi, gdyż zgłosiła się do pracy przy produkcji amunicji. Pani Keeling nie mogła znaleźć nikogo, kto by zajął jej miejsce i dezercja Lilly stała się jednym z powodów, dla którego postanowiła zrezygnować z prowadzenia własnego gospodarstwa i przeczekać tę wojnę w najdalszym zakątku hrabstwa Devon.

Ale ta kuchnia... Postawił walizeczkę i rozglądał się dookoła. Zobaczył długi, wyszorowany stół, zbieraninę różnego rodzaju krzesel, kredens z sosnowego drzewa, który ugiął się od dzbanków, misek i talerzy z ceramiki malowanej w rozmaite wzory. Miedziane rondle, pięknie ułożone według wielkości, zwiisały z belki nad piecem, a obok nich wisały pęki suszonych ziół i kwiatów. Był tam też fotel z wikliny, błyszcząca, biała lodówka i głęboki zlew z białej porcelany, umieszczony pod oknem, tak że jeśli ktoś zmuszony był zmywać naczynia, to mógł się zabawić obserwowaniem nóg przechodniów. Na kamiennej podłodze wszędzie leżały rozrzucone plecione maty, a w całej kuchni pachniało czosnkiem i przyprawami, jak w wiejskim sklepie spożywczym we Francji.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— To jest wasza kuchnia?

— To jest nasz pokój do wszystkiego. Mieszkamy tu.

W tym momencie uświadomił sobie, że to pomieszczenie biegło przez całą głębokość domu, bo na drugim jego końcu francuskie okna wychodziły na ogród. Jednak niewielkie przewężenie dzieliło je na dwie części. W przejściu wisały ciężkie kotary, przyozdobione dziełem, czego Ambrose nie rozpoznał, Williama Morrisa.

— Oczywiście — ciągnęła dalej Penelopa, rzucając swój zakiet i torbę na stół kuchenny — kiedy ten dom zbudowano, cała ta przestrzeń była dżunglą spiżarni i komórek, ale papa zrobił z tego otwarte pomieszczenie, które nazywał pokojem ogrodowym. Teraz to jest nasz salon. Chodź zobaczyć.

Ambrose zdjął czapkę i poszedł za nią. Przechodząc pod sklepieniem, zobaczył kominek wyłożony dookoła jasnymi, włoskimi kafelkami, pianino i staromodny gramofon. Duże, dobrze wysłużone kanapy i fotele stały

tu i tam, przykryte narzutami z wyblakłego kretonu, jedwabnymi chustami, a na nich rozrzucone było mnóstwo pięknych poduszek w gobelinowe wzory. Białe ściany stanowiły świetne tło dla książek, ozdób, fotografii i pamiątek, jak się domyślał, sprzed wielu lat. Pozostałą przestrzeń zajmowały obrazy, tak silnie wibrujące słonecznymi kolorami, że Ambrose czuł niemal ciepło promieniujące z tych kamiennych tarasów i drgających z upału ogrodów, w których cieniste miejsca były prawie czarne.

— Czy te obrazy malował twój ojciec?

— Nie. Mamy tylko trzy jego obrazy, wszystkie są w Kornwalii. Widzisz, on cierpi na artretyzm w rękach. Nie maluje już od lat. Te obrazy, które tu widzisz są dziełem jego wielkiego przyjaciela, Charlesa Rainiera. Pracowali kiedyś razem w Paryżu, przed pierwszą wojną i od tego czasu się przyjaźnią. Państwo Rainier mieszkają w najbardziej boskim domu jaki znam, na południu Francji. Dawniej jeździliśmy do nich, bardzo często, samochodem... o, zobacz... — wzięła fotografię z półki i podała mu ją. — Tu właśnie jesteśmy wszyscy w drodze...

Zobaczył typowe zdjęcie rodzinne, mała grupka, ostrożnie upozowana. Penelopa, z kucykami i w króciutkiej bawełnianej sukience, obok jej rodzice i, jak się domyślał, jakaś krewna. Ale to, co naprawdę zwróciło jego uwagę, to samochód.

— To jest przecież stary, czteroipółlitrowy bentley! — nie zdołał ukryć, jak wielkie zrobiło to na nim wrażenie, gdyż słychać to było w jego głosie.

— Wiem. Papa go uwielbia. Całkiem jak Pan Ropuch w *O czym szumią wierzby*. Kiedy siada za kierownicę, zdejmuje swój czarny kapelusz i wkłada skórzany hełm samochodowy i nie zgadza się, żeby postawić plandekę, więc jeśli pada, wszyscy jesteśmy przemoczeni.

— Czy jeszcze go macie?

— Oczywiście. Papa nigdy by się go nie pozbył.

Odstawiła fotografię na miejsce, a Ambrose instynktownie znów powędrował wzrokiem do kusząco pięknych obrazów Charlesa Rainiera. Nic nie wydawało mu się bardziej godne pożądania, bardziej pełne uroku i splendoru, jak wyprawa na południe Francji, czteroipółlitrowym bentleyem, w beztroskich, przedwojennych czasach, wyprawa ku upalnemu słońcu, pachnącym żywicą sosnom, a potem posiłki jedzone na dworze i kąpiele w Morzu Śródziemnym. Myślał o winie, popijanym pod girlandami z winorośli, o długich, leniwych sjestach, przy zamkniętych dla chłodu okiennicach, o kochaniu się po południu i pocałunkach smakujących jak winogrona.

— Ambrose.

Wyrwany ze swoich marzeń, spojrzął na nią. Nieświadoma niczego, niewinna, uśmiechnęła się do niego i zdjęła swoją czapkę od munduru, rzuciła ją na krzesło, a on, ciągle jeszcze rozmarzony swoim fantazjowaniem, swoimi snami na jawie, wyobraził sobie, że następnie zdejmuje z siebie wszystko po kolei — i wtedy on mógłby ją kochać, teraz, tutaj, na jednej z tych obszernych, zachęcających kanap.

Zrobił krok w jej kierunku, ale było już za późno, gdyż Penelopa odwróciła się i zabrała się do otwierania jednego z francuskich okien, mocując się z zasuwką. Czar prysnął. Zimne powietrze wtargnęło do pokoju, a on westchnął i posłusznie powędrował za nią, w mroźne powietrze londyńskiego dnia, żeby mogła mu pokazać ogród.

— Chodź, musisz to zobaczyć... jest ogromny, bo wieki temu ludzie mieszkający w sąsiednim domu sprzedali ojcu papy ich kawałek ogrodu. Żał mi ludzi, którzy tam teraz mieszkają, mają tylko maleńkie podwórko. A ten mur na końcu ogrodu, jest bardzo stary, chyba z czasów dynastii Tudorów; przypuszczam, że był tu kiedyś królewski sad albo królewskie ogrody, czy jeszcze coś innego...

Był to rzeczywiście bardzo rozległy ogród, z trawnikiem, grządkami kwiatów i gęsto oplecioną pergolą.

— A co mieści się w tej szopie?

— To nie szopa. To jest londyńska pracownia mojego ojca. Ale nie mogę ci jej pokazać, bo nie mam klucza. Zresztą nie ma tam nic poza płótnami, farbami, meblami ogrodowymi i rozkładanymi łózkami. Zawsze wszystko chomikuje. Wszyscy tacy jesteśmy. Nic nigdy nie wyrzucamy. Ile razy przyjeżdżamy do Londynu, papa mówi, że uprzątnię pracownię, ale nigdy tego nie robi. Przypuszczam, że to pewien rodzaj nostalgii. Albo czyste lenistwo. — Wstrząsnął nią dreszcz. — Zimno, prawda? Wracajmy do środka, pokażę ci resztę.

Szedł za nią bez słowa, a wyraz uprzejmego zainteresowania, jaki malował się na jego twarzy, nie zdradzał wcale, że jego umysł w tym czasie pędził do przodu, pracując jak kalkulator, rozważając wszelkie możliwe korzyści. Gdyż pomimo nieco sfatygowanego stanu tego starego londyńskiego domu i mimo jego niekonwencjonalnego urzędnictwa, zrobił on na nim bardzo dobre wrażenie, swoim rozmiarem i gustownym urządzeniem i Ambrose zdecydował, że była to o niebo lepsza alternatywa od idealnie schludnego mieszkanka jego matki.

Zastanawiał się także nad wnioskami, które wyciągnął z rzuconych od niechcenia przez Penelopę uwag, rzuconych tak lekko, jakby nie miało to dla niej żadnego większego znaczenia, a dotyczących jej rodziny i cudownie romantycznego stylu życia, jaki prowadzili. Jego własne życie w porównaniu z tym, wydawało się okropnie nudne. Wychowany w Londynie, co roku jeździł na wakacje do Torquay albo do Frinton; najpierw szkoła, a potem Marynarka Wojenna, która jak na razie była po

prostu przedłużeniem szkoły, tylko z małym dodatkiem w postaci musztry. Nigdy nawet jeszcze nie był nad morzem, wysłał go dopiero po skończeniu kursów.

Na Tomiast Penelopa była Kosmopolitką. Mieszkała w Paryżu. Jej rodzina posiadała nie tylko dom w Londynie, ale także drugi — w Kornwalii. Zastanawiał się, jak wygląda ich posiadłość w Kornwalii. Czytał ostatnio *Rebeke* Daphne du Maurier i wyobrażał sobie dom w takim właśnie stylu jak Manderley, ten o którym jest mowa w powieści. Coś mgliście przypominającego styl elżbietkański, z aleją długości około mili, ciągnącą się od bramy do drzwi wejściowych, wysadzaną hortensjami. A w dodatku ojciec Penelopy był sławnym malarzem, matka — Francuzką, a dziewczyna uważała wyprawę na południe Francji własnym bentleyem, za rzecz zupełnie zwyczajną. Ten czteroipółlitrowy bentley szczególnie wzbudzał w nim zazdrość, jak chyba nic innego. Zawsze marzył o takim właśnie samochodzie. Auto, za którym wszyscy by się oglądali, symbol osiągniętego statusu społecznego, oznaczający dobrobyt i męskość, z odrobiną ekscentryzmu dla dodania smaczku.

Zastanawiając się teraz nad tym wszystkim i chcąc dowiedzieć się więcej, szedł za nią do domu, przecinając suterene i w górę ciemnymi, wąskimi schodami. Przeszli przez jeszcze jedne drzwi i znaleźli się w głównym holu. Był przestronny i elegancki, z pięknym, półkolistym oknem nad drzwiami i szerokimi, płytkimi, kręconymi schodami, prowadzącymi na górne piętro. Porażony tym nieoczekiwanym pięknem wnętrza rozglądał się dookoła.

— Niestety jest bardzo zniszczony — przyznała, a jej ton był przepraszający. Ambrose wcale nie uważał, że jest zniszczony. — A ta wielka wypłowiała plama na tapecie to miejsce, gdzie wisieli *Poszukiwacze muszelek*. To ulubiony obraz papy i nie chciał, żeby uległ zniszczeniu podczas ewentualnego bombardowania, więc ja i Sophie załatwiłyśmy dla niego specjalne opakowanie i nadałyśmy go do Kornwalii. Teraz dom nie wydaje się już taki sam bez niego.

Ambrose zrobił krok w kierunku schodów, chcąc jak najszybciej zobaczyć całą resztę domu, ale Penelopa powiedziała:

— Tam dalej już nie idziemy. — Otworzyła drzwi. — To jest sypialnia moich rodziców. Kiedyś była tu chyba jadalnia, okna wychodzą na ogród. Rano jest tu ślicznie, bo pokój jest wtedy bardzo słoneczny. A to jest moja sypialnia, okna wychodzą na ulicę. Tu łazienka. A tu moja matka trzyma swój odkurzacz. I to już wszystko.

Obchód był skończony. Ambrose wrócił do podnóża schodów i stał, patrząc w górę.

— A kto mieszka w pozostałej części domu?

— Mnóstwo różnych ludzi. Państwo Hardcastle i państwo Clifford, a na poddaszu Friedmanowie.

— Lokatorzy — powiedział cicho Ambrose. Było to słowo, które jego matka zawsze wymawiała z najwyższą pogardą.

— Tak, chyba można tak ich określić. To jest cudowne. Tak jakby się miało stale przyjaciół w gościnie. Aha, to mi przypomina, że muszę wpaść do Elżbiety Clifford i powiedzieć jej, że tu jesteśmy. Próbowałam do niej dzwonić, ale numer był ciągle zajęty, a potem zapomniałam spróbować jeszcze raz.

— Czy masz zamiar powiedzieć jej, że ja też tutaj jestem?

— Oczywiście. Idziesz ze mną? Ona jest urocza, zobaczysz, polubisz ją na pewno.

— Nie. Chyba zostanę na dole.

— W takim razie, może pójdziesz do kuchni i nastawisz imbryk na herbatę, będziemy mogli się napić po filiżance. A ja zobaczę, może uda mi się dostać kawałek tortu, czy coś w tym rodzaju, od Elżbiety. A po herbacie musimy wyjść zrobić sobie jakieś zakupy, jajka, chleb i coś jeszcze, bo inaczej nie będziemy mieli co jeść jutro na śniadanie.

Mówiła to wszystko tak, jakby była małą dziewczynką bawiącą się w urządzenie przyjęcia w domku dla lalek.

— Dobra.

— Zaraz wracam.

Zostawiła go i wbiegła po schodach, a Ambrose stał w holu i patrzył za nią. Przygryzł wargę. Zwykle taki pewny siebie, teraz poczuł się nagle dziwnie nieswojo. Dręczyło go niejasne podejrzenie, że przychodząc tu, do domu Penelopy, jakoś stracił kontrolę nad sytuacją. Było to niepokojące, ponieważ nigdy dotąd nic takiego mu się nie przytrafiło i miał okropne przeczucie, że ta niezwykła mieszanka naiwności i wyrefinowania, którą zauważył u Penelopy, może u niego wywołać ten sam skutek, co bardzo, bardzo mocne wytrawne martini, czyli ściąć go z nóg i obezwładnić.

W dużym piecu w kuchni nie paliło się, ale obok stał imbryk elektryczny, więc napełnił go wodą i włączył do prądu. Zapadł już wczesny zimowy zmierzch i w tonącym w półmroku salonie zrobiło się zimno. Na kominku wszystko było przygotowane do rozpalenia ognia: papier i drzazgi drewniane, więc przytknął do tego zapalniczkę, poczekał aż zatlą się drewnienka, a potem dodał trochę węgla z miedzianego wiaderka i parę polan. Kiedy Penelopa, zbiegłszy ze schodów, wróciła do kuchni, ogień palił się już na dobre, imbryk gwizdał.

— Brawo, bystry z ciebie facet, zapaliłeś w kominku. Od razu zrobiło się weselej. Nie było żadnego tortu ani ciasta, ale pożyczyłam trochę chleba i margaryny. Lecz... czegoś mi tu brakuje. — Stała marszcząc brwi, próbując domyślić się, co by to mogło być, aż wreszcie zrozumiała. — Zegar. Oczywiście, jest nie nakręcony. Nakręc go, Ambrose, proszę. On tak miło tyka, od razu się robi przytulniej.

Zegar był starodawny, wisiał wysoko na ścianie. Przysunął sobie krzesło, stanął na nim, otworzył szklaną szafkę i ustawivszy wskazówki, nakręcił zegar dużym kluczem. Tymczasem Penelopa otwierała szafki, wyjmowała filiżanki, spodeczki i czajnik.

— Czy widziałaś się z twoją znajomą? — Zegar już tykał, Ambrose zszedł z krzesła.

— Nie, nie zastałam jej, ale poszłam jeszcze wyżej i byłam u Lalli Friedman. Cieszę się, że mogłam ją zobaczyć, bo martwiłam się o nich. Widzisz, to są uchodźcy, młode małżeństwo żydowskie z Monachium, przeszli okropne rzeczy. Kiedy ostatni raz widziałam Willy'ego, myślałam, że jest bliski załamania nerwowego — przerwała na chwilę, zastanawiając się, czy powiedzieć, że to właśnie z powodu Willy'ego zgłosiła się do ochotniczej służby w marynarce, ale postanowiła jednak przemilczeć ten fakt. Nie była pewna, czy zrozumiałby to. — W każdym razie Lalla mówiła mi, że on czuje się już znacznie lepiej, ma nową pracę, a ona spodziewa się dzidziusia. To taka miła osoba. Uczy muzyki, więc musi być bardzo zdolna. Czy bardzo ci przeszkadza, że herbata będzie bez mleka?

Po wypiciu herbaty poszli na King's Road i zrobili zakupy w małym sklepie spożywczym, po czym wrócili na ulicę Oakley. Było już prawie całkiem ciemno, więc zaciągnęli wszystkie kotary, a Penelopa posłała łóżka, oblekając kołdry i poduszki w świeżą pościel, podczas gdy on siedział i patrzył na nią.

— Możesz spać w moim pokoju, a ja w sypialni rodziców. Czy chciałbyś się wykapać, zanim się przebierzesz? Jest mnóstwo gorącej wody. A może masz ochotę na drinka?

Ambrose odpowiedział: tak, na oba pytania, więc poszli znów na dół i tu Penelopa otworzyła kredens i wyjęła butelkę ginu, marki Gordon, oraz whisky marki Dewar's, a także butelkę bez naklejki z dziwnym płynem pachnącym migdałami.

— Do kogo należą te alkohole? — zapytał.

— Do papy.

— A on nie miałby nic przeciwko temu, że ja się tego napiję?

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

— Ależ, przecież to po to tu jest. Żeby częstować gości.

To znów była dla niego nowość. Jego matka wymierzała sherry w małych kieliszkach, a jeśli chciał napić się ginu, musiał go sobie kupić sam. Nic jednak na ten temat nie powiedział, tylko nalał sobie dużą szklanę szkockiej whisky i, niosąc szklanę w jednej ręce a walizeczkę w drugiej, udał się na górę, do pokoju, który mu przydzielono. Czuł się trochę dziwnie, rozbierając się w całkiem obcym pomieszczeniu. Pokręcił się trochę po pokoju, jak kot, który zapoznaje się z nowym domem; oglądał obrazy, siadał na łóżku, czytał tytuły książek, znajdujących się na półkach.

Spodziewał się znaleźć Georgette Heyer i Ethel M. Dell, a zamiast tego zobaczył nazwiska Virginii Woolf i Rebeki West. A więc Penelopa nie tylko należała do cyganerii, ale była też intelektualistką. W takim towarzystwie sam poczuł się dowartościowany. Mając na sobie swój szlafrok a la Noel Coward, niosąc ręcznik, przybory do mycia oraz szklankę z whisky, wyszedł na korytarz. W ciasnej łazience ogolił się, a potem napuścił sobie wody do wanny i moczył się w niej jakiś czas. Wanna była o wiele za krótka na jego długie nogi, ale za to woda była bardzo gorąca. Wróciwszy do pokoju, ubrał się na nowo, tym razem upiększając swój mundur świeżą, nakrochmaloną koszulą i czarnym, satynowym krawatem z firmy Gieves, włożył też najlepsze buty, wyczyściwszy je chusteczką. Wyszczotkował włosy, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, żeby móc lepiej podziwiać swój profil i wreszcie, zadowolony, wziął pustą szklankę po whisky i podążył na dół.

Penelopa zniknęła, przypuszczalnie, żeby pomyszkować w szafie swojej matki, w poszukiwaniu czegoś do ubrania dla siebie. Miał nadzieję, że nie przyniesie mu wstydu. W blasku ognia płonącego na kominku salon wyglądał bardzo romantycznie. Nalał sobie jeszcze jedną whisky i zaczął przeglądać stos płyt gramofonowych. W większości były to nagrania muzyki klasycznej, ale pomiędzy Beethovenem a Mahlerem znalazł jedną płytę Cole Portera. Położył płytę na starym gramofonie i pokręcił korbką.

*Jesteś szczytem doskonałości
Jesteś jak Koloseum
Jesteś szczytem doskonałości
Jesteś jak Luwr — Muzeum.*

Zaczął tańczyć, z przymkniętymi oczami, trzymając wymagowaną dziewczynę w ramionach. Może po teatrze i po małej kolacji pójda do nocnego lokalu. Na przykład do Embassy albo do Bag of Nails. Jeśli nie wystarczyłoby mu pieniędzy, to zapewne przyjmą czek. Przy odrobinie szczęścia nie od razu wyjdzie na jaw, że to czek bez pokrycia.

— Ambrose.

Nie usłyszał jej kroków. Trochę zażenowany, że złapała go na tej małej panTomimie, odwrócił się do niej. Szła przez pokój, nieśmiała, niepewna czy jej kreacja się spodoba, pragnąc bardzo, by ją pochwalił, czekająca na jego słowa. A on tymczasem patrzył z niemym zachwytem, bo w miękkim świetle lampy i migoczących płomieni wyglądała naprawdę pięknie. Suknia, którą w końcu wybrała, miała fason modny jakieś pięć lat temu. Była z kremowego szyfonu mieniącego się plamami szkarłatnych i karmazynowych kwiatów; spódniczka przylegała do jej smukłych bioder, a niżej rozszerzała się mnóstwem zakładek i fałdów. U góry ozdobiona niezliczoną ilością maleńkich guziczków przyszytych z przodu, a na

wysokości ramion miała coś w rodzaju pelerynki, z kilku warstw, która poruszała się wraz z Penelopą i powiewała jak motyle skrzydła. Włosy zaczesane do góry, odsłaniały długą i piękną linię szyi i ramion, jak również parę wspaniałych zwisających kolczyków ze srebra i koralu. Całość dopełniał dyskretny makijaż i delikatna woń perfum.

— Cudownie pachniesz — powiedział.

— Chanel Numer 5. Znalazłam trochę na dnie butelki. Myślałam, że już chyba zwietrzały...

— Wcale nie zwietrzały,

— Nie... czy dobrze wyglądam? Przymierzyłam chyba sześć sukni, ale wydaje mi się, że ta jest najlepsza. Jest okropnie stara i trochę za krótka, bo ja jestem wyższa od Sophie, ale...

Ambrose odstawił szklanekę i wyciągnął do niej rękę.

— Chodź tutaj.

Podeszła i położyła swoją dłoń na jego. Objął ją ramionami i pocałował, bardzo delikatnie i czule, uważając, by nie zniszczyć eleganckiego uczesania. Jej szminka miała słodki smak. Odsunął się, z uśmiechem patrząc w dół, w jej ciemne, pełne ciepła oczy.

— Prawie chciałbym — szepnął — żebyśmy nie musieli nigdzie wychodzić.

— Wrócimy — powiedziała, a jego serce забиło mocniej z podniecenia.

The Dancing Years były bardzo romantyczne i smutne, i całkiem nierealne. Wszystkie postacie zakochiwały się w sobie nawzajem, a potem dzielnie rezygnowały z siebie, żegnały się, a co druga melodia była walcem. Kiedy przedstawienie się skończyło, wyszli na czarne jak smoła ulice, podjechali na Piccadilly i poszli na kolację do Quaglino's. Przygrywała orkiestra taneczna i na maleńkim skrawku parkietu tańczyły przytulone pary, wszyscy mężczyźni byli w mundurach, a także niektóre dziewczyny.

Bum

Dlaczego moje serce wciąż wali — bum,

Ja i moje serce galopujemy bum-ti-bum-ti-bum,

Cały czas.

W przerwach pomiędzy daniami Ambrose i Penelopą też tańczyli, ale tak naprawdę, to nie był to taniec, ponieważ było tylko tyle miejsca, żeby stać w jednym miejscu i przestępować z nogi na nogę. Ale to im wcale nie przeszkadzało, bo dzięki temu byli przytuleni do siebie, ich policzki dotykały się i od czasu do czasu Ambrose całował ją w ucho albo szeptał coś nieprzystojnego.

Kiedy wrócili na ulicę Oakley, była prawie druga w nocy. Trzymali się za ręce i dusząc się ze śmiechu, próbowali po omacku znaleźć drogę przez żelazną bramkę, a potem po stromych kamiennych schodkach.

— Kto by się tam przejmował bombami? — powiedział Ambrose. — Można równie dobrze pozabijać się, potykając się i przewracając, szukając drogi do domu w czasie zaciemnienia.

Penelopa puściła jego dłoń, znalazła klucz, a potem zamek i wreszcie udało jej się otworzyć drzwi. Minał ją i wszedł w ciepłą, aksamitną ciemność. Usłyszał, jak zamknęła za nimi drzwi i, kiedy można już było bezpiecznie to zrobić, zapaliła światło.

Było bardzo cicho. Pozostali mieszkańcy domu spali. Ciszę zakłócało tykanie zegara i rzadkie odgłosy przejeżdżającego ulicą samochodu. Ogień, który Ambrose rozpałił przed ich wyjściem, już prawie zgasł, ale Penelopa przeszła na drugi koniec pokoju i poruszyła żarzące się węgle, a także zapaliła lampę. Za łukiem sklepienia salon zalany był światłem, jak scena tuż po podniesieniu kurtyny. Akt pierwszy, scena pierwsza. Brakowało tylko aktorów.

Nie dołączył do niej natychmiast. Czuł miłe odurzenie wypitym przy kolacji alkoholem, ale doszedł właśnie do tego etapu, kiedy wiedział, że potrzebuje następnego drinka. Podszedł do butelki z whisky, nalał sobie odrobinę i dopełnił szklankę wodą sodową z syfonu. Potem zgasił światło w kuchni i poszedł w kierunku migoczącego blasku kominka, ogromnej kanapy i dziewczyny, której pragnął przez cały wieczór.

Siedziała w klęczki na dywanie przed kominkiem, blisko żaru bijącego od ognia. Zdjęła buty. Gdy się zbliżył, odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Było późno i mogła być zmęczona, ale jej ciemne oczy błyszczały i cała twarz jaśniała. Powiedziała:

— Ciekawe, dlaczego ogień jest taką towarzyską istotą? Tak jakby druga osoba była w pokoju.

— Dobrze, że tak nie jest. To znaczy, że nie ma tu jeszcze jednej osoby.

Była odprężona, spokojna.

— To był udany wieczór. Świetnie się bawiłam.

— To jeszcze nie koniec.

Usiadł na niskim fotelu z szerokimi oparciami na ręce. Postawił szklankę z drinkiem obok siebie.

— Coś jest nie tak z twoimi włosami — rzekł nieoczekiwanie.

— Dlaczego?

— Są zbyt uporządkowane na miłość.

Roześmiała się, a potem uniosła ręce i powoli zaczęła wyjmować spinki z eleganckiego koka. Obserwował ją w milczeniu, ten klasyczny kobiecy gest uniesionych rąk i ramion. Zwiewna pelerynka układała się wokół jej długiej szyi jak mały szalik. Wyciągnęła ostatnią spinę

i potrząsnęła głową, a gąszcz ciemnych, długich włosów opadł jej na ramiona, jak zwój jedwabnych nici.

— Teraz jestem znowu sobą — westchnęła z ulgą.

Z kuchni dały się słyszeć dwa delikatne, dźwięczne uderzenia zegara.

— Już druga — zauważyła cicho.

— Dobry czas. Odpowiedni czas.

Znowu się zaśmiała, tak jak gdyby wszystko, co on mówił, było dla niej zachwycające. Odstawił swoją szklankę i zdjął marynarkę, poluzował krawat i rozpiął górny guzik u koszuli. Potem wstał i pochyliwszy się uniósł Penelopę do góry. Całując ją, zanurzał twarz w pachnącej obfitości jej włosów, a poprzez zwiewny jedwab sukni jego ręce wyczuwały szczupłość młodego ciała, kształtne piersi, równy rytm jej bijącego serca. Wziął ją na ręce — jak na dziewczynę tak wysoką, była zdumiewająco lekka — zrobił parę kroków i położył ją na kanapie, a ona wciąż się śmiała. Lśniące pasma włosów rozsypały się na poduszki. Teraz jego własne serce biło jak oszalałe, a każdy nerw w jego ciele drgał z pożądania. Czasami, w tym krótkim okresie ich znajomości, zastanawiał się, czy była ona dziewczcą, ale teraz już o tym nie myślał, przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Siedząc przy niej, zaczął bardzo delikatnie rozpinąć maleńkie guziczki, z przodu jej sukienki. Leżała spokojnie, nie próbując go powstrzymać, i kiedy zaczął znów ją całować, jej usta, szyję, krągłe, kremowe piersi, jej niema odpowiedź była słodka i przyzwalająca.

— Jesteś taka piękna — po tych słowach zdał sobie sprawę, trochę ku własnemu zdziwieniu, że powiedział to instynktownie, prosto z serca.

— Ty też jesteś piękny — szepnęła Penelopa i otoczyła jego szyję swoimi silnymi ramionami, pociągając go w dół, ku sobie. Jej rozchyłone usta drżały leciutko i wtedy już wiedział, że ona cała po prostu czeka na niego.

Ogień płonął, ogrzewając ich, oświetlając ich miłość. Gdzieś głęboko w podświadomości poruszyły się wspomnienia, dziecinny pokój, zasunięte firanki — dawno zagubione obrazy z wczesnego dzieciństwa. Nic nie groziło, nic złego nie mogło się stać. Bezpieczeństwo. I to poczucie unoszenia się, wzlatywania. Ale także, gdzieś na samym skraju tego uniesienia, ledwie dosłyszalny głos zdrowego rozsądku.

— Kochanie.

— Tak — szept. — Tak.

— Czy wszystko w porządku?

— W porządku? Och, tak. W porządku.

— Kocham cię.

Mniej niż szept: — Kocham.

W połowie kwietnia Penelopa, ku jej zaskoczeniu, ponieważ była beznadziejnie niepraktyczna w takich sprawach, otrzymała zawiadomie-

nie od swoich przełożonych, że należy jej się tygodniowy urlop. W związku z tym zgłosiła się do biura, do dyżurnej podoficer, ustawiła się w kolejce wraz z innymi ochotniczkami i kiedy przyszła jej kolej, poprosiła o przepustkę i bilet na pociąg do Porthkerris.

Pani podoficer była wesołą kobietą z północnej Irlandii. Miała kręcone rude włosy i mnóstwo piegów i wydawała się bardzo zainteresowana tym, gdzie Penelopa miała zamiar jechać.

— To jest w Kornwalii, prawda Stern?

— Tak.

— Mieszkasz tam?

— Tak.

— Masz szczęście. — Podała jej przepustkę, Penelopa podziękowała i wyszła z pokoju, kurczowo ściskając swój bilet do wolności.

Podróż pociągiem trwała w nieskończoność. Z Portsmouth do Bath. Z Bath do Bristol. Z Bristol do Exeter. W Exeter musiała czekać godzinę, żeby wreszcie wsiąść do powolnego, osobowego pociągu, który zatrzymywał się na wszystkich stacjach, ale który miał ją zawieźć do Kornwalii. Nic jej nie przeszkadzało. Siedziała w brudnym pociągu, w kącie przedziału i patrzyła przez zamazane sadzą okno. W Dawlish udało jej się w końcu zobaczyć skrawek morza, co prawda to był tylko Kanał La Manche, ale zawsze lepsze to niż nic. Plymouth, Most Saltash i ogromne zgrupowanie okrętów; wyglądało to jakby połowa floty brytyjskiej przycumowała w Sound. I wreszcie Kornwalia i wszystkie te małe miejscowości, gdzie się zatrzymywali, z takimi romantycznymi nazwami. Za stacją Redruth otworzyła okno, które opuszczało się na skórzanym pasku i wyglądała, wychylając się, nie chcąc przegapić pierwszego widoku Atlantyku, wydm i dalekich, ogromnych, załamujących się fal. W końcu pociąg przetoczył się po wiadukcie Hayle i zobaczyła ujście rzeki, napełniające się spienioną wodą przypływu. Ściągnęła walizkę z półki na bagaż i wyszła na korytarz, podczas gdy pociąg wchodził w ostatni zakręt i wjeżdżał na stację.

Było już wpół do dziewiątej wieczorem. Otworzyła ciężkie drzwi i wysiadła z wagonu z uczuciem ulgi, wlokąc za sobą walizkę. Czapkę od munduru miała wetkniętą do kieszeni kurtki. Powietrze było ciepłe, pachniało słodko i świeżo, a zachodzące słońce wysyłało długie promienie, zalewając peron złotym światłem i z tego blasku wynurzyli się papa i Sophie, którzy wyszli jej na spotkanie.

To było niewiarygodnie cudowne być znowu w domu. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła, to pobiegła na górę, błyskawicznie ściągnęła z siebie mundur i włożyła jakieś prawdziwe ubranie — starą bawełnianą spódnicę, bluzkę, jeszcze od szkolnego mundurka i pocerowany, rozpinany sweter. Nic się nie zmieniło; pokój wyglądał dokładnie tak samo, jak kiedy go opuściła, tylko był w nim większy porządek i błyszczał

czystością. Pobiegła na dół, z gołymi nogami, i tu także dokonała dokładnej inspekcji, chodząc od pokoju do pokoju, sprawdzając, czy tu też nic się nie zmieniło, czy wszystko było tak jak przed jej wyjazdem. I tak właśnie było.

Jedyna zmiana, jakiej można się było doszukać, to to, że portret Sophie pędzla Charlesa Rainiera, dotąd zawsze wiszący na honorowym miejscu, nad kominkiem, został przeniesiony, a jego miejsce zajęli *Poszukiwacze muszelek*, którzy w końcu, z wielkim opóźnieniem dotarli z Londynu. Obraz był nieco za duży do tego pokoju i oświetlenie nie było wystarczające, żeby wyeksponować całą głębię jego kolorytu, ale i tak prezentował się całkiem nieźle.

Także rodzinka Potterów zmieniła się na lepsze. Doris straciła swoje pulchne zaokrąglenia i zrobiła się całkiem szczupłą, jej włosy, z natury mysiobrazowego koloru, zaczęły odrastać w miejsce tlenionych i teraz przypominały sierść łaciatego kucyka. Ronald i Clark urosli i powoli tracili swój patykowaty wygląd i ziemistoblądą cerę dzieci wychowywanych w dużym mieście. Włosy też im urosły, a ich akcent z londyńskiego przedmieścia miał teraz wyraźny zaśpiew typowy dla Kornwalii. Kaczki i kury podwoiły swoją liczbę, a jedna stara kura, obraziwszy się na wszystkie inne, ukryła się i wysiedziała całe stadko kurcząt, w popsutych taczkach, w gęstwinie ciernistych krzaków.

Penelopa chciała przede wszystkim usłyszeć, co się zmieniło w miasteczku od tego dnia — który teraz wydawał się tak bardzo odległy — kiedy wsiadła do pociągu, wyruszając do Portsmouth. Lawrence i Sophie nie zawiedli jej. Pułkownik Trubshot, odpowiedzialny za zabezpieczenie Porthkerris przed nalotami, załatwił już wszystkim za skórę. Hotel Sands został zarekwirowany i był pełen żołnierzy. Stara pani Treganton, majątna wdowa, „królowa matka” miasteczka, przerażająca dama z ogromnymi, wisiorowatymi kolczykami, przewiązała się fartuchem i zajęła się stołówką dla żołnierzy. Na plaży postawiono zasieki z drutu kolczastego i budowano tam cementowe bunkry, najeżone karabinami oraz lufami działek i tak było wzdłuż całego wybrzeża. Panna Preedy zrezygnowała ze swoich kursów tańca i uczyła teraz gimnastyki w szkole dla dziewcząt ewakuowanych z Kent, a panna Pawson w czasie zaciemnienia potknęła się o swoją pompę i złamała nogę.

Kiedy wreszcie podzielili się z Penelopa wszystkimi nowinami i ploteczkami, spodziewali się, co było zresztą naturalne, że ich córka opowie im ze szczegółami o swoim nowym — a dla nich niewyobrażalnym — życiu. Ale ona nie chciała o tym mówić. Nie chciała myśleć o Whale Island i o Portsmouth. Nie chciała myśleć nawet o Ambrose. Prędzej czy później, oczywiście, będzie musiała. Ale nie teraz. Nie tego wieczoru. Miała cały tydzień. To mogło poczekać.

Ze szczytu góry widać było krajobraz, drzemiący w ciepłym świetle wiosennego, słonecznego popołudnia. Na północy rozciągała się wielka zatoka, olśniewająca swoim błękitem, migocząca jak gdyby milionami maleńkich złotych monet. Szczyt Trevoze Head tonął we mgle, co było nieomylnym znakiem, że dobra pogoda utrzyma się jeszcze przez jakiś czas. Na południu wielkim łukiem zakreślała druga zatoka, otoczona wzgórzami, z zamkiem widocznym na wzniesieniu, a łagodne stoki pokrywały uprawne pola, wijące się dróżki odgradzone wysokimi żywopłotami, szmaragdowe łąki, na których, pomiędzy wystającymi tu i ówdzie granitowymi skałkami, pasło się bydło. Wiał lekki wietrzyk, pachnący tymiankiem, a jedyne dźwięki jakie tu docierały to dalekie szczekanie psa lub miły terkot pracującego gdzieś w oddali traktora.

Penelopa i Sophie przeszły piechotą pięć mil od Carn Cottage. Wspinały się wąskimi drózkami, które wiodły na wrzosowiska, gdzie gęsto porośnięte trawą miedze i żywopłoty nabijane były pierwiosnkami jak świeczkami, a w rowach było aż różowo i żółto od kwiatów kosimietki i glistnika. Wreszcie przeszły przez bramkę oddzielającą pastwiska i zaczęły się wspinać jeszcze wyżej, ścieżką z darni, która prowadziła na szczyt, wijąc się pomiędzy krzakami jeżyn i paprociami. Wierzchołek góry był skalisty, a tkwiące na nim stosy głazów pokrytych porostami były tak wysokie, że tworzyły coś w rodzaju skalnego urwiska. To na tych właśnie skałach, tysiące lat temu, mali ludzie, którzy zamieszkiwali ten starożytny kraj, stawali, żeby wypatrywać fenickich okrętów o kwadratowych żaglach, wpływających do zatoki, aby rzucić tam kotwicę i pohandlować, wymieniając swoje wschodnie skarby na cenną cynę.

Teraz, zmęczone długim marszem, odpoczywały. Sophie leżała na wznak na skrawku darni, zasłaniając oczy ramieniem przed zbyt silnym blaskiem słońca. Penelopa siedziała obok niej, opierając łokcie na kolanach i podpierając brodę dłonią.

Wysoko w górze przeleciał samolot, jak maleńka srebrna zabawka. Obie spojrzały w niebo i patrzyły za nim. Sophie powiedziała:

- Nie lubię samolotów. Przypominają mi wojnę.
- Czy kiedykolwiek udaje ci się o niej zapomnieć?
- Czasami pozwalam sobie na to. Udamę, że to się nigdy nie stało.

Łatwo jest tak udawać w taki dzień jak dziś.

Penelopa sięgnęła ręką i wyszarpnęła kępę trawy.

- Na razie niewiele się jeszcze stało, prawda?
- Rzeczywiście, niewiele.
- A myślisz, że się stanie?
- Oczywiście.
- Czy martwisz się tym?

— Martwię się, dlatego że **martwi się twój ojciec. On przez to wszystko już raz przeszedł.**

— Ty także...

— Nigdy w takim stopniu jak on.

Penelopa wyrzuciła źdźbła trawy i sięgnęła po następną garść.

— Sophie.

— Tak.

— Będę miała dziecko.

Odgłos przelatującego samolotu ucichł powoli, roztopił się w bezmiarze błękitnego nieba. Sophie poruszyła się i powoli usiadła. Penelopa obróciła głowę, żeby spotkać wzrok matki i na jej młodzieńczej, opalanej twarzy zobaczyła wyraz, który należałoby określić mianem głębokiej ulgi.

— Czy to właśnie tego nie chciałaś nam powiedzieć?

— Wiedzieliście?

— Oczywiście, że wiedzieliśmy. Taka powściągliwa, taka milcząca. Coś musiało być nic tak. Dlaczego nam wcześniej nie powiedziałaś?

— To nie dlatego, żebym się wstydziła czy obawiała. Po prostu chciałam wybrać odpowiedni moment. Chciałam mieć czas, żeby o tym porozmawiać.

— Tak się martwiłam. Czułam, że jesteś nieszczęśliwa i że żałujesz swojej decyzji albo, że masz jeszcze jakieś inne kłopoty.

Penelopa miała ochotę się roześmiać.

— A nie jestem w kłopotcie?

— Oczywiście, że nie!

— Wiesz, ty nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

Sophie puściła to mimo uszu i zajęła się praktyczną **stroną sprawy**.

— Czy jesteś pewna, że będziesz mieć dziecko?

— Pewna.

— Czy byłaś u lekarza?

— Nie potrzebuję tego robić. A zresztą, jedyny lekarz do którego mogłam pójść w Portsmouth to był lekarz wojskowy i nie chciałam do niego iść.

— Kiedy dziecko ma się urodzić?

— W listopadzie.

— A kto jest ojcem?

— Jest podporucznikiem. Na Whale Island. Odbywa **tam** swoje szkolenie w artylerii. Nazywa się Ambrose Keeling.

— A gdzie on jest teraz?

— Wciąż tam. Oblał egzaminy i musi powtarzać kurs.

— W jakim on jest wieku?

— Ma dwadzieścia jeden lat.

— Czy on wie, że jesteś w ciąży?

— Nie. Chciałam najpierw powiedzieć tobie i papie, zanim powiem komukolwiek innemu.

— Czy masz zamiar mu powiedzieć?

- Oczywiście. Kiedy wrócę.
- A co on powie?
- Nie mam pojęcia.
- Nie wygląda na to, żebyś go zbyt dobrze znała.
- Znam go wystarczająco dobrze.

Daleko w dole, w dolince, człowiek z psem, idącym przy nodze, przeszedł przez podwórze, otworzył furtkę i zaczął wspinać się w kierunku pastwiska, gdzie pały się jego krowy. Penelopa położyła się, podpierając się na łokciach i obserwowała go. Miał na sobie czerwoną koszulę, a pies biegał, zataczając kółka wokół niego.

— Widzisz, miałaś rację myśląc, że byłam nieszczęśliwa. Na początku, kiedy wysłano mnie do Whale Island, chyba nigdy w życiu nie czułam się tak okropnie. Byłam jak ryba wyjęta z wody. Tęskniłam za domem i byłam strasznie samotna. Kiedy zgłosiłam się do służby ochotniczej, myślałam, że biorę do ręki miecz i idę walczyć, w jednym szeregu z wszystkimi; tymczasem okazało się, że jedyne co mogę robić, to roznosić jarzynki, zaciągać zasłony zaciemniające i mieszkać z mnóstwem kobiet, z którymi nie mam absolutnie nic wspólnego. A w dodatku nic nie mogłam na to poradzić. Żadnej ucieczki. Wtedy poznałam Ambrose i potem wszystko się poprawiło.

- Nie wiedziałam, że było aż tak źle.
- Nie mówiłam wam. Bo to na nic by się nie zdało.
- Jeśli będziesz miała dziecko, czy będziesz musiała odejść ze służby ochotniczej?
- Tak. Zwolnią mnie. Najprawdopodobniej — karnie.
- Czy bardzo cię to zmartwi?
- Zmartwi? Nie mogę się doczekać, żeby odejść.
- Penelopo... chyba nie zaszłaś w ciążę naumyślnie?
- Wielkie nieba, nie. Nawet ja nie mogłam być aż tak zrozpaczona, żeby zrobić coś podobnego. Nie. To po prostu się stało. Jedna z tych sytuacji, jakie się w życiu zdarzają.
- Wiesz chyba... na pewno wiesz... że można się przed tym zabezpieczyć.
- Tak, ale myślałam zawsze, że to sprawa mężczyzny.
- Och, kochanie, nie miałam pojęcia, że jesteś taka naiwna. Okazuje się, że byłam okropną matką.
- Nigdy nie myślałam o tobie jako o matce. Zawsze myślałam o tobie jak o siostrze.
- No to, byłam okropną siostrą. I co teraz zrobimy?
- Chyba wrócimy do domu i powiemy papie. A potem wrócę do Portsmouth i powiem Ambrose.
- Czy wyjdiesz za niego za męża?
- Jeśli on mnie o to poprosi.

Sophie zastanowiła się nad tym przez chwilę. Potem powiedziała:

— Wiem, że musisz darzyć tego młodego człowieka bardzo silnym uczuciem, inaczej nie nosiłabyś pod sercem jego dziecka. Znam cię na tyle dobrze, żeby nie mieć co do tego wątpliwości. Ale nie wychodź za niego za mąż tylko z powodu dzidziusia.

— Ty wysłałaś za papę, kiedy się mnie spodziewałaś.

— Ale ja go kochałam. Zawsze go kochałam. Nie mogłam sobie wyobrazić życia bez niego. Czy byłby się ze mną ożenił, czy nie, nigdy bym go nie opuściła.

— Jeśli zdecyduję się wyjść za Ambrose, czy przyjedziecie na mój ślub?

— Nic by nas nie zdołało powstrzymać.

— Chciałabym, żebyście przy tym byli. A później... kiedy on skończy szkolenie na Whale Island i wyślą go na morze, czy mogę wrócić do domu i mieszkać z tobą i z papą? I urodzić dziecko w Carn Cottage?

— Co za pytanie! A cóż innego mogłabyś zrobić?

— Przypuszczam, że mogłabym zostać upadłą kobietą, zawodowo, ale raczej wolałabym nie.

— I tak byś się do tego nie nadawała.

Penelopa czuła, że przepełnia ją wdzięczność i miłość.

— Wiedziałam, że tak właśnie zareagujesz. Jakie to by było okropne mieć matkę taką jak wszyscy inni.

— Może gdybym taka była, byłabym lepszą osobą. Ale nią nie jestem. Nie jestem dobra, jestem samolubna. Nie myślę o nikim innym, tylko o sobie. Ta potworna wojna się zaczęła i zdarzy się wiele okropnych rzeczy, zanim się skończy. Synowie zostaną zabici i córki też, i ojcowie, i bracia, a ja mam ochotę skakać z radości, bo ty wracasz do domu. Tak bardzo za tobą tęskniłam. A teraz będziemy mogły być znowu razem. Choćby miało być bardzo źle, przynajmniej będziemy razem.

Ambrose, z solidnym drinkiem w ręce, zadzwonił do matki.

— Hotel Coombe — głos był kobiecy i brzmiał bardzo dystyngowanie.

— Czy jest tam pani Keeling?

— Jeśli pan poczeka chwilę, pójde jej poszukać. Chyba jest w salonie.

— Dziękuję.

— A co mam jej powiedzieć, że kto dzwoni?

— Syn. Podporucznik Keeling.

— Dziękuję pięknie.

Czekał.

— Halo?

— Mamusiu.

— Kochany chłopcze. **Jak** to miło cię słyszeć. **Skąd** dzwonisz?

— Z Whaley. Mamusiu. Słuchaj. Mam ci coś do powiedzenia.

— Mam nadzieję, że to dobra wiadomość.

— Tak. Wspaniała — odchrząknął. — Zaręczyłem się.

Kompletna cisza.

— Mamusiu?

— Tak, jestem tu jeszcze.

— Dobrze się czujesz?

— Tak, tak, oczywiście. Czy powiedziałaś, że zamierzasz się ożenić?

— Tak. W pierwszą sobotę maja. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Chelsea. Czy możesz przyjechać?

Brzmiało to tak, jakby zapraszał ją na małe przyjęcie.

— Ale... Kiedy? ... Kto?... Och, Boże, zupełnie tracę głowę.

— Nie denerwuj się. Ona się nazywa Penelopa Stern. Spodoba ci się — dodał, lecz bez przekonania.

— Ale... Kiedy się to wszystko stało?

— Właśnie teraz się stało. Dlatego dzwonię. Żeby cię od razu zawiadomić.

— Ale... kim ona jest?

— Jest ochotniczką, tu na służbie. — Starał się pomyśleć o czymś, co by mógł powiedzieć matce, żeby ją uspokoić. — Jej ojciec jest artystą malarzem w Kornwalii. — Znowu cisza. — Mają dom na ulicy Oakley. — Zastanawiał się, czy wspomnieć o czteroipółlitrowym bentleyu, ale jego matka nigdy zbyt nie interesowała się samochodami.

— Kochanie, przykro mi, że nie wykazuję zbyt dużo entuzjazmu, ale ty jesteś taki młody... a twoja kariera...

— Mamy teraz wojnę, mamusiu...

— Wiem. Kto jak kto, ale ja dobrze o tym wiem.

— To przyjedziesz na nasz ślub?

— Tak. Tak, oczywiście... Przyjadę do miasta na weekend. Zatrzymam się w hoteliku na ulicy Basil.

— To wspaniale. Będziesz ją wtedy mogła poznać.

— Och, Ambrose...

W jej głosie słychać było łzy.

— Przepraszam, że tak cię tym wszystkim zaskoczyłem. Ale nie martw się. — Pip-pip-pip, włączył się sygnał oznaczający koniec rozmowy. — Spodoba ci się — powtórzył i pośpiesznie odłożył słuchawkę, zanim zdążyła go poprosić, żeby wrzucił następne monety do auTomatu.

Zostawszy z buczącą słuchawką w ręce, Dolly Keeling powoli odłożyła ją na widełki.

Zza swojego małego biurka ustawionego pod schodami, gdzie udawała, że podlicza jakieś rachunki, ale tak naprawdę wsłuchiwała się w każde słowo, pani Mussprat podniosła wzrok i uśmiechnęła się

pytająco. Głowę przekrzywiła na bok i wyglądała jak **ptak z oczkami jak paciorki**.

— Dobre wiadomości, mam nadzieję, pani Keeling.

Dolly wzięła się w garść, potrząsnęła leciutko głową, **przybierając** wyraz radosnego entuzjazmu.

— To takie podniecające. Mój syn ma się ożenić.

— A to wspaniale. Jakie romantyczne. Dzielni młodzi **ludzie**. **Kiedy?**

— Przepraszam, nie dosłyszałam?

— Kiedy odbędzie się to radosne wydarzenie?

— Za dwa tygodnie. Pierwsza sobota maja. W Londynie.

— A kim jest ta szczęśliwa dziewczyna?

Teraz robiła się już zbyt ciekawska. Zapominała się. Dolly postanowiła przypomnieć tej kobiecie, gdzie jest jej miejsce.

— Nie miałam jeszcze przyjemności poznania jej — odparła z godnością. — Dziękuję, że mnie pani zawołała do telefonu, pani Musspratt — powiedziawszy to, Dolly zostawiła ją jej rachunkom i wróciła do holu dla gości hotelowych.

Hotel Coombe był kiedyś prywatnym domem i obecny hol był wtedy jednym z salonów. Znajdował się tam kominek z białego marmuru, z małym paleniskiem i szereg rozłożystych kanap i foteli, pokrytych białym lnem w czerwone różyczki. Parę akwareli, zawieszonych trochę za wysoko, zdobiło ściany, a przez okno wykuszowe widać było ogród, zmarniał od czasu wybuchu wojny. Pan Musspratt robił co mógł, strzygąc trawnik kosiarką, ale ogrodnik poszedł do wojska i rabatki wzdłuż ścieżki pełne były chwastów.

Wśród gości hotelowych, z których ośmioro mieszkało tu na stałe, prym wodziła grupa czterech osób stanowiących elitę, jądro tej małej społeczności. Dolly była jedną z nich. Pozostali to: pułkownik Fawcett Smythe wraz z żoną i lady Beamish. Wieczorami grali razem w brydża i rościli sobie prawa do najlepszych foteli, stojących najbliżej kominka w salonie, oraz do najlepszych stolików w jadalni, tych stojących pod oknem. Inni mieszkańcy musieli się zadowolić miejscami w chłodnych kątach, gdzie światła było tak mało, że ledwie można było czytać i stolikami, o które ciągle zawadzały drzwi kuchenne. Ale byli to i tak ludzie tak smutni i traktowani z góry przez pozostałych, że nikomu nawet nie przyszło do głowy im współczuć. Pułkownik Fawcett Smythe i jego żona przeprowadzili się do Devon z Kent. Oboje mieli koło siedemdziesiątki. Pułkownik spędził większą część swojego życia w armii, wobec czego szczególnie chętnie objaśniał wszystkim, jakie będzie następne posunięcie tego faceta Hitlera, po czym przedstawiał własną interpretację lakonicznych wiadomości, które ukazywały się w codziennej prasie, na temat tajnej broni i przemieszczania się okrętów wojennych. Był człowiekiem małego wzrostu, o ogorzałej cerze i wąsach przyszczyżonych na

szczotkę, a braki w centymetrach nadrabiał krzykliwym głosem, stale brzmącym tak, jakby wydawał komendę na placu defilad, oraz wojskowymi manierami. Jego żona miała puszyste włosy i była całkowicie bezbarwna. Robiła dużo ręcznych robótek i ciągle mówiła: „Tak, kochanie”, zgadzając się z wszystkim, co mówił jej mąż, zresztą na całe szczęście, ponieważ jeśli tylko ktoś mu zaprzeczył, pułkownik Fawcett Smythe robił się purpurowy i sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał dostać ataku.

Lady Beamish odznaczała się jeszcze większą indywidualnością. Z nich wszystkich była ona jedyną osobą, która nie bała się w ogóle bomb ani czołgów, ani niczego innego, co by mogło im grozić ze strony nazistów. Miała ponad osiemdziesiątkę, była wysoka i tęga, z siwymi włosami upiętymi w ciasny kok z tyłu głowy i parą nieustępliwych, zimnych szarych oczu. Mocno kulała (rezultat, jak opowiedziała przejętym słuchaczom, wypadku na polowaniu) i musiała podpierać się solidną laską. Kiedy siadała, opierała laskę o krzesło lub fotel i zawsze kończyło się tym, że ktoś potykał się o nią lub zostawał uderzony boleśnie po łydkach. Zamieszkała w Hotelu Coombe wbrew swojej woli, bardzo niechętnie, żeby przeczekać tu wojnę, ponieważ jej dom w Hampshire został zarekwirowany przez armię, a rodzina lady Beamish, znajdująca się w trudnych warunkach, w końcu zmusiła ją do poszukania schronienia w Devon. „Wygнали starego bojowego konia na pastwisko” — narzekała cały czas.

Mąż lady Beamish był kiedyś wyższym urzędnikiem państwowym w Indii i dlatego spędziła sporą część życia na tym wielkim subkontynencie, perle w koronie Brytyjskiego Imperium, o której zawsze mówiła „Indza”. Dolly często myślała, że musiała być wspanią podporą dla swojego małżonka, królując na przyjęciach, na przykład na garden party, a w trudnych momentach zaskakując wszystkich wyciągniętą niespodziewanie z rękawa kartą atutową. Nie trudno było wyobrazić ją sobie, jak tłumi bunt tubylców swoimi stalowymi oczami, uzbrojona tylko w hełm tropikalny i jedwabną parasolkę, albo gdyby to się nie udało, zwołuje inne anie, żeby objąć nad nimi komendę i zmusić je wszystkie do podarcia swoich halek na bandażu.

Czekali na Dolly tam, gdzie ich zostawiła, zgromadzeni wokół niewielkiego kominka. Pani Fawcett Smythe za swoją robótką, lady Beamish układająca pasjansa na rozkładanym stolczku i pułkownik, stojący tyłem do ognia, który grzał sobie plecy, zginając i prostując zreumatyzowane kolana jak kukiełkowy policjant.

— No i tak. — Dolly siadła z powrotem w swoim fotelu.

— A więc o co chodziło? — spytała lady Beamish, kładąc czarnego waleta na czerwonej królowej.

— Dzwonił Ambrose. Ma zamiar się żenić.

Ta nowina zaskoczyła pułkownika w połowie zginania kolan i musiał się bardzo skoncentrować, żeby wyprostować je z powrotem.

— A niech mnie kule biją — powiedział.

— Och, jakie to podniecające — trzęsącym się głosem dodała pani Fawcett Smythe.

— Kim jest dziewczyna? — zapytała lady Beamish.

— Ona jest... ona jest córką artysty malarza.

Lady Beamish skrzywiła usta.

— Córką artysty? — w jej głosie słychać było głęboką dezaprobatę.

— To na pewno bardzo sławny malarz — powiedziała pani Fawcett Smythe pocieszająco.

— Jak ona się nazywa?

— Mam... Penelopa Stern.

— Penelopa Stern? — słuch pułkownika był już nieco przytępiony.

— Wielkie nieba, nie. Skądże. — Wszystkim bardzo było żal biednych Żydów, oczywiście, ale to było nie do pomyślenia, żeby własny syn miał się ożenić z Żydówką. — Stern.

— Nigdy nie słyszałem o malarzu nazwiskiem Stern — stwierdził pułkownik, jakby sądził, że Dolly stroi sobie z niego żarty.

— Mają dom przy ulicy Oakley i Ambrose mówi, że ona na pewno mi się spodoba.

— Kiedy mają zamiar wziąć ślub?

— Na początku maja.

— Pojedzie pani?

— Oczywiście, muszę tam być. Będę musiała zadzwonić do hoteliku na ulicy Basil i zamówić pokój. Może powinnam pojechać trochę wcześniej, pochodzić po sklepach i znaleźć coś do ubrania.

— Czy to będzie bardzo uroczysty ślub? — zapytała pani Fawcett Smythe.

— Nie. Urząd Stanu Cywilnego w Chelsea.

— O Boże.

Dolly poczuła, że musi zająć bardziej zdecydowaną postawę i stanąć w obronie swego syna. Nie mogła znieść myśli, że ktoś z nich miałby się nad nią litować.

— No cóż, mamy wojnę, a Ambrose może w każdej chwili zostać wysłany na okręt wojenny... Może w takiej sytuacji to rzeczywiście bardziej praktyczny pomysł... Chociaż muszę przyznać, że zawsze marzyłem mi się naprawdę piękny, wystawny ślub w kościele, z przejściem pod skrzyżowanymi szablami. Ale cóż, jest inaczej. „Cest la guerre”⁰, na wojnie, jak na wojnie.

Lady Beamish układała dalej pasjansa.

— A gdzie on ją spotkał?

— Nie powiedział. Ale ona jest ochotniczką Pomocniczej Służby Kobiet.

— No, przynajmniej tyle — zauważyła lady Beamish. Mówiąc to, posłała ostre, znaczące spojrzenie w kierunku Dolly, ale ta umyślnie spojrzała w inną stronę. Lady Beamish wiedziała, że Dolly ma tylko czterdzieści cztery lata. Co prawda Dolly mówiła jej nieraz o swoich kłopotach ze zdrowiem. Dokładnie opisała wszystkie swoje dolegliwości; okropne bóle głowy (nazywała je migrenami), które mogły zwalić ją z nóg w najbardziej nieoczekiwanych momentach; problemy z kręgosłupem, które sprawiały, że nawet tak proste czynności domowe, jak śłanie łóżka, czy prasowanie, mogły dla niej skończyć się obezwładniającym bólem. Toteż nie mogło być mowy, w jej wypadku, o obsłudze sprzętu wojskowego, czy pracowaniu jako kierowca ambulansu. Mimo to, lady Beamish pozostawała nieprzychylnie nastawiona i od czasu do czasu, robiła nieprzyjemne uwagi o „tchórzliwym unikaniu bomb” i o ludziach, którzy nie włączali się do „wspólnego wysiłku”.

— W każdym razie, jeśli Ambrose ją wybrał, to z pewnością jest uroczą — powiedziała Dolly stanowczo. — A ponadto — dodała — zawsze chciałam mieć córkę.

To nie była prawda. Na górze, w swoim pokoju, kiedy nikt jej nie obserwował, mogła zrzucić maskę i przestać udawać. Rozczuliła się nad sobą, samotna, zraniona uczuciem zazdrości, miała wrażenie, że odrzucono jej miłość. Postanowiła poszukać pocieszenia w swoim skarbcu — szafie, pękającej od drogich strojów. Przeglądała, dotykała, to jeden, to drugi. Miękkie szyfony, delikatne wełny przepływały jej między palcami. Zdjęła z wieszaka zwiewną suknię i podeszła do długiego lustra, trzymając ją przed sobą. Jedna z jej ulubionych. Zawsze czuła się w niej taka piękna. Taka piękna. Spojrzała na swoją twarz w lustrze. Jej oczy napełniły się łzami. Ambrose. Kochał inną kobietę. Żenił się z nią. Upuściła suknię na wyściełany taboret, rzuciła się na łóżko i rozpłakała się.

Nadeszło lato. Londyn pachniał słodko, wszędzie kwitły drzewka owocowe i bez. Światło słoneczne leżało jak ciepłe błogosławieństwo na chodnikach i dachach, odbite od srebrzystych, unoszących się wysoko balonów, stanowiących zaporę przeciwlotniczą. Był maj, piątek, samo południe. Dolly Keeling, ukryta w hoteliku przy ulicy Basil, siedziała na kanapie przy otwartym oknie, w holu na piętrze i czekała na swojego syna, który miał przyjść razem z narzeczoną.

Kiedy nadszedł, wbiegając po schodach po dwa stopnie naraz, trzymając w ręku czapkę, wyglądał fantastycznie w swoim mundurze

i Dolly była zachwycona, nie tylko samym jego widokiem, ale także tym, że wydawał się być sam. Może przyszedł jej powiedzieć, że zdecydował całą rzecz odwołać i że jednak nie będzie się żenił. Wstała żywo i poszła się z nim przywitać.

— Cześć mamusi. — Pochylił się, żeby ją pocałować. Jego wzrost zawsze sprawiał jej przyjemność, ponieważ przy tak wysokim mężczyźnie czuła się słaba i bezbronna.

— Kochanie... gdzie jest Penelopa? Myślałam, że przyjdziecie razem.

— Tak. Przyjechaliśmy dziś rano z Pompey. Ale ona chciała się przebrać, zdjąć mundur, więc podrzuciłem ją na ulicę Oakley i przyjechałem tutaj. Ona zaraz przyjdzie.

Małeńka nadzieja rozplynęła się prawie w tym samym momencie, w którym się narodziła, ale przynajmniej będzie mogła być z Ambrose, sam na sam, jeszcze przez chwilę dłużej. Było łatwiej rozmawiać, kiedy byli sami.

— A więc poczekamy na nią. Chodź, usiądź tutaj i opowiesz mi wszystko, co się będzie działo. — Udało jej się przywołać kelnera i zamówiła kieliszek sherry dla siebie i różowy gin dla Ambrose. — Byłeś na ulicy Oakley. Czy jej rodzice już tam są?

— Nie. To jest właśnie zła wiadomość. Jej ojciec ma bronchit. Dowiedziała się dopiero wczoraj wieczorem. Nie będą mogli przyjechać na ślub.

— Ale jej matka, ona z pewnością mogłaby przyjechać?

— Ona twierdzi, że musi zostać w Kornwalii i opiekować się starszym panem. A on naprawdę jest stary. Ma siedemdziesiąt pięć lat. Przypuszczam, że nie chcą, w najmniejszym nawet stopniu, ryzykować.

— Ale jednak to wielka szkoda... Tylko biedna, mała ja, na ślubie.

— Penelopa ma ciotkę, która mieszka w Putney. Są też jej znajomi, państwo Clifford. Oni mają przyjść. To wystarczy.

Kelner przyniósł im drinki i zapisał je na konto hotelowe Dolly. Podnieśli kieliszki. Ambrose powiedział: „Twoje zdrowie”, a Dolly uśmiechnęła się, pewna, że goście hotelowi obecni w holu patrzą na nich, zwracając uwagę na przystojnego młodego oficera marynarki i piękną kobietę, która wyglądała zdecydowanie za młodo, żeby być jego matką.

— A jakie są twoje plany?

Krótko opowiedział jej, że udało mu się w końcu zdać egzaminy kończące szkolenie artyleryjskie i teraz na tydzień wyślą go na punkt zborny, a potem — na morze.

— A wasz miesiąc miodowy?

— Nie będzie miesiąca miodowego. Jutro się pobieramy. Jedna noc na ulicy Oakley i w niedzielę muszę być w Portsmouth.

— A Penelopa?

— Odprowadzę ją na pociąg do Porthkerris w niedzielę rano.

— Porthkerris? To ona nie wraca z tobą do Portsmouth?
— Nie. — Obgryzając paznokieć przy kciuku, wpatrywał się w okno, jak gdyby coś fascynującego miało się zaraz wydarzyć na ulicy. — Ona ma mały urlop.

— Ojej, będziecie mieć tak mało czasu dla siebie.

— Nic się na to nie da poradzić.

— Rzeczywiście, zapewne nic. *a*

Obróciła się, żeby postawić swój kieliszek i zobaczyła dziewczynę dochodzącą do szczytu schodów. Na ostatnim stopniu zatrzymała się i niepewnie rozejrzała się dokoła. Szukała kogoś. Bardzo wysoka dziewczyna, z długimi, ciemnymi włosami, zaczesanymi do tyłu — włosy uczennicy, proste, nie ułożone w żadną fryzurę. Jej twarz o kremowej karnacji i głęboko osadzonych, ciemnych oczach zwracała uwagę przez sam brak jakiegokolwiek makijażu; nieupudrowana skóra miała własny blask, a bledość ust kontrastowała z naturalnie czarnymi brwiami. W ten gorący dzień miała na sobie ubranie, które bardziej nadawało się na wakacje na wsi niż na oficjalny lunch w Londynie. Ciemnoczerwona sukienka bawełniana w białe kropeczki i z białym paskiem na szczupłej talii. Białe sandały na nogach i... Dolly musiała spojrzeć jeszcze raz, żeby się upewnić... tak, gołe nogi. Kto to mógł być, na Boga? I dlaczego patrzyła w tę stronę? I zbliżała się do nich? Uśmiechała się...

O mój Boże.

Ambrose podniósł się z kanapy.

— Mamusiu — zwrócił się do Dolly — to jest Penelopa.

— Dzień dobry — powiedziała Penelopa.

Dolly cudem udało się ukryć zaskoczenie. Czuła, że mimowolnie krzywi usta, więc nagłym skurczem mięśni przeistoczyła grymas w promienny uśmiech. Bez rękawiczek. Bez torebki. Bez kapelusza. Gołe nogi. Miała nadzieję, że starszy kelner pozwoli im wejść do restauracji.

— Moja droga.

Podążyły sobie ręce. Ambrose zajął się przysuwaniem jeszcze jednego krzesła i przywoływaniem kelnera. Penelopa siadła w pełnym świetle, naprzeciw Dolly i patrzyła na nią wzrokiem, który zbijał z tropu swoją otwartością. „Ona mnie lustruje” — pomyślała Dolly i poczuła się urażona. Ona nie ma prawa obserwować w ten sposób swojej przyszłej teściowej i przyprowadzić jej o łomotanie serca. Dolly spodziewała się młodzieńczej niezręczności, nieśmiałości, zażenowania nawet. Ale na pewno nie tego.

— Tak mi miło panią poznać... Mielicie dobrą podróż z Portsmouth. Tak Ambrose mi opowiadał...

— Penelopo, czego chcesz się napić?

— Sok pomarańczowy, czy coś w tym rodzaju. Z lodem, jeśli to możliwe.

— A nie sherry? A może kieliszek wina? — Dolly kusiła ją, uśmiechając się, żeby pokryć swoje zmieszanie.

— Nie. Jest mi gorąco i jestem spragniona. Tylko sok.

— Zamówiłam butelkę wina do naszego lunchu. To, w takim razie, wtedy będziemy mogli wznieść nasz mały toast.

— Dziękuję bardzo.

— Przykro mi, że pani rodzice nie będą mogli być z nami jutro.

— Tak, wiem. Ale papa zaziębił się, złapał grypę, nie położył się i potem zaczął okropnie kaszleć i rzezić. Lekarze kazali mu leżeć w łóżku co najmniej tydzień.

— Czy nie ma nikogo innego, kto by mógł się nim zaopiekować?

— To znaczy, oprócz Sophie?

— Sophie?

— Moja matka. Nazywam ją Sophie.

— Aha, rozumiem. Tak. Czy nie ma nikogo innego, kto mógłby się zająć twoim ojcem?

— Tylko Doris, nasza przesiedlona. Ale ona ma swoich dwóch chłopców, których musi doglądać. Poza tym, papa jest okropnym pacjentem; Doris nie dałaby sobie z nim rady.

Dolly wykonała mały gest obiema rękami.

— Przypuszczam, że tak jak wszyscy jesteście teraz bez służby.

— Zawsze byliśmy — powiedziała Penelopa. — Dziękuję ci Ambrose, właśnie o tym marzyłam. — Wzięła szklanke z jego ręki, wypła połowę jednym wielkim haustem i postawiła ją na stoliku.

— Zawsze byliście bez służby? Nigdy nie mieliście w domu nikogo do pomocy?

— Nie mieliśmy. Żadnej służby. Bywało, że dorywczo przychodzili ludzie w czymś pomóc, ale nigdy nie było służących.

— Ale kto gotuje?

— Sophie. Uwielbia to. Ona jest Francuzką. Wspaniale gotuje.

— A co ze sprzątaniami?

Penelopa wyglądała na lekko zmieszaną, jak gdyby nigdy w ogóle nie zastanawiała się nad sprzątaniami.

— Nie wiem. W końcu zawsze jest posprzątane. Prędzej czy później.

— Ach, tak. — Dolly pozwoliła sobie na wyraz rozbawienia, zaśmiała się leciutko, światowo, „mondaine”⁰. — To wszystko brzmi bardzo uroczo. Zupełnie w stylu cyganerii artystycznej. Mam nadzieję, że niedługo będę miała przyjemność poznać pani rodziców. A teraz pomówmy o jutrze. Jaką ma pani kreację na swój ślub?

— Nie wiem.

— Nie wie pani?

— Nie myślałam o tym jeszcze. Przypuszczam, że coś będę miała.
— Ależ musi pani pójść na zakupy!
— Nie, po co. Nie muszę iść na zakupy. Jest mnóstwo rzeczy w domu na ulicy Oakley. Na pewno coś znajdę.

— Coś pani znajdzie...

Penelopa roześmiała się.

— Niestety nie jestem osobą, która pasjonuje się strojami. U nas w domu też nikt się tym szczególnie nie interesuje. I nikt z nas nigdy nic nie wyrzuca. Sophie ma dużo ładnych rzeczy do ubrania, które chomikuje na ulicy Oakley. Dziś po południu ja i Elżbieta Clifford urządzimy przegląd tego wszystkiego. — Spojrzała na Ambrose. — Nie bądź taki zmartwiony, Ambrose, nie zrobię ci wstydu.

Uśmiechnął się blado. Dolly powiedziała sobie, że serdecznie żał jej tego biednego chłopca. Pomiedzy nim a tą niesamowitą dziewczyną, którą znalazł i zdecydował się poślubić, nie zauważyła ani jednego czułego spojrzenia, ani dotknięcia, ani krótkiego pocałunku. Czy oni rzeczywiście byli zakochani? Czy mogli być zakochani i zachowywać się tak jakoś niedbale czy obojętnie wobec siebie? Dlaczego on się z nią żenił, jeśli nie stracił dla niej głowy? Dlaczego się żenił...?

Jej myśli, badając różne możliwości, natknęły się na jedną tak okropną, że natychmiast wróciły do punktu wyjścia.

A po chwili znowu nieśmiało wynurzyły się na powierzchnię.

— W niedzielę pani jedzie do domu. Ambrose mi mówił.

— Tak.

— Na urlop.

Ambrose wpatrywał się w Penelopę, starając się dać jej jakiś sygnał wzrokiem. Dolly podchwyciła to jego spojrzenie, naTomiasz Penelopa zdawała się niczego nie zauważyć. Po prostu siedziała sobie spokojnie, niczym nie zmieszana.

— Tak. Na miesiąc.

— Zostanie pani na Whale Island?

Ambrose zaczął machać ręką i w końcu, **tak** jakby **nie** mógł wymyślić, co z nią zrobić, położył ją na ustach.

— Nie. Zwalniają mnie.

Ambrose westchnął głośno.

— Całkiem? Na zawsze?

— Tak.

— Czy to normalne? — Była dumna z siebie, a jednocześnie, mimo że uśmiech nie opuszczał jej twarzy, głos miała lodowaty.

Penelopa też się uśmiechnęła.

— Nie — powiedziała.

Ambrose, być może zdecydowawszy, że sytuacja już i tak nie może być gorsza, zerwał się na równe nogi.

— Chodźmy coś zjeść, umieram z głodu.

Powoli, z namaszczeniem Dolly wstała, pozbierała swoje białe rękawiczki i wzięła torebkę. Stojąc już, spojrzała na przyszłą żonę Ambrose, ciemnoooką, czarnowłosą, pełną niedbałego wdzięku. Powiedziała:

— Nie jestem pewna, czy wpuszczą Penelopę do restauracji. Wydaje mi się, że nie ma na sobie pończoch.

— Och, na litość boską... nikt nawet nie zauważy — jego głos był zagniewany i niecierpliw, ale Dolly uśmiechnęła się do siebie, bo wiedziała, że ten gniew nie był skierowany do niej, ale do Penelopy, która zdradziła tajemnicę.

„Ona jest w ciąży” — pomyślała, idąc przodem przez hol, w kierunku jadalni. Usidliła go, złapała w potrzask. On jej nie kocha. Ona go zmusza do tego małżeństwa.

Po lunchu Dolly usprawiedliwiając się zapowiedziała, że idzie na górę, do swojego pokoju, położyć się. Głupia migrena, wyjaśniła Penelopie, a w jej głosie słychać było cień oskarżenia. Muszę bardzo uważać. Nawet najłżejsza ekscytacja... Penelopa była trochę zdziwiona, bo lunch zaiste nie był ekscytujący, ale odparła, że rozumie i że zobaczą się jutro w Urzędzie Stanu Cywilnego, a lunch był pyszny i bardzo dziękuje. Dolly wsiadła do staromodnej windy, która uniosła ją, jak ptaka w klatce.

Patrzyli za nią. Kiedy był już pewien, że nie może ich usłyszeć, Ambrose zwrócił się do Penelopy.

— Dlaczego musiałaś jej powiedzieć?

— Co? Że jestem w ciąży? Nie powiedziałam jej. Ona zgadła.

— Nie musiała zgadywać.

— Przecież dowie się. Prędzej czy później. Dlaczego nie teraz?

— Dlatego, że... bo ona się tym bardzo przejmuję, jest wzburzona.

— Czy dlatego dostała migreny?

— Tak, oczywiście... — mówił, gdy szli na dół. — To był bardzo zły początek.

— W takim razie, bardzo mi przykro. Ale naprawdę nie wiem, dlaczego to miałyby mieć tak wielkie znaczenie. Dlaczego to jest dla niej takie ważne? To my bierzemy ślub. Nie powinno to nikogo innego, poza nami, obchodzić.

Nie mógł znaleźć na to żadnej odpowiedzi. Jeśli ona była taka tępa, to na nic zdawało się wszelkie tłumaczenie. W milczeniu wyszli na ciepłą, słoneczną ulicę i poszli w kierunku zaparkowanego samochodu. Położyła dłoń na jego ramieniu. Uśmiechnęła się.

— Och, Ambrose, chyba nie martwisz się tym, tak na serio? Ona się z tym pogodzi. Było, minęło. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, jak zawsze mówi papa. Pomartwi się, ponarzeka i przestanie. A potem zapomni. Poza tym, kiedy pojawi się już dzidzius, będzie zachwycona. Każda kobieta cieszy się pierwszym wnukiem i rozczuła się nad nim.

Lecz Ambrose wcale nie był tego taki pewien. Jechali dość szybko wzdłuż Pavilion Road i King's Road, wreszcie skręcili w ulicę Oakley. Kiedy podjechał przed dom zapytała:

— Wejdiesz? Chodź, poznasz Elżbietę. Ona jest czarująca.

Odmówił. Miał inne sprawy do załatwienia. Zobaczą się jutro.

— W porządku. — Penelopa była spokojna, nie sprzeczała się. Pocałowała go i wysiadła z samochodu, zatrzasnąwszy drzwi. — No to idę pomyszkować i wyszukać sobie suknię ślubną.

Uśmiechnął się niechętnie. Patrzył, jak wbiegła po schodkach i otworzyła sobie drzwi frontowe. Pomachała mu i zniknęła.

Zmienił biegi, zakręcił ostro i szybko odjechał tą samą drogą. Przejechał przez Knightsbridge, po czym wjechał przez bramę parku. Było bardzo ciepło, ale pod drzewami panował miły chłód. Zaparkował samochód i przeszedł kawałek na piechotę. Znalazł ławkę stojącą w cieniu. Liście drzew szeleściły na lekkim wietrze i park pełen był miłych odgłosów lata; śmiechy dzieci, śpiew ptaków, a w tle ciągłe dudnienie ruchliwej londyńskiej ulicy. ➤

Był ponury i przygnębiony. Łatwo Penelopie mówić, że jego matka pogodzi się z faktem wymuszonego małżeństwa — bo cóż to było innego? — ale on wiedział doskonale, że ona nigdy nie zapomni i przypuszczalnie nigdy nie przebaczy. A w dodatku tak się niefortunnie złożyło, że państwo Stern nie będą na jutrzejszym ślubie. Być może ich liberalne poglądy i sposób bycia w stylu bohemy, mogłyby przeważyć szalę i nawet gdyby Dolly nie zgodziła się z ich poglądami na życie, to przynajmniej można by ją przekonać, że istnieje inny punkt widzenia.

Gdyż, według Penelopy, oni zupełnie nie byli oburzeni ani zmartwieni spodziewanym urodzeniem się dziecka, wręcz przeciwnie — cieszyli się, a ponadto wyraźnie przekazali Ambrose przez Penelopę, że nie żądają od niego, by uczynił z niej uczciwą kobietę.

Kiedy dowiedział się, że ma zostać ojcem, poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Był wstrząśnięty, przerażony i potwornie wściekły — na siebie, że dał się złapać w tę klasyczną pułapkę, której zawsze tak się obawiał i na Penelopę, że ją na niego zastawiła. „Czy wszystko w porządku?” — zapytał ją wtedy i usłyszał w odpowiedzi: „Och, tak. W porządku”, no i w ferworze chwili, i w podnieceniu nie było po prostu czasu, żeby to sprawdzić.

A jednak trzeba przyznać, że była bardzo słodka i kochana. „Nie musimy wcale się pobrać, Ambrose” — zapewniała go. „Proszę cię, nie myśl, że musisz”. Mówiła o tym tak spokojnie i nie wydawała się wcale zmartwiona całą tą smutną sprawą, że aż go to zastanowiło i zaczął przyglądać się drugiej stronie medalu.

Może, mimo wszystko jego sytuacja nie była aż tak okropna. Mogło być przecież znacznie gorzej. Ona była, na swój dziwny sposób, piękna.

Dobrze wychowana. Nie jakaś prosta dziewczuszka, poderwana w barze w Portsmouth, lecz córka zamożnych, jeśli nawet nieco niekonwencjonalnych rodziców. W dodatku rodziców, którzy byli właścicielami nieruchomości. Godny pozazdrosczenia dom na ulicy Oakley, nie był do pogardzenia, a posiadłość w Kornwalii liczyła się jako cenny dodatek. Wyobraził sobie siebie żeglującego na jachcie przez Helford Passage. A na koniec, była jeszcze możliwość odziedziczenia czteroipółlitrowego bentleya.

Nie. Zdecydowanie dobrze zrobił. A kiedy jego matka przyjdzie już jakoś do siebie, po drobnym szoku spowodowanym odkryciem, że Penelopa jest w ciąży, wszystko powinno się jakoś ułożyć. Poza tym, była wojna. Wojna, która wkrótce rozpęta się na dobre i potrwa długo, a przez cały ten czas nie będą mogli widywać się zbyt często, ani nawet mieszkać razem. Ambrose był absolutnie pewny, że przeżyje. Nie miał zbyt bujnej wyobraźni i nie dręczyły go koszmarnie sny o wybuchających maszynowniach, o tonącym statku lub zamarznieniu na śmierć w lodowatych wodach Atlantyku, w zimie. A do czasu, kiedy to wszystko się skończy, będzie zapewne o wiele bardziej skłonny do ułożenia sobie życia w sposób ustabilizowany i podjęcia roli ojca rodziny w o wiele większym stopniu, niż ma na to ochotę w tej chwili.

Poprawił się na ławce, która miała bardzo twarde oparcie i była okropnie niewygodna. Spostrzegł dopiero teraz parę zakochanych, którzy leżeli na zmiętej trawie, o parę jardów od niego, spleceni w uścisku. To mu podsunęło świetny pomysł. Wstał z ławki i wrócił do samochodu. Wyjechał z parku, okrążył Marble Arch i skręcił w cichą ulicę Bayswater. Podśpiewywał pod nosem:

*Szampan nie robi na mnie wrażenia,
Alkohol zupełnie na mnie nie działa,
Więc, powiedz mi dlaczego tak jest,
Ze tylko ty mnie podniecasz.*

Zaparkował przed szacownie wyglądającym domem i zszedł po schodkach prowadzących do suterenu. W maleńkim ogródku przed pomalowanymi na żółto drzwiami rosło mnóstwo kwiatów. Zadzwoił. Nie był pewien, czy ją zastanie, ale o czwartej po południu przeważnie była w domu. Krzątała się wtedy w kuchni albo ucinała sobie drzemkę lub też zajmowała się jeszcze czymś innym. Udało się. Otworzyła drzwi i stanęła w nich, ze zmierzwionymi blond włosami, skromnie przytrzymując koronkowy szlafroczek na obfitych krągłych piersiach. Angie. Angie, która, kiedy Ambrose miał siedemnaście lat, czule i delikatnie pomogła mu pozbyć się dziewictwa i do której, od tego czasu, zawsze uciekał w trudnych chwilach.

— Och! — Na jej twarzy malował się zachwyt. — Ambrose.

Żaden mężczyzna nie mógłby się pochwalić cieplejszym przyjęciem.

— Cześć Angie.

— Nie widziałam cię całe wieki. Myślałam, że pławisz się już w oceanie. — Wyciągnęła do niego pulchną, matczyną rękę. — Nie stój tak w progu. Wejź proszę.

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

Kiedy Penelopa otworzyła frontowe drzwi domu na ulicy Oakley, Elżbieta Clifford przechyliła się przez balustradę schodów i zawołała ją. Penelopa poszła na górę.

— No i jak było?

— Nie najlepiej. — Penelopa wykrzywiła twarz w grymasie. — Ona jest okropna. Nie mogłaby być gorsza. Cała wyelegantowana, w kapeluszu, w rękawiczkach i była wściekła, że ja nie miałam na sobie pończoch. Powiedziała, że przez to nie wpuszczą nas do restauracji, ale oczywiście nas wpuścili.

— Czy ona wie, że spodziewasz się dziecka?

— Tak. Właściwie nie powiedziałam jej wprost, ale widać było, że się domyśla. Wyraźnie było widać, kiedy jej to zaświtało. Uważam, że tak jest o wiele lepiej. Ambrose był wściekły. Ale ja myślę, że powinna się dowiedzieć.

— Może i tak — powiedziała Elżbieta, lecz ponieważ miała dobre serce, więc zrobiło jej się żal biednej kobiety. Młodzi ludzie, nawet Penelopa, zachowywali się czasami bardzo egoistycznie i mało delikatnie. — Czy masz ochotę na filiżankę herbaty albo coś w tym rodzaju?

— Troszkę później, z wielką ochotą. Słuchaj, muszę znaleźć coś do ubrania na jutro. Błagani cię, pomóż mi.

— Myszkowałam w starym kufrze... — Elżbieta poprowadziła ją do swojej sypialni, gdzie rozmaite pomięte i stłamszone stroje piętrzyły się na ogromnym, szerokim łóżku, które dzieliła z Piotrem. — Czy nie uważasz, że ta jest całkiem niezła? Kupiłam ją na wyjazd do Hurlingham... chyba to było w 1921. Piotr miał wtedy kręcka na punkcie krykieta. — Wzięła suknię leżącą na wierzchu stosu ubrań, z kremowego lnu, bardzo delikatnego, o długiej talii, luźną, ręcznie obrębianą. — Wygląda trochę nieświeżo, ale mogłabym ją wyprać i wyprasować i na jutro byłaby gotowa. I zobacz, są do tego buty. Czy nie uważasz, że te sprzączki wysadzane diamentami są rozkoszne? A do tego jedwabne pończochy, kremowego koloru.

Penelopa wzięła suknię i podeszła do lustra, trzymając ją przed sobą. Przyglądała się na pół przymrużonymi oczami, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, żeby sprawdzić efekt.

»»

— **To śliczny kolor, Elzbieto. Taki zbożowy. Czy naprawdę mogłabym ją pożyczyć?**

— Oczywiście.

— A co z kapeluszem? Przypuszczam, że powinnam mieć kapelusz. Albo uczesać włosy w kok, czy coś w tym stylu.

— Musimy też znaleźć halkę. Materiał jest tak delikatny i cieniutki, że prawie przeźroczysty i widać by ci było nogi.

— Nie może mi być widać nóg, bo Dolly Keeling wpadnie w ształ...

Zaczęły się śmiać. Śmiejąc się, Penelopa zdjęła swoją czerwoną bawełnianą sukienkę i wciągając przez głowę suknię Elzbiety poczuła się całkiem szczęśliwa. Dolly Keeling była nieznośna, ale ona wychodziła przecież za Ambrose, a nie za jego matkę, więc cóż to miało za znaczenie, co ta dama o niej myśli?

Zapowiadał się słoneczny dzień. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Dolly Keeling, zjadłszy śniadanie w łóżku, wstała o jedenastej. Ból głowy, mimo że nie zniknął zupełnie, wyraźnie słabł. Wykąpała się, ułożyła włosy i zaczęła się malować. Makijaż zajął jej •bardzo dużo czasu, ponieważ było dla niej bardzo ważne, żeby wyglądać nie tylko młodzieńczo, ale wręcz idealnie, aby, taką miała nadzieję, zaćmić wszystkich innych, łącznie z panną młodą. Wreszcie, pudrując na koniec twarz, wstała, zdjęła powłóczysty szlafroczek i włożyła swoją kreację. Liliowa, jedwabna suknia, z luźnym, zwiewnym płaszczem, z tego samego materiału. Słomkowy kapelusz z wywiniętym do góry rondem, obwieszony liliową wstążką. Pantofelki na bardzo wysokim obcasie, długie, białe rękawiczki i biała torebka z koźlącej skórki. Po zakończeniu wszystkich przygotowań spojrzała w lustro, a odbicie, które zobaczyła, dodało jej pewności siebie i podniosło na duchu. Ambrose będzie z niej dumny. Zażyła jeszcze dwie aspiryny i zeszła do holu.

Ambrose czekał już na nią. Wyglądał oszałamiająco w swoim najlepszym mundurze i pachniał tak, jakby przed chwilą wyszedł od bardzo drogiego fryzjera, co zresztą było zgodne z prawdą. Na stoliku obok jego fotela stała pusta szklanka i kiedy go pocałowała, poczuła zapach brandy w jego oddechu. Z całego serca współczuła swojemu kochanemu chłopcu, bo przecież on miał dopiero dwadzieścia jeden lat i na pewno był bardzo zdenerwowany.

Wyszli i wsiedli do taksówki, żeby dojechać do King's Road. W czasie jazdy Dolly mocno trzymała rękę Ambrose w swoich obleczonych w białe rękawiczki palcach. Milczeli. Słowa nic by tu nie zmieniły. Była dla niego dobrą matką... żadna kobieta nie dałaby chyba rady zrobić więcej dla swego syna. A co się tyczy Penelopy... cóż, pewne sprawy najlepiej pominąć milczeniem.

Taksówka zatrzymała się przed imponującym gmachem Ratusza w Chelsea. Wysiedli na chodnik. Było ciepło i wiał lekki wietrzyk. Ambrose zapłacił kierowcy. Podczas gdy on był tym zajęty, Dolly poprawiła swój strój, wygładziła spódnicę, dotknęła kapelusza, żeby sprawdzić, czy się nie przekrzywił i wreszcie rozejrzała się dookoła. O parę jardów dalej czekała jakaś kobieta. Była to przedziwna, mała postać, jeszcze niższa od Dolly, a jej nogi w czarnych, jedwabnych pończochach były tak chude, że Dolly nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Ich oczy spotkały się. Dolly, zmieszana, szybko odwróciła wzrok i spojrzała w inną stronę, ale było za późno. Nieznajoma już podchodziła, z twarzą pełną radosnego oczekiwania i chwyciła Dolly za nadgarstek z siłą obcęgów.

— Wy na pewno jesteście Keelingowie. Wiedziałam. Czułam to w kościach w momencie, gdy was zobaczyłam.

Dolly otworzyła usta ze zdziwienia, była przekonana, że atakuje ją jakaś wariatka. Ambrose, który właśnie odwracał się od odjeżdżającej taksówki, był równie zaskoczony i przerażony jak jego matka.

— Przykro mi, ale...

— Jestem Ethel Stern. Siostra Lawrence'a Sterna. — Była ubrana w zapięty pod szyję, dzieciennych rozmiarów szkarłatny żakiecik, ozdobiony sutym szamerunkiem, a na głowie miała ogromny, czarny, aksamitny beret szkocki z pomponem. — Dla ciebie, młody człowieku, ciocia Ethel.

Wypuściła dłoń Dolly i energicznym ruchem wyciągnęła rękę w kierunku Ambrose. Kiedy on zawahał się, wyraz okropnej niepewności przemknął po pomarszczonej twarzy cioci Ethel.

— Chyba nie pomyliłam się i nie podeszłam do innej rodziny?

— Nie. Nie. Nie pomyliła się pani. — Zaczerwienił się nieznacznie, zażenowany tym spotkaniem i jej niezwykłą aparycją. — Witam panią. Ja jestem Ambrose, a to jest moja matka, Dolly Keeling.

— Tak właśnie myślałam. Czekam tu już całe wieki — trajkotała dalej. Włosy miała ufarbowane na rudo, a jej szaleńczy makijaż był zrobiony na chybił trafił, tak jakby malowała się z zamkniętymi oczami. Poczernione brwi sprawiały wrażenie niesymetrycznych, a ciemnoczerwona szminka zaczynała się już roztopiać i spływać pomiędzy zmarszczki wokół ust. — Przeważnie spóźniam się na wszystko, więc dzisiaj specjalnie zrobiłam wielki wysiłek, no i oczywiście przyszłam o wiele za wcześnie. — Nagle wyraz jej twarzy zmienił się na głęboko tragiczny. Była jak mały kłown, jak małopka kataryniarza. — Moja droga, czyż to nie cholerny pech, że Lawrence dostał bronchitu? Biedak będzie taki rozczarowany.

— Tak — odparła Dolly słabym głosem. — My także jesteśmy niepokieszeni, bo mieliśmy nadzieję go poznać.

— Zawsze bardzo lubił wpaść do Londynu. Każdy pretekst był dobry...

W tym momencie tak wrzasnęła, że Dolly o mało nie wyskoczyła ze skóry, i zaczęła machać rękami w powietrzu. Dolly zobaczyła taksówkę, nadjeżdżającą z drugiej strony, a z niej po chwili wynurzyła się Penelopa i — przypuszczalnie — państwo Clifford. Wszyscy się śmiali, a Penelopa wyglądała na całkowicie rozluźnioną, jakby zbliżająca się uroczystość nie robiła na niej żadnego wrażenia.

— Witajcie! Jesteśmy już wszyscy. Idealnie na czas. Ciociu Ethel, ogromnie się cieszę, że cię widzę... Ambrose, jak się masz? — Pocałowała go króciutko w policzek. — Nie poznałeś jeszcze państwa Clifford, prawda? Profesorostwo Clifford, Piotr i Elżbieta. A to jest matka Ambrose.

Podając sobie ręce, wszyscy powtarzali z uśmiechem konwencjonalną formułkę: „Bardzo mi miło”. Dolly też się uśmiechała i była czarująca, podczas gdy jej oczy, przeskakując z jednej osoby na drugą, obserwowały dokładnie, nie opuszczając żadnego szczegółu, dokonując natychmiastowej oceny.

Penelopa wyglądała, jakby miała na sobie fantastyczny kostium, a jednak, co doprowadzało Dolly do szału, zdecydowanie pięknie — oszałamiająco i bardzo oryginalnie. Była tak bardzo wysoka i szczupła, a długa, luźna, kremowa suknia (dziedziczna — pomyślała Dolly), podkreślała jeszcze tę, pozazdrośczenia godną, elegancję. Włosy miała upięte w luźny węzeł tuż nad szyją, a na głowie — ogromny, słomkowy kapelusz, w odcieniu ostrej, intensywnej zieleni, przybrany stokrotkami.

NaTomiasz pani Clifford wyglądała jak emerytowana guwernantka, przypuszczalnie ogromnie zdolna, wybitny umysł, ale ubrana niestaranie.

Profesor był nieco bardziej elegancki (ale mężczyznom zawsze jest łatwiej dobrze się ubrać), miał na sobie ciemnopopielaty, flanelowy garnitur, w drobne prążki i niebieską koszulę. Był wysoki i chudy, z zapadniętymi policzkami, ale o bardzo regularnych rysach. Należał do mężczyzn, którzy mogą się podobać. Dolly nie była zresztą jedyną, która tak uważała. Kątem oka obserwowała, jak ciocia Ethel witała się z nim, wieszając się mu na szyi i kopiąc swoimi krótkimi nogami jak subretka z komedii muzycznej. Zastanawiała się, czy ciocia Ethel nie jest jednak trochę zwariowana i miała nadzieję, że to nie jest cecha dziedziczna w tej rodzinie.

W końcu Ambrose przywołał wszystkich do porządku, mówiąc, że muszą już teraz wejść, bo inaczej on i Penelopa przegapią wyznaczoną godzinę i przypadnie ich kolej. Ciocia Ethel poprawiła swój beret i wszyscy wmaszerowali do środka. Ceremonia trwała bardzo krótko. Dolly nie zdążyła nawet wyciągnąć swojej koronkowej chusteczki i przy-

łożyć jej do kącików oczu. Następnie całe towarzystwo udało się do restauracji w Hotelu Ritz, gdzie, wedle instrukcji przekazanych z Kornwalii, Piotr Clifford zarezerwował stół na lunch.

Nic tak nie wpływa na stworzenie dobrego nastroju jak smaczne jedzenie i duże ilości szampana, serwowanego przez pełnego wdzięku i światowego gospodarza. Wszyscy, nawet Dolly, odprężyli się i zaczęli się dobrze bawić, mimo że ciocia Ethel paliła jeden papieros za drugim i opowiadała bez przerwy podejrzone anegdotki, rycząc ze śmiechu na długo przed dojściem do pointy. Jednakże profesor był uroczy i poświęcał Dolly wiele uwagi, prawił jej komplementy, a pani Clifford zdawała się naprawdę interesować życiem w Hotelu Coombe i chciała usłyszeć jak najwięcej o jego mieszkańcach. Dolly opowiedziała jej więc o wszystkich, wymieniając kilkakrotnie nazwisko lady Beamish. Penelopa zdjęła swój wściekle zielony kapelusz i zawiesiła go na krześle, a kochany Ambrose wstał i wygłosił wzruszającą mowę, nazywając Penelopę swoją żoną, na co wszyscy zareagowali oklaskami. Ogólnie rzecz biorąc, było to udane przyjęcie i kiedy dobiegło końca, Dolly czuła, że zyskała dobrych przyjaciół.

Ale wszystko co miłe, szybko się kończy i wreszcie przyszedł czas, kiedy musieli, acz niechętnie pozbierać swoje rzeczy, odsunąć połączane krzeselka, wstać i udać się, każdy w swoim kierunku — Dolly na ulicę Basil, państwo Clifford na popołudniowy koncert do Albert Hall, ciocia Ethel do Putney, a młoda para na ulicę Oakley.

To właśnie wtedy, kiedy wszyscy stali w holu hotelowym, lekko podchmieleni, czekając na taksówki, które miały rozwieźć ich w różne strony, wydarzyło się coś, co miało przesądzić o fatalnych stosunkach Penelopy z teściową. Dolly, rozrzewniona szampanem, czując się tkliwie i wspaniałomyślnie, wzięła dłonie Penelopy w swoje własne i patrząc na nią, powiedziała:

— Moja droga, teraz, kiedy jesteś już żoną Ambrose, chciałabym, żebyś mówiła do mnie Marjorie.

Penelopa zamrugała oczami ze zdumienia. Wydawało jej się bardzo dziwne, żeby nazywać swoją teściową Marjorie, kiedy powszechnie było wiadomo, że ma ona na imię Dolly. Ale, skoro tak chciała...

— Dziękuję bardzo. Tak, oczywiście, że tak cię będę nazywać.

Pochyliła się i pocałowała miękki, wyperfumowany policzek, ofiarowany z taką gracją.

Tak więc przez rok zwracała się do niej, używając imienia Marjorie. W liście z podziękowaniem za prezent urodzinowy pisała *Droga Marjorie...* albo dzwoniąc do Hotelu Coombe, żeby przekazać wiadomości od Ambrose, mówiła: „Halo, Marjorie, tu mówi Penelopa”.

Dopiero po upływie wielu miesięcy, kiedy było już za późno, żeby naprawić sytuację, zdała sobie sprawę, że wtedy, w foyer Hotelu Ritz,

Dolly naprawdę powiedziała: — Moja droga, chciałabym, żebyś nazywała mnie mądre.⁰

f

W niedzielę rano Ambrose zawiózł Penelopę na stację Paddington, gdzie miała wsiąść do pociągu „Riviera”, jadącego do Kornwalii. Pociąg, jak zwykle, pękał w szwach, roiło się od żołnierzy i marynarzy i wszędzie upchane były żołnierskie plecaki, maski gazowe i cynowe hełmy. Nie było możliwości zarezerwowania miejsca, ale Ambrose znalazł wolny kąt i zwałił tam jej bagaż, tak żeby nikt go nie zajął.

Wrócili na peron, aby się pożegnać. Trudno było znaleźć słowa, poczuli się obco, bo nagle znaleźli się w całkiem nowej sytuacji, byli mężem i żoną, a żadne z nich nie wiedziało, czego się od niego oczekuje. Ambrose zapalił papierosa i stał rozglądając się po peronie i zerkając na zegarek. Penelopa marzyła, żeby zawiadowca już zagwizdał, żeby pociąg już ruszył, żeby już było po wszystkim.

Powiedziała dość gwałtownie:

— Nienawidzę pożegnań.

— Będziesz się musiała do nich przyzwyczaić.

— Nie wiem, kiedy znowu cię zobaczę. Za miesiąc, kiedy wrócę do Portsmouth po moje zwolnienie, ciebie już tam nie będzie?

— Najprawdopodobniej.

— Gdzie cię wyślą?

— To zagadka. Może Atlantyk, może Morze Śródziemne.

— Morze Śródziemne byłoby fajne. Przynajmniej dużo słońca.

— Tak.

Znowu przerwa.

— Tak bardzo chciałam, żeby papa i Sophie mogli być wczoraj z nami i żebyś ich poznał.

— Kiedy dostanę jakiś przyzwoity urlop, może przyjadę do Kornwalii na parę dni.

— Zrób tak, koniecznie.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Chodzi mi o dziecko. Zarumieniła się.

— Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku.

Znowu spojrział na zegarek. Powiedziała nieco rozpaczliwym tonem:

— Napisz do ciebie. Ty musisz...

Ale właśnie w tym momencie gwizdek zawiadowcy przeszył powietrze. Od razu wybuchło małe zamieszanie, typowe dla tego momentu. Drzwi trzaskały, słychać było podniesione głosy, jakiś człowiek biegł pędem, wskakując do pociągu w ostatniej chwili. Ambrose rzucił papierosa, zgasił go rozgniatając obcasem i pochylił się, żeby pocałować

swoją żonę. Wsadził ją do pociągu i zamknął za nią drzwi. **Opuściła okno** i wychyliła się. Pociąg ruszył.

— Napisz mi swój nowy adres, Ambrose, dobrze?

Naraz straszna myśl przyszła mu do głowy.

— Ja nie znam twojego adresu!

Zaczęła się śmiać. Biegł teraz obok, równo z pociągiem.

— Carn Cottage — krzyknęła, starając się przekrzyknąć turkot kół.

— Carn Cottage, Porthkerris.

Pociąg nabierał prędkości, więc Ambrose zrezygnował z pościgu.

Stanął, machając do niej ręką. Pociąg wszedł w zakręt i wypuszczając ogromne kłęby pary, zniknął mu z oczu. Pojechała. Odwrócił się i poszedł z powrotem wzdłuż opustoszałego peronu.

Carn Cottage. Dwór w stylu elżbietańskim, który sobie wymarzył, jacht na rzece Helford — rozmyły się i zniknęły na zawsze. Carn Cottage. Z rozczarowaniem stwierdził, że to brzmiało bardzo zwyczajnie i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób został jednak oszukany.

Ale cóż. Ona wyjechała. Jego matka wróciła już bezpiecznie do Devon i, bez większej awantury, miał to za sobą. Teraz musiał tylko pojechać samochodem do Portsmouth i zgłosić się na służbę. Może było to dziwne, lecz idąc powoli w kierunku parkingu, zdał sobie sprawę, że z przyjemnością myślał o powrocie do życia w wojsku, do swoich kolegów. Mimo wszystko, na ogół było o wiele łatwiej mieć do czynienia z mężczyznami niż z kobietami.

W parę dni później, dziesiątego maja, Niemcy zaatakowały Francję i wojna zaczęła się na dobre.

ROZDZIAŁ 9

SOPHIE

Kiedy zobaczyli się znowu, był już początek listopada. Po wielu miesiącach rozłąki, nagle — niespodziewany telefon. Ambrose dzwonił z Liverpoolu. Dostał parę dni urlopu, wsiada do pierwszego pociągu, który uda mu się złapać i przyjeżdża do Carn Cottage na weekend.

Przyjechał, był kilka dni i znowu wyjechał. Niestety, z powodu całego szeregu niesprzyjających okoliczności jego wizyta okazała się zupełną katastrofą. Po pierwsze, padał deszcz. Lało bez przerwy trzy dni. Po drugie — w tym czasie do Carn Cottage przyjechała ciocia Ethel, która nigdy nie należała do taktownych ani łatwych we współżyciu gości. Inne przyczyny były zbyt liczne i zbyt przygnębiające, żeby warto je wliczyć i analizować.

Kiedy już było po wszystkim i Ambrose wrócił na swój niszczyciel, Penelopa zdecydowała, że jeśli będzie o tym myśleć, załamie się, a więc z typową dla młodego wieku niefrasobliwością połączoną z nastrojami towarzyszącymi zaawansowanej ciąży, wykreśliła cały ten niewesoły epizod z pamięci. Było zbyt wiele, znacznie ważniejszych, spraw do załatwienia.

Dzidzius przyszedł na świat dokładnie w przewidzianym terminie, w końcu listopada. Dziewczynka nie urodziła się, tak jak kiedyś jej matka, w Carn Cottage, tylko w małym szpitaliku w Porthkerris. Odbył się to tak szybko, że kiedy przyjechał lekarz, było już po wszystkim. Tak więc Penelopa i siostra Rogers musiały sobie radzić same. Co też i zrobiły, całkiem sprawnie i bez specjalnych trudności. Kiedy siostra Rogers doprowadziła już Penelopę do porządku, wzięła dzidziusia, żeby go umyć i ubrać w maleńki kaftanik, na to włożyła koszulkę i otulić szalem z szetlandzkiej wełny, który Sophie — co się rozumie samo przez się — wydobyla z jakiejś szuflady, pachnącej mocno naftaliną.

Penelopa zawsze miała swoją własną teorię na temat niemowląt. Nigdy dotychczas nie miała z nimi do czynienia, nawet nigdy nie miała malutkiego dziecka na rękach, ale wierzyła święcie, że kiedy tylko zobaczy się swoje dziecko po raz pierwszy, natychmiast się je rozpoznaje. Ależ tak, oczywiście, powie się wtedy, odsuwając delikatnie wskazującym palcem szal, którym jest otulone i wpatrując się w maleńką nową twarzączkę, ależ oczywiście. To ty.

Lecz tak się nie stało. Kiedy siostra Rogers w końcu wróciła, niosąc niemowlę z taką dumą, jakby sama je przed chwilą urodziła, i czule złożyła maleństwo w oczekujące ramiona matki, Penelopa spojrzała na nie z niedowierzaniem i zrobiło jej się jakoś dziwnie. Grube, o bardzo jasnej karnacji i włoskach, z blisko osadzonymi, bławatkowymi oczami oraz ogromnymi, pyzatymi policzkami dziecko nie przypominało jej nikogo z rodziny. Dziewczynka na pewno nie była podobna do żadnego ze swoich rodziców ani do Dolly Keeling, a jeśli chodzi o Sternów, również dobrze mogła nie mieć ani kropli ich krwi w żyłach.

— Czyż to nie piękność? — rozczuła się siostra Rogers, pochylając się nad łóżkiem i gruchając do dzidziusia.

— Tak — przyznała Penelopa słabym głosem. Gdyby w tym czasie w szpitaliku, znajdowały się inne matki, byłyby się upierała, że nastąpiła jakaś pomyłka i że przyniesiono jej cudze dziecko, ale ponieważ była jedyną położnicą w całym budynku, więc raczej nie mogło być o tym mowy.

— Popatrz na te niebieściutkie oczka! Jest jak kwiatusek. Zostawię cię z nią na chwileczkę i pójdę zadzwonić do twojej matki.

Ale Penelopa nie chciała zostać sama z dzidziusiem. Nie wiedziała, co ma z nim robić.

— Nie. Proszę ją zabrać, siostró. Mogłabym jeszcze ją upuścić albo zrobić coś równie okropnego.

Siostra taktownie nie próbowała temu zaprzeczyć. Niektóre młode matki potrafią być dziwne, a, chwalić Boga, widziała ich już parę.

— W porządku — zagarnęła małe, wełniane zawiniątko w swoje ramiona. — Kto jest moim kochanym maleństwem? — zapytała. — Kto jest małym pieścioszkiem siostry? — i szeleszcząc nakrochmalonym fartuchem, wyszła z pokoju.

Penelopa, wdzięczna, że pozbyła się tej pary, oparła się na poduszkach. Leżała, wpatrując się w sufit. Miała dziecko. Była matką. Była matką dziecka Ambrose Keelinga.

Ambrose.

Odkryła, ku swemu przerażeniu, że nie jest już w stanie dłużej udawać przed sobą, iż nie pamięta o wydarzeniach, które miały miejsce w czasie tego okropnego weekendu, skazanego na niepowodzenie, zanim się zaczął, choćby dlatego, że przygotowania do przyjazdu Ambrose stały się

przyczyną jedynej prawdziwej awantury i kłótni, jaką Penelopa kiedykolwiek miała ze swoją matką. Penelopa i ciocia Ethel wyszły razem na całe popołudnie. Były na herbacie u jakiejś bardzo wiekowej przyjaciółki cioci, która mieszkała w Penzance. Kiedy wróciły do Carn Cottage, Sophie, zachwycona, poinformowała Penelopę, że ma dla niej śliczną niespodziankę na górze. Posłusznie poszła za matką do swojego pokoju i tam zobaczyła, zamiast swojego ukochanego łóżka, nowe, monstrualne, podwójne łoże, które zajmowało prawie całą przestrzeń. Nigdy przedtem się nie kłóciły, ale w porywie nietypowego dla niej gniewu Penelopa straciła panowanie nad sobą i powiedziała Sophie, że nie miała prawa, że to była jej sypialnia i jej łóżko. I że to wcale nie jest śliczna niespodzianka, tylko okropna niespodzianka. Nie chciała podwójnego łoża, było ohydne i nie będzie w nim spała.

Na to gorący galijski temperament Sophie dał znać o sobie i Sophie zawrzała oburzeniem, dorównując córce. Nie można się spodziewać, żeby mężczyzna, który dzielnie walczył na wojnie, miał kochać się ze swoją żoną w pojedynczym, wąskim łóżku. Co Penelopa sobie właściwie myśli? Jest już teraz mężatką, nie małą dziewczynką. To już nie jest jej sypialnia, to jest ich sypialnia. Jak mogła być tak dziecinna? W odpowiedzi Penelopa rozpłakała się i zaczęła krzyczeć za złością, że jest w ciąży i że wcale nie chce żadnego kochania się, i w końcu obie wrzeszczały na siebie jak para przekupek na targu.

Nigdy przedtem nie było takiej awantury. Wszyscy bardzo się tym przejęli. Papa był wściekły i na Sohpie, i na Penelopę, a pozostali domownicy chodzili na palcach, jakby za chwilę miał nastąpić wybuch. W końcu, oczywiście się pogodzili, przeprosili i pocałowali, nikt już więcej o tym nie wspominał, ale nie wróżyło to niczego dobrego, jeśli chodzi o wizytę Ambrose. W rzeczy samej, patrząc z perspektywy minionego czasu, przyczyniło się to dość znacznie do ostatecznej katastrofy.

Ambrose. Była żoną Ambrose.

Wargi Penelopy zdrzały. Poczuła, jak wielka kula rośnie jej w gardle. Łzy zakręciły jej się w oczach i zaczęły spływać po policzkach i na poduszkę, tworząc na niej mokrą plamę. Gdy raz już zaczęła, nie mogła przestać. Tak jakby wszystkie nie wylane łzy z wielu lat zebrały się razem. Ciągle jeszcze płakała, kiedy jej matka przyszła. Sophie wpadła do szpitalnego pokoju, pełna energii i radości. Miała na sobie rdzawoczerwone płócienne spodnie i rybacki sweter, bo tak właśnie była ubrana, gdy zadzwoniła siostra Rogers. W rękach trzymała ogromny bukiet michałków, zebranych pośpiesznie po drodze z kwietnika wzdłuż ścieżki.

— Kochanie, co za dzielna dziewczyna z ciebie, i to w tak krótkim czasie... — Upuściła kwiaty na krzesło i podeszła uściskać swoje dziecko.
— Siostra Rogers mówiła... — zamilkła. Radość zniknęła z jej twarzy,

a zastąpił ją wyraz głębokiej troski. — Penelopo — usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po dłoń Penelopy. — Moja kochana, co się stało? Dlaczego płaczesz? Czy to było takie trudne, takie ciężkie?

Nie mogąc nic powiedzieć z powodu łez, Penelopa potrząsnęła przecząco głową. Lało jej się z nosa, twarz miała spuchniętą i czerwoną.

— Masz. — Sophie, zawsze praktyczna, podała jej czystą, pachnącą chusteczkę. — Wytrzymaj nos i osusz buzię z łez.

Penelopa wzięła chusteczkę. Od razu poczuła się odrobinę lepiej. Sam fakt, że Sophie była przy niej, siedziała tuż obok, znacznie poprawiał sytuację. Kiedy już wysiękała nos i wytarła twarz, spróbowała się podciągnąć do pozycji siedzącej. Sophie poprawiła poduszki, poklepała ją i przewróciła na drugą stronę, tak żeby te nasiąknięte łzami mokre plamy znalazły się na spodzie.

— A teraz, powiedz mi, co się stało? Nic złego nie dzieje się z dzidziusiem?

— Nie, nie. To nie dotyczy dzidziusia.

— No to, o co chodzi?

— Och, Sophie, to Ambrose. Nie kocham go. Nigdy nie powinnam była wychodzić za niego za męża.

Stało się. Zostało powiedziane. Penelopa poczuła ogromną ulgę. Spojrzała na matkę. Wyraz oczu Sophie był poważny, ale, jak zawsze, nie była ani zdziwiona, ani zaszokowana. Po prostu siedziała w milczeniu przez chwilę, a potem wyszeptała do siebie: „Ambrose”, jak gdyby to imię stanowiło odpowiedź na nie rozwiązana zagadkę.

— Tak. Teraz już wiem. To wszystko była potworna pomyłka — powtórzyła Penelopa.

— Kiedy zdałaś sobie z tego sprawę?

— W czasie tego weekendu. Już kiedy wysiadł z pociągu i szedł peronem w moim kierunku, miałam złe przeczucie. Odniosłam takie wrażenie, jakbym widziała kogoś obcego, kto się do mnie zbliża i kogo w dodatku wcale nie mam ochoty spotkać. Nie spodziewałam się, że to tak będzie. Czułam się trochę onieśmielona, mając go spotkać znowu po tylu miesiącach, ale nigdy nie rrvślałam, że to będzie właśnie tak. Kiedy jechaliśmy do Carn Cottage, on siedział obok mnie, deszcz lał strumieniami, a ja próbowałam udawać, że to nic — ot, takie skrępowanie między nami, naturalne po długim niewidzeniu się. Ale w momencie, kiedy wszedł do Carn Cottage, wiedziałam, że to beznadziejne. On nie pasował. Wszystko było nie tak. Jak gdyby dom go odrzucił, bo on był całkiem nie taki jak trzeba. A potem zaczęło już być coraz gorzej i gorzej.

— Mam nadzieję, że to nie miało nic wspólnego ze mną ani z papą — odrzekła Sophie.

— Nie. Nic a nic — pośpieszyła zapewnić ją Penelopa. — Byliście anielscy dla niego, oboje. To ja byłam dla niego okropna. Ale nie mogłam

nic na to poradzić. On był taki nudny. To było tak, jakby się miało u siebie w gościnie jakiegoś okropnego nieznanego. Wiesz, coś w rodzaju takiej sytuacji, kiedy ktoś znajomy mówi pan Iksiński będzie akurat w waszej okolicy, bądźcie tacy mili i zaprosicie go. No i zaprasza się go na weekend i jest się dla niego bardzo uprzejmym, a wynika z tego koszmar przytłaczającej nudy. Wiem, że cały czas padało, ale to nie powinno być mieć znaczenia. To on był temu winien. Był taki nieinteresujący, taki bezużyteczny. Czy wiesz, że on nawet nie potrafił wyczyścić sobie sam butów? Nigdy nie wyczyścił sobie sam butów. A poza tym był taki gburowaty dla Doris i dla Erniego, a chłopców uważał za jakichś uliczników. On jest snobem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy siadaliśmy razem do stołu. Nie mógł pojąć, dlaczego Doris, Roland i Clark nie zostali wygnani do kuchni. Chyba to wzburzyło i zmartwiło mnie najbardziej. Nigdy nie przypuszczałam, że on — że ktokolwiek, jeśli już o to chodzi — może tak myśleć, może tak mówić, może być tak pełen nienawiści.

— Żeby sprawiedliwości stało się zadość, kochanie, to trzeba powiedzieć, że nie możesz go obwiniać za jego poglądy. Tak został wychowany. To może my nie jesteśmy całkiem w normie. Zawsze mieliśmy zupełnie inne obyczaje domowe niż większość ludzi.

Ale Penelopa nie dała się pocieszyć.

— Zresztą, to nie tylko on stanowił problem. Tak jak już mówiłam, ja również się do tego przyczyniłam. Zachowywałam się strasznie względem niego. Nawet nie wiedziałam, że potrafię być tak okropna. Nie chciałam, żeby on tam był. Nie chciałam, żeby mnie dotykał. Nie chciałam z nim spać.

— W tym stanie, w jakim wtedy byłaś, nie było w tym nic dziwnego.

— On nie uważał, że to coś dziwnego, ale był po prostu wściekły i rozżalony. — Wpatrywała się w Sophie z pewną rozpaczą. — To wszystko moja wina. Powiedziałaś mi, żebym za niego nie wychodziła, jeśli go naprawdę nie kocham, a ja cię nie posłuchałam. Ale wiem jedno, że jeśli przyjechałabym z nim do Carn Cottage i przedstawiła go wam, zanim zaręczyliśmy się, wtedy nigdy w życiu nie wyszłabym za niego.

Sophie westchnęła.

— Tak. To niedobrze, że nie było na to czasu. Tak samo niefortunnie się złożyło, że nie mogliśmy być na waszym ślubie. Być może, nawet w ostatniej chwili zmieniłabyś zdanie i wycofała się z tego. Ale nie ma co oglądać się za siebie. Za późno.

— Nie polubiliście go, prawda, Sophie? Ani ty, ani papa? Czy myśleliście, że ja zwariowałam?

— Nie. Nie myśleliśmy tak.

— Co ja mam zrobić?

— Kochanie, w tym momencie nic nie możesz zrobić. No, może dorosnąć trochę. Nie jesteś już dzieckiem. Masz teraz obowiązki, masz własne dziecko. Jesteśmy w środku tej koszarnej wojny i twój mąż jest na morzu w konwojach atlantyckich. Nie można zrobić nic innego, jak zaakceptować tę sytuację i żyć dalej. Poza tym — uśmiechnęła się pocieszająco — przyjechał cię odwiedzić w niedobrym czasie. Ten ciągły deszcz, a także ciocia Ethel, która była wtedy z nami, pałac bez przerwy papierosy, popijając gin i robiąc jak zwykle szokujące i ordynarne uwagi. A jeśli chodzi o ciebie, to musisz wiedzieć, że żadna kobieta nie jest całkiem sobą, kiedy jest w ciąży. Może kiedy zobaczysz go następnym razem, będzie inaczej.

— Ale Sophie, tak się okropnie wygłupiłam, zrobiłam z siebie idiotkę.

— Nie. Byłaś po prostu bardzo młoda i zaplątałaś się w sytuację, która była zbyt trudna. A teraz, proszę, zrób to dla mnie, głowa do góry i uśmiechnij się! Zadzwoń, niech siostra Rogers przyniesie mi moją pierwszą wnuczkę. Chcę ją zobaczyć. Zapomnij, że ta rozmowa w ogóle kiedykolwiek się odbyła.

— Czy powiesz papie?

— Nie. To by go zmartwiło. Nie chcę, żeby on się martwił.

— Ale ty nigdy nie masz przed nim sekretów.

— Ten zachowam.

Nie tylko Penelopa była zaskoczona wyglądem dzidziusia. Kiedy następnego dnia Lawrence przyszedł go zobaczyć, był równie zdziwiony.

— Kochanie, do kogo ona jest podobna?

— Nie mam pojęcia.

— Jest bardzo słodka, ale nie wydaje się mieć nic wspólnego z tobą, ani ze swoim ojcem. Może przypomina matkę Ambrose?

— W żadnym wypadku. Myślę, że chyba odezwał się w niej jakiś praprapraprzodek sprzed wielu pokoleń, którego jest wierną kopią. W każdym razie, dla mnie jest to tajemnica.

— Nieważne, grunt że urodziła się w pełnym ryzsztunku, z wszystkim co trzeba.

— Czy Keelingowie zostali powiadomieni?

— Tak. Wysłałem telegram na statek Ambrose, a Sophie zadzwoniła do jego matki do hotelu.

Penelopa uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

— Kochana, dzielna Sophie. I cóż Doiły Keeling miała do powiedzenia?

— Podobno była zachwycona. Zawsze miała nadzieję, że to będzie dziewczynka.

— Ale ona rozповіда wszystkim swoim przyjaciółkom oraz lady Beamish, że to siedmiomiesięczne dziecko.

— No cóż, jeśli pozory tak wiele dla niej znaczą, to w końcu co to szkodzi? — Lawrence zawahał się przez chwilę, a potem mówił dalej. — Powiedziała też, że to byłoby cudownie, gdyby dziecko mogło się nazywać Nancy.

— Nancy? Skąd ona wytrzasnęła to imię?

— To było imię jej matki. To mógłby być dobry pomysł. Rozumiesz — tu zrobił wymowny gest ręką — pomogłoby załagodzić istniejące napięcia.

— Dobra, nazwiemy ją Nancy. — Penelopa usiadła, żeby móc zerknąć na twarz dziecka. — A wiesz, że nawet całkiem dobrze do niej pasuje.

Lawrence jednak był o wiele bardziej zaniepokojony zachowaniem dzidziusia niż jego imieniem.

— Nie będzie ryczeć cały czas, co? Nie mogę znieść ryczących niemowląt.

— Oczywiście, że nie, papo. Jest bardzo spokojna. Po prostu je swoją mamę, potem śpi, a potem się budzi i znów je mamę.

— Mały ludożerca.

— Czy myślisz, że będzie ładna, papo? Zawsze miałeś dobre oko, jeśli idzie o ładne dziewczęta.

— Będzie w porządku. To będzie Renoir. Jasna i rozkwitająca jak róża.

Większość przesiedleńców, nie mogąc znieść swojego wygnania ani chwili dłużej, wróciła do Londynu, pojedynczo lub grupkami, ale Doris, Ronald i Clark zostali i byli teraz stałymi mieszkańcami Carn Cottage, gdzie uważano ich już za członków rodziny. W czerwcu, podczas wycofywania się Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z Francji, mąż Doris, Bert, został zabity. Wiadomość o tym przywiózł chłopiec rozwożący telegramy. Przyjechał na rowerze z Głównej Poczty w Porthkeris. Otworzył bramkę w murze i pogwizdując szedł przez ogród aż do miejsca, gdzie Sophie i Penelopa pracowały w pocie czoła, plewiąc grządki z kwiatkami rosnącymi wzdłuż ścieżki.

— Telegram do pani Potter.

Sophie, z rękami brudnymi od ziemi, z włosami w nieładzie wyprostowała się z takim wyrazem twarzy, jakiego Penelopa nigdy jeszcze u niej nie widziała.

— Ach, mon Dieu — westchnęła cicho.

Wzięta pomarszczoną kopertę i chłopiec odszedł. Bramka w murze trzasnęła zamykając się za nim.

— Sophie?

— To na pewno jakaś wiadomość o jej mężu.

— Co mamy robić? — wyszeptała po chwili milczenia Penelopa.

Sophie nie odpowiedziała. Po prostu wytarła rękę o spodnie i otworzyła kopertę, podważając brzeg swoim czarnym paznokciem. Wyjęła list i przeczytała, a potem złożyła kartkę i włożyła ją z powrotem do koperty.

— Tak — powiedziała. — On nie żyje. Gdzie jest Doris? — zapytała, wstając.

— Wiesz pranie z tyłu domu.

— A chłopcy?

— Wrócą ze szkoły lada moment.

— Muszę jej o tym powiedzieć, zanim oni wrócą. Jeśli nie będzie mnie tu z powrotem, gdy oni przyjdą, zajmij ich czymś. Ona musi mieć trochę czasu. Trzeba dać jej chwilę, zanim im o tym powie.

— Biedna Doris. — To zabrzmiało tak sucho, tak banalnie, że aż idiotycznie, aż bolało, ale cóż innego można było powiedzieć?

— Tak. Biedna Doris.

— Co ona teraz zrobi?

Tymczasem Doris zachowała się bardzo dzielnie. Płakała oczywiście, a dając upust bólowi i wściekłości wykrzyczała coś w rodzaju tyrady skierowanej przeciwko swojemu młodemu mężowi, który był takim cholernym idiotą, że dał się zabić. Ale po tym wybuchu żalu i złości wzięła się w garść. Razem z Sophie usiadły przy kuchennym stole, popijając mocną, gorącą herbatę na pocieszenie i teraz już wszystkie myśli skierowała ku swoim synom.

— Biedni smarkacze, co oni będą mieć za życie bez taty?

— Dzieci są bardziej odporne, niż myślisz.

— Ale jak ja sobie, do cholery, dam radę?

— Dasz sobie radę, zobaczysz.

— Przypuszczam, że powinnam wrócić do Hackney. Mama Berta... Cóż, może będę jej potrzebna. Będzie chciała zobaczyć chłopców.

— Myślę, że powinnaś pojechać. Sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku, czy się dobrze miewa. Jeśli zobaczysz, że jakoś sobie radzi, to myślę, że powinnaś wrócić do nas. Chłopcom tu jest dobrze, mają tu już swoich kolegów, byłoby okrucieństwem przenosić ich teraz. Trzeba im zapewnić poczucie bezpieczeństwa, na ile tylko to możliwe.

Doris wpatrywała się w Sophie. Pociągnęła nosem. Przystała płakać, lecz jej twarz była jeszcze spuchnięta i zaczerwieniona.

— Ale przecież nie mogę tu zostać, tak po prostu, na czas nieokreślony.

— A dlaczego nie? Jest ci z nami dobrze.

— Nie mówisz tak tylko z grzeczności?

— Moja kochana Doris, nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. A chłopcy są jak nasze własne dzieci. Okropnie byśmy za wami tęsknili, gdybyście nas opuścili.

Doris zastanawiała się przez chwilę.

— Bardzo chciałabym tu zostać. Nigdy nie byłam taka szczęśliwa jak tutaj. A teraz, kiedy Berta już nie ma... — jej oczy znów napełniły się łzami.

— Nie płacz, Doris. Chłopcy nie mogą zobaczyć cię płaczącą. Musisz im pokazać, jak być dzielny. Powiedz im, żeby byli dumni ze swojego ojca, który zginął za słuszną sprawę, żeby wyzwolić tych biednych ludzi w Europie. Naucz ich być tak dobrymi ludźmi, jak ich ojciec.

— On wcale nie był taki znów dobry. Czasami była z niego cholerna zaraza — cień uśmiechu ukazał się na zalanej łzami twarzy Doris. — Na przykład, kiedy wracał do domu z meczu pijany i padał na łóżko w butach.

— Nie zapominaj o tym — powiedziała jej Sophie. — Wszystkie wspomnienia są ważne. Dobrze jest pamiętać i te dobre strony i te złe. W końcu na tym właśnie polega życie.

Tak więc Doris została. A kiedy urodził się dzidzius Penelopy, nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć. Mała dziewczynka. Doris zawsze marzyła o córeczce, a teraz, kiedy Bert zginął, nie wyglądało na to, żeby mogła jeszcze mieć córkę. A ten dzidzius... Była jedyną osobą z ich rodzinnego grona, która momentalnie zwariowała na jego punkcie.

— Ooooch, ona jest prześliczna!

— Tak myślisz?

— Penelopo, ona jest piękna. Czy mogę ją potrzymać?

— Oczywiście.

Doris pochyliła się i wzięła dziecko w swoje doświadczone i bardzo sprawne ręce. Wpatrywała się w małą dziewczynkę z takim wyrazem uwielbienia i macierzyńskiej troskliwości, że Penelopa poczuła się nieco zawstydzona, bo wiedziała, że nie jest zdolna do tak bezgranicznej czułości.

— Nikt z nas nie wie, do kogo ona jest podobna.

Ale Doris wiedziała. Doris wiedziała dokładnie, do kogo ona jest podobna.

— Ona jest po prostu wierną kopią Betty Grabie.

Gdy tylko matka i dziecko wróciły do Carn Cottage, Doris prawie całkowicie przejęła opiekę nad Nancy, a Penelopa uciszała — słabe zresztą — wyrzuty sumienia, mówiąc sobie, że przecież wyświadcza Doris przysługę i, w gruncie rzeczy, była bardzo zadowolona, że może skorzystać z jej pomocy. To Doris kąpała Nancy i prała jej pieluchy, a kiedy Penelopę znudziło już karmienie piersią, Doris przygotowywała butelki i karmiła niemowlę sama, siedząc na niskim krześle w kuchni albo przy kominku w salonie. Ronald i Clark też okazывali malutkiej wiele serdeczności i przyprowadzali swoich kolegów szkolnych do domu, żeby podziwiali nowego mieszkańca.

Nancy rozwijała się wspaniale. Wyrosły jej zęby i włosy, robiła się coraz grubsza. Zima powoli mijała, więc Sophie wyciągnęła stary wózek Penelopy z szopy z narzędziami. Miał wysokie koła i zrobione z rzemyków zawieszenie. Doris wyczyściła go i wypolerowała, i z pewną dumą pchała go w górę i w dół, po uliczkach w Porthkerris, zatrzymując się wiele razy, żeby pokazać dziecko wszystkim przechodniom, którzy byli nim zainteresowani, a także sporej liczbie tych, którzy nie byli.

Nancy rzeczywiście miała łagodne i spokojnie usposobienie. Leżała w wózku w ogrodzie albo śpiąc, albo obserwując przepływające obłoki czy też gałązki kwitnącej czereśni, poruszające się na wietrze. Kiedy nadeszła już wiosna i kwiecie opadło, jej kocyki obsypane były białymi płatkami. Wkrótce leżała już na kocyku, sięgając po pobrzękującą grzechotkę, a potem już siedziała, uderzając dwoma spinaczami do bielizny jeden o drugi.

Dostarczała wielu zabawnych momentów Sophie i Lawrence'owi, a dla Doris była źródłem pociechy i radości. Lecz Penelopa, choć przykładowie bawiła się z dzieckiem, spełniając swój obowiązek, budując domki z klocków i obracając strony wysłużonych książek z obrazkami, w skrytości duszy stwierdziła, że to niemowlę jest okropnie nudne.

Tymczasem poza granicami ich małego domowego światka echa burzy wojennej rozlegały się coraz głośniejsze, ciemne chmury zbierały się i tempo wydarzeń było coraz szybsze. Europa znalazła się pod okupacją, ukochana Francja Lawrence'a została zajęta i nie było dnia, żeby nie niepokoił się o jej losy i nie obawiał się o swoich przyjaciół. Na Atlantyku czyhały niemieckie łodzie podwodne, polując na powolne konwoje niszczycieli i bezbronne statki handlowe. Bitwa o Anglię została wygrana, ale ogromnym kosztem straconych samolotów, pilotów i lotnisk, a armia, przegrupowawszy się po walkach we Francji i ewakuacji z Dunkierki, zajmowała pozycje na Gibraltarze i w Aleksandrii, oczekując kolejnego pokazu niemieckiej potęgi wojskowej.

No i oczywiście zaczęły się bombardowania. Nie kończące się naloty na Londyn. Noc w noc zaczynały wyć syreny i noc w noc masywne formacje złowieszczych Heinkelów, ozdobionych czarnymi krzyżami, nadlatywały z warkotem silników, znad Kanału, wynurzając się z ciemności leżącej nad Francją.

W Carn Cottage codziennie słuchali wiadomości i serca im krwawiły. Dodatkowo Sophie bardzo przejmowała się domem na ulicy Oakley i ludźmi, którzy tam mieszkali. Friedmanowie, wedle jej instrukcji, przeprowadzili się z poddasza do sutereny, ale Cliffordowie zostali tam, gdzie byli — na drugim piętrze, i za każdym razem, gdy podawano informację o nalotach (czyli prawie każdego ranka), Sophie widziała ich już zabitych, rannych, wysadzonych w powietrze lub pogrzebanych pod gruzami.

— Oni są zbyt starzy, żeby musieć przechodzić tak okropne rzeczy — powiedziała do męża. — Powinniśmy zaprosić ich, żeby przyjechali tu, do nas.

— Moja kochana, nie mamy miejsca. A nawet gdybyśmy mieli, oni by nie przyjechali. Wiesz o tym. Oni są zatwardziałymi londyńczykami. Nigdy stamtąd nie wyjadą.

— Byłoby mi lżej, gdybym mogła ich zobaczyć. Porozmawiać z nimi. Upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Lawrence w milczeniu obserwował swoją młodą żonę, wyczuwając jej niepokój. Przez dwa lata ani na chwilę nie opuściła Porthkerris, jego Sophie, która nigdy, przez całe swoje życie, nie mieszkała w jednym miejscu dłużej niż trzy miesiące. A Porthkerris w czasie wojny było szare, nudne i puste, bardzo różne od ożywionego miasteczka, do którego z radością uciekali każdego lata, przed wojną. Nie była znudzona, bo nigdy nie należała do osób, które się nudzą, ale codzienne życie stawało się coraz trudniejsze. Jedzenia zaczynało brakować, zmniejszano przydziały i, co było bardzo dokuczliwe, każdego dnia okazywało się, że brak coraz to czegoś nowego — szamponu, zapałek, papierosów, filmu do aparatu fotograficznego, whisky, ginu — drobne luksusy, które łagodziły trudy pchania codziennego kieratu. Prowadzenie domu także robiło się coraz bardziej uciążliwe. Po wszystko trzeba było stać w kolejce, a potem wynosić pod górę, idąc pieszo z centrum miasta, bo nikt ze sklepikarzy nie miał już dość benzyny, żeby móc cokolwiek rozwozić do domów. Najbardziej chyba dawał się we znaki właśnie brak benzyny. Ciągłe jeszcze mieli starego bentleya, ale tkwił on prawie cały czas na tyłach garażu Grabneya, po prostu dlatego, że nie mieli przydziału na paliwo. To co dostawali, wystarczyło tylko na parę mil.

Tak więc Lawrence rozumiał jej niepokój i jej znużenie. Znając dobrze kobiecą naturę, rozumiał i współczuł. Wiedział, że Sophie potrzebowała wyrwać się z tego młyna, wyjechać na kilka dni. Czekał na odpowiedni moment, żeby poruszyć ten temat, ale trudno było znaleźć chwilę, kiedy byliby sam na sam. Ich mały dom pełen był ludzi, krzątaniń, głosów. Doris i chłopcy, Penelopa, a także jeszcze i niemowlę wypełniali każdy pokój, każdą godzinę, a gdy wreszcie wieczorem kładli się spać, Sophie była tak wyczerpana, że zwykle zasypiała, zanim zdążył położyć się obok niej.

W końcu, pewnego dnia udało mu się zastać ją samą. Właśnie wracał z ogrodu, gdzie kopał ziemniaki. Było to dla niego trudne, a nawet bolesne, bo jego powykręcane palce z wielkim trudem dawały sobie radę z łopatą i z wygrzebywaniem bulw ziemniaczanych, ale wreszcie udało mu się napełnić kosz. Zaniósł go do domu. Wchodząc przez tylne drzwi, zastał swoją żonę, strapioną, siedzącą przy kuchennym stole i szatkującą kapustę.

— Ziemniaki. — Wysypał je na podłogę obok pieca.

Uśmiechnęła się. Nawet kiedy była w fatalnym nastroju, zawsze znajdowała dość siły, żeby obdarzyć go uśmiechem. Przysunął sobie krzesło, usiadł i patrzył na nią. Była zbyt chuda. Wokół ust i pięknych oczu pojawiły się zmarszczki.

— Wreszcie sami. Gdzie są wszyscy? — spytał.

— Penelopa i Doris poszły z dziećmi na plażę. Wrócą niedługo na obiad. — Znowu zaczęła kroić kapustę. — A ja będę musiała im dać to właśnie do jedzenia i chłopcy powiedzą, że tego nie cierpią.

— Samą kapustę? Nic więcej?

— Makaron z serem.

— Przyrządzasz go lepiej niż ktokolwiek.

— Ale to nudne. Nudne do gotowania i nudne do jedzenia. Wcale im się nie dziwię, że narzekają.

— Masz za dużo roboty — stwierdził.

— Nie.

— Tak. Jesteś zmęczona i masz dość wszystkiego.

Podniosła wzrok i napotkała jego zatroskane spojrzenie.

— Czy to aż tak widoczne? — zapytała po chwili.

— Tylko dla mnie, bo zbyt dobrze cię znam.

— Jest mi wstyd. Nienawidzę siebie. Dlaczegoż miałabym być niezadowolona? Ale czuję się taka bezużyteczna. Co ja właściwie robię? Naprawiam sieci i przygotowuję posiłki. Myślę o kobietach w całej Europie i nienawidzę siebie, ale nic nie mogę na to poradzić. Wydaje mi się, że jeśli będę musiała jeszcze raz pójść stać w kolejce przez godzinę po wołowy ogon, który ktoś przede mną wykupi, to dostanę hysterii.

— Powinnaś wyjechać na dzień lub dwa.

— Wyjechać?

— Pojechać do Londynu. Zobaczyć dom. Pogadać z Cliffordami. Upewnić się, że wszystko w porządku. — Wyciągnął rękę i położył swoją dłoń na jej dłoni, brudząc jej rękę ziemią z grządkki ziemniaczanej. — Słuchamy wiadomości o bombardowaniach i jesteśmy przerażeni, ale faktem jest, że często relacja z katastrofy jest bardziej straszna, niż sama katastrofa. Nasza wyobraźnia szaleje, serce pęka. Ale prawdą jest, że nic nigdy nie jest tak straszne, jak się tego obawiamy. Najlepiej byłoby, gdybyś pojechała do Londynu i przekonała się o tym sama.

Sophie jakby poweselała, zastanawiając się nad tą propozycją.

— Ty też pojedziesz?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie, moja droga. Ja jestem za stary na hulanki, a ty właśnie potrzebujesz sobie pohulać. Zatrzymaj się u Cliffordów, będziesz sobie mogła poplotkować i pochichotać z Elżbietą. Pójdziecie sobie razem na

zakupy. Niech Piotr weźmie cię na lunch do dobrej restauracji, do Berkeley albo do L'Ecu de France. Sądzę, że tam jedzenie jest ciągle jeszcze bardzo dobre mimo braków i racjonowania. Zadzwoni do przyjaciół. Pójdź sobie na koncert, do teatru. Życie toczy się dalej. Nawet w Londynie w czasie wojny. A może właśnie szczególnie w czasie wojny w Londynie.

— Ale czy tobie nie będzie przykro, że pojedę bez ciebie?

— Będzie mi bardzo przykro, bardziej, niż potrafię powiedzieć. Będzie mi ciebie brakowało cały czas.

— Na trzy dni? Czy wytrzymasz przez trzy dni?

— Wytrzymam. A kiedy wrócisz, przez trzy tygodnie będziesz mi opowiadać wszystko, co robiłaś.

— Lawrence, tak cię kocham.

Potrząsnął głową, nie po to, żeby zaprzeczyć, tylko na znak, że nie potrzebuje mu tego mówić. Pochylił się i pocałował ją w usta, a potem wstał, podszedł do zlewu i zmył ziemię z rąk.

Wieczorem, w przeddzień wyjazdu, Sophie położyła się wcześniej do łóżka. Nazajutrz miała wyruszyć pociągiem do Londynu. Doris nie było w domu, poszła na jakąś zabawę do świetlicy w Ratuszu, a dzieci już spały. Penelopa i Lawrence siedzieli jeszcze w kuchni, słuchając koncertu przez radio, ale Penelopa zaczęła ziewać, więc odłożyła swoją robótkę na drutach, pocałowała ojca na dobranoc i poszła na górę.

Drzwi do sypialni Sophie były uchylone, światło świeciło się jeszcze. Penelopa wsadziła głowę, zaglądając do środka. Sophie leżała w łóżku i czytała.

— Myślałam, że poszłaś do łóżka wcześniej, żeby wyspać się i jutro pięknie wyglądać.

— Jestem za bardzo podniecona, żeby spać. — Odłożyła książkę obok siebie, na kołdrę. Penelopa usiadła przy niej. — Szkoda, że nie jedziesz ze mną.

— Nie. Papa ma rację. Będziesz się o wiele lepiej bawiła sama.

— Co ci przywieźć?

— Nic mi nie przychodzi do głowy.

— Znajdę jakąś niespodziankę. Coś, o czym nawet ci się nie śniło.

— To będzie miłe. Co czytasz? — podniosła książkę. — *Elizabeth i jej niemiecki ogród*. Sophie, przecież ty to czytałaś chyba ze sto razy.

— Co najmniej. Ale ciągle do tego wracam. To mi przynosi pociechę i ukojenie. Przypomina mi świat, który kiedyś istniał i który będzie istniał, gdy skończy się wojna.

Penelopa otworzyła książkę na chybił trafił i zaczęła czytać na głos: *Co za szczęśliwa kobieta ze mnie. Mieszkam w ogrodzie. Mam książki, małe dzieci, ptaki i kwiaty, i pełno wolnego czasu, żeby się tym wszystkim*

nacieszyć. — Roześmiała się i odłożyła książkę. — Masz te wszystkie rzeczy. Tylko z tym wolnym czasem coś ci nie wychodzi. Dobranoc.

— Dobranoc, kochanie.

Zadzwoniła z Londynu. Poprzez trzaski na linii jej głos brzmiał radośnie.

— Lawrence? To ja, Sophie. Jak się masz kochanie? Tak, świetnie się bawię. Miałaś rację, nie jest wcale tak źle, jak to sobie wyobrażałam. Tak, oczywiście są zniszczenia po bombardowaniach, wielkie dziury w tarasach domów, jak brakujące zęby, ale wszyscy są tacy dzielni i pogodni, pracują dalej, jak gdyby nigdy nic. I dzieje się tyle ciekawych rzeczy. Byliśmy na dwóch koncertach; słyszeliśmy, jak śpiewała Myra Hess, tak cudownie, podobałoby ci się. Widziałam się też z Ellingtonami, ten miły chłopiec, Ralph, który studiował w Slate, jest teraz w RAF-ie, w lotnictwie. A dom trzyma się świetnie, wytrzymuje wszystkie wstrząsy i eksplozje... i to tak cudownie być znowu u siebie, a Willy Friedman zasadził jarzyny w ogrodzie...

— A co robisz dziś wieczorem? — spytał Lawrence, kiedy udało mu się wreszcie wtrącić parę słów.

— Idziemy na kolację do Dickinsów. Piotr, Elżbieta i ja. Pamiętasz ich? On jest lekarzem, pracował kiedyś z Piotrem. Mieszkają koło Hurlingham...

— A jak się tam dostaniecie?

— Taksówką albo metrem. Metro jest niesamowite. Stacje są pełne śpiących ludzi. Śpiewają, urządzają sobie zabawy, a potem idą spać. Ojej, kochanie, już słysząc przerywany sygnał, muszę odłożyć słuchawkę. Uściskaj wszystkich ode mnie, będę w domu pojutrze.

Tej nocy Penelopa obudziła się nagle, przerażona. Coś się stało — jakiś dźwięk, jakiś alarm. Może to dziecko. Czy Nancy zapłakała? Leżała nasłuchując, ale słyszała tylko bicie własnego, przestraszonego serca. Powoli uspokoiło się. Potem rozległy się kroki na podeście schodów, a za chwilę zatrzęszczały deski schodów, usłyszała pstryknięcie zapalanego światła. Wstała z łóżka i wyszła ze swojego pokoju. Przechyliła się przez balustradę. W holu paliło się światło.

— Papa?

Nie było odpowiedzi. Przeszła przez podest i zaglądnęła do jego sypialni. Łóżko było nie posłane, puste. Wróciła na schody, zawahała się. Co on robił? Czy źle się czuł? Słyszała, jak chodzi po salonie. W końcu wszystko ucichło. Po prostu nie mógł spać. Czasami, kiedy cierpiał na bezsenność szedł na dół, zapalał ogień na kominku i wyszukiwał sobie jakąś książkę.

Wróciła do łóżka. Ale sen nie przychodził. Leżała w ciemności i obserwowała przez okno, jak niebo szarzeje. W dole na plaży fale przypląwu szemrały, z cichym szeptem rozchodziły się po piasku. Słuchając odgłosów oceanu, z szeroko otwartymi oczami czekała na świt.

O siódmej wstała i zeszła do kuchni. Lawrence włączył już radio. Nadawali muzykę. Czekał na ranne wiadomości.

— Papo.

Unióśł rękę, dając jej znak, żeby była cicho. Muzyka umilkła. Rozległ się sygnał czasu. *Tu mówi Londyn. Jest godzina siódma. Nadajemy wiadomości.* Czytał Alvar Liddell. Spokojny, beznamiętny, obiektywny głos relacjonował, co się stało. Podał fakty o ostatnim bombardowaniu Londynu, zeszłej nocy. Bomby zapalające, miny, materiały wybuchowe spadały na miasto jak deszcz. Pożary nie zostały jeszcze ugaszone, ale sytuacja była pod kontrolą... Ucierpiały też doki rozładunkowe...

Penelopa wyciągnęła rękę i wyłączyła radio. Lawrence podniósł oczy i spojrzął na nią. Miał na sobie swój stary szlafrok, zarost na jego brodzie pobłyskiwał srebrem. Powiedział:

— Nie mogłem spać.

— Wiem, słyszałam, jak schodziłeś.

— Siedziałem tu, czekając na rano.

— Przedtem były już przecież inne bombardowania. Wszystko będzie dobrze. Zrobię herbatę. Nie martw się. Napijemy się herbaty i potem zadzwonimy do Londynu, na ulicę Oakley. Wszystko będzie w porządku, papo.

Starali się dostać połączenie, ale w centrali poinformowano ich, że po bombardowaniach zeszłej nocy żadna linia do Londynu nie działa. Całe rano, godzina po godzinie, wciąż ponawiali próby. Bezskutecznie.

— Sophie będzie próbowała się dodzwonić do nas, papo, tak samo, jak my próbujemy się połączyć z nią. Na pewno jest tak samo zdenerwowana jak my i tak samo niespokojna, bo wie, że się martwimy.

Ale telefon zadzwonił dopiero w południe. Penelopa krajała jarzyny na zupę w kuchennym zlewie. Kiedy usłyszała dzwonek, upuściła nóż i pobiegła do salonu, wycierając po drodze ręce w fartuch. Ale Lawrence, który siedział cały czas przy aparacie, już podniósł słuchawkę. Podeszła i uklękła przy nim, pochylając się bardzo blisko, żeby usłyszeć każde słowo.

— Halo? Tu Carn Cottage. Halo?

Bzyczenie, pisk, potem dziwny warczący dźwięk i wreszcie:

— Halo! — ale nie był to głos Sophie.

— Lawrence Stern przy telefonie.

— Och, Lawrence, tu mówi Lalla Friedman. Tak, Lalla z ulicy Oakley. Nie mogłam się dodzwonić wcześniej. Staram się połączyć od ponad dwóch godzin. Ja... — jej głos nagle załamał się i umilkła.

— O co chodzi, Lallo?

— Nie jesteś sam?

— Penelopa jest ze mną. To chodzi o... Sophie, prawda?

— Tak. Och, Lawrence, tak. I Cliffordowie też. Oni wszyscy. Wszyscy zabici. Bomba spadła prosto na dom Dickinsów. Nic nie zostało. Poszliśmy zobaczyć. Ja i Willy. Dziś rano, kiedy nie wrócili, Willy starał się dodzwonić do Dickinsów, ale oczywiście to było niemożliwe. Więc poszliśmy sami, żeby zobaczyć, co się stało. Byliśmy tam razem, na Boże Narodzenie, więc znaleźliśmy drogę. Wzięliśmy taksówkę, ale potem musieliśmy iść na piechotę...

Nic nie zostało.

— ... a kiedy doszliśmy do końca ulicy, była zamknięta kordonem policji i nikogo nie wpuszczali, strażacy jeszcze tam pracowali. Ale widzieliśmy. Dom zniknął. Na tym miejscu był tylko wielki krater. Rozmawiałam z jednym policjantem. Był bardzo uprzejmy, ale powiedział, że nie ma żadnej nadziei. Żadnej nadziei, Lawrence — zaczęła płakać. — Wszyscy. Nie żyją. Tak strasznie mi przykro. Tak okropnie mi przykro, że muszę ci to powiedzieć.

Nic nie zostało.

— Byliście bardzo dobrzy, że poszliście ich szukać i że zadzwoniliście do mnie... — odrzekł Lawrence.

— To najgorsza rzecz, jaką musiałam kiedykolwiek zrobić.

— Tak — powiedział Lawrence. — Tak.

Siedział bez ruchu. Po chwili odłożył słuchawkę, jego powykręcane palce drżały, gdy próbował ją umieścić na widełkach. Penelopa odwróciła głowę i położyła ją na jego grubym wełnianym swetrze. Cisza, która nastąpiła, była całkowicie pusta. Próżnia.

— Papo.

Podniósł rękę i pogłaskał ją po włosach.

— Papo.

Spojrzała mu w oczy, ale on potrząsnął głową. Wiedziała, że chciał tylko, żeby go zostawić samego. Zobaczyła wtedy, że jest stary. Nigdy przedtem nie wydawał jej się taki, ale teraz wiedziała, że nigdy już nie będzie inny. Wstała, wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Nic nie zostało.

Poszła na górę do sypialni rodziców. Łóżko w ten koszmarny ranek nie zostało w ogóle posłane. Pościel była rozrzucona, na poduszce widniał jeszcze ślad, wgłębienie po głowie jej ojca. Wiedział. Oboje wiedzieli. Ciągłe mając nadzieję, starając się nie tracić ducha, ale pełni śmiertelnej, przerażającej pewności. Oboje wiedzieli.

Nic nie zostało.

Na stoliku, po tej stronie łóżka, gdzie spała Sophie, leżała książka, którą czytała w tę noc, zanim pojechała do Londynu. Penelopa podeszła,

usiadła i wzięła książkę do ręki. Otworzyła się na tej tak bardzo wysłużonej stronie.

Co za szczęśliwa kobieta ze mnie. Mieszkam w ogrodzie. Mam książki, małe dzieci, ptaki i kwiaty, i pełno wolnego czasu, żeby się tym wszystkim nacieszyć. Czasami wydaje mi się, że dzięki jakiemuś specjalnemu błogosławieństwu udało mi się to, co tak niewielu ludziom się udaje — tak łatwo znaleźć szczęście.

Słowa rozmyły się i zniknęły, jak postacie widziane przez zalaną deszczem szybę. Tak łatwo znaleźć szczęście. Sophie nie tylko znalazła szczęście, ono z niej promieniowało. A teraz nie zostało nic. Książka wysunęła się Penelopie z ręki. Położyła się, wciskając mokrą od łez twarz poduszkę Sophie. Len był chłodny jak skóra jej matki i pachniał słodko jej zapachem, tak jakby przed chwilą wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ 10

ROY BROOKNER

Noel Keeling, mimo że znakomicie dawał sobie radę w zespołowych grach sportowych, a nawet był mistrzem o bystrym oku i błyskawicznej ręce na kortach squasha, zdecydowanie nie przepadał za pracą fizyczną. Jeśli w czasie weekendu, jak to czasami bywało, został wraz z innymi gośćmi zagoniony przez panią domu do strzyżenia trawników lub do innych prac w ogrodzie, zawsze wybierał sobie zadanie wymagające najmniejszego wysiłku, jak na przykład, zbieranie małych gałązek na ognisko lub ścinanie uschniętych główek różom. Zgłaszał się na ochotnika do strzyżenia trawy, ale tylko jeśli traktorek do strzyżenia był taki, na którym można siedzieć, i zawsze dopilnował tego, żeby ktoś inny — najczęściej jakaś zadurzona w nim dziewczyna — odwiózł taczki pełne ściętej trawy do dołu z kompostem. Jeśli sytuacja stawała się naprawdę trudna i chodziło o pomoc w tego rodzaju pracach jak wbijanie pali do ogrodzenia w twarde, kamienisty grunt albo wykopywanie ogromnej dziury pod świeżo nabyty krzew lub drzewko, Noel opanował do perfekcji sztukę znikania cichcem i gdy było już po wszystkim, zmęczeni i oburzeni pozostali goście znajdowali go w domu, siedzącego wygodnie przed telewizorem i oglądającego relację z turnieju golfowego lub mecz krykieta, a naokoło niego, jak liście, leżały strony z niedzielnego wydania gazety.

Tak więc, zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami, ułożył strategiczny plan działania także na ten weekend. Całą sobotę zamierzał spędzić po prostu na przeszukiwaniu i przetrząsaniu strychu. Zamierzał sprawdzić wszystkie kufry, pudła, szafki, każdą, choćby nie wiem jak starą, przekrzywioną i zdewastowaną komodę. (Całą naprawdę ciężką robotę, czyli pchanie, podnoszenie, przesuwanie i noszenie na dół tych rupieci, przez dwa piętra wąskich schodów, można było bezpiecznie odłożyć na drugi dzień, kiedy to miał przyjść nowy ogrodnik, który jako siła robocza zajmie się tym wszystkim, a Noelowi pozostanie tylko wydawać rozkazy.)

Jeśli odniósłby sukces i natrafił na to czego szukał... jeden, dwa, a może nawet więcej szkiców olejnych Lawrence'a Sterna, to wtedy musi zagrać bardzo ostrożnie. „To mogłoby być interesujące” — powiedziałyby matce i zależnie od jej reakcji, zdecydowałyby co zrobić dalej. „Może warto by pokazać je jakiemuś ekspertowi, niechby rzucił na nie okiem, mam takiego kumpla, nazywa się Edwin Mundy”...

Następnego ranka wstał wcześniej, żeby przygotować sobie ogromne śniadanie: jajka na bekonie, kiełbaski, cztery grzanki i wielki garnek czarnej kawy. Jedząc to wszystko przy kuchennym stole, patrzył, jak strugi deszczu spływają po oknie i był z tego zadowolony, ponieważ nie było szans, żeby ubłagano go o wykonanie jakiegokolwiek roboty w ogrodzie. Kiedy wypijał drugą filiżankę kawy i był już całkiem rozbudzony, pojawiła się jego matka w szlafroku, lekko zdziwiona widokiem Noela, tak wcześniej rano i to w pełnej gotowości bojowej.

— Nie będziesz robił za dużo hałasu, kochanie, dobrze? Chciałabym, żeby Antonia mogła spać jak najdłużej. Biedne dziecko, musiała być wykończona.

— Słyszałem, jak plotkowałyście do późna w nocy. O czym gadałyście?

— Ot tak, o wszystkim i o niczym. — Nalała sobie kawy. — Noel, nie wyrzucisz niczego, prawda, dopóki się mnie o to nie zapytasz?

— Dzisiaj będę tylko sprawdzał i przeglądał, co tam masz zachomikowane. Palenie i wyrzucanie może poczekać do jutra. Ale musisz być rozsądna. Stare wzory robótek na drutach i zdjęcia ślubne circa 1910, muszą być skazane na śmierć na stosie.

— Nawet boję się myśleć, co ty tam znajdziesz.

— Nigdy nie wiadomo — powiedział Noel, uśmiechając się szeroko i patrząc jej prosto w oczy. — Nigdy nic nie wiadomo.

Zostawił ją pijącą kawę i poszedł na górę. Ale zanim zaczął, musiał uporać się z paroma trudnościami technicznymi. Na strychu panował półmrok, bowiem ani niktę światło wdzierające się przez małe okienko osadzone we wschodniej części dachu, ani zwisająca z centralnej belki słaba żarówka nie były w stanie rozproszyć ciemności. Noel zszedł więc i poprosił matkę o dużą, silną żarówkę. Wyciągnęła mu jedną z pudła pod schodami i wrócił ze zdobyczą na górę, po czym, balansując na starym chyboczącym się krześle, odkręcił starą żarówkę i wkręcił nową. Ale gdy tylko przekręcił kontakt, zorientował się, że nawet ta nowa żarówka nie oświetlała strychu na tyle, żeby można było przeprowadzić dokładne poszukiwania, które miał w planie. Potrzebna mu była lampa. Stała tam właśnie na strychu stara lampa, z przekrzywionym, pękniętym abażurem i długim sznurem, ale bez wtyczki. Wyruszył więc w kolejną podróż na dół. Wziął następną mocną żarówkę z pudła i zapytał matkę, czy ma zapasową wtyczkę. Powiedziała, że nie ma. Ponieważ Noel upierał się, że

musi ją mieć, poradziła mu, żeby wziął wtyczkę z jakiegoś innego urządzenia. Na co Noel odparł, że będzie mu potrzebny śrubokręt. Stwierdziła, że śrubokręt powinien być w jej szufladzie z narzędziami i pokazała mu, gdzie ona jest, ale jej ton wskazywał na to, że zaczyna być zdenerwowana.

— To ta, Noel, w tej komodzie.

Otworzył szufladę, w której kłębiły się zwoje drutu, bezpieczniki, młotki, pudełka z pinezkami i spłaszczony tubki kleju. Pogrzebawszy trochę, wyciągnął mały śrubokręt i posłużył się nim, żeby usunąć wtyczkę z końca sznura od żelazka. Wróciwszy znów na strych, przymocował ją do kabla od lampy, nie bez trudności, i modląc się, aby sznur okazał się wystarczająco długi, spuścił go po schodach i włączył do gniazdka na podeście schodów. Czując się tak, jakby robił to po raz setny, wszedł znów na strych, przekręcił kontakt i westchnął z ulgą, gdy lampa się zaświeciła. Łatwo zniechęcał się przy najdrobniejszych przeszkodach, poczuł się więc bardzo wyczerpany tymi przygotowaniem, ale teraz wszystko było już jasno oświetlone i mógł zabrać się do pracy.

Do południa udało mu się przeszukać wszystko do połowy zagraconego i zakurzonego strychu. Przetrzęsnał trzy kufry, na pół zjedzone przez korniki biurko, komodę i dwie walizki. Znalazł firanki, poduszki, szereg kieliszków do wina, zawiniętych w gazetę, masywne albumy z fotografiami, naczynka dla lalek, stos pożółkłych i bardzo sfatygowanych poszewek, nie nadających się już do niczego. Natrafił na księgi rachunkowe, oprawne w skórę, z wyblakłymi cyframi wpisywanymi starannym, kaligraficznym pismem, paczuski listów związane wstążeczkami, nie dokończone robótki tkackie, z wetkniętymi w nie zarzewiającymi igłami, instrukcję posługiwania się najnowszym wynalazkiem czyli maszynką do ostrzenia noży. W pewnym momencie, kiedy trafił na tekturową teczkę związaną tasiemkami, obudziła się w nim nadzieja. Trzęsącymi się z podniecenia rękami odwiązał tasiemki, tylko po to, żeby odkryć szereg pensjonarskich akwarelek, przedstawiających Dolomity, wykonanych przez nie wiadomo kogo. Rozczarowanie było ogromne, ale nie załamał się jakoś i po chwili z nową energią ruszył do dalszych poszukiwań. Znajdywał strusie pióra, jedwabne szale z długimi spletanymi frędzlami, haftowane obrusy, pożółkłe na zgięciach, układanki i nie dokończone robótki na drutach. Była też szachownica, lecz bez figurek do gry, karty i *Rodziny szlacheckie* Burke'a, wydanie z 1912 roku.

Nie znalazł niczego, co w najmniejszym nawet stopniu przypominałoby jakiegokolwiek dzieło Lawrence'a Sterna.

Usłyszał kroki na schodach. Stał na taborecie, pokryty kurzem, brudny, ze smętnym wyrazem twarzy i czytał właśnie w *Poradniku Domowym* wskazówki, jak najlepiej prać czarne, wełniane pończochy. Podniósł wzrok i zobaczył Antonię stojącą w drzwiach. Była ubrana

w dżinsy i biały sweter, a na nogach miała tenisówki. Przeszło mu przez myśl, że z tymi bladymi rzęsami to rzeczywiście pech, bo figurę miała fantastyczną.

— Cześć — powiedziała, a jej głos zabrzmiał nieśmiało, jakby obawiała się mu przeszkodzić.

— Jak się masz. — Zamknął książkę z hukiem i upuścił ją na podłogę u swoich stóp. — Kiedy wstałaś?

— Około jedenastej.

— Nie obudziłem cię?

— Nie. Nic nie słyszałam. — Zrobiła parę kroków w jego kierunku, torując sobie drogę między meblami, przestępując przez stopy posortowanych z takim trudem rupieci. — Jak ci idzie?

— Powoli. Zasadniczo chodzi o to, żeby oddzielić ziarno od plew. Pozbyć się wszystkiego, co mogłoby stanowić zagrożenie pożarowe.

— Nie miałam pojęcia, że tego jest tak potwornie dużo. — Przystanęła, rozglądając się dookoła. — Skąd to się wszystko wzięło?

— Dobre pytanie. Z poddasza domu na ulicy Oakley. A także z wielu innych poddaszy i strychów z innych domów. Graty zbierane przez wieki, w każdym razie tak to wygląda. To musi być jakaś dziedziczna wada, całkowita niezdolność do wyrzucenia czegokolwiek.

Antonia pochyliła się i podniosła szkarłatny, jedwabny szal.

— To jest ładne. — Założyła go na ramiona, wyprostowując poplątane frędzle. — No i jak wygląda?

— Dziwnie.

Zdjęła szal, składając go starannie.

— Penelopa przysłała mnie, żebym się dowiedziała, czy chciałbyś coś zjeść?

Noel zerknął na zegarek i zobaczył, ku swojemu zdziwieniu, że było już wpół do pierwszej. W ciągu dnia nie zrobiło się jaśniej, a on tak był skupiony na swojej robocie, że stracił poczucie czasu. Uświadomił sobie, iż nie tylko jest głodny, ale również bardzo spragniony. Zszedł z taboretu i powiedział:

— Najbardziej potrzebny mi jest teraz duży gin z tonikiem.

— Czy wracasz tu jeszcze dziś po południu?

— Muszę. Inaczej nigdy tego nie skończę.

— Jeśli chcesz, to po lunchu też przyjdę na górę, żeby ci pomóc.

Lecz Noel nie chciał, żeby się tu kręciła. Nie chciał, żeby ktokolwiek go obserwował.

— Bardzo jesteś miła, ale lepiej, żebym ja sobie z tym sam poradził, bo trochę się już w tym bałaganie zorientowałem. Chodź... — popchnął ją delikatnie ku drzwiom. — Zobaczmy, co mama ma na lunch.

O wpół do siódmej wieczorem żmudne poszukiwania zostały zakończone, a Noel wiedział już, że nic nie uda mu się znaleźć. Strych

Podmore's Thatch nie krył żadnego skarbu. Ani jeden szkic Lawrence'a Sterna nie wynurzył się ze stosu rupieci i całe przedsięwzięcie okazało się kompletną stratą czasu. Stał z rękami w kieszeniach, spoglądając na ten krajobraz po bitwie i starał się pogodzić z gorzką prawdą, że niczego nie udało mu się osiągnąć. Był zmęczony, brudny, stracił wszelką nadzieję i jego przygnębienie zamieniło się w żal. A żal miał, przede wszystkim, do matki. Bo to wszystko była jej wina. Przypuszczalnie zniszczyła kiedyś te szkice albo sprzedała je za grosze, albo nawet oddała komuś za darmo. Jej bezmyślna szczodrość w połączeniu z manią chomikowania rupieci, zawsze doprowadzała go do szalu, a teraz pozwoliła, żeby ta złość rozpałała się w nim na dobre. Stał w milczeniu i czuł się coraz bardziej wściekły. Jego czas był dla niego bardzo cenny, tymczasem zmarnował cały dzień, przetrząsając śmieci nagromadzone przez szereg pokoleń, tylko dlatego, że ona sama nigdy się do tego nie zabrała.

Teraz był już w tak koszmarnym humorze, że przez moment zaczął się zastanawiać, czy nie spróbować natychmiastowej ucieczki, czyli wybrać wariant strategiczny przeznaczony dla weekendów z „jedną gwiazdką”, to jest przypomnieć sobie nagle o bardzo ważnej i pilnej sprawie do załatwienia w Londynie i pożegnawszy się, wyjechać.

Ale to było niemożliwe, ponieważ zaszedł już za daleko i powiedział za dużo. To on przecież zainicjował całą akcję (zagrożenie pożarowe, niebezpieczeństwo, nieadekwatne ubezpieczenie), a także powiedział Oliwii o możliwości znalezienia szkiców. Teraz, mimo że był prawie pewien, że szkice nie istniały, wyobrażał sobie złośliwe uwagi Oliwii, gdyby się w tym momencie wycofał, zostawiając robotę nie skończoną i chociaż miał grubą, jak nosorożec, skórę, zdecydowanie nie podobała mu się perspektywa wysłuchiwanie kazania w wykonaniu jego genialnej siostrzyczki.

Nic nie można było na to poradzić. Będzie musiał zostać. Ze złością kopnął zepsutą kołyskę dla lalki i zgasiwszy światło zszedł ze strychu.

W nocy deszcz ustał. Łagodny, południowo-wschodni wiatr rozpędził nisko wiszące chmury. W niedzielę rano niebo było czyste i spokojne, a ciszę przerywał jedynie śpiew ptaków. To właśnie obudziło Antonię. Pierwsze ukośne promienie słońca wpadały do jej sypialni przez otwarte okno, zalewały dywan, dodając ciepła całemu pokojowi i podkreślając głęboki róż kwiatów na lnianych zasłonach. Wstała z łóżka i podeszła do okna, żeby sprawdzić, jak jest na dworze. Oparła gołe ręce na parapecie i wciągnęła powietrze pachnące wilgotnym mchem. Strzecha schodziła tak nisko, że łaskotała ją w czubek głowy. Widziała rosę błyszczącą na trawie i dwa drozdy koncertujące na gałęzi kasztanowca, a wszystko spowite lekką mgiełką — wymarzony wiosenny poranek.

Było w pół do ósmej. Poprzedniego dnia cały czas padało i w ogóle nie ruszali się z domu. Antonia wciąż jeszcze nie mogła przyjść do siebie po przeżytych szoku, a w dodatku była zmęczona po podróżach i o niczym innym nie marzyła, jak tylko o spokojnym dniu w domowym zaciszu. Została sama, zwinięta w kłębek przy kominku. Po szybach spływały krople deszczu i trzeba było zapalić lampę, gdyż było szaro i ciemno. Znalazła sobie książkę o Elizabeth Jane Howard, której jeszcze nie czytała i po lunchu ułożyła się wygodnie na kanapie i całkowicie oddała się lekturze. Od czasu do czasu pojawiała się Penelopa, żeby dołożyć polano do ognia na kominku albo poszukać okularów. Nieco później przyłączyła się do Antonii, ale nie żeby rozmawiać, tylko poczytać gazety, a później wypić wspólnie herbatę. Noel spędził cały dzień na strychu sam i kiedy się pojawił, był wyraźnie w bardzo złym humorze.

Antonia poczuła się tym trochę speszona. Ona i Penelopa były właśnie w kuchni, przygotowywały posiłek, dobrze się przy tym bawiąc, ale jeden rzut oka na wyraz twarzy Noela wystarczył, żeby poczuła, iż katastrofa wisi w powietrzu i że jego zły humor wkrótce popsuje wszystkim spokojny nastrój dnia.

Prawdę mówiąc, było coś takiego w Noelu, że Antonia w jego obecności czuła się cały czas skrępowana. Miał taką samą jak Oliwia energię i cięty język, ale ani trochę jej ciepła. Antonia czuła się przy nim brzydka i niezdarna i z wielkim trudem przychodziło jej powiedzenie mu czegoś, co nie byłoby banalne bądź nudne. Kiedy wszedł do kuchni, z twarzą jak chmura gradowa i smugą kurzu na policzku, żeby nalać sobie dużą whisky i zapytał matkę, dlaczego przywiozła całą tę cholerną rupieciarnię z ulicy Oakley do Gloucestershire, pod Antonią ugięły się nogi ze strachu przed jakąś okropną sceną, albo, co byłoby jeszcze gorsze, długim wieczorem napiętej ciszy, wśród obrażonych na siebie ludzi. Ale Penelopa znakomicie poradziła sobie z sytuacją, nie dała się sprowokować i zaczepny ton Noela najwyraźniej nie zrobił na niej wrażenia.

— Przypuszczam że to z lenistwa — odpowiedziała mu wyniośle.
— Łatwiej było zapakować to wszystko do ciężarówki, niż zacząć się zastanawiać, co z tym zrobić. Miałam wystarczająco dużo innych, ważniejszych spraw do załatwienia, żeby jeszcze zajmować się przeglądaniem starych książek i listów.

— Ale kto w ogóle zaczął kolekcjonować te wszystkie graty?

— Nie mam pojęcia.

Pokonany jej dobrym humorem i pogodnym usposobieniem, zamilkł, jednym haustem wypił whisky i od razu poczuł się lepiej. Nawet zdobył się na nieco wymuszony uśmiech.

— Jesteś — stwierdził, zwracając się do matki — zupełnie niemożliwa.

Przyjęła i to ze spokojem. ^

— Tak, wiem, ale wszyscy nie możemy być doskonali. A pomyśl tylko, jaka jestem dobra w innych dziedzinach, jak na przykład w gotowaniu albo w tym, że zawsze mam w kredensie odpowiedni drink dla ciebie. Matka twojego ojca nigdy nie miała nic innego w kredensie, jak tylko okropną sherry, która smakowała jak rodzynki.

Skrzywił twarz, przypominając sobie ten smak.

— Co jest na obiad?

— Pieczony pstrąg z migdałami, młode ziemniaki i maliny ze śmietaną. Zasłużyłeś sobie na taką ucztę. Możesz wybrać odpowiednią do tego butelkę wina, a potem weź ze sobą drinka i pójdz się wykapać.

— Uśmiechnęła się do syna, ale jej ciemne oczy patrzyły ostro i czujnie.

— Jestem pewna, że potrzebujesz gorącej kąpieli po całej tej ciężkiej harówce.

Awantura została zażegnana i wieczór minął spokojnie. Zmęczeni, wszyscy położyli się spać wcześniej. Rano Antonia, dzięki typowej dla młodego wieku odporności i zdolności do regeneracji, po raz pierwszy od wielu dni poczuła się znów sobą. Chciała znaleźć się na dworze, biec przez łąkę, napełnić płuca świeżym, chłodnym powietrzem. Wiosenny poranek czekał na nią i wiedziała, że chce poczuć się jego częścią.

Ubrała się i zeszła do kuchni, wzięła jabłko z miski stojącej na kredensie i wyszła drzwiami do cieplarni. Jedząc jabłko, maszerowała przez trawnik. Rosa przemoczyła jej płócienne tenisówki, które zostawiały ślady na mokrej trawie. Przeszła pod kasztanowcem, potem przez szparę w żywopłocie i znalazła się w sadzie. Na pół zarośnięta ścieżka ginęła w trawie, a tu i ówdzie przebijały się już pierwsze żonkile. Minęła szczątki ogniska i pobiegła wzdłuż świeżo przystrzyżonego żywopłotu z krzaków głogu, za którym płynęła rzeka, wąskim korytem, o wysokich brzegach, głęboka i bystra. Ruszyła wzdłuż rzeki, idąc z jej biegiem. Ponad jej głową gałęzie wierzb układały się w łukowate sklepienie, nieco dalej drzewa przerzedziły się i rzeka wiła się wśród podmokłych łąk, na których pasło się bydło, a za łąkami zaczynały się łagodne wzgórza pnące się ku niebu. Na wyżej położonych pastwiskach widać było owce, w oddali zauważyła człowieka z psem przy nodze, wspinającego się pod górę, w kierunku stada.

Teraz znalazła się już blisko miasteczka. Stary kościół z kwadratową wieżą i domki ze złotego kamienia leżały w łuku zakręcającej drogi. Dym z kominów unosił się prosto w nieruchomym powietrzu. Słońce sunęło coraz wyżej po kryształowo czystym niebie i dawało nikłe jeszcze ciepło, dzięki któremu mostek pachniał kreozotem. To był miły zapach. Siedziała na mostku i machając przemoczonymi nogami, kończyła jeść jabłko. Rzuciła ogryzek w przejrzystą, płynącą wodę i patrzyła, jak znika, unoszony prądem rzeki.

Gloucestershire, pomyślała sobie, było cudownie piękne, poetyckie i przerastało wszystkie jej wyobrażenia. Podmore's Thatch jest idealne, a przede wszystkim także jest Penelopa. Samo przebywanie z Penelopą sprawiało, że można było czuć się spokojnym i bezpiecznym, a życie — ostatnio tak nieznośnie smutne i okropne — zdawało się znowu być czymś podniecającym i obiecującym wiele radości. Możesz zostać — powiedziała Antonii — jak długo zechcesz. To bezterminowe zaproszenie stanowiło nie lada pokusę, ale wiedziała, że tak zrobić nie może. Z drugiej strony, to co ona tak naprawdę ma ze sobą zrobić?

Miała osiemnaście lat. Młoda dziewczyna bez rodziny, domu, bez pieniędzy i w dodatku bez zawodu. W czasie tych paru dni spędzonych w Londynie zwierzyła się Oliwii.

— Ja nawet nie wiem, co chciałabym robić. To znaczy, właściwie nigdy nie czułam wyraźnego powołania do jakiegokolwiek zawodu. Byłoby znacznie łatwiej, gdybym je miała. A nawet gdybym nagle zdecydowała zostać sekretarką czy lekarzem, czy księgową, to przecież studia i kursy kosztują straszłą ilość pieniędzy.

— Mogłabym ci pomóc — zaproponowała Oliwia.

Antonia od razu bardzo się zdenerwowała.

— Nie, nie wolno ci nawet o tym myśleć. Nie jesteś za mnie odpowiedzialna.

— W jakiś sposób jestem. Jesteś dzieckiem Kośmy. A poza tym nie myślałam o wypisywaniu czeków. Miałam na myśli inny rodzaj pomocy. Na przykład przedstawienie cię odpowiednim ludziom. Czy myślałaś kiedyś o pracy jako modelka?

Modelka. Antonia otworzyła buzię ze zdziwienia.

— Ja? Ja nie mogłabym być modelką. Nie jestem przecież wcale piękna.

— Nie musi się być piękną. Trzeba mieć tylko odpowiedni wzrost, bardzo dobrą figurę, a to masz na pewno.

— Nie potrafiłabym być modelką. Czuję się skrępowana, jak tylko zobaczę, że ktoś ustawia aparat fotograficzny w moim kierunku.

Oliwia roześmiała się.

— To by ci przeszło. Potrzebny jest tylko dobry fotograf, który dałby ci poczucie pewności siebie. Widziałam już takie historie. Szare kaczątko, które rozkwitały i stawały się łabędziami.

— Na pewno nie ja.

— Nie bądź taka nieśmiała. Co ty chcesz od swojej twarzy? Jest całkiem w porządku, a jeśli już coś ma nie grać, to tylko te białe rzęsy, chociaż, z drugiej strony, są cudownie długie i gęste. Nie rozumiem, dlaczego nie używasz tuszu.

Antonia okropnie wstydziła się swoich rzęs i zarumieniła się po uszy na samą wzmiankę o nich.

— Próbowałam, Oliwio, ale nie mogę. Jestem uczulona na tusz. Powieki mi puchną, potem policzki i wyglądam jak latarnia z dyni, oczy zaczynają mi łzawić, cały tusz rozpuszcza się i spływa po twarzy. Katastrofa. Nic nie mogę na to poradzić.

— A dlaczego nie spróbujesz ufarbować ich na stałe?

— Ufarbować? *

— Tak. Ufarbować na czarno. Musiałaby to zrobić Kosmetyczka, ale skończyłyby się wszystkie twoje kłopoty.

— A nie byłabym uczulona na farbę?

— Nie sądzę. Musiałabyś spróbować. Ale to wszystko są problemy uboczne. Teraz chodzi o to, żebyś znalazła pracę jako modelka. Choćby tylko na rok czy dwa. Zarobiłabyś bardzo dobrze i mogłabyś trochę tych pieniędzy odłożyć, a wtedy, jak byś już zdecydowała, co chcesz robić, miałabyś trochę własnego kapitału, byłabyś niezależna. W każdym razie pomyśl o tym, jak będziesz w Podmore's Thatch. Daj mi znać, jeśli się zdecydujesz, a ja załatwię próbne zdjęcia.

— Jesteś bardzo dobra dla mnie.

— Nic podobnego. Po prostu praktyczna.

Prawdę mówiąc, kiedy się nad tym spokojnie zastanowiła, to nie był zły pomysł. Co prawda myśl o wykonywaniu takiej pracy trochę ją niepokoiła, ale gdyby zarobiła w ten sposób sporo pieniędzy, to na pewno warto było pomęczyć się nieco, nawet wypacykować się mnóstwem Kosmetyków i podjąć próbę pokonania własnej nieśmiałości, żeby osiągnąć cel, czyli zgromadzić oszczędności. A zresztą, choćby nie wiadomo jak się wysilała, nie mogła wymyślić nic innego, czym chciałaby się zająć. I owszem, bardzo lubiła gotować, zajmować się ogrodem, sadzić nowe rośliny i zbierać owoce — w ciągu dwóch lat, które spędziła z Kosmą na Ibizie, nic innego właściwie nie robiła — ale nie można było zrobić kariery na zbieraniu owoców. Zdecydowanie nie chciała pracować w biurze ani w sklepie, ani w banku, ani w szpitalu, więc co jej pozostawało?

Z wieży kościelnej rozległo się bicie pojedynczego dzwonu. Niosło się przez dolinę, przydając krajobrazowi nieco spokojnej melancholii. Antonii przypomniały się inne dzwonki; dzwonki kóz na Ibizie, dźwięczące dysharmonijnie. Charakterystyczne dźwięki rozlegały się wczesnym rankiem nad skalistymi, nieurodzajnymi polami wokół domu Kośmy. Pamiętała też pianie kogutów, cykady muzykujące w ciemności... wszystko to były głosy Ibizy, które zniknęły na zawsze, zmiecione, wessane w przeszłość. Pomyślała o Kosmie i po raz pierwszy na myśl o ojcu jej oczy nie napełniły się łzami. Ból był jak wielki ciężar, lecz już można było położyć go przy drodze i odejść od niego. Antonii udało się na razie przejść tylko parę kroków, ale była w stanie odwrócić się, popatrzeć, i nie rozpłakać się. To nie miało nic wspólnego z zapomi-

naniem. To była akceptacja. Nic nigdy nie wydaje się już tak straszne, jeśli zostało zaakceptowane.

Dzwon kościelny bił przez jakieś dziesięć minut i nagle przestał. Cisza, która potem nastąpiła, powoli wypełniała się odgłosami poranka. Plusk przepływającej wody, ryczenie krów, pobekiwanie owiec. Gdzieś zaszczekał pies, zawarczał włączony silnik samochodu. Antonia zdała sobie sprawę, że jest potwornie głodna. Wstała, zeszła z mostu i zaczęła wracać do Podmore's Thatch tą samą drogą, którą przyszła. Pomyślała o śniadaniu. Może będą jajka na miękko, razowy chleb z masłem i mocna herbata. Sama myśl o tak pysznym jedzeniu napełniła ją zadowoleniem. Beztrosko szczęśliwa po raz pierwszy od tyłu tygodni, zaczęła biec, pochylając głowę pod nisko wiszącymi gałęziami wierzb, z lekkim sercem, swobodna, jak dziewczyna, której zaraz przytrafi się coś wspańskiego.

Kiedy dobiegła do żywopłotu z głogu i do bramki prowadzącej do sadu Penelopy, była zgrzana i brakowało jej tchu. Zdyszana, oparła się przez chwilę na bramce, a potem otworzyła ją. Wchodząc, kątem oka zauważyła jakiś ruch. Podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę pchającego taczki ścieżką prowadzącą z ogrodu. Przeszedł pod sznurem do wieszania bielizny i torował sobie drogę pomiędzy powykręcanymi jabłoniami i gruszami. Młody człowiek, wysoki i długonogi. Nie Noel. Ktoś nowy.

Zamknęła bramkę. Odgłos stuknięcia zwrócił jego uwagę, spojrzął i zobaczył ją.

— Dzień dobry — zawołał i szedł dalej. Taczki podskakiwały na gęstej, rosnącej kępkami, trawie, nie naoliwione kółko piszczało. Antonia stała w miejscu, obserwując młodego mężczyznę. W miejscu, gdzie widniał ślad po wypalonym ognisku, przystanął, postawił taczki i wyprostował się, patrząc na nią. Był ubrany w połatane i wyblakłe dzinsy, wsunięte do gumiaków i workowaty sweter, włożony na jasnoniebieską koszulę. Jego oczy miały ten sam niebieski odcień, jak wystający spod swetra kołnierz koszuli. Głęboko osadzone w ogorzałej twarzy zdawały się w ogóle nie mrugać.

— Śliczny dzień — powiedział, zwracając się do Antonii.

— Tak.

— Byłaś na spacerze?

— Tylko kawałek, do mostku.

— Musisz być Antonią, prawda?

— Tak, to ja.

— Pani Keeling powiedziała mi, że przyjeżdżasz.

— A ja nie wiem, kim ty jesteś.

— Ogrodnikiem. Danus Muirfield. Przyszedłem pomóc dzisiaj, na cały dzień. Pomóc uprzątnąć strych. Spalić śmieci.

Taczki zawierały parę tekturowych pudełek, stare gazety i długie widły. Wziął widły i zaczął odgarniać nimi mokry popiół po poprzednim ognisku, żeby oczyścić kawałek ziemi pod nowe.

— Jest cała góra rzeczy do spalenia — zauważyła Antonia. — Byłam tam wczoraj na strychu i widziałam to wszystko.

— Nie szkodzi. Mamy na to cały dzień.

Podobało jej się, że powiedział „my”. W przeciwieństwie do Noela, który chłodno odrzucił jej propozycję pomocy, Danus uważał za naturalne, że Antonia weźmie udział w porządkowaniu strychu. W ten sposób czuła się nie tylko uczestniczką całego przedsięwzięcia, ale i mile widziana.

— Nie jadłam jeszcze śniadania, ale jak tylko zjem, przyjdę ci pomóc.

— Pani Keeling jest w kuchni, gotuje jajka.

Antonia uśmiechnęła się.

— Miałam nadzieję, że dziś będą jajka.

Lecz on nie odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

— No to, idź już je zjeść — powiedział. Wbił widły w czarną ziemię i odwrócił się, żeby wziąć paczkę gazet. — Nie można ciężko pracować cały dzień o pustym żołądku.

Nancy Chamberlain jechała przez zalane słońcem, roześmiane Cotswolds, w kierunku Podmore's Thatch, na lunch ze swoją matką. Dłonie w rękawiczkach ze świńskiej skóry mocno trzymały kierownicę. Była w bardzo dobrym humorze, a jej samopoczucie można było przypisać paru czynnikom. Pierwszym była wspaniała pogoda. Niebieskie, bezchmurne niebo miało dobry wpływ nie tylko na nią, ale również na wszystkich domowników. Nawet dzieci nie kłóciły się tego dnia przy śniadaniu. George, jedząc swoje niedzielne kiełbaski, pozwolił sobie na dwa dowcipy, opowiedziane z śmiertelnie poważną miną. A pani Croftway, co było niesłychane, sama zaproponowała, że weźmie psy na ich południowy spacer.

Ponieważ Nancy nie musiała przygotowywać ogromnego niedzielnego lunchu, więc ten jeden raz wystarczyło jej czasu na wszystko. Mogła spokojnie zatroszczyć się o swój wygląd (miała na sobie swój najlepszy żakiet i spódnicę, i satynową bluzkę z kokardą wiązaną pod szyją), bez pośpiechu odwieźć Melanię i Ruperta do Wainwrightów i pomachać na pożegnanie George'owi, kiedy wyruszał na zebranie parafialne, a nawet zostało jej dość czasu, żeby pójść do kościoła. Obecność na mszy zawsze sprawiała, że czuła się pobożną i dobrą, tak samo jak uczestniczenie w zebraniach komitetu dawało jej poczucie własnej ważności. Tak więc, ten jeden raz ambicje Nancy zostały w pełni zaspokojone. Była dobrze zorganizowaną panią na włościach, z dziećmi, które spędzą dzień

u odpowiednich znajomych, z mężem spełniającym pochwały godne obowiązki i z oddaną służbą.

Wszystko to napełniało ją niezwykajnym u niej poczuciem pewności siebie i zadowolenia. Miała wrażenie, że w tym dniu, wszystko szło jak po maśle. Jadąc, planowała dokładnie, co powie i co zrobi tego popołudnia. W odpowiednim momencie, gdy będzie sama z matką, może na przykład przy kawie, poruszy temat obrazów Lawrence'a Sterna. Wspomni o ogromnej cenie, jaką zapłacono za *Roznosieli wody* i zaznaczy, że bardzo nierozsądnie i krótkowzrocznie byłoby nie skorzystać z tak pomyślnej sytuacji na rynku aukcyjnym. Widziała siebie, jak mówi to, spokojnie wyliczając argumenty i dając równocześnie do zrozumienia, że ma na myśli tylko dobro matki.

Sprzedać. Oczywiście tylko panneaux, wiszące przy podejściu schodów koło sypialni Penelopy, których nikt nie uważał za arcydzieła. Nie *Poszukiwacze muszelek*. Nie mogło być mowy o pozbyciu się tego obrazu, tak kochanego i będącego tak bardzo częścią życia matki, choć mimo wszystko Nancy zacytuje opinię George'a, wyrażając się przy tym bardzo fachowo i poważnie. Zaproponuje ponowne wycenienie i ubezpieczenie na nowych warunkach. Penelopa, jakkolwiek nadwrażliwa na punkcie swojej własności, chyba nie będzie mogła mieć obiekcji wobec tak rozsądnych propozycji, świadczących o troskliwej opiece, jaką roztacza nad nią córka?

Wijąca się droga prowadziła na szczyt wzgórza i w dolinie ukazało się miasteczko Tempie Pudley, połyskujące jak krzemień w świetle słońca. Nic nie zakłócało sennego krajobrazu, z wyjątkiem pióropusza ciemnego dymu, który unosi się z ogniska w ogrodzie jej matki. Nancy była tak zaabsorbowana planami sprzedaży obrazów i rozmyślaniami, jak by najszybciej dobrać się do setek tysięcy przeslicznych funtów, że zapomniała o prawdziwym powodzie spotkania u matki w ten weekend, czyli o uprzątnięciu strychu w Podmore's Thatch. Dopiero dym z ogniska przypomniał jej o tym. Miała jednak nadzieję, że nikt nie zapędzi jej do żadnej brudnej roboty. Nie była ubrana na palenie ognisk.

W chwilę później, kiedy zegar na wieży kościelnej wybijał wpół do pierwszej, skręciła w bramę naprzeciw domu jej matki i podjechała do otwartych drzwi. Zobaczyła starego jaguara należącego do Noela, zaparkowanego przed garażem, jakiś nie znany sobie rower oparty o ścianę domu oraz stos smętnie wyglądających rupieci, nie nadających się do spalenia, które zwalono koło garażu, zapewne z zamiarem wywiezienia ich gdzieś na wysypisko za miasteczkiem. Były tam: waga dla niemowląt, wózek dla lalek bez jednego koła, żelazna rama od łóżka i parę wyszczerbionych nocników. Przeszła obok tego wszystkiego i weszła do domu.

— Matko.

Kuchnia, jak zawsze, pełna była cudownych zapachów. Pieczeń z jagnięcia, świeżo poszatkowane liście mięty, plasterki cytryny. Nancy przypomniało się własne dzieciństwo i ogromne, wspaniałe posiłki, przyrządzane w wielkiej kuchni domu przy ulicy Oakley. Zdało jej się, że śniadanie było już bardzo dawno temu i poczuła, jak w ustach zbiera jej się ślinka.

— Matko.

— Jestem tutaj.

Znalazła ją w cieplarni, gdzie stała bez ruchu, pogrążona w myślach. Nancy zauważyła, że w przeciwieństwie do niej, matka nie była ubrana odświętnie, tylko w swoje najstarsze rzeczy. Wyblakła i wysłużona spódnica z dzinsowego materiału, bawełniana bluzka koszulowa z wytartym kołnierzykiem i pocerowany rozpinany sweter, z rękawami podciągniętymi do łokci. Nancy położyła na stole swoją torebkę z jaszczurczej skórki, zdjęła rękawiczki i podeszła do matki, żeby ją pocałować.

— Co robisz? — spytała.

— Zastanawiam się, gdzie będziemy jeść obiad. Właśnie miałam nakryć do stołu w pokoju jadalnym, kiedy pomyślałam sobie, że jest taki piękny dzień, więc dlaczegoż by nie urządzić tego tutaj. Jest tak cudownie ciepło, nawet kiedy drzwi do ogrodu są otwarte. Popatrz tylko na moje frezje! Czyż nie są rozkoszne? Jak to miło cię widzieć i jak dziś elegancko wyglądasz. Więc, jak myślisz? Może zjemy tutaj? Noel mógłby pokrajać mięso w kuchni, a potem przyniesiemy nasze talerze tutaj. Wydaje mi się, że to mogłoby być zabawne. Pierwszy piknik tego roku, a w dodatku wszyscy są brudni, więc może tak rzeczywiście będzie lepiej.

Nancy zerkała w kierunku sadu i kłębiącego się dymu, który unosił się ponad żywopłotem.

— No i jak to wszystko idzie?

— Jak po maśle. Wszyscy ciężko pracują.

— Ale nie ty, mam nadzieję.

— Ja? Ja tylko miałam lunch do upichcenia.

— A ta dziewczyna... Antonia? — Nancy wymówiła to imię bardzo chłodno. Wciąż jeszcze nie wybaczyła ani Oliwii, ani Penelopie pomysłu zaproszenia Antonii i miała cichą nadzieję, że jej wizyta w Podmore's Thatch okaże się nieporozumieniem.

Ale Penelopa rozwiązała jej złudzenia.

— Wstała skoro świt i zabrała się do pracy, razem z wszystkimi, jak tylko zjadła śniadanie. Noel jest na strychu, wydając rozkazy na lewo i na prawo, a Danus i Antonia wnoszą śmieci i rupiecie i pilnują ogniska.

— Mam nadzieję, że ona nie przysparza ci kłopotów?

— Ależ skąd, jest urocza.

— A co Noel o niej myśli?

— Na początku powiedział, że nie jest w jego typie, ponieważ ma białe rzęsy. Wyobrażasz sobie? On nigdy nie znajdzie sobie żony, jeśli nie będzie umiał patrzeć dalej niż na rzęsy.

— Na początku? Czy teraz zmienił zdanie?

— Tylko dlatego, że dziś pojawił się inny młody człowiek i zdaje się, że Antonia zaprzyjaźniła się z nim. Noel często zachowuje się jak pies ogrodnika. Mam wrażenie, że przytarto mu nosa.

— Inny młody człowiek? Czy mówisz o swoim ogrodniku?

— Tak. Nazywa się Danus. To miły chłopak.

Nancy była oburzona.

— To znaczy, że Antonia i ogrodnik mają się ku sobie?

Jej matka roześmiała się.

— Och, Nancy, gdybyś mogła tylko zobaczyć swój wyraz twarzy. Nie powinnaś być taką snobką ani nie powinnaś wyrażać opinii o tym młodym człowieku, jeśli go jeszcze nie spotkałaś.

Lecz Nancy nie dała się przekonać.

— Co się tu działo? Mam nadzieję, że nie palą niczego, co chciałabyś zachować?

— Nie. Noel naprawdę dobrze to zorganizował. Od czasu do czasu wysyła po mnie Antonię i muszę pójść, i wypowiedzieć swoje zdanie o tej, czy innej rzeczy. Była mała sprzeczka na temat biurka na pół zjedzonego przez korniki. Noel zdecydował, że powinno się je spalić, ale Danus powiedział, że szkoda go na spalenie i że można wytępić korniki i doprowadzić biurko do bardzo dobrego stanu. Więc powiedziałam mu, że jeśli ma ochotę zająć się tymi kornikami... szczęśliwe korniki... może sobie wziąć to biurko. Noel był bardzo niezadowolony i poszedł na górę cały naburmuszony, ale to nieistotne. Zajmijmy się lepiej lunchem. Musimy podjąć jakąś decyzję. Zjedźmy go tutaj. Możesz mi pomóc nakryć do stołu.

Zajął się więc przygotowaniami i całkiem sprawnie im to szło. Rozłożyły stół na całą długość i nakryły ciemnoniebieskim lnianym obrusem. Nancy przyniosła srebro i kieliszki z pokoju jadalnego, a jej matka złożyła białe serwetki, nadając im kształt stożka. Na koniec pośrodku stołu Penelopa ustawiła różowe geranium w doniczce, okrytej kapturkiem w kwiatki. Efekt był zachwycający. Wyglądało to i ślicznie, i bardzo bezpretensjonalnie. Nancy cofnęła się, żeby lepiej ogarnąć wzrokiem całość i, jak zwykle, nie mogła się nadziwić zmysłowi estetycznemu matki, która potrafiła stworzyć nie tylko miłą atmosferę, ale także, z najprostszego czasem przedmiotów, wyczarować prawdziwie piękną kompozycję. Nancy przypuszczała, że miało to coś wspólnego z posiadaniem ojca artysty i pomyślała z niezadowoleniem o swoim pokoju jadalnym, który, niezależnie od tego ile włożyła w to wysiłku, zawsze wyglądał nudno, nijako i ciemno.

— Teraz — powiedziała Penelopa — nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać, aż „robotnicy” przyjdą zjeść. Usiądź sobie tu w słońcu, a ja pójde się ogarnąć, a potem przyniosę ci drinka. Na co masz ochotę? Kieliszek wina? A może gin z tonikiem?

Nancy odparła, że chętnie napije się ginu z tonikiem, a kiedy została sama, zdjęła żakiet i rozejrzała się dookoła. Gdy jej matka po raz pierwszy oświadczyła, iż zamierza zbudować cieplarnię, Nancy i George byli temu bardzo przeciwni. Uważali, że to dzika ekstrawagancja, głupi luksus, na który Penelopa na pewno nie mogła sobie pozwolić. Ale ich zdanie zostało zignorowane i delikatną, zwiewną konstrukcję wybudowano. Teraz ciepłe, pięknie pachnące, zielone i pełne kwiatów miejsce było, Nancy musiała to przyznać, godne pozazdroszczenia, ale nie udało się jej nigdy dowiedzieć, ile to kosztowało. Te myśli naprowadziły ją znowu na bardzo frustrujący temat pieniędzy. Kiedy wróciła jej matka, z ładnie ułożonymi włosami, przypudrowaną twarzą i pachnąca swoimi najlepszymi perfumami, Nancy, usadowiona w najwygodniejszym z wiklinowych foteli, zastanawiała się, czy to był odpowiedni moment, żeby poruszyć temat sprzedania obrazów, i właśnie układała sobie w głowie parę taktownych zdań otwierających rozmowę, gdy Penelopa uprzedziła ją, odzywając się pierwsza i poruszając zupełnie inny i nieoczekiwany temat.

— Masz tutaj. Gin z tonikiem... Mam nadzieję, że jest dość mocny.

Dla siebie przyniosła kieliszek wina. Przysunęła sobie drugi fotel i usiadła, wyciągając długie nogi przed siebie i wystawiając twarz do słońca.

— Ach, czy to nie rozkosz? Co twoja rodzina porabia dzisiaj?

Nancy opowiedziała jej.

— Biedny George. Wyobraź sobie, spędzić cały dzień w zamkniętym pomieszczeniu, w towarzystwie ponurych biskupów. A kim są ci Wainwrightowie? Czy spotkałam ich kiedyś u ciebie? To dobrze, że dzieci mogły się gdzieś wybrać same. A jeśli już o to chodzi, to jest to dobre dla każdego. Czy chciałabyś pojechać ze mną do Kornwalii?

Nancy, zaskoczona, zwróciła ku matce twarz, na której malowało się zdziwienie połączone z niedowierzaniem.

— Do Kornwalii?

— Tak. Chcę pojechać do Porthkerris. Wkrótce. Nagle opanowała mnie szalenie silna potrzeba, żeby znów się tam znaleźć. Byłaby to wielka frajda dla mnie, gdyby ktoś mi towarzyszył.

— Ale...

— Wiem. Nie byłam tam od czterdziestu lat i wszystko na pewno się pozmieniało, i nie spotkam starych znajomych. Ale mimo to chcę pojechać. Żeby to wszystko jeszcze raz zobaczyć. Dlaczego byś nie miała pojechać ze mną? Zatrzymałybyśmy się u Doris.

— U Doris?

— Tak. U Doris. Och, Nancy, to niemożliwe, żebyś zapomniała Doris. Nie mogłabyś. To przecież ona cię wychowywała, praktycznie rzecz biorąc, do czwartego roku życia, do momentu kiedy opuściłyśmy Porthkerris na zawsze.

Oczywiście że Nancy pamiętała Doris. Nie potrafiła wywołać z pamięci wyraźnego obrazu swego dziadka, ale pamiętała Doris, pamiętała jej słodki zapach, zapach talku, jej silne ręce i przytulne, miękkie ciepło jej piersi. Pierwsze niezatarte wspomnienie jej życia było związane z Doris. Siedziała w wózku, na trawniku za domem, otoczona kaczkami i kurami szukającymi pożywienia w trawie, a Doris wieszła pranie, walcząc z silnym wiatrem, wiejącym od morza. Obraz ten utkwiał jej w pamięci na zawsze, tak żywy i jasny jak ilustracja z książki. Widziała Doris, z rozwianymi włosami, z uniesionymi do góry rękami, widziała powiewającą na wietrze prześcieradła i poszewki, i jaskrawoniebieskie niebo.

— Doris ciągle jeszcze mieszka w Porthkerris — ciągnęła dalej Penelopa. — Ma mały domek. W Downalong. Tak nazywaliśmy dzielnicę koło portu, w starej części miasta. A teraz, odkąd jej chłopcy są już na swoim, ma osobny pokój gościnny. Ciągle mnie prosi, żebym przyjechała. Na pewno bardzo chciałaby ciebie zobaczyć. Byłaś jej ukochanym dzidziusiem. Płakała, kiedy wyjeżdżałyśmy. Ty też płakałaś, chociaż zapewne nie rozumiałaś całkiem tego, co się działo.

Nancy przygryzała wargi. Mieszkanie u starej służącej w jakiejś chałupinie w miasteczku w Kornwalii — nie tak wyobrażała sobie wakacje. A poza tym...

— A co z dziećmi? — spytała. — Nie byłoby dość miejsca dla dzieci.

— Jakie dzieci?

— Melania i Rupert, oczywiście. Nie mogłabym pojechać na wakacje bez nich.

— Na litość boską, Nancy. Nie proszę twoich dzieci, proszę ciebie. A dlaczego nie możesz pojechać na wakacje bez nich? Są wystarczająco duże, żeby można je było zostawić z ich ojcem i panią Croftway. Pomyśl o sobie. Zrób to, na co masz ochotę. Pojedź sobie gdzieś sama. To nie byłoby na długo. Parę dni, nie dłużej niż tydzień.

— Kiedy masz zamiar jechać?

— Jak najszybciej. Kiedy tylko dam radę.

— Och, matko, to takie trudne. Mam tyle różnych spraw, którymi muszę się zająć... Święto parafialne do przygotowania i konferencja Partii Konserwatywnej... Muszę wydać przyjęcie tego dnia. A także obóz jeździecki, na który jedzie Melania ze swoim Klubem „Pony”...

Wreszcie umilkła, gdyż zabrakło jej wymówek. Penelopa nic nie powiedziała. Nancy dodała sobie otuchy dużym łykiem lodowatego ginu z tonikiem i ukradkiem spojrzała na matkę. Zobaczyła wyraźnie zarysowany profil, zamknięte oczy.

— Matko?
— Hm?
— Może trochę później... kiedy nie będę taka zajęta. Może we wrześniu...

— Nie. To musi być zaraz — przerwała stanowczym tonem Penelopa. — Ale nie martw się tym. Wiem, że jesteś zajęta. To był tylko taki pomysł.

Zapadło pomiędzy nimi milczenie, które Nancy wydało się uciążliwe pełne niewypowiedzianych wyrzutów. Ale dlaczego niby miałyby się czuć winna? Nie mogła przecież wyruszyć tak nagle w podróż do Kornwalii, prawie bez uprzedzenia, nie mając czasu przygotować się i uporządkować wszystkiego przed wyjazdem.

Nancy nie umiała siedzieć w milczeniu. Lubiła, żeby strumień wymiany zdań płynął nieprzerwanie. Ideałem była nie kończąca się pogawędka. Próbowwała więc wymyślić szybko jakiś temat do rozmowy, ale stwierdziła, że nic nie przychodzi jej do głowy. Naprawdę, matka potrafiła być czasem okropnie irytująca. To nie była przecież wina Nancy. To tylko dlatego, że jest taka zajęta, tak zaangażowana w dom, sprawy męża i dzieci. Matka postąpiła niesprawiedliwie, wywołując w niej poczucie winy.

Tak właśnie zastał je Noel. Jeśli Nancy miała tego dnia udany poranek, to Noel miał okropny. Gdy przetrząsał całą tę rupieciarnię na strychu, poprzedniego dnia, przyświecała mu nadzieja, że lada moment odkryje coś niezwykle cennego. Fakt, że nic takiego się nie stało, nie ułatwił zaiste ciężkiej pracy tego ranka. Poza tym skonsternowało go nieco pojawienie się Danusa. Spodziewał się tępawego, muskularnego wiejskiego chłopaka, tymczasem zastał spokojnego i milczącego młodego człowieka, którego niebieskie oczy, patrzące prosto i zdecydowanie przed siebie, wprawiały Noela w zakłopotanie. Fakt, że Danus natychmiast spodobał się Antonii, w niczym nie poprawił humoru Noela. A odgłosy ich przyjacielskiej pogawędki, podczas gdy krążyli tam i z powrotem po wąskich schodach z rękami pełnymi tekturowych pudełek i połamanych mebli, stały się powodem wzrastającej irytacji. Sprzeczką, dotyczącą biurka na pół zjedzonego przez korniki, była ostatnią kroplą przepełniającą czarę goryczy. Za kwadrans druga wszystko było już zasadniczo uprzątnięte, a to co zostało — odsunięte pod ścianę i Noel stwierdził, że ma już absolutnie dość. Poza tym był brudny. Musiał wziąć prysznic, a przede wszystkim musiał się napić. Umył więc tylko twarz i ręce i poszedł na dół. Nalał sobie kieliszek wytrawnego martini, bardzo mocnego. Trzymając drinka w ręce, przeszedł przez kuchnię i znalazł się w nagrzanym słońcem cieplarni. Widok matki i siostry siedzących sobie wygodnie w wiklinowych fotelach i wyglądających,

jakby nie tknęły tego ranka żadnej roboty, zdenerwował go jeszcze bardziej.

Na odgłos kroków Nancy podniosła głowę i spojrzała w jego stronę. Uśmiechnęła się serdecznie, jakby ten jeden raz rzeczywiście ucieszyła się, że go widzi.

— Cześć, Noel.

Nie odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech, tylko oparł się o framugę drzwi i patrzył na siedzące kobiety. Zdawało się, że matka zapadła w drzemkę.

— A co wy tutaj robicie, wylegając się na słońcu, podczas gdy inni zaharowują się na śmierć?

Penelopa nie poruszyła się. Uśmiech Nancy stracił nieco na spon-taniczności, ale pozostał przyklejony do jej twarzy. Noel w końcu odpowiedział skinieniem głowy w jej kierunku.

— Cześć — odezwał się i poszedł przyciągnąć sobie wiklinowy fotel, w którym usadowił się z dala od starannie nakrytego stołu.

Penelopa otworzyła oczy. Nie drzemała ani nie spała.

— Czy skończyłeś?

— Tak. Jestem wykończony. Kompletnie. Ruina człowieka.

— Nie chodziło mi o ciebie, tylko o strych.

— Tak, praktycznie rzecz biorąc, tak. Trzeba tylko, żeby jakaś pracowita gospośnia zamiotła podłogę i robota jest załatwiona.

— Noel, jesteś nadzwyczajny. Co ja bym zrobiła bez ciebie?

Ale jej pełen wdzięczności uśmiech został zignorowany. Noel nie zareagował, powiedział tylko:

— Umieram z głodu, kiedy będzie lunch?

— Kiedy zechcesz. — Odstawiła kieliszek z winem, usiadła prosto i zapatrzyła się w ogród. Dym nadal kłębił się i unosił, ale pozostałych dwojga nie było widać. — Może ktoś poszedłby po Antonię i Danusa, a ja pójdę i przyrządzę sos.

Zapadła cisza. Noel czekał, aż Nancy zgłosi się do wykonania tego, niezbyt trudnego przecież, zadania, ale ona skupiła się całkowicie na wyskubywaniu jakiegoś kłaczka ze swojej spódnicy i w ogóle zachowywała się tak, jakby nic nie usłyszała.

— Ja nie mam już sił — jęknął Noel i odchylił się do tyłu, chwiejąc się na krześle. — Idź, Nancy, trochę ruchu dobrze ci zrobi.

Nancy, która rozszyfrowała w tej uwadze aluzję do swoich obfitych kształtów, natychmiast się obraziła, co zresztą Noel przewidział.

— Dziękuję ci bardzo.

— Wyglądasz tak, jakbyś nie skalała się żadną robotą przez całe rano.

— Tylko dlatego, że ładnie się ubrałam na lunch. — Spojrzała znacząco w jego stronę. — Czego nie można powiedzieć o tobie. Nie musisz od razu wyciągać takich wniosków.

— A w co George ubiera się na **lunch** w niedzielę? **W toge?**

Nancy, wojowniczo nastawiona, wyprostowała się.

— Jeżeli to ma być śmieszne...

Dogryzali sobie tak dalej, wymieniając złośliwe i kąśliwe uwagi, tak jak to zawsze mieli w zwyczaju. Coraz bardziej zdenerwowana Penelopa straciła cierpliwość. Pomyślała, że nie może tego słuchać ani minuty dłużej. Wstała gwałtownie.

— Ja po nich pójde — oznajmiła, a oni nawet nie drgnęli, pozwalając jej odejść, przez zalany słońcem trawnik, przez szorstką, zimową, nie strzyżoną jeszcze trawę. Siedzieli naburmuszeni, nie zauważając uroku rozświetlonej ciepłymi promieniami cieplarni, nie rozmawiając ze sobą, nie patrząc na siebie i troszcząc się tylko o tulone w dłoniach drinki, pielęgnowali wzajemną wrogość.

Była zdenerwowana. Pozwoliła, żeby wyprowadzili ją z równowagi. Czuła, jak krew uderza jej do policzków, a serce zaczyna swój nierówny, szybki taniec. Szła wolno, nie spiesząc się, oddychając głęboko, mówiąc sobie, żeby nie była idiotką. To nie miało znaczenia, że jej dorosłe dzieci, zachowywały się dalej jak dzieci, którymi już nie były. To nie było ważne, że Noel myślał tylko o sobie, że Nancy stała się taka drobnomieszczariska, obłudna i wynosząca się ponad innych. To nic nie szkodzi, że żadne z nich, nawet Oliwia, nie chciało pojechać z nią do Kornwalii.

Gdzie był błąd? Kiedy to się popsuło? Co się stało z tymi maleńkimi dziećmi, które urodziła i kochała, które wychowywała, kształciła i którymi się opiekowała? Być może problem tkwił w tym, że za mało od nich wymagała, że tak niewiele się po nich spodziewała. Ale nauczyła się w twardej szkole tych londyńskich, powojennych lat nie spodziewać się niczego od innych, polegać tylko na sobie. Gdy utraciła rodziców i starych przyjaciół, którzy byli dla niej podporą, zostali jej tylko Ambrose i jego matka. Bardzo szybko jednak się zorientowała, że zwracanie się do nich po jakkolwiek pomoc nie miało sensu. Była sama. Była też samotna i to na wiele sposobów.

Zdać się tylko na własne siły. To była podstawa, jedyna metoda na wyjście z rozmaitych kryzysów, jakie los mógł zgotować. Być sobą. Być niezależnym. Używać własnego rozumu i samodzielnie podejmować decyzje, tak żeby pokierować tym, co zostało jej z życia. Nie potrzebując moich dzieci. Znając ich wady, widząc, jakie są ich słabości, Kocham je wszystkie, ale ich nie potrzebuję.

Modliła się o to, żeby nigdy w przyszłości ich nie potrzebowała.

Była teraz spokojniejsza, była nawet w stanie uśmiechnąć się do siebie. Przeszła przez szparę w żywopłocie i spojrzała na biegnące w dół zbocze, na którym rozłożył się sad, nakrapiany plamami słońca i cienia. Na jego końcu ogromne ognisko wciąż płonęło, trzaskając i wypuszczając kłęby dymu. Danus i Antonia stali przy nim. Danus rozgrzebywał czerwony

jeszcze popiół, a Antonia, siedząc na brzegu taczek, obserwowała go. Zdjęli swetry i byli w samych podkoszulkach, zagadani, ich głosy słychać było wyraźnie w nieruchomym powietrzu.

Wydawali się być tak zaabsorbowani sobą i uradowani swoim towarzystwem, że aż żal było im przerywać, nawet po to, żeby zaprosić ich na lunch, składający się z pieczeni jagnięcej, cytrynowego sufletu i kruchego ciasta z truskawkami. Pozostała więc przez chwilę w tym samym miejscu, pozwalając sobie na przyjemność po prostu obserwowania tej uroczej, sielankowej sceny. W pewnym momencie Danus przestał rozgrzebywać popiół, oparł się na widłach i powiedział coś, czego nie dało się usłyszeć, a Antonia roześmiała się. Dźwięk tego śmiechu przyniósł Penelopie, z przeszywającą dokładnością, wspomnienie innego śmiechu, pełnego niespodziewanej ekstazy i fizycznej radości, które zdarzają się może tylko raz w życiu człowieka.

To było dobre. A nic prawdziwie dobrego nie idzie na marne. Pozostaje częścią człowieka, częścią jego charakteru.

Inne głosy. Inne światy. Przypominając sobie tę ekstazę, zdała sobie sprawę, że przepełniło ją uczucie nie straty, ale odnowy, jakby dane jej było przeżyć coś jeszcze raz, choć na inny sposób. Nancy i Noel, i męcząca irytacja, której stali się przyczyną, wszystko to zostało zapomniane. To nie miało żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, tylko ta chwila prawdy.

Mogłaby tak stać i marzyć przez cały dzień, ale Danus zauważył ją i zamachał ręką, więc zwijając dłonie w trąbkę wokół ust, zawołała, że czas na lunch. Odpowiedział skinieniem głowy i pochylił się, żeby podnieść z ziemi ich porzucone swetry. Antonia wstała z taczek, a Danus zarzucił jej sweter na ramiona i zawiązał rękawy pod brodą. Wyruszyli w górę sadu, ścieżką pomiędzy drzewami, idąc obok siebie; oboje wysocy i smukli, opaleni, młodzi i, w oczach Penelopy, bardzo piękni.

Poczuła się wdzięczna. Nie tylko za ich ciężką pracę i wszystko to, czego dokonali w ciągu tego ranka, ale po prostu za samą ich obecność. To oni, nie mówiąc słowa, przywrócili jej spokój i poczucie sensu życia, pomogli ustawić na nowo skalę wartości. W myślach gorąco dziękowała losowi za tak nieoczekiwany obrót spraw (a może był to palec Boży — chciałyby móc być tego pewna...), za możliwość poznania ich, za to, że została jej ofiarowana jakby druga szansa w życiu.

Jedno trzeba sprawiedliwie przyznać Noelowi, a mianowicie to, że jego zły humor nigdy nie trwał długo. Kiedy wszyscy zebrali się już w cieplarni, popijał drugiego drinka, napełniwszy też ponownie szklanekę swojej siostry, i Penelopa stwierdziła z ulgą, że całkiem przyjacielsko ze sobą gawędzili.

— No to już teraz jesteśmy wszyscy razem. Nancy, nie poznałaś jeszcze Danusa ani Antonii. To moja córka, Nancy Chamberlain. Noel, bądź naczelnym barmanem... Przynieś im obojgu coś do picia, a potem może przyjdiesz do kuchni pokroić mi pieczeń...

Noel odstawił swoją szklankę i z nieco udawanym wysiłkiem podniósł się z fotela.

— Czego się napijesz Antonio?

— Piwo byłoby pyszne.

Oparła się o stół, a jej nogi w spłowiały eh džinsach wydawały się nie mieć końca. Kiedy córka Nancy, Melania, nosiła džinsy, wyglądała w nich koszmarnie, ponieważ miała bardzo szerokie biodra. Ale na Antonii džinsy wyglądały fantastycznie. Nancy stwierdziła, że życie jest naprawdę niesprawiedliwe. Zastanawiała się, czy nie zarządzić diety dla Melani, ale zaraz zrezygnowała z tego pomysłu, bowiem Melania zawsze robiła wszystko na przekór, niemal automatycznie odrzucając wszelkie propozycje swojej matki.

— A co dla ciebie, Danus?

Wysoki, młody człowiek potrząsnął przecząco głową.

— Coś bezalkoholowego. Sok. Może być szklanka wody.

Noel, zdziwiony, próbował go jeszcze namówić, ale spotkał się ze stanowczą odmową, więc wzruszył ramionami i zniknął we wnętrzu domu. Nancy zwróciła się do Danusa.

— Czy w ogóle pan nie pije?

— Alkoholu, nie.

Był wyjątkowo przystojny. Bardzo starannie się wyrażał. Gentelman. Niesłychane. Cóż on tu robi, pracując jako ogrodnik u jej matki?

— Nigdy pan nie pił?

— Właściwie to nie. — Nie wydawał się tym wcale zmartwiony.

— Może — ciągnęła dalej Nancy, drażąc temat, bo było to coś tak niesamowitego, spotkać młodego człowieka, który odmawiał wypicia nawet szklanki piwa. — Może nie lubi pan tego smaku?

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym odparł:

— Tak, może to dlatego. — Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu, ale mimo to Nancy nie była pewna, czy on nie stroi sobie z niej żartów.

Miękka pieczeń jagnięca, pieczone ziemniaki i groszek, zostały wdzięcznie przyjęte i zniknęły w okamgnieniu, kieliszki trzeba było parokrotnie napełniać winem, a na końcu podano deser. Wszyscy byli już teraz odprężeni i w pogodnym nastroju. Rozmowa potoczyła się w kierunku planów na dalszą część dnia.

— Ja — oznajmił Noel, polewając kruche ciasto z truskawkami śmietanką, z biało-różowego dzbanuszka — kończę robotę na dzisiaj.

Wycofuję się. Wracam zaraz do Londynu i może uda mi się dzięki temu unkiąć powracających z weekendu tłumów na autostradzie.

— Tak, myślę, że tak będzie najlepiej — zgodziła się jego matka.
— Zrobiłeś już dosyć. Musisz być wyczerpany.

— A co jest jeszcze do zrobienia? — chciała wiedzieć Nancy.

— Została jeszcze do wyniesienia i spalenia ostatnia porcja gratów, a potem trzeba zamieść podłogę.

— Ja to zrobię — powiedziała od razu Antonia.

Nancy przypomniała sobie o stosie rupieci przed domem.

— A co z tymi wszystkimi rzeczami zwalonymi między garażem a drzwiami frontowymi? Połamany wózek i ramy od łóżka. Nie można ich tam zostawić na nie wiadomo jak długo. Podmore's Thatch wygląda przez to jak obozowisko wędrownego druciarza.

Nastąpiła przerwa, podczas której każdy czekał, aż ktoś inny coś zaproponuje. Wreszcie odezwał się Danus:

— Możemy to zawieźć na wysypisko w Pudley.

— Jak? — spytał Noel.

— Jeśli pani Keeling się zgodzi, to moglibyśmy to załadować do jej samochodu.

— Oczywiście, że się zgadzam.

Noel spojrzał na młodego ogrodnika.

— Dziś po południu.

— Czy wysypisko jest czynne w niedzielę?

— Ależ tak — zapewniła go Penelopa. — Jest otwarte cały czas. Obok, w czymś w rodzaju szopy, mieszka taki miły staruszek. Brama nigdy nie jest zamknięta.

Nancy była oburzona.

— Chcesz powiedzieć, że on tam mieszka cały czas? W szopie koło wysypiska? A co na to władze miejskie? Przecież to potwornie niehigieniczne.

Penelopa roześmiała się.

— Nie wydaje mi się, żeby to była osoba zbyt wymagająca, jeśli chodzi o higienę. Jest strasznie brudny i nie ogolony, ale za to czarujący. Kiedyś mieliśmy strajk śmieciarzy, więc musieliśmy sami wywozić śmieci na wysypisko i wtedy on wszystkim bardzo chętnie pomagał.

— Ale...

Przerwał jej jednak Danus, co było dość zaskakujące, bo w czasie posiłku, prawie w ogóle się nie odzywał.

— W Szkocji, koło miasteczka, w którym mieszka moja babcia, jest wysypisko, przy którym od trzydziestu lat mieszka stary włóczęga. — A po chwili dodał: — W szafie.

— Mieszka w szafie? — głos Nancy był bardziej przerażony i oburzone niż przed chwilą.

— Tak. Jest bardzo duża. Wiktoriańska.

— Ależ to potwornie niewygodne.

— Można by tak przypuszczać, prawda? Ale on wydaje się być bardzo zadowolony. Jest dobrze znaną i szanowaną postacią. Chodzi sobie po całej okolicy, w gumiakach i starej pelerynie. Ludzie częstują go herbatą i kanapkami z dżemem.

— Ale co on robi wieczorem?

Danus potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia.

— Dlaczego tak się martwisz o jego wieczory? — chciał wiedzieć Noel. — Mnie się wydaje, że cała jego egzystencja jest czymś tak koszmarnym, że to, jak spędza wieczory, jest drobnostką.

— No, bo musi mu być okropnie nudno. Nie ma telewizji ani telefonu... — głos Nancy urwał się, gdy próbowała sobie wyobrazić tak straszne wyrzeczenia.

Noel pokręcił głową z takim wyrazem twarzy, jaki Nancy zapamiętała z przeszłości, kiedy jako mały, bystry chłopiec usiłował wytłumaczyć jej reguły jakiejś prostej gry w karty.

— Jesteś beznadziejna — powiedział, a Nancy zamilkła, obrażona. Noel zwrócił się do Danusa.

— Pochodzisz ze Szkocji?

— Moi rodzice mieszkają w Edynburgu.

— Czym zajmuje się twój ojciec?

— Jest prawnikiem.

Nancy, zaciekawiona, zapomniała o urazie.

— A ty nigdy nie chciałeś też być prawnikiem?

— Kiedy byłem w szkole, zdawało mi się, że może pójdę w jego ślady. Ale potem zmieniłem zdanie.

Noel oparł się wygodniej o oparcie krzesła.

— Zawsze wyobrażałem sobie Szkotów jako ludzi ogromnie wysportowanych, polujących na jelenie, kuropatwy i uprawiających wędkarstwo. Czy twój ojciec robi coś takiego?

— Chodzi na ryby i gra w golfa.

— Czy jest także Starszym w Kościele? — Noel powiedział to w udawanym, pseudoszkockim akcentem, w taki sposób, że jego matka miała ochotę zazgrzytać zębami. — Czyż nie tak ich nazywacie, na skutek lodem północy?

Danus, niewzruszony, nie dał się sprowokować.

— Tak, jest Starszym Kościoła. Jest także Łucznikiem.

— Nie całkiem rozumiem. Oświeć mnie.

— Jest członkiem Honorowego Towarzystwa Łuczników. Straż Królowej. Kiedy królowa przyjeżdża do Holyrood House, mój ojciec, specjalnie na takie okazje, wkłada swój archaiczny mundur i wygląda wspaniale.

- A czymże on broni królowej, łukiem i strzałami?
- Tak, zgadza się.

Przez moment dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie, mierząc się wzrokiem.

— Fascynujące — pierwszy skapitulował Noel i nałożył sobie drugą porcję kruchego ciasta z truskawkami.

Ogromny posiłek, godny Gargantui, zakończyła świeżo parzona kawa i ciemna czekolada deserowa. Noel odsunął swoje krzesło, ziewnął z wielką satysfakcją i powiedział, że idzie spakować swoją torbę, żeby od razu wyruszyć, zanim zwali się z nóg i straci przytomność. Nancy zaczęła zbierać talerzyki i filiżanki, w nieco chaotyczny sposób, próbując ułożyć je jedno na drugim.

— A ty, co zamierzasz zrobić? — spytała Danusa Penelopa. — Wrócić do ogniska?

— Dobrze się teraz pali. Może lepiej najpierw pozbadźmy się tych gratów, które trzeba wywieźć na wysypisko. Załaduję je do pani samochodu.

Po chwili milczenia Penelopa zaproponowała:

— Jeśli możesz poczekać, aż skończę z naczyniami, zawiozę cię.

Noel zamarł, w trakcie ziewania, z rękami w gorze.

— Daj spokój, mam, przecież on nie potrzebuje szofera.

— Wręcz przeciwnie — odparł Danus — i owszem, potrzebuję. Ja nie prowadzę samochodu.

Tym razem nastąpiła długa przerwa, podczas której Noel i Nancy wpatrywali się w niego, z ustami otwartymi ze zdziwienia.

— Nie prowadzisz? To znaczy, nie umiesz? To jak ty się, do cholery, w ogóle gdziekolwiek poruszasz?

— Na rowerze.

— Co za niesamowity facet z ciebie... A może to dlatego, że masz jakieś niezłomne zasady co do zanieczyszczania powietrza, czy coś w tym rodzaju?

— Nie.

— Ale...

Antonia włączyła się do rozmowy, mówiąc bardzo szybko:

— Ja mogę poprowadzić samochód. Jeśli mi pozwolisz, Penelopo. Ja będę kierować, a Danus powie mi, którądy mam jechać.

Spojrzała na Penelopę ponad stołem i obie uśmiechnęły się do siebie równocześnie, jak dwie kobiety, które mają wspólny sekret. Penelopa powiedziała:

— To by było bardzo miłe z twojej strony. Najlepiej jak pojedziecie od razu, a w tym czasie ja i Nancy uporamy się z naczyniami i kiedy wrócicie, możemy wszyscy pójść razem do sadu i zakończyć palenie ogniska.

— Ale ja — zaprotestowała Nancy — muszę wracać do domu. Nie mogę zostać na całe popołudnie.

— Ależ zostań, jeszcze na chwilę. Prawie w ogóle nie miałam czasu z tobą pogadać. Nie masz na pewno nic bardzo ważnego do roboty...

Wstała, sięgnęła po tacę. Antonia i Danus też wstali, pożegnali się z Noelem i wyszli przez kuchnię. Noel i Nancy siedzieli w milczeniu, podczas gdy ich matka zaczęła układać filiżanki na tacy, ale kiedy tylko usłyszeli trzaśnięcie drzwi wyjściowych i wiedzieli, że tamci nie mogą ich już usłyszeć, oboje zaczęli mówić równocześnie.

— Co za przedziwny facet z niego.

— Taki poważny, nigdy się nie uśmiecha...

— Skąd ty go wytrzasnęłaś, mammo?

— Czy wiesz coś o jego pochodzeniu? Jest bardzo dobrze wychowany, to widać. To bardzo podejrzane, że pracuje jako ogrodnik...

— No i jeszcze do tego nie pije alkoholu i nie prowadzi samochodu. Dlaczego niby nie może prowadzić?

— Ja myślę — powiedziała Nancy bardzo poważnym tonem — że zapewne zabił kogoś, prowadząc po pijanemu i odebrano mu prawo jazdy.

Było to podejrzenie niepokojąco bliskie jej własnym rozmyślaniom, ale Penelopa poczuła się natychmiast w obowiązku stanąć w obronie Danusa.

— Na litość boską, mogłabyś przynajmniej dać temu biednemu człowiekowi czas na dojście do bramy wjazdowej, zanim zaczniesz nicować jego charakter.

— Daj spokój mammo, wiesz dobrze, że facet jest dziwny, wiesz to równie dobrze jak my. Jeśli mówi prawdę, pochodzi z bardzo szacownej i, przypuszczalnie, zamożnej rodziny. A więc dlaczego haruje za pensję dla fizycznego pracownika rolnego?

— Nie mam pojęcia.

— Pytałaś go?

— Oczywiście, że nie. Jego prywatne życie to wyłącznie jego sprawa.

— Ale, matko, czy on się sam zgłosił, czy z czyjegoś polecenia?

— Oczywiście, że nie sam. Zaangażowałam go przecież przez firmę ogrodniczą.

— Czy jesteś pewna, że on jest uczciwy?

— Uczciwy? A dlaczegoż by nie miał być uczciwy?

— Jesteś taka naiwna, matko, masz zaufanie do każdego, kto choćby tylko wygląda jako tako przyzwoicie. Przecież, w końcu, on pracuje w ogrodzie, wokół domu, a ty mieszkasz sama.

— Nie mieszkam sama. Mam Antonię.

— Antonia robi wrażenie, jakby tak samo straciła dla niego głowę, jak i ty...

— Nancy, co ci daje prawo mówić takie rzeczy?

— Gdybym się nie martwiła o ciebie, nie musiałabym ich mówić.

— A cóż takiego miałyby, według ciebie, ten Danus zrobić? Zapewne zgwałcić Antonię i panią Plackett. Zamordować mnie, ograbić mój dom i uciec z tym wszystkim na kontynent europejski. Na wiele by mu się to nie zdało, bo i tak nie ma tu nic wartościowego.

Powiedziała to wszystko w podnieceniu i zdenerwowaniu, ale natychmiast pożałowała użytego słowa, ponieważ Noel rzucił się na nią, z szybkością kota spadającego na mysz.

— Nic wartościowego! A obrazy twojego ojca? Czy żadne moje argumenty nie przekonają cię, czy nie rozumiesz, że jesteś tutaj zagrożona; nie masz systemu alarmowego, nie zamykasz drzwi na klucz i z całą pewnością nie masz wystarczającego ubezpieczenia. Nancy ma rację. Nic nie wiemy o tym dziwaku, którego zatrudniłaś jako ogrodnika, a nawet gdybyśmy wiedzieli, to naprawdę jest niepoważne — w każdym wypadku — żeby nie podejmować żadnych kroków. Sprzedać albo ubezpieczyć na nowo, albo zrobić coś, do jasnej cholery.

— Mam takie dziwne przeczucie, że chciałbyś chyba, żebym je sprzedała.

— Mamo, nie denerwuj się. Pomyśl racjonalnie. Nie *Poszukiwaczy muszelek*, oczywiście, ale z pewnością te panneaux. Teraz, póki cena na rynku jest taka wysoka. Dowiedz się, ile dokładnie są warte i wystaw je na sprzedaż.

Penelopa, która cały czas stała, teraz usiadła z powrotem. Oparła łokieć o stół, a czoło oparła na dłoni. Drugą ręką sięgnęła po nóż do smarowania i zaczęła nim żłobić siateczkę wzorków na grubej tkaninie ciemnoniebieskiego obrusu. Po chwili spytała:

— A co ty sądzisz. Nancy?

- J a ?

— Tak, ty. Co ty masz do powiedzenia na temat moich obrazów, mojego ubezpieczenia i w ogóle na temat mojego prywatnego życia?

Nancy przygryzła wargi, odetchnęła głęboko, a potem zaczęła mówić. Jej głos był wysoki, wyraźny i brzmiał tak, jakby przemawiała na zebraniu w Instytucie Kobiet.

— Ja sędzę... ja sędzę, że Noel ma rację. George uważa, że powinnaś ubezpieczyć obrazy na nowych warunkach. Tak mi powiedział, po tym jak przeczytał o sprzedaży *Roznosicieli wody*. Ale opłaty zapewne byłyby bardzo wysokie. A także towarzystwo ubezpieczeniowe może zażądać jakiegoś systemu alarmowego, czy coś w tym rodzaju. W końcu, muszą brać pod uwagę bezpieczeństwo swojego klienta.

— Brzmi to tak — odparła Penelopa — jakbyś cytowała George'a, słowo w słowo, albo jakbyś czytała z jakiegoś niezrozumiałego podręcznika. Czy ty w ogóle masz jakieś własne zdanie?

— Tak — powiedziała Nancy, tym razem już normalnym tonem.
— Mam. Uważam, że powinnaś sprzedać te panneaux.

— I być może, zarobić jakieś pół miliona?

Wypowiedziała te słowa prawie od niechcenia. Rozmowa przybierała bardziej pomyślny obrót, niż Nancy ośmieliłaby się spodziewać i poczuła, że robi jej się gorąco z podniecenia.

— Dlaczegoż by nie?

— A jak już je sprzedam, to co powinnam zrobić z tymi pieniędzmi?

Spojrzała na syna. Noel wymownie wzruszył ramionami i powiedział:

— Pieniądze dane za życie są warte dwa razy tyle, co pieniądze dane po śmierci.

— Inaczej mówiąc, chcesz je dostać teraz.

— Mamo, tego nie powiedziałem. Po prostu uogólniam. Ale musisz przyznać, że trzymanie u siebie takiej sumy byłoby równoznaczne z oddaniem jej rządowi.

— Dlatego uważasz, że powinnam ją oddać tobie.

— No cóż, masz troje dzieci. Mogłabyś przekazać im część sumy, podzieliwszy na trzy części. Zostawić sobie trochę, żeby ułatwić i uprzyjemnić sobie życie. Nigdy nie było cię na to stać. Zawsze musiałś pracować od świtu do nocy i oszczędzać na wszystkim. Kiedyś dużo podróżowałaś ze swoimi rodzicami, mogłabyś teraz znowu pozwolić sobie na podróż. Pojechać do Florencji. Odwiedzić jeszcze raz południe Francji.

— A co wy zrobilibyście z tymi pieniędzmi?

— Przypuszczam, że Nancy wydałaby je na swoje dzieci. A jeśli chodzi o mnie... Ja poszukałbym nowych możliwości.

— Jakich?

— Nowe pole działania. Zacząć coś na własną rękę... być może biuro maklerskie.

Był dokładnie taki sam jak jego ojciec. Wiecznie niezadowolony ze swego losu, zawistny o sukces innych, materialista, ambitny i absolutnie niezachwiany w swoim przekonaniu, że świat jest mu winien wszystko. Słuchając Noela miała wrażenie, jakby to Ambrose mówił do niej i to, bardziej niż cokolwiek innego, spowodowało, że Penelopa straciła cierpliwość.

— Biuro maklerskie. Pośredniczenie w podejrzanych interesach na giełdzie. — Nie zrobiła żadnego wysiłku, żeby ukryć pogardę i szyderstwo w swoim głosie. — Chyba zwariowałaś. Równie dobrze mógłbyś postawić cały swój kapitał na jednego konia na wyścigach albo na jeden kolor w ruletce. Nie masz za grosz sumienia i czasami aż obrzydzenie mnie bierze i wpadam w rozpacz z twojego powodu.

Noel otworzył usta, żeby się bronić, ale ona nie dopuściła go do słowa, podnosząc głos.

— Czy wiesz, co ja myślę? Myślę, że nic absolutnie nie obchodzi cię, co stanie się ze mną, z moim domem, czy z obrazami mojego ojca. Troszczysz się tylko o siebie samego i o to, jak by najszybciej dobrać się do większej ilości pieniędzy. — Noel zamknął usta, a jego szczupła twarz pobladła i stężała z gniewu. — Na razie nie sprzedawałam tych dwóch obrazów i możliwe, że nigdy ich nie sprzedam, ale jeśli to zrobię, to zatrzymam wszystko dla siebie, bo obrazy są moje i mam prawo zrobić z nimi co mi się podoba, a najcenniejszy prezent, jaki rodzice mogą dać swojemu dziecku, to ich własna niezależność i samowystarczalność. A jeśli chodzi o ciebie, Nancy, i o twoje dzieci, to ty sama i George zdecydowaliście, żeby posłać je do tych idiotycznie drogich szkół. Gdybyście nie mieli aż tak wygórowanych ambicji co do nich, a także, gdybyście spędzali więcej czasu ucząc ich, jak powinni się zachowywać, zapewne byłyby to dzieci o wiele bardziej sympatyczne, niż są w tej chwili.

Nancy zareagowała bardzo szybko, zaskakując nawet samą siebie, stanęła natychmiast w obronie swoich latorośli.

— Będę ci wdzięczna za niekrytykowanie moich dzieci.

— Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił.

— A jakie ty masz prawo je krytykować? W ogóle się nimi nie interesujesz. Więcej obchodzą cię twoi niezliczeni ekscentryczni znajomi i twój nieszczęsny ogród. Nigdy nie przyjeżdżasz odwiedzić swoich wnuków. Nigdy nie przyjeżdżasz do nas, jakkolwiek często byśmy cię nie zapraszali...

Teraz Noel stracił cierpliwość.

— Och, na litość boską, Nancy, zamknij się. Twoje cholerne dzieci nie mają tu nic do rzeczy. Nie rozmawiamy o twoich dzieciach. Staramy się prowadzić inteligentną dyskusję...

— Właśnie że mają do rzeczy i to bardzo dużo. To one są pokoleniem przyszłości...

— Niech nas Bóg broni...

— ... i na pewno są o wiele więcej warte wsparcia finansowego niż jakiś twój pomyślony pomysł na zbijanie dużej forsy. Matka ma rację. Roztrwoniłbyś to wszystko, stracił na hazard...

— Wysłuchiwać coś podobnego od ciebie, to śmieszne. Nie masz własnego zdania na żaden temat i w ogóle nie masz błędnego pojęcia o czymkolwiek...

Nancy wstała gwałtownie.

— Mam tego dosyć. Nie zostanę tu dłużej, żeby mnie obrażano. Jadę do domu.

— Tak — powiedziała jej matka. — Wydaje mi się, że już czas, żebyście oboje pojechali. Myślę też, że całe szczęście, że nie ma tu Oliwii. Gdyby słyszała tę okropną rozmowę, zniszczyłaby was oboje. Chociaż

z drugiej strony, gdyby ona była tu z nami, jestem pewna, że żadne z was nie miałyby odwagi nawet zacząć tej żalostnej dyskusji. A teraz... — wstała i wzięła tacę. — Oboje jesteście, jak mnie o tym ciągle zapewniacie, bardzo zajęci. Nie ma żadnego sensu marnować reszty popołudnia na bezowocne kłótnie. Ja, w każdym razie, idę zabrać się do zmywania naczyń.

Kiedy Penelopa szła w kierunku kuchni, Noel wypuścił ostatnią zatrutą strzałę:

— Jestem pewien, że Nancy marzy o tym, żeby ci pomóc. Nic nie sprawia jej takiej radości, jak stanie przed zlewem pełnym brudnych naczyń.

— Powiedziałaś już, że mam dosyć. Jadę do domu. A jeśli chodzi o zmywanie naczyń, to nie ma powodu, żeby matka robiła z siebie męczennika. Antonia może pozmywać, jak wróci. W końcu, czyż nie miała być pomocą domową?

Penelopa, która dochodziła już do otwartych drzwi, zastygła w pół kroku. Powoli odwróciła głowę i popatrzyła na Nancy, a w jej ciemnych oczach pojawił się taki wyraz obrzydzenia, że Nancy zaczęła podejrzewać, iż posunęła się za daleko.

Ale jej matka nie rzuciła w nią tacą z filiżankami po kawie. Po prostu powiedziała bardzo cicho:

— Nie, Nancy, ona nie miała być pomocą domową. Ona jest moim przyjacielem. Moim gościem.

Wyszła. Wkrótce usłyszeli odgłos wody napełniającej zlewozmywak i pobrzękiwanie porcelany i sztućców. Zapadła cisza przerywana jedynie bzyczeniem wielkiej muchy, która zmylona piękną, słoneczną pogodą postanowiła wybrać ten właśnie moment na opuszczenie swojej zimowej kryjówki. Nancy sięgnęła po żakiet i włożyła go. Zapinając guziki, podniosła głowę i popatrzyła na Noela. Ich oczy spotkały się. Noel wstał.

— Możesz sobie pogratulować — syknął. — Spaprałaś sprawę dokumentnie.

— Mów sam za siebie. To sobie możesz podziękować — odcięła się Nancy.

Zostawił ją, znikając na piętrze, dokąd poszedł po swoje rzeczy. Nancy czekała na jego powrót nie ruszając się z miejsca. Za wszelką cenę postanowiła zachować godność, dać do zrozumienia, że zraniono jej uczucia i nie spuścić ani trochę z tonu. Tymczasem zajęła się swoją toaletą. Przeczesała włosy, upudrowała zaczerwienioną ze zdenerwowania twarz i nałożyła świeżą warstwę szminki na usta. Była głęboko urażona i bardzo chciała już wyrwać się stąd, ale nie miała odwagi zrobić tego sama. Matka zawsze umiała postawić na swoim i Nancy pomyślała, że tym razem opuści ten dom bez jakichkolwiek przeprosin. W końcu za co niby miała przeproszać? To matka była absolutnie nieznośna, to matka powiedziała wszystkie te niewybacalne rzeczy.

Kiedy usłyszała, że wraca Noel, zatrzasnęła puderniczkę, wsunęła ją do torebki i weszła do kuchni. Zmywarka do naczyń mruczała, a Penelopa, odwrócona do nich plecami, szorowała garnki w zlewozmywaku.

— No, to my będziemy się już zbierać — odezwał się Noel.

Penelopa zostawiła garnki, otrząsnęła ręce z wody i odwróciła się do nich. Ani fartuch, ani zaczerwieniona twarz, nie ujmowały jej godności. Nancy pamiętała, że jej rzadkie wybuchy gniewu nigdy nie trwały długo. Matka nigdy nie pielęgnowała w sobie urazy do nikogo, nigdy się nie dąsała. Teraz nawet się uśmiechnęła, ale był to dziwny uśmiech. Tak jakby było jej ich żal, jakby, w jakiś sposób, pokonała ich.

— To miło z waszej strony, że przyjechaliście — powiedziała, a zabrzmiało to szczerze. — I dziękuję ci, Noel, za twoją ciężką pracę.

— Nie ma sprawy.

Sięgnęła po ręcznik i wytarła ręce. Wszyscy razem wyszli przed dom, gdzie na wysypanym żwirze podjeździe stały oba samochody. Noel wrzucił swoją torbę na tylne siedzenie jaguara, wsiadł do samochodu i machnąwszy nieco nonszalancko ręką, ruszył z piskiem opon, a jego wóz zniknął wkrótce na drodze prowadzącej do Londynu. Nie pożegnał się z żadną z nich, ale ani matka, ani córka nie skomentowały tego.

Nancy bez słowa również wsiadła do swojego samochodu, zapięła pas i wciągnęła na dłonie rękawiczki z świńskiej skóry. Penelopa stała obok, przypatrując się tym przygotowaniom do odjazdu. Nancy czuła ciemny wzrok matki na swojej twarzy, czuła, jak rumieniec oblewa jej szyję i podchodzi do policzków.

— Bądź ostrożna, Nancy. Jedź uważnie — przerwała milczenie Penelopa.

— Zawsze jeżdżę ostrożnie.

— Ale teraz jesteś zdenerwowana.

Nancy, wpatrując się w kierownicę, poczuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Przygryzła wargi.

— Oczywiście, że jestem zdenerwowana. Nic nie jest bardziej denerwujące niż kłótnie rodzinne.

— Kłótnie rodzinne są jak wypadki drogowe. Każda rodzina myśli: „Nam się to nie może przytrafić”, ale to się każdemu może przytrafić. Jedyne sposoby na ich uniknięcie to jechać bardzo ostrożnie i poświęcić wiele uwagi innym.

— Kiedy my właśnie bardzo wiele uwagi poświęcamy tobie. Po prostu chcemy tylko twojego dobra.

— Nie, Nancy, to nie jest tak. Wy tylko chcecie, żebym ja zrobiła to, co wy chcielibyście, żebym zrobiła, czyli — żebym sprzedała obrazy mojego ojca i przekazała wam łup przed moją śmiercią. Ale ja sprzedam obrazy mojego ojca, kiedy zechcę. I nie mam zamiaru umrzeć, jeszcze przez długi czas. — Cofnęła się. — A teraz, jedź już.

Nancy wytarła łzy, przekreśliła kluczyk w stacyjce, wrzuciła bieg i zwolniła hamulec ręczny. Już ruszając, usłyszała słowa matki:

— I nie zapomnij pozdrowić ode mnie George'a.

Odjechała. Penelopa stała jeszcze długo na żwirowej alejce podjazdu, przed frontowymi drzwiami. Odgłos samochodu Nancy dawno już przebrzmiał, pochłonięty przez nieruchomą ciszę tego cudownego, ciepłego, wiosennego popołudnia, a ona nadal się nie poruszyła. Spojrzała w dół i zobaczyła chwast, krzyżownik, który przebijał się do góry, pomiędzy dwoma kawałkami żwiru. Pochyliła się i wyrwała go, odrzuciła daleko, a potem odwróciła się i weszła do domu.

Była sama. Błogosławiona samotność. Garnki mogły poczekać. Przeszła przez kuchnię i weszła do salonu. Wiedziała, że wieczór będzie chłodny, więc zapaliła zapalkę i przytknęła ją do przygotowanej na kominku podpałki. Kiedy ogień strzelił wysokim, równym płomieniem, wstała z kłęczek i podeszła do biurka. Znalazła kawałek papieru wydarty z gazety, zawierający reklamę firmy Boothby's, na którą Noel zwrócił jej uwagę tydzień temu. Zanotowała: *Zadzwoń do pana Roya Brooknera*. Położyła go na środku bibuły i zabezpieczyła przyciskiem, a potem wróciła do kuchni. Otworzyła szufladę, z której wyjęła mały, ostry nożyk do jarzyn i poszła z nim na górę do swojej sypialni. Jej pokój zalany był teraz złotym, popołudniowym światłem słonecznym, odbijającym się w lustrach i szybach, połyskującym na srebrze. Położyła nożyk na swojej toalecie i poszła otworzyć ogromną wiktoriańską szafę, która ledwie mieściła się pod pochyłym sufitem. Szafa była pełna jej ubrań. Wyjęła wszystkie, kładąc je całymi naręczami na łóżku. Musiała więc przez jakiś czas ciągle chodzić tam i z powrotem, między szafą a łóżkiem, aż wreszcie całe duże łóżko, przykryte narzutą bawełnianą robioną na szydełku, zarzucone zostało wszelkiego rodzaju odzieżą i przypominało stoisko na kościelnej wyprzedazy dla celów dobroczynnych lub szatnię damską w czasie jakiegoś zwariowanego przyjęcia.

Ale szafa stała pusta i jej tylna ściana była widoczna. Wiele lat temu całe wnętrze wytapetowane zostało ciemnym papierem w wytłaczany wzorek, a pod nim można było rozróżnić przypominające kasetony, kwadratowe wgłębienia typowe dla starych mebli. Penelopa wzięła nożyk i sięgając do głębokiego wnętrza, przesuwała palcami po nierównej powierzchni tapety. Znalazłszy to, czego szukała, wsunęła ostrze noża nisko w kacie, pomiędzy spod szafy a jej tylną ścianę i delikatnie zaczęła rozcinać papier, jakby otwierała kopertę. Starła się ocenić wymiary. Dwie stopy w górę, trzy stopy w bok i znowu dwie stopy w dół. Duży kawał tapety zaczął się odginać, zwijać i w końcu odpadł, odsłaniając przedmiot, który był pod nim schowany przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Sfatygowana, tekturowa teczka, związana sznurkiem i umocowana do tylnej ściany szafy przy pomocy taśmy klejącej.

Tego wieczora Oliwia **zadzwoiła do Noela, który wrócił już do Londynu.**

— No i jak poszło?

— Wszystko zrobione.

— Czy znalazłeś coś ciekawego?

— Ani śladu.

— A to dopiero! — Usłyszał rozbawienie w jej głosie i przeklął ją po cichu. — Cała ta ciężka praca na nic. Nie przejmuj się, może następnym razem będziesz miał szczęście. Jak się ma Antonia?

— W porządku. Zdaje się, że ogrodnik wpadł jej w oko.

Miał nadzieję, że zaszokuje ją tą wiadomością.

— Tak? To bardzo fajnie — odparła Oliwia. — Jaki on jest?

— Dziwny.

— Dziwny? Czy masz na myśli, że sprawia wrażenie odmieńca? Pedała?

— Nie. Chodzi mi o dziwny w sensie: nie na swoim miejscu, nie pasujący. Jak ryba wyjęta z wody. Jak okrągły kołek w kwadratowej dziurze. Pochodzi wyraźnie z zamożnej rodziny, wykształcony w dobrej, prywatnej szkole, więc cóż on robi, pracując jako ogrodnik? I jeszcze jedno — nie prowadzi samochodu i nie pije. Nigdy się nie uśmiecha. Nancy jest przekonana, że on ukrywa jakąś ponurą tajemnicę i ten jeden raz jestem skłonny zgodzić się z nią.

— A co mamusia o nim sądzi?

— Mamie się podoba. Mama traktuje go jak zaginionego siostrzeńca, który odnalazł się po latach.

— W takim razie, nie ma się co martwić. Mamusia nie jest głupia ani naiwna. Jak ona się miewa?

— Jak zwykle.

— Nie za bardzo zmęczona?

— Nie. Jest w dobrej formie, na tyle, na ile mogłem to ocenić.

— Nie mówiłeś jej nic o tych szkicach? Nie wspominałeś o nich? Nie pytałeś jej o nie?

— Ani słowem. Jeśli one kiedykolwiek istniały, to zapewne o nich zapomniała. Wiesz, jaka ona potrafi być roztargniona — zawahał się, a potem ciągnął dalej, jakby od niechcenia. — Nancy była na lunchu. Zaczęła przytaczać opinię George'a na temat ubezpieczenia obrazów na nowych warunkach. Zrobiła się z tego awantura.

— Och, Noel.

— Znasz przecież Nancy. Bez cienia wyczucia, nietaktowna, głupia krowa.

— Czy mamusia się zdenerwowała?

— Tak, trochę. Starałem się jakoś załagodzić sprawę. Ale teraz mama uparła się przy swoim i na pewno nic nie zrobi w tej kwestii.

— No cóż, przecież to jej prywatna sprawa. W każdym razie dziękuję ci za zawieszenie Antonii.

— Nie ma o czym mówić, cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy w poniedziałek rano Penelopa szła na dół Danus już pracował w ogrodzie, w warzywniku. Wkrótce potem przyjechał listonosz małą, czerwoną furgonetką, a zaraz po nim, pani Plackett, pedałując z powagą na swoim rowerze. Wyjęła z torby fartuch i opowiedziała pani Keeling, że w sklepie gospodarczym w miasteczku jest właśnie wyprzedaż i byłby to dobry moment na kupienie nowej szufli do węgla. Właśnie omawiały tę ważną kwestię, kiedy pojawiła się Antonia i została przedstawiona pani Plackett. Po krótkiej rozmowie na temat wydarzeń ostatniego weekendu pani Plackett wzięła odkurzacz i ścierki i poszła na górę. W poniedziałki zawsze sprzątała wszystkie sypialnie. Antonia zaczęła smażyć sobie boczek na śniadanie, a Penelopa weszła do salonu, zamknęła za sobą drzwi i siadła przy swoim biurku, żeby zatelefonować.

Była dziesiąta. Wykręciła numer.

— Tu firma pośrednictwa sprzedaży dzieł sztuki, Boothby's. W czym mogę pani pomóc?

— Czy mogłabym mówić z panem Brooknerem?

— Proszę chwileczkę poczekać.

Penelopa czekała. Czuła się podenerwowana.

— Tu mówi Roy Brookner — odezwał się niski, kulturalny, bardzo miły głos.

— Dzień dobry panu, nazywam się Penelopa Keeling i dzwonię z mojego domu w Gloucestershire. W niedzielnym wydaniu *Timesa* z zeszłego tygodnia było ogłoszenie dotyczące obrazów z epoki wiktoriańskiej. Podano tam pana nazwisko i numer telefonu.

— Tak?

— Zastanawiałam się, czy może będzie pan w tej okolicy w najbliższym czasie?

— Jest coś, co chciałyby mi pani pokazać?

— Tak. Parę dzieł Lawrence'a Sterna.

W jego głosie dało się słyszeć jakby wahanie.

— Lawrence Stern? — powtórzył.

— Tak.

— Czy jest pani pewna, że to obrazy Lawrence'a Sterna?

Uśmiechnęła się.

— Tak, całkiem pewna. Lawrence Stern był moim ojcem.

Znów mała przerwa. Wyobrażała sobie, że sięga po notes, zdejmując zakrętkę z wiecznego pióra.

— Czy może mi pani podać swój adres i numer telefonu? Właśnie patrzę na mój terminarz. Czy w tym tygodniu byłoby za wcześnie?

— Im wcześniej tym lepiej.

— Środa? Czy czwartek?

Penelopa zastanowiła się, obmyśliła szybko plany na ten tydzień.

— Czwartek byłby najlepszy.

— O której godzinie?

— Po południu? Około drugiej?

— Świetnie. W czwartek muszę być w Oxfordzie, mogę załatwić to rano, a stamtąd przyjechać do pani.

— Proszę kierować się na Pudley, tak jest najłatwiej. Na szosie jest drogowskaz z nazwą miasteczka.

— Na pewno trafię — zapewnił ją. — O drugiej w czwartek. Bardzo pani dziękuję, pani Keeling, że pani do mnie zadzwoniła.

Czekając na jego przyjazd, Penelopa kręciła się po swojej cieplarni, a to podlewając fiołki alpejskie, a to przycinając pożółkłe liście geranium. Pogoda zrobiła się wietrzna. Wschodni wiatr przygnał ogromne chmury żeglujące po niebie, spomiędzy których co pewien czas przebijało się słońce. Ale kilka ciepłych dni zrobiło swoje, bo w sadzie kołysały się już żonkile i pierwsze pierwiosnki pokazywały blade twarzyczki, a lepkie pąki kasztanowców pękały, ukazując delikatne, pomarszczone, młodziutkie listki.

Miała na sobie swoje najbardziej eleganckie ubranie, jak przystało na tak ważną i oficjalną wizytę. Spacerując po cieplarni próbowała domyślić się, jak też pan Brookner może wyglądać. Znała tylko jego imię i nazwisko, a także słyszała jego głos przez telefon. Były więc to nikłe przesłanki i ile razy się nad tym zastanawiała, przychodziła jej do głowy inna wersja, wyobraźnia podsuwała coraz to inny obraz. Będzie bardzo młodym intelektualistą, studentem, o wypukłym czole, a przy kołnierzyku będzie miał różową muchę. Będzie starszym już profesorem, o ogromnej erudycji lub może żywym, energicznym typem biznesmena, używającym żargonu i mającym komputer zamiast mózgu.

Jak się okazało, nie był podobny do żadnej z tych wyobrażonych postaci. Kiedy parę minut po drugiej usłyszała trzaśnięcie drzwiczek od samochodu, a wkrótce potem dzwonek do drzwi frontowych, odstawiła konewkę i przeszła przez kuchnię, żeby mu otworzyć. Otworzyła drzwi i zobaczyła go stojącego tyłem do niej. Stał na żwirowej alejce, rozglądając się dookoła, jakby cieszył się ciszą i spokojem wiejskiego widoku. Odwrócił się natychmiast. Był bardzo wysokim, dystygnowanym gentlemanem, o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach, odsłaniających opalone, wysokie czoło i o piwnych oczach, którymi obserwował ją z uprzejmym zainteresowaniem zza solidnych okularów w rogowej oprawie. Miał na sobie dobrze skrojony, tweedowy garnitur, koszulę w kratkę i krawat w dyskretne pasczki. Gdyby dodać mu cylinder i lornetkę, byłby ozdobą najbardziej eleganckiego towarzystwa na wyścigach.

— Pani Keeling?
— Tak, panie Brookner. Dzień dobry — podała mu rękę.
— Właśnie podziwiałem widok. Co za śliczne miejsce i uroczy dom.
— Będzie pan musiał niestety wejść do niego przez kuchnię, bo nie mam holu od frontu... — Wprowadziła go do środka i od razu jego uwagę zwrócił czarujący widok na cieplarnię, zalaną słońcem i pełną zieleni.
— Nie przejmowałbym się holem, gdybym miał tak piękną kuchnię... i jeszcze do tego cieplarnię.

— Cieplarnię dobudowałam, ale reszta domu jest w takim stanie, w jakim go zastałam.

— Czy od dawna pani tu mieszka?

— Od sześciu lat.

— Mieszka pani sama?

— Przeważnie tak. Ale akurat w tej chwili mieszka ze mną młoda znajoma, tylko dziś wyjechała na całe popołudnie. Zawiozła mojego ogrodnika do Oxfordu... Zabrali kosiarkę do trawy, żeby dać ją do zaostżenia.

Pan Brookner wyglądał na lekko zdziwionego.

— Musicie jechać aż do Oxfordu, żeby dać kosiarkę do ostrzenia?

— Nie, ale chciałam ich mieć z głowy, kiedy pan tu będzie — powiedziała Penelopa bez ogródek. — A poza tym mają też kupić sadzonki ziemniaków do warzywnika i jeszcze parę rzeczy do ogrodu, więc wyprawa nie pójdzie na marne. A teraz, czy napiły się pan kawy?

— Nie, dziękuję.

— W porządku.

Stał spokojnie, nie okazując żadnego zniecierpliwienia, robiąc wrażenie, że mógłby tak stać bardzo długo.

— No to, w takim razie, nie traćmy więcej czasu. Chodźmy najpierw oglądnąć panneaux — zaproponowała Penelopa.

— Jak sobie pani życzy.

Wyprowadziła go z kuchni, wąskimi schodami, na mały podest.

— ... oto one, wiszą po obu stronach drzwi do mojej sypialni. To są ostatnie prace mojego ojca. Nie wiem, czy pan o tym wie, ale on okropnie cierpiał na artretyzm. Kiedy malował te obrazy, już ledwie mógł utrzymać pędzel w ręku i dlatego, jak pan widzi, nie zostały nigdy skończone.

Stała z boku, robiąc mu miejsce, żeby mógł podejść bliżej, przyjrzeć się i odsunąć parę kroków — (tylko na odległość jednej lub dwóch stóp, bo inaczej spadłyby drugimi schodami w dół) — a potem znowu się zbliżyć. Nic nie mówił. Może mu się nie podobały. Żeby pokryć swoje zdenerwowanie, zaczęła znowu mówić.

— Te obrazy właściwie zaczęły się od żartu. Widzi pan, mieliśmy mały dom w Porthkerris, wysoko na wzgórzu, i nigdy nie było dość

pieniędzy, żeby utrzymać go w dobrym stanie, więc coraz więcej w nim było odrapanych miejsc. Hol został wytapetowany starym papierem typu Morris, ale był już bardzo zużyty, a mojej matki nie było stać na kupienie nowego, więc zaproponowała papie, żeby namalował dwa podłużne, dekoracyjne pan.ueaux, które zakryłyby te najgorsze miejsca, gdzie papier był najbardziej wystrzępiony i podarty. Chciała, żeby były to obrazy w jego starym stylu, alegoryczno-fantastycznym, i żeby należały już tylko do niej, tak żeby mogła je mieć na zawsze. Spełnił jej prośbę i to jest właśnie rezultat. Ale nie mógł ich skończyć, Sophie... moja matka... jednak twierdziła, że wcale jej to nie przeszkadza, a nawet mówiła, że podobają się jej jeszcze bardziej właśnie takie, jakie są.

Nadal się nie odzywał. Penelopa zastanawiała się, czy zbiera się na odwagę, żeby jej powiedzieć, iż są nic niewarte, kiedy nagle obrócił się do niej i uśmiechnął.

— Nazwała je pani nie dokończonymi, pani Keeling, a jednak są one w cudowny sposób kompletne i tworzą zamkniętą całość. Nie ma w nich, oczywiście, aż tak finezyjnie dopracowanych szczegółów, jak w jego wielkich dziełach z przełomu wieków, ale mimo to są na swój sposób doskonałe. Cóż to był za kolorysta! Niech pani tylko spojrzysz na błękit tego nieba.

Penelopa uśmiechnęła się z wdzięcznością

— Tak się cieszę, że się panu podobają. Moje dzieci stale je albo ignorowały, albo szczególnie ostro krytykowały, ale mnie sprawiały one zawsze ogromną przyjemność.

— Nic dziwnego, tak właśnie powinno być — z trudem oderwał wzrok od panneaux. — Czy jest jeszcze coś, co chciałaby mi pani pokazać, czy to już wszystko?

— Mam jeszcze coś na dole.

— Możemy pójść obejrzeć?

— Oczywiście.

Poszli więc znów na dół do salonu. Jego oczy natychmiast zatrzymały się na *Poszukiwaczach muszelek*. Przed przyjazdem Brooknera zaświeciła wąską, podłużną lampkę, która oświetlała obraz, czekający teraz na jego ocenę. W tej chwili wydawał się Penelopie bardziej cenny i drogi niż kiedykolwiek indziej; świeży, jasny i chłodny, jak w dniu w którym został ukończony.

Po dłuższej chwili powiedział:

— Nie wiedziałem, że taki obraz istnieje.

— Nigdy nie był wystawiony.

— Kiedy został namalowany?

— W 1927. Ostatni obraz ojca. Plaża północna w Porthkerris, malowana z okna jego atelier. Jedno z tych dzieci, to ja. Nazywa się

Poszukiwacze muszelek. Kiedy wyszłam za mąż, dał mi to w prezencie ślubnym. To było czterdzieści cztery lata temu.

— Co za prezent! Co za skarb, mieć coś takiego na własność. Mam nadzieję, że nie znajduje się pani w takiej sytuacji, że musi pani to sprzedać?

— Nie. Nie zamierzam sprzedać tego obrazu. Ale chciałam go panu pokazać...

— Cieszę się, że mogłem go zobaczyć.

Jego wzrok znów powędrował w kierunku obrazu. Po pewnym czasie Penelopa zorientowała się, że on czeka na jej następny ruch i przygląda się obrazowi już tylko dla zabicia czasu.

— Niestety, to już wszystko, proszę pana. Za wyjątkiem paru szkiców.

Odrzucił się od *Poszukiwaczy muszelek*, a wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.

— Parę szkiców?

— Mojego ojca.

Czekał, aż ona powie mu o nich coś więcej, ale kiedy tego nie zrobiła, zapytał:

— Czy będzie mi wolno je zobaczyć?

— Nie wiem, czy one są coś warte, a nawet czy w ogóle pana zainteresują.

— Nie mogę tego wiedzieć, póki ich nie obejrzę.

— Oczywiście. — Sięgnęła za kanapę i wyciągnęła sfatygowaną tekturową teczkę związaną sznurkiem. — Są tutaj.

Brookner wziął od niej teczkę i usiadł w wiktoriańskim fotelu o szerokich oparciach na ręce. Położył teczkę na dywanie u swoich stóp i długimi, zmysłowymi palcami rozwiązał zasupłany sznurek.

Roy Brookner miał spore doświadczenie w swoim zawodzie. Przez długie lata praktyki nauczył się być całkowicie odpornym na szok i na rozczarowanie. Nauczył się nawet, jak radzić sobie z najgorszą z możliwych koszmarnych sytuacji, czyli z klasycznym przypadkiem biednej starszej pani, której zabrakło, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, pieniędzy i postanowiła wycenić, a następnie sprzedać swój najcenniejszy skarb. Informowała o tym firmę Boothby's, Roy Brookner, co należało do jego obowiązków, umawiał się na spotkanie i wyruszał w podróż — przeważnie dość długą — do jej domu. A pod koniec dnia do niego należało rozdzierające serce zadanie poinformowania jej, że obraz nie jest pędzla Landseera, że dzban, który uważany był za unikat z epoki Ming, nie był niczym podobnym, a pieczęć z kości słoniowej, mająca być własnością Katarzyny Medycejskiej, nie pochodziła z czasów tej damy lecz z końca dziewiętnastego

wieku, a więc — jednym słowem — owe przedmioty nie miały żadnej wartości.

Pani Keeling nie była biedną starszą panią, ponadto była córką Lawrence'a Sterna, ale mimo to, otwierał teczkę bez specjalnych nadziei. Właściwie nie wiedział, czego się spodziewać. To co znalazł, tak go zaskoczyło, że nie mógł uwierzyć własnym oczom. ^{re}

Szkice, powiedziała Penelopa Keeling, ale nie powiedziała jakie. Wykonane olejną farbą na płótnie miały wystrzępione brzegi noszące rdzawe ślady po pinezkach, którymi były przypięte do ram. Powoli, nie spiesząc się, podnosił jeden po drugim i wpatrując się w nie z niedowierzaniem i zachwytem, odkładał na bok. Kolory nadal były żywe, a tematy natychmiast rozpoznawalne. W coraz większym podnieceniu katalogował je z pamięci. *Duch wiosny. Nadejście kochanka. Roznosiciele wody. Bóg morza. Ogród Terrazzo...*

To było niemal zbyt wielkie bogactwo. Jak smakosz w połowie ogromnego posiłku, poczuł się tak syty, że musiał zrobić sobie przerwę. Zatrzymał się, jego ręce znieruchomiały, zwisając luźno pomiędzy kolanami. Penelopa Keeling stała obok pustego kominka, czekając na jego osąd. Podniósł wzrok i spojrzał w jej stronę. Dzieliła ich bardzo niewielka odległość. Przez długą chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Lecz wyraz jego twarzy powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć.

Uśmiechnęła się, a uśmiech rozświetlił jej ciemne oczy i wyglądała tak, jakby te wszystkie minione lata nigdy nie zaistniały. Przez sekundę miał wrażenie, że widzi tę piękną, młodą kobietę, którą kiedyś musiała być. Wtedy przyszło mu do głowy, że gdyby był młody, kiedy ona była młoda, przypuszczalnie zakochałby się w niej. Powiedział:

— Skąd one się wzięły?

— Miałam je przez dwadzieścia pięć lat, schowane w tylnej ścianie szafy.

Zmarszczył brwi.

— Ale gdzie je pani znalazła?

— Były w pracowni mojego ojca, w ogrodzie przy naszym domu na ulicy Oakley.

— Czy ktokolwiek inny wie o ich istnieniu?

— Chyba nie. Ale mam wrażenie, że Noel, mój syn, zaczął podejrzewać — chociaż jakim sposobem i z jakiego powodu, nie mam pojęcia — że one istnieją. Ale nie mogą być tego pewna.

— A dlaczego pani tak sądzi?

— Myszkuje i szuka czegoś, przetrząsnął cały strych. A kiedy nic nie znalazł, był wściekły. Jestem przekonana, że szukał czegoś konkretnego i jestem prawie pewna, że chodziło o te szkice.

— Wygląda na to, że wie, ile mogłyby być warte. — Wyciągnął rękę i obrócił kolejne płótno. — *Ogród Amoretty*. Ile ich jest wszystkich razem?

- Czternaście.
- Czy są ubezpieczone?
- Nie.
- Czy dlatego je pani ukryła?
- Nie. Ukryłam je, bo nie chciałam, żeby Ambrose je znalazł.
- Ambrose?

— Mój mąż — westchnęła. Jej uśmiech zniknął, zabierając ze sobą ten żywy błysk młodości. Wyglądała znowu na swój wiek, przystojna, siwa pani po sześćdziesiątce, zmęczona stanieniem. Opuściła miejsce koło komin-ka i usiadła w kącie kanapy, kładąc jedno ramię wzdłuż oparcia. — Widzi pan, nigdy nie mieliśmy pieniędzy. To było sedno problemu i źródło wszystkich kłopotów.

- Czy mieszkała pani z mężem na ulicy Oakley?

— Tak. Po wojnie. Spędziłam całą wojnę w Kornwalii, ponieważ musiałam opiekować się dzieckiem. A potem moja matka zginęła w czasie bombardowania w Londynie, więc zostałam, żeby zająć się także i papą. A on przekazał mi dom na ulicy Oakley... i... — nagle roześmiała się, potrząsając przecząco głową, jakby straciła nadzieję, że da się to opowiedzieć. — Wszystko takie pogmatwane. Całkiem bez sensu. Jakże pan mógłby coś z tego zrozumieć?

— Mogłaby pani spróbować zacząć od początku i opowiedzieć wszystko do końca.

- To by zajęło cały dzień.

- Mam cały dzień wolny.

- Och, proszę pana, zanudziłabym pana na śmierć.

— Jest pani córką Lawrence'a Sterna — powiedział. — Mogłaby pani czytać mi książkę telefoniczną od okładki do okładki i byłbym zafascynowany.

— Cóż za miły człowiek z pana. W takim razie... Spróbuję. W 1945 roku mój ojciec miał osiemdziesiąt lat. Ja miałam dwadzieścia pięć lat i byłam żoną porucznika Marynarki Wojennej i matką czteroletniego dziecka. Wcześniej przez krótki czas pracowałam jako ochotniczka w Pomocniczej Służbie Królewskiej Marynarki Wojennej — wtedy poznałam Ambrose — ale kiedy zorientowałam się, że spodziewam się dziecka, dostałam zwolnienie i wróciłam do Porthkerris. Zostałam tam do końca wojny. Prawie w ogóle nie widziałam Ambrose w ciągu tych lat. Był na morzu prawie cały ten czas, najpierw na Atlantyku, potem na Morzu Śródziemnym, wreszcie na Dalekim Wschodzie. Przykro mi, ale prawdą jest, że wcale mnie to nie martwiło. Nasz związek był bezmyślnym romanssem wojennym, w normanych czasach pokoju zapewne nie miałyby żadnych szans się rozwinąć.

Poza tym był papa. Zawsze był bardzo energicznym i pełnym życia mężczyzną, ale kiedy Sophie zginęła w czasie bombardowania, postarzał

się w oczach i nie mogło być mowy o opuszczeniu go. Ale kiedy wojna się skończyła, wszystko się zmieniło. Mężczyźni wracali do domów i papa powiedział, że czas, abym wróciła do mojego męża. Wstyd się przyznać, ale ja wcale tego nie chciałam. Wtedy właśnie papa przepisał dom przy ulicy Oakley na mnie. Chciał mnie i moim dzieciom zapewnić poczucie bezpieczeństwa, mówił, że to będzie moją bazą i podstawą niezależności finansowej. Wobec tego nie miałam już żadnej wymówki, żadnego pretekstu, żeby zostać. Nancy i ja opuściłyśmy Porthkerris na zawsze. Papa odprowadził nas na pociąg, żeby nas pożegnać i wtedy widziałam go po raz ostatni, ponieważ w rok potem umarł.

Dom na ulicy Oakley był ogromny. Był tak wielki, że papa, Sophie i ja zawsze zajmowaliśmy tylko suterенę i parter, a górne piętra wynajmowaliśmy lokatorom. Dzięki temu można było pozwolić sobie na utrzymanie domu w jakim takim stanie, bo sam na siebie zarabiał. Kontynuowałam ten układ. Willy i Lalla Friedman, młode małżeństwo, mieszkali tam przez całą wojnę i oni zostali na stałe. Mieli małą dziewczynkę, która była towarzyszem dla Nancy. A co do reszty domu, lokatorzy przychodzili i odchodzili. Większość z nich stanowili artyści, pisarze i młodzi ludzie, którzy starali się wkroczyć do telewizji. Mój rodzaj ludzi. Nie Ambrose.

Potem Ambrose wrócił do domu. Nie tylko wrócił do domu, ale opuścił Marynarkę Wojenną i przyjął propozycję pracy w wydawniczej firmie swojego ojca, Keeling i Philips, przy ulicy St. James. Byłam trochę zdziwiona, kiedy Ambrose mi o tym powiedział, ale ogólnie rzecz biorąc chyba dobrze zrobił. Dowiedziałam się później, że będąc na Dalekim Wschodzie, wszedł w konflikt z kapitanem i otrzymał negatywną opinię. Gdyby więc został w marynarce, zapewne i tak nie zrobiłby kariery.

Nasza sytuacja nie przedstawiała się najgorzej. Nie mieliśmy wiele, ale mieliśmy więcej niż większość młodych małżeństw. Byliśmy młodzi, zdrowi, Ambrose miał pracę i mieliśmy dom, w którym mieszkaliśmy. Ale poza tym nie mieliśmy nic, nic nas nie łączyło, żadnych wspólnych zainteresowań, żadnej płaszczyzny porozumienia, na której dałoby się zbudować jakiś trwały związek. Ambrose był konwencjonalny do szpiku kości, z wyraźną skłonnością do snobizmu... Ja natomiast byłam ekscentryczna, beztroska i trochę nieobliczalna. Sprawy, które wydawały się ważne dla Ambrose, mnie wydawały się trywialne i nie mogłam dzielić jego zaangażowania. No i jeszcze była bardzo kłopotliwa kwestia pieniędzy. Ambrose nigdy mi nic nie dawał. Przypuszczam, że uważał, iż mam swoje własne środki, które w pewnym sensie miałam, ale bez przerwy brakowało mi gotówki. Ponadto w mojej rodzinie pieniądze były czymś, co przy odrobinie szczęścia się miało, ale o czym się nigdy nie mówiło. W czasie wojny dawałam sobie jakoś radę. Dostawałam zasiłek z marynarki, a papa wpłacał trochę każdego miesiąca na moje konto, żeby pomóc

mi w zapłaceniu rachunków. Zresztą wtedy i tak nie było żadnych luksusów, na które można by wydać pieniądze, i wszyscy naokoło byli biedni i skromnie ubrani, więc kwestia pieniędzy nie wydawała się mieć zbyt wielkiego znaczenia.

Lecz wspólne życie z Ambrose i mieszkanie w Londynie zupełnie zmieniło sytuację. Wtedy też urodziła się moja druga córka, Oliwia, a więc przybyła jeszcze jedna buzia do nakarmienia. Poza tym stary dom był w opłakanym stanie. Na szczęście nie został zbombardowany, ale był popękany, zniszczony i wręcz się rozlatywał. Całą instalację elektryczną trzeba było wymienić i naprawić dach. Potem wysiadła kanalizacja i oczywiście wszystko wymagało malowania. Kiedy próbowałam o tym rozmawiać z Ambrose, powiedział, że to mój dom, a więc ja jestem za niego odpowiedzialna. W końcu sprzedałam cztery ogromnie cenne obrazy Charlesa Rainiera, które należały kiedyś do mojego ojca, i za uzyskane w ten sposób pieniądze udało mi się przeprowadzić najpotrzebniejsze i najbardziej podstawowe naprawy. Przynajmniej dach przestał przeciekać i mogłam przestać się zamartwiać, że dzieci zostaną porażone prądem, wtykając palce do rozlatujących się, przestarzałych gniazdek.

Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę, był powrót do Londynu matki Ambrose, Dolly Keeling. Spędziła całą wojnę w Devon, żeby być z dala od bombardowań, a teraz zdecydowała się zamieszkać z powrotem w Londynie. Wynajęła mały domek na ulicy Lincoln i od momentu, w którym przyjechała, zaczęły się kłopoty. Nigdy mnie nie lubiła. Zresztą nie dziwię się jej. Nigdy mi nie przebaczyła, że zaszłam w ciążę i „usidlłam” Ambrose, „złapałam go w pułapkę” małżeństwa. Był jej jedynym dzieckiem, a ona należała do ogromnie zaborczych matek. Tak więc postanowiła go odzyskać. Nagle bycie żoną Ambrose stało się podobne do opiekowania się cudzym psem. Ile razy otwiera się drzwi, pies ucieka z powrotem do swojego domu. Ambrose uciekał z powrotem do matki.

Wpadał do niej na drinka w drodze do domu, po pracy. Przypuszczam, że chodziło nie tylko o drinka, ale o okazywane mu tam współczucie. Brał ją na zakupy w sobotę rano, zawoził do kościoła w niedzielę. Mogło to każdemu obrzydzić chodzenie do kościoła na całe życie.

Biedny człowiek. Nie jest łatwo żyć rozdartym między dwie różne kobiety, usiłując wobec każdej z nich być lojalnym. Ogromnie potrzebował tej uwagi i pochlebstw, których nie szczydziła mu Dolly, a których ja dać mu nie mogłam. Poza tym dom na ulicy Oakley nigdy nie był najspokojniejszym miejscem na świecie. Lubiłam mieć wielu przyjaciół wokół siebie. Ja i Lalla Friedman byłyśmy sobie bardzo bliskie. Ogromnie lubiłam dzieci. Dużo dzieci. Nie tylko Nancy, ale wszystkie jej małe koleżanki szkolne też. Przy ładnej pogodzie w ogrodzie roiło się od nich, wisały z drzew do góry nogami, kołysały się na sznurach lub

siedziały w wielkich, tekturowych pudłach. A wszystkie małe koleżanki miały matki, które przewijały się przez dom, przesiadywały w kuchni, popijając kawę i plotkując. Ciągłe coś się działo — smażyło się konfitury, ktoś przygotowywał wykrój sukienki albo piekł ciasteczka na podwieczorek, a cała podłoga zarzucona była zabawkami. *

Ambrose nie mógł tego znieść. Mówił, że powrót do takiego domu wariatów działa mu na nerwy. Coraz bardziej przeszkadzało mu, że mieszkaliśmy na takiej małej przestrzeni, zwłaszcza że cały, tak obszerny, dom należał do nas. Zaczął napomykać o wyrzuceniu lokatorów, żebyśmy mieli więcej miejsca. Mówił o jadalni na prośzone obiady i salonie na cocktail party, a dla nas chciał urządzić sypialnie, buduar i łazienki w jednym ciągu. Straciłam cierpliwość i zapytałam go, z czego będziemy żyć, jeśli nie będziemy mieć czynszu od lokatorów. Obrząził się na tr7v tygodnie i zaczął spędzać jeszcze więcej czasu ze swoją matką.

Samo przetrwanie wymagało ciągłej walki. Pieniądze były czymś, o co kłóciliśmy się cały czas. Nie wiedziałam w ogóle, ile on zarabiał, więc trudno mi było mieć nad tym jakąś kontrolę. Wiedziałam jednak, że musi coś zarabiać, więc co się z tym działo? Co on z tym robił? Stawiał drinki znajomym? Kupował benzynę do swojego małego samochodu, podarowanego mu przez matkę? Kupował sobie ubrania? Zawsze bardzo lubił elegancko się ubierać. Zaczęło mnie to bardzo intrygować. Postanowiłam się zainteresować jego wydatkami. Znalazłam wyciąg z konta bankowego i zobaczyłam, że pobrał o tysiąc funtów więcej, niż miał zdeponowane. Byłam taka naiwna, taka łatwowierna. W końcu pomyślałam, że znalazł sobie kochankę i wydaje całą swoją pensję na mieszkanie w Mayfair i futra dla niej.

Wreszcie on sam mi powiedział. Został zmuszony. Był winien pięćset funtów bukmacherowi i miał oddać dług w ciągu tygodnia. Robiłam wtedy supę, pamiętam, mieszając w dużym garnku, żeby groch nie przykleił się do dna. Zapytałam go, od jak dawna już stawia na konie, a on odpowiedział, że trzy czy cztery lata. Spytałam także o inne rzeczy i wtedy wszystko wyszło na jaw. Był chyba tym, co dzisiaj nazywa się nałogowym graczem, hazardzistą. Grał w prywatnych klubach. Zaryzykował też parę razy, inwestując poważne sumy na giełdzie, ale mu nie wyszło. A cały ten czas ja nic nawet nie podejrzewałam. Teraz przyznał się do wszystkiego, nawet z pewnym wstydem. Był zrozpaczony i zdeterminowany. Musiał zdobyć pieniądze.

Powiedziałam mu, że nie mam pieniędzy. Poradziłam, żeby poszedł do swojej matki, ale on odpowiedział, że był u niej wiele razy i że wyciągała go niejednokrotnie z opresji, więc nie ma już odwagi pójść tym razem. Zaproponował, żeby sprzedać obrazy, trzy obrazy Lawrence'a Sterna, czyli jedyne trzy jego prace, jakie posiadałam. A kiedy to powiedział, przeraziłam się, prawie na równi z nim, bo wiedziałam, że był

absolutnie zdolny do tego, żeby poczekać, aż będzie sam w domu, zdjąć obrazy ze ściany i zawieźć je do salonu aukcyjnego. *Poszukiwacze muszelek* byli nie tylko najcenniejszą rzeczą, jaką posiadałam, ale także stanowili moją największą pociechę. Nie mogłabym żyć bez nich i on o tym wiedział, więc obiecałam mu, że zdobędę te pięćset funtów. Zrobiłam to, sprzedając mój pierścionek zaręczynowy i pierścionek zaręczynowy mojej matki. A on od razu z powrotem poweselał i zrobił się znowu taki pewny siebie, jak zwykle. Jednak na krótko przestał grać na wyścigach. Porządnie się nastraszył. Ale już wkrótce zaczął od nowa i wróciliśmy znów do egzystencji z dnia na dzień, ledwie wiążąc koniec z końcem.

W 1955 urodził się Noel i równocześnie przyszło nam zapłacić pierwszy raz bardzo wysokie chesne. Wtedy ciągle jeszcze posiadałam na własność ten mały domek w Kornwalii, Carn Cottage. Po śmierci papy należał do mnie i za żadne skarby nie chciałam się go pozbyć, przez długie lata wynajmując go komukolwiek, kto tylko chciał tam mieszkać. Ciągle powtarzałam sobie, że kiedyś uda mi się wziąć dzieci na wakacje i spędzić tam lato. Ale nigdy tego nie zrobiłam. Wtedy właśnie otrzymałam wspaniałą ofertę od ludzi chcących kupić ten domek, zbyt atrakcyjną, żebym mogła sobie pozwolić z niej nie skorzystać i sprzedałam go. Kiedy to robiłam, wiedziałam już, że Porthkerris jest dla mnie stracone na zawsze, że ostatnie ogniwo pękło. Wiele lat później, gdy sprzedawałam dom przy ulicy Oakley, miałam zamiar wrócić do Kornwalii. Kupić sobie małą granitową chatkę z palmą w ogrodzie. Ale moje dzieci interweniowały i odwiodły mnie od tego projektu. W końcu mój zięć znalazł Podmore's Thatch i wszystko na to wskazuje, że spędzę jednak zmierzch mojego życia w Gloucestershire, z dala od widoku i odgłosu morza.

Opowiedziałam panu to wszystko i ciągle jeszcze nie dotarłam do istoty rzeczy, prawda? Ciągle jeszcze nie powiedziałam panu, jak znalazłam te szkice.

— Były w pracowni pani ojca?

— Tak. Schowane pod szpargalami nagromadzonymi przez wiele, wiele lat życia artysty.

— Kiedy to się stało? Kiedy je pani znalazła?

— Noel miał około czterech lat. Żeby pomieścić naszą rosnącą rodzinę, zajęliśmy jeszcze parę pokoi. Ale w pozostałej części domu nadal mieszkali lokatorzy. Pewnego dnia pojawił się młody człowiek. Był studentem sztuk plastycznych, bardzo wysoki, chudy i zabiedzony, ale czarujący. Ktoś mu powiedział, że może ja będę mogła mu pomóc, gdyż udało mu się dostać na studia w Akademii Sztuk Pięknych Slade, lecz nie miał gdzie mieszkać. Nie było dosłownie nawet kąta, gdzie mogłabym go umieścić, ale spodobał mi się, więc zaprosiłam go do środka, poczęstowałam porządnym posiłkiem i szklanką piwa i porozmawialiśmy sobie.

Pod koniec rozmowy, kiedy on zbierał się już do wyjścia, stwierdziłam, że tak mi przypadł do serca, iż nie mogłam znieść myśli, że nie będę mogła mu pomóc w żaden sposób. I wtedy pomyślałam o pracowni. Drewniana szopa w ogrodzie, ale solidnie zbudowana i sucha. Mógłby tam spać i pracować; naTomiasz na śniadania przychodziłby do domu, gdzie korzystałby także z łazienki. Zaproponowałam mu to, a on natychmiast przyjął moją ofertę z wielkim entuzjazmem. Więc od razu wzięłam klucz i poszliśmy obejrzeć studio. Było brudne i zakurzone, pełne starych tapczanów i komódek, a także sztalug, palet i płócien mojego ojca, ale budynek był porządny i zabezpieczony przed deszczem, a ponadto miało okno w dachu, po północnej stronie, co szczególnie ucieszyło młodego człowieka.

Uzgodniliśmy, ile będzie płacił czynszu i kiedy będzie się mógł wprowadzić. Poszedł, a ja zabrałam się do pracy. Zajął mi to ładnych parę dni i musiałam wziąć do pomocy mojego znajomego śmieciarza, który zgłosił się ze swoim wózkiem i sztuka po sztuce załadował wszystkie rupiecie, po czym je wywiózł. Musiał zrobić kilka takich kursów, ale w końcu doszliśmy do ostatniego ładunku i wtedy właśnie w kącie pracowni, za starą komodą, gdzie zapewne spadła, znalazłam teczkę z tymi szkicami. Rozpoznałam natychmiast, co to było, ale nie miałam pojęcia, ile są warte. W tamtych latach Lawrence Stern nie był modny i jeśli jakiś jego obraz pojawił się na aukcji, to sprzedawano go za pięćset lub sześćset funtów. Ale dla mnie znalezienie tych szkiców było jak prezent z przeszłości. Miałam tak mało jego prac. Pomyślałam, że jeśli Ambrose dowie się o nich, natychmiast zażąda, żeby je sprzedać. Więc wzięłam je do domu, do mojej sypialni, przymocowałam taśmą klejącą do tylnej ściany szafy, znalazłam rolkę papieru do tapetowania i pokryłam nim całą wewnętrzną ścianę szafy. I tam właśnie były przez wszystkie te lata. Aż do ostatniej niedzieli wieczorem, kiedy nagle zrozumiałam, że czas już, żeby znów zobaczyły światło dzienne i postanowiłam pokazać je panu.

— A więc taraz już pan wie. — Spojrzała na zegarek. — Strasznie dużo czasu zajęło mi to opowiadanie, przepraszam bardzo. Czy miałby pan ochotę na filiżankę herbaty? Czy ma pan jeszcze czas na herbatę?

— Tak, mam. Ale chciałbym usłyszeć jeszcze więcej. — Uniosła brwi pytająco. — Proszę nie myśleć, że jestem zbyt ciekawski czy też impertynencki, ale co stało się z pani małżeństwem? Co stało się z Ambrose?

— Mój mąż? Odszedł ode mnie...

— Opuścił panią?

— Tak. — Ku swojemu zdumieniu, zobaczył wyraz rozbawienia na jej twarzy. — Dla swojej sekretarki.

— Wkrótce potem jak znalazłam te szkice i ukryłam je, stara sekretarka Ambrose, panna Wilson, która pracowała w firmie Keeling i Philips przez całe wieki, odeszła na emeryturę i jej miejsce zajęła nowa dziewczyna. Była młoda, przypuszczam, że musiała być też całkiem ładna. Nazywała się Delphine Hardacre. Do panny Wilson zawsze zwracano się „panno Wilson”, ale o Delphine nie mówiło się nigdy inaczej niż Delphine. Pewnego dnia Ambrose powiedział mi, że jedzie służbowo do Glasgow, gdzie znajdowała się drukarnia należąca do jego firmy, i że zostanie tam cały tydzień. Później dowiedziałam się, że wcale nie był w Glasgow, tylko pojechał do Huddersfield z Delphine, która przedstawiła go swoim rodzicom. Jej ojciec był bardzo bogaty, prowadził interesy związane z przemysłem ciężkim, i jeśli nawet uważał, że Ambrose jest trochę za stary dla jego córki, to widocznie przeważyły takie fakty, jak to, że znalazła sobie jednak mężczyznę z pewną klasą, a także to, że zupełnie straciła dla niego głowę. Wkrótce potem Ambrose wrócił do domu z biura i powiedział mi, że odchodzi. Byliśmy w naszej sypialni. Umyłam sobie włosy i szczotkując je siedziałam przed lustrem mojej toaletki. Ambrose usiadł na łóżku, za mną, tak że nie patrzyliśmy na siebie, lecz na nasze odbicia w lustrze. Oświadczył, że jest w niej zakochany i że ona daje mu to wszystko, czego ja nigdy mu nie dałam. Chciał rozwodu. Kiedy już będzie po rozwodzie, ożeni się z nią, a tymczasem opuszcza firmę Keeling i Philips, Delphine zresztą również odchodzi, i wyjeżdżają na północ do Yorkshire, żeby tam założyć dom, gdyż jej ojciec zaproponował mu pracę w swoim przedsiębiorstwie.

Muszę przyznać, że Ambrose, kiedy już się raz zdecydował, to zorganizował wszystko po mistrzowsku. Wszystko było dokładnie przygotowane, załatwione, takie doskonałe „fait accompli”⁰ i naprawdę nie miałam nic do powiedzenia. Nic zresztą nie chciałam powiedzieć. Zdałam sobie sprawę, że jego odejście nie martwi mnie. Lepiej mi będzie samej. Dzieci zostaną przy mnie, zachowam swój dom. Zgodziłam się na wszystko. Wstał z łóżka i poszedł na dół, a ja dalej szczotkowałam włosy i czułam się bardzo spokojna.

W parę dni później przyszła mnie odwiedzić jego matka; nie po to, by okazać mi współczucie ani, muszę jej to przyznać, żeby mnie oskarżać, ale żeby się upewnić, czy z powodu odejścia Ambrose nie będę jemu bądź jej samej utrudniać kontaktów z dziećmi. Powiedziałam, że dzieci nie są moją własnością, którą się daje lub zatrzymuje dla siebie, lecz ludźmi mającymi swoje własne prawa. Zawsze będą mogły postępować tak, jak chcą, widywać się z kim chcą i ja im na pewno nie będę tego zabraniać. Dolly przyjęła to z wielką ulgą, ponieważ — chociaż nigdy nie miała zbyt wiele czasu dla Oliwii czy Noela — uwielbiała Nancy, a Nancy ją kochała. Były

⁰ un fait accompli (fr.) fakt dokonany (przyp. red.)

do siebie bardzo podobne, właściwie we wszystkim. Kiedy Nancy wychodziła za mąż, to Dolly urządziła jej wspaniałą, wystawny londyński ślub i na tę okazję Ambrose przyjechał specjalnie z Huddersfield, żeby ją poprowadzić do ołtarza. To był ten jeden raz, kiedy widzieliśmy się od czasu rozvodu. Zmienił się, wyglądał teraz na bardzo zamożnego człowieka. Sporo przytył, posiwiał i poczerwieniał na twarzy. Pamiętam, że tego dnia miał przy kamizelce, nie wiem zresztą po co, zegarek na złotym łańcuszku i wyglądał jak typowy mieszkaniec północnej Anglii, który całe życie nie zajmował się niczym innym, jak tylko pomnażaniem pieniędzy.

Po ślubie wrócił do Huddersfield i nigdy go już nie zobaczyłam. Umarł w jakieś pięć lat później. Był wtedy jeszcze stosunkowo młodym mężczyzną i to był okropny szok. Biedna Dolly Keeling przeżyła go o wiele lat, ale nigdy nie pogodziła się z utratą syna. Mnie też było przykro. Wydaje mi się, że z Delphine wreszcie znalazł takie życie, jakiego szukał i potrzebował. Napisałam do niej, ale nigdy nie odpowiedziała na mój list. Może uważała, że to była bezczelność z mojej strony, żeby do niej pisać, a może po prostu nie wiedziała, co mi odpisać.

A teraz już naprawdę muszę podać herbatę.

Wstała, równocześnie sprawdzając ręką, czy szylkretowa klamra spinająca jej włosy była na swoim miejscu.

— Czy nie przeszkadza panu, że zostawię go samego na parę minut? Czy jest tu wystarczająco ciepło? Może wolałby pan, żebym rozpałała ogień na kominku?

Zapewnił ją, że jest mu ciepło i wygodnie i że nic się nie stanie, jeśli na chwilę zostanie sam, więc wyszła do kuchni, gdzie nastawiła wodę na herbatę, a on zajął się bez reszty oglądaniem szkiców. Czowała się bardzo spokojna, tak jak wtedy, w ten letni wieczór, kiedy szczotkowała włosy słuchając, jak Ambrose mówił, że odchodzi od niej na zawsze. To chyba tak, myślała, muszą czuć się katolicy po pójściu do spowiedzi — oczyszczeni, wolni, wreszcie bez poczucia winy. Była wdzięczna panu Brooknerowi, że ją wysłuchał, a także agencji Boothby's, że przysłali jej pracownika, który nie tylko był fachowcem, ale także ludzkim i wyrozumiałym człowiekiem.

Popijając herbatę i chrupiąc pierniczki, wrócili do omawiania interesów. Panneaux zostaną sprzedane. Szkice trzeba skatalogować i zawieźć do Londynu do wyceny. A *Poszukiwacze muszelek* Ten obraz na razie zostanie tam gdzie jest, nad kominkiem w salonie w Podmore's Thatch.

— Jedyne problem, jeśli chodzi o sprzedaż panneaux — powiedział jej Roy Brookner — to sprawa czasu. Jak pani wie, agencja Boothby's dopiero co zorganizowała wielką aukcję obrazów z epoki wiktoriańskiej i następna będzie najwcześniej za pół roku. A więc w Londynie,

w najbliższym czasie nie będzie okazji. Może nasz salon w Nowym Jorku mógłby je wystawić na sprzedaż, ale musiałbym się dowiedzieć, na kiedy oni planują swoją najbliższą aukcję.

— Pół roku? Ja nie chcę czekać pół roku. Ja chcę je sprzedać teraz.

Uśmiechnął się, widząc jej niecierpliwość.

— Czy brała pani pod uwagę prywatnego kupca? Bez atmosfery konkurencji, jaka panuje na aukcji, może nie dostałaby pani aż tak wysokiej ceny, ale może jest pani gotowa podjąć takie ryzyko?

— Czy pan mógłby mi znaleźć prywatnego kupca?

— Jest taki amerykański kolekcjoner z Filadelfii. Przyjechał specjalnie do Londynu z zamiarem kupienia *Roznosicielei wody*, ale w czasie licytacji przegrał z przedstawicielem Muzeum Sztuki w Denver. Był bardzo zawiedziony. Nie ma ani jednego Lawrence'a Sterna, a jego obrazy tak rzadko ukazują się na rynku.

— Czy on jest jeszcze w Londynie?

— Nie jestem pewien. Mógłbym sprawdzić. Zatrzymał się w Hotelu Connaught.

— Myśli pan, że chciałby kupić te panneaux?

— Jestem pewien, że tak. Ale oczywiście wszystko zależałoby od tego, ile jest gotów zaproponować.

— Skontaktuje się pan z nim?

— Oczywiście.

— A szkice?

— To zależy od pani. Warto by było poczekać parę miesięcy, zanim je sprzedamy... Dałoby to nam czas na rozreklamowanie i wzbudzenie zainteresowania.

— Tak, rozumiem. Może rzeczywiście w tym wypadku warto zaczekać.

A więc wszystko zostało ustalone. Roy Brookner od razu zabrał się do katalogowania szkiców. Zajął to trochę czasu, a kiedy skończył, wręczył jej podpisany przez siebie kwit i ułożył je z powrotem w teczce, porządnie związując ją znowu sznurkiem. Potem Penelopa poprowadziła go schodami na podest i tutaj delikatnie zdjął panneaux ze ściany, na której zostało parę pajęczyn i dwa podłużne pasma niewyblakłej tapety.

Wszystko to załadowali do jego imponującego samochodu. Szkice do bagażnika, a panneaux, ostrożnie owinięte kraciasytm kocem, ułożyli na tylnym siedzeniu. Kiedy uznał, że cenne przedmioty zostały już odpowiednio zabezpieczone, Roy Brookner cofnął się i zatrzasnąwszy drzwiczki samochodu, odwrócił się do Penelopy.

— Było mi naprawdę bardzo miło, pani Keeling. Dziękuję pani.

Podali sobie ręce.

— Ogromnie się cieszę, że mogłam pana poznać, panie Brookner. Mam nadzieję, że pana nie zanudziłam.

- Ależ pani opowieść była frapująca. Jak tylko będę miał jakieś wiadomości dla pani, skontaktuję się natychmiast.
- Dziękuję. Do widzenia. Szczęśliwej podróży.
- Do widzenia, pani Keeling.

Zadzwoił następnego dnia.

- Pani Keeling? Tu mówi Roy Brookner.
- Tak, słucham, panie Brookner.
- Amerykanin, o którym pani wspominałem, pan Lowell Ardway, wyjechał już z Londynu. Dzwoniłam do Hotelu Connaught i poinformowano mnie, że wyjechał do Genewy. Miał zamiar wrócić do Stanów prosto ze Szwajcarii. Ale mam jego adres w Genewie, więc napiszę do niego dzisiaj i poinformuję go o możliwości kupienia panneaux. Jestem pewien, że jak się dowie, iż one są do sprzedania, wróci do Londynu, żeby je obejrzeć, ale zapewne będziemy musieli poczekać tydzień czy dwa.

— Mogę poczekać tydzień czy dwa. Nie mogłabym tylko znieść czekania przez sześć miesięcy.

— Mogę panią zapewnić, że do tego nie dojdzie. A co do szkiców, pokazałem je panu Boothby i był ogromnie zainteresowany. Nic równie ważnego nie ukazało się na rynku od lat.

— Czy może... — zawahała się, ponieważ to pytanie wydawało jej się niemal niedelikatne. — Czy może orientuje się pan, ile one mogą być warte?

— Wedle mojej oceny, nie mniej niż pięć tysięcy każdy.

Pięć tysięcy funtów. Każdy. Odłożywszy słuchawkę, stała w swojej kuchni, próbując wyobrazić sobie ogrom tej sumy. Pięć tysięcy funtów pomnożone przez czternaście to było... Nie mogła zebrać myśli, żeby policzyć to w pamięci. Znalazła ołówek i na brzegu listy z zakupami obliczyła, że równało się to siedemdziesięciu tysiącom funtów. Sięgnęła po krzesło i usiadła, ponieważ kolana nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

Gdy o tym myślała, bardziej zdumiewała ją własna reakcja na to bogactwo niż ono samo. Decyzja, żeby wezwać pana Brooknera, pokazać mu szkice i sprzedać panneaux, zmieni jej życie. Wydawało się to bardzo proste, ale mimo to potrzeba było czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli. Dwa mało znaczące, nie dokończone obrazy Lawrence'a Sterna, które zawsze kochała, ale nigdy nie sądziła, że mogą mieć jakąkolwiek wartość, były teraz w salonie Boothby's, gdzie oczekiwały na ofertę amerykańskiego milionera. A plik szkiców, ukrytych i zapomnianych przez lata, nagle stał się wart siedemdziesiąt tysięcy funtów. Fortuna. To było jak wygrana na loterii. Zastanawiając się nad swoją nową sytuacją, przypominała sobie młodą kobietę, której właśnie się to zdarzyło, i którą Penelopa z niedowierzaniem oglądała w telewizji, jak wylewała na siebie szampana, krzycząc: „Wydawać, wydawać, wydawać”.

Zdumiewająca scena, jakby wyjęta ze zwariowanej baśni. A jednak teraz ona znalazła się w mniej więcej takim samym położeniu i zdała sobie sprawę, ku własnemu zaskoczeniu, że to ani jej nie przerażało, ani nie wprawiało w zakłopotanie. Raczej przepełniało ją uczucie wdzięczności, czuła się jak osoba niespodziewanie i niezwykle hojnie odbarowana. „Najcenniejszy prezent, jaki rodzice mogą dać swojemu dziecku, to ich własna niezależność”. Tak właśnie powiedziała Noelowi i Nancy, zgodnie z prawdą, ponieważ wolność, którą daje poczucie bezpieczeństwa jest bezcenna. A oprócz tego można sobie pozwolić na różne przyjemności.

Ale jakie przyjemności? Nie miała żadnego doświadczenia w beztrzymym wydawaniu pieniędzy, ponieważ całe życie była zmuszona oszczędzać. Jako mężatka musiała ciągle myśleć, jak związać koniec z końcem. Nie czuła żalu ani zawiści wobec ludzi, których stać było na różne luksusy, po prostu dziękowała losowi, że udało jej się wychować i wykształcić swoje dzieci i utrzymać się jakoś na powierzchni. Dopiero gdy sprzedała dom przy ulicy Oakley, mogła po raz pierwszy dysponować jakimś kapitałem, który natychmiast został rozsądnie zainwestowany — tak, żeby miała z tego skromny dochód i mogła wydawać pieniądze na to, co ją najbardziej cieszyło. Na jedzenie, wino, przyjmowanie gości. Były także prezenty — tu lubiła być szczególnie szczodra — no i, oczywiście, jej ogród.

Teraz, gdyby chciała, mogłaby cały dom odnowić od piwnicy po strych. Wszystko, co posiadała, było zniszczone i zużyte do ostatnich granic, ale ona właściwie lubiła takie rzeczy. Jej mocno poobijane volvo miało osiem lat, a kupiła je już jako używane. Może powinna teraz zaszaleć i zamówić sobie rolls-royce'a, ale przecież volvo całkiem dobrze — jak dotychczas — funkcjonowało, a poza tym, czyż nie byłoby czymś w rodzaju świętokradztwa, załadować bagażnik rollsa workami z ziemią i brudnymi doniczkami pełnymi sadzonek do ogrodu.

W takim razie — może ubrania. Lecz Penelopa nigdy właściwie nie interesowała się strojami. Przekonanie, że ubiór nie jest najważniejszą rzeczą w życiu człowieka, utrwaliło się w niej w czasie wojny, a potem poprzez długie, trudne lata powojenne, kiedy tylu rzeczy trzeba sobie było odmawiać. Wiele z jej ulubionych ubrań zakupiła na wyprzedających organizowanych na cele dobroczynne przy kościele w Tempie Pudley, a wełniana peleryna, należąca kiedyś do oficera marynarki, chroniła ją przed zimą przez czterdzieści lat. Mogła sobie teraz kupić futro z norek, ale nigdy nie podobało jej się noszenie okrycia zrobionego z mnóstwa małych, kochanych, puszystych zwierzątek, które zabito tylko po to, by jakaś elegantka mogła się wystroić. A poza tym wyglądałaby jak idiotka, idąc w niedzielę rano po gazety do miasteczka wystrojona w futro z norek. Ludzie pomyśleliby, że zwariowała.

Mogłaby podróżować. Ale licząc sobie sześćdziesiąt cztery lata i nie będąc — trzeba było niestety brać to pod uwagę — najlepszego zdrowia, wiedziała, że jest już za stara, by wyruszyć w świat, sama. Minęły już czasy spokojnych, powolnych podróży samochodem lub pociągami w stylu dawnego Train Bleu, czy też statkami pasażerskimi. A myśl o lotniskach w obcych krajach i pruciu przez przestworza w ponaddźwiękowych odrzutowcach nigdy nie napawała jej entuzjazmem.

Nie. Żadne z tych rzeczy. Na razie nic nie będzie robić i nic nikomu nie powie. Pan Brookner przyjechał i odjechał, i nikt nie wiedział o jego wizycie. Póki on znowu się z nią nie skontaktuje, lepiej zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Powiedziała sobie, że nie będzie w ogóle o nim myśleć, ale okazało się to niemożliwe. Każdego dnia czekała na wiadomość od niego. Ile razy zadzwonił telefon, pędziła do niego, jak niecierpliwa dziewczyna oczekująca na telefon od ukochanego. Lecz w przeciwieństwie do takiej właśnie dziewczyny, gdy dni mijały i nic się nie działo, pozostawała spokojna, nie denerwowała się. Zawsze było jeszcze jutro. Nie ma pośpiechu. Prędzej czy później będzie miał dla niej jakąś wiadomość.

A tymczasem życie toczyło się dalej i w powietrzu czuć już było wiosnę. W sadzie pojaśniało od żonkili. Ich żółte trąbki tańczyły na wietrze. Drzewa otaczała zielona mgiełka młodziutkich listków, a na tych grządkach, które chroniła ściana domu, pnące kwiaty i pierwiosnki otwierały już swoje aksamitne twarzyczki, wypełniając powietrze nostalgicznym zapachem. Danus Muirfield, zakończywszy sadzenie w warzywniku, skosił pierwszą wiosenną trawę, a potem zajął się grabieniem, okopywaniem i okrywaniem mierzwą grządek. Pani Plackett przychodziła regularnie i wpadała teraz w szal wiosennych porządków, między innymi zabrała się do prania wszystkich firanek. Antonia rozwieszała je na sznurach jak chorągwie. Miała niespożytą energię i bardzo chętnie podejmowała się wszystkich prac, którymi Penelopa nie chciała się przemęczać, jak na przykład jazda do Pudley po ogromne zakupy na cały tydzień albo wyszorowanie wszystkich półek w szafkach w spiżarni, które trzeba było najpierw opróżnić. Kiedy nie była czymś zajęta wewnątrz domu, zwykle można ją było znaleźć w ogrodzie, gdzie ustawiała paliki dla sadzonek słodkiego groszku albo oczyszczała z wczesnych narcyzów podłużne, wanienko watę doniczki na tarasie i sadiła w ich miejsce geranium, fuksje i nasturcje. Jeśli Danus był w ogrodzie, Antonia zawsze znajdowała się gdzieś w pobliżu i pracowali razem, a ich głosy niesły się przez ogród. Obserwując ich z okna na piętrze, gdzie przystanęła, żeby popatrzeć przez chwilę, Penelopa czuła się zadowolona. Antonia była teraz zupełnie inną osobą niż ta napięta i wycieńczona dziewczyna, którą Noel przywiózł z Londynu. Zniknęła gdzieś smutna bladeść i cienie pod oczami. Jej włosy błyszcząły, cera wyglądała kwitnąco, a wokół siebie

roztaczała jakąś aurę, trudną do nazwania, niemniej dla doświadczonego oka Penelopy, jednoznacznie rozpoznawalną.

Antonia, podejrzała Penelopa, zakochała się.

— Wydaje mi się, że jedną z najfajniejszych rzeczy na świecie, jest robienie czegoś pożytecznego w ogrodzie, w piękny poranek. Jest w tym idealna kombinacja wszystkiego co najlepsze. Na Ibizie słońce było zawsze tak gorące, że człowiek zaraz robił się cały spocony i lepki i wtedy trzeba było wskakiwać do basenu — opowiadała Antonia Danusowi.

— Nie mamy tu basenu — zauważył. — Ale zawsze możemy wskoczyć do Windrush.

— Woda w tej rzeczce jest lodowata. Parę dni temu włożyłam do niej stopy i to było okropne. Danus, czy ty zawsze będziesz ogrodnikiem?

— Dlaczego nagle o to pytasz?

— Nie wiem. Po prostu tak się zastanawiam. Przecież masz już za sobą tyle różnych doświadczeń i osiągnięć. Szkoła, potem pobyt w Ameryce, wreszcie dyplom z ogrodnictwa. Wydaje się, że trochę szkoda, żebyś to wszystko zmarnował i całe życie nie robił już nic innego, jak tylko wyrwał obcym ludziom ich kapusty i plewił im grządki.

— Ale przecież nie zawsze będę to robił, prawda?

— Naprawdę? No to, co masz zamiar robić?

— Oszczędzać i odkładać, aż będę miał na tyle, żeby kupić sobie kawałek ziemi, założyć własną firmę, hodować sadzonki, sprzedawać rośliny, cebulki, krzaki róż, wszystko co tylko ktoś chciałby kupić.

— Takie „Wszystko dla ogrodu”?

— Raczej specjalizowałbym się w czymś... róże albo fuksje, po prostu chciałbym zaproponować coś innego niż wszyscy.

— Czy to potwornie dużo kosztuje? Chodzi mi o taką sumę, która pozwoliłaby zacząć.

— Tak. Cena ziemi jest bardzo wysoka, a musiałyby tego być wystarczająco dużo, żeby stało się to opłacalne.

— Czy twój ojciec nie mógłby ci pomóc? Tak tylko na początek, żebyś mógł wystartować.

— Tak, mógłby, gdybym go poprosił. Ale wolę to zrobić sam. Mam teraz dwadzieścia cztery lata. Może, jak będę miał trzydzieści, będę mógł zacząć na swoim.

— Czekać sześć lat to się wydaje cała wieczność. Ja bym chciała móc zacząć od razu, teraz.

— Nauczyłem się być cierpliwy.

— A gdzie? To znaczy, gdzie chciałbyś założyć tę firmę ogrodniczą?

— Tym się nie martwię. Tam, gdzie będzie potrzebna. Ale wolałbym jednak zostać w tej części kraju. Gloucestershire, Somerset.

— Ja sądzę, że Gloucestershire jest najlepsze. Jest tu tak pięknie. A także — doskonały rynek zbytu. Pomyśl, wszyscy ci bogaci ludzie dojeżdżający z Londynu kupują wspaniałe domy ze złotawego kamienia i chcą mieć ogrody pełne pysznych jarzynek i ślicznych kwiatów. Zbiłbyś fortunę. Na twoim miejscu zostałabym właśnie tutaj. Znaleźć sobie mały domek, parę hektarów. Tak właśnie bym zrobiła.

— Ale ty nie zakładasz firmy ogrodniczej, ty zostaniesz modelką.

— Tylko wtedy, jeśli nic innego nie będę mogła wymyślić.

— Dziwne z ciebie stworzenie. Większość dziewcząt dałoby sobie rękę uciąć za taką szansę.

— To by mi chyba trochę pokrzyżowało plany, nie uważasz?

— Poza tym nie chcesz chyba spędzić całego życia okopując rzepę?

— U mnie w ogrodzie wcale nie byłoby rzepy. U mnie rosłyby same pyszne rzeczy, takie jak kukurydza, szparagi i słodki groszek. Nie patrz tak sceptycznie. Bardzo dobrze sobie z tym radzę. Na Ibizie nigdy nie kupowaliśmy ani jednej jarzyny. Wszystkie rosły u nas. Także owoce. Mieliśmy drzewa pomarańczowe i cytrynowe. Tatuś mawiał, że nie ma nic lepszego od ginu z tonikiem i z plasterkiem świeżo zerwanej cytryny. Smakują całkiem inaczej niż te paskudne ze sklepu.

— Mogłabyś zapewne kultywować drzewka cytrynowe w szklarni.

— Drzewka cytrynowe są fajne, bo kwitną i mają owoce równocześnie. Dzięki temu zawsze ślicznie wyglądają. Danus, a czy ty nigdy nie chciałeś być adwokatem jak twój ojciec?

— Tak, kiedyś myślałem o tym. Chciałem pójść w ślady mojego staruszka. Ale potem pojechałem do Ameryki i tam jakoś wszystko inaczej się ułożyło. W końcu postanowiłem raczej używać moich rąk niż głowy.

— Ale ty przecież używasz głowy. Zawód ogrodnika wymaga sporo myślenia, wiedzy i planowania. A gdybyś otworzył własną firmę ogrodniczą, to musiałbyś prowadzić wszystkie rachunki, zamówienia, obliczać podatki... nie nazwałabym tego pracą fizyczną. Czy twój ojciec był rozczarowany kiedy postanowiłeś, że nie zostaniesz adwokatem?

— Na początku, tak. Ale po długiej rozmowie, kiedy wszystko mu wytłumaczyłem, zrozumiał i spojrział na to z mojego punktu widzenia.

— Czyż to nie byłoby okropne mieć ojca, z którym nie można porozmawiać? Mój był idealny. Wszystko można było mu powiedzieć. Tak mi żal, że nigdy go nie poznasz. Nawet nie mogę pokazać ci mojego kochanego Ca'n D'alt, bo teraz mieszka tam jakaś inna rodzina. Danus, czy był jakiś specjalny powód, który zmusił cię do zmiany zawodu? Czy to było coś, co stało się w Ameryce?

— Być może.

— Czy to coś łączy się jakoś z tym, że nie prowadzisz samochodu i nigdy nie pijesz alkoholu?

— Dlaczego się o to pytasz?
— Po prostu czasami o tym myślę.
— Czy to ci bardzo przeszkadza? Czy wolałabyś, żebym był podobny do Noela Keelinga, który uwielbia pędzić wozem wyścigowym po autostradzie i sięga po drinka, jak tylko znajdzie się w jakiejś trochę trudniejszej sytuacji?

— Nie, nie chciałabym, żebyś był taki jak Noel. Gdybyś był do niego podobny, nie byłoby mnie tutaj i nie pomagałabym ci. Siedziałabym sobie na leżaku, przeglądając jakiś magazyn.

— Jest dobrze tak, jak jest, nie próbuj tego zmieniać. Pokaż to. Zobacz, sadzisz sadzonkę, a nie wbijasz gwoździł młotkiem. Zrób to delikatnie, tak jakbyś kładła niemowlę do łóżka. Otul ją, nic więcej. Musi mieć miejsce, żeby mogła rosnąć. Musi mieć czym oddychać.

Jechała na rowerze. Swobodnie pedałowując, jechała drogą w dół, pomiędzy żywopłotami z fuksji, na których pełno było różowych i fioletowych kwiatów. Droga przed nią biegła zakręcając łukiem, biała i zakurzona, a w dali połyskiwało morze niebieskie jak szafir. Prawdopodobnie musiał być sobotni ranek. Dojechała do jakiegoś domu i to był Carn Cottage, chociaż nie, to nie mógł być Carn Cottage, bo miał płaski dach. Był tam papa. Siedział na polowym stołeczku, w swoim kapeluszu z szerokim rondem, a przed nim ustawione były sztalugi. Nie miał artretyzmu i długimi pociągnięciami pędzla malował plamy kolorów na płótnie. A kiedy stanęła obok niego, żeby się przypatrzeć, nie podniósł głowy, tylko powiedział: „Pewnego dnia przyjdą malować ciepło słońca i kolor wiatru”. Spojrzała ponad jego ramieniem i zobaczyła ogród, taki sam jak na Ibizie, z basenem. W basenie pływała naga Sophie, tam i z powrotem. Jej włosy były mokre i błyszczące, jak futerko fokii. Z dachu roztaczał się widok, ale nie na zatokę, tylko na północną plażę podczas odpływu, a ona była sobą, szukała muszelek z czerwonym wiaderkiem, w którym pełno było wielkich muszli. Muszle, małże i ślimaki. Ale ona nie szukała muszelek, szukała czegoś, kogoś innego, był tu gdzieś blisko. Niebo pociemniało. Szła, zapadając się w głębokim piasku, walcząc z wiatrem. Wiaderko stało się niemożliwie ciężkie, więc postawiła je na ziemi i zostawiła. Wiatr przyniósł mgłę znad morza, kłębiła się nad plażą jak dym i zobaczyła go, wychodzącego z tego dymu. Szedł ku niej. Był w mundurze, ale z gołą głową. Powiedział: „Szukałem cię”, wziął ją za rękę i razem doszli do jakiegoś domu. Weszli przez drzwi, ale to nie był dom, tylko galeria sztuki na jednej z bocznych uliczek w Porthkerris. A tam znowu był papa. Siedział na starej kanapie pośrodku pustej sali. Odwrócił głowę. „Chciałbym znów być młody” — powiedział im. — „Móc widzieć wszystko to, co się będzie działo”.

Była bardzo szczęśliwa. Otworzyła oczy, ale uczucie szczęścia jej nie opuściło, sen był bardziej realny niż rzeczywistość. Czuła uśmiech na swojej twarzy, tak jakby ktoś go tam ułożył. Sen zniknął, ale wrażenie spokoju i zadowolenia zostało. Jej oczy z przyjemnością rozpoznawały pograżone w cieniu kontury mebli w sypialni. Połysk mosiężnego drążka na końcu łóżka, kształt ogromnej szafy, wyłaniający się z mroku, otwarte okna i firanka poruszana lekko łagodnym nocnym wiatrem.

„Chciałbym znów być młody. Móc widzieć wszystko to, co się będzie działo”.

Nagle poczuła się całkowicie rozbudzona i wiedziała, że już teraz nie zaśnie. Odrzuciła koc, wstała, wyczuwając stopami, gdzie są pantofle, sięgnęła po szlafrok. Po ciemku otworzyła drzwi i zeszła do kuchni. Zapaliła światło. Wszędzie było ciepło i panował porządek. Nalała mleka do rondelka i zaczęła je podgrzewać. Potem wzięła kubek z szafki, nałożyła do niego łyżkę miodu, zalała ciepłym mlekiem i zamieszała. Niosąc kubek, przeszła przez jadalnię do salonu. Zapaliła lampkę, która oświetlała *Poszukiwaczy muszelek*. Przy świetle tego łagodnego blasku poruszyła dogasający żar i przywróciła do życia ogień na kominku. Kiedy już buchnęły płomienie, postawiła kubek na stoliczku obok kanapy, ułożyła sobie poduszki i zwinęła się w kłębek w jej rogu, podwijając nogi pod siebie. Nad nią obraz jaśniał w półmroku, jak witraż podświetlony słońcem. To był jej osobisty rytuał magiczny, modlitwa przenikająca wszystko jak czar hipnotyzera. Wpatrywała się, koncentrując na obrazie całą swoją uwagę, nie mrugając oczami, czekała aż czar zacznie działać. Napełniła oczy błękitem morza i nieba, potem poczuła słony wiatr, zapach wodorostów i mokrego piasku, usłyszała wrzask mew i szum uderzających o brzeg fal.

Usadowiwszy się tak, mogła sobie pozwolić na sięgnięcie pamięcią wstecz, do wszystkich tych okazji, kiedy to właśnie robiła — zamykała się sam na sam z *Poszukiwaczami muszelek*. Tak właśnie siadywała, od czasu do czasu, w ciągu tych trudnych, szarych powojennych lat w Londynie, przygnębiona, prawie że pokonana przez ciągły brak pieniędzy, potrzebnych rzeczy i brak serdecznego uczucia; przez beznadziejność Ambrose i przerażającą samotność, której, nie wiadomo dlaczego, nie mogły wypełnić jej dzieci. Tak właśnie siedziała w tę noc, kiedy Ambrose pakował swoje rzeczy, opuszczał rodzinę i wyruszał do Yorkshire, ku wygodnemu, zamożnemu życiu i ciepłemu, młodemu ciału Delphine Hardacre. Podobnie też było, gdy Oliwia, najcenniejszy dla niej skarb spośród jej dzieci, opuszczała dom przy ulicy Oakley, żeby zacząć swoje własne życie, rozpocząć błyskotliwą karierę.

„Nie powinnaś tam wracać”, powtarzano jej. „Wszystko będzie zmienione”. Ale ona wiedziała, że się mylą, ponieważ to, za czym tęskniła,

czego potrzebowała, pozostanie — Bogu dzięki — na zawsze niezmiennie, chyba żeby świat wyleciał w powietrze.

Poszukiwacze muszelek. Jak stary, wypróbowany przyjaciel. Niezmiennność i wierność obrazu napełniała ją wdzięcznością. W podobny sposób jak ludzie, którzy stają się zaborczy wobec przyjaciół, ona trzymała się go z całych sił, żyła nim, odmawiała nawet rozmowy na temat sprzedania go. Ale teraz niespodziewanie wszystko się zmieniło. Teraz po prostu była już nie tylko przeszłość, ale i przyszłość. Przed nią leżały całkiem nowe perspektywy, mogła snuć plany, cieszyć się na czekające ją przyjemności. Poza tym miała sześćdziesiąt cztery lata. Nie wolno marnować czasu na ciągłe oglądanie się do tyłu. Powiedziała na głos: „Może ja już cię nie potrzebuję”. „Może już czas, żeby pozwolić ci odejść”.

Wypiła mleko do końca. Odstawiła pusty kubek i sięgnęła po koc, złożony w pół, leżący na oparciu kanapy. Ułożyła się na miękkich poduszkach i przykryła kocem, rozciągając się na całą długość kanapy. *Poszukiwacze muszelek* dotrzymali jej towarzystwa, czuwali nad nią, spoglądali z góry z uśmiechem na jej śpiącą postać. Przypomniała sobie swój sen i papę mówiącego: „Przyjdą malować ciepło słońca i kolor wiatru”. Zamknęła oczy. Chciałabym znowu być młoda.

ROZDZIAŁ II

RICHARD

Kiedy nadeszło lato 1943 roku, Penelopa Keeling, jak większość ludzi wtedy, czuła się tak, jakby wojna trwała od wieków, a ponadto — nie miała się już nigdy skończyć. Życie było nudnym kieratem — ciągłe braki w zaopatrzeniu i wieczorne zaciemnianie okien — przerywanym tylko od czasu do czasu błyskami przerażających, potwornych wieści o brytyjskich okrętach wojennych wysadzonych w powietrze albo o klęsce aliantów. Niekiedy zaś pan Churchill przemawiał przez radio, żeby powiedzieć wszystkim jak świetnie sobie radzą.

Było to uczucie podobne do tego, jakie się ma na dwa tygodnie przed urodzeniem dziecka, kiedy jest się pewną, że dziecko nigdy się nie urodzi i będzie się wyglądało jak Albert Hall⁰ do końca życia. Albo gdy się utknie w środku długiego, zakręcającego tunelu kolejowego, kiedy zostawiło się już za sobą jasność dnia, a nie widać jeszcze nawet iskierki światła, które jest na końcu tunelu. A więc po prostu szło się dalej, noga za nogą, starając się uporać z problemami dnia codziennego. Trzeba było wszystkich w domu nakarmić, zadbać, żeby było ciepło, żeby dzieci miały buty i żeby Carn Cottage nie rozleciał się ze starości.

Miała dwadzieścia trzy lata i czasami myślała, że oprócz następnego filmu, który wejdzie na ekran pod koniec tygodnia, nic nowego jej już w życiu nie czeka. Chodzenie do małego kina w miasteczku stało się rytuałem dla niej i dla Doris. Nie opuściły ani jednego seansu. Nie wybrzydząc i nie wybierając, oglądały wszystkie filmy, jakie tylko były wyświetlane, po prostu po to, żeby oderwać się, choćby tylko na godzinę lub dwie, od szarości ich życia. Kiedy seans się kończył, zawsze musiały, stojąc na baczność, wysłuchać zdartej płyty z hymnem państwowym „Boże chroń króla”, a potem wychodziły z kina w czarny tunel ulicy,

⁰ Albert Hall — duży, okrągły budynek sali koncertowej w Londynie (przyp. tłum.)

nieprzytomne z podniecenia albo rozczulone do łez, i szły do domu, trzymając się pod ręce, chichocząc i potykając się o krawężniki, wspinały się pod górę stromymi uliczkami, prowadzącymi do Carn Cottage.

Jak Doris często powtarzała, stanowiło to miłą odmianę.

I rzeczywiście tak było. Kiedyś, miała nadzieję Penelopa, ta szarość, ten stan zawieszenia jakim była wojna, skończy się, ale trudno było w to uwierzyć i jeszcze trudniej to sobie wyobrazić. Móc kupować befsztyki i pomarańcze na marmoladę, nie bać się wiadomości radiowych, pozwalać, żeby światło z okien rozpraszało ciemności, bez obawy, że zauważy je pilot zbłąkanego bombowca albo że pułkownik Trubshot zwymyśla nas za brak zaciemnienia. Myślała o odwiedzeniu Francji jeszcze raz. O podróży na południe, do kraju mimozy i gorącego słońca. O dzwonach bijących z wież kościelnych, nie po to, by ostrzec przed inwazją, ale żeby święcić zwycięstwo.

Zwycięstwo. Naziści pokonani. Europa wyzwolona. Więźniowie, zamknięci w obozach na terenie całych Niemiec, wróciliby do domów. Żołnierze mogliby odejść do cywila, znów połączyłyby się rodziny. To ostatnie było największym prywatnym problemem Penelopy. Inne żony modliły się o bezpieczny powrót swoich mężów i żyły myślą o tym powrocie, ale Penelopa wiedziała, że wcale by ją to nie zmartwiło, gdyby nigdy już nie miała zobaczyć Ambrose. Nie był to brak serca z jej strony, po prostu z biegiem miesięcy jej wspomnienia o nim coraz bardziej się zamazywały, zanikały i stały się w końcu zupełnie nierealne. Chciała, żeby wojna się skończyła — tylko wariat mógłby chcieć czego innego — ale wcale nie cieszyła jej perspektywa zaczynania na nowo z Ambrose — jej ledwie znanym i prawie już zapomnianym mężem — ani też myśl o próbie ułożenia sobie życia w tym niedobranym stadle.

Czasami, kiedy czuła się szczególnie przygnębiona, wyłaniała się z jej podświadomości nadzieja, której się wstydziła, ale która czaiła się gdzieś w zakamarkach jej umysłu. Nadzieja, że coś się stanie Ambrose. Oczywiście nie to, żeby miał zostać zabity. To było nie do pomyślenia. Nikomu nie życzyła śmierci, a cóż dopiero człowiekowi tak młodemu, przystojnemu i kochającemu życie. Ale gdyby, na przykład, pomiędzy bitwami na Morzu Śródziemnym, nocnymi patrolami i polowaniem na łodzie podwodne zawiązał do portu i tam spotkał jakąś młodą dziewczynę — może pielęgniarkę albo kobietę-officer Wren-u — zdecydowanie bardziej atrakcyjną niż jego żona, w której zakochałby się bezgranicznie i namiętnie, i która z czasem zajęłaby miejsce Penelopy, aby spełnić najbardziej fantastyczne marzenia Ambrose o szczęściu.

Napisałby oczywiście do niej, żeby powiedzieć jej o swojej miłości, o sieci, w którą się zaplątał.

„Droga Penelopo,

Przykro mi bardzo, że muszę to zrobić, ale jest tylko jeden sposób, by Ci to powiedzieć. Spotkałem inną. To uczucie, które się między nami zrodziło, jest zbyt wielkie, żeby można je zwalczyć. Nasza wzajemna miłość"... itd, itd...

Za każdym razem, kiedy dostawała jedną z rzadkich przesyłek od niego — przeważnie były to listy lotnicze, jedna strona zredukowana do rozmiarów małej fotografii — jej serce podskakiwało w nikłej nadziei, że oto wreszcie nadszedł taki właśnie list, ale za każdym razem była skazana na rozczarowanie. Czytając tych parę nagryzmołonych linijek, w których opowiadał jej o swoich kolegach, mężczyznach zupełnie jej nie znanych, albo o zabawie na jakimś innym bezimiennym statku, wiedziała, że nic się nie zmieniło. Była nadal jego żoną. On był w dalszym ciągu jej mężem. Wsuwała list z powrotem do koperty i później, czasami w wiele dni później, siadała, żeby spróbować mu odpisać, wysyłając w końcu do niego list jeszcze nudniejszy niż ten, który on napisał do niej. *Byliśmy na herbacie u pani Penberth. Ronald zapisał się do sekcji żeglarskiej w harcerstwie. Nancy umie narysować dom.*

Nancy. Nancy nie była już niemowlęciem, rosła i rozwijała się. Penelopa odkryła, że wychowywanie dziecka może być fascynujące i stała się niespodziewanie bardzo macierzyńska. Obserwowanie jak dzidzius zmienia się w małe dziecko było jak patrzeć na pączek, który przemienia się w kwiat — był to proces powolny, ale zachwycający. Tak jak to papa obiecał, Nancy zaczynała przypominać dziewczynkę z obrazu Renoira, w tonacji różowo-złotej, z ciemnymi, zakręconymi rzęsami i zębami jak perełki. Nadal była ulubienicą Doris i jej przyjaciół. Czasami Doris wracała z wózkiem z jakiegoś zebrania, niosąc tryumfalnie śliczną sukieneczkę, z której wyrosło jakieś inne dziecko i młoda matka przekazała ją dla Nancy. Doris prała sukienkę i prasowała bardzo dokładnie, a potem można było wystroić w nią Nancy. Nancy uwielbiała chodzić wystrojona. „Czyż ona nie jest piękna", gruchała Doris do Nancy i wszystkich innych obecnych, a Nancy uśmiechała się zadowolona i rozprostowywała fałdy sukienki grubiułkami paluszkami, umiając już docenić swoją elegancję.

W takich momentach była to cała Dolly Keeling, ale nawet to nie było w stanie popsuć Penelopie przyjemności i zabawy. „Jesteś prawdziwą małą damą" — mówiła do Nancy i podnosiła dziecko, żeby je uściskać. „Prawdziwy mały wamp".

Nakarmienie wszystkich domowników i zadbanie, żeby Nancy i chłopcy mieli się w co ubrać, zajmowało Penelopie i Doris każdą prawie

minutę ich czasu. Przydziały żywności skurczyły się do śmiesznych rozmiarów. Każdego tygodnia Penelopa szła w dół po stromych uliczkach do sklepu pana Ridley. Tam była zarejestrowana. Pokazywała książeczkę z kuponami przydziału żywności i dostawała odrobinę cukru, masła, margaryny, słoniny, sera i bekonu. Zdobywanie mięsa było jeszcze gorsze, bo trzeba było godzinami stać w kolejce, nie wiedząc dokładnie, co będzie można kupić. Kiedy szło się do sklepu warzywnego po jarzyny, wsypywano je do torby na zakupy razem z ziemią, ponieważ nie było papierowych torebek do pakowania, a zresztą żądanie ich uważano za brak patriotyzmu.

W gazetach pojawiały się przedziwne przepisy kulinarne wydumane w Ministerstwie Zaopatrzenia, reklamowane jako nie tylko oszczędne, ale także pożywne i smaczne. Zapiekanek mięsna pana Woolton, z ciasta, w którym praktycznie nie było tłuszczu i z kawałka marynowanej wołowiny. Jakiś rodzaj tortu, do którego dodawało się tartej marchwi, żeby nie był suchy oraz zapiekanka składająca się prawie wyłącznie z ziemniaków. „CHLEB TO PRZECIEŻ NIC DOBREGO, JEDZ ZIEMNIAKI ZAMIAST TEGO” — zachęcało wszystkich hasło z plakatu. Tak jak na innym plakacie ogłoszono, że: „DZIĘKI WYKOPKOM WYWALCZYMY SOBIE ZWYCIĘSTWO!” albo ostrzegano: „BEZMYŚLNE GADANIE MOŻE KOSZTOWAĆ ŻYCIE!”. Chleb to zboże, które trzeba było importować zza Atlantyku, ryzykując życie służących na statkach żołnierzy i utratę samych statków. Biały chleb dawno już zniknął z półek w piekarniach i został zastąpiony czymś, co nazywało się „narodowym bochenkiem” i było koloru szaro-brązowego, z mnóstwem łuskowatych otrębów. Penelopa nazywała go chlebem „tweedowym” i udawała, że jej smakuje, ale papa zauważył, iż jest on dokładnie tego samego koloru i konsystencji co nowy papier toaletowy i stwierdził, że widocznie Ministrowi Przemysłu i Ministrowi Zaopatrzenia popłatały się linie produkcyjne.

Wszystko to bardzo utrudniało życie, a przecież i tak oni, w domku Carn Cottage, byli w znacznie korzystniejszej sytuacji niż większość ludzi. Nadal mieli kury i kaczki wyhodowane jeszcze przez Sophie i mogli robić wspaniałą użytek z jajek obficie znoszonych przez te usługowe stworzenia, a także mieli Erniego Penbertha.

Ernie pochodził z Porthkerris. Całe życie mieszkał w dzielnicy Downalong. Jego ojciec miał sklep warzywny i rozwoził swój towar wozem zaprzężonym w konia; a matka — wyjątkowo groźna postać — dzieliła swoje życie między Ligę Kobiet, której była podporą, a kościół. Ernie jako chłopiec zaraził się gruźlicą i spędził dwa lata w sanatorium w Tehidy. Kiedy wyzdrowiał, Sophie zatrudniła go, ale raczej do prac dorywczych, po prostu pojawiła się, gdy trzeba było coś zrobić w domu lub pomagał przy kopaniu w ogrodzie. Jego wygląd zewnętrzny nie robił

najlepszego wrażenia, gdyż był niskiego wzrostu i miał ziemistą cerę. Z powodu choroby nie przyjęto go do wojska, więc zamiast brać udział w wojnie jako żołnierz, Ernie pracował na roli, pomagając miejscowemu farmerowi, który znajdował się w trudnej sytuacji, ponieważ jego synów powołano do wojska. Jednak każdą wolną chwilę, którą udało mu się wygospodarować, poświęcał domownikom Carn Cottage, pomagając im na różne sposoby. Z biegiem lat Ernie okazał się osobą coraz bardziej niezbędną, gdyż przekonali się, że był człowiekiem, który potrafił poradzić sobie z wszystkim. Nie tylko umiał wyhodować najwspanialsze jarzyny, ale także umiał naprawić ogrodzenie i kosiarkę, przywrócić do życia zamarznięte rury i pomajstrować przy bezpiecznikach. Potrafił nawet ukręcić łeb kurze, podczas gdy żadne z nich nie mogło nawet myśleć o uśmierceniu jakiegoś wiernego starego ptaka, który zaopatrywał ich w jajka całymi latami, a teraz nadawał się już tylko na rosół.

Kiedy przydziały żywności stawały się coraz mniejsze, a porcja mięsa ograniczała się do kawałka wołowego ogona na sześć osób, Ernie — w jakiś czarodziejski sposób — przybywał na ratunek, ukazując się niespodziewanie w tylnych drzwiach domu z królikiem lub kilkoma makrelami, czy parą leśnych gołębi, które sam ustrzelił.

Tymczasem Penelopa i Doris robiły, co mogły, żeby urozmaicić trochę posiłki. To właśnie w tym czasie Penelopa wprowadziła obyczaj noszenia ze sobą na spacer plecaczka, wiaderka lub koszyka, co stało się potem przyzwyczajeniem na całe życie. Żadną, nawet najmniejszą zdobyczą nie należało gardzić. Rzepę lub kapustę, która spadła z wozu, przynoszono tryumfalnie do Carn Cottage i można było z niej zrobić jakieś pożywe wiegetariańskie danie, albo wywar na zupę. Zarośla i krzaki rosnące wzdłuż między przeczesywane były w poszukiwaniu jeżyn, głogu i jagód czarnego bzu, a na pokrytych rosą łąkach można było znaleźć grzyby. Znosili do domu patyczki i szyszki przydatne do rozniecania ognia, połamane gałęzie, kawałki drewna wyrzucane przez morze na plażę, które potem rąbano na opał — wszystko co można było spalić, żeby tylko mógł funkcjonować bojler z gorącą wodą i żeby dało się rozpalić ogień na kominku w salonie. Gorąca woda była szczególnie cenna. W czasie kąpieli woda w wannie nie mogła być głębsza niż na trzy cale — papa namalował linię, którą nazwał „linią dopuszczalnego zanurzenia statku”, i powyżej tej kreski nikomu nie wolno było nalewać wody — przyjął się też oszczędny zwyczaj mycia się w tej samej wodzie, najpierw dzieci a potem starsi, ostatni musiał namydlić się w błyskawicznym tempie, zanim woda całkiem wystygła.

Innym irytującym problemem były ubrania. Prawie wszystkie kupony przydziałowe zużywali na ubranka i buty dla dzieci, oraz na zastępowanie starych, podartych prześcieradeł i koców, nowymi, tak więc na potrzeby własne nic nie zostawało. Doris, która lubiła się elegancko

ubierać, bardzo nad tym bolała i ciągle przerabiała stare ubrania, usiłując je uatrakcyjnić; to spuszczała obrąbek w spódnicy, to znów szyła nową bluzkę z pociętej na kawałki starej bawełnianej sukienki. Raz uszyła sobie spódnicę z niebieskiego worka na pranie.

— Z przodu wyhaftowane jest *Bielizna* — zwróciła jej uwagę Penelopa, kiedy Doris paradowała przed nią w nowej spódnicy jak modelka, czekając na pochwałę.

— Może ludzie pomyślą, że tak się nazywam.

Penelopa nie przejmowała się tym, jak wygląda. Nosiła swoje stare ubrania, dopóki nie rozleciały się kompletnie, a potem przeszukiwała szafę Sophie i wybierała coś, co mogło się jej przydać. — Jak możesz? Czy nie jest ci przykro? — pytała ją Doris, która uważała, że ubrania Sophie są święte i może miała rację. Ale Penelopa była twarda. Zapinała na sobie sweter z szetlandzkiej wełny, który należał do jej matki i nie pozwalała sobie na najmniejsze nawet rozczulenie.

Przez większą część roku chodziła z gołymi nogami, ale kiedy zaczynały wiać mroźne styczniowe wiatry, wyciągała grube, czarne wełniane pończochy, które zostały jej z umundurowania ochotniczki WRNS. A gdy jej stary, wysłużony płaszcz wreszcie się rozleciał, wycięła dziurę w narzucie używanej do przykrywania siedzeń w samochodzie (szkocka wełna w kratę, z frędzlami) i nosiła ją jako ponczo.

Papa powiedział, że wygląda w nim jak meksykańska Cyganka, ale mówiąc to uśmiechał się, zachwycony jej przedsiębiorczością. Niezbyt często się uśmiechał w tamtych dniach. Od czasu śmierci Sophie ogromnie się postarzał i łatwo zapadał na zdrowiu. Stara rana na nodze z czasów pierwszej wojny światowej, z niewiadomo go powodu, znów dawała znać o sobie. Kiedy robiło się zimno, wilgotno i wietrznie, rana sprawiała mu ból, zaczął więc chodzić o lasce. Przygarbił się, bardzo schudł, a jego kalekie ręce były jak z wosku, bez życia, jak ręce martwego już człowieka. Nie był teraz zdolny do jakichkolwiek prac w domu czy w ogrodzie i spędzał większość czasu otulony szalami, z rękami w ciepłych rękawiczkach, siedząc przy kominku w salonie, czytając gazety albo swoje ulubione książki, słuchając radia albo pisząc niepewną już ręką listy do przyjaciół, którzy mieszkali w innych częściach kraju. Czasami, kiedy świeciło słońce i błękitne morze pokrywało się tańczącymi grzywami białych fal, oznajmiał, że ma ochotę na zacerpnięcie świeżego powietrza, na co Penelopa przynosiła jego płaszcz ozdobiony pelerynką, duży kapelusz z szerokim rondem i laskę, po czym wyruszali, idąc pod rękę w dół stromymi uliczkami i alejkami, aż dochodzili do centrum miasteczka. Przechadzali się wzdłuż portu, obserwując kutry rybackie i mewy, czasami wpadali do pubu Sliding Tackle na drinka, który składał się z tego, co właściciel był w stanie wyciągnąć dla nich spod lady, a jeśli nic takiego nie miał, to wypijali parę szklanek wodnistego piwa. Kiedy

indziej, gdy czuł się lepiej i miał dość siły, szli aż do północnej plaży, do starej pracowni, zamkniętej teraz na klucz i bardzo rzadko odwiedzanej, albo skręcali w boczną uliczkę prowadzącą do galerii sztuki i tam papa chętnie przesiadywał jakiś czas, patrząc na kolekcję obrazów, którą on i jego koledzy zdołali razem zebrać. Siedział milcząc, pogrążony w samotnych wspomnieniach starego człowieka.

I wtedy, w sierpniu, kiedy Penelopa, zrezygnowana, pogodziła się z faktem, że nic ciekawego już nigdy się nie wydarzy, zaczęło się.

To chłopcy, Ronald i Clark, przynieśli wiadomość, która wywołała pierwsze spekulacje i domysły. Wrócili ze szkoły wściekli. Nie odbył się ich popołudniowy mecz piłki nożnej, ponieważ podobno nie wolno im już było korzystać z miejskiego boiska do rugby znajdującego się na szczycie wzgórza. Boisko wraz z dwoma najlepszymi pastwiskami Willie Pendervisa zostało zarekwirowane, otoczone zasiekami z drutu kolczastego i zakazano wszystkim na nie wstępu. Przyczyna tego stała się powodem wielu dyskusji. Niektórzy mówili, że ma tam być skład broni przygotowywany na potrzeby Drugiego Frontu. Inni sądzili, że będzie to obóz dla jeńców wojennych albo potężna radiostacja nadawcza do wysyłania zakodowanych wiadomości do pana Roosevelta.

Jednym słowem, Porthkerris aż trzęsło się od plotek.

Następną tajemniczą wiadomość o działaniach, rzec by można wojennych, przyniosła Doris. Wracając ze spaceru z Nancy, szła główną drogą i zjawiła się w Carn Cottage pękając od nowin.

— Ten stary Hotel White Caps — ten, który stał pusty od miesięcy... No więc, został cały odnowiony. Pomalowany, wyszorowany, błyszczący jak nowy, a na parkingu roi się od ciężarówek i tych amerykańskich jeepów, czy jak to się nazywa, a na warcie przy bramie stoi szalony komandos z Królewskiej Piechoty Morskiej. Tak, naprawdę, piechota morska. Sama widziałam znaczek na czapce. Pomyślcie tylko. Wesoło będzie, jak trochę żołnierzy pokręci się po mieście...

— Piechota morska? A cóż oni tu mogą robić?

— Może będą brać udział w inwazji na Europę. Jak myślicie, może to początek Drugiego Frontu?

Penelopie nie wydawało się to prawdopodobne.

— Inwazja na Europę z Porthkerris? Och, Doris, przecież utopiliby się wszyscy już przy próbie opłynięcia Land's End.

— W każdym razie, coś się szykuje.

A potem wydawało się, że dosłownie z dnia na dzień Porthkerris straciło północne nabrzeże. Nowe zasieki z drutu kolczastego pojawiły się w poprzek głównej drogi do portu, zaraz za pubem Sliding Tackle, i ogłoszono, że cały teren za tym ogrodzeniem, włącznie z Targiem Rybnym i chatką Armii Zbawienia, należy teraz do admiralicji. Na końcu

nabrzeża, gdzie woda była najgłębsza, miejsca do cumowania oczyszczono z kutrów rybackich, a na ich miejscu pojawił się tuzin statków desantowych. Wszystko to było dyskretnie strzeżone przez garstkę komandosów z piechoty morskiej w mundurach bojowych i zielonych beretach. Ich obecność w mieście spowodowała pewne poruszenie, ale nikt dalej nie wiedział, o co chodzi. «

Dopiero w połowie miesiąca zostali wtajemniczeni. Nadeszło parę dni pięknej pogody, było ciepło, wiał leciutki wiaterek i tego właśnie ranka Penelopa i Lawrence wyszli przed dom, gdzie zamierzali pogrzać się na słońcu. Ona siadła na stopniu przed drzwiami wejściowymi i łuskała groszek na obiad, a on położył się na leżaku, rozłożonym na trawie, osłoniwszy oczy przed zbyt silnym światłem przy pomocy kapelusza. Siedzieli tak, w ciszy, towarzysząc sobie nawzajem, kiedy do ich uszu dobiegł dźwięk otwieranej i zamykanej furtki. Oboje podnieśli głowy i po chwili zobaczyli generała Watsona-Granta kierującego ku nim swe kroki, idącego ścieżką pomiędzy krzakami fuksji.

Podczas gdy pułkownik Trubshot był odpowiedzialny za nadzór ochrony przeciwlotniczej w Porthkerris, generał Watson-Grant stał na czele miejscowego oddziału Gwardii. Lawrence nie cierpiał pułkownika Trubshot, ale zawsze chętnie poświęcał czas generałowi, który spędził większą część swojego wojskowego życia w Kwecie, gdzie stacjonował jego batalion i gdzie prowadził potyczki z Afgariczykami, ale kiedy przeszedł na emeryturę, zostawił za sobą wojenne poczynania i zajął się bardzo pokojową działalnością. Był zamiłowanym ogrodnikiem i posiadał imponującą kolekcję znaczków pocztowych. Dzisiaj nie miał na sobie munduru Gwardii tylko kremowy garnitur, przypuszczalnie uszyty w Delhi, i nieco wysłużony już słomkowy kapelusz panama, z wyblakłą, czarną jedwabną wstążką. W ręce trzymał laskę i spojrzawszy na Penelopę i Lawrence'a czekających na niego, uniósł ją w geście powitania.

— Dzień dobry. Znowu śliczny dzień.

Był niskim mężczyzną, bardzo szczupłym, ze szorstkowatymi wąsami i ogorzałą cerą, którą zawdzięczał wielu latom spędzonym na północno-zachodniej granicy. Lawrence z przyjemnością i zadowoleniem patrzył na zbliżającego się generała. Generał Watson-Grant przychodził rzadko, ale jego wizyty były zawsze bardzo mile widziane.

— Nie przeszkadzam wam, co?

— Ani trochę. Wygrzewamy się tylko na słońcu, nic nie robiąc. Proszę mi wybaczyć, że nie wstanę. Penelopo, znajdź krzesło dla generała.

Penelopa w kuchennym fartuchu i boso, odstawiła durszlak z groszkiem i wstała.

— Dzień dobry, panie generale.

— Penelopa. Jak miło cię widzieć, moja droga. Zawsze coś do roboty przy kuchni, prawda? Zostawiłem moją Dorotę krajającą zieloną fasolkę.

— Czy napiłby się pan kawy?

Generał rozważał jej propozycję. Przeszedł spory kawałek, ale nie przepadał za kawą, preferując gin. Lawrence wiedział o tym i specjalnie popatrzył na zegarek, po czym rzekł:

— Dwunasta. O tej porze na pewno przydałoby się coś mocniejszego. Co my tam mamy, Penelopo?

Zaśmiała się.

— Chyba niezbyt wiele, ale popatrzę.

Weszła do domu, który wydał się ciemny po jasności, jaka panowała na dworze. W kredensie w jadalni znalazła parę butelek guinnessa, szklanki i otwieracz do butelek. Ustawiła to wszystko na tacy, wyniosła przed dom i postawiła na stopniu przed drzwiami, a potem poszła przynieść generałowi leżak. Rozłożyła mu go, a on z wdzięcznością usadowił się na nim, pochylony do przodu. Jego kościste kolana sterczały wysoko, a wąskie spodnie podjechały do góry, ukazując kostki w żółtych skarpetkach i buty błyszczące jak kasztany.

— To jest życie! — stwierdził.

Penelopa otworzyła butelkę i nalała mu piwa.

— To niestety tylko guinness, nie mamy ginu już od paru miesięcy.

— Guinness będzie świetny. A jeśli chodzi o gin, to skończyliśmy nasz przydział miesiąc temu. Pan Ridley obiecał mi butelkę, gdy przyjdzie następny transport, ale Bóg wie, kiedy to będzie. No to, na zdrowie!

Wypił pół wysokiej szklanki duszkiem, tak że wyglądało jakby połknął to jednym haustem. Penelopa wróciła do łuskania groszku i przysłuchiwała się, jak dwaj starsi panowie wypytywali się wzajemnie o zdrowie, wymienili parę uwag o pogodzie, podzielili się ostatnimi plotkami, a także ogólnie podsumowali sytuację na froncie. Była jednak pewna, że nie jest to prawdziwy powód wizyty generała i kiedy nastąpiła przerwa w rozmowie, wtrąciła się.

— Panie generale, pan jest chyba jedyną osobą, która może nam powiedzieć, co się dzieje w Porthkerris. Obóz na boisku do rugby, port zamknięty, piechota morska się wprowadza. Wszyscy zgadują, ale nikt nie wie. Zwykle Ernie Penberth jest naszym źródłem wszelkich informacji, ale on jest teraz przy żniwach i nie widzieliśmy go od trzech tygodni.

— Owszem — powiedział generał. — Wiem.

Lawrence rzekł szybko:

— Jeśli to tajemnica, nie nam nie mów.

— Wiedziałem już od paru tygodni, ale dotąd rzeczywiście było to tajne. Teraz jednak mogę już wam powiedzieć. To ćwiczenia szkoleniowe. Chodzi o wspinaczkę po skałach. Piechota morska będzie szkolić.

— Ale kogo będzie szkolić?

— Kompanię amerykańskich desantowców.

— Amerykańskich komandosów? **To znaczy, że czeka nas inwazja Amerykanów?**

Generał wyglądał na rozbawionego.

— Lepsi Amerykanie niż Niemcy.

— Czy obóz został przygotowany **dla Amerykanów?** — **spytała Penelopa.**

— Tak, właśnie dla nich.

— Czy desantowcy już przyjechali?

— Nie, jeszcze nie. Przypuszczam, że wkrótce dowiemy się, kiedy przyjadą. Biedacy. Zapewne spędzili dotychczasowe życie na preriach albo płaskich równinach stanu Kansas, nigdy przedtem nie widzieli morza. Wyobraź sobie, że przerzucają cię nagle do Porthkerris i zapraszają do wspinania po skałach urwiska Boscarben.

— Urwisko Boscarben? — Penelopie aż się słabo zrobiło. — Nie wyobrażam sobie niczego gorszego, niż być uczonym wspinaczki na urwisku Boscarben. Ściana skalna jest tam prostopadła i ma około tysiąca stóp wysokości.

— Przypuszczam, że o to właśnie chodzi — zaznaczył generał. Chociaż muszę powiedzieć, że zgadzam się z tobą, Penelopo. Sama myśl przyprawia mnie o zawrót głowy. Dobrze, że to oni a nie ja. Biedni, cholerni jankesi.

Penelopa uśmiechnęła się szeroko. Generał nigdy nie przebierał w słowach i to właśnie bardzo w nim lubiła.

— A po co sprowadzono pływający sprzęt desantowy? — chciał wiedzieć Lawrence.

— To transport. Będą ich dowozić na miejsce morzem. Myślę, że będą na pół żywi z samej choroby morskiej, zanim wylądują u podnóża skał.

Penelopie zrobiło się jeszcze bardziej żal tych młodych Amerykanów.

— Na pewno będą się czuli okropnie. A co będą robić z czasem wolnym? Przecież Porthkerris nie jest zaiste centrum ożywionego życia towarzyskiego, a Sliding Tackle nie jest najatrakcyjniejszym pubem na świecie. Poza tym prawie nikogo tu nie ma. Wszyscy młodzi ludzie sana wojnie. Zostały tylko słomiane wdowy, dzieci i starsi. Tak jak my tutaj.

— Doris będzie zachwycona — zauważył Lawrence. — Amerykańscy żołnierze, wszyscy mówiący jak gwiazdy filmowe, to dopiero będzie coś nowego.

Generał roześmiał się.

— To zawsze był problem, co zrobić z dużą bandą hałaśliwych i żądnych przygód żołnierzy. Ale myślę, że jak ich przegonią parę razy w górę i w dół po skałach urwiska Boscarben, wątpię, żeby mieli jeszcze dość energii na... — przerwał, szukając przyzwoitego słowa, aż w końcu powiedział — ... na uganianie się za babami.

Tym razem roześmiał się Lawrence.

— To wszystko jest bardzo podniecające. — Wpadł mu do głowy świetny pomysł. — Penelopo, chodźmy się pogapić. Teraz, kiedy już wiemy, o co to chodzi, możemy pójść przyjrzeć się temu wszystkiemu. Pójdziemy dziś po południu.

— Och, papo. Przecież nie ma nic do zobaczenia.

— Jest mnóstwo do zobaczenia. Wreszcie jakieś nowe twarze. Najwyższy czas, żeby się coś w tym miasteczku wydarzyło, pod warunkiem, że nie byłoby to wybuch zbłąkanej bomby. Generale, piwo się panu skończyło... może jeszcze pół szklanki?

Generał zastanawiał się, ale Penelopa powiedziała szybko:

— Nie ma już więcej. To były ostatnie dwie butelki.

— W takim razie — generał odstawił pustą szklankę na trawę przy nogach — powinienem już wracać. Muszę zobaczyć, jak tam Dorota radzi sobie z lunchem.

Z pewnym trudem podniósł się z leżaka, którego siedzenie było już zbyt wyciągnięte i za nisko opadało. Lawrence i Penelopa poszli za jego przykładem i też wstali.

— To było bardzo pyszne. Ogromnie odświeżające.

— Dziękujemy, że pan przyszedł i wyjaśnił nam, co się dzieje.

— Myślałem, że zapewne chcielibyście wiedzieć. Przypuszczałem, że zastanawiacie się nad tym, co to ma wszystko znaczyć. Kiedy już się wie, co to jest, to wszystko wygląda jakoś trochę optymistyczniej, prawda? Tak jakbyśmy wreszcie może zaczęli się zbliżać do końca tej cholernej wojny — uchylił kapelusza. — Do widzenia Penelopo.

— Do widzenia. Proszę pozdrowić żonę.

— Zrobię to.

— Odprowadzę pana do furtki — powiedział Lawrence i ruszył za generałem.

Patrząc za nimi, jak idą w dół przez ogród, Penelopie przyszły na myśl dwa stare psy. Dystyngowany bernardyn i mały ruchliwy terrier. Dotarli do schodów i zaczęli po nich uważnie schodzić. Podniosła rondelkę z wyłuskany groszkiem i durszlak ze strączkami i poszła zanieść je do kuchni, a także znaleźć Doris i przekazać jej wszystkie wiadomości, jakimi podzielił się z nimi generał Watson-Grant.

— Amerykanie! — Doris ledwie mogła uwierzyć takiemu szczęściu. — Amerykanie w Porthkerris. Och, Bogu dzięki. Wreszcie trochę życia, coś się będzie działo. Amerykanie — powtarzała to magiczne słowo. — No cóż, różne dziwne rzeczy wymyślaliśmy, ale nie wpadliśmy na Amerykanów.

Wizyta generała Watsona-Granta podziałała na Lawrence'a jak zastrzyk wzmacniający. Podczas lunchu nie rozmawiali o niczym innym, a kiedy Penelopa wyszła wreszcie z kuchni po uprzątnięciu ze stołu

i umyciu naczyń, zastała Lawrence'a już czekającego na nią, ubranego do wyjścia. Włożył nieco sfatygowaną sztruksową marynarkę dla ochrony przed chłodnym wiatrem, a wokół szyi zawiązał sobie szkarłatny szalik. Na głowie miał kapelusz. Siedział cierpliwie, opierając się o komodę stojącą w przedpokoju, a jego ręce w rękawiczkach spoczywały na rogowej ręczce laski.

— Papo.

— No to, ruszajmy.

Miała tysiąc rzeczy do zrobienia. Grządki warzywne trzeba było wyplewić i przeredzić. Trawę podstrzyc. Uporać się ze stosem prasowania.

— Naprawdę chcesz iść?

— Powiedziałem przecież, że chcę, prawda? Powiedziałem, że chcę pójść i pogapić się.

— No, to musisz poczekać chwilkę, aż znajdę buty.

— A więc ruszaj się. Nie mamy przecież całego dnia do dyspozycji.

Tak naprawdę to właśnie mieli dokładnie cały dzień, ale nie powiedziała tego. Wróciła raz jeszcze do kuchni, żeby powiedzieć Doris, co zamierzają robić i przy okazji pocałować Nancy. Potem pobiegła na górę, włożyła tenisówki, umyła twarz, wyszczotkowała włosy i przewiązała je jedwabną chustką. Wzięła rozpinany sweter z szuflady i zarzuciła go na ramiona, a potem pobiegła znów na dół.

Czekał na nią dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, ale kiedy się pojawiła, wstał.

— Wyglądasz pięknie, kochanie.

— Dziękuję, papo.

— Chodźmy więc zrobić wojsku inspekcję.

Gdy tylko wyszli na dwór, ucieszyła się, że zmusił ją do tego spaceru, ponieważ popołudnie było po prostu przepiękne, jasne i błękitne. Zbliżał się czas przypływu i w zatoce kłębiły się spienione grzbiety fal. Szczyt Trevoze Head otaczała lekka mgiełka, ale wiatr od morza był chłodny i pachniał słono. Dotarli do głównej drogi, przeszli na drugą stronę i zatrzymali się na chwilę, patrząc ponad murem łączącym się ze skarpa. Spoglądali w dół na dachy domów, pochyłe, strome ogródki i krzywe uliczki prowadzące do małej stacji kolejowej, a dalej do plaży. Przed wojną, w sierpniu plaża byłaby zatłoczona, ale teraz była prawie zupełnie pusta. Zasięki z drutu kolczastego ustawione w 1940 roku wciąż oddzielały pole golfowe od plaży, ale w środkowej części była dziura i przez nią przeszło na plażę parę rodzin. Dzieci wrzeszczały i goniły się, brodząc po kolana w wodzie, a psy goniły mewy wzdłuż linii rozbijających się fal. Nisko w dole można było zobaczyć maleńki ogródek otoczony murem, gdzie czerwone róże otaczały ze wszystkich stron starą jabłonkę, a palma szeleściła suchymi liśćmi na wietrze.

Po chwili zaczęli schodzić po zboczu góry. Droga zakręcała tu i ukazał się Hotel White Caps, osobno stojący budynek zbudowany z kamienia obok szeregu podobnych do niego domów, ze starymi, wychodzącymi na zatokę oknami, które otwierały się przez podniesienie szyby. Niszczący hotel stał pusty przez jakiś czas, ale teraz zobaczyli, że odnowiono go, pomalowano na biało i wyglądał nadspodziewanie elegancko. Wysokie żelazne ogrodzenie wokół parkingu też zostało polakierowane, a na parkingu stało wiele ciężarówek i jeepów koloru khaki. W bramie młody żołnierz piechoty morskiej pełnił wartę.

— A niech mnie kule biją! — zauważył Lawrence. — Chyba po raz pierwszy Doris nic nie przekręciła.

Podeszli bliżej. Zobaczyli biały maszt i flagę łopoczącą na wietrze. Świeżo wyszorowane granitowe schody prowadzące do drzwi frontowych błyszczały w słońcu. Zatrzymali się, żeby się przyjrzeć wszystkiemu dokładnie. Młody żołnierz na warcie, stojący na brzegu krawężnika też przyglądał im się, ale z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Lepiej chodźmy już — powiedział Lawrence po paru minutach. — Bo przegonią nas stąd jak parę włóczęgów.

Zanim jednak ruszyli się z miejsca, przy budynku zaczęła się jakaś krzątanina. Wewnętrzne oszklone drzwi otwały się i pojawiło się dwóch ludzi w mundurach. Major i sierżant. Zbiegli po schodach, tupiąc głośno ciężkimi butami, przeszli po zwirowanej ścieżce i wsiadli do jednego z jeepów. Sierżant prowadził. Zapalił motor, cofnął samochód i zakręcił. Kiedy przejeżdżali przez bramę, żołnierz na warcie zaszalutował, a oficer odpowiedział mu tym samym. Przy wjeździe na szosę przystanęli na sekundę, ale ponieważ nie było ruchu, więc jeep zakręcił i zaczął jechać w dół, w kierunku centrum, z dość dużą szybkością i robiąc sporo hałasu.

Penelopa i jej ojciec patrzyli, jak znika za zakrętem drogi, wzdłuż której stały rzędem ciche małe domki. Kiedy ucichł już odgłos silnika jepea, Lawrence rzekł:

— Chodź. Idziemy dalej.

— Gdzie idziemy?

— Zobaczyc statki desantowe, oczywiście. A potem do galerii. Nie byliśmy tam od tygodni.

Galeria. To oznaczało pożegnanie się z jakimikolwiek innymi planami na to popołudnie. Chcąc zaprotestować, Penelopa obróciła się ku niemu, ale gdy zobaczyła jego ciemne oczy błyszczące radością, wiedziała, że cieszy się już na przyjemność, która go czekała i nie miała serca mu tego zepsuć.

Zgodziła się z uśmiechem i wsunęła rękę pod ramię ojca.

— Dobra. Najpierw statki, potem galeria. Ale nie śpieszmy się. Nie ma sensu się przemęczać.

W galerii, nawet w sierpniu, było chłodno. Grube granitowe mury nie przepuszczały ciepła słońca, a wysokie okna były nieszczelne i w sali hulały przeciągi. Poza tym podłoga była kamienna, galeria nie miała ogrzewania, a kiedy silne podmuchy wiatru uderzały w budynek, rama okienna i szyby okna umieszczonego w suficie trzęsły się i brzęczały. Pani Trewey, która dyżurowała przy drzwiach, siedziała przy małym stolyczku zawalonym katalogami i kartkami, otulona kocem i z małym elektrycznym grzejnikiem przypiekającym jej łydki.

Penelopa i Lawrence byli jedynymi gośćmi. Siedzieli obok siebie na długiej, starej skórzanej kanapie, która stała pośrodku sali. Milczeli. Taka była już tradycja. Lawrence nie chciał rozmawiać. Wolał, żeby go zostawić w spokoju. Pochylony do przodu, opierał brodę na dłoniach wspartych na lasce i skupiwszy uwagę na znanych sobie obrazach, wspominał i łączył się myślami ze swoimi starymi przyjaciółmi, z których wielu już nie żyło.

Penelopa akceptowała to. Siadła opierając się wygodnie i otuliła się szczelnie swetrem, wyciągając długie, opalone nogi przed siebie. Jej tenisówki miały dziury na palcach. Myślała o butach. Nancy potrzebowała butów, ale potrzebowała też ciepłego swetra. Zbliżała się zima, a kuponów ubraniowych nie wystarczy na obie rzeczy. Trzeba je będzie zużyć na buty. A jeśli chodzi o sweter, to może uda się Penelopie wygrzebać jakiś stary blezer zrobiony na drutach, spruć go i zrobić na nowo sweterek dla Nancy. Robiła już podobne rzeczy, ale była to uciążliwa i niewdzięczna praca i nie cieszyła się na nią. Jak wspaniale byłoby móc kupić nową wełnę, bladoróżową lub żółtą, koloru pierwiosnków, grubą i miękką i z tego zrobić dla Nancy coś naprawdę ładnego.

Za nimi drzwi otwały się i zamknęły. Przeciąg chłodnego powietrza powiał po sali i przycichł. Nowy gość. Ani Penelopa, ani jej ojciec nie poruszyli się. Kroki. Mężczyzna. Parę słów zamienionych z panią Trewey. A potem powolne stąpanie nóg w ciężkich butach. Nowy gość obchodził salę, zatrzymując się co pewien czas. Po jakichś dziesięciu minutach pojawił się w polu widzenia Penelopy. Ciągłe myśląc jeszcze o sweterku dla Nancy, odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Mężczyzna, widziany przez nią od tyłu, mógł być tylko tym majorem piechoty morskiej, którego widzieli w jeepie prowadzonym z taką kawalerską fantazją. Mundur koloru khaki, zielony beret, korona na naramiennikach. Nie było wątpliwości, to był na pewno on. Obserwowała, jak posuwał się powoli w ich kierunku. Ręce miał założone do tyłu. Wreszcie, kiedy był o jakieś dziesięć jardów od nich, odwrócił się, świadomy ich obecności, może nieśmiały, a może nie chciał im przeszkadzać. Był wysoki i szczupły, jego twarz nie miała w sobie nic uderzającego z wyjątkiem pary zadziwiająco jasnych i przejrzystych niebieskich oczu.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i Penelopa poczuła się zażenowana, że przyłapał ją na obserwowaniu nieznajomego, przecież, mężczyzny. Odwróciła twarz. Tylko Lawrence mógł przerwać panującą ciszę. Nagle zdał sobie sprawę z obecności przybysza i zerknął w jego stronę.

Znow zrobił się przeciąg, poczuli podmuch wiatru, zatrzęsły się i zabrzęczały szyby. Kiedy wszystko ucichło, Lawrence odezwał się.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry panu.

Pod szerokim rondem wielkiego, czarnego kapelusza oczy Lawrence'a rozszerzyły się ze zdziwienia.

— Czy to nie pana widzieliśmy wyjeżdżającego jeepem?

— Tak jest, proszę pana, państwo byliście po drugiej stronie ulicy. Wydawało mi się, że rozpoznałem państwa — jego głos był spokojny, o miłym brzmieniu.

— Gdzie pana sierżant?

— Na dole, w porcie.

— Nie zajęło panu zbyt dużo czasu, żeby znaleźć to miejsce.

— Jestem tu od trzech dni i dopiero teraz pojawiła się szansa, żeby móc odwiedzić galerię.

— To znaczy, że wiedział pan o tej galerii?

— Ależ oczywiście. Któż o niej nie wie?

— Och, bardzo wielu ludzi. Za wielu.

Nastąpiła przerwa, w czasie której oczy Lawrence'a lustrowały postać nieznajomego. Jego wzrok był w takich wypadkach ostry, przejmujący i zazwyczaj ludzie, którym się tak przyglądał, czuli się nieswojo. Jednak major piechoty morskiej nie wydawał się być tym zdenerwowany. Po prostu czekał, a Lawrence'owi spodobał się jego spokój i wyraźnie się odprężył. Nagle powiedział:

— Jestem Lawrence Stern.

— Tak też myślałem. Miałem nadzieję, że to pan. To wielki honor dla mnie poznać pana.

— A to moja córka, Penelopa Keeling.

Odpowiedział: — Bardzo mi miło — ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby podejść do niej i podać jej rękę.

— Cześć — Penelopa skinęła głową.

— Może pan się nam teraz przedstawi.

— Nazywam się Lomax, proszę pana. Richard Lomax.

— A więc, majorze Lomax — Lawrence poklepał skórzane siedzenie obok siebie — proszę tu usiąść przy mnie. Aż mi niewygodnie, gdy widzę, że pan stoi. Nigdy nie lubiłem dużo stać.

Major Lomax w dalszym ciągu nie wyglądał na skępowanego. Spełnił tę prośbę i usadowił się wygodnie obok Lawrence'a. Pochylił się do przodu, rozluźniony, ręce spuścił pomiędzy kolanami.

— To pan zapoczątkował tę galerię, prawda?

— Ja i wielu innych ludzi. We wczesnych latach dwudziestych. Dawniej to była kaplica. Stała pusta już od wielu lat. Dostaliśmy ją za pół darmo, ale potem problem polegał na tym, żeby wypełnić ją tylko najlepszymi obrazami. Najpierw, żeby stworzyć jądro dobrej kolekcji, każdy z nas darował po jednej ze swoich ulubionych prac. Proszę spojrzeć — odchylił się do tyłu i używał swojej laski jako pałeczki wskazującej. — Stanhope Forbes, Laura Knight. Cóż za szczególnie piękny obraz!

— I nietypowy. Ona zawsze kojarzyła mi się z obrazami o tematyce cyrkowej.

— To było namalowane w Porthcurno. — Jego laska posuwała się dalej. — Lamorna Birch. Munnings. Montague Dawson. Thomas Millie Dow. Russell Flint...

— Muszę panu powiedzieć, że mój ojciec miał jeden z pana obrazów. Niestety, kiedy umarł, jego dom został sprzedany, razem z obrazem...

— A który to był obraz?

Rozmawiali dalej. Penelopa przestała słuchać. Już nie martwiła się ubrankami dla Nancy, na Tomiast zaczęła zastanawiać się nad jedzeniem. Kolacja dziś wieczór. Co im da? Makaron z serem? Został jeszcze kawałek chedaru z zeszlotygodniowego przydziału, można by go utrzeć na sos. Albo może zrobić kalafior z sosem serowym. Ale jedli przecież kalafior z serem przedwczoraj i dzieci zaczną narzekać.

— ... Nie ma tu prac współczesnych?

— Jak pan widzi. Czy to pana martwi?

— Nie.

— Ale lubi je pan?

— Uwielbiam Miro i Picassa. Z radością patrzę na Chagalla i Braque'a. Nie cierpię obrazów Salvadora Dali.

Lawrence wybuchnął śmiechem.

— Surrealizm. To kult. Ale niedługo po tej wojnie, zaczniesz się dziać coś wspaniałego. Ja i moje pokolenie, a także pokolenie, które przyszło po mnie, zrobiliśmy tyle, ile mogliśmy, doszliśmy do pewnej granicy. Myśl o rewolucji, jaka obejmie świat sztuki napełnia mnie ogromnym podnieceniem. Tylko dlatego chciałbym znowu być młodym człowiekiem. Żeby móc być przy tym i widzieć, co się będzie działo. Ponieważ pewnego dnia oni przyjdą. Tak jak my przyszliśmy. Młodzi ludzie z jasną wizją, umiejący patrzeć głęboko i obdarzeni wielkim talentem. Przyjdą, nie żeby malować zatokę i morze, i łódzie, i wrzosowiska, ale ciepło słońca i kolor wiatru. Zupełnie nowa koncepcja. Nowe wyzwanie. Nowa siła witalna. To będzie cudowne — westchnął. — A ja umrę, zanim to się nawet zacznie. Czy dziwi się pan, że mi żal, iż mnie przy tym nie będzie?

— Człowiek może tylko tyle zrobić w swoim życiu ile mu jest dane.

— To prawda. Ale trudno nie być łakomym. Jest w naturze człowieka, żeby ciągle chcieć więcej.

Znów zapadło milczenie. Penelopa myśląc o kolacji, zerknęła na zegarek. Była za kwadrans czwarta. Zanim dotrą do Carn Cottage, będzie prawie piąta. Powiedziała:

— Papo, powinniśmy już iść.

Ledwie ją usłyszał.

— Hm?

— Mówiłam, że już czas, byśmy wyruszyli do domu.

— Tak. Tak, oczywiście. — Zebrał swoje rzeczy i próbował wstać, ale zanim się podniósł, major Lomax już stał obok, gotowy mu pomóc. — Dziękuję... Bardzo pan uprzejmy. Starość to okropna rzecz. — Wreszcie udało mu się wstać. — Artretyzm jest jeszcze gorszy. Już od lat nie mogę malować.

— Przykro mi.

Kiedy byli już gotowi wyruszyć w drogę, major Lomax wyszedł razem z nimi. Na brukowanym kocimi łbami placyku, po którym hulał wiatr, stał zaparkowany jeep. Major zaczął ich przeproszać.

— Chciałbym móc zawieźć państwa do domu, ale to wbrew przepisom. Nie wolno nam przewozić cywilów w pojazdach służbowych.

— Wolimy się przejść — zapewnił go Lawrence. — Idziemy sobie powoli, nie spiesząc się. Miło było z panem porozmawiać.

— Mam nadzieję, że pana jeszcze zobaczę.

— Ależ oczywiście. Musi pan przyjść do nas na obiad lub kolację. — Zastanawiał się nad tym wspomniałym pomysłem. Penelopa słuchała z przerażeniem, wiedziała dokładnie, co papa powie za chwilę. Dała mu ostrego kuksańca łokciem w żebra, ale on zignorował jej ostrzeżenie i było już za późno. — Proszę zjeść z nami kolację dziś wieczorem.

— Papo, nie ma nic na kolację. Ja nawet nie wiem, co my będziemy jeść — syknęła mu wściekle do ucha.

— Och! — Wyglądał na zranionego i zawiedzionego, lecz major Lomax rozładował sytuację.

— To bardzo miłe z pana strony, ale niestety dziś wieczór nie mogę.

— No, to może innym razem.

— Tak. Dziękuję panu. Innym razem — bardzo chętnie.

— Zawsze jesteśmy w domu.

— Chodźmy już, papo.

— Au revoir, majorze! — Podniósłszy laskę w geście pożegnania, w końcu posłuchał napomnień Penelopy i ruszył naprzód. Ale ciągle jeszcze był urażony.

— To było bardzo niegrzeczne — wyrzucał jej. — Sophie nigdy nie odmówiła przyjęcia gościa, nawet gdy miała do zaoferowania tylko chleb z serem.

— Przecież on i tak nie mógł dzisiaj przyjść.

Szli pod rękę, najpierw w dół do portu. To był pierwszy etap długiego marszu do domu. Nie odwróciła głowy, żeby to sprawdzić, ale miała wrażenie, że major Lomax ciągle stał jeszcze przy jeepie, patrząc za nimi, aż do momentu, kiedy zakręcili przy pubie Sliding Tackle i zniknęli za rogiem.

Podniecenie, silne wrażenia tego popołudnia, dodane do długiego spaceru i ogromnej dawki świeżego powietrza, wszystko to razem sprawiło, że stary człowiek poczuł się bardzo zmęczony. Penelopa z pewną ulgą przeprowadziła go wreszcie przez ogród i wprowadziła przez drzwi domku Carn Cottage. Tuż za drzwiami Lawrence ciężko opadł na krzesło i siedział łapiąc oddech. Zdjęła mu kapelusz i powiesiła go na wieszaku, odwinęła szalik, okręcony wokół szyi. Wzięła jego ręce w rękawiczkach w swoje dłonie i delikatnie rozcierała, jak gdyby ten drobny gest był w stanie przywrócić życie jego woskowym, powykęcany palcom.

— Następnym razem, kiedy pójdziemy do galerii, papo, weźmiemy taksówkę w drodze powrotnej do domu.

— Powinniśmy byli pojechać bentleyem. Dlaczego nie pojechalibyśmy naszym bentleyem?

— Bo nie możemy do niego dostać benzyny.

— Niewielki z niego pożytek bez benzyny.

Po chwili przyszedł już na tyle do siebie, że mógł przejść do salonu, gdzie pomogła mu usadowić się w jego fotelu, dobrze mu znanym i bardzo już wygniecionym.

— Zrobisz mi filiżankę herbaty.

— Nie zwracaj sobie tym głowy. Zdrzemnę się.

Oparł się i zamknął oczy. Przyklękła przy palenisku i przyłożyła zapaloną wcześniej zapałkę do papieru. Czekwała, aż zajmą się drewnienka, a potem węgiel. Otworzył oczy.

— Ogień na kominku, w sierpniu?

— Nie chcę, żebyś zmarł i przeziębził się. — Wstała. — Czy teraz ci dobrze?

— Oczywiście — uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech pełen wdzięczności i miłości. — Dziękuję ci, że poszłaś ze mną. To było wspaniałe popołudnie.

— Cieszę się, że ci się podobało.

— Jestem niezwykle zadowolony ze spotkania z tym młodym człowiekiem. Wyjątkowo dobrze mi się z nim rozmawiało. Nie miałem okazji do takiej rozmowy od długiego czasu. Bardzo długiego czasu. Zaprosimy go do nas na jakiś posiłek, prawda? Chciałbym go jeszcze kiedyś zobaczyć.

— Tak. Oczywiście.

— Poprosimy Erniego, żeby ustrzelił gołębia. Gołąb na pewno by mu smakował... — Jego oczy znów się zamknęły. Penelopa cicho wyszła z salonu.

Pod koniec sierpnia żniwa skończyły się, a amerykańscy komandosi wprowadzili się do nowego obozu na szczycie wzgórza, naTomiasz pogoda niestety się popsowała.

Żniwa były udane i farmerzy bardzo byli z nich zadowoleni. Ministerstwo Rolnictwa zapewne w odpowiednim czasie pogłászcze ich za to po głowie. NaTomiasz, jeśli chodzi o oddziały wojsk amerykańskich, to wywarły one o wiele mniejszy wpływ na życie w Porthkerris, niż się tego obawiano. Ponure przepowiednie wygłaszane przez najbardziej zasadniczych i konserwatywnych obywateli miasta okazały się nieuzasadnione, na ulicach nie widać było pijanych żołnierzy, nie dochodziło do bójek ani gwałtów. Przeciwnie, wydawali się być wyjątkowo dobrze wychowani i uprzejmi. Młodzi, przystojni, ostrzyżeni na jeża, ubrani w kurtki w ochronnych kolorach i czerwone berety przemierzali ulice miasta cichymi krokami w butach na gumowych podszewkach. Ale, z wyjątkiem typowego dla żołnierzy przeciągłego pogwizdywania za ładnymi dziewczętami, co zdarzało się od czasu do czasu, oraz przyjaznego zagadywania do dzieci, których kieszenie wkrótce pękały już od czekolady i gumy do żucia, ich obecność nie zmieniła zbyt wiele w codziennym życiu miasteczka. Przypuszczalnie otrzymali rozkaz, żeby ze względów bezpieczeństwa zachowywali się tak, aby nie zwracać na siebie uwagi i najczęściej trasę z obozu do portu pokonywali ściśnięci jak sardynki w ciężarówkach albo w jeepach z przyczepami wypchanymi sznurami, rakami i hakami. Wtedy właśnie uważali za swój obowiązek gwizdanie za każdą kobietą, jaka tylko przechodziła ulicą, jak gdyby chcieli dorównać famie, która o nich krążyła, przedstawiając ich jako „dzikich kowbojów”. Z czasem jednak, kiedy ich szkolenie stawało się coraz bardziej intensywne, okazało się, że generał Watson-Grant miał rację, twierdząc, iż mężczyźni, którzy spędzą prawie cały dzień najpierw podróżując po wzburzonym morzu, a potem wspinając się po skalnym urwisku Boscarben, pod koniec dnia nie będą myśleli już o niczym innym tylko o ciepłym prysznicu, jedzeniu i śnie.

W dodatku, na ich nieszczęście, po wielu tygodniach pięknej słonecznej aury, pogoda zrobiła się paskudna. Kierunek wiatru zmienił się na północno-zachodni, ciśnienie spadło i niskie, szare chmury pędziły nad oceanu, niosąc potoki deszczu. Nawałnica szła za nawałnicą. W miasteczku mokry bruk lśnił jak rybie łuski, a w rynsztokach bulgotała spieniona woda pełna rozmokłych śmieci. W ogrodzie Carn Cottage deszcz i wiatr porwały kwiaty na mokre wstążeczki, stare drzewo stra-

ciło gałąź, a kuchnia ozdobiona była wiszącym praniem, ponieważ nigdzie indziej nie można go było wysuszyć.

Jednym słowem, jak zaznaczył Lawrence, patrząc przez okno, była to pogoda, która zgasiłaby płomień największego nawet zapału.

Morze zrobiło się szare i gniewne. Ogromne, spienione fale z hukiem zalewały północną plażę, zostawiając ślady znacznie powyżej zwykłej linii przypływu.

Oprócz zwykłych odpadków morze wyrzucało też inne rzeczy. Smutne szczątki statku handlowego, storpedowanego i zatopionego na Atlantyku parę tygodni czy miesięcy temu, które w końcu zostały wyrzucone na brzeg, przyniesione na falach przy sprzyjającym wietrze: parę kamizelek ratunkowych, kawałki rozdartego wybuchem pokładu i kilka drewnianych skrzyń.

Ojciec Erniego Penbertha, wczesnym rankiem przejeżdżając swoim wozem zaprzężonym w konia, zauważył je pierwszy. Tego samego dnia o jedenastej rano Ernie pojawił się w kuchennych drzwiach w Carn Cottage. Penelopa właśnie obierała jabłka, kiedy zobaczyła go stojącego w czarnej, ociekającej wodą pelerynie i naciągniętej na nos, przemoczonej czapce, ale z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Miałabyś ochotę na brzoskwinie w puszkach, co?

— Brzoskwinie w puszkach? Żartujesz sobie ze mnie.

— Mój tata ma ich dwie skrzynie w sklepie. Znalazł je na północnej plaży. Przywiózł je do sklepu, otworzył jedną puszkę. Brzoskwinie kalifornijskie. Jak świeże.

— A to gratka! Naprawdę mogłabym ich trochę dostać?

— Odłożył już sześć dla was. Pomyślał sobie, że będą smakować dzieciom. Powiedział, że jak chcesz, to możesz je sobie odebrać, kiedy ci wygodnie.

— Święty człowiek! Och, Ernie, dziękuję. Pójdę dziś po południu, zanim się rozmyśli.

— Nie zrobiłby tego.

— Chcesz zjeść z nami lunch?

— Nie, muszę wracać. Ale dziękuję za zaproszenie.

Zaraz po lunchu Penelopa wyruszyła, w botkach, zapięta po szyję w żółtej pelerynie i z wełnianą czapką naciągniętą na uszy. Niosła dwa solidne koszyki, zabierane zawsze na zakupy. Kiedy przyzwyczaiła się już do porywistego wiatru — który od czasu do czasu omal jej nie przewracał — a także do deszczu kłującego w twarz jak ostre igiełki, ta dzika pogoda zaczęła ją bawić, dodawała jej animuszu. Idąc w dół do miasta zauważyła, że jest dziwnie opustoszałe. Burza zapędziła wszystkich do domów, ale wrażenie, że ma miasteczko niejako tylko dla siebie i jest jedyną osobą na jego ulicach, zwiększyło jeszcze jej satysfakcję. Poczuła się jak nieustraszony odkrywca.

Sklep pana Penbertha znajdował się w dzielnicy Downalong, w połowie drogi do portu. Można było dojść do niego poprzez labirynt bocznych uliczek, ale Penelopa zamiast tego wybrała drogę biegnącą wzdłuż morza, i skręciwszy przy przystani łodzi ratunkowych, znalazła się w samym środku wichury. Był czas przypływu i w porcie szara, wzburzona woda przelewała się na wszystkie strony. Rozwrzeszczane mewy bezskutecznie walczyły z podmuchami wiatru, który znosił je w różnych kierunkach. Kutrami rybackimi, stojącymi na kotwicach, kołysało, a przycumowanymi na końcu nabrzeża statkami desantowymi rzucało jeszcze silniej. Widocznie pogoda była zbyt koszmarna nawet dla komandosów.

Wreszcie z pewną ulgą dotarła do sklepu, maleńkiego budynekczku stojącego na skrzyżowniu dwóch bocznych ulic. Kiedy otworzyła drzwi i weszła, zawieszony u góry dzwonek zadzwonił lekko. W sklepie nie było nikogo. Pachniało przyjemnie jabłkami, pasternakiem i ziemią. Gdy drzwi zamknęły się za nią, w tyle sklepu uniosła się zasłona i pojawił się pan Penberth, ubrany jak zwykle w swój granatowy kombinezon, a na głowie miał czapkę w kształcie grzybka.

— To ja—powiedziała całkiem niepotrzebnie, a kapiąca z niej obficie woda moczyła podłogę sklepu.

— Tak też myślałem. — Miał takie same ciemne oczy jak jego syn i ten sam uśmiech, tylko o wiele mniej zębów. — Przyszłaś na piechotę, co? A to dopiero dzień! Ale wichura już się chyba wyszalała, na wieczór będzie już ładnie. Właśnie wysłuchałem prognozy pogody dla rybaków przez radio. Dotarła do ciebie moja wiadomość? Ernie powiedział ci o tych brzoskwiniach?

— A po cóż innego bym tu przychodziła? Nancy nigdy w życiu jeszcze nie jadła brzoskwini.

— Lepiej przejdźmy na zaplecze. Trzymam je schowane. Niech się ludzie tylko dowiedzą, że mam brzoskwinie, a nie dadzą mi żyć.

Unióśł zasłonę i Penelopa wniosła swoje koszyki do małego pomieszczenia, ciasnego i zagraconego, pełniącego jednocześnie rolę magazynu i biura. Stał tutaj czarny piecyk, w którym zawsze się paliło, stąd pan Penberth telefonował i tutaj robił sobie herbatę, kiedy w sklepie nie było klientów. Dzisiaj pachniało tu mocno rybami, ale Penelopa prawie tego nie zauważyła, gdyż jej uwaga skupiła się wyłącznie na ułożonych w piramidy stosach puszek, które zajmowały całą wolną przestrzeń podłogi... Poranna zdobycz pana Penbertha.

— Co za znalezisko! Ernie mówił, że były na północnej plaży. Jak udało się panu przytaszczyć je tutaj?

— Pojechałem najpierw po sąsiada. Pomógł mi. Przywieźliśmy skrzynię na wozie. Sześć puszek ci wystarczy?

— To nawet więcej niż potrzebuję.

Włożył jej po trzy puszki do każdego koszyka.

— A jak wyglądacie, jeśli chodzi o ryby? — zapytał.

— A dlaczego pan pyta?

Pan Penberth zniknął na chwilę pod swoim biurkiem, a za moment wynurzył się z wiaderkiem, źródłem rybiego zapachu. Penelopa zajrzawszy do wiaderka, zobaczyła, że jest prawie pełne niebieskawo-srebrnych makreli.

— Jeden z chłopców był na plaży dziś rano i dał mi to w zamian za parę puszek brzoskwiń. Moja żona nie chce jeść makreli, mówi, że to brudna ryba. Pomyślałem sobie, że może wam się przydadzą. Są świeżutkie.

— Gdybym mogła dostać z pół tuzina, byłoby w sam raz na kolację.

— Wspaniale — powiedział pan Penberth. Wygrzebał skądś starą gazetę, zapakował ryby w nieforemne paczuszki i położył je na puszkach z brzoskwiniami. — No i gotowe.

Penelopa podniosła oba koszyki. Były okropnie ciężkie. Pan Penberth zmarszczył brwi.

— Dasz sobie z tym radę? Nie za ciężkie? Mógłbym je podrzucić, kiedy tylko będę jechał wozem w waszą stronę, ale makrele nie wytrzymają do jutra.

— Dam sobie radę.

— Mam nadzieję, że będą wam smakować... — odprowadził ją do drzwi. — Jak się ma Nancy?

— Kwitnąco.

— Powiedz jej i Doris, żeby przyszły nas odwiedzić wkrótce. Nie widziałem ich od miesiąca albo i dłużej.

— Powiem im. Jeszcze raz dziękuję panu bardzo, panie Penberth.

Przy otwieraniu drzwi znów zabrzączał dzwonek.

— Dla mnie to tylko przyjemność, moja droga.

Obciążona brzoskwiniami i rybami, Penelopa wyruszyła w drogę powrotną do domu. Było już późne popołudnie i parę osób pojawiło się teraz na ulicach. Wychodzili na zakupy albo żeby coś załatwić. Pan Penberth miał rację z tą prognozą pogody. Wiatr zmienił kierunek i wyraźnie osłabł, deszcz jeszcze kroił, ale coraz mniej. Podniosła głowę i wysoko na niebie, za pędzącymi, czarnymi chmurami zobaczyła kawałeczek niebieskiego nieba o wystrzępionych brzegach, akurat tyle, żeby starczyło kotu na portki. Szła szybko, z radością myśląc, że chociaż ten jeden raz nie musi martwić się, co da wszystkim na kolację. Ale po pewnym czasie ciężkie koszyki zaczęły jej się dawać we znaki. Ręce bolały coraz bardziej i czuła się tak, jakby ktoś wyrwał jej ramiona ze stawów. Przyszło jej na myśl, że może źle zrobiła, odrzucając ofertę pana Penbertha, ale właśnie w tym momencie usłyszała odgłos szybko nadjeżd-

dżającego pojazdu, który zbliżał się od tyłu, za nią, z kierunku północnego nabrzeża.

Droga była wąska, a kałuże głębokie. Chcąc uniknąć ochlapania i przemoczenia falą brudnej wody, cofnęła się o parę kroków na bok, żeby przeczekać, aż nadjeżdżające auto minie ją bezpiecznie. Pędem przejechało obok niej, ale o parę metrów dalej zatrzymało się nagle z piskiem hamulców. Zobaczyła odkryty jeep i dwie znajome postacie w mundurach. Major Lomax i jego sierżant. Jeep stał dalej tam, gdzie się zatrzymał, silnika nie wyłączono, a major Lomax wysiadł i podszedł do miejsca, w którym stała Penelopa. Bez żadnych wstępów powiedział:

— Wygląda pani na przeciążoną.

Wdzięczna, iż dostarczył jej pretekstu, żeby na chwilę odpocząć od ciężaru koszyków, postawiła je na chodniku i wyprostowała się, zwracając się twarzą do niego.

— I owszem, jestem.

— Spotkaliśmy się parę dni temu.

— Pamiętam.

— Była pani na zakupach?

— Nie. Odebrałam prezent. Sześć puszek brzoskwiń. Wyrzuciło je dziś rano na północną plażę. Dostałam także trochę ryb.

— Jak daleko musi je pani zanieść?

— Do domu.

— Gdzie to jest?

— Na szczycie wzgórza.

— Nie mogły zostać dostarczone do domu?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo ja chcę je zjeść dziś wieczorem.

Rozbawiony, uśmiechnął się. Ten uśmiech rozjaśnił jego twarz w jakiś zupełnie fantastyczny sposób i sprawił, że spojrzała na niego i tak naprawdę zobaczyła go po raz pierwszy. „Nic uderzającego”, taka była jej prywatna opinia, kiedy wszedł tego dnia do galerii, gdzie się spotkali. Ale teraz stwierdziła, że w żadnym wypadku nie określiłaby go jako „nic uderzającego”, wręcz przeciwnie, gdyż jego regularne rysy, niebieskie oczy o przedziwnym blasku i ten niespodziewany uśmiech, układały się w całość, która dodawała mu nadzwyczajnego uroku.

— Może moglibyśmy jakoś pomóc.

— Jak?

— Nie możemy pani podwieźć, ale nie widzę powodu, dlaczego sierżant Burton nie miałby zawieźć tych brzoskwiń do pani domu.

— Nigdy by nie trafił.

— Nie docenia go pani. — Schylił się i podniósł koszyki. Powiedział

bardzo gniewnie. — Nie powinna pani tego nieść. Pochoruje się pani od tego.

— Codziennie muszę nosić torby z zakupami. Wszyscy dziś muszą...

Major Lomax zignorował jej wypowiedź i ruszył w kierunku jepra. Penelopa wciąż jeszcze słabo protestując, szła za nim.

— Dam sobie radę...

— Sierzancie!

Sierżant wyłączył silnik.

— Słucham?

— Te koszyki mają być dostarczone do domu tej pani. — Ustawił je na tylnym siedzeniu jepra. — Ona da wam wskazówki.

Sierżant obrócił się do niej i czekał uprzejmie. Nie mając innego wyjścia, Penelopa zrobiła to, co jej kazano.

— Prosto pod górę — tłumaczyła — a potem w prawo przy garażu Grabneya, a dalej tą drogą aż na samą górę. Tam będzie wysoki mur, dom nazywa się Carn Cottage. Będzie pan musiał zostawić jeep na drodze i przejść przez ogród.

— Czy ktoś będzie w domu, proszę pani?

— Tak. Mój ojciec.

— Jak on się nazywa?

— Stern. Jeśli on pana nie usłyszy... Jeśli nikt nie odpowie na dzwonek, proszę po prostu zostawić koszyki na progu.

— Tak jest, proszę pani.

— W takim razie, wszystko ustalone — stwierdził major Lomax. — Jedźcie już dalej, sierzancie. Ja dojdę na piechotę. Zobaczymy się na kwaterze.

— Tak jest, panie majorze.

Zasalutował, zapuścił motor i odjechał z bagażem, który wyglądał dziwnie swojsko na tylnym siedzeniu jepra. Zniknął za rogiem przy budynku przystani łodzi ratunkowych. Penelopa została z majorem. Czuła się nieswojo, trochę skrępowana tym nieoczekiwanym obrotem spraw. W dodatku była niezadowolona ze swojego wyglądu, czym zwykle nie przejmowała się wcale. Nic jednak na to nie mogła poradzić, z wyjątkiem ściągnięcia brzydkiej wełnianej czapki. Zrobiła to, wpychając czapkę do kieszeni peleryny i potrząsnęła głową, żeby rozpuszczone włosy jakoś się ułożyły.

— Pójdziemy? — zapytał.

Ręce jej zmarzły, więc włożyła je do kieszeni.

— Czy pan naprawdę chce iść na piechotę? — W jej głosie brzmiało powątpiewanie.

— Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie chciał.

— Czy nie ma pan nic innego do roboty?

— Jak na przykład co?

— Na przykład ułożenie planu **ćwiczeń albo** napisanie sprawozdania?

— Nie. Resztę dnia mam wolną.

Ruszyli przed siebie. Penelopę zaniepokoiła pewna myśl.

— Mam nadzieję, że pana sierżant nie wpakuje się w kłopoty. Jestem pewna, że nie wolno mu wozić czyichś zakupów jeepem.

— Jeśli ktokolwiek miałby go za to ukarać, to byłbym to ja. A zresztą, skąd pani jest taka pewna?

— Służyłam jako ochotniczka w WRNS przez dwa miesiące, więc wiem wszystko o regułach i przepisach. Nie wolno mi było nosić torebki ani parasola. To bardzo utrudniało życie.

Wydawał się tym zainteresowany.

— Kiedy była pani w WRNS?

— Och, wieki temu. W 1940. To było w Portsmouth.

— Dlaczego opuściła pani służbę?

— Urodziłam dziecko. Wyszłam za mąż i urodziłam dziecko.

— Rozumiem.

— Ma prawie trzy latka. Nazywa się Nancy.

— Czy pani mąż służy w marynarce?

— Tak. Jest chyba na Morzu Śródziemnym. Nigdy nie jestem całkiem pewna.

— Jak dawno go pani nie widziała?

— Och... — Nie mogła sobie przypomnieć i nie chciała. — Wieki całe.

— Kiedy to mówiła, wysoko nad ich głowami, chmury rozstały się na krótki moment i wilgotny jeszcze promień słońca przebił się między nimi. Mokra ulica odbiła światło i bruk uliczny i płyty chodnika zaśniły nagle złotem. Zdumiona Penelopa podniosła głowę, żeby przyrzeć się tej chwili jasności. — Rzeczywiście przejaśnia się. Pan Penberth mówił, że tak właśnie będzie. Słuchał prognozy pogody i mówił, że burza ma się skończyć. Może będzie piękny wieczór.

— Tak, może tak będzie.

Słońce zniknęło tak szybko, jak się ukazało i znów wszystko było szare. Ale deszcz wreszcie przestał padać.

— Nie idźmy przez miasto — zaproponowała Penelopa. — Chodźmy wzdłuż brzegu morza i koło stacji kolejowej. Stamtąd prowadzą schody, które wychodzą prawie dokładnie naprzeciwko Hotelu White Caps.

— Bardzo chętnie. Ja jeszcze nie zorientowałem się w tutejszej okolicy, ale przypuszczam, że pani zna całe to miasteczko jak własną kieszeń. Czy zawsze tu pani mieszkała?

— W lecie. Zimy spędzaliśmy w Londynie. A od czasu do czasu jeździliśmy do Francji. Moja matka była Francuzką. Mieliśmy tam przyjaciół. Ale teraz mieszkamy w Porthkerris od wybuchu wojny. Przypuszczam, że wszyscy tu zostaniemy do jej końca.

— A pani mąż? Czy on nie chce, żeby pani była gdzieś bliżej, kiedy zawija do portu?

Skęcili w wąską drózkę, która biegła wzdłuż plaży. Wysoka fala w czasie burzy wyrzuciła tu drobne kamyczki z plaży, kawałki wodorostów i strzęp wysmołowanej liny. Przystanęła, podniosła kamyczek i rzuciła go do morza.

— Mówiłam już, że on jest na Morzu Śródziemnym. A poza tym muszę opiekować się ojcem. Moja matka została zabita w czasie bombardowania Londynu w 1941. Więc muszę zostać przy nim.

Nie powiedział: „przykro mi”. Powtórzył znowu — Rozumiem — i zabrzmiało to tak, jakby naprawdę rozumiał.

— Zresztą, nie chodzi tylko o mnie, ojca i Nancy. Mieszka z nami Doris i jej dwaj chłopcy. Przyjechali jako przesiedleńcy z Londynu. Ona została wdową, gdyż jej mąż zginął na wojnie, i nie chce wracać do Londynu. — Spojrzała na niego. — Papie bardzo miło rozmawiało się z panem, wtedy w galerii. Gniewał się na mnie, że nie mogłam pana zaprosić na kolację. Wyrzucał mi, że zachowałam się bardzo niegrzecznie. Wcale nie chciałam. To tylko dlatego, że naprawdę nie było wtedy nic do jedzenia.

— Bardzo mnie ucieszyło spotkanie z nim. Kiedy wiedziałem już, że mnie tu wysyłają, przyszło mi na myśl, że może zobaczę sławnego Lawrence'a Sterna, ale tak naprawdę nie wyobrażałem sobie, żeby to się mogło stać. Myślałem, że jest już za stary i zbyt wątłego zdrowia, by móc wychodzić i bywać gdziekolwiek. Kiedy zobaczyłem was po raz pierwszy na drodze koło Kwatery Głównej, od razu wiedziałem, że to musi być on. A potem, kiedy wszedłem do galerii i wy tam byliście, nie mogłem wprost uwierzyć w swoje szczęście. Cóż za wspaniały był z niego malarz. — Obrócił ku niej głowę. — Czy odziedziczyła pani jego talent?

— Nie. To bardzo frustrujące. Często widzę coś tak pięknego, że aż boli, na przykład starą fermę albo kwiaty naparstnicy rosnącej w żywopłocie, kołyszące się na wietrze na tle błękitnego nieba. Tak bardzo chciałabym wtedy móc je utrwalić na papierze, uchwycić to piękno, zachować je na zawsze. No i oczywiście nie mogę.

— Nie jest łatwo pogodzić się ze swoimi słabymi stronami, czy też z poczuciem niedorastania do stawianych sobie wymagań.

Przyszło jej do głowy, że nie wyglądał na mężczyznę, który wiedziałby z własnego doświadczenia co znaczy „poczucie niedorastania”.

— Czy pan maluje?

— Nie. A dlaczego pani pyta?

— Gdy rozmawiał pan z papą, wydawał się pan bardzo dużo wiedzieć o malarstwie.

— Jeśli takie sprawiałem wrażenie, to tylko dlatego, że wychowała mnie matka, kobieta o artystycznej, wrażliwej duszy. Gdy tylko nauczy-

łem się chodzić, zaczęła prowadzić mnie do wszystkich galerii i muzeów w Londynie, a także musiałem zaliczać koncerty.

— Wygląda na to, że obrzydzono panu kulturę na całe życie.

— Nie. Robiła to bardzo taktownie, w sposób ogromnie interesujący. To była świetna zabawa.

— A ojciec pana?

— Ojciec był maklerem na Giełdzie w City.

Zastanawiała się nad tym. Życie innych ludzi było zawsze fascynujące.

— A gdzie oni mieszkali?

— Na Cadogan Gardens. Ale po śmierci ojca matka sprzedała dom, gdyż był za duży i wyprowadziła się do mniejszego na Placu Pembroke. Mieszka tam teraz. Została tam przez cały okres bombardowań. Powiedziała, że woli umrzeć niż opuścić Londyn.

Penelopa pomyślała o Dolly Keeling bezpiecznie ukrytej w swojej norce, czyli w Hotelu Coombe, grającej w brydża z cholerną lady Beamish i piszącą długie, wzruszające listy do Ambrose. Westchnęła, ponieważ ile razy myślała o Dolly, czuła się trochę przygnębiona. Zawsze miała poczucie winy, że nie zapraszała Dolly na parę dni do Carn Cottage choćby po to, by mogła zobaczyć swoją wnuczkę. Albo może powinna zaproponować, że pojedzie do Hotelu Coombe i zabierze ze sobą Nancy. Ale obie te możliwości były tak przerażające, że natychmiast przestawała o tym myśleć i zaczynała rozmyślać o czymś całkiem innym.

Wąska droga pięła się pod górę. Zostawili morze za sobą i teraz szli pomiędzy rzędami bielonych rybackich chat. Otworzyły się drzwi i ukazał się kot, a za nim kobieta niosąca kosz pełen bielizny, którą zaraz zaczęła rozwieszać na sznurze biegnącym wzdłuż ściany frontowej domu. Właśnie w tym momencie znów wyszło słońce, świecąc już teraz całkiem mocno i kobieta obróciła ku nim uśmiechniętą twarz.

— To rozumiem. Od razu jest inaczej, prawda? W życiu nie widziałam takiego deszczu jak dziś rano. Ale teraz już będzie ładnie.

Kot łąsił się do nóg Penelopy. Zatrzymała się, żeby go pogłaskać. Poszli dalej. Wyjąła ręce z kieszeni i rozpięła pelerynę. Po chwili zapytała:

— Czy pan wstąpił do piechoty morskiej, bo nie chciał pan być maklerem na giełdzie, czy też z powodu wojny?

— Z powodu wojny. Byłem oficerem rezerwy. Zawsze mi się wydaje, że to brzmi trochę pejoratywnie. Ale maklerem na giełdzie też nie chciałem być. Studiowałem literaturę klasyczną i angielską na uniwersytecie, a potem dostałem pracę nauczyciela w szkole podstawowej.

— Czy to w piechocie morskiej nauczył się pan wspinać?

Uśmiechnął się.

— Nie. Uprawiałem wspinaczkę o wiele wcześniej. W szkole średniej, była to prywatna szkoła z internatem w Lancashire, miałem wychowawcę, który brał nas na obozy i uczył wspinaczki w Lake

District¹¹. Połknąłem haczyk w wieku lat czternastu i od tego czasu już zawsze się wspinałem.

— Czy uprawiał pan wspinaczkę także gdzieś za granicą?

— Tak. W Szwajcarii. Austrii. Chciałem pojechać do Nepalu, ale to wymagało wielu miesięcy przygotowań i nigdy nie miałem dość czasu.

— Po Materhornie urwisko Boscarben musi wydawać się łatwe.

— Nie — zapewnił ją stanowczo. — Wcale nie jest łatwe.

Szli dalej, pnąc się pod górę, wybierając ukryte, kręte dróżki, nie znane turystom czy wczasowiczom, wchodząc po granitowych schodach tak stromych, że Penelopie brakowało tchu i nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Pomiędzy stacją kolejową a główną drogą schody wspinały się zygzakiem po ścianie urwiska i wychodziło się nimi prawie dokładnie naprzeciwko Hotelu White Caps.

Rozgrzana fizycznym wysiłkiem Penelopa odpoczywała, oparłszy się o mur i czekała, aż złapie oddech i uspokoi się jej walące jak młot serce. Na majorze, który szedł za nią, nie widać było wcale zmęczenia. Penelopa widziała, jak stojący na warcie żołnierz piechoty morskiej przyglądał im się z drugiej strony drogi, ale wyraz jego twarzy był obojętny.

— Czuję się kompletnie wypluta — przyznała się, kiedy wreszcie mogła już mówić.

— Nic dziwnego.

— Od lat nie wchodziłam pod górę tą drogą. Gdy byłam mała potrafiłam całą tę drogę z plaży pokonać biegiem. To było coś w rodzaju próby wytrzymałości, której się sama poddawałam.

Odwróciła się i oparła ramionami o breg muru, patrząc w dół na przebytą przez nich drogę. Morze było teraz spokojniejsze, cofało się i odbijało błękit rozpogadzającego się nieba. Daleko w dole, po plaży przechadzał się samotny człowiek z psem. Wiatr osłabł i zmienił się w świeży powiew, pachnący jak mech, wilgotnymi, mokrymi od deszczu ogrodami. Był to zapach tak pełen nostalgii, że Penelopa, zaskoczona, poczuła, jak ogarnia ją całkowicie irracjonalne uniesienie, rodzaj ekstazy, której nie zaznała od czasu, kiedy była dzieckiem.

Pomyślała o ostatnich paru latach, o nudzie, o szarości egzystencji, o braku czegokolwiek na co mogłaby się cieszyć. A teraz nagle, w jednej chwili, zasłony rozsuneły się i okno otwarło się na piękny, wspaniały widok, który był tam cały czas i czekał na nią. Był to w dodatku widok pełen najcudowniejszych perspektyw i nowych szans.

Szczęście — zapamiętane z czasu zanim zaczęła się wojna, zanim poznała Ambrose, zanim nastąpił szok po śmierci Sophie. Tak jakby znów była młoda. Ale przecież ja jestem młoda. Mam dwadzieścia trzy lata. Odwróciła się od muru i spojrzała na człowieka, który stał obok niej

¹¹ Lakę District — górzysty rejon pojezierza na pograniczu Szkocji (przyp. tłum.)

i poczuła się ogromnie wdzięczna, bo w jakiś sposób to on dokonał tego cudu poczucia „deja vu”.

Zauważyła, że się jej przygląda i zastanawiała się, czy dostrzegł coś, czy przeczuwał coś z tego, co ona odczuwała. On jednak stał bez ruchu, w milczeniu i nic nie można było odczytać z jego twarzy.

— Muszę iść do domu. Papa będzie się zastanawiał, co się ze mną stało — powiedziała.

Skinął głową, przyjmując to do wiadomości, akceptując. Powiedzą sobie „do widzenia” i rozejdą się. On pójdzie w swoją stronę. On przejdzie przez drogę, zaszaluje w odpowiedzi na salut stojącego na warcie żołnierza, wbiegnie po schodach, zniknie za oszklonymi drzwiami i może nigdy go już nie zobaczy. Zapytała:

— Czy miałby pan ochotę przyjść do nas na kolację?

Nie odpowiedział natychmiast na jej propozycję i przez jedną okropną chwilę myślała, że odmówi. Potem uśmiechnął się.

— To bardzo miłe zaproszenie.

Ulga.

— Dziś wieczór?

— Jest pani pewna?

— Absolutnie. Papa tak bardzo chciał **pana** znów **zobaczyć**. **Będziecie** mogli kontynuować waszą rozmowę.

— Dziękuję. Będzie mi bardzo miło.

— W takim razie, około wpół do ósmej — zabrzmiało to okropnie oficjalnie. — Mogę... mogę pana zaprosić, bo wreszcie mamy coś do jedzenia.

— Chwileczkę, niech zgadnę. Makrele i brzoskwinie z puszki?

Oficjalny ton, sztywność — zniknęły. Rozpłynęły się w śmiechu i wiedziała, że nigdy nie zapomni brzmienia tego śmiechu, ponieważ był to ich pierwszy wspólny żart.

Zastała Doris wprost pękającą z ciekawości.

— Słuchaj, co się tu dzieje? Siedzę sobie spokojnie w domu, zajęta swoją robotą, aż tu nagle w drzwiach ukazuje się ten szalowy sierżant z twoimi koszykami. Zaprosiłam go na herbatę, ale powiedział, że nie może zostać. Jak go poderwałaś?

Penelopa, siedząc przy stole kuchennym, opowiedziała całą historię niespodziewanego spotkania. Doris słuchała, a jej oczy robiły się okrągłe jak spodeczki. Kiedy Penelopa skończyła, Doris aż krzyknęła z zachwytu.

— Jakby się ktoś mnie pytał, to powiedziałabym, że wygląda na to, że masz adoratora...

— Och, Doris, ja go zaprosiłam na kolację.

— Na kiedy?

— Dziś wieczór.

— Przyjdzie?

— Tak. Przyjdzie.

Doris zmartwiła się.

— A niech to... — Siadła z powrotem na krzesło, cała załamana.

— Dlaczego: „A niech to...”?

— Nie będzie mnie. Wychodzę. Biorę Clarka i Ronalda do Penzance na przedstawienie „Mikado” w Towarzystwie Operowym.

— Och, Doris, liczyłam na to, że tu będziesz. Potrzebuję kogoś do pomocy. Nie możesz odłożyć tego wyjścia na późniejszy termin?

— Nie mogę. Już jest zamówiony autobus, a są tylko dwa przedstawienia. Poza tym chłopcy cieszą się na to od tygodni, biedni smarkacze — wyraz jej twarzy był pełen rezygnacji. — Trudno, nic na to nie poradzimy. Pomogę ci przygotować kolację, zanim wyjdę, i położę Nancy spać. Ale jestem wściekła, że ominie mnie cała zabawa. Nie było w tym domu prawdziwego mężczyzny od lat.

Penelopa nie wspomniała o Ambrose. Zamiast tego powiedziała:

— A Ernie? On jest prawdziwym mężczyzną.

— Tak. On jest w porządku. Ale on się nie liczy.

Jak para niewinnie podnieconych młodych dziewcząt, zabrały się do roboty. Obrwały jarzyny, zrobiły sałatkę, wypolerowały stół w jadalni, przetarły rzadko używane srebra i kryształowe kieliszki. Uprowadziły Lawrence'a o spodziewanej wizycie, a on podniósł się z fotela i ostrożnie zszedł do piwnicy, gdzie w lepszych czasach trzymał swój zapas win francuskich. Niewiele tam teraz zostało, ale wrócił dzierząc butelkę, jak to nazywał, algierskiego cienkusa oraz starą, zakurzoną butelkę porto, z której sporą część przelał do karafki. Penelopa wiedziała, że żadnego gościa nie można było bardziej uhonorować.

Dwadzieścia pięć minut po siódmej, kiedy Nancy spała już w swoim łóżeczku, Doris i chłopcy wyszli, i wszystko było prawie gotowe, Penelopa pobiegła na górę do swojego pokoju, żeby zrobić coś ze swoim wyglądem. Włożyła czystą bluzkę, wsunęła gołe stopy w szkarłatne pantofelki, wyszczotkowała włosy, zaplotła je i zwinawszy w węzeł, upięła spinkami. Nie miała ani pudru, ani szminki i zużyła już do końca swoje perfumy. Przyglądała się sobie w lustrze długo i krytycznie i nie była z siebie zbyt zadowolona. Wyglądała jak guwernantka. Znalazła sznurek czerwonych koralików i gdy zapinała je pod szyją, usłyszała, jak bramka na dole otwiera się, a potem zamyka ze stuknięciem. Podeszła do okna i zobaczyła Richarda Lomaxa idącego w kierunku domu przez pachnący pięknie ogród biegnącą schodkowo ścieżkę. Zauważyła, że on także się przebrał. Z munduru ćwiczebno-bojowego w elegancki garnitur khaki. Niósł dyskretnie zawiniętą w brązowy papier paczuszkę, w której mogła być tylko butelka.

Od momentu gdy się rozstali, przepełniało ją uczucie radosnego oczekiwania, nie mogła się doczekać, żeby go znów zobaczyć. Ale teraz,

patrząc jak się zbliża, wiedząc, że za chwilę naciśnie dzwonek przy drzwiach frontowych, wpadła w panikę. Przeszedł ją zimny dreszcz, Sophie nazywała to uczucie — „spadaniem serca”, czyli żałowaniem decyzji, którą podjęto się w nagłym, spontanicznym porywie entuzjazmu. A jeśli wieczór się nie uda i wszystko pójdzie źle, bez Doris, która pomogłaby jej w stworzeniu wesołego nastroju? Przecież to całkiem możliwe, że pomyliła się co do Richarda Lomaxa. Ten błysk ekstazy, to nieoczekiwane poczucie szczęścia, to niesamowite wrażenie bliskości mogły być po prostu iluzją, powstałą z jej dobrego samopoczucia i faktu, że po wielu dniach deszczu wreszcie zaświeciło słońce.

Odsunęła się od okna, spojrzała jeszcze ostatni raz w lustro, poprawiła czerwony naszyjnik i wyszła z pokoju. Kiedy schodziła, zadzwonił dzwonek. Przeszła przez hol, otworzyła drzwi, a on uśmiechnął się i powiedział:

- Mam nadzieję, że nie przychodzę ani za późno, ani za wcześnie.
- Ani jedno, ani drugie. Znalazł pan drogę?
- To nie było trudne. Co za piękny ogród.
- Burza niestety nie wyszła mu na zdrowie. — Cofnęła się. — Proszę wejść.

Tak też zrobił, zdejmując beret ozdobiony czerwoną błyskawicą i srebrnym znaczkiem. Zamknęła drzwi. Odłożył swój beret na ławę i odwrócił się do niej. Podniósł zapakowaną w brązowy papier paczuszkę ze słowami:

- To dla pani ojca.
- To bardzo miłe z pana strony.
- Czy on pije szkocką whisky?
- Tak...

Wszystko będzie dobrze. Nie pomyliła się co do niego. On nie był zwyczajny.

Był zupełnie wyjątkowy, dlatego że wniósł do Carn Cottage nie tylko pewien czar, ale także swobodną, nieskrępowaną atmosferę. Przypominała sobie, jak okropnie nieprzyjemnie i sztywno było w czasie pobytu Ambrose. Cały czas czuło się napięcie, coraz to zapadało milczenie i wszyscy jeżyli się na siebie i chodzili poirytowani, kapryśni. Ale w obecności tego wysokiego mężczyzny wszyscy od razu czuli się odprężeni. Równie dobrze mógłby być starym znajomym, zaprzyjaźnionym z domem od wielu lat, który po krótkiej nieobecności przychodzi w odwiedziny, żeby nadrobić zaległości, opowiedzieć o sobie i dowiedzieć się, co słychać u przyjaciół. Poczucie „daje vu” było silniejsze jeszcze niż za pierwszym razem. Wrażenie tak silne, że prawie spodziewała się, iż drzwi od salonu nagle się otworzą i pojawi się w nich roześmiana Sophie, gadając po swojemu, czyli terkocząc jak karabin maszynowy, zarzuci młodemu człowiekowi ręce na szyję i pocałuje go w oba policzki mówiąc:

„Och, kochany, jak to dobrze, że znów do nas wpadłeś, tak się cieszyłam na to spotkanie”.

— ... ale nie mieliśmy butelki whisky w domu od wielu miesięcy. Będzie zachwycony. Czeką na pana w salonie... — podeszła i otworzyła drzwi. — Papo, nasz gość przyszedł... i przyniósł ci prezent...

— Na jak długo został pan przydzielony do tego oddziału w Porthkerris? — spytał Lawrence. — Do kiedy oni będą tu stacjonować?

— Nie mam pojęcia.

— A nawet gdyby pan wiedział, to by mi pan nie powiedział. Czy przypuszcza pan, że w przyszłym roku będziemy gotowi do inwazji Europy?

Richard Lomax uśmiechnął się.

— Mam taką nadzieję — odparł wymijająco.

— Ci Amerykanie... Trzymają się tylko ze sobą. A myśmy tu sobie wyobrażali najrozmaitsze rozróby.

— Oni nie przyjechali tu na wakacje. Poza tym to są zawodowi żołnierze, na poziomie i zorganizowani w sposób całkowicie samowystarczalny. Mają swoich własnych oficerów, swoją stołówkę, swoje własne rozrywki.

— A jak się pan z nimi dogaduje?

— Na ogół bardzo dobrze. Są trochę zwariowani... może nie tak zdyscyplinowani jak nasi żołnierze, ale na pewno bardzo odważni.

— A pan jest szefem całej operacji?

— Nie. Pułkownik Mellaby jest dowódcą, ja jestem oficerem szkoleniowym.

— Czy lubi pan z nimi pracować?

Major wzruszył ramionami.

— Przynajmniej to jakaś odmiana.

— A Porthkerris. Czy pan tu już kiedyś był?

— Nie. Nigdy. Przeważnie spędzałem wakacje na północy, chodząc po górach, wspinając się. Ale często słyszałem o Porthkerris, z powodu artystów, którzy tu przyjeżdżali. Widziałem obrazy tutejszego portu w różnych galeriach, które zwiedzałem na życzenie mojej matki. To zdumiewające, jak bardzo jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju, jak natychmiast można je rozpoznać. Pozostaje niezmienione. I to światło. To porażające światło odbijające się od morza. Nie mogłem uwierzyć, że jest prawdziwe, dopóki sam tego nie doświadczyłem.

— Tak. Jest tutaj jakaś magia. Ona nigdy nie powszednieje, jakkolwiek długo by się tu nie mieszkało.

— Mieszkają państwo w Porthkerris już od paru lat?

— Od wczesnych lat dwudziestych. Przywiozłem tu moją żonę, zaraz po naszym ślubie. Nie mieliśmy domu, więc mieszkaliśmy w mojej pracowni, jak para Cyganów.

W? — Czy to portret pana żony wisi w salonie?

1 — Tak. To jest Sophie. Musiała mieć jakieś dziewiętnaście lat, gdy ten obraz został namalowany. Malował go Charles Rainier. Wszyscy razem wynajęliśmy tamtej wiosny dom koło Varengeville. Miały to być wakacje, ale on zawsze stawał się niespokojny, kiedy nie pracował, więc Sophie zgodziła się mu pozować. Namalowanie tego portretu zajęło mu niecały dzień, a była to jedna z najlepszych rzeczy, jaką zrobił. Ale, oczywiście znał Sophie całe życie, tak jak i ja. Znał ją od dziecka. Można pracować bardzo szybko, jeśli model czy modelka jest nam bliski.

W gasnącym świetle w jadalni gęstniał mrok. Już tylko świece i ostatnie promyki zachodzącego słońca oświetlały trochę pokój. Niskie promienie odbijały się w kryształach i srebrze, migotały na wypolerowanej powierzchni mahoniowego stołu. Ciemne tapety na ścianach przypominały wykładzinę puzderka z klejnotami, a zza ciężkich zasłon z wyblakłego aksamitu, przytrzymywanych wystrzępionymi jedwabnymi sznurami, wysuwały się zwiewne koronkowe firanki poruszane lekko wiatrem wpadającym przez uchylone okno.

Robiło się późno. Wkrótce trzeba będzie zamknąć okno i zasunąć zasłony zaciemniające. Posiłek dobiegał końca. Zupa, ryby z rusztu i wyjątkowy deser, w postaci brzoskwiń, zostały zjedzone i talerze już były sprzątnięte. Penelopa wzięta z kredensu półmisek pełen jabłek, pomarańczowych koksów pochodzących z drzewa rosnącego w górnej części sadu, i postawiła go na środku stołu. Richard wziął jedno i obierał je nożykiem do owoców o perłowej ręczce. Miał zgrabne dłonie o długich, zakończonych kwadratowo palcach. Patrzyła, jak zręcznie radził sobie z obieraniem, aż cała, nie przzerwana spirala skórki opadła na talerzyk. Pokroił jabłko na cztery równe części.

— Czy ma pan jeszcze pracownię?

— Tak. Ale teraz stoi pusta. Rzadko tam chodzę. Nie mogę pracować, a i spacer do niej jest dla mnie za długi.

— Chciałbym ją zobaczyć.

— Kiedy tylko pan chce. Mam klucz. — Uśmiechnął się do córki.
— Penelopa pana zaprowadzi.

Richard Lomax pokrajał ćwiartki jabłka na drobniejsze kawałki.

-r- A Charles Rainier... czy on jeszcze żyje?

— O ile mi wiadomo — tak. Jeśli nie otworzył za szybko buzi i nie został zamordowany przez gestapo. Mam nadzieję, że nie. Mieszka na południu Francji. Jeśli będzie się grzecznie zachowywał, powinien przetrwać...

Pomyślała o domu Rainierów z dachem porośniętym tropikalnymi pnączami o barwnych listkach, o czerwonych skałach nad morzem koloru gencjany, o piórkowatej, żółtej mimozie. Myślała o Sophie wołającej z tarasu, że czas już przestać pływać, bo obiad gotowy. Mając w oczach

tak oszałamiające obrazy trudno było uwierzyć, że Sophie nie żyje. Tego wieczora — od samego momentu przybycia Richarda Lomaxa — była z nimi; nawet w tej chwili siedziała na pustym krześle przy stole na honorowym miejscu. Niełatwo było znaleźć przyczynę tego uparcie trwającego złudzenia, że wszystko jest tak jak kiedyś. Że nic się nie zmieniło. Podczas gdy, tak naprawdę, wszystko się zmieniło. Los był okrutny, rzucił ich w wir wojny, rozdarł ich życie rodzinne; Sophie i Cliffordowie zginęli w czasie bombardowania, a Penelopa uwikłała się w nieudany związek z Ambrose. Ale to przecież ona pozwoliła na to, by się kochali, tak zaczęła się Nancy, i to w końcu Penelopa sama zdecydowała się wyjść za niego za męża. Patrząc wstecz nie żałowała, że się kochali, co sprawiło jej taką samą przyjemność jak i jemu, tym bardziej nie żałowała przyjścia na świat Nancy, a teraz nawet trudno jej było wyobrazić sobie życie bez prześlizanej i uroczej córeczki. NaTomiasz żałowała, i to gorzko, swojego idiotycznego małżeństwa. „Nie powinnaś wychodzić za niego za męża, jeśli go nie kochasz”, powiedziała jej Sophie, ale ten jeden raz w życiu Penelopa nie posłuchała rady matki. Związek z Ambrose był jej pierwszym romansem, nie mogła go porównać z niczym innym. Bardzo szczęśliwe małżeństwo rodziców też niewiele jej pomogło, wręcz przeciwnie. Wyobrażała sobie, że wszystkie małżeństwa są równie szczęśliwe, więc uznała wstąpienie w związek małżeński za dobry pomysł. Wobec powstałej wtedy sytuacji Ambrose, kiedy już ochłonał z pierwszego szoku, zdawał się też uważać, że to dobry pomysł. A więc się pobrali.

Okropna, koszmarna pomyłka. Nie kochała go. Nigdy go nie kochała. Nie było nic, co by ich łączyło. Nie miała najmniejszej nawet ochoty znów go zobaczyć. Spojrzała na Richarda Lomaxa, jego cicha, spokojna twarz była zwrócona ku Lawrence'owi. Skierowała wzrok na jego ręce spoczywające przed nim na stole. Wyobraziła sobie, jak bierze je w swoje dłonie, podnosi i przyciska do swojego policzka.

Zastanawiała się, czy on też jest żonaty.

— Nigdy go nie poznałem osobiście — mówił w tej chwili Lawrence. — Ale wydaje mi się, że to był okropnie nudny facet. — Ciągłe byli jeszcze przy temacie portrecistów. — Można było sobie wyobrazić niesłychane wręcz przygody miłosne i... z pewnością miał wiele ku temu okazji, ale w rzeczywistości, zdaje się, że nie wychylił się nawet o centymetr, nie zszedł z prostej ścieżki ani o pół cala. Beerbohm narysował kiedyś jego karykaturę, jak spogląda z okna na długą kolejkę pań z dobrego towarzystwa, czekających, żeby je uwiecznić.

— Wolę jego szkice. Podobają mi się bardziej niż jego portrety — odparł Richard Lomax.

— Zgadza się. Wszystkie te podługowate panie i panowie w myśliwskich strojach. Wysocy na dziesięć stóp i niemożliwie arogancy.

— Sięgnął po karafkę z porto, napełnił swój kieliszek i podał karafkę gościowi. — Proszę mi powiedzieć, czy gra pan w trik-traka^o?

— I owszem.

— Miałby pan ochotę na partyjkę?

— Z przyjemnością.

Było już prawie ciemno. Penelopa wstała od stołu, zamknęła okna i zasunęła kotary, najpierw te paskudne czarne, a potem te śliczne aksamitne. Mówiąc coś o kawie, wyszła z pokoju, przeszła korytarzem i weszła do kuchni. W kuchni, zaciągnawszy zasłony zaciemniające, zapaliła światło. Jak można się było spodziewać, panował tu bałagan, wszędzie stały stopy brudnych garnków, talerzy i sztućców. Nastawiła imbryk z wodą. Słyszała, jak panowie przeszli do salonu, słyszała odgłosy dosypywania węgla do ognia, a wszystko to na tle przyjaznego szmeru ciągłej rozmowy.

Papa był w swoim żywiole. Bawił się świetnie. Jeśli uda im się gra, było prawdopodobne, że zaprosi Richarda Lomaxa na następną partię. Biorąc czystą tacę i filiżanki do kawy z kredensu, uśmiechała się.

Skończyli grę dokładnie w momencie, kiedy zegar wybił jedenastą. Lawrence wygrał. Major z uśmiechem przyznał się do przegranej i wstał.

— Myślę, że już czas się pożegnać.

— Nie miałem pojęcia, że jest już tak późno. Wspaniale się bawiłem. Musimy zagrać jeszcze raz. — Lawrence zastanowił się nad tym, co powiedział i dodał: — Jeśliby to panu sprawiło przyjemność.

— Jak najbardziej. Nie mogę niestety powiedzieć dokładnie kiedy, bo mój czas nie należy do mnie...

— Nic nie szkodzi. Może pan przyjść każdego wieczoru, kiedy panu pasuje. Po prostu proszę wpaść, zawsze jesteśmy w domu.

Próbował z trudem wstać z fotela, ale Richard powstrzymał go gestem ręki.

— Proszę nie wstawać.

— No to... — Stary człowiek z wdzięcznością opadł z powrotem na poduszki. — Może rzeczywiście nie będę wstawać. Córka odprowadzi pana do drzwi.

Podczas gdy oni grali, Penelopa siedziała przy kominku robiąc na drutach. Teraz wbiła druty w kłębek włóczki i wstała. Ojciec odwrócił się do niej z uśmiechem. Podeszła do drzwi, a otwierając je usłyszała jego głos:

— Dobranoc panu i jeszcze raz dziękuję...

— Nie ma za co.

Poprowadziła go przez ciemny przedpokój i otworzyła drzwi frontowe. Na dworze ogród zalany był niebieskim światłem, a powietrze ciężkie od

zapachu lewkonii. Po niebie sunął srebrny sierp księżycy. Daleko w dole szeptało morze. Stał obok niej na progu, trzymając beret w ręce. Oboje spojrzeli w górę na nitki chmur i blade blask księżycy. Nie było wiatru, ale wilgotny chłód ciągnął od ogrodu i Penelopa skuliła się, przeszedł ją dreszcz.

— Prawie w ogóle z panią nie rozmawiałem przez cały wieczór. Mam nadzieję, że nie uważa pani, iż jestem okropnie źle wychowany.

— Przyszedł pan porozmawiać z papą.

— Nie całkiem, ale niestety tak wyszło.

— Będą inne okazje.

— Mam nadzieję. Tak jak mówiłem, mój czas nie należy do mnie, nie mogę planować, ani myśleć o konkretnych datach...

— Wiem.

— Ale przyjdę, kiedy będę mógł.

— Bardzo proszę.

Włożył beret, poprawił go na głowie. Światło księżycy błysnęło na srebrnym znaczku.

— To był wspaniały obiad. Makrele nigdy mi jeszcze tak nie smakowały. — Zaśmiała się. — Dobranoc, Penelopo.

— Dobranoc, Richardzie.

Odrzucił się i zniknął w mroku ogrodu. Czekwała na odgłos zatrzas-
kującej się za nim furtki. Stojąc tak w cienkiej bluzce, poczuła gęsią skórę
na ramionach. Wzdrygnęła się z zimna i weszła z powrotem do domu,
zamykając za sobą drzwi.

Minęły dwa tygodnie, zanim zobaczyli go znowu. Z jakiegoś prze-
dziwnego powodu, nie zaniepokoiło to Penelopy. Powiedziała, że przy-
dzie, kiedy będzie mógł i wiedziała, że przyjdzie. Mogła poczekać.
Myślała o nim bardzo dużo. Nawet kiedy była bardzo zajęta w ciągu dnia,
nigdy nie był całkiem nieobecny w jej myślach, a w nocy opanowywał jej
sny, tak że budziła się z poczuciem sennego zadowolenia, uśmiechając się,
próbując zatrzymać jak najdłużej obrazy ze snu, zanim się rozpułyna
i znikną.

Lawrence przejmował się bardziej niż ona.

— Nie miałem jeszcze żadnych wiadomości od tego miłego faceta,
Lomaxa — narzekał od czasu do czasu. — Cieszyłem się już na następną
partijkę trik-traka.

— Przyjdzie, papo, zobaczysz — zapewniała go, spokojna, bo wie-
działa, że to prawda.

Był wrzesień. Babie lato. Chłodne noce i wieczory, a dni bezchmurne
i tonące w złotym świetle słońca. Liście zaczynały zmieniać kolor
i spadały, szybując w stojącym nieruchomo powietrzu na trawnik.
Grządki biegnące wzdłuż ścieżki pełne były dalii, a ostatnie róże lata

otwierały swoje aksamitne pąki, wypełniając powietrze aromatem, który — ponieważ był tak cenny — wydawał się być dwa razy mocniejszy niż zapach kwiatów w czerwcu.

Sobota. W czasie lunchu Clark i Ronald oświadczyli, że idą na plażę, gdzie mają się spotkać z całą bandą kolegów szkolnych i popływać. Doris, Penelopa i Nancy nie były zaproszone. Tak więc wyruszyli, obładowani ręcznikami, łopatkami, paczuszką kanapek z dżemem i butelką lemoniady biegli w dół ścieżką przez ogród, jak gdyby nie mieli chwili do stracenia.

Bez chłopców w domu popołudnie zapowiadało się cicho i pusto. Lawrence usadowił się w salonie na drzemkę przy otwartym oknie. Doris wzięła Nancy do ogrodu. Penelopa umyła naczynia, uprzątnęła w kuchni i poszła zdjąć ze sznura ogromne pranie z tego rana. Wróciwszy do kuchni składała świeżo pachnącą bieliznę pościelową, prześcieradła, ręczniki, odkładała koszule, bluzki i poszewki do prasowania. Na później. To się zrobi później. Piękna pogoda na dworze przyciągała ją, przyzywała do siebie. Wyszła z kuchni i przeszła przez hol, gdzie słychać było tylko tykanie starego zegara dziadka i bzyczenie pszczoły na szybie. Drzwi frontowe były otwarte i złote światło zalewało wystrzępiony dywan. Po drugiej stronie trawnika siedziała Doris na starym leżaku z koszykiem do szycia na podołku, a Nancy, zadowolona, bawiła się w piaskownicy. Piaskownicę zbudował Ernie, a także on przywiózł piasek z plaży wozem swojego ojca. Przy ładnej pogodzie piaskownica dostarczała Nancy nieustającego zajęcia. Siedziała tam teraz, mając na sobie tylko połatany opalacz, i robiła babki z piasku przy pomocy blaszanego wiaderka i drewnianej łyżki. Penelopa przyłączyła się do nich. Rozłożyła na ziemi stary koc i położyła się na nim obserwując Nancy, rozbawiona wyrazem skupienia na twarzy dziecka, zapatrzona w cień ciemnych rzęs kładący się na krągłych policzkach i w pełne dołeczków rączki uklepujące piasek.

— Nie prasowałaś chyba, co? — zapytała Doris.

— Nie. Jest za gorąco.

Doris podniosła wysoko ściągniętą w praniu koszulę z kołnierzykiem wystrzępionym i rozdartym jak wyszczerzona paszcza.

— Jak ci się wydaje, czy jest w ogóle sens cerować to i naprawiać?

—r- Nie. Zrób z tego ścierkę do polerowania.

— Mamy więcej ścierek w tym domu niż ubrań. Wiesz, gdy ta cholerna wojna się skończy, najwspanialszą rzeczą dla mnie będzie móc pójść i kupić sobie ciuchy. Nowe. Mnóstwo. Mam już zupełnie dość kombinowania i łatania. Popatrz na ten sweter Clarka. Cerowałam go w zeszłym tygodniu i już jest następna ogromna dziura na łokciu. Jak oni to robią, do diabła?

— Po prostu rosną, jak to chłopcy w tym wieku. — Penelopa leniwym ruchem przewróciła się na plecy, rozpięta parę guzików przy bluzce

i podciągnęła spódnicę, ukazując gołe kolana. — Nic na to nie mogą poradzić, że ubrania na nich pękają. — Zamknęła oczy przed ostrym światłem słońca. — Pamiętasz, jacy byli chudzi i bladzi, kiedy przyjechaliście tutaj? Trudno by ich było dzisiaj poznać, tacy są krzepcy i opaleni. Zupełnie już się niczym nie różnią od tutejszych chłopaków urodzonych w Kornwalii.

— Cieszę się, że nie są starsi. — Doris urwała kawałek wełny do cerowania i nawlokła igłę. — Za nic nie chciałabym, żeby byli żołnierzami. Nie mogłabym znieść... — przerwała.

— Czego nie mogłabyś znieść? — dopytywała się Penelopa.

Doris odpowiedziała jej podnieconym szeptem.

— Mamy gościa.

W tym samym momencie długi cień zasłonił jej słońce. Otworzyła oczy i zobaczyła zarys postaci mężczyzny stojącego przy jej nogach. Poderwała się, zaskoczona i wpadając w lekką panikę, podciągnęła pod siebie rozłożone nogi i zaczęła zapinać rozpiętą bluzkę.

— Przepraszam — powiedział Richard. — Nie chciałem cię zaskoczyć.

— Skąd się tu wziąłeś? Pojawiłeś się jak spod ziemi — wstała, zapinając ostatni guzik, odsunęła włosy z twarzy.

— Wszedłem przez górną bramkę i przeszedłem przez ogród.

Serce jej waliło. Miała nadzieję, że się nie zarumieniła.

— W ogóle cię nie słyszałam.

— Czy to niedobry czas na wizytę?

— Ależ skąd. Nic nie robimy.

— Tkwiłem w biurze cały dzień i nagle nie mogłem tego już dłużej znieść. Pomyślałem sobie, że przy odrobinie szczęścia uda mi się ciebie tu zastać — jego wzrok powędrował od Penelopy do Doris, która siedziała na leżaku jak zahipnotyzowana. Z koszyczkiem do szycia na podołku, z podniesioną igłą w ręce, zastygła w pozie przypominającej jakąś postać alegoryczną.

— Myśmy się jeszcze chyba nie poznali. Richard Lomax. Pani musi być Doris.

— Tak. Zgadza się.

Podali sobie ręce. Doris, trochę podniecona, dodała:

— Bardzo mi miło pana poznać.

— Penelopa mówiła mi o pani i o pani synkach. Czy są gdzieś w pobliżu?

— Nie. Poszli pływać z kolegami.

— Rozsądne chłopaki. Nie było pani tego wieczora, kiedy przyszedłem na kolację.

— Tak. Wzięłam chłopców na przedstawienie „Mikado”.

— Podobało im się?

— Ogromnie. Takie śliczne melodie. I do tego zabawne. Śmiali się do rozpuku.

— Cieszę się. — Zwrócił się teraz ku Nancy, która siedziała wpatrując się w niego, zdziwiona pojawieniem się tego wysokiego, obcego człowieka w jej życiu. — Czy to twoja dziewczynka?

Penelopa skinęła głową.

— Tak. To jest Nancy.

Przykucnął, zniżając się do jej wysokości.

— Cześć. — Nancy przypatrywała mu się dalej. — Ile ona ma lat?

— Prawie trzy.

Na twarzyczce Nancy zabawa w piaskownicy zostawiła wyraźne ślady, a siedzenie jej opalacza było mokre.

— Co robisz? — zapytał ją Richard. — Robisz babki z piasku? Daj mi spróbować, dobrze? — Wziął wiaderko i wyjął łyżkę z rączki Nancy, która nie stawiała oporu. Napełnił wiaderko, ugniół piasek i odwrócił, robiąc idealną babkę. Nancy błyskawicznie ją zniszczyła. Roześmiał się i oddał jej zabawki.

— Ma dokładnie takie reakcje, jak trzeba — zauważył i usadowił się na trawie, zdejmując beret i rozpinając ciasny kołnierzyk munduru.

— Wyglądasz, jakby ci było gorąco — powiedziała Penelopa.

— Zgadza się. Jest za gorąco, żeby być tak ubranym. — Rozpiął resztę guzików, zdjął marynarkę i podwinął rękawy bawełnianej koszuli, co sprawiło, że od razu jego wygląd zyskał na naturalności. Być może zachęcona tym Nancy wygramoliła się z piaskownicy i przyszła usiąść Penelopie na kolanach, skąd miała dobry widok na przybysza i mogła się w niego wpatrywać do woli.

— Nigdy nie umiem zgadnąć, ile lat mają czyjeś dzieci — zauważył.

— Czy masz własne dzieci? — zapytała niewinnie Doris.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Co takiego?

— Nie jestem żonaty.

Penelopa pochyliła głowę i położyła swój policzek na jedwabistych pasemkach włosów Nancy. Richard odchylił się i oparł na łokciach, wystawiając twarz do słońca.

— Jest tak gorąco jak w środku lata, prawda? Przy takiej pogodzie ogród wydaje się najwspanialszym miejscem na świecie. Gdzie jest twój ojciec?

— Ucina sobie drzemkę. Teraz zapewne już się obudził. Za chwilę pójde i powiem mu, że tu jesteś. Bardzo chciał cię znów zobaczyć i zagrać następną partyjkę trik-traka.

Doris spojrzała na zegarek, wpięła igłę w poduszeczkę i odłożyła koszyczek z przyborami do szycia na trawę. Powiedziała:

— Jest prawie czwarta. Pójdę zrobić nam wszystkim herbaty, co wy na to? Miałbyś ochotę na filiżankę dobrej herbaty, Richard, prawda?

— Nie przychodzi mi na myśl nic, no co miałbym większą ochotę.

— Powiem twojemu ojcu, Penelopo. On lubi przyjść na herbatę do ogrodu.

Zostawiła ich. W milczeniu patrzyli za nią.

— Jaka miła dziewczyna — stwierdził po chwili Richard.

— Tak.

Penelopa zaczęła zbierać stokrotki, żeby upleść z nich wianuszek dla Nancy.

— A co ty porabiałeś przez cały ten czas?

— Wdrapywałem się na skały. Rzuciło mną w tych okropnych statkach desantowych. Przemakałem do suchej nitki. Wydawałem rozkazy, planowałem ćwiczenia i spisywałem długie sprawozdania.

Zamilkli. Dodała następną stokrotkę do wianuszka. Po chwili zapytał dość niespodziewanie:

— Czy znasz generała Watsona-Granta?

— Tak, oczywiście. Ale dlaczego pytasz?

— Pułkownik Mellaby i ja zostaliśmy zaproszeni do niego na drinka w poniedziałek.

Uśmiechnęła się.

— Ja i papa też. Pani Watson-Grant dzwoniła dziś rano, żeby nas zaprosić. Pan Ridley, właściciel sklepu zdobył dla nich parę butelek ginu i uznali, że to świetny pretekst, by urządzić małe przyjęcie.

— Gdzie oni mieszkają?

— Mniej więcej milę stąd, pod górę, za miastem.

— Jak się tam dostaniecie?

— Generał przyśle po nas swój samochód. Jego ogrodnik będzie pełnił rolę szofera. Widzisz, generał dostaje przydział benzyny, dlatego że jest w Gwardii. Jestem pewna, że to wszystko jest nielegalne, ale to bardzo miłe z jego strony, bo inaczej nie moglibyśmy pójść.

— Miałem nadzieję, że tam będziesz.

— Dlaczego?

— Żeby był ktoś znajomy, a także dlatego, że myślałem sobie, iż potem mógłbym zaprosić cię na obiad do restauracji.

Łańcuch ze stokrotek na wianuszek był już bardzo długi. Trzymała go, jak girlandę, pomiędzy dłońmi. Zapytała:

— Czy zapraszasz papę i mnie, czy tylko mnie?

— Tylko ciebie. Ale jeśli twój ojciec chciałby pójść...

— On nie zechce. Nie lubi być poza domem do późna.

— A ty zechcesz?

— Tak.

— Gdzie pójdziemy?

- Nie wiem.
- Może do Hotelu Sands...
- Sands został zarekwirowany na samym początku wojny. Teraz jest pełen rannych na rekonwalescencji.

— A Castle?

Hotel Castle. Penelopę ogarnęło przygnębienie na samą myśl o tym miejscu. W czasie pierwszej, niefortunnej wizyty Ambrose w Carn Cottage Penelopa, zrozpaczona, rozglądając się za jakimś sposobem, żeby zabawić swojego męża, zaproponowała, żeby poszli na obiad, a potem potańczyć w niedzielę wieczór do Hotelu Castle. Ten wieczór był takim samym niewypałem jak cała reszta weekendu. Chłodna i oficjalna sala była na pół pusta, jedzenie nieszczególne, a pozostali goście dużo starsi. Od czasu do czasu orkiestra, pozbawiona zupełnie temperamentu, grała parę niemodnych już melodii, ale oni nie mogli nawet tańczyć, bo wtedy Penelopa była już tak gruba, że Ambrose nie był w stanie jej objąć.

— Nie, nie idźmy tam. Tam są kelnerzy jak żółwie i większość gości jest na wózkach inwalidzkich. To okropnie przygnębiające. — Zastanowiła się przez chwilę nad tym, gdzie mogliby pójść i przyszła jej do głowy o wiele weselsza propozycja. — Moglibyśmy pójść do Bistro Gastona.

— Gdzie to jest?

— Tuż nad północną plażą. To maleńka restauracyjka, ale jedzenie jest niezłe. Czasami, na urodziny i na jakieś specjalne okazje, papa bierze tam mnie i Doris.

— Bistro Gastona. Nigdy bym się tego tu nie spodziewał. Czy można znaleźć ich numer w książce telefonicznej?

— Tak.

— Zadzwoń tam i zamówię stolik.

— Doris, on mnie zaprosił na kolację do restauracji.

— Nie bujaj! Kiedy?

— W poniedziałek. Po przyjęciu u Grantów.

— Zgodziłaś się?

— Tak. A co? Czy uważasz, że powinnam była odmówić?

— Odmówić? Chyba by cię trzeba było zbadać, gdybyś chciała odmówić. Uważam, że on jest cudowny. W pewnym sensie przypomina mi Gregory Pecka.

— Ależ Doris, on jest zupełnie niepodobny do Gregory Pecka.

— Nie z wyglądu, ale jest w nim ten sam rodzaj spokoju. Wiesz, o co mi chodzi. W co się ubierzesz?

— Nie zastanawiałam się. Coś tam znajdę.

Doris bardzo się zirytowała.

— Wiesz, doprowadzasz mnie czasami do szału. Idź i kup sobie coś.

Nigdy nie wydajesz na siebie złamanego szeląga. Idź do miasta, do madame Jolie i zobacz, czy ona czegoś nie ma.

— Nie mam kuponów na ubrania. Wydałam ostatnie na paskudne ręczniki i ciepły szlafroczek dla Nancy.

— Na litość Boską, przecież potrzeba tylko siedem. Na pewno jak nas jest tu sześć osób, to wyskrobiemy siedem kuponów, złożymy się. A gdybyśmy nie dali rady, to wiem, gdzie można kupić czarnorynkowe.

— To jest wbrew prawu.

— A do diabła z prawem, to jest specjalna okazja. Twoja pierwsza randka od lat. Trzeba czasami umieć zaryzykować. W poniedziałek rano idź do miasta i kup sobie coś ładnego.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była w sklepie z sukienkami, ale ponieważ madame Jolie naprawdę nazywała się pani Coles i była żoną strażnika nabrzeża, kobietą tak samo grubą i serdeczną jak wszystkie babcie, więc nie było powodu, żeby czuć się skrępowaną.

— A to niespodzianka, kochanie. Nie widziałam cię tutaj od lat — zauważyła pani Coles, kiedy Penelopa pojawiła się w drzwiach.

— Chciałabym sprawić sobie nową sukienkę — powiedziała Penelopa bez zbytecznych wstępów.

— Nie mam nic szczególnego na składzie, kochanie, większość rzeczy to praktyczna garderoba z oszczędnościowych materiałów. Nic nowego nie można teraz dostać. Ale jest jedna ładna, czerwona sukienka, która by na ciebie pasowała. Ma wzorek w maleńkie stokrotki. To sztuczny jedwab, ale bardzo przyjemny w dotyku.

Przyniosła sukienkę. Penelopa weszła do niewielkiej kabiny, zasunęła zasłonkę, zdjęła swoje ubranie i wciągnęła czerwoną sukienkę przez głowę. Była miękka i miała nowy, ekscytujący zapach. Wyłaniając się zza zasłony, zapięła guziki i czerwony skórzany pasek.

— Pasuje idealnie — stwierdziła madame Jolie.

Penelopa stanęła przed podłużnym lustrem i przypatrywała się swojemu odbiciu, próbując zobaczyć siebie oczami Richarda. Sukienka miała kwadratowe wycięcie pod szyją, lekko poszerzane ramiona z wszytymi poduszczkami, a spódnica była drobniotko plisowana. Szeroki pasek podkreślał jej wąską talię, a kiedy się obróciła, żeby zobaczyć się z tyłu, spódnica zawirowała, drobniotkie pliski rozłożyły się jak wachlarz i wrażenie było tak wdzięczne i kobiece, że zachwyciła się swoim wyglądem. Żadna suknia nigdy jeszcze nie dodawała jej tyle pewności siebie. To było uczucie podobne do zakochania się i wiedziała, że musi ją mieć.

— Ile kosztuje?

Madame Jolie sięgnęła po przyszytą z tyłu metkę, żeby zobaczyć cenę.

— Siedem funtów i dziesięć szylingów. Oraz, niestety, siedem kuponów.

— Biorę ją.

— Podjęłaś słuszną decyzję. Zobacz tylko, pierwsza sukienka, którą przymierzyłaś. Pomyślałam sobie o niej, gdy tylko weszłaś. Jest jak uszyta na miarę dla ciebie. Szczęśliwy traf.

— Papo, podoba ci się moja nowa sukienka? — Wyjęła ją z papierowej torby, strzepnęła i przytrzymała przed sobą. Lawrence siedział w fotelu. Zdjął okulary, oparł głowę o poduszki i zmrużył oczy, żeby móc lepiej ocenić efekt.

— To dobry kolor dla ciebie... tak, podoba mi się. Ale dlaczego nagle kupiłaś sobie nową sukienkę?

— Dlatego, że idziemy na przyjęcie do państwa Watson-Grant dziś wieczorem. Zapomniałaś?

— Nie, ale zapomniałem, jak się tam mamy dostać.

— Generał przyśle po nas swoje auto.

— To bardzo uprzejme z jego strony.

— I ktoś przywiezie ciebie z powrotem. Bo ja jestem zaproszona na kolację do restauracji.

Włożył z powrotem okulary i przez dłuższą chwilę przyglądał się zza nich swojej córce. Wreszcie powiedział:

— Przez Richarda Lomaxa — i nie było to pytanie.

— Tak.

Sięgnął po swoją gazetę.

— Dobrze.

— Papo, słuchaj, czy uważasz, że powinnam pójść?

— A dlaczego byś miała nie pójść?

— Jestem zamężną kobietą.

— Ale nie mieszczańskim kołtunem.

Zawahała się.

— A przypuścimy, że ja się zaangażuję?

— Czy to prawdopodobne?

— Mogłoby być.

— No to się zaangażuj.

— Wiesz co, papo? Naprawdę cię lubię.

— Miło mi. Dlaczego?

— Z tysiąca powodów. Ale przede wszystkim dlatego, że zawsze mogliśmy i możemy ze sobą rozmawiać o wszystkim.

— To by było dopiero, gdybyśmy nie mogli. A co do Richarda Lomaxa — nie jesteś już dzieckiem. Nie chciałbym cię widzieć zranioną czy cierpiącą, ale to jest twoja sprawa. Ty podejmujesz decyzję.

— Wiem — powiedziała. A w myśli dodała: — Już podjęłam.

Na przyjęcie do Grantów przybyli jako ostatni. Stało się tak dlatego, że kiedy John Tonkins, stary ogrodnik generała, przyjechał, żeby ich

zabrać, Penelopa siedziała jeszcze przy swojej toalecie, nie mogąc się zdecydować, jak ma się uczesać i przeżywając z tego powodu prawdziwe męczarnie. W końcu zdecydowała się upiąć je do góry, po czym w ostatniej chwili zrozpaczona wyrwała wszystkie spinki i rozpuściła włosy potrząsnawszy głową. Potem chciała jeszcze znaleźć jakiś płaszcz, ponieważ nowa sukienka była cieniutka, a wieczór wrześnieowy chłodny. Nie miała jednak żadnego płaszcza, tylko ponczo zrobione z narzuty, a to wyglądało tak okropnie, że musiała jeszcze zmarnować sporo czasu na odszukanie starego kaszmirowego szala należącego kiedyś do Sophie. Porwawszy szal, zbiegła po schodach w poszukiwaniu ojca, którego znalazła w kuchni, gdyż właśnie zdecydował nagle, że musi sobie wyczyścić buty.

— Papo, samochód już jest. John czeka.

— Nic na to nie poradzę. To są moje jedyne porządne buty i nie były czyszczone od czterech miesięcy.

— Skąd wiesz, że akurat od czterech miesięcy?

— Bo cztery miesiące temu byliśmy na poprzednim przyjęciu u Grantów.

— Och, papo. — Jego kalekie ręce próbowały się uporać z pudełkiem pasty do butów. — Daj, ja to zrobię.

Wyczyściła je jak najszybciej umiała, używając paru szczotek i brudząc sobie całe ręce brązową pastą do butów. Umyła ręce, podczas gdy on wkładał buty, a potem przykleknęła, żeby zawiązać mu sznurowadła. Wreszcie powoli, w takim tempie w jakim poruszał się Lawrence, wyszli z domu i przeszli przez ogród do górnej bramki, gdzie czekał na nich John i stary rover.

— Przepraszamy, że musiałeś na nas czekać, John.

— Mnie to nic nie przeszkadza, panie Stern. — Otworzył drzwiczki i Lawrence z trudem usadowił się na przednim siedzeniu. Penelopa siadła z tyłu, a John za kierownicą i wyruszyli. Nie jechali jednak zbyt prędko, gdyż John był nadzwyczaj ostrożny, jeśli chodziło o samochód swego chlebobawcy i prowadził go, jakby to była bomba zegarowa, która wybuchnie, gdy przekroczy się prędkość trzydziestu mil na godzinę. W końcu o siódmej wjechali w aleję budzącego powszechny podziw ogrodu generała, pełnego rododendronów, azalii, kamelii i fuksji. Samochód zatrzymał się z chrzęstem żwiru przed drzwiami frontowymi. Przed domem stały już trzy lub cztery inne samochody. Penelopa poznała starego morrissa Trubshotów, naTomiasz nie znany jej był służbowy samochód koloru khaki z oznaczeniami Królewskiej Piechoty Morskiej. Młody żołnierz siedział za kierownicą, uprzyjemniając sobie oczekiwanie lekturą *Picture Post*¹⁾. Wysiadając z auta, Penelopa stwierdziła, że uśmiecha się do siebie.

¹⁾ Picture Post — „Gazeta Ilustrowana” (przyp. tłum.)

Weszli do środka. Przed wojną tradycyjnie ubrana pokojówka czekałaby, żeby ich wpuścić, ale teraz nie było nikogo. Hol był pusty. Gwar głosów zaprowadził ich przez salon do ciepłarni generała, gdzie przyjęcie było już w pełnym toku. *

Była to bardzo duża ciepłarnia, urządzona z rozmachem. Państwo Watson-Grant zbudowali ją, kiedy generał wycofał się z czynnej służby wojskowej, przeszedł na emeryturę i wyjechali z Indii na zawsze. Umieblowali ją fotelami z trzciny, stołkami pokrytymi wielbłądzą wełną, wiele też było tu roślin doniczkowych, na podłodze leżały tygrysie skóry, a na ścianie wisiał mosiężny gong, pomiędzy kłami jakiegoś dawno już nieżyjącego słonia.

— No, jesteście nareszcie! — Pani Watson-Grant zauważyła ich i przyszła powitać. Drobna, szczupła kobieta, z włosami obciętymi na garsonkę, o twarzy opalanej na brązowo przez okrutne słońce Indii, była nałogowym palaczem i zapaloną brydżystką. W Kwecie, jeśli wierzyć plotkom, spędziła większą część czasu na koniu, a raz nawet stawiała czoło szarżującemu tygrysowi, którego zastrzeliła z zimną krwią. Teraz pozostało jej już tylko prowadzenie miejscowego oddziału Czerwonego Krzyża i kopanie we własnym ogródku. Brakowało jej jednak ożywionego życia towarzyskiego jak za dawnych czasów, nic też dziwnego, że gdy udało się zdobyć parę butelek ginu, postanowiła natychmiast urządzić przyjęcie.

— Jak zwykle spóźnieni — dodała, ponieważ należała do osób, które lubią nazywać rzeczy po imieniu. — Czego się napijecie? Gin z sokiem pomarańczowym czy gin z sokiem z zielonej cytryny? Oczywiście z nacie wszystkich. Może z wyjątkiem pułkownika Mellaby i majora Lomaxa...

Penelopa rozglądała się dookoła. Zobaczyła państwa Springbrun z St. Enedoc i panią Trubshot, wysoką i chudą, otuloną liliowym szyfonem, w ogromnym kapeluszu ozdobionym aksamitną kokardą z kłami. Obok pani Trubshot stała panna Pawson w sznurowanych butach, o podszewkach z gumy tak grubych, że przypominały gasienice czołgu. Dostrzegła też pułkownika Trubshota, który nie odstępował na krok pułkownika Mellaby i, jak to on, zalewał go potokiem słów, bez wątpienia przedstawiając swoje opinie na temat strategii prowadzenia wojny. Pułkownik piechoty morskiej był o wiele wyższym od pułkownika Trubshota, przystojnym mężczyzną o szczeciniastych wąsach i rzędnących włosach, i musiał pochylać się lekko, żeby usłyszeć co do niego mówiono. Sądząc z wyrazu jego twarzy, odbijającej uprzejme zainteresowanie lecz znużonej, mogła się domyślić, że nie było to fascynujące. Na drugim końcu pokoju zobaczyła Richarda, stojącego plecami do ogrodu. Przy nim stała panna Preedy. Panna Preedy ubrana była w haftowaną węgierską bluzkę i spódnicę w stylu ludowym i wyglądała, jakby zaraz miała puścić się w ognisty czardasza. Richard powiedział coś do niej, a ona wybuchnęła

śmiechem, chichocząc dyszkantem i przekrzywając kokieteryjnie głowę. Richard podniósł wzrok, zauważył Penelopę i posłał ledwie dostrzegalny, porozumiewawczy uśmiech.

— Penelopa! — Generał Watson-Grant zmaterializował się u jej boku. — Masz już drinka? Bogu dzięki, że jesteś. Bałem się, że nie przyjdziecie.

— Wiem. Spóźniliśmy się. Biedny John Tonkins musiał na nas czekać.

— Nie szkodzi. Tylko trochę się niepokoiłem, bo żal mi było tych dwóch oficerów piechoty morskiej. Biedne chłopaki, zapraszam ich na przyjęcie, a tu okazuje się, że znaleźli się w pokoju pełnym zramolałych dziwaków i nudziarzy. Byłbym zaprosił dla nich weselsze towarzystwo, ale nikt nie przychodził mi do głowy, z wyjątkiem ciebie.

— Myślę, że nie musi się pan o nich martwić. Wyglądają na całkiem zadowolonych.

— Przedstawię cię.

— Znamy już majora Lomaxa.

— Tak? Kiedy go poznaliście?

— Papa zaczął z nim rozmawiać w galerii.

— Mam wrażenie, że to sympatyczni faceci. — Czujne oko gospodarza wędrowało po gościach. — Idę ratować pułkownika Mellaby. Zaliczył już dziesięć minut skondensowanego Trubshota, a to jest dawka wystarczająca dla każdego człowieka. •;

Zostawił ją równie nagle jak się pojawił, a Penelopa podeszła do panny Pawson, żeby z nią porozmawiać. Przyjęcie toczyło się dalej. Fakt, że Richard jeszcze się z nią nie przywitał, nie miał żadnego znaczenia, gdyż to tylko przedłużało okres radosnego oczekiwania na chwilę, kiedy wreszcie znajdzie się u jego boku i będzie znowu z nim razem. Tak jakby wykonywali jakiś rytualny taniec, krążyli wśród gości, ciągle się mijając, uśmiechali się do innych twarzy i słuchali innych rozmów. W końcu znalazłszy się obok otwartych drzwi, które prowadziły do ogrodu, Penelopa obróciła się, żeby odstawić swój pusty kieliszek, ale nie zrobiła tego, gdyż widok ogrodu generała całkowicie przykuł jej uwagę. Łagodnie opadający trawnik tonał w złotym świetle, chmury muszek tańczyły w mrocznym cieniu drzew. W nieruchomym powietrzu przesyconym słodkimi zapachami wrześniowego wieczoru rozbrzmiewało pogruchiwanie turkawek.

— Cześć — usłyszała za sobą głos Richarda.

— Cześć.

Wyjął pusty kieliszek z jej ręki.

— Czy chcesz jeszcze jednego drinka?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie.

Znalazł trochę miejsca na małym stoliku, na którym stała roślina w doniczce i postawił tam jej kieliszek.

— Przez pierwsze pół godziny bardzo się niepokoiłem, bo myślałem, że może nie przyjdiesz.

— Zawsze się na wszystko spóźniamy.

Rozejrzył się dookoła.

— Jestem oczarowany tą cudowną atmosferą. Moglibyśmy równie dobrze być w Punie⁰.

— Powinam była cię ostrzec.

— Dlaczego miałabyś to robić? Jest uroczo.

— Wydaje mi się, że cieplarnia jest najbardziej pozazdrosczenia godnym pomieszczeniem. Kiedyś, jeśli kiedykolwiek będę miała prawdziwy, własny dom, zbuduję sobie taką. Równie dużą, przestronną i słoneczną jak ta.

— A czy udekorujesz ją tygrysimi skórami i mosiężnymi gongami? Uśmiechnęła się.

— Papa mówi, że brakuje tu już tylko „punkah wallah”²⁾.

— Albo bandy derwiszów, którzy wyskoczyliby zza krzaków, gotowi mordować i niszczyć. Jak myślisz, czy to gospodarz zastrzelił tego tygrysa, na którym stoimy?

— Bardziej prawdopodobne, że zrobiła to pani Watson-Grant. Obok w salonie pełno jest fotografii przedstawiających ją w hełmie tropikalnym, z upolowaną zdobyczą u stóp.

— Czy poznałaś już pułkownika Mellaby?

— Jeszcze nie. Nie mogłam się nawet do niego zbliżyć. Jest otoczony ze wszystkich stron, wyraźnie pełniąc rolę największej atrakcji na tym przyjęciu.

— Chodź, przedstawię cię. A potem spróbujemy się wymknąć razem z pułkownikiem. Zabierze nas samochodem do budynku Głównej Kwatery, a stamtąd pójdziemy piechotą. Nie będzie ci to przeszkadzać?

— Ależ skąd.

— A twój ojciec...?

— Jonh Tonkins zawiezie go do domu.

Wziął ją pod rękę.

— No to chodź...

Wszystko potoczyło się tak, jak to Richard zaplanował. Przedstawiony Penelopie pułkownik Mellaby zamienił z nią parę słów, a potem spojrzął na zegarek i oświadczył, że na nich już czas. Pożegnali się z gospodarzami i gośćmi. Penelopa zapewniła ojca, że zostanie odwieziony do Carn

⁰ Puna — miasto w Indii (przyp. tłum.)

²⁾ punkah wallah — określenie pochodzące z Indii, oznaczające służącego z ogromnym wachlarzem (przyp. tłum.)

Cottage i pocałowała go, życząc mu dobrej nocy. Generał odprowadził ich do drzwi, a po drodze Penelopa zabrała swój szal z krzesła, na którym go zostawiła. Na zewnątrz kierowca, żołnierz piechoty morskiej, pośpiesznie odłożył swoją gazetę, wyskoczył z samochodu i otworzył drzwiczki. Pułkownik zajął siedzenie obok kierowcy, a Penelopa i Richard usiedli z tyłu. Odjechali więc bardzo uroczyście i elegancko, ale ponieważ prowadzący auto żołnierz nie był wcale taki nieśmiały i ostrożny jak John Tonkins, zajechali do Hotelu White Caps w błyskawicznym tempie i już po chwili wszyscy wysiadali z powrotem z samochodu.

— Wy dwoje idziecie teraz na kolację? Jeśli chcecie, możecie wziąć auto i mojego kierowcę.

— Dziękujemy panu, ale wolimy się przejść. Wieczór jest piękny.

— Tak, rzeczywiście. No to, bawcie się dobrze. — Skinął im głową z miną dobrego wujaszka, odprawił kierowcę, po czym odwrócił się na pięcie i wszedł po schodach. Po chwili zniknął za drzwiami.

— Idziemy? — zapytał Richard.

Był to naprawdę piękny wieczór, perłowy, bezwietrzny, spokojne morze było półprzezroczyste, połyskujące jak wnętrze muszli. Słońce już zaszło, ale na wysokim niebie różowa poświata układała się w szerokie pasy. Szli w dół do miasta pustym chodnikiem, mijając zamknięte już sklepy.

Na ulicach pojawiali się nieliczni przechodnie, mieszkańcy miasteczka, a pomiędzy nimi kręcili się amerykańscy komandosi. Błąkali się bez celu, grupkami, z przepustką za pasem i najwyraźniej nie wiedzieli, co ze sobą począć. Kilku udało się znaleźć dziewczyny, chichoczące szesnastolatki, z którymi spacerowali pod ramię. Pozostali ustawili się w kolejce przed kinem, czekając aż zostanie otwarte albo łązili po ulicach w swoich butach na miękkich, cichych podeszwach, szukając barów. Gdy z daleka widzieli zbliżającego się Richarda, zwykle rozpływali się gdzieś w tajemniczy sposób i znikali.

— Żal mi ich — stwierdziła Penelopa.

— Dadzą sobie radę.

— Byłoby fajnie, gdyby ludzie ich też zapraszali na przyjęcia.

— Wątpię, czy byliby w stanie znaleźć wspólny język z gośćmi generała Watsona-Granta.

— Generał wydawał się zażenowany, że zaprosił was na przyjęcie, gdzie poznaliście tylko paru starych nudziarzy i dziwaków.

— Tak powiedział? Nie ma racji. Ja uważam, że wszyscy byli na swój sposób fascynujący.

To stwierdzenie wydało się Penelopie trochę przesadne.

— Lubię państwa Springburn. On ma fermę w St. Enedoc. I bardzo lubię Grantów.

— A panna Pawson i panna Preedy?

— To lesbijki.

— Tak podejrzewałem. A państwo Trubshot?

— Trubshotowie to krzyż, który wszyscy tu wspólnie znosimy. Ona nawet nie jest taka zła, ale on to prawdziwa zaraza. Jest szefem Ochrony Przeciwlotniczej i ciągle składa skargi na ludzi, jeśli zobaczy choćby szparę światła w zaciemnionych oknach i potem muszą stawiać się w sądzie i płacić karę.

— Przyznaję, że to nie najlepszy sposób na pozyskanie sobie przyjaciół i rozszerzenie swoich wpływów, ale on zapewne po prostu chce się dobrze wywiązać ze swoich obowiązków.

— Jesteś o wiele bardziej wyrozumiały w stosunku do niego niż ja i papa. Nie możemy też nigdy zrozumieć, dlaczego tak maleńki człowieczek ożenił się z tak wysoką kobietą. Przecież on jej ledwie sięga do pasa.

Richard zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

— Mój ojciec miał przyjaciela bardzo małego wzrostu, który zrobił dokładnie to samo. A kiedy mój ojciec zapytał go, dlaczego nie wybrał sobie kobiety równie jak on niskiej, odpowiedział, że gdyby tak zrobił, to byłiby już zawsze znani jako ta śmieszna, mała para. Może to właśnie dlatego pułkownik Trubshot oświadczył się pani Trubshot.

— Może rzeczywiście dlatego. Nigdy o tym nie pomyślałam.

Prowadziła go w kierunku północnej plaży najkrótszą drogą, bocznymi uliczkami, placykami brukowanymi kocimi łbami, najpierw bardzo stromo pod górę, a potem w dół krętą uliczką. W ten sposób wyszli na kamienistą drogę biegnącą łukiem wzdłuż północnego brzegu. Małe, pobielane domki stały tu rzędem, ich okna wychodziły na zatokę, która w czasie przypływu czy odpływu, z długimi, wysokimi falami rozbijającymi się o brzeg stanowiła malowniczy widok.

— Widywałem tę zatokę z morza bardzo często. Ale nigdy tu nie byłem... — zauważył Richard.

— Lubię ją bardziej niż tę drugą plażę. Jest zawsze pusta i dzika, i jakoś o wiele piękniejsza. Teraz jesteśmy już prawie na miejscu. To ten mały domek z szyldem i ze skrzynkami na kwiaty w oknach.

— Kim jest Gaston?

— To prawdziwy Francuz, z Bretanii. Kiedyś był rybakiem. Wypływał na połowy z Newlyn kutrem na kraby. Ożenił się z dziewczyną z Kornwalii, a w jakiś czas potem stracił nogę w okropnym wypadku na morzu i nie mógł już pływać, więc on i Grace, jego żona, otworzyli ten lokal. Prowadzą go już od pięciu lat. — Miała nadzieję, że nie zrazi go skromny wystrój lokalu. — Tak jak już mówiłam, nie jest tu bardzo wytwornie.

Uśmiechnął się, kładąc rękę na klamce.

— Nie lubię wytwornych miejsc.

Nad ich głowami zadźwięczał dzwoneczek. Znaleźli się w przejściu wykładanym kamiennymi płytami i od razu poczuli zapach pysznego jedzenia, od którego aż ślinka napływała do ust, jedzenia przyprawianego czosnkiem i ziołami, a do ich uszu dotarły dźwięki przytłumionej muzyki. Stary akordeon. Paryż i nostalgia. Przeszli pod łukowatym sklepieniem i znaleźli się w małej jadalni. Ściany były bielone, sufit belkowany, a stoliki przykryte czerwonymi obrusami, na których ułożono białe serwetki. Stały też świeczki i dzbanki ze świeżymi kwiatami na każdym stoliku, a na ogromnym kominku płonął ogień.

Dwa stoliki były już zajęte. Przy jednym siedział młody, blade porucznik lotnictwa ze swoją dziewczyną lub może żoną, a przy drugim starsi państwo, którzy wyglądali, jakby postanowili wpaść do Gastona, żeby mieć odmianę od nudy Hotelu Castle. Jednakże najlepszy stolik, ten przy oknie, był wolny.

Gdy tak stali wahając się, podeszła do nich Grace, która usłyszawszy dzwonek, przeszła przez wahadłowe drzwi w końcu sali i pojawiła się, by ich przywitać.

— Dobry wieczór. Major Lomax, prawda? Zamawiał pan stolik. Zostawiłam dla pana ten przy oknie, myślałam, że spodoba się panu widok i... — nagle urwała, gdy zauważyła Penelopę. Na jej piegowatej, opalonej buzi, pod strzechą z utlenionych włosów, pojawił się pełen zdumienia uśmiech. — Cześć. A co ty tu robisz? Nie wiedziałam, że dziś przyjdiesz.

— Wcale się nie dziwię, że nie wiedziałas. Jak się miewasz, Grace?

— Świetnie. Zapracowana jak zawsze, ale nie będziemy o tym mówić. Przyprowadziłaś twego ojca?

— Nie. Dziś wieczór akurat nie.

— Ach, tak, to miło móc sobie pójść gdzieś samemu, na własną rękę, dla odmiany. — Skierowała zaciekawione spojrzenie w stronę Richarda.

— Pozwól, to major Lomax.

— Miło mi pana poznać. A teraz, gdzie chcecie siedzieć? Twarzą do okna? Skorzystajcie z pięknego widoku póki się da, bo niedługo trzeba będzie zasunąć te okropne zasłony zaciemniające. Chcecie jakiegoś drinka? Zaraz przyniosę menu i będziecie mogli coś zamówić.

— Czego możemy się napić?

— Ciężko będzie coś znaleźć... — Zmarszczyła nos. — Jest trochę sherry, ale to jakiś gatunek z południowej Afryki i smakuje jak rodzynki. — Pochyliła się nad Richardem, udając, że poprawia leżące przed nim sztućce. — Mielibyście ochotę na trochę wina? — wyszeptwała mu do ucha. — Zawsze trzymamy parę butelek dla pana Sterna, ale jestem pewna, że nie miałyby nic przeciwko temu, żebyście wypili sobie jedną.

— To byłoby cudownie.

— Tylko nie afiszujcie się z tym za bardzo, bo na sali są też inni ludzie. Powiem Gastonowi, żeby przelał wino do karafki, to nikt nie zobaczy nalepki. — Puściła do nich perskie oko, podała im kartę i odeszła.

Kiedy zostali sami, Richard oparł się wygodniej o oparcie krzesła. Wyglądał na zdumionego.

— Co za królewskie przyjęcie. Czy zawsze tak was tu traktują?

— Przeważnie. Gaston i papa są wielkimi przyjaciółmi. Gaston nigdy nie wychodzi z kuchni, ale kiedy przychodzi papa, a wszyscy inni goście już sobie pójdą, pojawia się z małą butelką brandy i siedzą tu razem prawie do rana dyskutując nad tym, jak by świat naprawić. A muzyka to pomysł Grace. Mówi, że jadalnia jest taka mała, że gdyby nie muzyka, to wszyscy słuchaliby rozmów swoich sąsiadów. Wiem dokładnie, o co jej chodzi. W restauracji Hotelu Castle słychać tylko szepty i skrobanie noży i widelców po talerzach. Wolę słuchać muzyki. Można się poczuć trochę tak, jakby się grało w jakimś filmie.

— Czy to ci się podoba?

— Stwarza pewną iluzję.

— Lubisz kino?

— Uwielbiam. Ja i Doris w zimie chodzimy dwa razy w tygodniu do kina. Nigdy nie opuszczamy żadnego seansu. W tych czasach w Portliskeris niewiele jest innych atrakcji.

— Ale przed wojną było inaczej?

— Ach, oczywiście, wszystko było inne. Zresztą wtedy nigdy nas tu w zimie nie było. Zimą spędzaliśmy w Londynie. Mieliśmy dom na ulicy Oakley. Jeszcze go mamy, ale już tam nie jeździmy — westchnęła. — Wiesz, w tej wojnie najgorszą rzeczą dla mnie jest konieczność tkwienia w jednym miejscu. Nawet wydostanie się z Porthkerris sprawia trudności, bo jest tylko jeden autobus dziennie, a nie można dostać benzyny do samochodu. Przypuszczam, że tak źle to znoszę, bo byłam przyzwyczajona do egzystencji w stylu nomadów. Papa i Sophie nigdy długo nie zostawali w jednym miejscu. Pod byle jakim pretekstem i bez uprzedzenia pakowaliśmy się i wyjeżdżaliśmy do Francji lub Włoch. Dzięki temu życie było cudownie podniecające.

— Jesteś jedynaczką?

— Tak. I to bardzo rozpuszczoną.

— Nie wierzę.

— To prawda. Zawsze przebywałam wśród dorosłych i traktowano mnie jak dorosłą osobę. Moimi przyjaciółmi byli przyjaciele moich rodziców. Ale to nie wydaje się takie dziwne, kiedy się pamięta, jak bardzo młoda była moja matka.

— I piękna.

— Myślisz o jej portrecie. Tak. Była śliczna. Ale o wiele ważniejsze jest to, że była serdeczna, urocza i kochająca. Wściekła w jednej chwili,

a za moment już się śmiała. Z każdego miejsca umiała zrobić dom. Roztaczała wokół siebie jakąś specyficzną aurę. Nie znałam ani jednej osoby, która by jej nie kochała. Ciągłe jeszcze myślę o niej każdego dnia. Czasami nie mogę uwierzyć, że nie ma jej gdzieś w domu i że za chwilę nie wejdzie do pokoju. Byliśmy okropnie zżyci ze sobą — zapewne samolubni. Nigdy nie potrzebowaliśmy nikogo innego. Chociaż, z drugiej strony, jak o tym myślę, nasze domy zawsze pękały od gości, często byli to znajomi, którzy nie mieli się gdzie podziać. Ale byli też i przyjaciele, no i krewni. Ciocia Ethel i państwo Clifford przyjeżdżali każdego lata.

— Ciocia Ethel?

— Siostra papy. To niesamowita postać, całkiem zwariowana. Ale nie była już w Carn Cottage od wieków. Częściowo dlatego, że Doris i Nancy przejęły jej pokój, a częściowo dlatego, że wyjechała z Londynu i zamieszkała na jakiś czas w dzikiej Walii z jakąś parą dziwaków, jej znajomych, którzy hodują kozy i zajmują się ręcznym tkactwem. Możesz się śmiać, ale to prawda. Ona zawsze miała pomyłonych przyjaciół.

— A państwo Clifford?

— To już niestety nie jest śmieszne. Cliffordowie nie przyjeżdżają, bo nie żyją. Zabiła ich ta sama bomba, która zabiła Sophie...

— Przepraszam. Nie wiedziałem.

— Skąd miałeś wiedzieć? Oni byli najlepszymi przyjaciółmi papy. Dzielili z nami dom na ulicy Oakley. Kiedy to się stało, kiedy usłyszał wiadomość przez telefon, zmienił się. Stał się bardzo stary. Zupełnie nagle. Dosłownie w oczach postarzał się o całe lata.

— To wspaniały człowiek.

— Jest bardzo silny.

— Czy jest samotny?

— Tak. Ale przecież większość starszych ludzi jest samotna.

— Ma szczęście, że ma ciebie.

— Nigdy nie mogłabym go opuścić, Richardzie.

Ich rozmowę przerwało nadejście Grace, która pojawiła się z dwoma karafkami białego wina.

— Proszę bardzo. Macie tutaj. — Postawiła je na stole, znów znacząco do nich mrugając, ale tak, by nikt inny tego nie zauważył. — A teraz, przykro mi, ale robi się ciemno i będę musiała zasunąć zasłony zaciemniające. — Szybko uporała się z dwoma warstwami kotar, upychając je jeszcze dokładnie na brzegach, żeby żaden promyk światła nie mógł się wydostać. — Zdecydowaliście już, co będziecie jeść?

— Nawet nie spojrzeliśmy jeszcze na kartę. A co byś nam poleciła?

— Zupę z małży i zapiekanekę rybną. Mięso w tym tygodniu jest okropne. Twarde jak stary kalosz i pełne chrząstek.

— Dobra, weźmiemy rybę.

— A do tego świeża zielona fasolka i brokuły? Wspaniale. Za momentik będzie gotowe.

Odeszła, zbierając po drodze puste talerze z innych stolików. Richard nalał wina do kieliszków i podniósł swój.

— Na zdrowie!

— Sante!⁰

Wino było lekkie, chłodne i aromatyczne. Miało smak Francji, smak innego lata, smak innych czasów. Penelopa odstawiła kieliszek.

— Papa by to pochwalił.

— A teraz, opowiedz mi coś jeszcze.

— A o czym, o cioci Ethel i jej kozach?

— Nie, o tobie.

— To nudne.

— Dla mnie nie jest nudne. Powiedz mi o ochotniczej służbie w WRNS.

— To jest ostatnia rzecz, o której chciałabym mówić.

— Nie podobało ci się tam?

— Nienawidziłam każdej minuty tam spędzonej.

— To dlaczego się zgłosiłaś?

— Och, to była głupia, impulsywna decyzja. Byliśmy w Londynie i... coś się stało...

Czekał chwilę.

— Co się stało?

Spojrzała na niego.

— Pomyślisz, że jestem idiotką.

— Wątpię.

— To długa historia.

— Mamy czas.

Odetchnąwszy głęboko zaczęła mu opowiadać; poczynając od Piotra i Elżbiety Clifford i dochodząc wreszcie do tego wieczoru, kiedy ona i Sophie poszły na górę do mieszkania Cliffordów na kawę, gdzie spotkały państwa Friedman.

— ... Willy i Lalla Friedman, młode małżeństwo z Monachium, musieli uciekać z Niemiec. Byli Żydami. — Richard słuchał z oczami utkwionymi w niej, jego twarz była spokojna. Zdała sobie sprawę, że mówi o czymś, o czym nigdy nie była w stanie opowiedzieć Ambrose. — I Willy Friedman zaczął opowiadać o tym, co działo się z Żydami w nazistowskich Niemczech. Mówił o rzeczach, o których tacy ludzie jak Cliffordowie próbowali powiedzieć światu od lat, ale nikt nie chciał ich słuchać. I to spowodowało, że dla mnie wojna stała się sprawą osobistą. Prerażającą, koszmarną, ale osobistą. Więc zaraz następnego ranka,

Sante! — (fr.) Zdrowie! (przyp. red.)

wyszłam z domu, poszukałam najbliższego punktu rekrutacyjnego WRNS i zgłosiłam się na ochotnika. Koniec historii. Tak naprawdę, to było to dość żałosne.

— To nie jest żałosne w najmniejszym nawet stopniu.

— Nie byłoby, gdybym niemal natychmiast nie zaczęła tego żałować. Tęskniłam za domem, z nikim się nie zaprzyjaźniłam i nie mogłam znieść mieszkania z mnóstwem obcych ludzi.

Richard był wyrozumiały.

— Nie jesteś jedyną osobą, która miała takie odczucia. Gdzie cię posłali?

— Na Whale Island. Do Królewskiej Szkoły Artylerii Marynarki Wojennej.

— Czy to tam spotkałaś swojego męża?

— Tak. — Patrzyła w dół, wzięła do ręki widelec i zaczęła rysować nim wzorki na kratkowanym obrusie. — Był podporucznikiem na szkoleniu.

— Jak on się nazywa?

— Ambrose Keeling. Dlaczego pytasz?

— Myślałem, że może kiedyś go spotkałem, ale nie.

— Nie przypuszczam, żebyś miał okazję — odpowiedziała chłodno.

— Jest o wiele młodszy od ciebie. O świetnie... — w jej głosie zabrzmiała ulga. — Oto i Grace z naszą zupą. Właśnie uświadomiłam sobie, jaka jestem głodna — dodała szybko, żeby Richard pomyślał, iż uczucie ulgi miało coś wspólnego z przyniesieniem zupy, a nie z tym, że wreszcie miała pretekst, by nie mówić o swoim mężu.

Była już jedenasta, kiedy wyruszyli w drogę powrotną do domu. Szli zupełnie ciemnymi uliczkami, wszystkie okiennice były już zamknięte. Wspinali się pod górę. Zrobiło się o wiele chłodniej i Penelopa otuliła się szczelnie szalem Sophie, doceniając jego pachnące, miękkie ciepło. Wysoko nad ich głowami chmury płynęły po niebie usianym gwiazdami, a w miarę jak wychodzili coraz wyżej, zostawiając za sobą daleko w dole krzywe uliczki Downalong, coraz wyraźniej czuć było wiatr wiejący od Atlantyku, świeży i silny.

Doszli do garażu Grabneya i czekało ich już tylko ostatnie wzniesienie. Penelopa zatrzymała się na chwilę, żeby odsunąć włosy z twarzy i poprawić szal na ramionach.

— Przepraszam — powiedział Richard.

— Za co?

— Taka długa droga. Powiniennem być wziąć taksówkę.

— Nie jestem zmęczona. Jestem do tego przyzwyczajona. Robię to dwa, trzy razy dziennie.

Wziął ją pod rękę i splótł swoje palce z jej palcami. Ruszyli w dalszą drogę.

— Przez następne dziesięć dni będę bardzo zajęty, ale kiedy nadarzy mi się okazja, może mógłbym wpaść odwiedzić was wszystkich i zagrać następną partyjkę trik-traka — zaproponował.

— Kiedy tylko zechcesz — odparła. — Możesz się pojawić o każdej porze. Papa bardzo się ucieszy. Zawsze też możesz coś z nami zjeść, coś się wykombinuje, choćby to była tylko zupa z chlebem.

— To bardzo miłe z twojej strony.

— Nic podobnego. To ty jesteś miły. Nie spędziłam tak wspaniałego wieczoru od lat... Zapomniałam już, jak to jest, gdy się jest zaproszoną na kolację do restauracji i jak można się świetnie bawić.

— A ja po czterech latach służby w wojsku zapomniałem już, jak człowiek się może czuć przebywając poza koszarami, gdzie jest skazany na towarzystwo mężczyzn, którzy rozmawiają tylko o sprawach służbowych. Więc może wyświadczamy sobie nawzajem nieźłą przysługę.

Doszli do wysokiego muru i bramki. Zatrzymała się i odwróciła do niego.

— Czy chcesz wstąpić na kawę czy coś takiego?

— Nie. Będę już wracał do siebie. Jutro zaczynam wcześniej rano.

— Tak jak już mówiłam, Richardzie, przychodź, kiedy tylko zechcesz.

— Tak właśnie zrobię. — Położył ręce na jej ramionach i pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. — Dobranoc.

Weszła przez bramkę do ogrodu, przebiegła przez trawnik i otworzyła drzwi uspiętego już domu. W swoim pokoju stanęła przed podłużnym lustrem znajdującym się na toalecie i przypatrywała się ciemnookiej dziewczynie widocznej w obramowaniu zwierciadła. Rozsupłała węzeł związanego na ramionach szala, który opadł na podłogę u jej stóp. Powoli, jeden po drugim rozpinając małe guziczki czerwonej sukienki, ale nagle przerwała tę czynność i pochyliła się do przodu, przyglądając się swojej twarzy; podnosząc dłoń, delikatnie sprawdzała to miejsce, gdzie pocałował ją w policzek, dotykając je koniuszkami palców. Zauważyła, że się rumieni, zobaczyła, jak ciepły, różowawy blask ogarnia całą twarz. Śmiejąc się z siebie, rozebrała się, zgasiła światło, odsunęła firanki i położyła się do łóżka. Leżała z szeroko otwartymi oczami, patrząc na ciemne niebo widoczne przez okno, wsłuchując się w szum morza i przypominając sobie każde słowo wypowiedziane przez niego w ciągu tego wieczora.

Richard Lomax dotrzymał słowa. Przez parę następnych tygodni przychodził z wizytą, wpadał na chwilę, a jego nieregularne odwiedziny, niespodziewane i niezapowiedziane, wkrótce stały się czymś naturalnym i oczywistym dla mieszkańców Carn Cottage. Lawrence, którego początek zimy zmusił go do siedzenia w domu i uprawiał w przygnębienie,

wpadał w świetny humor, gdy tylko usłyszał głos Richarda. Doris uważała, że on jest cudowny, a fakt, że od czasu do czasu grał w piłkę z jej chłopcami i pomagał im naprawiać rowery, jeszcze wzmacniał jej entuzjazm. Ronald i Clark na początku czuli się nieco onieśmieleni tak wspaniałą postacią, ale wkrótce pozbyli się wszelkich zahamowań, zwracali się do niego po imieniu i zasypywali pytaniami w rodzaju: w ilu bitwach brał już udział, czy skakał z samolotu na spadochronie i ilu Niemców położył już trupem. Ernie lubił go, bo Richard był bezpretensjonalny, nie bał się zabrudzić sobie rąk, pomagając przy jakiejś ciężkiej, fizycznej pracy i nie proszony przez nikogo, sam piłował, rąbał i układał w ogromny stos drwa na opał. Nawet Nancy w końcu uległa jego czarowi i pewnego wieczora, kiedy Doris gdzieś wyszła, a Penelopa była zajęta w kuchni, pozwoliła, żeby Richard wziął ją na górę i wykąpał.

Dla Penelopy był to niezwykle czas — czas przebudzenia się na nowo, tak jakby przez długi bardzo okres żyła tylko w połowie. Teraz, dzień po dniu jej wewnętrzny świat odzyskiwał barwy, sposób postrzegania zaostriżył się poprzez nowy rodzaj odczuwania i uświadamiania sobie wszystkiego. Jednym z przejawów tego był na przykład fakt, że popularne piosenki nabrały nowego znaczenia. W kuchni w Corn Cottage stało radio, które rzadko kiedy wyłączano, gdyż Doris lubiła, żeby jej towarzyszyło przy pracy. Radio przekazywało wiadomości, gadało i śpiewało do siebie jak coś w rodzaju zwariowanego członka rodziny, którego wszyscy słyszą, ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Lecz pewnego ranka, kiedy Penelopa była zajęta skrobaniem marchewki przy zlewozmywaku, usłyszała, jak Judy Garland śpiewa:

*Wydaje mi się, że już kiedyś staliśmy tak i rozmawialiśmy,
Patrzyliśmy na siebie w ten sam sposób wtedy,
Ale nie pamiętam kiedy to było i gdzie.
Ubrany byłeś wtedy tak samo jak teraz
I uśmiech twój był ten sam...*

— Co się z tobą dzieje? — zapytała Doris, która przyglądała się Penelopie od dłuższej chwili.

— Hm?

— Stoisz przy zlewozmywaku z nożem w jednej ręce i marchewką w drugiej, gapiąc się przez okno. Czy dobrze się czujesz?

Były też inne, mniej banalne przykłady zwiększonej wrażliwości. Zatrzymywała się i wpatrywała długo w najbardziej zwykłe widoki. Ostatnie jesienne liście spadały już z drzew, których gałęzie i gałązki rysowały się koronką na tle bladego nieba. Słońce po deszczu zamieniało brukowane uliczki w lśniącą, niebieską rybą łuskę. Jesienne wiatry, ubijające fale w zatoce na białą pianę, przynosiły z sobą nie zimno, lecz

poczucie wzbierającej i rosnącej witalności. Przepęłniała ją energia fizyczna, zabierała się do zadań, które przedtem odkładała miesiącami, czyściła srebra, pracowała w ogrodzie, a w weekendy brała dzieci na gigantyczne spacerunki w górę na wrzosowiska lub na urwiska za plażą północną. A najlepsze, choć być może najdziwniejsze, było to, że gdy mijały dni, a Richard się nie pojawiał, Penelopa nie zadrezczała się wątpliwościami ani nie niepokoiła. Wiedziała, że prędzej czy później przyjdzie, przynosząc z sobą tę samą atmosferę swobody i zażyłości, która uderzyła ją przy jego pierwszej wizycie. A kiedy się pojawiał, była to jakaś cudowna niespodziewana premia, dar radości.

Starając się przeanalizować swoją spokojną akceptację tej sytuacji i znaleźć jej przyczyny, odkryła, że ani w jej związku z Richardem, ani w nowo odkrytej u siebie wrażliwości i energii nie było nic przelotnego czy przejściowego. Przeciwnie, odczuwała to wszystko jako coś bezczasowego, tak jakby było to wszystko częścią planu, z dawna postanowionego przeznaczenia, które zaczęło się spełniać w dniu, w którym się urodziła. To, co się z nią działo, miało się dzieć i będzie dzieć się dalej. A ponieważ nie można było wyraźnie stwierdzić, kiedy się zaczęło, gdzie był początek, wydawało się niemożliwe, by kiedykolwiek miało mieć swój koniec.

— ... w połowie lata organizowano zawsze Dzień Otwarty. Wszyscy artyści pucowali swoje pracownie... a niektóre z nich wymagały całkiem solidnego pucowania... wystawiali swoje skończone płótna, a publiczność przychodziła, wędrowała od atelier do atelier oglądając je i czasami kupując. Oczywiście niektórzy zwiedzający robili teń obchód z czystej ciekawości... coś w rodzaju myszkowania po cudzych domach... ale przychodzili też poważni kupcy. Niektóre pracownie były prymitywne i obskurne, nawet w tamtych czasach, ale Sophie zawsze robiła generalne wiosenne porządki w pracowni papy, ustawiała w niej mnóstwo kwiatów i podawała gościom kruche ciasteczka i wino. Mówiła, że przy przekąsce lepiej dobija się targu...

Był koniec października, wczesne niedzielne popołudnie. W czasie swoich sporadycznych wizyt w Carn Cottage Richard parokrotnie wyrażał ochotę zobaczenia pracowni Lawrence'a, ale nigdy nie nadarzała się sposobna okazja. Dzisiaj jednak, ten jeden raz był wolny, miał dużo czasu, więc Penelopa zmieniła plany i zaofiarowała się zaprowadzić go do pracowni. Teraz byli już w drodze, jak zwykle idąc na piechotę, a w kieszeni jej rozpinanego swetra tkwił ogromny klucz.

Pogoda była chłodna, powietrze świeże, zachodni wiatr marszczył połyskującą plamami światła i cienia powierzchnię morza, a niskie chmury gromadziły się i rozchodziły, odsłaniając fragmenty jasnoniebieskiego nieba. Droga do portu była prawie pusta, gdyż ci nieliczni

wczasowicze, którzy przybyli tego lata, dawno już wyjechali. Wszystkie sklepy były zamknięte, a mieszkańcy Porthkerris, będący szanującymi sabat^o metodystami, siedzieli w domach, odpoczywając po niedzielnym obiedzie lub może zajęci byli drobnymi pracami w dyskretnie ukrytych ogródkach.

— Czy w pracowni są jeszcze jakieś dzieła twojego ojca?

— Ależ skąd. No, chyba że jakiś nie dokończony szkic czy płótno. Nic więcej. Kiedy jeszcze pracował, był zadowolony i wdzięczny, że udało mu się sprzedać wszystko, co zrobił, czasami pozbywając się obrazów zanim farba wyschła. Widzisz, my z tego żyliśmy. Wszystkie prace, z wyjątkiem *Poszukiwaczy muszelek*, zostały sprzedane. Ten jeden obraz nigdy nie był wystawiany. Z jakiegoś powodu papa uważa go za dzieło bardzo osobiste. Nigdy nie chciał nawet pomyśleć o jego sprzedaży. — Skręcili z głównej drogi do portu i wspinali się teraz pod górę w labiryncie wąskich, bocznych uliczek. — Szłam tędy w dniu, w którym ogłoszono wybuch wojny, miałam przyprowadzić papę na obiad do domu. Kiedy na wieży kościelnej zegar wybił jedenastą, wszystkie mewy siedzące na niej poderwały się i wleciały w niebo. — Wyszli zza rogu, ich oczom ukazała się plaża. Smagani podmuchami porywistego wiatru zawahali się przez moment, próbując złapać oddech i dopiero po chwili ruszyli znowu w dół krętą alejką prowadzącą do pracowni.

Penelopa włożyła klucz do zamka w ciężkich drzwiach i przekręciła go. Drzwi otworzyły się szeroko, weszła pierwsza i od razu zrobiło jej się wstyd, ponieważ nie była tu od miesięcy i duży, przestronny pokój robił przykre wrażenie zaniedbania. W zatechłym powietrzu unosiła się woń terpentyny, dymu z węgla drzewnego, smoły i wilgoci. Zimne, ostre, północne światło, które wpadało przez wysokie okna, zalewając cały pokój, podkreślało z okrutną dokładnością ogólny stan zniszczenia i bałaganu.

Z tyłu, za nią Richard zamknął drzwi. Powiedziała bez ogródek:

— Wygląda okropnie i jest strasznie wilgotno. — Podeszła do okna, odsunęła zasuwkę i z pewnym trudem, mocno pchając, otworzyła je. Wiatr wdarł się jak fala lodowatej wody. Zobaczyła opustoszałą plażę i linię spienionych fal ginaącą w lekkiej mgiełce.

Przyłączył się do niej i rzekł z pewną satysfakcją:

— „Poszukiwacze muszelek”.

— Oczywiście. Malował ich patrząc z tego okna. — Odwróciła się, ogarniając okiem cały pokój. — Sophie dostałaby szału, gdyby zobaczyła pracownię papy w tym stanie.

Podłoga, a także każdy kawałek powierzchni poziomej pokryte były cieniutką warstwą piasku. Na stole piętrzyły się czasopisma z pozagina-

^o sabat — w krajach anglosaskich nazwa niedzieli jako święta (przyp. red.)

nymi oślimi uszami, leżał zapomniany ręcznik kąpielowy i popielniczka pełna niedopałków. Aksamitna zasłona okrywająca krzesło dla modela lub modelki była wyblakła i zakurzona, a przed starym, brzuchatym piecykiem rozsypany był popiół. W rogu stały dwie kanapy, ustawione pod kątem prostym, przykryte pasiastymi kocami, a na nich leżały rozrzucone poduszki, ale były one w opłakanym stanie, a w jednej z nich myszka zrobiła dziurkę i zostawiła szlaczek wywleczonych ze środka kłaczeków.

Przez chwilę Penelopa stała bezradnie, nie wiedząc od czego zacząć, po czym z werwą zabrała się do sprzątania. Znalazła starą papierową torbę i wysypała do niej zawartość popielniczki oraz kłaczki wywleczone z poduszki. Odstawiła ją na bok, zamierzając wyrzucić torbę potem do najbliższego śmietnika. Zrzuciła pozostałe poduszki na podłogę, ściągnęła koce z kanap i zaniósła je do okna, a następnie wytrzepała energicznie na zimnym, świeżym powietrzu. Mysie bobki i kłaczki zostały porwane przez wiatr. Kiedy wytrzepane koce i poduszki rozłożyła z powrotem, ogólne wrażenie minimalnie się poprawiło.

Tymczasem Richard, który — jak się zdawało — nie przejął się bałaganem, krążył przypatrując się wszystkiemu, zafascynowany mieszaliną rzeczy i śladów mogących świadczyć o całym życiu drugiego człowieka, zbiorem pamiątek i znalezionych przedmiotów rozłożonych wszędzie dookoła. Muszle, kamyczki, kawałki drewna wyrzucane przez morze, przechowywane z powodu ich koloru lub kształtu, fotografie przypięte pinezkami do ściany, gipsowy odlew dłoni, gliniany dzbanek wypełniony piórkami nadmorskich ptaków i suszonych traw, delikatnych jak drobinki pyłu. Sztalugi Lawrence'a, stopy starych płócien i szkicowniki, tace pełne wyschniętych tubek z farbami, stare palety i słoiki z pędzlami zabarwionymi na kolory, które tak kochał używać, czyli cynober, ochra, kobalt i przepalona sjena.

— Od jak dawna twój ojciec nie pracuje?

— Od lat.

— A jednak te wszystkie rzeczy tu jeszcze są.

— On nigdy nie umiał niczego wyrzucić, a ja nie mam serca, żeby to zrobić.

Stanął przed brzuchatym piecykiem.

— A może zapalimy w tym piecu? Czy nie pomogłoby to pozbyć się trochę wilgoci?

— Owszem, ale ja nie mam zapalek.

— A ja mam. — Przykucnął przed piecykiem, żeby otworzyć drzwiczki i pogrzebać w popiele końcem złamanego pogrzebacza. — Jest tu też gazeta i trochę drewna na opał.

— A co będzie, jeśli kawka zrobiła sobie gniazdo w kominie?

— Jeśli zrobiła, to wkrótce się o tym dowiemy. — Wyprostował się,

ściągnął z głowy beret, odrzucił go na bok i rozpiął kurtkę bojowego munduru. Podwinął rękawy koszuli i zabrał się do roboty.

Podczas gdy Richard wygrzebywał z piecyka stary popiół i skręcał kawałki gazety w zwitki mające służyć do podpalenia ognia, Penelopa wydobyła miotłę zza stosu desek surfingowych i zaczęła zmiatać piasek ze stołów i z podłogi. Znalazła kawałek tektury, na który zebrała piasek i wysypała go przez okno. Plaża nie była już zupełnie pusta. W oddali pojawiły się dwie maleńkie postacie. Mężczyzna i kobieta z psem. Mężczyzna rzucił patyk i pies wbiegł w fale, żeby go wyciągnąć. Wstrząsnął nią dreszcz. Powietrze było zimne. Przymknęła okno, sprawdziła, czy przymocowane jest haczykiem, i stwierdziwszy, że nie ma już nic innego od roboty, podeszła do kanapy i usadowiła się w jej rogu, zwijając się w kłębuszek, całkiem tak samo, jak siadała w tym miejscu jako dziecko u schyłku długiego dnia spędzonego na pływaniu i zabawie na słonecznej plaży, a Sophie czytała jej książkę lub opowiadała bajkę.

Teraz obserwowała Richarda i dawało jej to identyczne poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Jakoś udało mu się wyczarować zaczątek ognia. Cieniutkie drewnienka i gałązki już trzaskały. Pojawiło się parę języków ognia. Powolutku, ostrożnie wsuwał kawałek drewna. Uśmiechnęła się, bo wydawał się tak skupiony na tym zadaniu, jak mały chłopiec rozniecający swoje pierwsze ognisko. Podniósł na nią wzrok i zauważył jej uśmiech.

— Czy byłeś kiedyś harcerzem? — zapytała.

— Tak. Nauczyłem się nawet wiązać węzły i robić nosze z dwóch kijów i peleryny.

Dołożył teraz do ognia dwa grube polana i smołowate drewno zajęło się gwałtownym płomieniem. Zamknął górne drzwiczki piecyka, lekko przymknął dolne i wstał, wycierając dłonie o tył spodni.

— No, gotowe.

— Gdybyśmy mieli trochę herbaty i mleka, to moglibyśmy sobie zagotować wodę w imbryku i wypić filiżankę gorącej herbaty.

— Równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że gdybyśmy mieli boczek, to moglibyśmy sobie zrobić jajka na boczku, gdybyśmy mieli jajka. — Przyciągnął sobie taboret i usiadł na nim naprzeciwko niej. Na prawym policzku miał smugę sadzy, ale nie powiedziała mu o tym.

— Czy tak dawniej robiliście? Przygotowywaliście sobie tu herbatę?

— Tak, po zabawie w surfing. To była największa frajda przyjść na gorącą herbatę, kiedy było się całym zmarzniętym i trzęsącym się z zimna. Zawsze były też pierniczki, które można było maczać w herbacie. Jeśli w zimie były bardzo silne sztormy, to latem piasek podchodził pod samo okno wielkimi zwałami. Ale czasami było tak jak dzisiaj, czyli ze dwadzieścia stóp spadku do plaży i musieliśmy schodzić na plażę po sznurowej drabince. — Zmieniła pozycję i usadowiła się wygodniej na

poduszkach. — Nie ma to jak wspomnienia. Zachowuję się jak staruszka, prawda? Ciągłe mówię o tym, jak było dawniej. Musi ci się to wydawać bardzo nudne.

— Wcale nie wydaje mi się nudne. Ale czasami mam wrażenie, że twoje życie skończyło się w dniu, w którym zaczęła się wojna. A to niedobrze, bo jesteś przecież bardzo młoda.

— Mam dwadzieścia cztery lata. Niedawno skończyłam.

Uśmiechnął się.

— Kiedy były twoje urodziny?

— W zeszłym miesiącu. Nie było cię.

— Wrzesień. — Przez chwilę zastanawiał się nad tym, a potem pokiwał głową z zadowoloną miną. — Tak. To się zgadza. To pasuje.

— O co ci chodzi?

— Czy czytałaś coś Louisa MacNiece'a?

— Nigdy o nim nie słyszałam.

— Poeta irlandzki. Najlepszy. Przedstawię ci go teraz, recytując z pamięci i zapewne wprawię cię w okropne zakłopotanie.

— Nie wpadam w zakłopotanie i nie czuję się zażenowana z byle powodu.

Zaśmiał się krótko i bez wstępów zaczął:

*Wrzesień nadszedł, jest jej,
której żywiołowość skacze susami przez jesień,
której natura woli
drzewa bez liści i ogień na kominku.
Więc daję jej ten miesiąc i następny
choć cały mój rok powinien być jej,
która sprawiła już,
że tyle moich dni jest niespokojnych i nie do zniesienia,
ale o ileż więcej szczęśliwych.
Która przesycała moje życie aromatem i zostawiła moje ściany
tańczące od jej cienia,
której włosy wplątały się we wszystkie moje wodospady
i cały Londyn usłany jest zapamiętanymi pocałunkami.*

Wiersz miłosny. Niespodziewanie — wiersz miłosny. Nie czuła się zażenowana tylko głęboko wzruszona. Słowa wymówione cichym głosem Richarda, obudziły w niej różne emocje, ale smutek także. *Cały Londyn usłany zapamiętanymi pocałunkami.* Wróciła wspomnieniem do Ambrose i do tego wieczoru, kiedy poszli do teatru, a potem na kolację do restauracji i w końcu wrócili na ulicę Oakley, lecz te wspomnienia były puste, blade i wcale nie poruszyły jej, tak jak to robiły słowa wiersza. Wszystko to było, oględnie mówiąc, przygnębiające.

- Penelopo.
- Hm?
- Dlaczego nigdy nie mówisz o swoim mężu?

Podniosła głowę ostrym, gwałtownym ruchem, przez jedną okropną chwilę zastanawiając się, czy nie zaczęła myśleć na głos.

- Czy chcesz, żebym o nim mówiła?

— Nieszczerólnie. Ale byłoby to naturalne. Znam was wszystkich... zaraz, ile to będzie... prawie dwa miesiące i przez cały ten czas nigdy z własnej woli nie mówiłaś o nim, ani nawet nie wspomniałaś jego imienia. Twój ojciec to samo. Za każdym razem, kiedy zaczynamy zbliżać się do tego tematu, rozmowa się urywa albo on nadaje jej zupełnie inny kierunek.

— Przyczyna tego jest bardzo prosta. Ambrose nudzi go. Ambrose nudził też Sophie. Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

- A ty?

Wiedziała, że musi być uczciwa, nie tylko wobec Richarda, ale i wobec siebie.

— Nie mówię o nim, ponieważ to jest coś, z czego nie jestem zbyt dumna. Nie ukazuje mnie to w zbyt dobrym świetle.

— Cokolwiek to może znaczyć, chyba nie wyobrażasz sobie, że z tego powodu moja opinia o tobie zmieniłaby się na gorsze?

- Och, Richardzie, nie mam pojęcia, co byś o mnie pomyślał.
- Spróbuj.

Wzruszyła ramionami, jakby nie mogąc znaleźć słów.

- Wyszłam za niego za mąż... — zaczęła.

- Czy go kochałaś?

Raz jeszcze zastanowiła się nad tym.

— Nie wiem. Był przystojny i miły i był pierwszą osobą, z którą się zaprzyjaźniłam od momentu, kiedy zgłosiłam się na ochotniczą służbę do WRNS i zostałam wysłana na Whale Island. Nigdy przedtem nie miałam... — urwała, szukając właściwego słowa, ale cóż można było powiedzieć innego niż „chłopaka”? — ... Nigdy przedtem nie miałam chłopaka, nie byłam związana z żadnym mężczyzną w moim wieku. Było mi przyjemnie w jego towarzystwie, i lubił mnie, i było to coś nowego i odmiennego.

— Czy to wszystko? — Wydawał się być kompletnie zaskoczony, i trudno się temu dziwić, po tym zagmatwanym wyjaśnieniu.

— Nie. Była też inna przyczyna. Byłam w ciąży. Spodziewałam się Nancy. — Zmusiła się do szerokiego uśmiechu. — Czy to cię zszokowało?

- Na litość boską, oczywiście że nie.
- Wyglądasz, jakby to był dla ciebie szok.

— Nie. Dziwi mnie tylko, że naprawdę wysłaś za niego za męża.

— Nie musiałam za niego wyjść za męża — powiedziała z naciskiem, żeby nie wyobrażał sobie Lawrence'a z pistoletem i Sophie we łzach, pełną wyrzutów. — Papa i Sophie nigdy nie byli tacy. Oni byli prawdziwie wolnymi duchami. Zwykłe konwenanse nic dla nich nie znaczyły. Przyjechałam na urlop i powiedziałam im o mającym się urodzić dziecku. W normalnych okolicznościach mogłabym była po prostu zostać w domu i urodzić Nancy, i Ambrose nawet by się o tym nie dowiedział. Ale byłam jeszcze na służbie w WRNS. Kiedy skończył się mój urlop, musiałam wracać do Portsmouth no i musiałam znów zobaczyć Ambrose. Uczciwość wymagała, żeby powiedzieć mu o dziecku. Mówiłam mu, że nie musi się ze mną żenić, ale... — zawahała się, rzeczywiście nie mogąc sobie przypomnieć, co dokładnie się stało — ... jak już raz oswoił się z tą myślą, wydawał się być przekonany, że powinniśmy się pobrać. To mnie nawet wzruszyło, bo tak naprawdę nie spodziewałam się, że on zrobi coś podobnego. Kiedy już zdecydowaliśmy się, nie było czasu do stracenia, bo Ambrose właśnie skończył swoje szkolenie i mieli go zaraz wysłać na morze. Więc ustaliliśmy datę i tyle. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Chelsea pewnego pięknego majowego ranka wzięliśmy ślub.

— Czy twoi rodzice go poznali?

— Nie. Nie mogli też przyjechać na ślub, ponieważ papa miał bronchit. Więc poznali go dopiero wiele miesięcy później, kiedy przyjechali do Carn Cottage na przepustkę. I w momencie, gdy wszedł do domu, wiedziałam, że wszystko jest nie tak. Wiedziałam, że popełniłam straszny błąd. On nie pasował do nas. Nie pasował do mnie. A ja byłam wobec niego obrzydliwa. Potwornie gruba z powodu ciąży, znudzona i poirytowana. Nawet się nie starałam, żeby mu było przyjemnie. To jest jedna z rzeczy, której się wstydzę. Wstydzę się, bo zawsze myślałam o sobie jako o dojrzałej i inteligentnej osobie, a tymczasem tak naprawdę podjęłam najgłupszą decyzję, jaką kobieta może podjąć.

— Chodzi ci o małżeństwo.

— Tak. Przyznaj, Richardzie, że ty nigdy nie zrobiłbyś nic równie głupiego.

— Nie bądź taka pewna. Byłem tego bardzo bliski trzy lub cztery razy, ale w ostatniej chwili zdrowy rozsądek brał górę i wycofywałem się.

— To znaczy, że uświadamiałaś sobie, że nie byłeś zakochany, że to nie będzie dobre dla ciebie?

— Częściowo to. A częściowo fakt, że przez ostatnie dziesięć lat wiedziałem, że ta wojna nadchodzi. Mam teraz trzydzieści dwa lata. Miałem dwadzieścia jeden, kiedy Hitler i naziści wkroczyli na scenę. Na uniwersytecie miałem bardzo dobrego przyjaciela. Claus von Rein-dorp. Dostał stypendium imienia Rhodesa i był wybijającym się studentem. Nie był Żydem, lecz należał do starej, niemieckiej rodziny.

Rozmawialiśmy dużo o tym, co działo się w jego ojczyźnie. Już wtedy był pełen złych przeczuć. Jednego lata pojechałem wspinać się do Tyrolu w Austrii i mogłem sam się przekonać, jaka tam panuje atmosfera i co się zaczyna dziać. Wasi przyjaciele, państwo Clifford, nie byli jedynymi ludźmi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że nadchodzą straszne czasy.

— Co się stało z twoim przyjacielem?

— Nie wiem. Wrócił do Niemiec. Przez jakiś czas pisywał do mnie, a potem listy przestały przychodzić. Po prostu zniknął z mojego życia. Mogę tylko mieć nadzieję, że teraz już nie żyje, bo tylko śmierć oszczędziłaby mu cierpień.

— Nienawidzę tej wojny — powiedziała Penelopa. — Nienawidzę jej tak samo jak wszyscy. Chcę, żeby się skończyła, żeby skończyło się zabijanie i bombardowanie, i walki. A jednak, równocześnie boję się tego końca wojny. Papa bardzo się postarzał. Nie ma już przypuszczalnie zbyt wiele życia przed sobą, a kiedy umrze i jeśli wojna się skończy, nie będę już miała powodu, żeby nie wracać do mojego męża. Widzę siebie i Nancy mieszkające w jakiejś okropnej, małej willi w Alverstoke albo Keyham i na samą myśl o tym ogarnia mnie przerażenie.

Przyznała się. Wszystko zostało powiedziane. Słowa wisiały w panującej między nimi ciszy. Podejrzewała dezaprobatę, a potrzebowała, bardziej niż czegokolwiek innego, akceptacji. Zwróciła się do niego zrozpaczona:

— Pewnie nie cierpisz mnie za to, że jestem taka samolubna? *

— Nie. — Pochylił się do przodu i położył dłoń na jej ręce, leżącej na pasiastym kocu. — Wręcz przeciwnie. — Miała lodowate ręce, ale dotknięcie Richarda było ciepłe, zacisnęła palce na jego przegubie, potrzebując tego ciepła, chcąc żeby się rozeszło dalej, żeby dotarło do każdej cząsteczki jej istoty. Instynktownie podniosła jego dłoń i przycisnęła do swego policzka. W tym samym dokładnie momencie oboje powiedzieli: — Kocham cię.

Spojrzała mu w oczy. Stało się. Nie można było już cofnąć tych słów.

— Och, Richard.

— Kocham cię — powtórzył. — Wydaje mi się, że jestem w tobie zakochany od pierwszego momentu, w którym cię ujrzałem, kiedy stałaś z ojcem po drugiej stronie drogi, z włosami rozwianymi na wietrze, podobna do oszałamiająco pięknej Cyganki.

— Nie wiedziałam... Naprawdę nie wiedziałam...

— I od samego początku wiedziałem, że jesteś zamężna, a jednak to nie miało żadnego znaczenia. Nie mogłem o tobie zapomnieć. Nie potrafiłem o tobie nie myśleć. Patrząc teraz wstecz, wydaje mi się, że nawet nie próbowałem. A kiedy zaprosiłaś mnie do Carn Cottage, mówiłem sobie, że to z powodu twego ojca, ponieważ on mnie lubił

i cieszyły go nasze partyjki trik-traka. A więc przychodziłem... żeby go zobaczyć, oczywiście, ale przede wszystkim dlatego że wiedziałem, iż kiedy rozmawiam z nim, ty zawsze jesteś blisko. Otoczona dziećmi, wiecznie zajęta, ale jednak obecna. Tylko to się liczyło.

— Dla mnie też jedynie to się liczyło. Nie starałam się tego analizować. Wiedziałam tylko, że wszystko zmieniało barwę, kiedy ty wchodziłeś. Miałam wrażenie, że znam cię od zawsze. Tak jakby wszystko co najlepsze z przeszłości i z przyszłości działo się równocześnie. Ale nie śmiałam nazwać tego miłością.

Siedział teraz obok niej, nie jak przedtem, oddalony o metr, ale tuż przy niej. Otoczył ją ramionami, trzymając tak blisko, że czuła bicie jego serca. Przytuliła się do niego, a on gładził jej włosy, powtarzając cicho: — Moja kochana, kochana dziewczyna. — Odchyliła się, unosząc twarz ku niemu i pocałowali się jak kochankowie, którzy nie widzieli się od lat. To było jak powrót do domu, kiedy słyszysz zamykające się drzwi i wiesz, że jesteś bezpieczny. Bezpieczny i odgradzony od nachalnego świata i nic i nikt nie może stanąć pomiędzy tobą a jedyną osobą na świecie, z którą chcesz być.

Leżała na plecach, jej ciemne włosy rozsypały się na wyblakłych poduszkach.

— Och, Richard... — To był szept, ale nie mogła mówić głośniej. — Nigdy nie wiedziałam. Nigdy nie podejrzewałam nawet, że mogłabym się czuć tak jak teraz... że może być tak jak teraz.

Uśmiechnął się.

— Może być jeszcze lepiej.

Spojrzała na jego twarz i zrozumiała, co chciał powiedzieć i wiedziała, że niczego innego nie pragnie. Zaczęła się śmiać, a jego usta spadły na jej otwarte, śmiejące się wargi i słowa, choć były tak słodkie, stały się nagle niepotrzebne i już niewystarczające.

Miłość nie była obca starej pracowni. Okrągły, brzuchaty piecyk promieniujący ciepłem, wiatr wpadający przez półotwarte okno widzieli to już wszystko dawno temu. Przykryte kocami kanapy, gdzie Lawrence i Sophie dzielili się kiedyś swoją wspólną radością, przyjęły tę nową miłość jak życzliwi sprzymierzeńcy. A potem, w głębokim spokoju spełnionej namiętności, w całkowitej ciszy, leżeli spleceni ze sobą i wtuleni w siebie, patrząc jak obłoki przepływają po niebie i słuchając wiecznego szumu fal rozbijających się na pustej plaży.

— Co się teraz stanie? — zapytała.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Co zrobimy?

— Będziemy dalej się kochać.

— Nie chcę wracać do tej sytuacji **jaka była przedtem**.

- Nigdy już nie możemy do niej wrócić.
- Ale musimy. Nie możemy uciec od rzeczywistości. A jednak ja pragnę, żeby było jutro i następne jutro, i następne i żebym wiedziała, że wszystkie te jutra mogę spędzić z tobą, każdą ich godzinę.
- Ja też tego chcę — jego głos był smutny. — Ale tak być nie może.
- Ta wojna. Tak jej nienawidzę.
- Może powinniśmy być jej wdzięczni, że nas połączyła ze sobą.
- Och, nie. My byśmy się spotkali. Jakoś. Gdzieś. To było zapisane w gwiazdach. W dniu, w którym się urodziłam jakiś Urzędnik Niebiański przybił na tobie pieczętkę z moim imieniem wypisanym wielkimi drukowanymi literami. Ten mężczyzna jest zarezerwowany dla Penelopy Stern.
- Tylko, że ja nie byłam mężczyzną, kiedy ty się urodziłaś. Byłam małym chłopcem męczącym się nad pełnym kleksów zeszytem z łacińską gramatyką.
- To nie ma znaczenia. I tak należymy do siebie. Ty byłeś zawsze.
- Tak. Ja byłem zawsze. — Pocałował ją, a potem z niechęcią spojrzął na zegarek. — Jest prawie piąta...
- Nie cierpię wojny i zegarków też nie cierpię.
- Niestety, kochanie, nie możemy tu zostać na zawsze.
- Kiedy cię znów zobaczę?
- Nie za prędko. Muszę wyjechać.
- Na jak długo?
- Na trzy tygodnie. Nie powinienem ci tego **mówić, więc nie piśnij** nikomu ani słówka.
- Ale gdzie jedziesz? — zaniepokoiła się.
- Nie mogę powiedzieć...
- Co będziesz robił? Czy to będzie niebezpieczne?
- Zaśmiał się.
- Nie, głuptasie, oczywiście że nie jest niebezpieczne. Ćwiczenia szkoleniowe... czyli po prostu to, co wchodzi w zakres mojej pracy. Więc nie zadawaj już więcej pytań.
- Boję się, że coś ci się stanie.
- Nic mi się nie stanie.
- Kiedy wrócisz?
- W połowie listopada.
- Nancy ma urodziny pod koniec listopada. Skończy trzy latka.
- Wrócę wtedy.
- Zamyśliła się.
- Trzy tygodnie — westchnęła. — To brzmi jak wieczność...
- „Nieobecność jest jak wiatr, który zdmuchuje małą świeczkę, **ale** rozdmuchuje żar ognia w wielki pożar”.

- Mimo to, wolałabym się bez niej obejść.
- Czy to pomoże ci zapamiętać, jak bardzo cię **kocham**?
- Tak. Troszeczkę.

Zima już nadeszła. Ze wschodu nadciągał zimowe wiatry wyjąc na wrzosowiskach. Morze, wzburzone i gniewne, przybrało kolor ołowiu. Domy, ulice i nawet niebo wydawały się wyblakłe z zimna. W Carn Cottage palono w piecach z samego rana i doglądano ognia cały dzień, dorzucając węgiel małymi porcjami, a także wszystko co tylko dało się spalić. Dni robiły się coraz krótsze, w porze podwieczorku zasuwano już kotary zaciemniające i wieczory były bardzo długie. Penelopa zaczęła znów nosić swoje ponczo i grube, czarne pończochy, a kiedy brała Nancy na jej popołudniowy spacer musiała ubierać ją w wełniane sweterki, spodnie, czapeczkę i rękawiczki.

Lawrence grzał ręce przy ogniu, zziębnięty, poirytowany i przygnębiony. Nudził się.

— Gdzie się podział Richard Lomax? Nie było go już od trzech tygodni, a może nawet dłużej.

- Trzy tygodnie i cztery dni, papo. — Zaczęła je liczyć.
- Nigdy jeszcze nie był nieobecny przez tak długi czas.
- Na pewno wróci, żeby znów zagrać w trik-traka.
- Co on porabia?
- Nie mam pojęcia.

Minał następny tydzień i dalej nie było ani śladu Richarda. Wbrew sobie samej Penelopa zaczęła się martwić. Może już nigdy nie wróci. Może jakiś admirał czy generał w gabinecie w Whitehall zdecydował, że Richarda należy przeznaczyć do innych zadań i wysłano go do północnej Szkocji, a ona nigdy go już nie zobaczy. Nie napisał do niej, ale może nie było mu wolno. Albo może... i to było wręcz nie do pomyślenia... z powodu zbliżającego się Drugiego Frontu zrzucono go na spadochronie do Norwegii lub Holandii, jako zwiadowcę mającego przygotować teren dla aliantów... Jej niespokojna wyobraźnia odwróciła się od takiej wizji i uciekła w popłochu.

Zbliżały się urodziny Nancy i bardzo dobrze, że tak było, gdyż Penelopa musiała się zająć czymś innym. Ona i Doris miały zamiar urządzić małą zabawę. Wysłano zaproszenia na podwieczorek do dziesięciu małych koleżanek. Z wielką rozrzutnością zużyto sporo kuponów przydziałowych na czekoladowe herbatniczki, a Penelopa zrobiła tort z zaoszczędzonych na ten cel niewielkich ilości masła i margaryny.

Nancy była już na tyle duża, żeby cieszyć się z tego wyjątkowego dnia i po raz pierwszy w swoim krótkim życiu rozumiała, o co w tym wszystkim chodziło. A chodziło o prezenty. Po śniadaniu usiadła na dywanie przed kominkiem w salonie i rozpakowywała swoje prezenty, obserwowana

z pewnym rozbawieniem przez swoją matkę i dziadka, i z uwielbieniem przez Doris. Nancy nie rozczarowała się. Penelopa podarowała jej nową lalkę, a Doris ubranka dla lalki, uszyte ze skrawków materiału i resztek włóczki. Były też solidne drewniane taczki od Erniego Penbertha i układanka od Ronalda i Clarka. Lawrence, jak zwykle wypatrując oznak odziedziczonego talentu, dał jej pudełko kolorowych kredek. Ale najlepszy prezent był od babci, Dolly Keeling. Duże pudełko, które trzeba było rozpakować, mnóstwo warstw bibułek do rozerwania i w końcu: nowa sukienka. Biała organdyna wykończona koronką, z wstawkami z różowego jedwabiu. Nic nie mogło bardziej zachwycić Nancy.

— Chcę ją włożyć teraz! — oświadczyła, odrzucając na bok wszystkie inne prezenty i zaczęła od razu zdejmować swoje drelichowe spodnie.

— Nie, to jest sukienka wizytowa. Możesz ją włożyć dziś po południu na zabawę. Zobacz, tu jest twoja lalka, ubierz ją w jej nowe ubranka. Popatrz na tę wizytową sukieneczkę, którą zrobiła dla niej Doris. Jest też do niej haleczka z koronką...

— Będziesz musiał się wyprowadzić z salonu, papo — Penelopa zwróciła się do ojca. — Chcemy urządzić zabawę tu, w salonie, żeby było dość miejsca na gry. — Przesunęła stół pod ścianę.

— A gdzie ja się mam podziać? Zamknąć się w komórce na węgiel?

— Nie. Doris rozpałała ogień na kominku w gabinecie. Będziesz miał tam ciszę i spokój. Nancy nie chce, żeby na zabawie byli jacykolwiek mężczyźni. Wyraźnie to podkreśliła. Nawet Ronald i Clark mają się wynieść. Idą na podwieczorek do pani Penberth.

— Czy nie wolno mi nawet przyjść na kawałek urodzinowego tortu?

— Ależ oczywiście, że możesz. Nawet w tym dniu nie powinniśmy we wszystkim ulegać Nancy, bo wyrośnie z niej dyktator.

Mali goście przybyli o czwartej, przyprowadzeni przez mamy i babcie, i od tego momentu Doris i Penelopa przejęły opiekę nad dziećmi na całe męczące półtorej godziny. Zabawa potoczyła się tak jak to zwykle bywa. Wszystkie dziewczynki przyniosły drobne prezenciki dla Nancy, więc trzeba je było najpierw rozpakować. Jedno dziecko zaczęło płakać i powiedziało, że chce do domu, a drugie — mała, energiczna panienka z główką całą w loczkach, zapytała, czy będzie magik. Penelopa odpowiedziała jej krótko, że nie.

Bawiono się w różne gry. „Niosłam list do mojego ukochanego i zgubiłam go po drodze” — śpiewały cieniutkie głosiki wszystkie razem. Dziewczynki siedziały po turecku w kole na dywanie w salonie. Jeden mały gość, może zbyt podniecony, zmoczył majteczki i trzeba było zaprowadzić dziecko na górę, żeby przebrać je w suchą parę.

Rolnik sam w dolinie

Rolnik sam w dolinie

Rolnik bierze żonę...

Penelopa, już wykończona, spojrzała na zegar i nie mogła uwierzyć, że było dopiero wpół do piątej. Trzeba jeszcze wytrwać całą godzinę, zanim pojawiają się mamusia i babcie, żeby odebrać swoje słodkie maleństwa i zabrać je do domów.

Bawiły się w „Podaj paczuszkę”. Wszystko szło dobrze aż do momentu, w którym rozpychająca się łokciami dziewczynka z loczkami powiedziała, że Nancy wyrwała jej paczuszkę, a to była jej kolej. Nancy zaprotestowała i dostała kuksańca od bojowo nastawionej koleżanki, na co natychmiast odpłaciła jej tym samym. Penelopa łagodnie przemawiając, rozdzieliła je taktownie. Na szczęście w drzwiach pojawiła się Doris i ogłosiła, że podwieczorek gotowy. Żadne słowa nie zostałyby przyjęte z większym entuzjazmem.

Gry i zabawy przerwano i wszystkie dzieci wmaszerowały do jadalni, gdzie Lawrence siedział przy stole na miejscu pana domu. Kotary były zasłonięte, ogień płonął na kominku i wszystko wyglądało bardzo uroczyście. Przez chwilę dzieci umilkły albo z powodu wrażenia, jakie zrobiła na nich patriarchalna postać starego człowieka, albo na widok jedzenia. Przypatrywały się nakrochmalonemu, białemu obrusowi, kolorowym kubeczkom i talerzykom, słomkom do picia lemoniady, i małym, zabawkowym petardom. Uczta składała się z kanapek, pączków, lukrowanych ciasteczek i kruchych babeczek z dżemem, no i oczywiście z tortu. Mali goście zajęli swoje miejsca przy stole i przez krótki czas słyhać było tylko odgłosy chrupania i przeżuwania. Rzecz jasna nie obeszło się bez drobnych wypadków: kanapki upuszczone na podłogę, kubek lemoniady rozlany, ale uporano się z nimi szybko, gdyż należało to do rutyny. Potem przysłała kolej na petardy, a następnie wszyscy włożyli na głowę śmieszne papierowe kapelusiki i przypięli sobie odpustowe broszki i kotylioniki. Wreszcie Penelopa zapaliła trzy świecek na torcie, a Doris zgasła światło w jadalni. Ciemny pokój stał się sceną, magicznym miejscem, migoczące płomyczki świeczek odbijały się w szeroko otwartych oczach dzieci siedzących wokół stołu.

Nancy, usadowiona na honorowym miejscu obok swojego dziadka, stanęła na krześle, a on pomógł jej pokroić tort.

„Sto lat, sto lat niech żyje Nancy nam...”

Drzwi otworzyły się i wszedł Richard.

— Nie mogłam uwierzyć. Kiedy się pojawiłeś, myślałam, że mi się coś zwiduje. Nie mogłam uwierzyć, że to prawda. — Wydawał się szczuplejszy, starszy, poszarzały ze zmęczenia. Był nie ogolony, a jego mundur bojowy był pomięty i poplamiony.

— Skąd wracasz?

— Z końca świata.

— Kiedy wróciłeś?
— Mniej więcej godzinę temu.
— Wyglądasz na wykończonego.
— Jestem wykończony — przyznał. — Ale obiecałem, że będę tutaj na urodziny Nancy.

— Ależ głuptas z ciebie. Przecież to bez znaczenia. Powinieneś położyć się do łóżka.

Byli sami. Goście Nancy już wszyscy wyszli, każdy z balonikiem i lizakiem. Doris wzięła Nancy na górę, żeby ją wykapać. Lawrence zaproponował szklaneczkę whisky i poszedł szukać butelki. W salonie panował jeszcze kompletny bałagan, meble poprzesuwane, ale oni nie przejmowali się tym i siedzieli sobie w środku tego wszystkiego, Richard w fotelu, a Penelopa na dywanie przy jego nogach. Powiedział:

— Te ćwiczenia były o wiele dłuższe.. i bardziej skomplikowane... niż przewidywaliśmy. Nie mogłem nawet napisać listu do ciebie.

— Domyśliłam się.

Zapadło milczenie. Przy ogniu było ciepło i powieki same zaczęły mu opadać. Próbując zwalczyć senność, usiadł prosto, przetarł oczy i przejechał ręką po kłującym podbródku.

— Muszę wyglądać okropnie. Nie goliłem się i nie spałem przez trzy dni. A teraz nie mam już na nic siły, co jest smutne, bo planowałem zaprosić cię na kolację i spędzić z tobą cały wieczór, a także — miałem nadzieję — resztę nocy; ale teraz widzę, że nie dałbym rady. Nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Zasnąłbym z twarzą w zupie. Czy nie pogniewasz się na mnie? Czy możesz poczekać?

— Oczywiście. Teraz już wszystko jest dobrze, skoro ty wróciłeś bezpiecznie z powrotem. Miałam koszmarnie wizje, że zachowujesz się jak bohater i dałeś się zabić albo uwięzić.

— Przeceniasz mnie.

— Kiedy cię nie było, to każda godzina wydawała się wiecznością. Ale teraz jesteś tu znowu i mogę patrzeć na ciebie, i mogę cię dotknąć, i zdaje mi się, że nigdy w ogóle nie wyjeżdżałeś. Nie tylko ja za tobą tęskniłam. Papa też nie mógł się doczekać, żeby znów z tobą zagrać partyjkę.

— Przyjdę któregoś wieczoru i zagramy sobie. — Pochylił się i ujął jej twarz w swoje dłonie. — Jesteś tak samo oszałamiająco piękna, jaką cię pamiętałem. — W jego zmęczonych oczach zamigotał błysk rozbawienia.
— Może nawet bardziej.

— Co cię tak śmieszy?

— Ty. Czy zapomniałaś, że masz na głowie okropnie brzydki papierowy kapelusik?

Został jeszcze na chwilę, żeby wypić whisky ofiarowaną mu przez Lawrence'a. Potem już zmęczenie i wyczerpanie rozłożyły go zupełnie i połykając ziewnięcia, wstał z trudem z fotela, przeprosił, że tak niewiele

dziś mają z niego pożytku i pożegnał się mówiąc dobranoc. Penelopa odprowadziła go do drzwi. W ciemności za otwartymi drzwiami pocałowali się, po czym zniknął w mroku, idąc w kierunku koszar, gdzie czekał na niego gorący prysznic, łóżko i sen.

Wróciła do domu i zamknęła drzwi. Wahała się przez chwilę, potrzebując trochę czasu, żeby pozbierać myśli, wreszcie weszła do jadalni, znalazła tacę i zabrała się do żmudnego zadania zrobienia porządku po urodzinowej zabawie.

Właśnie zmywała naczynia w kuchni, kiedy Doris dołączyła do niej.

— Nancy już śpi. Chciała pójść spać w swojej nowej sukience — westchnęła. — Jestem strasznie zmęczona. Myślałam, że ta zabawa nigdy się nie skończy. — Wzięła ścierkę z wieszaka i podeszła, żeby pomóc wycierać. — Czy Richard już poszedł?

— Tak.

— Myślałam, że weźmie cię dziś wieczór na kolację.

— Nie. Poszedł odsypiać nie przespane noce.

Doris wytarła i ułożyła w stosik talerzyki.

— Mimo wszystko, to ładnie z jego strony, że przyszedł. **Spodziewałaś się go?**

— Nie.

— Tak też myślałam.

— Dlaczego tak mówisz?

— Obserwowałam cię. Zrobiłaś się całkiem **biała**. **Oczy miałaś jak spodeczki**, jakbyś za chwilę miała zemdleć.

— Po prostu byłam zaskoczona.

— Och, daj spokój, Penelopo. Nie jestem idiotką. Kiedy wy dwoje jesteście razem, w powietrzu jest tyle elektryczności, że wystarczyłoby na burzę z piorunami. Widziałam, jak on na ciebie patrzy. Ma bzika na twoim punkcie. A sądząc po tym, co się z tobą dzieje, odkąd on wkroczył w twoje życie, to jest to obustronne.

Penelopa myśla kubeczek z namalowanym na nim Piotrusiem Króliczkiem¹¹. Obracała go w rękach w wodzie pełnej mydłanych baniek.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że to aż tak widać.

— Nie mów o tym z taką smętną miną. Nie ma się czego wstydzić, że się ma romans z takim przystojnym facetem jak Richard Lomax.

— Ale mnie się wydaje, że to nie jest tylko romans. Nawet na pewno wiem, że nie. Ja go kocham.

— Nie opowiadaj.

— I naprawdę nie wiem, co mam zrobić.

— To aż takie poważne?

¹¹ Piotruś Króliczek — postać z popularnej angielskiej serii opowiadań o zwierzątkach (przyp. tłum.)

Penelopa obróciła głowę i spojrzała na Doris. Ich oczy spotkały się i przyszło jej na myśl, właśnie w tym momencie, że przez te lata bardzo się do siebie zbliżyły. Wspólne obowiązki, smutki i troski, rozczarowania i tajemnice, radości, żarty i śmiech stworzyły między nimi więź, która wykraczała poza ramy zwykłej przyjaźni. Tak naprawdę, to Doris, na tyle na ile jakakolwiek osoba była w stanie to zrobić, Doris... może i przyziemna, bardzo praktyczna, ale i nieskończenie dobra... wypełniła tę bolącą pustkę powstałą po śmierci Sophie. A więc z łatwością mogła jej się zwierzyć.

— Tak.

Nastąpiła przerwa.

— Spałeś z nim, co? — spytała Doris z ujmującą prostotą.

— Tak.

— Jakim cudem udało ci się tego dokonać?

— Och, Doris, to wcale nie było trudne.

— Nie... to znaczy... no, gdzie?

— W pracowni.

— A niech mnie szlag trafi! — powiedziała **Doris, która kłęła tylko** wtedy, kiedy zupełnie już zabrakło jej słów.

— Czy jesteś tym zaszokowana?

— Dlaczego ja miałabym być zaszokowana? **Przecież to mnie nie** dotyczy.

— Jestem zamężna.

— Tak, masz męża, na twoje nieszczęście.

— Nie lubisz Ambrose?

— Wiesz, że nie. Nigdy tego dotąd nie mówiłam, ale skoro pytasz, szczerze pytanie wymaga szczerzej odpowiedzi. Uważam, że jest beznadziejnym mężem i jeszcze gorszym ojcem. Prawie w ogóle cię nie odwiedza, a nie powiesz mi, że nigdy nie dostaje urlopu. Prawie wcale nie pisze. I nawet nie przysłał urodzinowego prezentu dla Nancy. Naprawdę, Penelopo, on nie jest ciebie wart. Dlaczego ty w ogóle za niego wyszłaś, jest dla mnie tajemnicą.

— Spodziewałam się Nancy — odparła Penelopa zdławionym głosem.

— Też mi powód. W życiu nie słyszałam tak cholernie głupiej odpowiedzi.

— Nigdy nie myślałam, że ty tak powiesz, że tak właśnie uważasz.

— A coś ty myślała? Wydaje ci się, że jestem jakąś świętą, czy co?

— A więc nie uważasz, że źle robię?

— Nie. Nie uważam. Richard Lomax to prawdziwy gentleman, wart o całe niebo więcej niż ten chłystek Ambrose Keeling. A dlaczego byś ty nie miała nacieszyć się trochę życiem? Masz dopiero dwadzieścia cztery lata, a Bóg jeden wie, że twoje życie było potwornie nudne i szare przez

ostatnich parę lat. Najwyżej mogłabym się dziwić, że do tej pory nie poniosło cię i nie zrobiłaś jakiegoś skoku w bok. Chociaż trzeba przyznać, że dopóki Richard tu nie przyjechał, brakowało nam wyraźnie prawdziwych mężczyzn.

Wbrew samej sobie i pomimo wszystko Penelopa zaczęła się śmiać.

— Doris, naprawdę nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła.

— Przypuszczam, że mnóstwo różnych rzeczy. No, przynajmniej teraz wiem, co w trawie piszczy. I uważam, że to wspaniałe.

— Ale jak to się skończy?

— Teraz jest wojna. W ogóle nie wiemy, jak cokolwiek się skończy. Musimy po prostu łapać każdą chwilę radości, która przelatuje obok nas. Jeśli on ciebie kocha, a ty kochasz jego, to nie powinniście się z tego wycofywać. Popieram was na całej linii i zrobię wszystko, co będę mogła, żeby wam pomóc. A teraz, na litość boską, pośpieszmy się z tymi naczyniami i skończmy to mycie, zanim przyjdą chłopcy i trzeba będzie zająć się kolacją.

Nadszedł grudzień i ani się spostrzegli, a już zbliżało się Boże Narodzenie ze wszystkimi świątecznymi przygotowaniami. W opustoszałych sklepach w Porthkerris trudno było kupić jakiegokolwiek upominki, ale jednak jakoś prezenty zostały zgromadzone, zapakowane i ukryte tak samo jak każdego innego roku. Doris przygotowała „pudding bożonarodzeniowy na czas wojny” według przepisu opublikowanego przez Ministerstwo Zaopatrzenia, a Ernie obiecał ukręcić głowę jakiemuś pulchnemu kurczakowi, który miał zastąpić indyka. Generał Watson-Grant ofiarował im mały świerzek ze swojego ogrodu, a Penelopa wydobyla pudło z ozdóbkami na choinkę — bombki i świecidełka, zachowane jeszcze z jej dzieciństwa, pozłacane szyszki, papierowe gwiazdy i łańcuchy z trochę już wyblakłych sreber.

Richard dostał parę dni świątecznego urlopu, ale miał zamiar wyjechać do Londynu, żeby spędzić je ze swoją matką. Przed wyjazdem przyszedł jednak do Carn Cottage, by przynieść prezenty dla wszystkich. Podarunki były zapakowane w brązowy papier, obwiązany czerwonymi wstążeczkami i podpisane na wesołych naklejkach z gałązkami ostrokrzewu i ptaszkami o czerwonych brzuszku. Penelopa była głęboko wzruszona. Wyobrażała go sobie, jak robi zakupy, kupuje czerwoną wstążkę, a potem siedzi, być może na łóżku w swojej surowo urządzonej kajucie w Głównej Kwaterze Wojsk Królewskiej Piechoty Morskiej, i z trudem pakuje prezenty i zawiązuje wstążkę na piękne kokardy. Próbowwała sobie wyobrazić Ambrose w podobnej sytuacji, próbującego zrobić coś równie osobistego i czasochłonnego i zupełnie jej się to nie udało.

Kupiła Richardowi czerwony szalik z jagnięcej wełny. Kosztował nie tylko dużo pieniędzy, ale także sporo cennych kuponów przydziałowych

na ubrania. Obawiała się, że Richard pomyśli, iż jest to prezent okropnie niepraktyczny, ponieważ nie można go było nosić do munduru, a on nigdy nie chodził po cywilnemu. Szalik ten wydawał jej się jednak tak cudownie luksusowy, wesoły i świąteczny, że nie mogła się oprzeć pokusie kupienia go. Owinęła szalik w miękką bibułkę, znalazła odpowiednie pudełko i kiedy Richard poustawiał swoje prezenty pod ich drzewkiem, wręczyła mu jego paczuszkę, żeby zabrał ją ze sobą do Londynu.

Zaczął obracać ją w rękach.

— Może otwarłbym to teraz?

Była oburzona.

— Och, nie. Nie możesz. Musisz poczekać do ranka Bożego Narodzenia.

— W porządku. Jeśli ty sobie tego życzysz.

Nie chciała się żegnać. Powiedziała tylko z uśmiechem:

— Baw się dobrze.

Pocałował ją.

— Ty też, kochanie. — To rozstanie było bardzo trudne, rozdzierające. — Wesołych Świąt.

Ranek w dzień Bożego Narodzenia zaczął się bardzo wczesnie. Jak zwykle panowało wesołe, pełne podniecenia zamieszanie. Cała szóstka zebrała się w sypialni Lawrence'a. Dorośli pili herbatę w kubkach, a dzieci wskoczyły na jego duże łóżko, żeby tam wysypywać wszystkie łakocie z świątecznych pończoch⁰, po czym grały na trąbkach i piszczałkach, robiły sobie psikusy, jadły jabłka, a Lawrence włożył sztuczny nos z wąsikiem w stylu Hitlera i wszyscy pokładali się ze śmiechu. Potem zjedli śniadanie i wtedy, zgodnie z tradycją, wyruszyli do salonu i zabrali się do rozpakowywania prezentów znalezionych pod drzewkiem. Napięcie rosło. Wkrótce podłoga pokryta była kolorowymi kawałkami papieru i wstążeczkami, a powietrze rozbrzmiewało okrzykami zachwytu i radości. „Och dziękuję mamusiu, właśnie o tym marzyłem. Zobacz, Clark, klakson do mojego roweru”.

Penelopa odłożyła prezent od Richarda na bok, żeby otworzyć go na samym końcu. Inni nie mieli aż tak silnej woli. Doris zdarła papier ze swojego prezentu i wyjęła z bibułki jedwabną chustkę na głowę, niezwyklej rozmiarów, ogromnie efektowną, we wzór, na którym były wszystkie kolory tęczy.

— W życiu nie miałam czegoś podobnego! — zachwycała się. Złożyła

⁰ angielski zwyczaj, wedle którego dzieci wieszają pończochy przy brzegu kominka w wieczór przed Bożym Narodzeniem, wierząc że w nocy Father Christmas napełni je łakociami, wchodząc przez komin (przyp. tłum.)

chustkę w trójkąt, zarzuciła na głowę i zawiązała pod brodą. — No i jak wyglądam?

— Jak królowna Elżbieta na swoim kucyku — poinformował ją Ronald.

— O, ho, ho! — cieszyła się Doris. — To znaczy, że bardzo wytwornie.

Lawrence dostał butelkę whisky, chłopcy znaleźli prawdziwe, „profesjonalne” proce, a Nancy otrzymała komplecik naczynek do herbaty dla lalek. Filiżaneczki i spodeczki były z białej porcelany ze złotym brzeżkiem, malowanej w drobniutkie kwiatuszki.

— A co tobie podarował, Penelopo?

— Jeszcze nie rozwinęłam prezentu.

— Otwórz teraz.

Tak też zrobiła. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Rozwiązała kokardę i rozsunała brązowy papier pakunkowy. W środku było białe pudełko, obramowane czarną kreską. Chanel Nr 5. Zdjęła górną część pudełka i zobaczyła kwadratową butelkę ułożoną w fałdach satyny, kryształowy koreczek i cenny, złoty płyn.

Doris aż otworzyła usta z podziwu.

— Nigdy nie widziałam butelki tego rozmiaru. Nigdy poza sklepem, nigdy w życiu. I to jeszcze Chanel Nr 5! Ależ będziesz pachniała!

Pod pokrywką pudełka znajdowała się złożona wpół niebieska koperta. Penelopa dyskretnie wzięła kopertę i włożyła ją do kieszeni swego swetra. Później, kiedy pozostali zajęci byli uprzątnięciem papierów porzucanych na podłodze w salonie, poszła na górę do swojego pokoju i otworzyła list.

Moja ukochana,

Wesołych Świąt! To przybywa dla Ciebie z drugiej' strony Atlantyku. Mój dobry znajomy był w Nowym Jorku, gdzie jego krążownik był remontowany i przywiózł to, kiedy wracał do Anglii. Mnie zapach Chanel Nr 5 przywodzi na myśl wszystko to, co olśniewające i pełne sex-appealu, wesołą zabawę i lekkość serca. Lunch w Hotelu Berkley, Londyn w maju tonący w kwitnących bzach, śmiech i miłość, i Ciebie. Jesteś zawsze w moich myślach i zawsze w moim sercu.

Richard

To był znowu ten sam sen. Myślała o nim jako o kraju Richarda. Zawsze taki sam. Rozległy, zalesiony teren, a na jego końcu dom o płaskim dachu, w stylu śródziemnomorskim. Basen, w którym pływała Sophie, a papa siedział przed swoimi sztalugami, z twarzą ukrytą w cieniu

szerokiego ronda kapelusza. A potem pusta plaża i świadomość, że szuka osoby a nie muszli. On nadchodził, siedł, widziała, jak się zbliża, choć był jeszcze daleko i przepełniała ją radość. Ale zanim mogła do niego dojść znad morza nadciągnęła mgła; ciemna, gęsta mgła ogarniająca wszystko jak przypływ, tak że najpierw wydawał się w niej brodzić, a potem powoli w niej tonął.

— Richard!

Wyciągnęła do niego ręce. Lecz sen rozplynął się i Richard zniknął. Jej dłonie dotykały tylko zimnego prześcieradła po drugiej stronie łóżka. Słyszała morze szemrzące na plaży, ale wiatru nie było. A więc co ją tak przestraszyło, co leżało na skraju świadomości? Otworzyła oczy. Ciemność zaczynała blednąć, a przez otwarte okno widać było szare już niebo. Wstający świt rozświetlał dobrze znany jej pokój, wynurzały się z cienia różne szczegóły. Mosiężny pręt na końcu łóżka, toaletka z ukośnie przechylonym lustrem, w którym odbijało się niebo. Zobaczyła mały fotelik, otwartą walizkę na podłodze, na w pół spakowaną...

Tak. Walizka. Dzisiaj. Wyjeżdżam dzisiaj. Na wakacje, na siedem dni, i to razem z Richardem.

Leżała i myślała o nim przez chwilę i potem znów przypomniał jej się ten zagadkowy sen. Zawsze taki sam. Nostalgiczne obrazy utraconego szczęścia, a potem poszukiwanie. Wszystko to zmieniające się w niepewność, a na końcu to uczucie straty. Próbowwała go przeanalizować, może jednak nie był on aż taki zagadkowy, ponieważ ten sen wdarł się do jej podświadomości wkrótce po powrocie Richarda z Londynu, w styczniu, i potem powtarzał się w regularnych odstępach czasu w ciągu tych dwu i pół miesiąca.

Był to bowiem czas szczególnie bolesnej frustracji, gdyż Richard był tak zajęty, że prawie go nie widywała. Ćwiczenia szkoleniowe wyraźnie stały się bardziej intensywne, jakby proporcjonalnie do coraz brzydszej pogody. Na ulicach pojawiło się więcej wojska i pojazdów wojskowych. Często teraz konwoje wojskowe blokowały wąskie uliczki prowadzące do portu, a w stojących przy północnym nabrzeżu budynkach należących do komandosów aż wrzało.

Było jasne, że działania wojskowe nabierają tempa. Helikoptery unosiły się nad morzem, a po Nowym Roku pojawił się oddział saperów, którzy udali się na wrzosowiska leżące za urwiskiem Boscarben i tam przygotowali teren do ćwiczeń strzeleckich. Wyglądało to ponuro, kolczaste druty, czerwone flagi i wielkie napisy z Ministerstwa Wojny, ostrzegające ludność cywilną, żeby trzymała się z daleka, gdyż wejście na ten teren grozi śmiercią lub kalectwem. Kiedy wiatr wiał z tamtej strony, dało się wyraźnie słyszeć w Porthkerries odgłosy strzelania. W nocy było to szczególnie niepokojące, gdyż obudzwszy się nagle ze snu, z bijącym sercem, nie można było być pewnym, co się właściwie dzieje.

Jednak od czasu do czasu Richard pojawiał się, jak zawsze niespodziewanie. Odgłosy jego kroków w holu, jego głos, zawsze napełniały ją radością. Przeważnie wizyty te miały miejsce wieczorem po kolacji. Mógł wtedy usiąść razem z nią i z papą, napić się kawy, a potem zagrać w trik-traka aż do późnych godzin nocnych. Kiedyś zadzwonił i umawiając się w ostatniej chwili, zabrał ją na kolację do restauracji Gastona. Wypili zaofiarowaną im przez Gastona butelkę znakomitego wina i rozmawiali, nadrabiając zaległości za te wszystkie tygodnie, w czasie których tak mało się widywali.

- Opowiedz mi, jakie było twoje Boże Narodzenie, Richardzie?
- Ciche i spokojne.
- Co robiłeś?
- Chodziłem na koncerty. Byłem na pasterce w Westminster Abbey.

Rozmawiałem.

- Tylko ty i twoja matka?
- Wpadło paru przyjaciół. Ale przez większą część czasu byliśmy tylko we dwoje.

Zabrzmiało to bardzo ciepło. Penelopa była zaintrygowana.

- O czym rozmawialiście?
- O wielu sprawach. O tobie.
- Powiedziałeś jej o mnie?
- Tak.
- Co jej powiedziałeś?

Sięgnął poprzez stół i wziął jej rękę.

— Że znalazłem jedyną osobę na świecie, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

- Czy powiedziałeś jej, że jestem zameżna i mam dziecko?
- Tak.
- Jaka była jej reakcja na tę wiadomość?
- Zdziwienie. A potem współczucie i zrozumienie.
- Sprawia wrażenie bardzo miłej osoby.

Uśmiechnął się.

- Ja ją lubię.

Zanim się spostrzegli, zima minęła. W Kornwalii wiosna przychodzi wcześniej. Specyficzny zapach w powietrzu i cieplejsze słońce już dają się odczuć, podczas gdy reszta kraju jeszcze trzęsie się z zimna. Tego roku było tak samo. Pośród wojennych przygotowań, odgłosów strzelaniny i krążących helikopterów, do osłoniętych dolinek przyleciały już wędrownie ptaki. Pomimo coraz bardziej alarmujących nagłówek w gazetach i pogłosek o inwazji na Europę, pierwsze słoneczne, ciepłe dni, pachnące słodko, bezchmurne, były pełne niezmaconego spokoju. Drzewa wypuściły pączki, na wrzosowiskach pojawiała się tu i ówdzie zielona mgiełka

młodych pędów orlicy, a na przydrożnych krzakach kremowe twarzyczki dzikich pierwiosneków migotały jak gwiazdki.

W taki właśnie dzień okazało się, że Richard ma akurat sporo wolnego czasu i mogli pójść do pracowni. Mogli rozpalic ogień i pozwolić, żeby ogień ogrzewał i oświetlał ich miłość, mogli przebywać znów w swoim osobistym, ukrytym świecie i sprawić, by powstała z nich promienna jedność.

— Jak dużo czasu musi minąć, zanim znowu tu będziemy mogli przyjść? — zastanawiała się potem Penelopa.

— Gdybym to mógł wiedzieć.

— Jestem łakoma. Ciągłe chcę więcej. Zawsze chcę, żeby było jakieś jutro.

Siedzieli przy oknie, podziwiając, tonący w słonecznym blasku krajobraz. Piasek był olśniewająco biały, intensywnie niebieskie morze migotało słonecznymi pieniążkami. Mewy unosiły się na łagodnych podmuchach wiatru, krążyły z krzykiem, a tuż pod nimi, przy bajorku pomiędzy skałami dwaj mali chłopcy szukali krewetek.

— Akurat teraz cena jutra poszła bardzo w górę.

— Mówisz o wojnie?

— Tak jak narodziny i śmierć, jest częścią życia.

Westchnęła.

— Naprawdę staram się nie być samolubna. Myślę o tych milionach kobiet na świecie, które dałyby wszystko, żeby być w mojej sytuacji, bezpieczne, ciepło ubrane, najedzone i w otoczeniu rodziny. Ale to nic nie pomaga. Po prostu przepełnia mnie żal, że nie mogę być z tobą cały czas. I w jakiś przedziwny sposób fakt, że jesteś tutaj, czyni to jeszcze trudniejszym do zaakceptowania. Nie bronisz Gibraltaru, nie walczysz w dżunglach Birmy ani na niszczycielu na Atlantyku. Jesteś tutaj. A pomimo to, wojna wchodzi między nas i nas rozdziela. A teraz, kiedy ciągle wszyscy mówią o inwazji, kiedy tempo wojny wyraźnie się przyśpieszyło, mam okropne uczucie, że czas ucieka i możemy złapać tylko parę skradzionych godzin.

— Mam tydzień urlopu pod koniec tego miesiąca. Pojedziesz ze mną? — zaproponował nagle Richard.

Mówiąc obserwowała tych dwóch chłopców z siatkami na krewetki. Jeden z nich znalazł coś głęboko w wodorostach. Przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć, mocząc spodnie. Tydzień urlopu. Tydzień. Odwróciła głowę i spojrzała na Richarda, przekonana, że albo się przestyszała, albo że on żartuje, by ją oderwać od smutnych myśli.

Wyczytał to niedowierzanie na jej twarzy i uśmiechnął się.

— Mówię poważnie — zapewnił ją.

— Cały tydzień?

— Tak.

— Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?
— Chciałem ci to powiedzieć na samym końcu. Najlepsze na koniec. Tydzień. Z dala od wszystkiego, od wszystkich. Tylko we dwoje.
— Gdzie byśmy pojechali? — zapytała ostrożnie.
— Gdzie tylko zechcesz. Moglibyśmy pojechać do Londynu. Zatrzymać się w Hotelu Ritz i pójść na kilka spektakli do teatru i odwiedzić nocne lokale.

Zastanawiała się nad tym. Londyn. Pomyślała o ulicy Oakley. Ale Londyn to był Ambrose, a dom na ulicy Oakley pełen duchów. Sophie, Piotr i Elżbieta Cliffordowie. Powiedziała:

— Nie chcę jechać do Londynu. Czy jest jakaś inna możliwość?

— Tak. Jest stary dom, który nazywa się Tresillick, na południowym wybrzeżu, na półwyspie Roseland. Nie jest ani bardzo duży, ani luksusowy, ale ma ogrody, które schodzą do samej wody i ogromny krzak fioletowej pnącej wistarii pokrywający prawie cały front domu.

— Znasz ten dom?

— Tak. Byłem tam kiedyś na wakacjach, kiedy studiowałem jeszcze na uniwersytecie.

— Kto tam mieszka?

— Przyjaciółka mojej matki. Helena Bradbury. Jej mąż, nazywa się Harry Bradbury, jest kapitanem w Królewskiej Marynarce Wojennej, dowodzi krążownikiem floty przybrzeżnej. Po świętach Bożego Narodzenia moja matka napisała do Heleny i parę dni temu dostałem od niej list, w którym zaprasza nas do siebie.

— Nas?

— Mnie i ciebie.

— Ona wie o mnie?

— Oczywiście.

— Ale jeśli mieszkalibyśmy u niej w domu, czy nie musielibyśmy spać w osobnych sypialniach i być ogromnie dyskretni?

Richard roześmiał się.

— Nigdy nie znałem jeszcze kobiety, która by ze wszystkiego robiła takie trudności.

— Nie robię trudności. Staram się być praktyczna.

— Nie przypuszczam, żeby tego typu problemy w ogóle tam zaistniały. Helena jest znana ze swoich liberalnych poglądów. Wychowała się w Kenii, a kobiety wychowane w Kenii, nie wiadomo dlaczego, ale rzadko kiedy odznaczają się małostkowym przywiązaniem do konwenansów.

— Czy przyjąłeś jej zaproszenie?

— Jeszcze nie. Chciałem najpierw z tobą porozmawiać. Trzeba wziąć jeszcze inne sprawy pod uwagę. Jedną z nich jest opinia twojego ojca.

— Papa?

— Czy on nie będzie miał zastrzeżeń, że zabiorę cię ze sobą?
— Richardzie, chyba znasz go na tyle dobrze.
— Czy powiedziałaś mu o nas?
— Nie. Nie wprost — uśmiechnęła się. — Ale on wie.
— A Doris?
— Powiedziałam Doris wszystko. Ona myśli, że to wspaniałe. Uważa, że jesteś cudowny, całkiem jak Gregory Peck.

— W takim razie nic nas nie powstrzymuje. A więc... — Wstał.
— Chodź. Zbieraj się i ruszamy. Mam sprawy do załatwienia.

Na rogu obok sklepu pani Thomas była budka telefoniczna. Wcisnęli się do niej razem i zamknęli drzwi. Richard zadzwonił do Tresillick. Penelopa, stojąc bardzo blisko, usłyszała sygnał w słuchawce.

— Halo! — wyraźny i głośny kobiecy głos był łatwo słyszalny dla Penelopy, a Richard omal od niego nie ogłuchł. — Helena Bradbury przy telefonie.

— Heleno, tu mówi Richard Lomax.

— Richard, ty diable rogaty. Dlaczego wcześniej się ze mną nie skontaktowałaś?

— Przepraszam, ale naprawdę nie było dotąd takiej możliwości.

— Dostałeś mój list?

— Tak, i...

— Przyjeżdżacie?

— Jeśli możemy.

— Wspaniale! Aż mnie złość bierze, kiedy pomyślę, że jesteś w tych stronach cały ten czas, a ja nic o tym nie wiedziałam, dopóki nie dowiedziałam się od twojej matki. Kiedy przyjeżdżacie?

— Ja mam dostać tydzień urlopu pod koniec marca. Czy to by ci odpowiadało?

— Koniec marca? Psiakość, nie będzie mnie wtedy. Jadę do Chatham, spędzić trochę czasu z moim starszym bratem. Nie mógłbyś kiedy indziej? Nie, oczywiście, że byś nie mógł. Co za cholernie idiotyczne pytanie. No cóż, nie szkodzi. Przyjeżdżajcie i tak. Dom będzie do waszej dyspozycji, po prostu przejmiecie go w posiadanie. Obok w małym domku mieszka pani Brick. Ona ma klucze. Dogląda nieraz domu, wpada od czasu do czasu. Zostawię trochę jedzenia w spiżarni. Czujcie się jak u siebie...

— To strasznie miłe z twojej strony, ale czy nie sprawimy ci kłopotu...

— Żaden kłopot. Jak chcecie koniecznie jakoś to odpracować, to możecie przystrzyć trawnik. Okropny pech, że muszę wtedy wyjechać. Trudno, może innym razem. Skrobnijcie słówko, kiedy pani Brick ma się was spodziewać. Muszę lecieć. Miło było cię usłyszeć. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę. Richard zostawszy z buczącą słuchawką w ręku **powoli** zawiesił ją na widełkach. Powiedział:

— Kobieta, która nie mówi za wiele, a za to dużo robi i szybko działa.

Obejmując Penelopę, pocałował ją. A ona właśnie wtedy, stojąc w dusznej i śmierdzącej budce telefonicznej, pozwoliła sobie po raz pierwszy uwierzyć, że to się naprawdę stanie. Wyjadą razem na wakacje. Nie cierpiała słowa urlop, tak jak nie cierpiała słowa przepustka — kojarzyły jej się ze służbą wojskową. *

— Nic już się nie może wydarzyć, Richardzie, co by nas mogło zatrzymać, prawda? Nic się nagle nie zepsuje?

— Nie.

— Czym się tam dostaniemy?

— Musimy jakoś to zaplanować. Może pociągiem do Truro. Tak-sówką.

— Czyż nie byłoby o wiele przyjemniej pojechać samochodem?

— Przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł. — Pojedziemy bentleym. Papa pożyczycy nam bentleja.

— Czy nie zapomniałaś o czymś?

— O czym?

— Drobnostka, o benzynie.

Rzeczywiście zapomniała. Ale odparła:

— Porozmawiam z panem Grabneyem.

— A co on może zrobić?

— Załatwi nam benzynę. Jakoś. Gdzieś. **Jeśli trzeba** będzie, to czarnorynkową.

— A dlaczego miałyby to zrobić?

— Bo jest moim przyjacielem i zna mnie od urodzenia. Nie miałyby nic przeciwko zawiezieniu mnie do Roseland pożyczonym bentleym z czarnorynkową benzyną w zbiorniku, prawda?

— Nie. Pod warunkiem, że będę miał jakieś zaświadczenie na piśmie, iż nie wylądujemy w więzieniu.

Uśmiechnęła się. Puściła wodze swojej wyobraźni. Widziała już, jak wyruszają drogami porośniętymi z obu stron wysokimi żywopłotami, na południe. Richard za kierownicą, bagaż na tylnym siedzeniu.

— Wiesz co? — powiedziała. — Kiedy będziemy wyjeżdżać, zrobi się już wiosna. Naprawdę, to już będzie wiosna.

To był tajemniczy dom. Trudno go było znaleźć. Ukryty głęboko w najbardziej odległej i trudno dostępnej części kraju, takiej gdzie nic się nie zmieniło od wieków, ani wygląd zewnętrzny, ani obyczaje. Od strony drogi był niewidoczny, gdyż zasłaniały go zagajnik i poryty koleinami podjazd, po którego obu stronach rosły wysokie krzaki hortensji. Kiedy wreszcie udało się go zobaczyć, okazało się, że był to kwadratowy dom,

który stoi tu od wieków, obrastając powoli różnymi zabudowaniami gospodarskimi, jak na przykład stajniami, otoczony murem, zielonym od kwitnących teraz roślin pnących, bluszczu, mchów i paproci.

Ogród przed domem, na pół dziki, a na pół zadbany, opadał porośniętymi trawą tarasami do zasłoniętego drzewami, krętego strumienia, który napełniał się wodą z morskiego przypływu. Wąskie ścieżki kusiły, by iść ich śladem, pomiędzy krzewami kamelii, azalii i różowych rododendronów. Wysoko rosnąca przy brzegu trawa pełna była żonkili, zza której wyłaniała się chwiejnie wyglądająca drewniana przystań, gdzie kołysała się przycumowana mała łódka.

Wistaria, która pokrywała cały front domu, jeszcze nie zakwitła, ale wszędzie dookoła pełno było rozwiniętych już kwiatów, a obok tarasu rosło drzewko dzikiej wiśni. Gdy tylko wiatr muskał je, białe płatki szybowały w powietrzu jak śnieg.

Tak jak to było umówione, pani Brick czekała na nich, ukazując się w drzwiach frontowych w momencie, kiedy stary bentley podjechał z tyłu domu i zatrzymał się ze zgrzytem hamulców. Pani Brick miała siwe włosy, niedbale zaczesane, jedno oko zupełnie nieruchome, grube pończochy i fartuch zawiązany w pasie.

— Major Lomax i pani Lomax?

Penelopa umilkła na to powitanie, ale Richard przyjął to spokojnie i bez żadnego skrupowania czy wahania odpowiedział:

— Tak, zgadza się. — Wsiadł z auta. — A pani musi być panią Brick. — Zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką.

Tym razem to pani Brick była zbita z tropu. Wytarła swoją zaczerwienioną rękę w odwrotną stronę fartucha, zanim podała ją Richardowi.

— Tak jest. — Trudno było się zorientować, w którą stronę patrzyło to nieruchome oko. — Zostałam, żeby was wpuścić. Pani Bradbury prosiła. Jutro mnie nie będzie. Macie swoje bagaże?

Weszli za nią do wyłożonego kamiennymi płytami holu, z którego prowadziły schody na górne piętro. Stopnie tych kamiennych schodów były mocno wyślizgane i wyżłobione przez wielowiekowe użytkowanie, a wszędzie panował wilgotny zapach zmurszałego drewna, lecz nie był nieprzyjemny, przywodził raczej na myśl skojarzenia ze sklepem z antykami.

— Oprowadzę was po domu. Jadalnia i salon... wyłączone, meble przykryte pokrowcami. Pani Bradbury zamknęła je, kiedy wojna się zaczęła. Używa na Tomiast tej biblioteki, tutaj. Musicie dokładać do ognia, żeby wam było ciepło. A jak będzie słonecznie, możecie otworzyć okna i wyjść sobie na taras. Teraz chodźcie, pokażę wam kuchnię... — Szli posłusznie za nią. — Trzeba wycucia przy tym piecyku i trzeba co wieczór napełniać zbiornik, bo inaczej nie będzie ciepłej wody... — Poka-

zała im, o co chodzi, biorąc do ręki mosiężne pokrętło, które szarpnęła silnie parę razy, wywołując tym ponure odgłosy z wnętrza piecyka. — W spiżarni jest zimna szynka, przyniosłam też chleb i jajka, i mleko, jak prosiła pani Bradbury.

— Bardzo pani miła.

Ale pani Brick nie miała czasu na salonowe grzeczności.

— Teraz, na górę. — Podnieśli swoje torby i walizki i poszli za nią. — Łazienka i klozcek są na końcu korytarza. — Stała tu wanna na nóżkach, kurki były miedziane, a zbiornik w klozecie miał łańcuch z rączką, na której napisane było: CIĄGNIJ. — Stare kio lubi mieć humory, ot co. Jak nie działa za pierwszym pociągnięciem, trzeba trochę odczekać i spróbować jeszcze raz.

— Dziękujemy, że nam pani powiedziała.

Nie było jednak czasu, żeby rozwodzić się nad zawiłociami hydrauliczki, bo pani Brick już sunęła do przodu, wyprzedzając ich pędziła przed siebie, jakby ktoś ją gonił. Otworzyła kolejne drzwi znajdujące się u szczytu schodów, tym samym pozwalając, by światło słońca zalało cały podest.

— Dałam wam najlepszy pokój gościnny, skąd będziecie mieć widok jak się patrzy. Mam nadzieję, że łóżko będzie w porządku. Wsadziłam tam termofor, żeby pozbyć się wilgoci. I uważajcie, gdy będziecie wychodzić na balkon, bo drewno przegniło i można przelecieć przez dziurę na sam dół. To już wszystko. — Spełniła swój obowiązek. — To ja już sobie pójdę.

— Kiedy panią znów zobaczymy, pani Brick? — Penelopie po raz pierwszy udało się wejść jej w słowo.

— Będę wpadać od czasu do czasu. O różnych porach. Mam mieć na was oko, pani Bradbury tak powiedziała.

I to rzekłszy, wyszła.

Penelopa nie mogła spojrzeć na Richarda. Stała, zakrywając dłonią usta, próbując jakoś opanować swoją wesołość, aż do momentu, kiedy usłyszała, że na dole trzasnęły drzwi, a więc pani Brick nie mogła ich już słyszeć. Teraz mogli już być swobodni. Padła na ogromne, miękkie łóżko zaśmiewając się, aż w końcu wytarła z policzków łzy rozbawienia. Richard usiadł przy niej. Powiedział:

— Będziemy musieli się zdecydować, które to oko jest dobre, bo inaczej mogą z tego wyniknąć trudności nie do pokonania.

— „Stare kio lubi mieć humory, ot co”. Ona jest całkiem jak Biały Królik¹, który ciągle mówił: „Szybciej, szybciej!”

— Jak się czujesz jako pani Lomax?

— Fantastycznie.

- Przypuszczam, że to pomysł pani Bradbury.
- Teraz już rozumiem, co miałeś na myśli mówiąc o kobietach wychowanych w Kenii.
- Czy będzie ci tu dobrze?
- Wydaje mi się, że może mi się to uda.
- A jak mógłbym ci w tym pomóc?

Zaczęła się znowu śmiać. Wyciągnął się obok niej i powoli, nie spiesząc się, wziął ją w ramiona. Przez otwarte okno dobiegały różne drobne odgłosy. Dalekie krzyki mew i ciche pogruchiwanie turkawek. Powiał lekki wietrzyk, poruszając gałęziami dzikiej wiśni. Woda z morskiego przypływu z cichym szmerem wolno napływała do błotnistej łóżyska strumienia.

Nieco później rozpakowali swoje bagaże i zagospodarowali się w nowym miejscu. Richard włożył stare sztruksowe spodnie, biały sweter polo i wysłużone zamszowe wsuwane buty. Penelopa powiesiła jego mundur w szafie, wcisnęli walizki głęboko pod łóżko, żeby nie było ich widać.

— Teraz mam uczucie — powiedział Richard — jakby zaczynały się letnie wakacje. Chodźmy zbadać teren i pomyszkować po okolicy.

Najpierw przeprowadzili inspekcję samego domu, otwierając różne drzwi, odkrywając schody w niespodziewanych miejscach, korytarzyki, przejścia — jednym słowem — orientując się w terenie. Na dole, w bibliotece, otwarli francuskie okna, rzucili okiem na tytuły niektórych książek, znaleźli stary nakręcany patefon i stos wspaniałych płyt. Delius, Brahms, Charles Trenet, Ella Fitzgerald.

— Będziemy mogli urządzać sobie muzyczne wieczory.

W palenisku na kominku dogasał ogień. Richard pochylił się i dołożył parę polan z koszyka stojącego obok. Prostując się, natknął się na kopertę zaadresowaną do siebie, opartą o zegar na środku półki nad kominkiem. Wziął kopertę, otworzył i wyciągnął liścik od ich nieobecnej gospodyni.

Richard. Kosiarka jest w garażu, obok stoi puszką z benzyną. Klucz od piwnicy z winami wisi nad drzwiami od piwnicy. Poczestujcie się zawartością. Bawcie się dobrze. Helena.

Przeszli przez kuchnię, minęli spiżarnię, pralnię i liczne schowki, których istny labirynt ciągnął się za kuchnią, w końcu otworzyli ostatnie drzwi i znaleźli się na brukowanym podwórzu, całym zawieszonym sznurami do suszenia bielizny. Stare stajnie zostały zamienione na garaże, przechowalnię narzędzi i komórki do składania drewna na opał. Odszukali kosiarkę, a przy okazji natrafili na parę wioseł i zwinięty żagiel.

— To jest na pewno do tej łódki — zauważył Richard z zadowoleniem. — Kiedy zacznie się przypływ, będziemy mogli sobie pożeglować.

Idąc dalej doszli do starych, drewnianych drzwi w granitowym murze pokrytym mchem. Richard pchnął je ramieniem i otworzyły się ze zgrzytem. Znaleźli się w czymś, co musiało kiedyś być warzywnikiem. Zobaczyli zapadające się szklarnie i połamane inspekty na ogórki, ale chwasty zarosły już prawie wszystko. Z dawnej świetności warzywnego ogrodu i sadu zostały już tylko kępa wybujałego rabarbaru, dywanik z mięty i ze dwie stare jabłonki, powykręcane jak postacie dwojga starszusków, ale jednak pokryte jeszcze mgiełką różowego kwiecia. W ciepłym powietrzu unosił się płynący z nich zapach.

Smutno było patrzeć na tak opuszczony i zdziczały ogród. Penelopa westchnęła.

— Jaka szkoda! Musiało tu kiedyś być pięknie. Równiutko przyszyżony żywopłot i zadbane grządki.

— Tak właśnie było, kiedy spędzałem tu wakacje przed wojną. Ale wtedy pracowało tu dwóch ogrodników. Samotna kobieta nie jest w stanie utrzymać takiego miejsca.

Wyszli stamtąd drugimi drzwiami i znaleźli ścieżkę prowadzącą do strumienia. Penelopa zerwała pęk żonkili, a potem siedzieli na małym moło i patrzyli, jak wraz z przybierającym przypływem powoli podnosi się poziom wody. Kiedy poczuli się głodni, wrócili do domu i zjedli chleb, szynkę i parę pomarszczonych jabłek, które znaleźli w spiżarni. Późnym popołudniem, kiedy przypływ osiągnął szczyt, pożyczyli nieprzemakalne kurtki z szafy państwa Bradbury, zabrali wiosła i żagiel i wypłynęli łódka. Póki płynęli osłoniętą rzeczką poruszali się wolno, ale kiedy wypłynęli na otwarte wody, złapali wiatr. Richard wciągnął duży żagiel, łódka przechyliła się alarmująco, ale trzymała się kursu, i pomknęli z wiatrem, spryskani mokrą bryzą, przez głębokie i lekko wzburzone wody przesmyku.

To był tajemniczy dom. Dom, który wydawał się tkwić w przeszłości. Było jasne, że życie tutaj zawsze toczyło się spokojnie, wygodnie i w ślimaczym tempie. Jak bardzo stary i zepsuty zegar albo jak wiekowa i trochę pomyłona osoba, stracił wszelkie poczucie czasu. Łagodny wpływ atmosfery tego domu był bardzo wyraźny. Pod koniec pierwszego dnia, senni i odurzeni delikatnym powietrzem wiosennym, Richard i Penelopa dali się uwieść sennemu czarowi Tresillick, a potem czas stracił już jakiegokolwiek znaczenie, a nawet przestał istnieć. Nie czytali, ani nawet nie widzieli żadnych gazet, nie włączali radia, a jeśli dzwonił telefon, nie odbierali go, wiedząc, że to nie do nich.

Dni i noce łągodnie przepływały jedno w drugie, nie przerywane koniecznością regularnych posiłków, załatwiania pilnych spraw, nie poddane tyranii zegarów. Ich jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym była pani Brick, która zgodnie ze swoją obietnicą, wpadała od czasu

do czasu. Jej wizyty były, delikatnie mówiąc, nieregularne i nigdy nie mieli pojęcia, kiedy się pojawi. Czasami zastawali ją niespodziewanie o trzeciej po południu sprzątającą, ścierającą kurze, polerującą meble lub jeżdżącą starodawnym odkurzaczem po mocno sfatygowanych już dywanach. Pewnego ranka, bardzo wcześnie, kiedy byli jeszcze w łóżku, wpadła do ich pokoju, niosąc tacę z herbatą, ale zanim zdążyli oprzytomnieć i znaleźć odpowiednie słowa, żeby jej podziękować, odsunęła firanki, rzuciła jakąś uwagę o pogodzie i już jej nie było.

Jak zauważył Richard, to czasami było bardzo żenujące.

Ponadto, jak jakiś życzliwy skrzat, zaopatrywała ich stale w jedzenie. Kiedy przychodzili do kuchni w poszukiwaniu czegoś do przegryzienia, znajdowali na półce w spiżarni talerz pełen kaczych jajek, oskubanego kurczaka, krążek wiejskiego masła albo bochenek świeżo upieczonego chleba. Ziemniaki były obrane, marchewka oskrobana, a raz zostawiła im dwa kornwalijskie paszteciki tak ogromne, że nawet Richard nie mógł skończyć swojego.

— Nawet nie daliśmy jej naszych kuponów przydziałowych na żywność — zauważyła Penelopa z wielkim zdumieniem. Tak już przyzwyczaiła się do jedzenia wydzielanego na kartki, że ta obfitość wydawała jej się czymś podobnym do cudu. — Skąd ona to wszystko bierze?

Nigdy nie mieli się tego dowiedzieć.

Pogoda tej wczesnej wiosny była bardzo kapryśna. Kiedy padało, a był to deszcz silny i intensywny, albo wkładali peleryny i szli na długi, mokry spacer, albo zostawali w domu, siedzieli przy kominku z książką lub grali w karty. Niektóre dni były ciepłe jak w lecie, a niebo było wtedy błękitne, bezchmurne. Takie dni spędzali na dworze, leżąc na kocu na trawniku, albo korzystając ze starych ogrodowych leżaków. Jednego ranka, czując wyjątkowy przypływ energii, wzięli bentleya i pojechali do St. Mawes, położonego zresztą bardzo niedaleko, żeby pospacerować sobie po miasteczku i obejrzeć żaglówki. Na koniec wstąpili na drinka do Hotelu Idle Rocks i popijali go spokojnie na tarasie.

Był to dzień na zmianę pochmurny i słoneczny. Słońce pokazywało się, to znowu znikało, a łagodnemu, słodkiemu powietrzu dodawała świeżości słona bryza. Penelopa oparła się o tył krzesła, a jej wzrok powędrował za rybacką łodzią o brązowym żaglu, torującą sobie drogę do wyjścia na pełne morze.

— Richardzie, czy myślisz czasami o luksusie? — zapytała.

— Nie pożądam go, jeśli o to ci chodzi.

— Sądzę, że luksus to całkowite zaspokojenie wszystkich pięciu zmysłów naraz. To, co czuję w tej chwili, to jest luksus. Jest mi ciepło, a jeśli tylko zechcę, mogę sięgnąć po twoją rękę i dotknąć jej. Czuję zapach morza, a także zapach smażonej cebuli, którą ktoś podsmaża w hotelu.

Pyszne. Piję zimne piwo, równocześnie słyszę krzyk mew, pochłupywanie wody i odgłos silnika rybackiej łodzi, tyr-tyr-tyr, słyszę to wszystko i to daje mi ogromną satysfakcję.

— A co widzisz?

Obróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Siedział naprzeciw niej z rozwianymi włosami, w starym swetrze i w tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami, która pachniała torfem.

— Widzę ciebie — uśmiechnęła się. — A teraz twoja kolej. Powiedz mi, co dla ciebie jest luksusem.

— Myślę, że może kontrasty — rzekł po chwili zastanowienia. — Góry i ostra biel śniegu, skrząca się pod błękitnym niebem i gorącym słońcem. Albo, gdy się leży, smażąc się na gorącej skale i wie się, że kiedy nie można będzie już znieść tego gorąca ani chwili dłużej, zimne, głębokie morze jest tylko o jard od ciebie i czeka, aż zanurkujesz.

— A co powiesz na taki luksus: jest się na dworze w mokry, lodowaty dzień i wraca się do domu, zmarzniętym do szpiku kości, gdzie czeka na nas wspaniała, bardzo gorąca kąpiel.

— Nieźle. Albo, gdy spędziło się cały dzień w Silverstone, na wyścigach samochodowych, od których się prawie całkiem ogłuchło i potem, w drodze powrotnej do domu, zatrzymać się w jakiejś ogromnej, niezwykle pięknej katedrze, wejść i po prostu posłuchać ciszy.

— A jakie to musi być okropne, pragnąć sobolowych futer i rolls-royce'ów, i ogromnych, wulgarnych szmaragdów. Ponieważ jestem pewna, że kiedy się już je ma, pomniejszają się, po prostu dlatego, że należą do nas. I wtedy nie pragnie się ich już więcej i właściwie nie wiadomo, co z nimi zrobić.

— Czy to byłby luksus w złym guście, gdybym zaproponował, żebyśmy zjedli tutaj lunch?

— Wręcz przeciwnie, to byłby świetny rodzaj luksusu. Właśnie się zastanawiałam, kiedy to zaproponujesz. Możemy jeść podsmażaną cebulkę. Ślinka mi już cieknie od pół godziny.

Lecz do najwspanialszych chwil należały wieczory. Kotary były zasunięte, ogień płonął na kominku, a oni słuchali muzyki. Powoli zapoznawali się z prawie całą kolekcją płyt należących do pani Bradbury, na zmianę wstając, żeby pokręcić korbą starego, drewnianego gramofonu. Wykapani i przebrani, jedli kolację przy kominku, przysuwając do niego niski stolik, nakryty kryształowymi kieliszkami i srebrnymi sztućcami i rozkoszowali się tym, co pani Brick dla nich zostawiła. Wypijali też butelkę wina, którą Richard, wedle instrukcji, przynosił z piwnicy. Na zewnątrz nocny wiatr wiejący od morza uderzał w szyby w oknach i dzwonił nimi, ale to tylko podkreślało ich odcięcie od świata, przytulność domu i niczym nie zmaconą samotność.

Pewnej nocy, bardzo późno, wysłuchali całej *Symfonii „Nowy Świat”*. Richard leżał na kanapie, a Penelopa siedziała na stosie poduszek na podłodze, opierając swoją głowę na jego udzie. Ogień zamienił się już w kupkę popiołu, ale kiedy ucichły ostatnie dźwięki, nawet nie drgnęli, pozostali w tych samych pozycjach. Penelopa, trzymając rękę Richarda spoczywającą na jej ramieniu, odpłynęła gdzieś w krainę marzeń.

Wreszcie Richard poruszył się i czar prysnął.

— Penelopo.

— Tak.

— Musimy porozmawiać.

— Przecież nic innego nie robimy — uśmiechnęła się.

— O przyszłości.

— Jakiej przyszłości?

— Naszej.

— Och, Richardzie...

— Poczekaj. Nie martw się tak. Po prostu posłuchaj. To jest ważne. Widzisz, pewnego dnia chciałbym się z tobą ożenić. Nie mogę sobie wyobrazić przyszłości bez ciebie, a to oznacza, tak myślę, że powinniśmy się pobrać.

— Ja już mam męża.

— Wiem, kochanie. Wiem aż za dobrze. Ale mimo to muszę ci zadać to pytanie. Czy wyjdiesz za mnie?

Odwrociła się do niego, wzięła jego dłoń i przytuliła ją do swego policzka. Powiedziała:

— Nie prowokujmy Opatrzności.

— Nie kochasz Ambrose.

— Nie chcę o tym mówić. Wiesz o tym. Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej wspanialszego niż bycie twoją żoną i świadomość, że nic już nie może nas rozdzielić. Ale nie teraz. Nie mówmy o tym teraz.

Milczał przez dłuższy czas. W końcu przyznał.

— Dobrze.— Pochylił się i pocałował ją. — Chodźmy spać.

Ich ostatni dzień był pogodny i słoneczny. Richard, chcąc spełnić swój obowiązek i odpracować koszty pobytu, wywłókł kosiarkę z garażu i zabrał się do strzyżenia trawników. Zajął to sporo czasu. Penelopa pomagała. Wywoziła ściętą trawę taczkami na kompost za budynkiem stajni, a także wystrzygała wszystkie brzegi trawników długimi nożycami. Skończyli dopiero o czwartej po południu, ale widok trawników, gładkich jak aksamit, z pasami w dwóch różnych odcieniach zieleni wynagrodził im wysiłek, dając wielką satysfakcję. Kiedy wyczyścili już i naoliwili kosiarkę i odstawili ją na miejsce, Richard oświadczył, że jest wyschnięty na wiór z pragnienia i idzie im zrobić po filiżance herbaty. Penelopa

usiadła więc na świeżo wystrzyżonym trawniku przed domem i czekała, aż on przyniesie herbatę.

Świeżo ścięta trawa pachniała cudownie. Oparła się na łokciach i z zachwytem obserwowała parę małych, trójpalczastych mew, które przysiadły na molo. Były takie drobne i śliczne w porównaniu z wielkimi, dzikimi mewami z Północy. Dłońmi przesuwała po trawie, głaszcząc ją, jak głaszczycie futerko kota. W pewnej chwili jej palce natrafiły na mlecz, który wysmyknął się jakoś kosiarce. Zaczęła go wyciągać, trzymając za liście i łodygę i starając się wyrwać go z korzeniem. Ale korzeń był uparty, jak to zawsze u mleczy, i urwał się. Została więc z całą roślinką i połową korzenia w ręce. Spojrzała na mlecz i poczuła jego gorzki zapach zmieszany z świeżym zapachem przyklejonej do niego ziemi, która brudziła jej dłonie. Za sobą usłyszała kroki na tarasie.

— Richard?

Podszedł, niosąc dwa kubki na tacy. Usiadł na trawie obok niej.

— Odkryłam nowy rodzaj luksusu — stwierdziła Penelopa.

— I cóż to jest?

— Siedzieć na świeżo strzyżonym trawniku samemu, bez tego, którego się kocha. Jest się samemu, ale wie się, że nie będzie tak zbyt długo, bo on odszedł tylko na chwilę i za moment wróci. — Uśmiechnęła się. — Myślę, że to najlepszy rodzaj luksusu, najlepszy z wszystkich.

Ich ostatni dzień. Nazajutrz wczesnym rankiem wyjeżdżają i wracają do Porthkerris. Nie chciała nawet o tym myśleć. Ich ostatni wieczór. Siedzieli jak zwykle blisko ognia. Richard na kanapie, a Penelopa zwinięta na podłodze tuż przy nim. Nie słuchali muzyki. Zamiast tego on czytał jej głośno poezje Mac Neice'a z *Jesiennego Dziennika*, nie tylko ten wiersz miłosny, który cytował kiedyś w pracowni papy, ale całą książkę od początku do końca. Było już bardzo późno, gdy doszedł do ostatnich słów.

*Spij do szmeru płynącej wody,
Jutro będzie przekroczone, choćby bardzo było głębokie.
Nie ma rzeki umarłych ani Lete.
Dzisiejszej nocy śpimy
Na brzegach Rubikonu — kości zostały rzucone,
Później będzie czas sprawdzić rachunki,
Zaświeci jeszcze kiedyś słońce
I równanie w końcu zostanie rozwiązane.*

Powoli zamknął książkę. Penelopa westchnęła z żalem.

— Tak mało czasu. Wiedział, że wojna jest nieunikniona — powiedziała.

— Myślę, że jesienią 1938 roku większość z nas wiedziała. — Książka wyslizgnęła mu się z ręki na podłogę. — Wyjeżdżam.

Ogień zgasł. Odwróciła głowę, spojrzała w twarz Richarda i zobaczyła, że jest pełna smutku.

— Dlaczego tak wyglądasz?

— Bo czuję się tak, jakbym cię zdradzał.

— Gdzie wyjeżdżasz?

— Nie wiem. Nie mogę powiedzieć.

— Kiedy?

— Jak tylko wrócimy do Porthkerris.

Serce jej się ścisnęło.

— Jutro.

— Albo następnego dnia.

— Czy wrócisz?

— Nie zaraz.

— Czy dali ci inne zadanie?

— Tak.

— A kto zajmie twoje miejsce?

— Nikt. Operacja skończona. Tom Mellaby i jego pracownicy administracyjni zostaną jeszcze w Kwaterze Głównej Królewskiej Piechoty Morskiej, żeby powoli zwinąć cały interes, ale desantowcy i komandosi wyprowadzają się za parę tygodni. Porthkerris odzyska swoje północne nabrzeże, a jak tylko boisko do rugby zostanie ponownie udostępnione mieszkańcom, chłopcy Doris będą znów mogli grać w piłkę.

— A więc wszystko skończone?

— Ta część, tak.

— A co dalej?

— Musimy poczekać, zobaczymy.

— Od dawna o tym wiedziałeś?

— Od dwóch, trzech tygodni.

— Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że to ciągle jeszcze tajna informacja, chociaż nie będzie taką już długo. A drugi powód to fakt, że nie chciałem, żeby cokolwiek mogło zepsuć ten wspólnie spędzony tutaj czas.

Czuła, jak przepełnia ją miłość do niego.

— Nic by tego nie mogło popsuć — mówiąc to zdała sobie sprawę, że tak było naprawdę. — Nie powinieneś być trzymać tego w tajemnicy. Nie przede mną. Nie powinieneś niczego przede mną ukrywać.

— Zostawienie ciebie, wyjechanie bez ciebie, będzie najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek w życiu musiałem zrobić.

Pomyślała o jego wyjeździe, o pustce, która nastąpi. Próbowała sobie wyobrazić życie bez niego i nie potrafiła tego zrobić. Jedno było pewne.

- Najgorsze będzie pożegnanie.
- No, to się nie żegnajmy.
- Ja nie chcę, żeby to się skończyło.
- To się nie skończyło, kochanie — odparł, uśmiechając się ciepło.
- To się nawet jeszcze nie zaczęło.

— Wyjechał?

Robiła na drutach.

— Tak, papo.

— Nie pożegnał się.

— Ale przyszedł się z tobą zobaczyć, przynieść ci butelkę whisky. Nie chciał się żegnać.

— Az tobą się pożegnał?

— Nie. Po proślu odszedł. Tak to zaplanowaliśmy.

— Kiedy wróci?

Doszła do końca rzędu, przełożyła druty i zaczęła następny.

— Nie wiem.

— Czy ukrywasz coś przede mną?

— Nie.

Zamilkł. Po chwili zauważył z westchnieniem:

— Będzie mi go brakowało. — Jego ciemne, mądre oczy spoczęły na Penelopie. — Ale sądzę, że nie aż tak bardzo, jak będzie go brakowało tobie.

— Jestem w nim zakochana, papo. My się kochamy.

— Wiem o tym. Wiem o tym od wielu miesięcy.

— Jesteśmy kochankami.

— To też wiem. Patrzyłem, jak rozkwitasz, jak bije od ciebie blask, jak lśnią twoje włosy. Tak bardzo pragnąłem móc znowu trzymać w ręce pędzel i namalować ten blask, utrwalić go na zawsze. Poza tym... — dodał już mniej poważnym tonem — nie wyjeżdża się na tydzień z mężczyzną po to, żeby porozmawiać o pogodzie.

Uśmiechnęła się do niego, ale nic nie powiedziała.

— Co się z wami stanie?

— Nie wiem.

— A Ambrose?

Wzruszyła ramionami.

— Tego też nie wiem.

— Macie problemy.

— Cudowne niedomówienie.

— Żal mi ciebie. Żal mi was obojga. Zaslługujecie na lepszy los niż znalezienie siebie w środku wojny.

— Ty... Ty go lubisz, papo, prawda?

— Nigdy nikogo tak nie lubiłem. Chciałbym mieć takiego syna. Myślę o nim jak o synu.

Penelopa, która nigdy nie płakała, nagle poczuła, jak oczy zapiekły ją od łez. Ale to nie była dobra chwila na rozczulanie się.

— Jesteś nikkczemnikiem — powiedziała, zwracając się do ojca.
— Mówiłam to już wiele razy. — Łzy cofnęły się, Bogu dzięki. — Nie powinieneś przyzwalać na to. Powinieneś trzymać w ręku bat i zgrzytając zębami, zakazać Richardowi Lomaxowi, żeby kiedykolwiek jeszcze ośmielił się przekroczyć twój próg.

W nagrodę otrzymała błysk rozbawienia w jego oczach.

— Obrażasz mnie — odpowiedział.

Wyjazd Richarda był zapowiedzią większego exodusu. W połowie kwietnia stało się jasne dla mieszkańców Porthkerris, że operacja szkoleniowa piechoty morskiej, czyli ich własny, mały udział w wojnie, skończyła się. Amerykańscy komandosi i desantowcy brytyjscy odjechali równie cicho i dyskretnie, jak się pojawili, i wąskie uliczki miasteczka były puste i dziwnie ciche, nie rozbrzmiewały już bowiem miarowym rytmem marszu ciężko obutych nóg ani nie hałasowały na nich wojskowe pojazdy. Okręty bojowe służące do ćwiczeń desantowych zniknęły z portu, odholowane pewnej nocy pod osłoną ciemności, zasieki z drutów kolczastych zostały usunięte z północnego nabrzeża, a Główna Kwatera Komandosów została przekazana z powrotem Armii Zbawienia, do której budynek ten należał, zanim został zarekwirowany. Wysoko na szczycie wzgórza tymczasowe baraki wojskowe służące Amerykanom jako baza, stały puste i opuszczone, a z wrzosowisk za urwiskiem Boscarben nie dochodziły już odgłosy strzelaniny.

W końcu jedynym świadectwem tego, że przez całą, długą zimę odbywały się tutaj intensywne działania militarne, była Główna Kwatera Królewskiej Piechoty Morskiej, która pozostała w Hotelu White Caps. Tutaj chorągiew z kulą ziemską i laurowymi liśćmi¹¹ powiewała dalej na maszcie, przed budynkiem parkowały jeepy, żołnierz stał na warcie, a pułkownik Mellaby i jego współpracownicy kręcili się tam i z powrotem. Ich obecność była przypomnieniem i świadectwem, że coś tutaj w ogóle miało miejsce.

Richard wyjechał. Penelopa nauczyła się żyć bez niego, ponieważ nie miała innego wyboru. Nie można było powiedzieć: „Nie mogę tego znieść”, gdyż w takim wypadku jedynym wyjściem byłoby zatrzymać świat i wysiaść, a tego nie mogła zrobić. Żeby wypełnić pustkę i zająć czymś ręce i umysł, robiła to, co kobiety będące w jej sytuacji robiły od wieków: zanurzyła się w sprawach domowych i rodzinnych. Praca fizyczna okazała się prozaiczną, ale przynoszącą pociechę, terapią. Wypucowała dom od strychu po piwnicę, wyprała koce, okopała wszyst-

¹¹ symbole Brytyjskiej Piechoty Morskiej (przyp. tłum.)

kie grządki w ogrodzie. Nie przestawała dzięki temu tęsknić za Richardem, ale przynajmniej na końcu tej pracy miała błyszczący, pięknie pachnący dom i dwa rzędy świeżo zasadzonej młodej kapusty.

Spędzała też dużo czasu z dziećmi. Ich świat był prostszy, ich rozmowy nieskomplikowane i dotyczące spraw podstawowych. Towarzystwo dzieci stało się dla niej pociechą. Nancy miała trzy lata i wyrosła na czarującą, szczerą, ale i stanowczą osobkę; a jej spostrzeżenia i uwagi były nieustającym źródłem zdumienia i rozbawienia. Clark i Ronald dorastali, a ich opinie i argumenty zadziwiały ją swoją dojrzałością. Poświęcała im swoją uwagę całkowicie, pomagała im przy kolekcji muszelek, przejmowała się ich problemami i odpowiadała na liczne pytania. Po raz pierwszy zobaczyła w nich nie tylko parę hałaśliwych, małych chłopców, o głodnych buziach, które trzeba nakarmić, ale istoty równe sobie. Ludzi o pełnych prawach. Przyszłe pokolenie.

Pewnej soboty wzięła całą trójkę na plażę. Wróciwszy do Carn Cottage, zastała generała Watsona-Granta, który właśnie zbierał się już do wyjścia. Przyszedł odwiedzić Lawrence'a. Miło sobie pogawędzili przy herbacie podanej przez Doris. A teraz wracał już do domu.

Penelopa odprowadziła go do furtki. Zatrzymał się na chwilę, żeby dotknąć laską i podziwiać parę krzewów hosty¹⁾, o gęsto rosnących grubych liściach i wysokich, białych, spiczastych kwiatach.

— Przystojne — zauważył. — Bardzo dekoracyjne w ogrodzie.

— Ja też bardzo je lubię. Są takie egzotyczne. — Ruszyli dalej, idąc wzdłuż żywopłotu z escallonii, na którym rozchylały się już ciemnoróżowe pączki. — Nie chce mi się wierzyć, że to już lato. Dzisiaj, kiedy byłem z dziećmi na plaży, widzieliśmy tego starego człowieka z twarzą jak rzepa, który grabił wyrzucone przez morze śmieci. Widać już też pierwsze namioty i otwarto lodziarnię. Przypuszczam, że niedługo pojawią się pierwsi wczasowicze, jak jaskółki.

— Czy miałeś wiadomości o twoim mężu?

— ...Ambrose? Ma się dobrze, jak sądzę. Nie miałam od niego wiadomości od dłuższego czasu.

— Czy wiesz, gdzie się znajduje?

— Na Morzu Śródziemnym.

— No, to ominie go cała zabawa.

Penelopa zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem.

— Powiedziałem, że ominie go cała zabawa. Desant na Europę. Inwazja.

¹⁾ roślina ogrodowa o zielonych liściach i luźnych skupiskach białych kwiatów kształtem przypominających grona (przyp. red.)

Słabym głosem odparła:

— Tak.

— A to ma cholernego pecha. Powiem ci coś, Penelopo. Dałbym sobie rękę uciąć, żeby być znów młodym i żeby być w samym środku akcji. Dojście do tego momentu zajęło dużo czasu. Za dużo. Ale teraz wreszcie cały kraj jest gotów, gotów do skoku.

— Tak, wiem. Wojna znów stała się strasznie ważna. Idąc ulicami Porthkerris, od jednego domu do drugiego, można usłyszeć wszystkie wiadomości. Ludzie kupują gazety i czytają je od razu, stojąc na chodniku przed sklepem. Jest podobnie jak w czasie Dunkierki albo wojny o Anglię, albo El Alamein.

Doszli do furtki. Zatrzymali się znowu, generał opierał się na lasce.

— Miło było zobaczyć się z twoim ojcem. Wpadłem ot tak, bo miałem ochotę na pogawędkę.

— On teraz bardzo potrzebuje towarzystwa — uśmiechnęła się. — Brakuje mu Richarda Lomaxa i partyjek trik-traka.

— Tak. Mówił mi o tym. — Ich oczy spotkały się. Jego spojrzenie było pełne dobroci i przez chwilę zastanawiała się, ile Lawrence uważał za stosowne powiedzieć swemu staremu przyjacielowi. — Prawdę powiedziaławszy, nawet nie wiedziałem, że młody Lomax wyjechał. Czy miałaś od niego jakieś wiadomości?

— Tak.

— No i jak mu leci?

— Właściwie nic o tym nie pisał.

— Tak przypuszczałem. Chyba jeszcze nigdy dotąd nie było tak surowych przepisów dotyczących bezpieczeństwa jak teraz.

— Nawet nie wiem, gdzie on jest. Adres, który mi podał składa się tylko z paru liter i cyfr. A telefon, równie dobrze mógłby nigdy nie zostać wynaleziony.

— No cóż, na pewno wkrótce będziesz mieć jakieś wiadomości od niego. — Otworzył furtkę. — Muszę już iść. Do widzenia, moja droga. Opiekuj się ojcem.

— Dziękuję, że pan wpadł.

— To przyjemność dla mnie. — Nagle uniósł kapelusz, pochylił się do przodu i pocałował ją w policzek, szybkie, krótkie cmoknięcie. Zaniemówiła, gdyż nigdy w życiu nie zrobił nic podobnego. Patrzyła za nim, jak oddalał się szybkim krokiem, trzymając laskę w dłoni.

Cały kraj czekał. Czekanie było najgorsze. Czekanie na wojnę, czekanie na wiadomości, czekanie na śmierć. Wstrząsnął nią dreszcz, zamknęła furtkę i powoli wróciła do domu.

List od Richarda przyszedł w dwa dni później. Będąc pierwszą osobą, która poszła na dół rano, Penelopa zauważyła list leżący tam, gdzie

zostawił go listonosz, na komodzie w holu. Zobaczyła czarne, pochyłe pismo, grubą kopertę. Wzięła go i weszła do salonu, gdzie zwinęła się w dużym fotelu papy i otworzyła kopertę. W środku były cztery kartki cienkiego, żółtego papieru złożone ciasno.

Gdzieś w Anglii.

20 maja 1944

Penelopo najmilsza!

W ciągu ostatnich paru tygodni z tuzin razy zabierałem się do pisania do Ciebie i za każdym razem udawało mi się napisać nie więcej niż pierwsze cztery linijki, po czym odzywał się jakiś telefon, głośne wołanie, pukanie do drzwi, czy inne pilne wezwanie do roboty, takiej czy innej.

Ale wreszcie nadeszła chwila w tym zakazanym miejscu, gdy mogę być jako tako pewny, że przez godzinę nikt nie będzie mi przeszkadzał. Twoje listy wszystkie doszły bez przeszkód i przynoszą mi wiele radości. Noszę je przy sobie jak zakochany sztubak i czytam wciąż na nowo, bez końca. Jeżeli nie mogę być z Tobą, to mogę przynajmniej słuchać Twego głosu.

Tak wiele mam Ci do powiedzenia. Prawdę mówiąc, trudno jest mi zacząć, nie pamiętam o czym mówiliśmy, a kiedy zachowywaliśmy milczenie. Ten list będzie o tym, co nie zostało powiedziane.

Nigdy nie chciałaś mówić o Ambrose i kiedy byliśmy w Tresillick i przebywaliśmy w naszym własnym, intymnym świecie, wydawało się, że mówienie o nim nie ma sensu. Ale ostatnio on rzadko kiedy opuszcza moje myśli i jest jasne, że to on pozostaje jedyną przeszkodą na drodze do naszego przyszłego szczęścia. To brzmi przerażająco samolubnie, lecz nie można odebrać drugiemu człowiekowi żony i dalej być świętym. Tak więc mój umysł, jak się zdaje — całkowicie z własnej woli, planuje dalej. Myśląc o konfrontacji, przyznaniu się, winie, adwokatach, sądzie i ostatecznym rozwodzie.

Zawsze istnieje możliwość, że Ambrose zachowa się jak gentleman i pozwoli Ci na rozwód. Ale jeśli mam być szczery, nie widzę żadnego powodu, żeby miał to zrobić i jestem całkowicie przygotowany, by stanąć przed sądem jako współwinny i w ten sposób doprowadzić do rozwodu. Wtedy oczywiście Ambrose będzie musiał mieć zapewnioną możliwość widywania Nancy, ale o tym będziemy myśleć, gdy już do tego dojdziemy.

Jedynie, co ma znaczenie, to żebyśmy mogli być razem i potem wreszcie — miejmy nadzieję, że raczej wcześniej niż później — mogli się pobrać. Wojna kiedyś się skończy. Zostanę zdemobilizowany i wrócę, otrzymawszy podziękowanie i mały zasiłek, do życia cywilnego. Co sądzisz o perspektywie zostania żoną szkolnego nauczyciela? Boja tylko to chciałbym robić. Dokąd byśmy pojechali, gdzie mielibyśmy mieszkać i jak to będzie — nie wiem i nie mogę Ci powiedzieć, ale jeśli miałbym możliwość wyboru, chciałbym wrócić na Północ, być niedaleko krainy jezior i gór, w rejonie Peak.

Wiem, że to wszystko wydaje się bardzo odległe. Przed nami długa droga, na której nie będzie brakowało przeszkód i musimy je przewycięzać jedną po drugiej. Lecz tysiącemilowe podróże zaczynają się od pierwszego kroku, a żadna wyprawa nie straciła na tym, że się nad nią ktoś dobrze zastanowi.

Czytając ten list, mam wrażenie, że napisał go szczęśliwy człowiek, który spodziewa się żyć wiecznie. Nie wiem, dlaczego nie obawiam się, że nie przeżyję wojny. Śmierć, ostatni nieprzyjaciel, wciąż wydaje się bardzo odległa, jakbym miał dożyć sędziwego wieku, umrzeć, kiedy już będę stary i niedołążny. I nie mogę jakoś uwierzyć, że los, który nas zetknął ze sobą, nie zamierza połączyć nas na zawsze.

Myślę o Was wszystkich, wyobrażam sobie, co robicie w Carn Cottage i marzę o tym, żeby być tam razem z Wami, dzieląc z Wami śmiech, radość i wszystkie domowe sprawy tego miejsca, o którym nauczyłem się już myśleć jako o swoim drugim domu. Wszystko to było dobre, w każdym sensie tego słowa. A w tym życiu nic prawdziwie dobrego nie idzie na marne. Pozostaje częścią człowieka, częścią jego charakteru. I tak, częśćka Ciebie jest ze mną wszędzie. A częśćka mnie pozostanie Twoja na zawsze. Moja najdroższa, moja ukochana

Richard.

We wtorek, szóstego czerwca, alianci zaatakowali Normandię. Zaczęły się walki na Drugim Froncie czyli ostatnia wielka bitwa. Czekanie się skończyło.

Jedenasty czerwca to była niedziela. Doris w przypływie religijnej gorliwości zabrała swoich chłopców do kościoła, a Nancy do szkółki niedzielnej, zostawiając Penelopie ugotowanie obiadu. Akurat ten jeden raz rzeźnik spisał się na medal i wyczarował dla niej spod lady mały udziec jagnięcy, który znajdował się obecnie w piekarniku, piekąc się i pachnąc przepyszenie, otoczony ziemniaczkami. Marchewka dusiła się na wolnym ogniu, kapusta była już poszatkowana. A na deser będą jedli rabarbar polany słodkim, budyniowym sosem.

Była prawie dwunasta. Pomyślała o sosie miętowym. Ciągle jeszcze mając na sobie fartuch, Penelopa wyszła kuchennymi drzwiami na dwór, na podwórze za domem. Było wietrznie. Dorris zrobiła ogromne pranie i powiesiła je na sznurze, a teraz prześcieradła i ręczniki powiewały i trzepotały na wietrze jak nierówno ponaciągane żagle. Kaczki i kury zamknięte w swoim ogrodzeniu zobaczyły nadchodzącą Penelopę i podniosły wielki krzyk gdakaniem i kwakaniem, spodziewając się jedzenia.

Penelopa podeszła kawałek wznoszącym się pod górę trawnikiem i znalazła miętę. Zerwała parę silnie pachnących łodyżek, ale kiedy wracała w kierunku domu przez rosnącą tu dość wysoko trawę, usłyszała z dołu odgłos otwieranej, a potem zamykanej furtki. Było zbyt wcześnie,

żeby mogło to być towarzystwo wracające z kościoła, więc obeszła dom ścieżką, a właściwie schodkami ułożonymi z dużych kamiennych płyt, schodzącymi na trawnik przed domem i stanęła, chcąc zobaczyć, kto przyszedł.

Gość pojawił się, idąc powoli. Wysoki mężczyzna w mundurze. Zielony beret. Przez ułamek sekundy pomyślała z biciem serca, że to Richard, ale natychmiast zobaczyła, iż to nie był on. Pułkownik Mellaby doszedł do końca ścieżki i przystanął. Gdy ją zobaczył, podniósł rękę.

Wszystko nagle zamarło. Jak film, który zatrzymał się na jednym kadrze, bo projektor się zapsuł. Nawet lekki wiatr ucichł. Żaden ptak nie śpiewał. Trawnik leżał między nimi jak pole bitwy. Penelopa stała nieruchomo, czekając, aż on zrobi pierwszy krok.

Tak też zrobił. Coś zaskoczyło z lekkim trzaskiem i z cichym szmerem odwijającej się znowu taśmy, film ruszył znów do przodu. Podeszła do niego, żeby się przywitać. Wyglądał na zmienionego. Nie zdawała sobie sprawy, że był tak blady i wychudzony.

— Pułkowniku Mellaby — odezwała się pierwsza.

— Moja droga... — jego głos był w tym momencie podobny do głosu generała Watsona-Granta, kiedy ten starał się być bardzo uprzejmy i grzeczny i od tej chwili wiedziała, bez żadnej wątpliwości, co jej przyszedł powiedzieć.

— Chodzi o Richarda? — zapytała cicho.

— Tak. Bardzo mi przykro.

— Co się stało?

— Zła wiadomość.

— Proszę mi powiedzieć.

— Richard... został zabity. Nie żyje.

Czekała, aż coś poczuje. Nie czuła nic. Tylko tych parę łydzynek mięty ściśnięte mocno w pięści, pasmo włosów na policzku. Podniosła rękę i odgarnęła je. Jej milczenie leżało między nimi jak wielka przepaść nie do przekroczenia. Zdawała sobie z tego sprawę i było jej przykro, nawet było jej go żal, ale nie mogła nic zrobić.

W końcu z ogromnym i wyraźnie widocznym wysiłkiem ciągnął dalej.

— Dowiedziałem się dziś rano. Zanim wyjechał, prosił mnie... powiedział, że jeśli coś się z nim stanie, mam zaraz pójść i dać pani znać.

— Doceniam pana uprzejmość — wykrztusiła obcym, nie swoim głosem. — Kiedy to się stało?

— W dniu „D”. W pierwszym dniu ataku aliantów. Poszedł razem z żołnierzami, których tutaj szkolił. Z Drugą Dywizją Komandosów Stanów Zjednoczonych.

— Nie musiał iść?

— Nie. Ale chciał być z nimi. A oni byli dumni, że jest wśród nich.

— Co się stało?

— Wylądowali na zboczu plaży Omaha, razem z Pierwszą Dywizją Stanów Zjednoczonych, w miejscu, które się nazywa Pointe de Hue, u podnóża półwyspu Cherbourg. — Jego głos był teraz pewniejszy, mówił bez emocji o sprawach, które rozumiał. — Z tego, co udało mi się dowiedzieć, zdaje się, że mieli kłopoty ze sprzętem. Haki, które miały być wystrzelone z raketowych wyrzutni, zamokły w czasie morskiej podróży i nie zadziałały tak, jak powinny. Ale udało im się wspiąć na urwisko, wzięli niemiecką baterię na szczycie. Osiągnęli swój cel.

Pomyślała o tych młodych Amerykanach, którzy spędzili zimę tu, w Porthkerris, oddaleni od swoich rodzin o cały ocean.

— Czy było wielu zabitych?

— Tak. W czasie szturmów co najmniej połowa z nich zginęła. A Richard z nimi.

— On nie spodziewał się, że zostanie zabity — powiedziała. — Mówił, że śmierć, ostatni nieprzyjaciel, jest jeszcze bardzo daleko. To dobrze, że tak myślał, prawda?

— Tak. — Przygryzł wargę. — Wiesz, moja droga, nie musisz być dzielna. Jeśli chcesz płakać, nie staraj się tego powstrzymywać. Ja jestem żonaty, mam dzieci. Zrozumie.

— Ja też jestem zamężna i mam dziecko.

— Wiem.

— I nie płakałam od lat.

Sięgnął do górnej kieszeni munduru i rozpinając guzik, wyciągnął fotografię.

— Jeden z moich sierżantów dał mi to. Był odpowiedzialny za robienie zdjęć i zrobił to zdjęcie, kiedy byliśmy wszyscy przy Boscarben. On myślał... Ja myślałam... że może chciałabyś to mieć.

Wręczył jej odbitkę. Penelopa popatrzyła na fotografię. Zobaczyła Richarda odwracającego się, tak jakby chciał spojrzeć przez ramię i zaskoczony, uśmiechnął się do robiącego zdjęcie. W mundurze, ale z gołą głową, ze zwojem liny do wspinaczki przerzuconym przez ramię. Musiał to być wietrzny dzień, taki jak dzisiaj, bo jego włosy były w nieładzie. W tle widać było szeroki horyzont morza.

— To było bardzo miłe z pana strony. Dziękuję. Nie miałam jego zdjęcia.

Zamilkł. Oboje stali w milczeniu nie wiedząc, co dalej robić i co powiedzieć.

— Czy pani da sobie radę, czy dobrze się pani czuje? — zapytał po chwili pułkownik.

— Tak, oczywiście.

— To ja już pójdę. Chyba że mógłbym coś jeszcze dla pani zrobić?

Zastanowiła się.

— Tak. Tak, jest coś. Mój ojciec jest w domu w salonie. Znajdzie go pan bez trudu. Czy mógłby pan teraz pójść i powiedzieć mu o Richardzie?

— Naprawdę chce pani, żebym to zrobił?

— Ktoś musi. A ja nie jestem pewna, czy mam dosyć siły.

— Dobrze.

— Ja tam przyjdę za chwilę. Dam panu czas, żeby mu pan powiedział i zaraz tam przyjdę.

Poszedł. W górę ścieżką, po schodkach do domu i zniknął w środku. Nie tylko dobry człowiek, ale i odważny. Stała tam, gdzie ją zostawił, z bukiecikiem mięty w jednej ręce i fotografią Richarda w drugiej. Przypomniała sobie ten koszmarny poranek, kiedy umarła Sophie, jak wtedy płakała i rozpaczała, i teraz pragnęła, żeby zalała ją taka właśnie fala emocji. Ale nie było nic. Czuła się tylko odrętwiała i zimna jak lód.

Spojrzała na twarz Richarda. Nigdy już. Nigdy więcej. Nie zostało nic. Patrzyła na jego uśmiech. Przypomniała sobie jego głos, kiedy czytał jej poezje.

Przypomniała sobie słowa. Zupełnie nagle pojawiły się w jej umyśle, wypełniając go jak zapomniana kiedyś piosenka.

...kości zostały rzucone,

Później będzie czas sprawdzić rachunki.

Zaświeci jeszcze kiedyś słońce

I równanie w końcu zostanie rozwiązane.

Słońce jeszcze kiedyś zaświeci. Muszę to powiedzieć papie — pomyślała. I to wydało jej się równie dobrym sposobem, jak wiele innych, na rozpoczęcie tego, co pozostało jej z życia, które leżało przed nią.

ROZDZIAŁ 12

DORIS

Podmore's Thatch. Ptak zaśpiewał, przesywając swym głosem ciszę szarego świtu. Ogień na kominku zgasł, ale światło nad *Poszukiwaczami muszelek* paliło się dalej, tak jak paliło się przez całą noc. Penelopa nie spała tej nocy, ale teraz poruszyła się jak ktoś budzący się z głębokiego i spokojnego snu. Wyciągnęła nogi pod grubym wełnianym kocem, przeciągnęła się w ramionach rozkładając je szeroko i przetarła oczy. Rozejrzała się; zobaczyła swój salon w łagodnym świetle wczesnego świtu, kojący widok dobrze znanych sobie przedmiotów, które do niej należały — kwiaty, rośliny, biurko, obrazy, okno otwarte na jej ogród. Widziała dolne gałęzie kasztanowca, którego pąki jeszcze się nie otworzyły. Nie spała, ale czuwanie nie zmęczyło jej. Przeciwnie, była pełna spokoju i zadowolenia, a jej pogodny nastrój wzięt się chyba z luksusu, na który rzadko sobie pozwalamy, luksusu pogrążenia się bez reszty we wspomnieniach z całego życia.

Teraz doszła już do końca. Ostatnia ocena spektaklu. Złudzenie podobieństwa do teatru było bardzo silne. W gasnącym świetle reflektorów aktorzy odwrócili się, żeby zejść ze sceny. Doris i Ernie, tak młodzi jak już nigdy nie będą. I starzy państwo Penberth, i państwo Trubshot, i państwo Watson-Grant. I papa. Ci, którzy już nie żyją. Nie żyją od lat. Na końcu szedł Richard. Pamiętała jego uśmiech i zdała sobie sprawę, że czas, ten wielki, odwieczny lekarz, wreszcie dokonał swego dzieła i teraz, po tylu latach, twarz, która była obrazem miłości, nie wywoływała już w niej męki żalu i goryczy. Raczej to, co odczuwała w tej chwili, to była po prostu wdzięczność. Bo jakże niewyobrażalnie pusta byłaby przeszłość bez niego, bez wspomnień o nim. Lepiej było kochać i utracić ukochanego, niż w ogóle nigdy nie kochać. I wiedziała, że to była prawda.

Z półki nad kominkiem jej złoty zegar w kształcie dyliżansu wybił szóstą. Noc się skończyła. Nastął nowy dzień. Jeszcze jeden czwartek. Gdzie się podziały te wszystkie dni? Starając się rozwiązać tę zagadkę,

uświadomiła sobie, że dwa tygodnie przeleciały już od wizyty Roya Brooknera, kiedy to zabrał panneaux i szkice i wciąż jeszcze nie miała od niego żadnych wiadomości.

Ani Nancy, ani Noel też nie skontaktowali się z nią od tego czasu. Po ostatniej kłótni, która znowu ochłodziła i tak nie najserdeczniejsze stosunki między nimi, po prostu wyjechali i trzymali się z daleka, nie odzywając się do niej. Przejmowała się tym o wiele mniej, niż jej dzieci przypuszczalnie to sobie wyobrażały. Po pewnym czasie na pewno znowu się z nią skontaktują, nie przepraszając, tylko zachowując się tak, jakby nic złego się w ogóle nie stało. Do tego czasu miała zbyt wiele spraw na głowie, żeby marnować energię na martwienie się takimi dziecinadami, urazami i żałami. Jak zwykle najwięcej czasu zajmowały jej dom i ogród. W kwietniowe dni, typowo dla tego miesiąca, pogoda była zmienna. Szare niebo, nagły, silny deszcz i znowu słońce. Żółte płomyczki kwitnących forsycji zapłonęły jaskrawo, a w sadzie żonkile, fiołki i pierwiosnki tworzyły prawdziwy dywan z kwiatów.

Czwartek. Rano przyjdzie Danus. A może Roy Brookner zadzwoni dziś z Londynu. Zastanawiając się nad tym, stwierdziła, iż jest przekonana, że tak właśnie będzie. To było silniejsze niż tylko przypuszczenie, to było przecucie.

Do pierwszego, pojedynczego ptaka przyłączył się teraz z tuzin innych i całe powietrze rozbrzmiewało ich śpiewem. Nie można już było nawet myśleć o spaniu. Wstała z kanapy, zgasiła światło i poszła na górę napuścić sobie wody na bardzo gorącą kąpiel.

Przecucie jej nie myliło i w połowie lunchu odezwał się telefon.

Po pięknym poranku dzień zamienił się niestety w szary, pochmurny i deszczowy. Nie zachęcało to ani do pikniku na dworze, ani nawet do nakrycia stołu w cieplarni. Jedli więc w kuchni, ona, Danus i Antonia, siedząc wokół kuchennego stołu. Lunch składał się ze spaghetti a la bolognaise i surówki z rozmaitych jarzyn. Z powodu pogody Danus spędził cały ranek na porządkowaniu garażu. Penelopa na Tomiast, szukając potrzebnego jej numeru telefonu, stwierdziła, że na jej biurku panuje okropny bałagan, więc zajęła się segregowaniem papierów, przygotowaniem do zapłacenia zaległych rachunków, odczytywaniem na nowo starych listów i wyrzucaniem reklam firmowych, których nigdy nawet nie wyjęła z kopert. Antonia ugotowała lunch.

— Jesteś nie tylko znakomitym pomocnikiem ogrodnika, ale także pierwszorzędnym kucharzem — powiedział jej Danus, dodając sobie tartego parmezanu na swoje spaghetti.

Zadzwonił telefon.

— Mam odebrać? — zapytała Antonia.

— Nie. — Penelopa odłożyła widelec i wstała. — To i **tak** przypusz-

czalnie do mnie. — Nie odebrała telefonu w kuchni, lecz przeszła do salonu, zamykając za sobą drzwi.

— Halo.

— Pani Keeling?

— Przy telefonie.

— Tu mówi Roy Brookner.

— Tak, słucham pana.

— Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem. Pan Ardway odwiedzał znajomych w Gstaad i wrócił do Genewy dopiero parę dni temu. W hotelu znalazł mój list czekający na niego. Przyleciał do Londynu dziś rano i jest tu ze mną w moim biurze. Pokazałem mu panneaux i powiedziałem, że pani jest gotowa je sprzedać prywatnie, bez aukcji, a on jest bardzo wdzięczny za taką możliwość. Zaofiarował po pięćdziesiąt tysięcy za każde. Czyli sto tysięcy za parę. Funtów szterlingów oczywiście, nie dolarów. Czy ta cena odpowiada pani, czy też wolałaby pani zastanowić się nad tym jeszcze przez jakiś czas? On chciałby wrócić jutro do Nowego Jorku, ale jest absolutnie gotowy przełożyć swój lot na później, jeśli pani potrzebowałaby więcej czasu na podjęcie decyzji. Osobiście uważam, że to uczciwa i dobra propozycja, ale jeśli... pani Keeling? Czy pani tam jeszcze jest?

— Tak, jestem.

— Przepraszam. Myślałem, że może nas rozłączono.

— Nie. Jestem tu jeszcze.

— Czy ma pani coś do powiedzenia?

— Nie.

— Czy suma, jaką wymieniłem, byłaby do przyjęcia dla pani?

— Tak. Absolutnie do przyjęcia.

— A więc chciałaby pani, żebym doprowadził transakcję do końca?

— Tak. Proszę bardzo.

— Nie muszę chyba pani mówić, że pan Ardway jest zachwycony.

— Bardzo się cieszę.

— Będę z panią w kontakcie. Oczywiście zapłata wpłynie na pani konto, gdy tylko sfinalizujemy transakcję.

— Dziękuję panu, panie Brookner.

— To może nie najodpowiedniejszy moment, żeby o tym wspominać, ale trzeba będzie oczywiście zapłacić dość znaczny podatek. Wie pani o tym?

— Tak. Oczywiście.

— Czy ma pani konto albo kogoś, kto zajmuje się pani interesami?

— Mam pana Enderby, ze spółki Enderby, Looseby i Thring. To spółka adwokacka mieszcząca się przy Gray's Inn Road. Pan Enderby zajmował się wszystkim, kiedy sprzedawałam dom przy ulicy Oakley i kupowałam dom, w którym mieszkam.

— W takim razie być może powinna się pani z nim skontaktować i poinformować go o zaistniałej sytuacji.

— Tak. Tak, zrobię to...

Nastąpiła przerwa. Zastanawiała się, czy on odłoży już słuchawkę.

— Pani Keeling?

— Tak, proszę pana.

— Czy pani się dobrze czuje?

— Dlaczego?

— Bo pani głos brzmi tak trochę... trochę jakby pani było słabo?

— To dlatego, że jestem odrobinę zaskoczona.

— Jest pani całkowicie zadowolona z warunków sprzedaży?

— Tak. Zdecydowanie zadowolona.

— W takim razie, do widzenia pani...

— Chwileczkę, proszę pana, proszę poczekać. Jest jeszcze coś, o czym chciałam panu powiedzieć.

— Tak.

— To dotyczy *Poszukiwaczy muszelek*.

— Tak?

Powiedziała mu, co chciałyby, żeby zrobił.

Bardzo powoli odłożyła słuchawkę. Siedziała przy swoim dopiero co uporządkowanym biurku i pozostała tak, w tej samej pozycji, jeszcze jakiś czas. Było bardzo cicho. Z kuchni dobiegał szmer głosów Antonii i Danusa, którzy jakoś zawsze mieli sobie mnóstwo do powiedzenia. Wróciła do kuchni i zastała ich w dalszym ciągu siedzących przy stole. Skończyli spaghetti, a teraz przeszli do sera, owoców i kawy. Jej talerz zniknął.

— Twój talerz wstawiłam do piekarnika, żeby ci nie wystygło — powiedziała Antonia i już chciała wstać, żeby po niego pójść, ale Penelopa powstrzymała ją.

— Nie. Nie kłopotz się, ja już nie chcę więcej jeść.

— No, to może filiżankę kawy?

— Nie. Dziękuję, kawy też nie.

Usiadła z rękami opartymi na stole. Uśmiechała się, bo nie mogła powstrzymać uśmiechu, ponieważ kochała ich oboje i miała zamiar za chwilę ofiarować im coś, co uważała za najcenniejszy podarunek na całym świecie. Podarunek, którym chciała obdarować każde ze swoich dzieci kolejno i który każde z nich odrzuciło.

— Mam dla was propozycję — zaczęła. — Czy pojedziecie ze mną oboje do Kornwalii? Pojedziecie ze mną do Kornwalii na Wielkanoc? Razem. Tylko my we troje?

*Podmore's Thatch
Tempie Pudley
Gloucester shire.*

IJ kwietnia, 1984.

Najdroższa Oliwio,

Piszę do Ciebie, żeby Ci powiedzieć o paru rzeczach, które się wydarzyły i paru innych, które wkrótce się wydarzą.

W ten weekend, kiedy Noel przywiózł Antonię i zrobił generalne porządki na strychu, przyjechała także Nancy i mieliśmy, a jestem pewna, że żadne z nich Ci o tym nic nie powiedziało, koszmarną kłótnię. Chodziło o pieniądze, oczywiście, co było nieuniknione, a także o to, że oni uważali, iż powinnam sprzedać obrazy mojego ojca teraz, od razu, póki cena na rynku aukcyjnym jest wysoka. Zapewniali mnie, że troszczą się tylko o mnie, ale zbyt dobrze ich znam oboje. To oni potrzebują pieniędzy.

Kiedy już wreszcie wyjechali, miałam czas, żeby się nad tym wszystkim zastanowić i następnego ranka zadzwoniłam do pana Roya Brooknera z firmy Boothby's. Przyjechał tu, obejrzał panneaux i zabrał je ze sobą. Znalazł mi prywatnego kupca, Amerykanina, który zaproponował mi sto tysięcy funtów za oba. Przyjęłam tę propozycję.

Mogłabym wydać ten nieoczekiwany spadek na wiele sposobów, ale teraz mam zamiar najpierw zrobić to, co pragnęłam zrobić od dłuższego już czasu, czyli pojechać do Kornwalii. Ponieważ ani Ty, ani Noel, ani Nancy nie uważaliście, że macie dosyć czasu czy też ochotę, żeby pojechać ze mną, więc zaprosiłam Danusa i Antonię. Danus na początku bardzo się wahał, czy przyjąć moje zaproszenie. Ta propozycja oczywiście musiała go zaskoczyć i wydaje mi się, że był zażenowany, i być może czuł, że jest mi go żal i traktuję go zbyt protekcyjnie. Mam wrażenie, że to bardzo dumny młody człowiek. Ale w końcu udało mi się go przekonać, że wyświadczyłby nam ogromną przysługę; potrzebny nam jest silny mężczyzna, który pomógłby z bagażem, radziłby sobie dobrze z portierami i kelnerami. W końcu zgodził się pomówić ze swoimi pracodawcami i dowiedzieć się, czy mógłby dostać tydzień wolnego. Zrobił to i wyjeżdżamy jutro rano. Ja i Antonia będziemy prowadzić na zmianę. Nie zatrzymamy się u Doris, bo nie byłoby dosyć miejsca w jej małym domku dla trzech gości, więc zrobiłam rezerwację w Hotelu Sands i tam spędzimy Wielkanoc.

Wybrałam hotel Sands, bo pamiętam go jako bezpretensjonalny i swojski. Kiedy byłam dzieckiem całe rodziny przyjeżdżały na lato z Londynu. Przyjeżdżali rok w rok, przywoząc swoje dzieci, swoich szoferów, swoje nianie i swoje psy, i każdego roku dyrekcja hotelu urządzała mały turniej tenisa, a wieczorem było przyjęcie, dorośli tańczyli fokstrota we frakach, a dzieci tańczyły do melodii „Sir Roger de Coverley” i dostawały baloniki.

W czasie wojny zamieniono go na szpital i pełno w nim było biednych rannych chłopców otulonych szkarłatnymi kocami, a ładne dziewczęta w białych czepkach uczyły ich, jak wyrabiać koszyki.

Ale kiedy powiedziałam Danusowi, gdzie się zatrzymamy, wyglądał na trochę zdziwionego. Otóż okazuje się, że teraz Sands zrobił się szalenie wytworny i luksusowy i zdaje mi się, że Danus martwił się, w bardzo zresztą wzruszający sposób, o koszty. Ale oczywiście to nie ma żadnego znaczenia, ile to kosztuje. Pierwszy raz w życiu napisałam to zdanie. W związku z tym mam niesamowite uczucie, jakbym nagle stała się całkiem inną osobą. Lecz to nie budzi we mnie najmniejszych zastrzeżeń i czuję się podniecona jak dziecko.

Wczoraj Antonia i ja pojechałyśmy do Cheltenham na zakupy. Ta nowa Penelopa wzięła górę i nie poznałabyś swojej oszczędnej matki, ale myślę, że pochwaliłabyś to, co się działo. Postanowiłyśmy naprawdę poszaleć. Kupiłyśmy sukienki dla Antonii i śliczną, kremową bluzkę z satyny, i dżinsy, i bawełniane bluzy, żółtą pelerynę i cztery pary butów. Potem ona zniknęła w salonie fryzjerskim, żeby przystrzyc sobie grzywkę, a ja już na własną rękę zajęłam się wydawaniem pieniędzy na cudowne, niepotrzebne rzeczy związane z naszym wyjazdem. Kupiłam nową parę płóciennych, sznurowanych butów, talk i ogromną butelkę perfum. Film do aparatu fotograficznego, krem do twarzy i kaszmirowy pulower koloru fiołków. Oprócz tego jeszcze termos, koc w kratę (na pikniki) i cały stos książek, żeby mieć tam co czytać (między innymi „Słońce też wschodzi” — nie czytałam Hemingwaya od wieków). Kupiłam sobie też książkę o ptakach Wielkiej Brytanii i przepiękny atlas geograficzny.

Kiedy skończyłam już tę orgię rozrzutności, wstąpiłam do banku, potem na kawę i wreszcie wróciłam po Antonię. Prawie jej nie poznałam. Nie tylko dała sobie przyciąć grzywkę, lecz także ufarbować rzęsy. To całkowicie zmienia jej wygląd. Stała się śliczną dziewczyną. Na początku czuła się jeszcze tym trochę skrepowana, ale teraz już się przyzwyczaiła i można zobaczyć jak od czasu do czasu ukradkiem rzuca na siebie pełne podziwu spojrzenia do lustra. Od bardzo dawna nie czułam się taka szczęśliwa.

Pani Plackett przychodzi jutro i jak zwykle posprząta dom, a potem go zamknie, po naszym wyjeździe. Wracamy w środę dwudziestego piątego.

Jest jeszcze jedna sprawa. „Poszukiwacze muszelek” odeszli. Podarowałam ich, jako dowód pamięci o moim ojcu, Galerii Sztuki w Porthkerris, którą on pomógł założyć. Nie umiem Ci wytłumaczyć dlaczego, ale nie potrzebuję już tego obrazu, i sprawia mi radość, że inni — zwyczajni ludzie — będą mogli mieć udział w tej przyjemności i zachwycie, jakich on mi dostarczał. Pan Brookner załatwił transport i rzeczywiście przyjechała furgonetka, żeby zawieźć obraz do Kornwalii. Puste miejsce nad kominkiem jest bardzo widoczne, ale kiedyś wypełnię je czymś innym. A tymczasem

cieszę się, że zobaczę go wiszącego w jego nowym domu, w miejscu, gdzie cały świat może go podziwiać.

Nie napisałam do Noela ani do Nancy. Dowiedzą się o wszystkim wcześniej lub później i zapewne będą mieć wielki żal, i będą bardzo poirytowani, ale nic na to nie poradzę. Dałam im wszystko, co mogłam, a oni ciągle chcą jeszcze więcej. Może teraz dadzą mi wreszcie spokój i zajmą się własnym życiem.

Ale Ty, myślę, że zrozumiesz.

Najserdeczniej Cię ściskam, jak zawsze.

Mamusia.

Nancy czuła się trochę nieswojo. Przyczyną tego był fakt, że nie skontaktowała się ze swoją matką od czasu tej nieudanej niedzieli, kiedy wybuchła okropna awantura o obrazy, a Penelopa wygarnęła jej i Noelowi, w sposób tak okropnie nietaktowny i oburzający, co o nich myśli.

Nie to, żeby Nancy czuła się winna. Przeciwnie, została głęboko zraniona. Matka wygłosiła przeciw niej oskarżenia, których nigdy już nie będzie można wymazać i Nancy dlatego pozwoliła tyłu dniom upłynąć w lodowatej atmosferze obrazy, ponieważ oczekiwała, że to Penelopa zrobi pierwszy krok, że zatelefonuje, jeśli nawet nie po to, żeby przeprosić, to przynajmniej, żeby porozmawiać, zapytać się o dzieci, zaproponować spotkanie. Po to, by pokazać Nancy, że wszystko zostało zapomniane i stosunki między nimi znów są normalne.

Nic takiego się jednak nie stało. Matka nie zatelefonowała. Z początku Nancy była całkowicie obrażona, hodując swoją urazę. Miała żal, że została umieszczona na czarnej liście. Przecież nie zrobiła nic złego. Po prostu wyraziła swoją opinię w trosce o nich wszystkich.

Ale powoli zaczęła się jednak martwić. To nie było w stylu matki, żeby się dąsać. Może jednak jest chora? Przecież wtedy okropnie się zdenerwowała, a to na pewno nie było dobre dla starszej kobiety, która niedawno miała atak serca. A może to miało jakieś następstwa? Wstrząsnęła się na samą myśl i starała się pozbyć uczucia gnębiącego ją niepokoju. Z pewnością nie. Niewątpliwie, jeśliby się coś stało, Antonia skontaktowałyby się z nią. Antonia była młoda i nieodpowiedzialna, ale nawet ona nie mogła być przecież aż tak lekkomyślna.

Niepokój rósł, aż stał się obsesją. Nie mogła przestać myśleć o matce. W ciągu paru ostatnich dni podchodziła nawet niejednokrotnie do telefonu z zamiarem wykręcenia numeru Podmore's Thatch, podnosiła słuchawkę po to tylko, żeby ją zaraz odłożyć, gdyż nie wiedziała zupełnie co powiedzieć. Wreszcie wpadła na genialny pomysł. Zbliżała się Wielkanoc. Zaprosi matkę i Antonię do Old Vicarage na świąteczny lunch. To nie przyniesie jej żadnej ujmy na honorze, a na pewno

przy pieczonym jagnięciu i młodych ziemniaczkach wszyscy znów się pogodzą.

Zajęta była właśnie nie wymagającym zbyt wielkiego wysiłku wycieraniem kurzu w jadalni, kiedy ten świetny plan przyszedł jej do głowy. Odłożyła ściereczkę i pudełko pasty do mebli i poszła prosto do kuchni, skąd postanowiła zatelefonować. Wykręciła numer i czekała uśmiechając się grzecznie, z nadzieją, że ten uśmiech będzie słyszać w jej głosie. W słuchawce rozległ się długi, przerywany sygnał. Nikt nie odpowiadał. Jej uśmiech zbladł i zniknął. Czekwała długo. Wreszcie całkowicie zadowolona, odłożyła słuchawkę.

Zadzwoiła znowu o trzeciej po południu, a potem o szóstej wieczorem. Wreszcie wykręciła numer centrali i poprosiła, żeby telefonista sprawdził linię. „Dzwoni” — powiedział jej.

— Wiem, że dzwoni. Słucham tego dzwonięcia przez cały dzień. Coś musi być nie w porządku.

— Czy jest pani pewna, że osoba, do której pani dzwoni, jest w domu?

— Oczywiście, że jest w domu. To moja matka. Ona zawsze jest w domu.

— Proszę zostawić mi swój numer. Sprawdzę i zatelefonuję znów do pani.

— Dziękuję.

Czekała. Za chwilę zadzwonił. Linia była w porządku. Matki, jak z tego wynikało, po prostu nie było w domu.

Teraz Nancy nie odczuwała już niepokoju, tylko była wściekła. Zadzwoniła do Oliwii, do Londynu.

— Oliwio.

— Cześć.

— Tu Nancy.

— Tak, domyśliłam się.

— Oliwio, słuchaj, staram się dodzwonić do matki i w Podmore's Thatch nikt nie odpowiada. Czy wiesz może, co się mogło stać?

— Oczywiście, że nikt nie odpowiada. Ona pojechała do Kornwalii.

— Do Kornwalii?

— Tak. Pojechała tam na Wielkanoc. Pojechali samochodem razem z Danusem i Antonią.

— Z Antonią i Danusem?

— Nie wiem, dlaczego jesteś tak oburzona — w głosie Oliwii słysząc było rozbawienie. — A dlaczegoż by nie miała sobie pojechać? Bardzo chciała to zrobić od wielu już miesięcy, a żadne z nas nie chciało z nią pojechać, więc wzięła ich dla towarzystwa.

— Ale chyba nie zatrzymali się u Doris Penberth? Nie byłoby dosyć miejsca.

— Och, nie. Nie u Doris. Mieszkają w Hotelu Sands.

— W Sands?
— Och, Nancy, przestań wreszcie powtarzać wszystko, co powiem.
— Ależ Hotel Sands jest najlepszy, to jeden z najlepszych hoteli w całym kraju. Wszędzie o nim piszą. To musi kosztować fortunę.
— To ty nic nie słyszałaś? Matka ma fortunę. Sprzedała panneaux jakiemuś amerykańskiemu milionerowi za sto tysięcy funtów.
Nancy miała wrażenie, że albo zrobi jej się niedobrze, albo zemdleje. Chyba zemdleje. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy. Kolana jej drżały. Sięgnęła po krzesło.

— Sto tysięcy funtów. To niemożliwe. One nie mogły być tyle warte. Nic nie może kosztować stu tysięcy funtów.

— Nic nie jest coś warte, dopóki ktoś tego nie zechce. Tutaj wchodzi też w grę wartość rzadkości. Starałam ci się to wszystko wytłumaczyć w czasie tego wspólnego lunchu w restauracji Kettners. Lawrence Stern rzadko ukazuje się na rynku, a temu Amerykaninowi, kimkolwiek jest, przypuszczalnie zależy na tych panneaux bardziej niż na czymkolwiek innym na świecie. Nie ma więc dla niego znaczenia, ile one kosztują. Tak więc szczęśliwie się złożyło dla mamusi, że trafiła na takiego kupca, i bardzo się z tego cieszę.

Ale Nancy dalej nie mogła pojąć, ciągle odczuwała zawroty głowy. Sto tysięcy funtów.

— Kiedy to się wszystko stało? — zapytała wreszcie.

— Och, nie wiem. Jakoś niedawno.

— A skąd ty o tym wiesz?

— Napisała mi długi list i opowiedziała w nim o wszystkim. Było tam także o tej koszarnej kłótni, jaką ty i Noel mieliście z nią. Jesteście okropni. Mówiłam wam tysiąc razy, żebyście ją zostawili w spokoju, ale nie zostawiliście. Wierciliście jej dziurę w brzuchu bez przerwy, aż w końcu nie mogła tego znieść już ani chwili dłużej. Przypuszczam, że to dlatego zdecydowała się w końcu sprzedać te panneaux. Zapewne zdała sobie sprawę, że to jedyny sposób na to, żebyście dali jej wreszcie święty spokój.

— To absolutnie niesprawiedliwe.

— Och, Nancy, przestań udawać przede mną i przed sobą.

— Oni mają nad nią straszną władzę.

— Kto ma?

— Danus i Antonia. Nigdy nie powinnaś była wysyłać tej dziewczyny, żeby zamieszkała z matką. A do Danusa nie mam ani krzty zaufania.

— Noel też.

— A ciebie to nie martwi?

— Ani trochę. Wierzę, i to całkowicie, w zdolności mamusi do oceniania ludzi.

— A co powiesz o pieniądzach, które ona trwoni na nich? W tej chwili. Mieszkając w luksusowym Hotelu Sands. Ze swoim ogrodnikiem.

— A dlaczego niby ma nie trwonić tych pieniędzy? Są jej. Dlaczego by nie miała trwonić pieniędzy na siebie i dwoje młodych ludzi, których szczególnie lubi? Jak już mówiłam, prosiła każdego z nas trojga i wszyscy odmówiliśmy. Możemy mieć pretensje tylko do siebie samych.

— Kiedy mnie zapraszała, nic nie wspominała o Hotelu Sands. Miałyśmy nocować w pokoiku gościnnym u Doris.

— Czy to dlatego odmówiłaś? Na myśl o tym, że będziecie się tłoczyli w małym domku Doris? A zgodziłabyś się pojechać, gdyby Hotel Sands zadyndał ci przed nosem, jak marchewka przed nosem osiołka?

— Nie masz prawa tak mówić.

— Mam prawo. Jestem twoją siostrą, niech Bóg ma mnie w swojej opiece. I jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś wiedzieć. Mamusia pojechała do Porthkerris, ponieważ marzyła o tym od lat; ale także dlatego, żeby zobaczyć *Poszukiwaczy muszelek*. Podarowała ten obraz tamtejszej galerii sztuki, by uczcić pamięć swego ojca i pragnie zobaczyć go na nowym miejscu.

— Podarowała? — Przez chwilę Nancy myślała, że się przestyszała albo z pewnością źle zrozumiała swoją siostrę. — Chcesz powiedzieć, że dała im to w prezencie?

— Właśnie tak.

— Ależ to jest przypuszczalnie warte tysiące, setki tysięcy.

— Jestem pewna, że ci, których to dotyczy, umieją to docenić.

Poszukiwacze muszelek. Oddani. Poczucie krzywdy, którą wyrządzo-no jej i jej rodzinie, doprowadziło Nancy do furii.

— Przecież zawsze nam mówiła — rzekła Nancy z goryczą — że nie mogłaby żyć bez tego obrazu. Że był częścią jej życia.

— Był. Przez całe lata był. Ale wydaje mi się, że teraz, kiedy wreszcie może się bez niego obejść, pragnie się nim podzielić. Chce, żeby mogli się nim cieszyć inni ludzie.

Najwyraźniej Oliwia była po stronie matki.

— A my się nie liczymy? A jej rodzina? Jej wnuki. Noel. Czy Noel wie o tym?

— Nie mam pojęcia. Nie sędzę. Nie widziałam go ani z nim nie rozmawiałam od czasu, gdy zawiózł Antonię do Podmore's Thatch.

— Powiem mu. — To była groźba.

— Zrób to — odpowiedziała Oliwia i odłożyła słuchawkę.

Nancy rzuciła swoją na widełki. Do diabła z Oliwią. Do diabła z nią. Podniosła znów słuchawkę i trzęsącymi się rękami wykręciła numer Noela. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz była tak zdenerwowana.

— Noel Keeling, słucham.

— Tu mówi Nancy — odparła ponurym głosem, czując się ważna, gdyż zwoływała konferencję rodzinną, f

— Cześć — powiedział tonem, który nie był zbyt entuzjastyczny.

— Właśnie rozmawiałam z Oliwią. Starałam się dodzwonić do matki, ale nikt nie odpowiadał, więc zatelefonowałam do Oliwii, myśląc, że może ona wie, co się stało. Wiedziała, bo matka napisała do niej. Napisała do Oliwii, ale nie przyszło jej nawet do głowy, żeby dać znać mnie albo tobie.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Matka pojechała do Kornwalii i wzięła ze sobą Danusa i Antonię.

— O Boże.

— Mieszkają w Hotelu Sands.

To zwróciło jego uwagę.

— Hotel Sands? Myślałem, że ma zamiar zatrzymać się u Doris. A jakim cudem stać ją na Sands? Przecież to jeden z najdroższych hoteli w całym kraju.

— Mogę ci powiedzieć, jakim cudem. Matka sprzedała panneaux. Za sto tysięcy funtów. Oczywiście nie porozumiewając się z żadnym z nas. Sto tysięcy funtów, Noel. Które, jak wszystko na to wskazuje, ma zamiar roztrwonić. A to jeszcze nie wszystko. Oddała *Poszukiwaczy muszelek*. Ofiarowała je w darze Galerii Sztuki w Porthkerris, jeśli łaska. Po prostu podarowała, a lepiej nawet nie myśleć, ile to musi być warte. Sądzę, że ona oszalała. Ona chyba nie wie, co robi. Powiedziałam Oliwii, co ja myślę. Tych dwoje młodych ludzi, Antonia i Danus, mają nad nią jakąś złowieszczą władzę. To się zdarza, wiesz. Czyta się o takich rzeczach w gazetach. To przestępstwo. To powinno być zakazane. Nie powinno się do tego dopuszczać. Musi istnieć jakiś sposób, żebyśmy mogli temu przeszkodzić, Noel. Noel? Słyszysz mnie?

— Tak.

— No i co ty na to powiesz?

— Niech to szlag trafi — zaklął Noel i odłożył słuchawkę.

*Hotel Sands
Porthkerris,
Kornwalia.*

Czwartek, 19 kwietnia.

Kochana Oliwio,

No jesteśmy tu wszyscy, jesteśmy tu już cały dzień. Nie mogę Ci wprost opisać, jak jest pięknie. Pogoda — jak w lecie i wszędzie już pełno kwiatów. I drzewa palmowe, i uliczki brukowane, i morze są tu koloru tak cudownie błękitnego. To jest bardziej intensywny błękit niż błękit Morza Śródziemnego, a na horyzoncie przechodzi w ciemnoniebieski. Krajobraz wygląda

podobnie jak na Ibizie, tylko jeszcze lepiej, bo wszędzie jest soczysta zieleń, a wieczorami, po zachodzie słońca, robi się wilgotno i pachnie tak „liściasto”.

Mieliśmy wspaniałą podróż. Ja prowadziłam większą część drogi, a potem Penelopa przez kawałek. Danus nie prowadził, bo on nigdy nie siada za kierownicą. Jak już raz wjechaliśmy na autostradę, to zajęło naprawdę niewiele czasu, Twoja matka nie mogła uwierzyć, że tak szybko jechaliśmy. Kiedy dojechaliśmy do Devon, zjechaliśmy na starą drogę przez Dartmoor i zrobiliśmy sobie piknik na szczycie skały z ślicznym widokiem na wszystkie strony. Pasły się tam małe, kudłate kucyki, które były bardzo zadowolone, że mogły sobie zjeść skórki od chleba po naszych kanapkach.

Hotel jest fantastyczny. Ja nigdy jeszcze nie mieszkałam w hotelu, Penelopa też nie, więc jest to dla nas całkiem nowe przeżycie. Ona ciągle nam powtarzała, jak będzie wygodnie i przytulnie, ale kiedy wreszcie podjechaliśmy przed hotel (jadąc pomiędzy szpalerami z krzaków hortensji) od razu stało się jasne, że czeka nas luksus i komfort pierwszej klasy. Na parkingu stał rolls-royce i trzy mercedesy, a portier w liberii wziął nasz bagaż. Danus nazywa go „tobołami wędrownych Cyganów”, bo wszystkie nasze walizki są tak samo poobijane i mogą budzić podejrzenia co do ich właścicieli.

Penelopa jednakże zachowuje się zupełnie naturalnie i swobodnie wobec tego wszystkiego. A przez to „wszystko” rozumiem superpuszyste dywany, baseny, prywatne łazienki, telewizory przy łóżku, ogromne półmiski z owocami w każdym pokoju i mnóstwo kwiatów. Codziennie zmieniają nam pościel i ręczniki. Nasze pokoje mają przylegające do siebie balkony z widokiem na morze. Od czasu do czasu wychodzimy na nie i rozmawiamy ze sobą. Całkiem jak postacie z „Prywatnego życia” Noela Cowarda.

A jeśli chodzi o posiłki to jest tak, jakby się jadło w najdroższych restauracjach Londynu. Chyba zupełnie spowszedniejają mi ostrygi, homary, świeże truskawki, gęsta kornwalijska śmietana i befsztyki z polędwicy. To świetnie, że jest z nami Danus, bo on zawsze wie, jakie wino pasuje do tego znakomitego jedzenia. On wydaje się wiedzieć bardzo dużo o winach, chociaż sam nigdy nie pije. Nie wiem dlaczego, tak samo jak nie wiem, dlaczego nie prowadzi samochodu.

Tyle mamy do roboty. Dziś rano poszliśmy na dół do miasta i najpierw zatrzymaliśmy się w Carn Cottage, gdzie Twoja matka kiedyś mieszkała. Ale to było smutne, ponieważ, jak tyle innych domów tutaj, ten też został zamieniony na hotel, śliczny kamienny mur zburzono, a z większej części ogrodu zrobiono parking. Ale weszliśmy do tego, co zostało z ogrodu i właścicielka hotelu przyniosła nam kawę. Penelopa opisała nam, jak tu było dawniej i że to jej matka posadziła te wszystkie róże i wistarię, a potem powiedziała nam, jak jej matka zginęła w Londynie w czasie bombardowania. Nie wiedziałam o tym. Kiedy nam to mówiła, miałam ochotę się

rozpląkać, ale nie zrobiłam tego, tylko ją uściskałam, bo jej oczy całe zaszkliły się od łez i nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić.

Po wizycie w Carn Cottage poszliśmy dalej do samego centrum miasteczka, do galerii sztuki, żeby zobaczyć „Poszukiwaczy muszelek”. Galeria nie jest duża, ale bardzo ładnie urządzona. Ściany są pobielone i duża część sufitu przeszklona, dzięki czemu jest dużo światła. Powiesili „Poszukiwaczy muszelek” na najbardziej honorowym i najważniejszym miejscu i obraz wygląda świetnie i całkiem jak u siebie w domu, skąpany w tym zimnym, jasnym świetle Porthkerris, gdzie został stworzony. Starsza pani pracująca w galerii prawdopodobnie nie pamiętała Penelopy, ale wiedziała, kim ona jest i witała ją z wielkimi honorami. Właściwie to nie ma już chyba zbyt wielu ludzi, których Penelopa pamięta z dawnych czasów. Z wyjątkiem Doris oczywiście. Jutro po południu właśnie wybiera się do Doris na herbatę. Bardzo się na to cieszy i wydaje się być ogromnie podniecona tym spotkaniem. A w sobotę pojedziemy drogą w kierunku Land’s End i zrobimy sobie piknik na skalnym urwisku w Penjizal. Hotel oferuje jedzenie na pikniki przygotowane w bardzo eleganckich pudłach, a w środku są też prawdziwe noże i widelce, ale Penelopa uważa, że to na pewno nie jest odpowiednie zaopatrzenie na porządny piknik, więc zatrzymamy się gdzieś po drodze i kupimy świeży chleb, masło, pasztet, pomidory i świeże owoce, a także butelkę wina. Jeśli nadal będzie tak ciepło, to przypuszczam, że ja i Danus popływamy sobie.

Na Tomiast w poniedziałek ja z Hanusem wybieramy się na południe, do Manaccan, gdzie człowiek nazwiskiem Everard Ashley prowadzi szkółkę młodych drzew i krzewów. Danus studiował razem z nim na Wydziale Ogrodniczym i chciałby obejrzeć szkółkę, a także może dostać trochę wskazówek. Ponieważ kiedyś w przyszłości chciałby się zajmować właśnie czymś takim, ale to nie będzie łatwe, bo żeby wystartować z takim interesem, trzeba mieć spory kapitał, a Danus go nie ma. Nie szkodzi, w każdym razie zawsze warto poradzić się i podpatrzeć, jak sobie ktoś radzi, a przy okazji miło będzie zobaczyć drugi koniec tego magicznego hrabstwa.

Z tego wszystkiego zapewne zorientowałaś się, że jestem bardzo szczęśliwa. Nigdy bym nie uwierzyła, że w tak krótkim czasie po śmierci Kośmy będę mogła znów być szczęśliwa. Mam nadzieję, że nie ma w tym nic złego. Myślę, że nie, bo mam poczucie, jakby to było całkowicie w porządku.

Dziękuję Ci za wszystko. Za to, że jesteś tak nieskończenie dobra i cierpliwa i za to, że urządziłaś mi ten pobyt w Podmore’s Thatch. Bo gdybyś tego nie zrobiła, nie byłoby mnie tutaj i nie żyłabym sobie teraz jak w bajce, z dwojgiem ludzi, których lubię absolutnie najbardziej na świecie. Z wyjątkiem oczywiście Ciebie.

Pozdrawiam Cię najserdeczniej
Antonia.

Jej dzieci, Nancy, Oliwia i Noel, miały... Penelopa była zmuszona do przyznania — choć było to okropnie irytujące — rację. Porthkerris rzeczywiście bardzo się zmieniło. Carn Cottage nie był jedynym domem, którego ogród został zniszczony buldożerem, domem zamienionym na hotel z nowo wybudowanym tarasem, na którym stały stoliki w cieniu pasiastych parasoli. Stary Hotel White Caps został w ohydny sposób rozbudowany i zamieniony na budynek z mieszkaniami do wynajęcia, a droga do portu, przy której dawniej żyli i pracowali artyści malarze, stała się teraz jednym wielkim ciągiem jarmarcznych rozrywek z salonami gier, dyskotekami, barami szybkiej obsługi i kioskami z pamiątkami. W samym porcie zniknęły prawie wszystkie kutry i łodzie rybackie, a puste miejsca po nich zajęły statki spacerowe i jachty do wynajęcia. Za przerażająco zawyżoną cenę można tu było sobie zafundować wycieczkę w celu oglądania fok lub parę godzin łowienia makreli jako dodatkową atrakcję.

A jednak, co było zdumiewające, nie wszystko zmieniło się aż tak. Teraz na wiosnę miasto było jeszcze stosunkowo puste, gdyż pierwsza prawdziwa fala turystów przybywała tu dopiero w parę tygodni po Wielkanocy. Można było spokojnie powłóczyć się po uliczkach miasta, poodychać jego atmosferą, podziwiając ciągle jeszcze piękny krajobraz. Bo nic nigdy nie mogło zmienić tego cudownie błękitnego, jedwabnego, wielkiego łuku zatoki ani przyprowadzającego o zawrót głowy labiryntu uliczek, czy też spadających z samej góry aż nad brzeg domków krytych łupkową dachówką. Mewy dalej napełniały powietrze swoim wrzaskiem, powietrze ciągle pachniało słonym wiatrem, miętą i escallonią, a w wąziutkich uliczkach starego miasta można się było zgubić lub zmylić drogę tak samo jak dawniej.

Penelopa szła piechotą w odwiedzinach do Doris. Miło było być samemu. Towarzystwo Danusa i Antonii okazało się, co prawda, po prostu urocze, ale jednak na krótką chwilę samotność była mile widziana. W to ciepłe, słoneczne popołudnie przeszła przez pięknie pachnące ogrody hotelu i wyszła na drogę nad plażą, mijając pochyłe ulice zabudowane wiktoriańskimi domami, zeszła do centrum miasta.

Szukała kwaciarni. Kwaciarnia, którą pamiętała, była teraz sklepem z ubraniami tego rodzaju, jakie turyści — chcący za wszelką cenę wydać swoje pieniądze — kupowali, robiąc przeważnie duży błąd. Elastyczne wdzianka jaskraworóżowego koloru, ogromne podkoszulki z wizerunkami popularnych gwiazd piosenki i pijące w kroku džinsy, których sam widok przyprawiał o ból. Wreszcie znalazła kwaciarnię w zaułku, gdzie dawniej stary szewc w skórzanym fartuchu przybijał im nowe podeszwy do butów i brał za to szylinga i trzy pensy. Weszła i kupiła ogromny bukiet dla Doris. Nie anemony ani żonkile, tylko bardziej egzotyczne odmiany. Goździki i irysy, tulipany i frezje, całe naręcze owinięte w bładoniebieską

I bibułkę. Nieco dalej wstąpiła do sklepu, w którym kupiła butelkę dla Erniego, whisky Famous Grouse. Obładowana tymi sprawunkami szła dalej, wchodząc coraz głębiej w dzielnicę Downalong, gdzie uliczki były tak wąskie, że nie zostało miejsca na chodniki i bielone domki tłoczyły się ze wszystkich stron, ze swoimi granitowymi schodkami biegnącymi do wesoło pomalowanych drzwi frontowych. Domek Penberthów był wciśnięty w samo serce tego labiryntu. Tutaj Ernie mieszkał ze swoją matką i ojcem i tymi uliczkami Doris i Penelopa z Nancy chodziły w zimowe popołudnia na podwieczorek do pani Penberth, na który dostawały szafranowe ciasteczka i herbatę nalewaną z różowego czajniczka.

Teraz, przypominając sobie dawne czasy, wydawało się Penelopie zdumiewające, jak dużo czasu zajęło jej zdanie sobie sprawy z faktu, że Ernie, na swój nieśmiały i cichy sposób, zalecał się do Doris. A jednak właściwie nie było to aż takie zdumiewające. Był człowiekiem mówiącym bardzo niewiele, a jego obecność w Carn Cottage była czymś, co wszyscy nauczyli się brać za rzecz oczywistą. Prawie w ogóle się nie odzywał, a pracował za dziesięciu. „Och, Ernie to robi” — to był okrzyk, który rozlegał się ilekroć trzeba było wykonać jakąś szczególnie paskudną robotę, jak zarżnięcie kury albo przetkanie rury kanalizacyjnej. A on zawsze to robił. Nikt o nim nigdy nie myślał jako o kandydacie na męża, był po prostu członkiem rodziny, niewymagającym, spokojnym i zawsze pogodnym, w dobrym humorze.

Dopiero jesienią 1944 roku Penelopa wreszcie doznała olśnienia. Weszła do kuchni któregoś ranka i zastała tam Doris i Erniego pijących razem herbatę. Siedzieli przy kuchennym stole, a na jego środku stał biało-niebieski dzbanek pełen dalii.

Ogarnęła wzrokiem scenę.

— Ernie, nie wiedziałam, że tu jesteś...

Był zażenowany.

— Tak tylko wpadłem na chwilę. — Odsunął swoją filiżankę i spodeczek i wstał.

Spojrzała na kwiaty. W ogrodzie przy Carn Cottage nie rosły już dalie, ponieważ ich pielęgnowanie było zbyt czasochłonnym zajęciem.

— A skąd się wzięły te kwiaty?

Ernie zsunął czapkę do tyłu i podrapał się w głowę.

— Mój tata wyhodował je na swojej działce. Przyniosłem parę dla... dla was.

— Nigdy nie widziałam tak pięknych okazów. Są ogromne.

— Tak. — Ernie włożył z powrotem czapkę i przestąpił z nogi na nogę. — Mam trochę drewna do porąbania.

Posunął się w kierunku drzwi.

— Dzięki za kwiaty — powiedziała Doris.

Odwrocił się, skinął głową.

— Herbata była świetna — odpowiedział jej.

Wyszedł. Za chwilę od strony podwórka dały się słyszeć odgłosy rąbania drzewa.

Penelopa usiadła przy stole. Spojrzała na kwiaty. Spojrzała na Doris, chociaż Doris unikała jej wzroku.

— Mam takie dziwne uczucie, jakbym w czymś przeszkodziła — stwierdziła Penelopa.

— Jak na przykład w czym?

— Nie wiem. Ty mi powiedz.

— Nie ma nic do powiedzenia.

— On nie przyniósł tych kwiatów **dla nas**, prawda? Przyniósł je **dla** ciebie.

Doris potrząsnęła głową.

— Co to ma za znaczenie, dla kogo je przyniósł? »

W tym właśnie momencie Penelopa zrozumiała, lecz nie **mogła** pojąć, dlaczego wcześniej to do niej nie dotarło.

— Doris, wpadłaś Erniemu w oko.

Doris natychmiast odpowiedziała jadowitym tonem:

— Ernie Penberth? Może masz mi jeszcze jakieś **inne** bajki do opowiedzenia?

Ale Penelopa nie dała się zbić z tropu.

— Czy on ci coś kiedyś powiedział?

— On przecież prawie nic do nikogo nie mówi, wiesz o tym.

— Ale ty go lubisz, prawda?

— Wszyscy go lubią.

Jej ton był za bardzo zdawkowy, żeby był przekonujący.

— On się do ciebie zaleca.

— Zaleca się? — Doris wstała gwałtownie od stołu, zbierając filiżanki i spodeczki, robiąc przy tym umyślnie dużo hałasu. — On nie potrafiłby się zalecać nawet do muchy. — Wstawiła naczynia do zlewozmywaka i odkręciła kurki. — Poza tym — dodała poprzez szum lejącej się wody — to jest taki dziwny facet.

— Nigdy nie znajdziesz lepszego ani miłszego.

— Nie mam zamiaru dokończyć moich dni z mężczyzną, który nie jest nawet równie wysoki jak ja.

— Nie musisz od razu zadzierać nosa tylko dlatego, że on nie jest następnym Gary Cooperem. A mnie się podoba jego wygląd. Lubię jego czarne włosy i ciemne oczy.

Doris zakręciła kurki i odwróciła się, opierając się o zlewozmywak i zakładając ręce.

— Ale on nigdy nic nie mówi.

— Skoro ty mówisz bez przerwy prawie cały czas, on nie ma zbyt

wielu szans, żeby wtrącić choć słowo. A zresztą czyny mówią głośniejsz niż słowa. Zobacz, przynosi ci kwiaty. — Przypomniała sobie różne inne rzeczy. — I ciągle coś dla ciebie robi. A to naprawia zawieszanie sznurów na suszenie bielizny, a to przynosi ci jakieś smakołyki spod lady, ze sklepu swego ojca.

— No i co z tego? — Doris zmarszczyła brwi podejrzliwie. — Chcesz mnie wydać za Erniego Penbertha? Chcesz się mnie pozbyć, czy co?

— Ja po prostu — powiedziała Penelopa sentencjonalnym tonem — myślę o twoim przyszłym szczęściu.

— Akurat. No to pomyśl jeszcze raz. W dniu, w którym Sophie została zabita, obiecałam sobie, że się stąd nie ruszę, dopóki ta cholerna wojna się nie skończy. A kiedy Richard zginął... to jeszcze bardziej mnie utwierdziło w tym postanowieniu. Nie wiem, co ty masz zamiar zrobić... wrócić do tego Ambrose, czy nigdy nie wrócić, ale wojna się niedługo skończy i będziesz musiała się zdecydować, a ja będę tutaj, żeby pomóc ci przez to przejść, cokolwiek by to miało być. A jeśli ty do niego wrócisz, to kto się zaopiekuje twoim tatą? Powiem ci od razu. Ja. Więc nie będziemy tu gadać o Erniem Penbercie. Dziękuję ci bardzo.

Dotrzymała słowa. Nie chciała wyjść za Erniego, bo nie chciała zostawić papy. Dopiero kiedy starszy pan już umarł, stała się wolna i mogła pomyśleć o sobie i swoich synach, i o swojej przyszłości. Podjęła decyzję i w ciągu dwóch miesięcy została panią Penberth, po czym opuściła Carn Cottage na dobre. Ojciec Erniego umarł niedawno i stara pani Penberth wyprowadziła się do swojej siostry, żeby Ernie i Doris mogli mieć swój własny dom. Ernie przejął sklep po ojcu, zaopiekował się synami Doris, ale on i Doris już nie mieli własnych dzieci.

A teraz... Penelopa przystanąła na chwilę, rozglądając się i próbując zorientować się, gdzie jest dokładnie. Była prawie u celu. Czuła już silny powiew wiatru i zapach słonej bryzy. Minęła ostatni zakręt i zaczęła schodzić stromą uliczką, na końcu której stał biały domek odsunięty trochę od ulicy, a przed nim znajdowało się brukowane, małe podwóreczko. Na sznurze powiewało na wietrze suszące się pranie, a wszędzie stały doniczki i pojemniki z żonkilami, krokusami, niebieskimi hiacyntami i pnącymi się roślinkami. Drzwi wejściowe były pomalowane na niebiesko. Penelopa przeszła przez brukowane podwórko, pochylając głowę pod sznurem z praniem, i podniosła rękę, żeby zastukać w drzwi, ale zanim zdążyła to zrobić, drzwi otworzyły się gwałtownie, a w nich stała Doris.

Doris. Szykowna i elegancko ubrana, ładna, tak samo pełna życia, o bystrym spojrzeniu, ani grubsza ani szczuplejsza. Jej włosy były srebrno-siwe, krótko obcięte, kręcone, na twarzy pojawiły się już oczywiście zmarszczki, ale ani jej uśmiech się nie zmienił, ani jej głos.

— Czekałam na ciebie. Patrzyłam przez okno w kuchni — powiedziała na powitanie. Dlaczego tak długo ci to zajęło? Czterdzieści lat

na to czekałam. — Doris. Z kolczykami, ze szminką na wargach, w czerwonym rozpinanym sweterku i białej bluzce z zabocikiem. — Och, na litość boską, nie stój tak w drzwiach, wchodź do środka.

Penelopa przekroczyła próg i od razu znalazła się w maleńkiej kuchni. Położyła kwiaty i butelkę whisky na stole kuchennym, a Doris zamknęła drzwi. Odwróciła się. Stały naprzeciw siebie, uśmiechając się jak idiotki, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Aż wreszcie uśmiech zamienił się w śmiech i padły sobie w ramiona, ściskając się długo jak para pensjonarek, które spotkały się po latach.

Ciągle jeszcze śmiejąc się i nie mogąc nic powiedzieć, puściły się i odsunęły od siebie. W końcu Doris przemówiła pierwsza.

— Penelopo, to niewiarygodne. Myślałam, że może nie będę cię mogła poznać. Ale jesteś tak samo wysoka i długonoga, i śliczna jak zawsze. Bałam się, że bardzo się zmieniłaś, ale nic podobnego...

— Oczywiście, że się zmieniłam. Jestem siwą starszą panią.

— Jeśli ty jesteś siwa i stara, to ja mam jedną nogę w grobie. Dobijam do siedemdziesiątki. W każdym razie tak mi zawsze mówi Ernie, jak się trochę zapomnę.

— Gdzie jest Ernie?

— Sądził, że może będziemy chciały być same przez chwilę. Stwierdził, że nie mógłby znieść takiej dawki naszego trajkotania. Poszedł na działkę. To go ratuje, odkąd przeszedł na emeryturę i nie pracuje już w sklepie. Powiedziałam mu, że jakby go oderwać od marchewek i rzepy to wyglądałby jak ofiara głodu narkotycznego. — Zaniosła się tak dobrze znanym, hałaśliwym śmiechem.

— Przyniosłam ci kwiaty — powiedziała Penelopa.

— Och, jakie piękne. Nie powinnaś była... Słuchaj, ja włożę je do wody, a ty wejdź do salonu i rozgość się. Postawiłam wodę na herbatę, myślałam, że będziesz może miała ochotę na filiżankę herbaty...

Salon był zaraz za kuchnią, za otwartymi drzwiami. Gdy weszła do niego, poczuła się trochę tak, jakby cofnęła się w czasie, bo wszystko wyglądało tak samo przytulnie i było nieco zagracone jak za czasów starej pani Penberth, która zostawiła tu wiele ze swoich skarbów. W oszklonej szafce znajdował się komplet porcelany, po obu stronach kominka stały psy ze Staffordshire i nawet kanapa i fotele były te same, o grubych miękkich poduchach przykrytych pokrowcami z frędzelkami na brzegach. Ale zaszły też pewne zmiany. Ogromny telewizor był wyraźnie nowy, tak samo jak perkalowe zasłony w jaskrawy wzorek, a nad kominkiem, gdzie kiedyś wisiała powiększona do rozmiarów obrazu fotografia brata starej pani Penberth, zabitego w czasie pierwszej wojny światowej, zajmując honorowe miejsce, teraz wisiał portret Sophie namalowany przez Charlesa Rainiera, który Penelopa podarowała Doris po pogrzebie Lawrence'a Sterna.

— Nie możesz mi tego dać — **powiedziała wtedy Doris.**

— Dlaczego nie?

— Portret twojej matki?

— Chcę, żebyś go miała.

— Ale dlaczego ja?

— Dlatego, że kochałaś Sophie tak samo jak każde z nas ją kochało. I kochałaś także papę i opiekowałaś się nim zastępując mnie. Żadna córka nie mogłaby zrobić więcej niż ty zrobiłaś.

— Jesteś za dobra dla mnie. To za dużo.

— To zupełnie niewystarczające. Ale to wszystko, co mogę ci dać.

Stała teraz na środku pokoju, patrząc na portret i stwierdziła, że po czterdziestu latach nie straciła nic ze swej atrakcyjności, ze swego uroku i radosnego nastroju. Sophie w wieku dwudziestu pięciu lat, z lekko skośnymi oczami, ze swoim czarującym uśmiechem i krótko obciętymi włosami a la garconne, z narzuconym na opalone ramiona szkarłatnym jedwabnym szalem ozdobionym frędzlami.

— Cieszysz się, że go znowu widzisz? — spytała Doris.

Penelopa odwróciła się i spojrzała w kierunku Doris, która właśnie pojawiła się w drzwiach, niosąc dzban z luźno ułożonymi w nim kwiatami, który po chwili postawiła bardzo ostrożnie na środku stołu.

— Tak. Zapomniałam już, jaki jest uroczy.

— Założę się, iż żałujesz, że się z nim w ogóle rozstałaś.

— Nie. Po prostu miło mi go znów widzieć. ¶

— Dodaje temu miejscu trochę klasy, co? Był tyle razy podziwiany. Ofiarowywano mi za niego prawdziwą fortunę, ale nie chciałam go sprzedać. Nie pozbyłabym się tego obrazu za żadne skarby. A teraz chodź, usiądźmy i pogadajmy sobie, póki stary Ernie nie wróci. Szkoda, że nie zatrzymałaś się tutaj u mnie, przecież chyba wystarczającą ilość razy cię zapraszałam. Czy naprawdę mieszkasz w Hotelu Sands? Z tymi wszystkimi milionerami! Co się stało? Wygrałaś na loterii czy co?

Penelopa wyjaśniła, jak bardzo zmieniła się jej sytuacja. Opowiedziała Doris o ponownym, graniczącym z cudem, zainteresowaniu dziełami Lawrence'a Sterna i wroście cen na światowym rynku dzieł sztuki; opowiedziała jej o Royu Brooknerze i ofercie kupienia *panneaux*.

Doris na sekundę oniemiała ze zdumienia.

— Sto tysięcy funtów za te dwa nieduże obrazy! To niesłychane. Och, Penelopo, tak się cieszę twoim szczęściem.

— A *Poszukiwaczy muszelek* podarowałam galerii w Porthkerris.

— Wiem. Czytałam o tym w miejscowych gazetach, a potem Ernie i ja poszliśmy, żeby zobaczyć to na własne oczy. Wydawało się dziwne zobaczyć ten obraz tam. Poruszył we mnie tyle wspomnień. Ale czy nie będzie ci go brakowało?

— Przypuszczam, że trochę tak. Ale życie biegnie dalej. Wszyscy się starzejemy. Czas jakoś uporządkować swoje sprawy.

— Masz rację. A skoro już mówisz o tym, że życie biegnie dalej, to co powiesz o Porthkerris! Założę się, że prawie go nie poznałaś. Nigdy nie wiadomo, co ludzie wymyślą nowego. Chociaż trzeba przyznać, że specjaliŃTom od rozwoju i rozbudowy dano całkowiec wolną rękę, kiedy się tu pojawili w rok lub dwa lata po wojnie. Stare kino to teraz supermarket... zapewne zauważyłaś. A pracownię twojego ojca zburzono i zbudowano tam całkiem nowy, ogromny dom z mieszkaniami do wynajęcia dla letników, z widokiem na północną plażę. Mieliliśmy tu też hippisów przez parę lat — to było okropnie niesmaczne, zapewniam cię. Spali na plaży i siusiali gdzie popadnie. Okropność.

Penelopa roześmiała się.

— A stary Hotel White Caps też zamieniono na mieszkania do wynajęcia. A jeśli chodzi o Carn Cottage...

— Czy nie chciało ci się płakać? Przecudny ogród twojej matki... Powinam była ci napisać o tym i ostrzec, jak to wygląda.

— Cieszę się, że tego nie zrobiłaś. W każdym razie to już nie ma znaczenia. Jakimś dziwnym sposobem to już naprawdę nie ma znaczenia.

— No pewnie, jeśli się mieszka w luksusie w Hotelu Sands! Pamiętasz, jak tam był szpital? Nie można się było nawet zbliżyć do niego, jeśli się nie miało co najmniej dwóch nóg złamanych.

— Doris, to nie tylko dlatego, że czuję się bogata, zdecydowałam się zatrzymać w Sands. To dlatego, że przywiozłam tu ze sobą dwoje młodych przyjaciół i wiedziałam, że nie będziesz miała dość miejsca dla nas wszystkich.

— Oczywiście. Kim są twoi przyjaciele?

— Dziewczyna nazywa się Antonia. Jej ojciec umarł bardzo niedawno i ona mieszka teraz ze mną. A młody człowiek nazywa się Danus. Pomaga mi w ogrodzie w Gloucestershire. Poznasz ich. Stwierdzili, że spacer powrotny pod górę byłby zbyt forsowny dla starszej pani i mają zamiar przyjechać po mnie samochodem.

— Bardzo mi będzie miło. Ale szkoda, że nie wzięłaś ze sobą Nancy. Tak bym chciała zobaczyć znów moją Nancy. I dlaczego nie przyjechałaś do Porthkerris wcześniej? Jakim cudem mamy teraz dać radę przelecieć przez czterdzieści lat w parę godzin?

Ostro się jednak wzięły do roboty, postanowiwszy spróbować. Prawie że nie starczało im czasu na zaczerpnięcie oddechu, zadawały pytania, odpowiadały na nie, nadrabiając zaległości, dowiadując się o dzieci i wnuki.

— Clark ożenił się z dziewczyną z Bristolu i ma dwoje maluchów... o tu ich widzisz, na półce nad kominkiem. To jest Sandra, a to Kevin. Ona jest taką bystrą, małą dziewczynką. A to są dzieciaki Ronalda... on

mieszka w Plymouth. Jego teść prowadzi fabrykę mebli i przyjął Rona do interesu... Przyjeżdżają tu w lecie na wakacje, ale muszą mieszkać w pensjonacie o parę kroków stąd, bo nie starczyłoby dla nich wszystkich miejsca. A teraz opowiedz mi o Nancy. Jakaż ona była urocza.

Teraz przyszła kolej na Penelopę, ale oczywiście zapomniała przywieźć zdjęcia. Opowiedziała Doris o Melanii i o Rupercie i z pewnym wysiłkiem, ale udało jej się przedstawić ich w taki sposób, by wydali się sympatyczni.

— Mieszkają koło ciebie, prawda? Czy możesz ich widywać?

— Mieszkają o jakieś dwadzieścia mil.

— To niestety trochę za daleko, prawda? Ale podoba ci się mieszkanie na wsi? Lepiej niż w Londynie? Byłam absolutnie oburzona, kiedy napisałeś mi, że Ambrose cię opuścił. Żeby zrobić coś podobnego! Swoją drogą on zawsze był beznadziejny, nie było z niego żadnego pożytku. Przystojny i owszem, ale zawsze miałam wrażenie, że nie pasował do ciebie. Mimo to, żeby odejść w ten sposób! Samolubny drań. Mężczyźni zawsze myślą tylko o sobie. Zawsze to mówię Erniemu, jak zostawia swoje brudne skarpetki na podłodze w łazience.

Wreszcie, oplotkowawszy dokładnie mężów i rodziny, zaczęły wspominać długie lata wojny, które przeżyły razem, dzieląc nie tylko troski i obawy, i uciążliwą nudę, ale także wydarzenia dziwne i niedorzeczne, które widziane z perspektywy minionego czasu mogły wydawać się tylko przezabawne.

Pułkownik Trubshot skradający się ulicami miasta w swoim blaszanym hełmie i opaską Obrony Przeciwlotniczej na rękawie, który pomylił drogę po ciemku i zleciał z nabrzeża portowego prosto do morza. Panna Preedy wygłaszająca odczyt o pierwszej pomocy w lokalu Czerwonego Krzyża wobec zupełnie nie zainteresowanych tym tematem pań i zaplatująca się we własne bandażę. Stary Willie Chirgwin, który przebił sobie duży palec u stopy bagnetem z czasie musztry prowadzonej przez generała Watsona-Granta i musiał zostać odwieziony karetką do szpitala.

— A pamiętasz, jak chodziłyśmy do kina? — przypominała Penelopie Doris, wycierając łzy rozbawienia z policzków. — Chodziłyśmy dwa razy w tygodniu i nie opuściłyśmy ani jednego filmu. Pamiętasz Charlesa Boyera w *Zatrzymać czas przed świtem*? W całym kinie nie było nikogo, kto by nie płakał. Ja zużyłam trzy chusteczki do nosa i jeszcze ryczałam, kiedy wychodziłyśmy.

— To było wspaniałe, prawda? Zresztą nie było wtedy nic innego jeśli chodzi o rozrywki. Z wyjątkiem słuchania audycji „Worker's Playtime” albo pana Churchilla, który co pewien czas wstrzykiwał nam kolejną dawkę męstwa przez radio.

— Najlepsza była Carmen Miranda. Nie opuściłam ani jednego filmu z nią. — Doris zerwała się, przybierając taneczną pozę i umieściła dłoń

z szeroko rozstawionymi palcami na biodrze. — Ajajajaj, kocham cię tak barrrrdzo. Ajajajaj, jesteś mi tak drrrrrrogi...

Trzasnęły drzwi i wszedł Ernie. Doris, której pojawienie się męża w tym właśnie momencie wydało się jeszcze śmieszniejsze niż jej własne przedstawienie, opadła na kanapę płacząc ze śmiechu.

Ernie, zażenowany, popatrzył na jedną z nich, potem na drugą.

— Co wy dwie wyprawiacie? — zapytał Penelopę widząc, że jego żona nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Penelopa wstała i podeszła do niego, żeby się przywitać.

— Och, Ernie... — Wytarła oczy i powstrzymała kolejny atak śmiechu. — Przepraszam. Co za para idiotek z nas. Wspominałyśmy dawne czasy i zaśmiewaliśmy się. Wybacz nam te wygłupy.

Ernie wydawał się jeszcze mniejszy niż dawniej, postarzał się, a jego czarne włosy stały się srebrnosiwe. Miał na sobie stary sweter, zdjął robocze buty i włożył pantofle. Jego ręka była twarda i szorstka w dotyku, tak jak zawsze, a Penelopę tak ucieszył jego widok, że chciała go uściskać, ale nie zrobiła tego, wiedząc, że czułby się jeszcze bardziej skrępowany.

— Jak się masz? To wspaniałe widzieć cię znowu.

— Mnie też miło cię widzieć. — Uścisnęli sobie dłonie. Jego wzrok powędrował znów ku żonie, która teraz opanowała się już i siedziała na kanapie wycierając nos. — Usłyszałem te dziwne odgłosy i myślałem, że ktoś morduje kota. Czy piłyście już herbatę?

— Nie, nie podałam jeszcze herbaty. Nie miałyśmy czasu na herbatę, za bardzo byłyśmy zagadane.

— Woda w imbryku wygotowała się prawie do sucha. Napełniłem go znowu wodą, jak wszedłem.

— O Boże, przepraszam. Zapomniałam. — Doris wstała. — Teraz pójdę i zaparzę herbatę. Penelopa przyniosła ci butelkę whisky, Ernie.

— Wspaniale. Bardzo dziękuję. — Odsunął rękaw swetra i spojrzał na swój duży zegarek. — Wpół do szóstej. — Podniósł wzrok, a w jego oczach zamigotał, rzadki u niego, łobuzerski błysk. — Może przekoczmy herbatę i od razu przejdziemy do whisky, co?

— Ernie Penberth! Ty stary pijaku! Co za propozycja.

— Ja uważam — powiedziała Penelopa stanowczo — że to znakomita propozycja. W końcu nie widzieliśmy się czterdzieści lat. Jeśli teraz tego nie uczymy, to kiedy niby będziemy to robić?

W ten sposób spotkanie po latach zamieniło się w małe przyjęcie. Whisky rozwiązała język nawet Erniemu i zapewne bawiliby się tak dalej do późnego wieczora, gdyby nie przybycie Danusa i Antonii. Penelopa kompletnie straciła poczucie czasu i dzwonek do drzwi zaskoczył ją tak samo jak Erniego i Doris.

— A któż to może być? — zapytała Doris niezadowolona, że im przerywają.

Penelopa zerknęła na zegarek.

— Wielkie nieba, już szósta. Nie miałam pojęcia, że już tak późno. To na pewno Danus i Antonia przyjechali po mnie...

— Czas szybko leci, kiedy człowiek się dobrze bawi — zauważyła Doris i wstała z krzesła, żeby pójść otworzyć drzwi. Usłyszeli, jak mówiła: — Wejdźcie do środka, bardzo proszę. Ona czeka już na was. Trochę podchmielona, jak my wszyscy, ale nadaje się jeszcze do użytku.

Penelopa szybko dokończyła swojego drinka i odstawiła pustą szklaneczkę na stół, żeby nie pomyśleli, iż przerywają im i w czymś przeszkadzają. Po chwili weszli do małego salonu, Ernie podniósł się i wszyscy zostali sobie przedstawieni. Ernie poszedł do kuchni przynieść jeszcze parę szklaneczek.

Danus podrapał się w głowę i spojrzał na stół z błyskiem rozbawienia w oku.

— Myślałem, że miałyście tu mieć herbatkę.

— Och, herbatka. — Doris powiedziała to takim tonem, jakby pogardzała nawet myślą o czymś tak powszednim i banalnym. — Byłyśmy tak zagadane i tak świetnie się bawiłyśmy, że zapomnieliśmy w ogóle o herbacie.

Antonina rozglądała się dokoła.

— Jaki śliczny pokój. Najbardziej lubię takie właśnie domki. A na podwórku są takie piękne kwiaty.

— Nazywam to moim ogrodem. Fajnie by było mieć prawdziwy ogród, ale — jak ja to zawsze powtarzam — nie można mieć wszystkiego.

Oczy Antoni zatrzymały się na portrecie Sophie.

— Kim jest ta dziewczyna na obrazie?

— To? To przecież mama Penelopy. Nie widzisz podobieństwa?

— Ona jest piękna.

— Ona była śliczna. Jedyna w swoim rodzaju. Była Francuzką... prawda, Penelopo? Jak mówiła po angielsku, to brzmiało to jakoś tak seksownie, całkiem jak Maurice Chevalier. A jak była rozgniewana, ohoho! To trzeba było usłyszeć na własne uszy. Jak przekupka na targu rybnym w Marsylii.

— Wygląda tu tak młodo. %.

— O tak, bo była bardzo młoda. O wiele, wiele młodsza od taty Penelopy. Byłyście jak siostry, prawda, Penelopo?

Ernie głośno odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Może drinka? — zapytał Danusa.

Danus uśmiechnął się trochę sztywno i potrząsnął przecząco głową.

— To naprawdę bardzo miłe z pana strony i mam nadzieję, że nie będzie mnie pan uważał za kogoś mało towarzyskiego, ale ja nie piję.

Ernie, chyba pierwszy raz w życiu, wyglądał na całkowicie zdumionego.

— Czy pan jest chory?

— Nie. Nie jestem chory. Po prostu niezbyt dobrze mi to robi.

Ernie wyraźnie był wstrząśnięty. Zwrócił się, bez większej nadziei do Antonii.

— Przypuszczam, że pani też nie zechce się napić?

Uśmiechnęła się.

— Nie. Dziękuję. Ja też nie jestem mało towarzyska, ale muszę prowadzić samochód i to pod tę trudną górę z ostrymi zakrętami. Lepiej będzie, jak zrezygnuję z drinka.

Ernie smutno potrząsnął głową i zakręcił butelkę. Przyjęcie się skończyło. Trzeba było już wracać do domu. Penelopa wstała, wygładziła zgięcia na spódnicy i sprawdziła, czy spinki we włosach są na miejscu.

— Chyba jeszcze nie idziecie? — Doris wcale nie miała ochoty zakończyć tak miłego spotkania.

— Musimy już iść, Doris, chociaż wcale mi się nie chce, ani trochę. Ale ja tu już siedzę aż za długo.

— Gdzie zostawiliście samochód? — spytał Ernie Danusa.

— Na samej górze — odparł młody człowiek. — Bo nie mogliśmy znaleźć żadnego miejsca tu bliżej, gdzie nie byłoby podwójnej żółtej linii.

— Dają w kość, co? Wszędzie tylko przepisy, zarządzenia, zakazy. Lepiej pójdę z wami i pomogę wam obrócić samochód. Nie ma tam zbyt wiele miejsca, a lepiej nie zaczynać sprzeczki z granitowym murem.

Danus przyjął jego propozycję z wdzięcznością. Ernie włożył czapkę i zmienił pantofle na buty. Danus i Antonia pożegnali się z Doris, a ona powiedziała: „Miło mi było was poznać” i wszyscy troje wyruszyli po volvo. Doris i Penelopa znów zostały same we dwie. Ale teraz z jakiegoś powodu śmiech się ulotnił. Zapadła cisza, jakby nagadawszy się tyle, nagle zabrakło im tematów. Penelopa poczuła na sobie wzrok Doris i obróciła głowę, żeby odpowiedzieć na jej spojrzenie.

— Skąd ty go wytrzasnęłaś? — zapytała Doris.

— Danusa? — Starła się mówić lekko, swobodnie. — Mówiłam ci. On pracuje u mnie. Jest moim ogrodnikiem.

— Ogródnik z wyższych sfer.

— Tak.

— On wygląda jak Richard.

— Tak. — Jego imię zostało wypowiedziane. Stało się. — Zdajesz sobie sprawę, że on jest jedyną osobą, o której żadna z nas nie wspomniała przez całe popołudnie. Wspominałyśmy wszystkich innych tylko nie jego.

— Jakoś zdawało mi się, że to nie miałyby sensu. Teraz wyrwało mi się jego imię tylko dlatego, że ten młody człowiek tak bardzo jest do niego podobny.

— Wiem. Mnie też to uderzyło, jak tylko go zobaczyłam **pierwszy** raz. Nie łatwo... nie łatwo było się do tego przyzwyczaić.

— Czy on jest jakoś spokrewniony z Richardem?

— Nie. Nie sądzę. Pochodzi ze Szkocji. To podobieństwo **to tylko** niesamowity zbieg okoliczności.

— Czy to dlatego masz do niego taką słabość?

— Och, Doris. Nie rób ze mnie smutnej starszej pani, **ciągnącej za** sobą żigolaka.

— Zauroczył cię?

— Bardzo go lubię. Lubię go za to, jak wygląda i za to jaki jest. Jest łagodny. Stanowi bardzo miłe towarzystwo. Rozśmiesza mnie.

— Przywożąc go tu... do Porthkerris... — Doris wyglądała na zaniepokojoną swoją przyjaciółką — ... nie próbujesz chyba ożywić starych wspomnień, co?

— Nie. Poprosiłam najpierw moje dzieci, żeby pojechały ze mną. Zapraszałam każde po kolei, ale żadne z nich nie miało ochoty albo czasu. Nawet Nancy. Nie miałam zamiaru ci tego mówić, ale teraz powiedziałam. A więc Danus i Antonia pojechali zamiast nich.

Doris nie skomentowała tego. Przez chwilę milczały, każda zajęta swoimi myślami. Wreszcie Doris powiedziała:

— Nie wiem. Ale to, że Richard został zabity w ten sposób... to było okrutne. Zawsze było mi bardzo trudno przebaczyć Bogu, że pozwolił mu tak umrzeć. Jeśli kiedykolwiek był człowiek, który powinien był żyć... Ciągle mam w oczach ten dzień, kiedy dowiedzieliśmy się". To było jedno z najgorszych zdarzeń w ciągu całej wojny. I jakoś nigdy nie mogłam uwolnić się od myśli, że gdy umarł, zabrał jakąś część ciebie ze sobą, a nie zostawił żadnej, najmniejszej części siebie samego.

— Zostawił część siebie.

— Ale nic, co by można dotknąć, czuć czy pochwycić. Byłoby znacznie lepiej, gdybyś miała z nim dziecko. Wtedy miałabyś dobrą wymówkę, żeby nie wracać do Ambrose. Ty, Nancy i dzidzius urządzili- byście sobie życie całkiem na własną rękę i na pewno byłoby to dobre życie.

— Często o tym myślałam. Nigdy nie robiłam nic, żeby zapobiec poczęciu dziecka, którego ojcem były Richard; po prostu nie zaszłam wtedy w ciążę. Moją pociechą była Oliwia. Była pierwszym dzieckiem, które urodziłam po wojnie i była dzieckiem Ambrose, ale z jakiegoś powodu od samego początku była wyjątkowa. Nie inna, tylko bardzo wyjątkowa. — Mówiła dalej, ostrożnie dobierając słowa, mając poczucie, że przyznaje się przed Doris do czegoś, do czego sama przed sobą nawet nigdy w pełni się nie przyznała, a już na pewno przed żadną inną osobą. — To było tak, jakby jakaś fizyczna część Richarda pozostała we mnie. Przechowana jak jakiś pyszny smakołyk w zamrażalniku. I kiedy Oliwia

się urodziła, jakiś aTom, jakaś **drobinka komórki Richarda stała się** za moim pośrednictwem częścią jej.

— Ale on nie był jej ojcem.

Penelopa uśmiechnęła się, potrząsnęła przecząco **głową**.

— Nie.

— Ale miałaś takie uczucie, jakby nim był.

— Tak.

— Mogę to zrozumieć.

— Wiedziałam, że zrozumiesz. Dlatego ci powiedziałam. Zrozumiesz także, kiedy ci powiem, że się cieszę, że pracownia papy została zburzona i że zniknęła na zawsze. Wiem już teraz, że jestem wystarczająco silna, żeby znieść prawie wszystko i poradzić sobie prawie z każdą sytuacją, ale myślę, że nigdy nie miałabym w sobie dość siły, żeby tam wrócić.

— To też mogę zrozumieć.

— Jest jeszcze jedna rzecz. Kiedy zamieszkałam znowu w Londynie, skontaktowałam się z jego matką.

— Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek to zrobiłaś.

— Bardzo długo zbierałam się na odwagę, aż wreszcie zrobiłam to. Zadzwoiłam do niej. Byłyśmy razem na lunchu. To była męczarnia dla nas obu. Była urocza i bardzo dla mnie miła, ale łączył nas tylko Richard i mówiliśmy tylko o nim. W końcu zdałam sobie sprawę, że to jest zbyt ciężkie przeżycie dla niej. Potem zostawiłam ją w spokoju i nigdy już jej nie widziałam. Gdybym była żoną Richarda, mogłabym była ją wspomagać i pocieszać. Ale w tej sytuacji myślę, że tylko dodawałabym jeszcze dodatkowy ciężar do jej osobistej tragedii.

Doris nic już nie powiedziała. Z zewnątrz, zza otwartych drzwi dobiegł ich odgłos motoru volvo. Samochód powoli, ostrożnie jechał w dół wąską, stromą uliczką. Penelopa wzięła swoją torebkę.

— To samochód. Czas na mnie.

Wyszły razem przez kuchnię na tonące w czerwonej poświacie zachodzącego słońca małe podwórko. Uściskały się i pocałowały bardzo serdecznie. Doris miała łzy w oczach.

— Do widzenia, Doris, kochanie. I dziękuję ci za wszystko — rzekła Penelopa.

Doris szybko otarła głupie łzy.

— Przyjedź znowu, szybko — powiedziała. — Nie czekaj następne czterdzieści lat, bo już dawno wtedy stokrotki na nas będą rosnać.

— W przyszłym roku. Przyjadę w przyszłym roku, sama, i za-trzymam się u was.

— Zobaczysz, jak się będziemy świetnie bawić.

Pojawił się samochód i przystanął z boku. Ernie wygramolił się z niego i stał jak lokaj, trzymając otwarte drzwiczki, czekając, aż Penelopa wsiądzie do środka.

— Do widzenia, Doris — odwróciła się, żeby już odejść, ale Doris jeszcze miała do niej jedno pytanie.

— Penelopo.

Odwróciła się znowu.

— Tak?

— Jeśli on to Richard, to kim ma być Antonia?

Doris nie była głupia. Penelopa uśmiechnęła się.

— Mną? -

— Kiedy pierwszy raz tu przyjechaliśmy, miałam siedem lat. To była wielka uroczystość, bo papa kupił samochód. Nigdy przedtem nie mieliśmy samochodu i to była nasza pierwsza wyprawa. Była to pierwsza z wielu wypraw, ale zawsze pamiętam tę właśnie, ponieważ po prostu nie mogłam się nadziwić temu, że papa naprawdę umiał puścić tę maszynę w ruch i w dodatku potem nią kierować.

Siedzieli wszyscy troje na skałach Penjizal, wysoko, podziwiając widoki na błękitny Atlantyk, w trawiastym zagłębieniu osłoniętym ogromnym granitowym głazem pokrytym porostami. Wszędzie dookoła zielonkawa darń umajona była kępami dzikich pierwiosnków i bladoniebieskimi, piórkowatymi główkami gwiazdnicy. Niebo było bezchmurne, a powietrze wypełniały huk rozbijających się u dołu ogromnych fal i krzyk kołujących nadmorskich ptaków. Było samo południe, kwiecień, i ciepło jak w środku lata — tak ciepło, że mogli rozłożyć nowy kraciasty koc na trawie i wyciągnąć się na nim, a na koszyk z lunchem musieli poszukać zacienionego miejsca.

— Co to był za samochód? — Danus leżał na trawie wsparty na łokciu. Ściągnął sweter i podwinął rękawy koszuli. Jego muskularne ramiona były opalone, a na uśmiechniętej twarzy malował się wyraz szczerzego zainteresowania.

— Czteropółlitrowy bentley — odpowiedziała na jego pytanie. — Był już leciwy, bo papa nie mógł sobie pozwolić na nowy, ale ten właśnie stał się jego dumą.

— To wspaniale. Czy miał skórzane rzemyki przytrzymujące maskę, która wyglądała jak kufer?

— Tak, dokładnie tak. A także podłużny drewniany stopień biegnący wzdłuż karoserii i budę, której nigdy nie nauczyliśmy się rozkładać, więc była zawsze złożona, nawet w czasie ulewy.

— Takie auto byłoby dziś warte fortunę. Co się z nim stało?

— Kiedy papa umarł, podarowałam go panu Grabneyowi. Nie wiedziałam, co innego mogłabym z nim zrobić. A pan Grabney zawsze był dla nas taki dobry. Trzymał nasz samochód w swoim garażu przez całą wojnę, nie żądając ani grosza zapłaty. A raz... a był to naprawdę

bardzo ważny moment... załatwił mi benzynę na czarnym rynku. Nigdy nie miałam okazji mu się odwdziżyć tak, jak bym chciała.

— A dlaczego go nie zatrzymałaś dla siebie?

— Nie bardzo mogłam sobie pozwolić na trzymanie samochodu w Londynie i prawdę mówiąc, nie potrzebowałam go w mieście. Wszędzie chodziłam na piechotę, pchając przed sobą wózek z dziećmi i sprawunkami. Ambrose był potwornie wściekły, jak się dowiedział, że oddałam starego bentleya. To była pierwsza rzecz, o którą zapytał, kiedy wróciłam z pogrzebu papy. Kiedy mu powiedziałam, co zrobiłam, obraził się na cały tydzień.

Danus okazał współczucie i męską solidarność.

— Chyba jednak mie miałbym o to do niego pretensji.

— Nie. Biedny człowiek. Musiał być okropnie rozczarowany.

Penelopa usiadła, żeby spojrzeć w dół i sprawdzić, czy już zaczął się odpływ. Woda powoli się cofała, ale prawdziwy odpływ jeszcze nie nastąpił. W jego ostatniej fazie odsłaniało się jezioro wśród skał, jak wielki, błękitny klejnot połyskujący w słońcu, idealne do nurkowania i pływania. Obiecywała Antonii i Danusowi, że będą mogli popływać w tym naturalnym basenie.

— Jeszcze pół godziny — próbowała oszacować czas — i będziecie mogli się kąpać.

Odchyliła się znów i opierając się o lekko pochyłe zbocze szukała najwygodniejszej pozycji. Miała na sobie starą dżinsową spódnicę, bawełnianą bluzkę, swoje nowe tenisówki i nieco pognieciony kapelusz słomkowy, który używała przy pracy w ogrodzie. Szerokie rondo kapelusza chroniło jej twarz przed ostrym blaskiem słońca i była wdzięczna za jego ażurowy cień. Obok niej Antonia, która dotąd leżała z zamkniętymi oczami, wydając się spać teraz zmieniła pozycję, przewróciła się na brzuch i oparła policzek na zgiętej w łokciu ręce.

— Opowiedz nam coś jeszcze. Czy często tu przyjeżdżaliście?

— Nieczęsto. To była dość daleka droga, a potem trzeba było jeszcze iść spory kawałek piechotą od fermy, gdzie zostawialiśmy samochód. A w tamtych czasach nie było jeszcze ścieżki prowadzącej na samą górę i musieliśmy się przedzierać przez cierniste krzaki i zarośla, zanim doszliśmy tu, na to miejsce. A poza tym musieliśmy się upewnić, że będzie to pora odpływu, żebyśmy mogły sobie popływać, Sophie i ja.

— A twój ojciec nie pływał?

— Nie. Mówił, że jest za stary. Siadywał tutaj w swoim kapeluszu z szerokim rondem, ze sztalugami, na małym składanym stołeczku i malował albo rysował. Oczywiście przedtem otwierał butelkę wina, nalewał sobie kieliszek, zapalał cygaro i w ogóle wygodnie się urządzał.

— A jak było w zimie? Czy w zimie też przyjeżdżaliście tutaj?

— Nigdy. Zimą spędzaliśmy w Londynie. Albo w Paryżu **lub** Florencji. Porthkerris i Carn Cottage należały do lata.

— To musiało być wspaniałe.

— Nie mniej wspaniałe niż boski dom twojego ojca na Ibizie.

— Zapewne. Wszystko jest względne, prawda? — Antonia obróciła się na bok i podrapała brodę dłonią. — A ty, Danus, gdzie ty jeździłeś w lecie na wakacje?

— Miałem nadzieję, że nikt się nie zapyta.

— Och, nie bądź taki. Powiedz nam.

— North Berwick. Moi rodzice wynajmowali tam dom każdego lata; oni grali w golfa, podczas gdy mój brat, moja siostra i ja siedzieliśmy na lodowatej plaży z naszą nianią i budowaliśmy zamki z piasku wśród wyjącego wiatru.

Penelopa zmarszczyła brwi.

— Twój brat? Nie wiedziałam, że masz brata. Myślałam, że jesteś tylko ty i twoja siostra.

— Tak, miałem brata, nazywał się Ian. Był najstarszy z nas trojga. Umarł na zapalenie opon mózgowych w wieku czternastu lat.

— O Boże, to straszna tragedia.

— Tak. To była tragedia. Moja matka i mój ojciec nigdy właściwie się z tym nie pogodzili i dotąd nie mogą się pozbierać. On był ideałem, zdolny, inteligentny, przystojny, mógł być ozdobą każdej drużyny sportowej — syn, o jakim marzą wszyscy rodzice. Dla mnie był rodzajem boga, bo umiał zrobić wszystko. Kiedy już trochę podrósł, grał w golfa, moja siostra też, ale ja byłem w tym beznadziejny i w dodatku nawet mnie to szczególnie nie interesowało. Wolałem wyruszyć gdzieś sam na rowerze i szukać ptaków, które można by obserwować, uważałem, że to o wiele zabawniejsze i ciekawsze niż zmaganie się ze skomplikowanymi regułami golfa.

— Ten North Berwick, to chyba nie było zbyt przyjemne miejsce na wakacje — zauważyła Antonia. — Czy nigdy nie jeździłeś gdzieś indziej?

Danus roześmiał się.

— Tak. Oczywiście, że jeździłem. Mój najlepszy przyjaciel w szkole nazywał się Roddy Mcrae. Jego rodzice mieli chałupę na samej północy Sutherland, koło Tongue. Mieli także wykupione prawo do łowienia ryb na rzece Naver i ojciec Roddy'ego nauczył mnie, jak zarzucać wędkę. Kiedy wyrosłem już z etapu jeżdżenia do North Berwick, to spędzałem większość moich wakacji z nimi.

— A co rozumiesz przez chałupę?

— Dwuizbowy wiejski dom z kamienia. Całkowity prymityw. Bez kanalizacji, bez elektryczności, bez telefonu. Koniec świata, a nawet jeszcze kawałek za nim, bez żadnego kontaktu z cywilizacją. To było wspaniałe.

Zapadła cisza. Penelopa zdała sobie sprawę, że to był chyba dopiero drugi raz, kiedy Danus opowiedział coś o sobie. Współczuła mu. Stracić ukochanego brata, będąc jeszcze w bardzo młodym wieku, będąc wrażliwym dzieckiem, to musiał być okropny szok. A w dodatku mieć świadomość, że nigdy całkiem mu się nie dorówna, to było jeszcze gorsze. Czekwała, sądząc, że skoro przełamał swoją rezerwę, pękły lody i rzeczywiście zaczął się im zwierzać, to może będzie chciał ciągnąć dalej. Ale tak się nie stało. Zamiast tego przeciwną się i wstał.

— Odpływ już w pełni — powiedział do Antonii. — Czekaj na nas skalne jeziorko. Czy czujesz się na tyle odważna, żeby pójść tam popływać? *

Poszli w dół bardzo stromą ścieżką biegnącą do skalistego brzegu. Jeziorko lśniło gładkie jak lustro, migoczące w słońcu i intensywnie niebieskie. Penelopa, czekając, aż znów ukażą się w polu widzenia, myślała o swoim ojcu. Pamiętała go siedzącego samotnie przed sztalugami w swoim nieodłącznym kapeluszu, z kieliszkiem wina, skoncentrowanego, ale z wyrazem zadowolenia na twarzy. Jedną z wielkich frustracji w jej życiu było to, że nie odziedziczyła jego talentu. Nie była malarką, nie umiała nawet rysować, ale jego wpływ był bardzo silny i żyła z nim przecież tak długo, że w sposób naturalny umiała obserwować każdy prawie widok jego bystrym, wszystkowidzącym okiem artysty. Wszystko tu było tak jak dawniej, z wyjątkiem wijącej się wśród skał zielonej wstążki ścieżki wydeptanej przez spacerowiczów, która to wspinała się, to opadała, idąc za krętą linią wybrzeża, wśród kęp dzikich paproci i krzaków jeżyn.

Wpatrywała się w morze, próbując zdecydować jak, gdyby była na miejscu papy, starałaby się go namalować. Bo choć było ono niebieskie, był to błękit składający się z tysiąca różnych odcieni. Ponad piaskiem, tam gdzie morze było płytkie i przezroczyste, miało kolor nefrytu, z pasmami akwamaryny. Tam, gdzie dno stanowiły skały i wodorosty, ciemniało wpadając w indygo. Daleko, w miejscu, w którym teraz kiwała się na falach mała łódź rybacka, przybierało odcień pruskiego błękitu. Wiatr był niewielki, ale ocean żył i oddychał, wzdymał się z odległych głębin, tworząc fale. Promienie słońca, prześwietlając je w momencie, w którym grzbiety fal już miały się załamać, zamieniały je w ruchome rzeźby z zielonego szkła. A wszystko to tonęło w świetle, tym jedynym w swoim rodzaju świetle pełnym blasku, które przyciągnęło malarzy do Kornwalii i stało się inspiracją dla francuskich impresjonistów, wyzwalając ich pasję twórczą.

Idealna kompozycja. Potrzeba było już tylko postaci ludzkich, żeby ustalić proporcje i dodać więcej życia. Pojawiły się. Daleko w dole, pomniejszeni przez odległość, Antonia i Danus poruszali się powoli

w kierunku jeziora. Śledziła ich drogę. Danus niósł ręczniki kąpielowe. Kiedy wreszcie doszli do płaskiej skały zawieszanej nad jeziorkiem, upuścił je i podszedł na skraj skały. Zgiął się i skoczył, nurkując rozciął powierzchnię wody prawie jej nie rozpryskując. Po nim skoczyła Antonia. Gdy zaczęli pływać, powierzchnia jeziora rozprysnęła się na słoneczne drzazgi. Słyszała ich podniesione głosy, ich śmiech. Inne głosy, inne światy. „To było dobre, a nic co dobre nigdy nie jest stracone”. Głos Richarda. „On wygląda jak Richard”.

Penelopa nigdy nie pływała z Richardem, bo ich romans był zimowy, wojenny, ale teraz obserwując Danusa i Antonię, poczuła znowu, niemal fizycznie, bo było to coś więcej niż tylko wspomnienie, obezwładniający szok skoku do zimnej wody. Pamiętała to uczucie uniesienia i radości tak wyraźnie, jakby jej ciało było jeszcze młode, nie dotknięte przez chorobę i minione lata. Były też inne przyjemności, inne rozkosze. Słodki dotyk rąk, ramion, ust, ciał. Spokój przychodzący po spełnionej namiętności, radość budzenia się do sennych pocałunków i beztrudnego śmiechu...

Dawno temu, kiedy była jeszcze bardzo mała, papa wprowadził ją w fascynujący i zachwycający świat geometrii przy pomocy cyrkla i dobrze zaostrego ołówka. Nauczyła się rysować wzory, główki kwiatów, płatki, łuki, ale nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż narysowanie po prostu kółka na czystej, białej kartce papieru. Takie precyzyjne, takie delikatne. Ołówek poruszał się, kreśląc linię za sobą i kończąc z cudowną precyzją dokładnie tam, gdzie zaczął.

Koło jest powszechnie przyjętym znakiem nieskończoności, wieczności. Jeśli jej życie było tą uważnie narysowaną przez ołówek linią, to nagle zdała sobie sprawę, że w tym właśnie momencie te dwa końce zbliżają się do siebie. „Koło się zamyka” — powiedziała do siebie i zastanowiła się, co się stało z tymi wszystkimi latami. Było to pytanie, które niepokoiło ją od czasu do czasu i pozostawiało w niej przygnębiające uczucie pustki, zmarnowanego życia. Ale teraz zdawało się, że to pytanie straciło sens i odpowiedź, jakakolwiek by nie była, nie miała żadnego znaczenia.

- Oliwio.
- Mamusia! Co za wspaniała niespodzianka.
- Uświadomiłam sobie, że nie złożyłam ci świątecznych życzeń wielkanocnych. Przepraszam, ale może nie jest za późno. Nie byłam pewna, czy cię zastanę; myślałam, że może jeszcze nie wróciłaś.
- Nie. Właśnie wróciłam, dziś wieczorem. Byłam na Isle of White.
- U kogo byłaś?
- U Blakisonów. Pamiętasz Charlotte? Była redaktorem w Dziale Porad Kulinarynych w *Wenus*, a potem odeszła, żeby założyć rodzinę.
- Dobrze się bawiłaś?

— Bosko. U nich zawsze tak jest. Jedno wielkie przyjęcie, wspaniała zabawa. A wszystko tak doskonale zorganizowane, jakby przychodziło im to bez żadnego wysiłku.

— Czy ten miły Amerykanin był tam z tobą?

— Miły Amerykanin? Ach, chodzi ci o Hanka. Nie, on wrócił do Stanów.

— Myślałam, że on jest szczególnie drogą ci osobą.

— Tak, był. Jest. Skontaktuje się ze mną, kiedy znów przyjedzie do Londynu. Ale mamusiu, opowiedz mi o sobie. Jak wam się żyje?

— Cudownie się bawimy. Tarzamy się w luksusie.

— Najwyższy czas, po tylu latach. Dostałam długi list od Antonii. Wygląda na to, że jest bezgranicznie szczęśliwa.

— Ona i Danus wyjechali dziś na cały dzień. Wzięli samochód i pojechali odwiedzić jakiegoś młodego człowieka, który prowadzi szkółkę drzewek i roślin na sprzedaż. Przypuszczalnie już wrócili.

— Jak Danus się zachowuje?

— Powiedziałybym, że odnosi same sukcesy.

— Czy wciąż tak samo go lubisz?

— Tak samo. A może nawet bardziej. Ale nigdy nie znałam jeszcze człowieka zachowującego się z taką rezerwą. Może to ma coś wspólnego ze szkockim pochodzeniem.

— Czy powiedział ci, dlaczego nie pije alkoholu i nie prowadzi samochodu?

— Nie.

— Przypuszczalnie jest wyleczonym alkoholikiem.

— Jeśli tak jest, to jego sprawa.

— Opowiedz mi, co robiłaś. Czy widziałaś się z Doris?

— Oczywiście. Wygląda kwitnąco. Jak zawsze pełna temperamentu.

A w sobotę spędziliśmy cały dzień na skałach Penjizal. Wczoraj na Tomiast wszyscy troje bradzo grzecznie poszliśmy do kościoła.

— Udane nabożeństwo?

— Wspaniale. Kościół w Porthkerris jest szczególnie piękny i oczywiście tonał w kwiatkach, a w ławkach pełno było ludzi w zadziwiających kapeluszach. Muzyka i śpiew były na wyjątkowym poziomie. Kazanie miał jakiś nudnawy biskup występujący gościnnie, ale muzyka była wystarczającą rekompensatą nawet za nudne kazanie. Nabożeństwo kończyło się procesją i wszyscy wstaliśmy, i zaśpiewaliśmy „For Ali the Saints Who From Their Labours Rest”. Wracając do domu, Antonia i ja orzekłyśmy, że to zdecydowanie jeden z naszych ulubionych hymnów.

" For Ali the Saints Who From Their Labours Rest — Dla Wszystkich Świętych, którzy po swych trudach spoczną, (przyp. tłum.)

Oliwia roześmiała się.

— Och, mamusiu. I to ty mówisz! Nie wiedziałam nawet, że ty w ogóle masz jakiś ulubiony hymn.

— Kochanie, ja nie jestem zupełną ateistką. Po prostu nie umiem nie być z lekka sceptyczna. A Wielkanoc jest szczególnie niepokojąca, ze Zmartwychwstaniem i obietnicą życia pozagrobowego. Nigdy jakoś całkiem nie udaje mi się w to uwierzyć. I chociaż marzyłabym o tym, żeby zobaczyć znowu Sophie i papę, są całe tuziny ludzi, których wcale nie chciałabym zobaczyć. A wyobraź sobie tylko ten tłok! Tak, jakby zaproszono nas na jakieś gigantyczne, nudne przyjęcie, na cocktail party, gdzie spędza się cały czas szukając tych interesujących ludzi, których naprawdę chciałoby się spotkać.

— A co z *Poszukiwaczami muszelek*? Czy widziałas je?

— Wyglądają wspaniale. Zupełnie jak u siebie w domu. Tak, jakby ten obraz wisiał tam od zawsze.

— Nie żałujesz, że go oddałaś?

— Ani przez chwilę.

— A co robisz teraz?

— Wykąpałam się i leżę na łóżku, czytając *Słońce też wschodzi*. Pomyślałam, że zadzwonię do ciebie. Potem zadzwonię do Noela i Nancy i ubiorę się na obiad. Tutaj w restauracji jest zawsze tak wytwornie i jakiś człowiek gra na fortepianie. Całkiem jak w Savoyu.

— Fantastycznie elegancko. A w co się ubierzesz?

— W mój kaftan. Jest mocno poprzecierany, ale jak się przymknie oczy, to dziur nie widać.

— Będziesz wyglądać wspaniale. Kiedy wracasz do domu?

— W środę. Będziemy z powrotem w Podmore's Thatch w środę wieczorem.

— Zadzwonię wtedy do ciebie.

— Zrób to, kochanie. Bóg z tobą.

— Do widzenia, mamusiu.

Wykręciła numer Noela i czekała przez chwilę, ale nikt nie odpowiadał. Odłożyła słuchawkę. Przypuszczalnie nie wrócił jeszcze z jednego ze swoich długich, towarzyskich weekendów na wsi. Znowu podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Nancy.

— Old Vicarage.

— George?

— Tak.

— Mówi Penelopa. Wesołego Alleluja.

— Dziękuję — powiedział George, ale nie odwzajemnił się Penelopie życzeniami.

— Czy Nancy jest w domu?

— Tak, gdzieś tam jest. Czy chcesz z nią mówić?

„Po cóż innego bym dzwoniła, głupi **człowieku?**”

— Jeśli można.

— Poczekaj, zaraz po nią pójde.

Czekała. Miło było tak leżeć. Czuła się odprężona i było jej ciepło. Opierała się wygodnie na dużych, miękkich poduszkach, ale Nancy tak długo nie podchodziła do telefonu, że Penelopa w końcu się zniecierpliwiła. Cóż ta dziewczyna mogła takiego robić? Żeby jej się nie dłużyło, wzięła książkę i nawet zdążyła przeczytać prawie cały rozdział, zanim wreszcie usłyszała:

— Halo.

Odłożyła książkę.

— Nancy. Gdzie byłaś? Na samym końcu ogrodu?

— Nie.

— Mieliście miłe święta?

— Tak, dziękuję.

— A co robiliście?

— Nic szczególnego.

— Mieliście jakichś gości?

— Nie.

Jej głos był lodowaty. To była Nancy w swoim najbardziej nieprzyjemnym, najbardziej obrażonym wydaniu. Co się mogło stać?

— Nancy, co się stało?

— A dlaczego się coś miało stać?

— Nie mam pojęcia. Ale jest jasne, że coś się stało. — Cisza.

— Nancy, myślę, że będzie lepiej, jak mi powiesz.

— Po prostu czuję się... trochę zraniona i urażona. To wszystko.

— Czym? Z jakiego powodu?

— Z jakiego powodu? Tak się pytasz, jakbyś nie wiedziała. Wiesz doskonale z jakiego powodu.

— Nie pytałabym się, gdybym wiedziała.

— A czy tobie nie byłoby przykro, gdybyś była na moim miejscu? Nie mam od ciebie żadnych wiadomości całymi tygodniami. Nic. A kiedy dzwonię do Podmore's Thatch, żeby zaprosić ciebie i Antonię na Święta Wielkanocne do nas, okazuje się, że wyjechałaś. Wyjechałaś do Kornwalii, zabierając ją i tego ogrodnika ze sobą, nie uprzedziwszy ani słowem mnie albo George'a.

A więc o to chodziło.

— Szczerze mówiąc, Nancy, nie sądziłam, żeby cię to mogło interesować.

— To nie jest kwestia zainteresowania. To jest kwestia troski. Wyjechać tak nagle, nie mówiąc nikomu ani słowa! A gdyby coś się przytrafiło, nie wiedzielibyśmy nawet gdzie jesteś.

— Oliwia wiedziała.

— Och, Oliwia. Tak, oczywiście, ona wiedziała i sprawiło jej to wielką satysfakcję, że mogła mnie poinformować, co się stało. To zdumiewające, moim zdaniem, że czujesz się w obowiązku zawiadomić ją, co masz zamiar zrobić, a mnie nie mówisz ani słowa. — Teraz już rozpedziła się na dobre. — Cokolwiek się dzieje, ja dowiaduję się o tym z drugiej ręki od Oliwii. O wszystkim, co robisz. O wszystkim, co zdecydujesz. Zatrudnienie tego ogrodnika. Zaproszenie Antonii, żeby z tobą mieszkała, kiedy ja poświęciłam kilka tygodni i sporo gotówki dając ogłoszenia do gazet, żeby znaleźć gospodynię. Potem sprzedanie panneaux i oddanie „*Poszukiwaczy muszelek*”. Bez porozumienia ze mną ani z George'em. To po prostu trudno pojąć. Jestem w końcu twoim najstarszym dzieckiem. Jeśli już nic innego nie jesteś mi winna, mogłabyś przynajmniej wziąć pod uwagę moje uczucia. A potem to twoje zniknięcie i wyjazd do Kornwalii, dokąd ciagniesz ze sobą Antonię i ogrodnika. Parę zupełnie obcych ludzi. Ale kiedy ja zaproponowałam, żeby Rupert i Melania pojechali z tobą, nie chciałaś nawet zastanowić się nad taką możliwością. Twoje własne wnuki! A ty bierzesz ze sobą parę nieznajomych. O których nikt z nas zupełnie nic nie wie. Oni cię wykorzystują, matko. Musisz to przecież widzieć. Myślą zapewne, że masz miękkie serce, nigdy bym nie uwierzyła, że możesz być tak zaślepią. To wszystko tak bardzo rani... to jest takie bezmyślne...

— Nancy...

— ...jeśli tak zachowywałaś się wobec biednego tatusia, to nie dziwnego, że cię opuścił. Chyba każdy, traktowany w ten sposób, poczułby się odrażonym i nie chcianym. Babcia Keeling zawsze mówiła, że jesteś najbardziej nieczułą kobietą, jaką kiedykolwiek znała. Staramy się troszczyć o ciebie, George i ja, ale doprawdy — nie ułatwiasz nam tego. Wyjechać tak, bez słowa... wydawać taką ilość pieniędzy. Wszyscy wiedzą, ile pobyt w Hotelu Sands będzie cię kosztować... i oddałaś *Poszukiwaczy muszelek* chociaż wiedziałaś, jak bardzo my wszyscy potrzebujemy... to tak boli...

Wszystkie urazy i żale od dawna skrywane wylały się teraz potokiem wyrzutów. Nancy, która doprowadziła się do takiej histerii, że prawie nie można już było zrozumieć co mówi, nareszcie zabrakło tchu i Penelopa mogła w końcu wtrącić parę słów.

— Czy już skończyłaś — zapytała uprzejmie. Nancy milczała. — Czy mogę teraz coś powiedzieć?

— Jeśli sobie tego życzysz.

— Zadzwoiłam do ciebie, żeby życzyć ci wesołych świąt Wielkiejnocy, a nie — żeby się kłócić. Ale jeśli koniecznie chcesz się kłócić, to proszę bardzo. Sprzedając panneaux, po prostu zrobiłam to, do czego ty i Noel zachęcaliście mnie od dawna. Dostałam za nie sto tysięcy, co Oliwia zapewne ci powiedziała, i po raz pierwszy w życiu postanowiłam wydać trochę tych pieniędzy na siebie. Wiedziałaś, że chciałam odwiedzić

Porthkerris, bo prosiłam cię, żebyś pojechała ze mną. Prosiłam też Noela i Oliwię także. Wszyscy znaleźliście jakieś wymówki. Nikt z was nie chciał ze mną jechać.

— Matko, podałam ci moje powody...

— Wymówki — powtórzyła Penelopa z naciskiem. — Nie miałam zamiaru przyjeżdżać tu sama. Chciałam mieć miłe towarzystwo, kogoś, kto dzieliłby ze mną moją radość. A więc Antonia i Danus pojechali ze mną. Nie jestem jeszcze tak zniedołężniała i nie mam takiej sklerozy, żebym nie umiała dobrać sobie przyjaciół. A jeśli chodzi o *Poszukiwaczy muszelek*, ten obraz był mój. Nie zapominaj o tym. Papa podarował mi go jako prezent ślubny, a teraz wisi w Galerii Sztuki w Porthkerris i czuję się tak, jakbym po prostu oddała go ojcu. Jemu i tysiącom zwykłych ludzi, którzy będą teraz mogli pójść i popatrzeć na niego i być może doświadczyć tej przyjemności i tej pociechy, jakich ja dzięki niemu zawsze doznawałam.

— Nie masz nawet pojęcia, ile on był wart.

— Mam o tym o wiele, wiele lepsze pojęcie, niż ty kiedykolwiek miałaś. Mieszkałaś z tym obrazem całe życie i prawie nigdy nawet na nim nie zatrzymałaś wzroku.

— Nie o to mi chodziło.

— Wiem, że nie o to.

— To tak... — Nancy rozpaczliwie szukała słów. — To tak, jakbyś naprawdę umyślnie chciała nas zranić... jakbyś nas nie lubiła...

— Och, Nancy.

— ... i dlatego to zawsze Oliwii wszystko mówisz, a mnie nigdy?

— Może dlatego, że tobie jest trudno zrozumieć prawie wszystko, co ja robię.

— Jak mogę zrozumieć, kiedy ty zachowujesz się w tak dziwaczny sposób i nigdy mnie w nic nie wtajemniczasz... traktujesz mnie jak idiotkę... Zawsze liczyła się tylko Oliwia. Zawsze kochałaś Oliwię. Kiedy byliśmy dziećmi, to zawsze zwracałaś uwagę tylko na Oliwię, taką zdolną i taką uroczą. Mnie nigdy nie próbowałaś zrozumieć... gdyby nie babcia Keeling...

Osiągnęła już w tym momencie stan takiego rozczulenia się nad samą sobą i takiego rozżalenia, że gotowa była ropamiętywać każdą wyimaginowaną krzywdę, która spotkała ją w przeszłości. Penelopa, coraz bardziej wyczerpana tą rozmową, zdała sobie nagle sprawę, że nie może już tego dłużej znieść. Już i tak za długo była cierpliwa, ale żeby musieć wysłuchiwać dziecinne szloch czterdziestotrzyletniej kobiety, tego już było za wiele. Powiedziała:

— Nancy, sądzę, że powinniśmy skończyć tę rozmowę.

— ... naprawdę nie wiem, co bym była zrobiła bez babci Keeling. Jej obecność uczyniła moje życie możliwym...

— Do widzenia, Nancy.

— ... bo ty nigdy nie miałaś dla mnie czasu... nic mi nigdy nie dawałaś... — Penelopa powoli, ostrożnie odłożyła słuchawkę. Podniesiony, gniewny głos ucichł. Bogu dzięki. W otwartym oknie cieniutkie firanki poruszały się lekko na wietrze. Jej serce, jak zawsze po tak nieprzyjemnych i poruszających ją scenach, łomotało jak szalone. Sięgnęła po pastylki, wzięła dwie i popiła wodą. Opadła na poduszki i zamknęła oczy. Miała ochotę po prostu się poddać. Czuła się kompletnie wyczerpana i przez moment była bliska załamania, a nawet łez. Ale, nie, nie pozwoli, żeby Nancy tak bardzo ją wzburzyła. Nie rozpłacze się.

Po pewnym czasie, kiedy jej serce trochę się uspokoiło, odsunęła przykrywający ją koc i wstała z łóżka. Miała na sobie chłodny, zwiewny szlafrok, a jej długie włosy były rozpuszczone. Podeszła do toaletki i usiadła, przyglądając się bez większej satysfakcji swojemu odbiciu. Potem sięgnęła po szczotkę i zaczęła wolno posuwistymi, kojącymi ruchami szczotkować włosy.

„Zawsze liczyła się tylko Oliwia. Zawsze kochałaś Oliwię”.

To była prawda. Od momentu, w którym Oliwia się urodziła, bo kiedy Penelopa pierwszy raz zobaczyła to malutkie, ciemnowłose dzieciątko z nosem za dużym jak na tę małą, brzydką twarzyczkę, doświadczyła niesamowitego uczucia wyjątkowej bliskości. Z powodu Richarda Oliwia była wyjątkowa. Ale to wszystko. Nigdy nie kochała jej bardziej niż Nancy czy Noela. Kochała ich wszystkich, kochała bardzo swoje dzieci. Każde kochała najbardziej, ale każde z innego powodu. Odkryła, że miłość posiadała przedziwną moc pomnażania się. Podwajała się, potrajała, tak że z nadejściem każdego następnego dziecka, zawsze starczało jej dla wszystkich. A Nancy, pierworodna, otrzymała większą porcję miłości i uwagi, niż na to zasługiwała. Pomyślała o tej malutkiej Nancy, takiej okrągłutkiej i miłej, maszerującej po ogrodzie w Carn Cottage trochę chwiejnym krokiem na swoich grubiućkich nóżkach. Goniące kury, pchające taczki, które zrobił dla niej Ernie, pieszczona i psuta przez Doris, wiecznie otoczona kochającymi ramionami i uśmiechniętymi twarzami. Co się stało z tą małą dziewczynką? Czy było możliwe, żeby Nancy w ogóle nie pamiętała nic z tych dawnych dni?

Było to bardzo smutne, ale zdawało się, że tak właśnie było.

„Nic mi nigdy nie dawałaś”.

To nie była prawda. Wiedziała, że to nie była prawda. Dała Nancy to, co dała wszystkim swoim dzieciom. Dom, bezpieczeństwo, swoją miłość i zainteresowanie; miejsce, do którego mogły przyprowadzać swoich przyjaciół, mocne, solidne drzwi frontowe chroniące je i zabezpieczające przed zewnętrznym światem. Myślała o dużej suterenie na ulicy Oakley, pachnącej czosnkiem i przyprawami, ciepłej i przytulnej, z dużym piecem i ogniem na kominku. Pamiętała ich wszystkich, jak wpadali do kuchni

w zimowe, ciemne wieczory, ćwierkając jak wróble, zawsze głodni i rzuciwszy tornistry na podłogę, zdierali z siebie płaszcze, po czym siadali do stołu, żeby szybko zjeść ogromne ilości kiełbasek, makaronu, kotlecików rybnych, gorące, posmarowane masłem grzanki, placek ze śliwkami i wypić kakao. Pamiętała ten cudowny pokój w czasie świąt Bożego Narodzenia, pachnący choinką, z mnóstwem świątecznych kartek pozawieszanych jak pranie na czerwonych wstążeczkach. Przypomniała sobie, jak było w lecie. Otwarte okna wychodzące na ogród, cienie drzew, zapach liści tytoniu rosnącego w ogrodzie zmieszany z wonią kwiatów. Myślała o dzieciach, które bawiły się, wrzeszcząc niemiłosiernie, w tym ogrodzie. Nancy była jednym z nich.

Wszystko to dała Nancy, ale nie mogła dać jej tego, czego ona chciała (Nancy nigdy nie mówiła: „chciała”, mówiła: „potrzebowała”), ponieważ nigdy nie było ich stać na piękne przedmioty i luksusowe stroje, o których marzyła dziewczyna. Eleganckie sukienki na zabawy, wózki dla lalek, kucyk, prywatna szkoła z internatem, bal debutantki i karnawałowy sezon w Londynie. Wystawny i pretensjonalny ślub był szczytem marzeń i ambicji Nancy i to właśnie marzenie udało jej się spełnić dzięki interwencji Dolly Keeling, która zorganizowała i zapłaciła rachunek za tę całą ekstrawagancką i żenującą aferę.

W końcu odłożyła szcztokę. Była ciągle jeszcze wściekła na Nancy, ale ta prosta czynność trochę ją uspokoiła. Gdy wyglądała porządniej, czuła się lepiej, czuła się silniejsza, opanowana, zdolna do podejmowania decyzji. Zwinęła włosy w węzeł, sięgnęła po szylkretowe spinki i upięła nimi włosy.

W pół godziny później, kiedy Antonia przyszła jej szukać, Penelopa była już z powrotem w łóżku. Na pół siedząc, wsparta na poduszkach, mając pod ręką potrzebne jej przedmioty i z książką na podołku. Usłyszała pukanie do drzwi i głos Antonii:

— Penelopo?

— Wejdz proszę.

Drzwi się otwały i ukazała się w nich głowa Antonii.

— Przyszłam tylko... — Weszła do pokoju i zamknęła drzwi za sobą. — Jesteś w łóżku! — Wyraz jej twarzy był ogromnie zatroskany. — Co się stało? Jesteś chora?

Penelopa zamknęła książkę.

— Nie. Nie jestem chora. Po prostu trochę zmęczona. Nie mam ochoty schodzić dziś na kolację. Przykro mi. Czekaliście na mnie?

— Niedługo. — Antonia siadła na brzegu łóżka. — Zeszliśmy do baru, a kiedy nie pojawiłaś się, Danus przysłał mnie na górę, żebym sprawdziła, czy coś się nie stało.

Antonia była ubrana w wieczorowy strój. Miała na sobie wąską, czarną spódnicę i luźną, kremową, bluzkę z satyny, tę, którą kupiły razem

w Cheltenham, przepasaną paskiem. Błyszczące, złoto-miedziane włosy spływały do ramion dziewczyny, a na jej twarzy o naturalnie pięknej cerze, jak świeże jabłko, nie było nawet śladu żadnych Kosmetyków. Z wyjątki-
nych rzęs.

— Nie chcesz nic do jedzenia? Może chcesz, żebym zadzwoniła na obsługę hotelową i zamówiła dla ciebie kolację do pokoju?

— Może później. Ale mogę to zrobić sama.

— Przypuszczam — powiedziała Antonia oskarżycielskim tonem — że za bardzo się przemęczyłaś, zbyt daleko chodziłaś, bo nie było ani Danusa, ani mnie, by cię przypilnować, żebyś tego nie robiła.

— Wcale się nie przemęczyłam. Tylko się rozgniewałam.

— Ale o cóż mogłaś się rozgniewać?

— Zadzwoniłam do Nancy, żeby życzyć jej Wesołych Świąt, a w odpowiedzi usłyszałam stek wyzwisk.

— Ależ to obrzydliwe z jej strony. Ale o co poszło? ^

— Och, o wszystko. Zdaje się, że ona uważa, iż robię się niepczytalna ze starości i sklerozy. Twierdzi także, że zaniedbywałam ją, gdy była dzieckiem, że wszystko przed nią ukrywam, jestem nieodpowiedzialna, nie umiem sobie dobrać przyjaciół. Sądzę, że to rozżalenie wzbierało w niej już od jakiegoś czasu, ale to, że wzięłam ciebie i Danusa do Porthkerris, okazało się kroplą, która przepełniła czarę goryczy. No i wszystko to, co się wylało, zostało wylane na mnie. — Uśmiechnęła się. — No cóż, lepiej umieć to z siebie wyrzucić niż dusić w sobie, jak mój kochany papa zawsze mawiał.

Antonia jednak nadal była oburzona.

— Jak ona mogła tak cię zdenerwować i tak cię zmartwić? t

— Nie dałam się aż tak zdenerwować i zmartwić. Zamiast tego rozgniewałam się na nią. To o wiele zdrowsze. A poza tym trzeba przyznać, że prawie każda sytuacja ma swoją drugą, komiczną stronę. Odłożyłam słuchawkę, gdy ona ciągle jeszcze mówiła do mnie i wyobraziłam sobie, jak cała wzburzona, wpada jak czołg do George'a, zalewając się łzami i wyglądając okropnie, i teraz on z kolei musi wysłuchać opowieści o nikczemnych sprawkach jej zniedołężniałej matki. A George schowa się za *Timesa*, nie mówiąc ani słowa. On zawsze był jednym z najbardziej niekomunikatywnych mężczyzn, jakich znałam. Dlaczego Nancy w ogóle wybrała go na męża, pozostanie dla mnie zagadką. Nic dziwnego, że ich dzieci są takie do niczego. Gburowaty Rupert i Melania z ponurym wejrzeniem żująca bez przerwy ogony swoich pluszowych kucyków.

— Coś mi się zdaje, że nie darzysz ich zbyt dużą sympatią.

— Masz rację. Jestem w tej chwili złośliwa. Ale cieszę się, że to się stało, bo pomogło mi się zdecydować. Mam zamiar dać ci prezent.

Jej ogromna skórzana torba stała na stoliczku przy łóżku. Sięgnęła po nią i zanurzyła rękę w przepastnej głębi, szukając czegoś. Po chwili znalazła to, o co jej chodziło. Wyciągnęła nieco sfatygowane skórzane puzderko.

— Masz — powiedziała i wręczyła je Antonii. — Są dla ciebie.

— Dla mnie?

— Tak. Chcę, żebyś je miała. Weź to i otwórz.

Prawie że niechętnie Antonia wzięła puzderko, przycisnęła mały guzik i wieczko odskoczyło. Penelopa patrzyła na jej twarz. Zobaczyła, jak jej oczy rozszerzyły się z wyrazem niedowierzania, a usta otworzyły się ze zdumienia.

— Ale... one nie są dla mnie.

— Są. Daję ci je. Chcę, żeby były twoje. Kolczyki cici Ethel. Zostawiła je mnie, kiedy umarła, a ja wzięłam je ze sobą na Ibizę i miałam na sobie na przyjęciu Kośmy i Oliwii. Pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam. Nie możesz mi ich dać. Jestem pewna, że są zbyt cenne.

— Na pewno nie bardziej niż nasza przyjaźń. Na pewno nie są warte więcej niż radość, jaką mi dajesz.

— Ale one muszą być warte tysiące funtów.

— Zdaje się, że cztery tysiące. Nigdy nie stać mnie było na ich ubezpieczenie, więc musiałam je trzymać w banku. Wzięłam je stamtąd tego dnia, kiedy pojechaliśmy do Cheltenham. Ciebie zapewne też nie będzie stać na ich ubezpieczenie, więc będą przypuszczalnie musiały wrócić do banku. Biedactwa, nie mają zbyt ciekawego życia, prawda? Ale teraz możesz je włożyć, możesz je mieć na sobie dziś wieczór. Masz przekłute uszy, więc nie ma problemu. Włóż i zobaczymy, jak wyglądają.

Lecz Antonia ciągle jeszcze się wahała.

— Penelopo, jeśli one są warte tyle pieniędzy, czy nie powinnaś ich zachować dla Oliwii albo dla Nancy? Albo dla twojej wnuczki. Może Melania powinna je dostać.

— Oliwia na pewno będzie chciała, żebyś ty je dostała, wiem o tym. Będą jej przypominać Ibizę i Kosmę i zgodzi się, że to jak najbardziej na miejscu, żeby były twoje. A Nancy stała się w tak natrętny sposób pazerna i materialistyczna, że nie zasługuje na nic. Zaś jeśli chodzi o Melanię, wątpię, żeby kiedykolwiek nauczyła się docenić ich piękno. A teraz — włóż je.

Antonia, wciąż jeszcze wyglądając jakby miała wątpliwości, zrobiła to, o co prosiła Penelopa, wyjmując kolczyki jeden po drugim z wytartego aksamitu i przewlekając złote druciki przez dziurki w uszach. Odgarnęła włosy do tyłu.

— No i jak wyglądają?

— Idealnie. Właśnie tego potrzebowałaś, żeby dodać blasku temu pięknemu strojowi, który masz na sobie. Idź do lustra i zobacz sama.

Antonia wstała z brzegu łóżka i przeszła przez pokój w kierunku toaletki. Penelopa obserwowała jej odbicie w lustrze i pomyślała, że chyba nigdy jeszcze nie widziała tak fantastycznie wyglądającej dziewczyny.

— Są jakby stworzone dla ciebie. Trzeba być wysoką, żeby móc nosić tak wspaniałą biżuterię. A jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w finansowych tarapatkach, możesz zawsze dać je w zastaw. Takie małe zabezpieczenie, skarbczyk, na który możesz liczyć w razie czego.

Ale Antonia milczała, nie mogąc wymówić słowa z wrażenia, jakie zrobiła na niej wspaniałość tego podarunku. Wreszcie, po dłuższej chwili, odwróciła się od lustra i podeszła do leżącej Penelopy. Pokręciła głową mówiąc:

— To dla mnie zagadka. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jesteś dla mnie taka dobra.

— Pewnego dnia, kiedy będziesz w moim wieku, znajdziesz chyba odpowiedź na to pytanie.

— Zrobię z tobą taką umowę. Będę je miała na sobie dziś wieczór, ale jutro rano może się rozmyślisz i jeśli tak będzie, to ci je oddam.

— Nie rozmyślę się. Teraz, kiedy widziałam je już na tobie, jestem więcej niż pewna, że powinny należeć do ciebie. Ale nie mówmy już o nich więcej. Usiądź tu znowu i opowiedz mi, jak spędziliście ten dzień. Danus na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Może poczekać jeszcze dziesięć minut. A ja chcę dowiedzieć się o wszystkim. Prawda, jakie śliczne jest to południowe wybrzeże? Takie inne niż tutaj, nic tylko lasy i woda. Spędziłam tam kiedyś tydzień w czasie wojny. W domu z ogrodem, który schodził ku rzeczulce. Wszędzie pełno było żonkili, a na molo siadywały małe mewy. Czasami zastanawiam się, co się stało z tym domem i kto tam teraz mieszka. — Ale to wszystko było nie na temat. — A więc, gdzie pojechaliście? I co widzieliście? I czy dobrze się bawiliście?

— Tak, było pięknie. Miło się tam jechało i cała wyprawa była bardzo interesująca. Widzieliśmy ten ogromny ogród, który jest równocześnie magazynem i sklepem, z mnóstwem szklarni, a oprócz tego jest także budynek sklepowy, w którym ludzie mogą kupować rośliny doniczkowe, konewki i różne takie drobiazgi. Mają tam plantację pomidorów i wczesnych ziemniaków, i różnych egzotycznych jarzyn, jak na przykład rzadkie gatunki groszku.

— Kto jest właścicielem tego wszystkiego?

— Ludzie nazwiskiem Ashley. Everard Ashley był na studiach ogrodniczych razem z Danusem. Dlatego pojechaliśmy tam.

Zamilkła, tak jakby to było wszystko, co miała do powiedzenia. Penelopa czekała na dalszy ciąg opowieści, ale Antonia najwyraźniej nie miała zamiaru kontynuować relacji. Taka malomówność nie była w jej stylu. Penelopa spojrzała bystro na Antonię, ale ta spuściła oczy i bawiła się trzymanym w rękach puzderkiem, otwierając je i zamykając. Penelopa poczuła, że sytuacja robi się niezręczna. Coś było nie tak. Łagodnie próbowała podpowiedzieć jej jakiś temat.

— A gdzie jedliście lunch?

— U państwa Ashley, w ich domu

Wizja uroczego zajazdu, lunch we dwoje w pubie, w miłej, intymnej atmosferze, zbladła i zniknęła. ^

— Czy Everard jest żonaty?

— Nie. Mieszka z rodzicami. Gospodarstwo należy do jego ojca, ale interes prowadzą razem.

— A Danus chciałby kiedyś założyć podobną firmę?

— Tak mówi.

— Omawiałaś to z nim?

— Tak. W pewnym sensie.

— Antonio, co się dzieje?

— Nie wiem.

— Pokłóciliście się?

— Nie.

— Ale coś się stało.

— Nic się nie stało. W tym właśnie tkwi cały problem. Udaje mi się dojść do pewnego punktu i ani kroku dalej. Mam wrażenie, że go znam. Wydaje mi się, że jesteśmy sobie bliscy, a wtedy on zasłania się tą swoją rezerwą. Czuję się tak, jakby zatrzęsnięto mi drzwi przed nosem.

— Lubisz go, prawda?

— O tak. — Łza zaczęła spływać spod spuszczonej rzęs i potoczyła się w dół po policzku Antonii.

— Myślę, że jesteś w nim zakochana.

Długa cisza. Antonia skinęła głową.

— Ale myślisz, że on nie jest zakochany w tobie?

Łzy płynęły teraz szybko. Antonia podniosła rękę i otarła je.

— Nie wiem. Chyba nie mógłby być. Spędziliśmy ze sobą tyle czasu w ciągu tych ostatnich paru tygodni... na pewno już teraz musi sobie zdawać sprawę, w taki sposób czy w inny... Istnieje jakaś granica, zza której nie można już zawrócić i mnie się zdaje, żeśmy ją przekroczyli.

— To moja wina — powiedziała Penelopa. — Masz... — Sięgnęła do nocnego stolika i podała dziewczynie parę chusteczek. Antonia energicznie wytarła nos. Kiedy już to zrobiła, zapytała:

— A dlaczego by to miała być twoja wina?

— Bo myślałam tylko o sobie. Samolubna stara kobieta ze mnie.

Chciałam mieć towarzystwo, więc zaprosiłam ciebie i Danusa, żebyście przyjechali tu ze mną. Może też trochę mieszałam się do nie swoich spraw. Swatanie. To zawsze fatalny pomysł. Myślałam, że jestem taka mądra i sprytna. Ale być może to wszystko było okropnym błędem.

Antonia wyglądała na zrozpaczoną.

— Penelopo, co z nim jest, że on jest taki dziwny?

— Podchodzi do innych z wielką rezerwą.

— To coś więcej niż rezerwa.

— Może duma.

— Zbyt dumny, żeby kochać?

— Nie całkiem to. Ale wydaje mi się, że on nie ma pieniędzy. Wie, czego chce, ale nie ma gotówki, żeby móc wystartować. Założenie jakiegokolwiek interesu dzisiaj wymaga sporego kapitału. A więc, on nie ma przed sobą żadnych widoków na przyszłość. Prawdopodobnie uważa, że nie może sobie pozwolić na poważne zaangażowanie się uczuciowe.

— Zaangażowanie uczuciowe niekoniecznie musi od razu oznaczać małżeństwo.

— Myślę, że dla takiego człowieka jak Danus, chyba oznaczałoby właśnie to.

— Mogłabym po prostu tylko być z nim. Coś byśmy razem wykombinowali. Bardzo dobrze nam się razem pracuje. W każdym prawie sensie tego słowa.

— Czy powiedziałaś mu to?

— Nie mogę. Próbowałam, ale nie mogę.

— No to myślę, że musisz spróbować jeszcze raz. Dla twojego dobra i dla jego dobra. Powiedz mu, jakie są twoje uczucia. Wyłóż karty na stół. Jesteście dobrymi przyjaciółmi, jeśli nawet nie czymś więcej. Na pewno możesz być z nim szczerą, prawdą?

— Masz na myśli, żeby mu powiedzieć, że go kocham, że chcę z nim spędzić całą resztę życia i że nie ma dla mnie żadnego znaczenia fakt, iż jest bez grosza i że nawet mi nie zależy czy się ze mną ożeni, czy nie?

— Powiedziane w ten sposób — przynaję — brzmi trochę gruboskórnie. Ale... tak, przypuszczam, że mniej więcej to miałam na myśli.

— A jeśli on mi powie, żebym poszła swoją drogą i zostawiła go?

— Będzie cię to okropnie bolało, będziesz cała posiniaczona, ale przynajmniej będziesz wiedzieć, na czym stoisz. A z jakiegoś powodu, nie wydaje mi się, żeby ci tak powiedział. Myślę, że będzie z tobą szczerą i że się okaże, iż przyczyny jego zachowania nie mają nic wspólnego z waszym związkiem.

— Ale jakie to mogą być przyczyny?

— Nie wiem. Bardzo chciałabym je znać. Chciałabym wiedzieć,

dlaczego nigdy nie pije alkoholu i nie prowadzi samochodu. Oczywiście to nie moja sprawa, ale chciałabym, żeby mi powiedziano. On coś ukrywa, tego jestem pewna. Ale znając go, nie mogę uwierzyć, że to coś wstydlivego.

— Nie przeszkadzałyby mi to, naprawdę, nawet gdyby tak było.
— Antonia przestała płakać. Jeszcze raz wytarła nos i dodała: — Przepraszam, nie chciałam tak się mazgać.

— Czasami lepiej się wypłakać. Lepiej to z siebie wyrzucić.

— To po prostu dlatego, że on jest pierwszym mężczyzną, który wydał mi się atrakcyjny i do którego się zbliżyłam. Może, gdyby przedtem były całe tłumy innych, umiałabym sobie lepiej z tym radzić. Ale nic nie poradzę na to, co do niego czuję i nie mogę znieść myśli, że miałabym go utracić. Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy w Podmore's Thatch, wiedziałam, że on jest wyjątkowy i że to będzie ktoś bardzo ważny dla mnie. I jakoś, póki byliśmy tam, wszystko było w porządku. Wszystko było łatwe, naturalne, mogliśmy rozmawiać, pracować razem, sadić razem roślinki i znakomicie się rozumieliśmy. Ale tu jest inaczej. Wszystko zmieniło się w jakąś zupełnie nierealną sytuację, nad którą ja w ogóle nie panuję...

— Och, kochanie, to moja wina. Tak mi przykro. Myślałam, że to będzie takie romantyczne i cudowne dla ciebie. Nie możesz już więcej płakać. Twoja śliczna buzia będzie wyglądać okropnie i zepsujesz sobie całą wieczór...

— Tak bym chciała nie być sobą... — wybuchnęła nagle Antonia.

— Chciałabym być Oliwią. Oliwia nigdy by się nie wpakowała w taką okropną sytuację.

— Nie jesteś Oliwią. Jesteś sobą. Jesteś piękna i jesteś młoda. Wszystko przed tobą. Nigdy nie mów, że chcesz być kimś innym, nawet Oliwią.

— Ona jest taka silna. Taka mądra.

— Ty też taka będziesz. Umyjesz twarz i uczeszysz się, zejdiesz do baru i powiesz Danusowi, że ja mam zamiar spędzić dzisiejszy wieczór sama, cichy wieczór w moim własnym towarzystwie, a potem pójdziesz z nim na drinka, zjecie razem elegancką kolację, w czasie której powiesz mu wszystko to, co powiedziałaś mnie. Nie jesteś dzieckiem. Żadne z was nie jest już dzieckiem. Ta sytuacja nie może tak trwać dalej. Nie pozwolę, żebyś miała się unieszczęśliwiać. Danus jest dobrym człowiekiem. Cokolwiek się stanie i cokolwiek ci powie, na pewno nigdy nie zechce cię umyślnie zranić.

— Wiem.

Pocałowały się. Antonia wstała i poszła do łazienki umyć twarz. Za chwilę pojawiła się, podeszła do toaletki i przy pomocy grzebienia Penelopy poprawiła fryzurę.

- Kolczyki przyniosą ci szczęście — powiedziała jej Penelopa.
- I dadzą ci pewności siebie. A teraz pośpiesz się, już czas, żebyś poszła. Danus będzie się zastanawiał, co się z nami stało. I pamiętaj, mów śmiało i nie bój się. Musisz być uczciwa i mówić całą prawdę.
- Spróbuję.
- Dobranoc, kochanie.
- Dobranoc.

DANUS

Wstawał jeszcze jeden pogodny poranek o bezchmurnym niebie. Penelopę obudziły przyjemne, łatwo rozpoznawalne dźwięki — łagodny szum fal zalewających plażę daleko w dole, pokrzykujące mewy i drozd, tuż pod jej oknem rozprawiający głośno o tym czy owym, samochód podjeżdżający pod dom, szcęk zmienianych biegów, szum opon na żwirze, pogwizdywanie mężczyzny.

Było dziesięć po ósmej. Spała dwanaście okrągłych godzin. Czuła się wypoczęta, pełna energii i bardzo głodna. Był wtorek. Ostatni dzień ich wakacyjnej wyprawy. Uświadomienie sobie tego faktu zasmuciło ją trochę. Jutro rano muszą się spakować i wyruszyć w drogę powrotną do Gloucestershire. Będzie to długa jazda. Został więc tylko jeden dzień i powinna się pospieszyć z załatwieniem pewnych swoich spraw, których dotąd nie załatwiła, a na których jej zależało. Leżała, układając w głowie listę tych spraw, ten jeden raz egoistycznie na pierwszym miejscu stawiając własne interesy. Danus i Antonia, i trudna sytuacja, w której się znaleźli, muszą tym razem trochę poczekać. Później pomyśli o ich problemach. Później porozmawia z nimi. W tej chwili jej czas musi należeć do niej.

Wstała, wykąpała się, uczesała włosy i ubrała się. A potem, świeża i pachnąca, usiadła przy biureczku znajdującym się w jej pokoju i na grubym, wytłaczanym, drogim papierze listowym ze znakiem firmowym hotelu napisała list do Oliwii. Nie był to długi list, raczej notatka informująca Oliwię, że podarowała Antonii kolczyki od cioci Ethel. Z jakiegoś powodu było ważne, żeby Oliwia o tym wiedziała. Włożyła list do koperty, zaadresowała ją, nakleiła znaczek i zakleiła kopertę. Po czym wzięła swoją torebkę, klucze i poszła na dół.

Hol był pusty. Przez otwarte obrotowe drzwi wpadło chłodne powietrze pełne porannych zapachów. Tylko portier stał na swoim posterunku, a przy recepcji kobieta w niebieskim kombinezonie od-

kurzała dywan. Powiedziała „dzień dobry” każdemu z nich i wrzuciła list do skrzynki, a potem udała się do jadalni, żeby zamówić sobie śniadanie. Sok pomarańczowy, dwa jajka na miękko, grzanki z marmoladą z pomarańczy i czarna kawa. Kiedy kończyła już swoje śniadanie pojawiło się kilku gości hotelowych, zajęli miejsca, otwierali gazety i rozmawiali o tym, co będą robić w ten zaczynający się właśnie dzień. Planowano grę w golfa i zwiedzanie. Penelopa przysłuchiwała się i była zadowolona, że nie musi brać pod uwagę żadnej innej osoby. Wciąż nie było jeszcze ani śladu Danusa czy Antonii i za to, choć ze wstydem, była wdzięczna.

Opuściła jadalnię. Było prawie wpół do dziesiątej. Przechodząc przez hol zatrzymała się przy ladzie recepcji.

— Idę na dół do galerii sztuki. Czy wie pan, o której ją otwierają?

— Sądzę, że około dziesiątej, pani Keeling. Czy jedzie pani samochodem?

— Nie. Pójdę na piechotę. Jest taki piękny ranek. Ale może, gdybym zadzwoniła tu, kiedy będę już gotowa do powrotu, mógłby pan załatwić, żeby przyjechała tam po mnie taksówka.

— Oczywiście.

— Dziękuję.

Opuściła recepcję i wyszła z budynku. Światło słońca i słodkie podmuchy chłodnego, świeżego powietrza sprawiały jej ogromną przyjemność. Czuła się wolna i beztroska. Kiedy była dzieckiem, sobotnie poranki dawały jej właśnie takie poczucie: wolnego czasu, który można było wypełnić, jak się chciało, niespodziewanymi przyjemnościami. Szła powoli, delektując się zapachami i dźwiękami, przystając co parę kroków, żeby przypatrzeć się ogrodom, rozległemu widokowi migoczącej zatoki, człowiekowi z psem przechadzającemu się po plaży daleko w dole. W ten sposób, kiedy zeszła z drogi prowadzącej do portu i skręciła w wąską, brukowaną uliczkę biegnącą do galerii, zobaczyła, że jej drzwi były już otwarte. Lecz o tak wczesnej godzinie i o tej porze roku było zrozumiałe, że zastała ją opustoszałą, za wyjątkiem młodego człowieka, który siedział za biurkiem przy wejściu. Było to indywidualium o trupim wyglądzie, z długimi lokami, w połatanych dżinsach i ogromnym swetrze w kropki. Ziewał tak, jakby w ogóle tej nocy nie spał, ale kiedy pojawiła się Penelopa, stłumił ziewnięcie, poprawił się na krześle i zaproponował jej kupno katalogu.

— Nie, dziękuję. Nie potrzebuję katalogu. Może później kupię parę pocztówek.

Okropnie wyczerpany, wrócił do poprzedniej pozycji. Zastanawiała się, kto mógł uważać za stosowne zatrudnienie go w galerii sztuki, aż w końcu doszła do wniosku, że zapewne wykonywał tę pracę z miłości.

Poszukiwacze muszelek czekali na nią. W swoim nowym domu robili duże wrażenie. Wisieli w samym środku wysokiej ściany bez okien. Przeszła przez salę słuchając, jak jej kroki odbijają się echem, i usiadła wygodnie na starej skórzanej kanapie, na której lata temu siadywała z papa.

Miał rację. Przybyło prac młodych artystów, tak jak to przepowiedział. Po obu stronach *Poszukiwaczy muszelek* wisały teraz dzieła abstrakcjonistów i prymitywistów, mieniające się wprost wszystkimi kolorami tęczy, pełne światła i życia. Zniknęły gdzieś obrazy pomniejszych artystów (*Łódzie rybackie nocą* i *Kwiaty w oknie*), które zapełniały puste ściany w dawnych czasach. Teraz rozpoznawała tu prace innych malarzy, nowych artystów, którzy zajęli ich miejsce. Ben Nicholson, Peter Lanyon, Brian Winter, Patrick Heron. Ale w najmniejszym nawet stopniu nie przytłaczały one *Poszukiwaczy muszelek*. Raczej podkreślały jeszcze te niebieskości i szarości, i ich migoczące odbicia na ulubionym obrazie papy. Stwierdziła, że było to trochę tak, jakby się weszło do pokoju, w którym stoi mnóstwo pięknych mebli, zarówno tradycyjnych jak i uderzająco nowoczesnych, ale w tym zestawieniu nie ma nic rażącego i nic się ze sobą nie gryzie, po prostu dlatego, że każdy mebel jest dziełem rzemieślnika i każdy jest najlepszym przykładem stylu danej epoki.

Usadowiła się wygodnie, zadowolona i pogodna, żeby urządzić sobie ucztę dla oczu.

Kiedy nadszedł następny gość, przerywając panującą ciszę, prawie że tego nie zauważyła. Usłyszała szmer krótkiej rozmowy. Potem kroki zbliżające się powoli. I nagle było tak jak przed laty, w ten wietrzny sierpniowy dzień w czasie wojny. Miała znowu dwadzieścia trzy lata, w jej tenisówkach były dziury, a obok siedział papa. I Richard wszedł do galerii i w ich życie. Papa powiedział mu: „Przyjdą malować ciepło słońca i kolor wiatru”. I tak to się wszystko zaczęło.

Kroki zbliżały się. Stał tam czekając, aż zwróci na niego uwagę. Odwróciła głowę. Myśląc o Richardzie zobaczyła Danusa. Zdezorientowana, zgubiona w czasie, spojrzała na niego i wydał jej się kimś obcym.

— Przeszkadzam ci — powiedział.

Jego znajomy głos przerwał ten dziwny czar. Wzięła się w garść, otrząsnęła ze wspomnień i panując znów nad sobą, uśmiechnęła się.

— Oczywiście, że nie. Byłam gdzieś daleko, w przeszłości.

— Może powinienem zostawić cię w spokoju?

— Nie, nie. — Był sam. Miał na sobie granatowy sweter. Obserwując ją z dziwnym blaskiem w intensywnie niebieskich oczach ani razu nie mrugnął powiekami. — Żegnaj się z *Poszukiwaczami muszelek*. — Przesunęła się i poklepała wytartą skórę kanapy obok siebie. — Chodź i przyłącz się do mojego samotnego pożegnania spotkania.

Usiadł, na pół obrócony w jej stronę, **kładąc** jedną rękę **wzdłuż** oparcia kanapy i zakładając nogę na nogę.

— Czy lepiej się czujesz dziś rano?

Nie przypominała sobie, żeby była chora.

— Lepiej?

— Wczoraj wieczorem Antonia powiedziała, że źle się czułaś.

— Ach, to. — Machnęła ręką. — Byłam tylko trochę zmęczona. Dziś czuję się świetnie. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

— Recepcjonista mi powiedział.

— Gdzie jest Antonia?

— Pakuje walizkę.

— Już się pakuje? Ale my wyjeżdżamy dopiero jutro rano.

— Ona pakuje moją walizkę. Właśnie o tym przyszedłem ci powiedzieć. O tym i o wielu innych rzeczach. Muszę dziś wyjechać. Wsiadam do pociągu jadącego do Londynu, żeby wieczorem złapać nocny pociąg do Edynburga. Muszę jechać do domu.

Przyszedł jej do głowy tylko jeden powód wyjaśniający tak nagłą zmianę planów i pilną potrzebę wyjazdu.

— Twoja rodzina. Czy coś się stało? Czy ktoś zachorował?

— Nie. Nic takiego.

— To dlaczego? — Myślni błyskawicznie wróciła do wczorajszej nocy i do Antonii. Antonia siedząca we łzach na brzegu łóżka. „Musisz być uczciwa i mówić całą prawdę” — poradziła Antonii, z całą arogancją doświadczenia, będąc przekonana, że daje jej najlepszą radę. Tymczasem, jak się wydaje, po prostu wtrąciła się, namieszała i zniszczyła. Plan nie wyszedł. Odważny gest Antonii, jej wyłożenie kart na stół wcale nie oczyściło atmosfery; szczerłość doprowadziła do konfrontacji — możliwe że nawet do nieodwracalnej kłótni — i teraz ona i Danus postanowili, że jedynym wyjściem jest się rozstać.

Nie mogło być żadnego innego wytłumaczenia. Poczuli się bliska łez.

— To moja wina — powiedziała z rozpaczą. — To wszystko moja wina.

— Nie ma żadnej winy. To, co się stało, nie ma z tobą nic wspólnego.

— Ale to ja poradziłam Antonii...

— I miałeś rację — przerwał jej. — I gdyby zeszłego wieczora ona nic nie powiedziała, to ja bym zaczął mówić. Bo wczoraj, dzień, który spędziliśmy razem, był jak rodzaj katalizatora. Wszystko się zmieniło. To było jak przekroczenie rzeki. Wszystko stało się bardzo proste i bardzo jasne.

— Ona cię kocha, Danus. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

— Dlatego muszę wyjechać.

— Czy ona tak niewiele dla ciebie znaczy?

— Nie. Absolutnie nie. Wręcz przeciwnie. To więcej niż miłość. Ona stała się częścią mnie. Pożegnanie się z nią będzie jak wrywanie swoich własnych korzeni. Ale muszę to zrobić.

— Nic z tego nie rozumiem. Jestem zupełnie oszołomiona.

— Nie dziwię się.

— Ale co się stało wczoraj?

— Sądzę, że oboje nagle dojrzeliliśmy. Albo może to coś, co powstało między nami, dojrzało. Aż do wczoraj wszystko, co robiliśmy razem, było mało ważne, nawet trywialne, niewinne. Grzebanie się w ogrodzie w Podmore's Thatch, pływanie w jeziorcu skalnym w Penjizal. Nic ważnego. Nic poważnego. To chyba zresztą moja wina. Nie chciałem się poważnie zaangażować. To była ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Ale wczoraj pojechaliliśmy do Manaccan. Rozmawiałem przedtem z Antonią o moich marzeniach, o tym, że chcę mieć kiedyś własny kawałek ziemi, własny interes, i ona to ze mną omawiała, ale w sposób zupełnie zdawkowy, ot tak sobie, i nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo poważnie ona się tym przejęła. A tam Everard Ashley zaczął nas oprowadzać i stało się coś niesamowitego. Staliśmy się parą. Zrobiło się jakoś tak, że cokolwiek będziemy kiedyś robić, będziemy to robić razem. A Antonia była równie entuzjastyczna i zainteresowana wszystkim jak ja i aż kipiała od pomysłów, planów i pytań i nagle, bum, w samym środku szklarni pełnej pomidorów uświadomiłem sobie, że ona jest częścią mojej przyszłości. Częścią mnie samego, od teraz. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej. Cokolwiek będę robił, chcę to robić z nią i cokolwiek się ze mną stanie, chcę, żeby się to stało nam dwojgu.

— I dlaczego nie ma się tak stać?

— Są dwa powody. Pierwszy jest czysto praktyczny. Nie mam Antonii nic do zafiarowania. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem bez pieniędzy, nie mam domu, żadnej własności, a moje zarobki są zarobkami ogrodnika, pracownika fizycznego. Szkółka z sadzonkami, własny interes, to po prostu nierealne marzenia. Everard Ashley założył tę firmę ze swoim ojcem, ja musiałbym coś takiego kupić, a nie mam na to funduszy.

— Są banki, które pożyczają pieniądze. Albo może pożyczka rządowa? — Pomyślała o jego rodzicach. Ze strzępów informacji, które dało się czasami wyłowić z rozmów z Danusem wynikało, że jego rodzina, aczkolwiek może nie tarza się w luksusach, to jest jednak całkiem zamożna. — Czy twoi rodzice nie mogliby pomóc?

— Wątpię, czy do tego stopnia.

— Czy pytałeś ich?

— Nie.

— Czy przedyskutowałeś swoje plany z nimi?

— Jeszcze nie.

Takie pełne defetyzmu podejście do sprawy było zaskakujące i irytujące. Rozczarowana tym Penelopa stwierdziła, że traci cierpliwość.

— Przykro mi, ale naprawdę nie rozumiem, o co tu właściwie chodzi. Ty i Antonia znaleźliście siebie nawzajem, kochacie się i chcecie spędzić całe życie ze sobą. Szczęście trzeba złapać, trzymać mocno i nigdy nie wypuścić z rąk. Nie zrobić tak, jest moralnie nie w porządku. Taka szansa nigdy się już nie powtarza. I cóż to ma za znaczenie, że będziecie musieli na początku trochę cienko prząść? Antonia może pójść do pracy, większość młodych żon tak robi. Inne młode pary jakoś sobie radzą i wiążą koniec z końcem, po prostu dlatego, że umieją sobie dobrze ustawić skalę wartości i wiedzą, co jest dla nich najważniejsze. — Nic na to nie odpowiedział, a ona zmarszczyła brwi. — Przypuszczam, że to twoja duma. Głupia, uparta, szkocka duma. A jeśli tak jest, to postępujesz potwornie samolubnie. Jak możesz odejść, opuścić ją i tak bardzo ją unieszczęśliwić? Co z tobą jest, Danus, że potrafisz odwrócić się plecami do miłości?

— Powiedziałem, że są dwa powody. I wymieniłem jeden z nich.

— A jaki jest ten drugi?

— Jestem epileptykiem.

Zamarła w bezruchu, zmroziło ją, nie mogła wymówić słowa. Spojrzała mu prosto w oczy, ale jego spojrzenie było spokojne, nie spuścił wzroku. Chciała go objąć, uściskać, pocieszyć, ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Przypadkowe myśli przybierały to taki to inny kształt, fruwały bez celu we wszystkich kierunkach, jak spłoszone ptaki. Odpowiedz na te wszystkie pytania, których nigdy nie zadała. Ten człowiek, to Danus.

Odetchnęła głęboko i zapytała:

— Czy powiedziałeś Antonii?

— Tak.

— Czy chcesz mi o tym powiedzieć?

— Po to tu przyszedłem. Antonia mnie przysłała. Powiedziała, że kto jak kto, ale ty musisz wiedzieć. Zanim wyjadę, muszę wyjaśnić dlaczego.

Położyła mu rękę na kolanie.

— Słucham cię.

— Przypuszczam, że to wszystko zaczyna się od mojej matki i mojego ojca, i od lana. Powiedziałem ci chyba, że mój ojciec jest prawnikiem. W jego rodzinie wszyscy byli prawnikami od trzech pokoleń, a ojciec mojej matki miał tytuł „Law Lord”¹¹* w szkockich sądach. Przeznaczeniem lana było iść w ślady ojca, pracować w tej samej firmie i w ogóle postępować zgodnie z tradycją. I na pewno byłby dobrym adwokatem, bo

¹¹ Law Lord — Lord Prawa (przyp. tłum.)

wszystko, do czego on przyłożył rękę, obracało się w sukces. Ale łan umarł w wieku czternastu lat. I w sposób nieunikniony to ja powinienem zająć jego miejsce. Nawet nie myślałem o tym, co chciałbym robić. Wiedziałem, że muszę to zrobić. Przypuszczam, że można by powiedzieć, iż byłem zaprogramowany, jak komputer. Przeszedłem przez szkołę i mimo że nigdy nie byłem tak zdolny jak łan, zdałem jednak odpowiednie egzaminy i dostałem się na Uniwersytet w Edynburgu. Ale byłem jeszcze bardzo młody, więc zanim zacząłem studia na uniwersytecie, postanowiłem spędzić parę lat podróżując, żeby zobaczyć trochę świata. Pojechałem do Ameryki. Włączyłem się po całych Stanach, od wybrzeża do wybrzeża, zarabiając czym się dało i w końcu wylądowałem w Arkansas, gdzie zacząłem pracować na rancho u człowieka nazwiskiem Jack Rogers, który był właścicielem hodowli bydła. Miał ogromną posiadłość, ciągnęła się milami, a ja pracowałem jako chłopak do pomocy przy zaganianiu bydła, naprawianiu ogrodzeń i mieszkalem w baraku z trzema innymi facetami.

Rancho było położone na kompletnym odludziu. Najbliższe miasto nazywało się Sleeping Creek i było oddalone o czterdzieści mil, a jak już się tam dojechało, to naprawdę nie było na co popatrzeć. Czasami jeździłem tam, zwożąc Sally Rogers na zakupy albo żeby odebrać jakiś sprzęt czy materiały dla Jacka. To była wyprawa na cały dzień, trzeba się było tłuc ciężarówką zakurczonym traktem i na końcu człowiek cały był pokryty brązowym pyłem.

I wtedy, pewnego dnia pod koniec mojego pobytu tam, rozchorowałem się. Czułem się okropnie, zacząłem wymiotować i dostałem dreszczy, a potem potwornie wysokiej gorączki. Musiałem być w malignie, bo nie pamiętam, żeby mnie przenoszono z baraku do domu, ale tam właśnie się znajdowałem, kiedy się obudziłem, a Sally Rogers opiekowała się mną. Dobrze się z tego wywiązała, bo po tygodniu przyszedłem do siebie i stanąłem na nogi. Zdecydowaliśmy, że musiał to być jakiś wirus i kiedy mogłem już przejść trzy kroki bez przewracania się, wróciłem do pracy.

Wkrótce potem bez żadnego powodu... bez niczego... zemdlałem. Przewróciłem się, jak podcięte drzewo, na plecy i leżałem tak, nieprzytomny, przez pół godziny. Wydawało się, że nie było żadnego powodu, ale w tydzień później zdarzyło się znów to samo i czułem się tak potwornie, że Sally załadowała mnie na ciężarówkę i zawiozła do lekarza w Sleeping Creek. Wysłuchał mojej smętnej opowieści i zrobił mi jakieś badania. W kilka dni później pojechałem do niego znowu i wtedy powiedział mi, że mam epilepsję. Dał mi lekarstwa, które miałem zażywać cztery razy dziennie. Powiedział, że będę w porządku, jeśli je będę zażywał. Powiedział też, że nic innego nie może dla mnie zrobić.

Zamilkł. Penelopa czuła, że powinna coś powiedzieć, że on może spodziewa się jakiejś uwagi, ale nie mogła nic wymyślić, co nie byłoby banalne i szablonowe. Nastąpiła długa przerwa, aż wreszcie, z wyraźnym wysiłkiem, Danus zaczął mówić dalej.

— Nigdy w życiu przedtem nie byłem chory. Nigdy nie chorowałem na nic gorszego niż na odrę. Zapytałem lekarza: DLACZEGO? A on zadał mi parę pytań i w końcu zawyrokował, że to miało jakiś związek z kopnięciem w głowę, które mi się kiedyś przytrafiło w czasie meczu rugby w szkole. Skończyło się to wstrząsem mózgu, ale wyszedłem z tego, a teraz byłem chory na epilepsję. Miałem prawie dwadzieścia jeden lat i byłem epileptykiem.

— Czy powiedziałeś o tym tym dobrym ludziom, u których pracowałeś?

— Nie. I zmusiłem lekarza, żeby zachował się tak, jak mu nakazuje przysięga lekarska. Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział. Jeśli miałem sobie z tym poradzić, to musiałem to zrobić sam. Wreszcie wróciłem do kraju. Poleciałem do Londynu i złapałem pociąg do Edynburga. Byłem już wtedy zdecydowany, że nie wrócę na uniwersytet. Miałem dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić i odkryłem prawdę. A mianowicie, że nigdy nie zajmę miejsca lana. Bałem się, że nie dam sobie rady i zawiodę mojego ojca. Odkryłem też coś innego przez te ostatnie miesiące. Że potrzebowałem pracy, którą wykonuje się na świeżym powietrzu. Potrzebowałem pracować własnymi rękami, pracować fizycznie. Nie chciałem, żeby ktoś stał wciąż za mną, oczekując ode mnie czegoś, czego nie mogłem zrealizować. Powiedzenie tego wszystkiego moim rodzicom było jedną z najgorszych rzeczy, jaką musiałem kiedykolwiek zrobić. Najpierw nie dowierzali. Potem czuli się zranieni, a wreszcie — okropnie rozczarowani. Nie dziwiłem się im. Przecież unicestwiałem wszystkie ich plany. W końcu, zrezygnowani, starali się zachować jak najlepiej w zaistniałej sytuacji. Ale po tym wszystkim nie mogłem się zdobyć na to, żeby powiedzieć im o epilepsji.

— Nigdy im nie powiedziałeś? Ale jak mogłeś tak zrobić?

— Mój brat umarł na zapalenie opon mózgowych. Uważałem, że oni już tyle przeszli, że nie powinni przeżywać czegoś podobnego od nowa. A poza tym, co by to dało — obarczać ich tak wielkim ciężarem smartwienia i udręki? A ja czułem się przecież nieźle. Zażywałem lekarstwa i nie miałem już więcej przypadków utraty przytomności. Sprawiałem wrażenie, jakbym był całkiem normalny. Musiałem tylko zarejestrować się u nowego, młodego lekarza... człowieka, który nie wiedział nic o mojej dotychczasowej historii choroby, ale wypisał mi receptę na te lekarstwa, na stałe. Potem zapisałem się do trzyletniego College'u Ogrodniczego w Worcestershire. Tam też było wszystko w porządku. Byłem po prostu jednym z chłopaków. Robiłem to, co robili

inni. Czasami się upijałem, jeździłem samochodem, grałem w piłkę. Ale przecież byłem epileptykiem. Wiedziałem, że gdybym przestał zażywać lekarstwa, wszystko zacznie się od nowa. Udawałem, że o tym nie myślę, ale nie można powstrzymać tego, co się dzieje w naszym umyśle. Ciągłe o tym myślałem. To było jak wielki ciężar, jak ogromny plecak, którego nigdy nie można zdjąć.

— Gdybyś tylko zwierzył się komuś ze swego problemu, może nie byłoby ci tak ciężko.

— W końcu tak się stało. Byłem zmuszony. Kiedy skończyłem college, udało mi się dostać pracę w Autogarden w Pudley. Zobaczyłem ogłoszenie w gazecie, złożyłem podanie i zostałem przyjęty. Pracowałem aż do świąt Bożego Narodzenia, a potem pojechałem do domu na parę tygodni. W dzień Nowego Roku rozchorowałem się na grype. Leżałem w łóżku przez pięć dni i skończyło mi się moje lekarstwo. Nie mogłem po nie pójść sam, więc w końcu musiałem poprosić moją matkę, żeby po nie poszła i wtedy oczywiście wszystko się wydało.

— A więc ona wie. Bogu dzięki za to. Musiała chyba mieć ochotę udusić się za to, że byłeś taki skryty.

— To może się wydawać dziwne, ale chyba odczuła ulgę. Domyślała się, że coś było nie tak i wyobrażała sobie wszelkie najgorsze możliwości, ale zatrzymała te obawy dla siebie. To jest właśnie cały problem w naszej rodzinie, wszystkie zmartwienia zawsze zachowujemy tylko dla siebie. To ma coś wspólnego ze szkockim pochodzeniem, chęcią bycia niezależnym i wpajaną od dzieciństwa zasadą, że nikogo nie należy obarczać swoimi kłopotami. Tak nas wychowywano. Moja matka nigdy nie okazywała swoich uczuć i nigdy nie należała do osób szczególnie ciepłych, ale tego dnia, kiedy pobiegła do apteki po moje lekarstwo, po powrocie usiadła przy moim łóżku i gadaliśmy przez parę godzin. Mówiła nawet o lanie, czego nigdy dotąd nie robiła. Powspominaliśmy dawne dobre czasy i pośmialiśmy się. I wtedy przyznałem się jej, że zawsze wiedziałem, iż byłem tym gorszym i że nigdy nie uda mi się zastąpić lana. Usłyszawszy to znów stała się sobą, tą co zawsze, szorstką i praktyczną, i powiedziała mi, żebym przestał zachowywać się jak skończony idiota, że jestem sobą i nie chciała wcale, żebym był kim innym, a jedyne czego pragnie, to zobaczyć mnie znowu zdrowym. A to wymagało zasięgnięcia opinii dobrego lekarza i postawienia drugiej diagnozy. Gdy tylko wstałem po grypie, natychmiast znalazłem się w gabinecie sławnego neurochirurga. Zadawał mi mnóstwo pytań, zrobiono nowe badania EEG... i Tomografię... ale pod koniec dnia powiedziano mi, że nie można postawić żadnej dokładnej diagnozy, dopóki zażyvam to lekarstwo. Więc kazano mi przestać je brać przez trzy miesiące i potem zgłosić się na następną konsultację. Jeśli będę ostrożny, nie powinno się stać nic złego, ale w żadnym wypadku nie wolno mi pić alkoholu ani prowadzić samochodu.

- A kiedy mijają te trzy miesiące?
- Już minęły. Dwa tygodnie temu.
- Ależ to głupota. Nie możesz tracić ani chwili dłużej.
- To samo powiedziała mi Antonia.

Antonia. Penelopa prawie zapomniała o Antonii.

- Danus, co się stało wczoraj wieczorem?
- Znasz większą część tego, co się stało. Spotkaliśmy się w barze i czekaliśmy na ciebie, a kiedy się nie zjawiłaś, Antonia poszła po ciebie na górę. Gdy jej nie było, ja siedziałem i przygotowywałem sobie w głowie to wszystko, o czym muszę jej powiedzieć. I wyobrażałem sobie, że to będzie koszmarnie trudne, szukałem odpowiednich słów i układałem zdania, tak oficjalnie brzmiące, że aż śmieszne. Ale kiedy ona wróciła, mając na sobie te kolczyki, które jej podarowałaś, wyglądała tak fantastycznie pięknie i dorośle, że wszystkie te ostrożnie przygotowywane zdania wyleciały mi z głowy i po prostu powiedziałem jej wszystko, co leżało mi na sercu. A gdy ja mówiłem, ona też zaczęła mówić i w końcu wybuchnęliśmy śmiechem, bo oboje zdaliśmy sobie sprawę, że mówimy to samo.

— Och, mój kochany chłopcze.

— To, czego bałem się najbardziej, to zranienia jej, sprawienia jej bólu, przysporzenia zmartwienia. Zawsze wydawała mi się tak bardzo młoda i taka bezbronna. Ale ona była zdumiewająca. Ogromnie praktyczna. I tak jak ty oburzona, że pozwoliłem, by minęły dwa tygodnie i nie umówiłem się jeszcze na następną konsultację.

— Ale teraz już to zrobisz?

— Tak, zatelefonowałem dziś o dziewiątej rano. Mam się zgłosić do neurochirurga w czwartek i mają mi zrobić drugie EEG i wtedy będą wyniki prawie natychmiast.

— Zadzwoniś do nas do Podmore's Thatch i dasz nam znać?

— Oczywiście.

— Jeśli od trzech miesięcy nie brałaś tego lekarstwa i nie zdarzyło ci się stracić przytomności, to z pewnością prognoza jest raczej pozytywna.

— Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby o tym myśleć. Nie śmiem mieć nadziei.

— Ale wrócisz do nas?

Po raz pierwszy Danus zawahał się.

— Nie wiem. Rzecz w tym, że być może będę musiał przejść jakies leczenie, być może potrwa to szereg miesięcy. Nie wiem, czy nie będę musiał zostać w Edynburgu...

— A Antonia? Co się stanie z Antonią?

— Nie wiem. Nie wiem, co się stanie ze mną. W tej chwili nie widzę szans na to, bym mógł ofiarować jej dobre życie, na które ona zasługuje. Ona ma osiemnaście lat. Może zrobić ze swoim życiem, co tylko zechce, mieć kogo tylko zechce. Wystarczy, że zadzwoni do Oliwii i w ciągu

miesiąca będzie na błyszczącej okładce każdego magazynu mody, jaki ukazuje się w tym kraju. Nie mogę jej pozwolić, żeby czuła się zobowiązana zostać ze mną, dopóki nie rozstrzygnie się moja przyszłość. Naprawdę nie ma innego wyjścia.

Penelopa westchnęła. Ale, mimo że była innego zdania, uszanowała jego decyzję.

— Jeśli musicie się rozstać na jakiś czas, to chyba najlepiej będzie dla Antonii, żeby pojechała do Oliwii do Londynu. Nie może po prostu tkwić w Podmore's Thatch ze mną. Umarłaby z nudów. Będzie jej lżej, jak będzie miała pracę. Nowi znajomi, nowe zainteresowania...

— A czy ty dasz sobie radę bez niej?

— Ależ oczywiście. — Uśmiechnęła się. — Biedny Danus, naprawdę strasznie mi przykro, że masz takie zmartwienie. Choroba jest okropną rzeczą, jakakolwiek by nie była. Ja też jestem chora. Miałam atak serca, ale nie chciałam się przyznać do tego przed nikim. Uciekłam ze szpitala i powiedziałam moim dzieciom, że lekarze to idioci. Upierałam się, że nic mi nie jest. Ale tak naprawdę to wcale nie jest dobrze. Jeśli tylko się zdenerwuję, moje serce podskakuje w górę i w dół jak jo-jo i muszę zażyć lekarstwo. W każdej chwili może całkiem wysiaść i wtedy już się nie podniosę. Ale zanim ten moment nadejdzie, jestem naprawdę o wiele szczęśliwsza udając, że nic się w ogóle nie stało. A ty i Antonia nie możecie się martwić, że zostanę sama. Mam moją kochaną panią Plackett. Oczywiście nie ma co udawać, że mi was nie będzie brakowało i że nie będę za wami tęsknić. Świetnie się tutaj razem bawiliśmy w ciągu tego ostatniego tygodnia. Nie mogłabym po prostu sobie wymarzyć lepszego towarzystwa. Tak bardzo jestem wam wdzięczna, że przyjechaliście tu ze mną do tego bardzo wyjątkowego miejsca.

Danus potrząsnął głową ze zdumienia.

— Nigdy nie zrozumiem, dlaczego byłeś dla mnie tak wyjątkowo dobra.

— Wyjaśnienie jest proste. Od razu poczułam do ciebie sympatię z powodu twojego wyglądu. Jesteś, w sposób całkiem niesamowity, podobny do człowieka, którego znałam w czasie wojny. W pierwszym momencie czułam się tak, jakbym cię rozpoznała. Doris Penberth też zauważyła to podobieństwo, tego wieczoru, kiedy ty i Antonia przyszlście po mnie. Doris, Ernie i ja jesteśmy jedynymi, którzy go jeszcze pamiętają. Nazywał się Richard Lomax i zginął w pierwszym dniu desantu na plażę Omaha. Powiedzenie, że ktoś był wielką miłością naszego życia brzmi jak banał, ale on był tym właśnie dla mnie. Kiedy on umarł, coś także umarło we mnie. Nigdy już potem nie miałam nikogo.

— A twój mąż?

Penelopa z westchnieniem wzruszyła ramionami.

— Nasze małżeństwo nie było niestety zbyt udane. Gdyby Richard

przeżył wojnę, byłabym opuściła Ambrose, wzięła Nancy i zamieszkała z Richardem. Ale skoro tak się nie stało, wróciłam do Ambrose. Wydawało się, że nie mam innego wyjścia. Poza tym czułam się trochę winna wobec niego. Byłam bardzo młoda i samolubna, kiedy pobraliśmy się i prawie natychmiast musieliśmy się rozstać. To małżeństwo nie miało dotąd nawet szansy zaistnieć. Sądziłam, że jestem winna Ambrose choćby tę szansę, jeśli już nic innego. No i on był przecież ojcem Nancy. A ja chciałam mieć więcej dzieci. Ponadto wiedziałam, że już nigdy nie będę mogła kochać tak naprawdę. Nigdy nie mogło już być drugiego Richarda. Jedynym rozsądnym wyjściem zdawało się próbować wykorzystać jak najlepiej tę sytuację, w której się znalazłam. Muszę przyznać, że Ambrose i ja nie odnieśliśmy zbyt wielkiego sukcesu jeśli chodzi o nasze wspólne życie. Ale miałam Nancy, a potem miałam Oliwię i Noela. Małe dzieci, mimo że są czasami uciążliwe, potrafią być wielką pociechą.

— Czy mówiłaś kiedyś o tym człowieku swoim dzieciom?

— Nie. Nigdy im nie mówiłam, nigdy nawet nie wypowiedziałam jego imienia. Nie mówiłam o nim przez czterdzieści lat. Aż do tego dnia, kiedy zobaczyłam się z Doris, a ona powiedziała coś o nim tak, jakby przed chwilą wyszedł z pokoju. To było piękne. Wreszcie już nie smutne. Żyłam ze smutkiem tak długo. I z samotnością, w której nic i nikt nie mógł mi ulżyć. Ale z upływem lat w końcu pogodziłam się z tym, co się stało. Nauczyłam się żyć wewnątrz siebie samej, pielęgnować kwiaty, patrzeć jak rosną moje dzieci, oglądać obrazy i słuchać muzyki. Łagodne moce. Potrafią w zdumiewający sposób podnieść na duchu.

— Będzie ci brakowało *Poszukiwaczy muszelek*.

Wzruszyła ją jego spostrzegawczość i wrażliwość.

— Nie, Danus. Już nie. *Poszukiwacze muszelek* odeszli, tak jak odszedł Richard. Przypuszczalnie już nigdy nie wymówię więcej jego imienia. A ty zachowasz to, co ci powiedziałam, na zawsze dla siebie.

— Obiecuję.

— Dobrze. Chyba już dość się nagadaliśmy. Powinniśmy wracać. Antonia pomyśli, że zniknęliśmy na dobre.

Danus wstał i podał jej rękę, pomagając wstać. Stwierdziła, że bołą ją nogi.

— Jestem zbyt zmęczona, żeby wyjść z powrotem pod górę. Poprosimy tego długowłosego, młodego człowieka, żeby zadzwonił po taksówkę, która zawiezie nas do hotelu. A ja zostawię *Poszukiwaczy muszelek* i wszystkie wspomnienia mojej przeszłości za sobą. Właśnie tutaj; w tej śmiesznej, małej galerii, gdzie wszystko się zaczęło i wobec tego jest najbardziej stosowne, żeby się tu właśnie skończyło.

ROZDZIAŁ 14

PENELOPA

Portier Hotelu Sands, dostojny w swojej ciemnozielonej liberii, zatrzasnęła drzwiczki samochodu i życzył im bezpiecznej podróży. Prowadziła Antonia. Stare volvo ruszyło do przodu w dół podjazdu, potem pomiędzy szpalerami z krzaków hortensji i wreszcie skręciło na główną drogę. Penelopa nie obejrzała się do tyłu.

Nie był to dobry dzień na podróż. Piękna pogoda, która trwała przez cały tydzień, załamała się. W nocy wiatr od morza przyniósł mgłę, która snuła się teraz nisko nad ziemią i jeśli rzedła na chwilę, to tylko po to, żeby zaraz zgęstnieć z powrotem jak dym. Tylko raz, zanim dojechały do autostrady, mgła rozproszyła się na tyle, żeby przepuścić trochę słonecznego światła, a wtedy ukazało się ujście rzeki i zatoka. Błotnista płaszczyna leżała pusta i bez życia, z wyjątkiem zawsze obecnych, padlinożernych nadmorskich ptaków. W oddali można było dostrzec białe grzywy fal na Atlantyku, rozbijających się o ławicę piasku. Potem wysoka skarpa nowej drogi zasłoniła wszystko.

A więc wyjazd i pożegnanie miała już za sobą. Penelopa usadowiła się wygodniej, przygotowując się na długą jazdę. Pomyślała o Podmore's Thatch i odkryła, że tęskni już za domem, chce już tam być. Z zadowoleniem myślała o tym, jak wejdzie do swego domu, przejdzie się po ogrodzie sprawdzając, co nowego wyrosło, rozpakuje się, otworzy okna i przejrzy pocztę...

Siedząca obok niej Antonia spytała:

— Dobrze się czujesz?

— Czy uważasz, że powinnam tonąć we łzach?

— Nie. Ale kiedy się wyjeżdża z miejsca, które się kocha, to jest to zawsze bolesne. Tak długo czekałaś, żeby tu wrócić. A teraz już wyjeżdżamy.

— Mam szczęście. Bo moje serce jest w dwóch miejscach, więc gdziekolwiek jestem, jestem zadowolona.

— Na przyszły rok musisz tu przyjechać. Zatrzymać się u Doris i Ernigo. W ten sposób będziesz się miała na co cieszyć. Kosma zawsze mówił, że nie warto żyć, jeśli się człowiek na coś nie cieszy.

— Kochany człowiek, po stokroć miał rację. — Zastanowiła się przez chwilę. — Niestety, wydaje się, że twoja przyszłość na razie wygląda dość smutno i samotnie.

— Tylko na razie.

— Lepiej być realistką, Antonio. Jeśli przygotujesz się na najgorsze wieści o Danusie, to wszystko, co tylko będzie choć trochę lepsze, uznasz za wspaniałą podarunek losu.

— Wiem. I nie mam złudzeń co do tego. Zdaję sobie sprawę, że to może długo potrwać i ze względu na cierpienie, jakie mu to sprawi, jest to okropne. Ale dla mnie — egoistycznie — to, że wiem o jego chorobie, ułatwia wszystko. My naprawdę się kochamy i nic innego nie ma znaczenia... to jest najważniejsze i tego będę się trzymać.

— Byłaś bardzo dzielna. Rozsądna i dzielna. Zresztą tego właśnie się po tobie spodziewałam. Jestem naprawdę dumna z ciebie.

— Nie jestem dzielna tak naprawdę. Ale nic nie jest już tak okropne, jeśli można coś zrobić. W poniedziałek, kiedy wracaliśmy z Manacaan i żadne z nas nie mówiło ani słowa, wiedziałam, że coś jest strasznie nie tak i nie miałam pojęcia co... to właśnie było najgorsze. Czułam, że jest mną zmęczony, że wolałby, a mnie tam nie było i że żałował, iż nie pojechał odwiedzić swego kolegi sam. To było naprawdę nie do zniesienia. Czyż nieporozumienie nie jest najgorszą rzeczą na świecie? Nigdy już nie pozwolę, żeby mi się przytrafiło coś podobnego. I wiem, że to już się nigdy nie wydarzy między mną a Danusem.

— Wina była w równym stopniu po jego stronie jak i po twojej. Z tym że wydaje mi się, że ta przesadna rezerwa jest skutkiem wychowania jakie otrzymał, odziedziczona po rodzicach i wiecznie obecna w atmosferze domu, w którym wzrastał.

— Powiedział mi, że właśnie to podobało mu się w tobie najbardziej, że zawsze byłaś gotowa rozmawiać na jakikolwiek temat, przedyskutować każdą sprawę. A co jeszcze ważniejsze — wysłuchać drugiego człowieka. Opowiadał mi, że jako dziecko nigdy właściwie nie rozmawiał ze swoimi rodzicami i nigdy nie czuł się z nimi żyty, bliski im. To takie smutne, prawda? Przepuszczalnie uwielbiali go, ale nigdy jakoś nie przyszło im do głowy, żeby mu to powiedzieć.

— Antonio, jeśli Danus będzie musiał zostać w Edynburgu i poddać się jakiemuś leczeniu albo nawet pójść do szpitala na dłuższy czas... czy myślałaś już o tym, co ty chciałabyś robić?

— Tak. Jeśli można, to zostaną jeszcze z tobą przez tydzień lub dwa. Wtedy będziemy już trochę więcej wiedzieć o tym, jak się rzeczy mają. Jeśli okaże się, że zanosi się na długie leczenie, wtedy zadzwonię do Oliwii

i przyjmę jej ofertę. Wcale nie dlatego, że chciałabym być modelką. Bo tak prawdę mówiąc, to chyba nie ma pracy, której bym się bardziej bała, ale jeśli mogę w ten sposób zarobić jakieś porządne pieniądze, to zaryzykuję. Mogłabym je odłożyć i kiedy Danus już wyzdrowieje, będziemy mieć choć tę małą sumę na początek. Dzięki temu będę wiedziała, po co pracuję i nie będę miała poczucia, że kompletnie marnuję swój czas.

Im dalej wjeżdżały w głąb łądu, oddalając się od wybrzeża, tym bardziej mgła rozrzedzała się i zostawała w tyle. Na wyżynie słońce zalewało pola, ферmy i wrzosowiska, a zabudowania starych, opuszczonych już kopalń cyny sterczały na tle bezchmurnego, wiosennego nieba, ostrą nierówną linią, jak połamane zęby.

Penelopa westchnęła.

— To takie dziwne — powiedziała.

— Co jest takie dziwne?

— Najpierw było moje życie. Potem Oliwii. Potem nadszedł Kosma. A potem ty. A teraz mówimy o twojej przyszłości. Taka dziwna sekwencja.

— Tak. — Antonia zawahała się i dodała: — O jedną rzecz nie musisz się martwić. Danus nie jest znowu aż tak strasznie chory. To znaczy... w każdym razie nie jest impotentem, czy czymś w tym rodzaju.

Minęła dłuższa chwila, zanim znaczenie tej uwagi w pełni dotarło do Penelopy. Obróciła się i spojrzała na Antonię. Zobaczyła uroczy profil dziewczyny, która sprawiała wrażenie całkowicie skupionej na prowadzeniu samochodu, ale na jej policzkach pojawił się leciutki rumieniec.

Penelopa odwróciła głowę, uśmiechając się do siebie. Powiedziała:

— Bardzo się cieszę.

Na zegarze kościelnym w Tempie Pudley właśnie wybiła piąta, kiedy przejechały przez bramę wjazdową Podmore's Thatch i zatrzymały się przed domem. Drzwi od frontu były otwarte i z komina unosił się dym. Pani Plackett czekała na nie. Imbryk już śpiewał i pachniały świeżo upieczone drożdżowe bułeczki. Nie można było sobie wyobrazić miłszego powrotu do domu.

Pani Plackett rozgadała się natychmiast w najlepsze, równocześnie rozdarta między chęcią usłyszenia przywiezionych przez nie nowin a ochotą na opowiedzenie im wszystkich swoich.

— Patrzenie tylko, opalone jak Cyganki! Musiałyście mieć taką samą wspaniałą pogodę, jaką tu mieliśmy. Pan Plackett musiał podlewać nasze jarzyny, bo ziemia zrobiła się bardzo sucha. Dziękuję bardzo za kartkę, Antonio. Czy to był wasz hotel, ten z tymi wszystkimi łopoczącymi na wietrze flagami? Mnie to wyglądało na pałac. Na cmentarzyku przy kościele mieliśmy tu wandali, porozbijali wazony na kwiaty na grobach i powypisywali obrzydliwe słowa sprayem na nagrobkach. Przyniosłam

wam parę rzeczy do jedzenia, chleb, masło i mleko, i parę kotletów na kolację. Dobrze wam się jechało?

Wreszcie zostały dopuszczone do głosu i odparły że tak, że miały dobrą podróż, że ruch na drogach nie był zbyt duży i że marzą o herbacie.

Dopiero w tym momencie pani Plackett uświadomiła sobie, że do Kornwalii wyruszyli we troje, a tylko one dwie wróciły.

— Gdzie jest Danus? Podwiozłyście go do gospodarstwa Sawcombe'ów?

— Nie. Nie wrócił z nami. Musiał wrócić do Szkocji. Pojechał wczoraj pociągiem.

— Do Szkocji? To było trochę niespodziewane, prawda?

— Tak. Ale nic się nie dało na to poradzić. A i tak spędziliśmy pięć wspaniałych dni razem.

— To najważniejsze. Czy widziała się pani ze swoją przyjaciółką?

— Z Doris Penberth? Oczywiście. I mogę pani powiedzieć, pani Plackett, że nagadałyśmy się za wszystkie czasy, aż nam w gardłach zaschło. — Pani Plackett nalewała herbatę. Penelopa usiadła przy stole i wzięła sobie bułeczkę. — Jest pani przekochana, że czekała tu pani na nas, by nas powitać.

— Powiedziałam Lindzie, że chyba najlepiej będzie, jak tu wpadnę. Przewietrzę dom. Nazbieram trochę kwiatów. Wiem, że pani nie lubi domu bez kwiatów. Ale, ale — jeszcze tej nowiny nie znacie. Darren mojej Lindy zaczął chodzić. Przetupał wczoraj przez całą kuchnię. — Dołała im jeszcze trochę herbaty. — W poniedziałek są jego urodziny. Obiecałam Lindzie, że jej pomogę i poproszę panią, żebym mogła tu przyjść we wtorek, wyjątkowo. Przetarłam też okna i położyłam pani pocztę na biurku... — Przynęła sobie krzesło i siadła, opierając swoje solidne, spracowane ręce na stole przed sobą. — ... cała sterta listów, leżały na wycieraczce.

Wreszcie wyszła i pojechała do domu, dostojnie pedałując na swoim rowerze, żeby podać panu Plackettowi jego popołudniową herbatę. Podczas gdy Penelopa gawędziła z panią Plackett, Antonia wyładowała ich walizki z samochodu i zniosła je na górę. Teraz przypuszczalnie rozpakowywała się, bo nie pojawiła się na razie na dole, więc kiedy tylko pani Plackett wyszła, Penelopa zrobiła to, na co miała ochotę, odkąd weszła do domu. Najpierw ciepłarnia. Napełniła konewkę i podlała roślinki doniczkowe. Potem wzięła sekator i wyszła do ogrodu. Trawa bardzo już potrzebowała przyszczyżenia, pokazały się irysy, a po drugiej stronie ścieżki kwitły czerwone i żółte tulipany, cała ich masa. Zakwitł też pierwszy z wczesnych rododendronów, zerwała więc jedną gałązkę i nie mogła się wprost nadziwić bladioróżowej doskonałości tego kwiatu otoczonego ciemnozielonymi, sztywnymi liśćmi. Stwierdziła, że żadnemu śmiertelnikowi nie udałoby się stworzyć tak wspaniałej kompozycji

z płatków kwiatu, łodyżki i liści. Po chwili, trzymając kwitnącą gałązkę w dłoni, ruszyła dalej, przeszła przez sad, cały tonący w kwieciu i przeszedłszy przez furtkę zatrzymała się nad brzegiem rzeczki. Windrush płynęła cicho, prześlizgując się pod zwisającymi nad nią gałęziami płaczącej wierzby. Dookoła roiło się od pierwiosnków i kwitnącego ślazu o bladoliliowym odcieniu. Zaczęła iść wzdłuż rzeki i dostrzegła, jak z gęstwiny trzciny wyłoniła się dzika kaczka, płynąc z prądem, a za nią, ku zachwytowi Penelopy, z pół tuzina małych, puszystych kaczątek. Szła dalej aż do drewnianego mostku i tam, stwierdziwszy, że na razie to jej wystarczy, zawróciła w kierunku domu. Kiedy przechodziła przez trawnik, Antonia zawołała do niej z okna swojej sypialni.

— Penelopo!

Zatrzymała się i spojrzała w górę. Głowa i ramiona Antonii wynurzały się ze splątanej gęstwiny kapryfolium.

— Jest już po szóstej, czy mogłabym zadzwonić do Danusa? Obiecuję mu, że dam mu znać, że dojechaliśmy bezpiecznie do domu.

— Oczywiście. Zadzwoń sobie z aparatu w mojej sypialni. I przekaż mu pozdrowienia ode mnie.

— Zrobię to.

W kuchni wybrała gliniany dzbanek, który napełniła wodą i włożyła do niego gałązkę kwitnącego rododendronu. Zniosła go do salonu, który już został obficie przystrojony kwiatami przez niezbyt może fachowe, ale kochające ręce pani Plackett. Penelopa postawiła dzbanek na biurku, wzięła stamtąd czekającą na nią pocztę i usadowiła się w fotelu. Oficjalnie wyglądające płowożółte koperty, najprawdopodobniej zawierające rachunki, upuściła na podłogę. Pozostałe przeglądała powoli. Zaintrygowana ją gruba, biała koperta. Poznała pełne zawijasów pismo Rosę Pilkington. Otworzyła list kciukiem. W tym momencie usłyszała samochód skracający w jej bramę wjazdową. Podjechał bliżej, stanął przed drzwiami.

Nie wstała z fotela. Obcy zadzwonił, a jeśli to ktoś znajomy, to po prostu wejdzie. Ten gość właśnie tak zrobił. Usłyszała kroki w kuchni, potem w holu. Drzwi salonu otworzyły się i do pokoju wszedł Noel.

Niewiele rzeczy mogłoby ją bardziej zdziwić.

— Noel?

— Cześć. — Miał na sobie jasne spodnie, błękitny sweter, a pod szyją zawiązaną czerwoną chustkę w kropki. Był bardzo opalony i wyglądał niezwykle przystojnie. List od Rosę Pilkington poszedł w zapomnienie.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Z Walii.

Zamknął za sobą drzwi. Uniosła twarz, spodziewając się jednego z jego zwykłych pobieżnych cmoknięć w policzek, ale nie pochylił się, żeby ją pocałować. Zamiast tego stanął w pozie nie pozbawionej pewnej

gracji, opierając się ramionami o półkę nad kominkiem. Ręce włożył do kieszeni. Za jego głową miejsce, gdzie dawniej wisieli *Poszukiwacze muszelek*, świeciło pustką.

— Spędziłem tam świąteczny weekend wielkanocny. Teraz wracam już do Londynu. Pomyślałem sobie, że wpadnę na chwilę.

— Weekend wielkanocny? Ależ przecież teraz jest środa!

— To był bardzo długi weekend.

— A to ci się udało. Dobrze się bawiłeś?

— Tak, świetnie, dziękuję. A jak było w Kornwalii?

— Czarodziejsko. Wróciliśmy o piątej. Nawet nie zdążyłam się jeszcze rozpakować.

— A gdzie są twoi towarzysze podróży? — Jego głos był ostry, nieprzyjemny. Popatrzyła na niego bystro, ale umknął wzrokiem na bok, najwyraźniej nie chcąc spojrzeć jej w oczy.

— Danus jest w Szkocji. Wrócił tam wczoraj pociągiem. A Antonia jest na górze, w mojej sypialni i dzwoni do niego, żeby mu dać znać, iż bezpiecznie dotarliśmy na miejsce.

Noel uniósł brwi.

— Z tej skąpej informacji trudno się domyślić, co się stało dokładnie. Powrót do Szkocji sugerowałyby, że stosunki między wami zrobiły się bardzo napięte, w czasie gdy tarzaliście się w luksusie mieszkając w Hotelu Sands. A jednak w tym momencie Antonia rozmawia z nim przez telefon. Czy mogłabyś mi to wyjaśnić?

— Nie ma nic do wyjaśnienia. Po prostu Danus był umówiony w Edynburgu w ważnej sprawie i musiał dotrzymać słowa. — Sądząc po wyrazie twarzy Noela, nie wierzył jej. Postanowiła zmienić temat. — Czy chciałabyś zostać na kolacji?

— Nie. Muszę wracać do Londynu — odparł, nie ruszając się jednak z miejsca.

— No, to może drinka... Masz ochotę na drinka?

— Nie. Nic nie potrzebuję.

„Nie pozwolę, żeby się beczelnie wobec mnie zachowywał” — pomyślała.

— Ale ja mam ochotę na drinka — stwierdziła. — Czy byłbyś taki dobry i przyniósłbyś mi whisky z wodą sodową?

Zawahał się, a po chwili poszedł do pokoju jadalnego. Usłyszała, jak otwierał kredens, a potem pobrząkiwanie szkła. Ułożyła listy, które leżały na jej kolanach, w równy stosik i położyła je na stoliku obok fotela. Kiedy wrócił, zobaczyła, że jednak zmienił zdanie i niósł dwie szklanki. Podał jej jedną i wrócił do swojej poprzedniej pozycji. Powiedział:

— A *Poszukiwacze muszelek*,

A więc o to chodziło. Uśmiechnęła się.

— Czy to Oliwia powiedziała ci o *Poszukiwaczach muszelek*, czy Nancy?

— Nancy.

— Nancy była bardzo dotknięta, że zrobiłam coś takiego. Czuła się osobiście obrażona. Czy ty czujesz się tak samo? Czy przyjechałeś właśnie po to, żeby mi to powiedzieć?

— Nie. Ja tylko chciałbym wiedzieć co, na litość boską, skłoniło cię do zrobienia czegoś podobnego.

— Mój ojciec dał mi ten obraz. Podarowując go galerii, czułam się tak, jakbym po prostu go jemu oddała z powrotem.

— Czy masz pojęcie, ile ten obraz jest wart?

— Wiem, ile jest wart dla mnie. Jeśli zaś chodzi o jego wartość rynkową, obraz ten nigdy nie był nigdzie wystawiany, a więc nikt nie próbował go jeszcze wycenić.

— Zadzwoiłem do mojego znajomego Edwina Mundy'ego i powiedziałem mu, co zrobiłaś. Nigdy nie widział tego obrazu, oczywiście, ale miał dość dokładne pojęcie, ile można by za niego dostać na aukcji. Czy wiesz, jaką cenę on wymienił?

— Nie. I wcale nie chcę wiedzieć.

Noel już otworzył usta, ale dostrzegł rzucone w jego stronę ostrzegawcze spojrzenie o takiej mocy, że zamknął je z powrotem i nic nie powiedział.

— Jesteś rozgniewany — stwierdziła Penelopa. — Ponieważ, z jakiegoś powodu oboje, ty i Nancy, uważacie, że oddałam coś, co tak naprawdę należy do was. Nie należy, Noel. I nigdy nie należało. A jeśli chodzi o panneaux, powinieneś być zadowolony, że posłuchałam twojej rady. Usilnie namawiałeś mnie, żebym je sprzedała i to ty podałeś mi informację o firmie Boothby's i panu Brooknerze. Roy Brookner znalazł prywatnego nabywcę, który zaproponował mi za nie sto tysięcy. Przyjęłam tę ofertę. Te pieniądze będą włączone w całość spadku po mnie, kiedy umrę. Czy to cię zadowala, czy chcesz jeszcze więcej?

— Powinnaś była to przedyskutować ze mną. Jestem w końcu twoim synem.

— Dyskutowaliśmy o tym. W kółko. Wiele razy. I za każdym razem dyskusja prowadziła donikąd albo kończyła się kłótnią. Wiem, czego ty chcesz, Noel. Chcesz pieniędzy od razu, teraz. Do ręki. Żebyś mógł je roztrwonić na wszystkie zwariowane pomysły, jakie ci przyjdą do głowy, i które przypuszczalnie spalą na panewce. Masz zupełnie przyzwoitą, dobrą pracę, ale chcesz jeszcze lepszej. Granie na giełdzie. A kiedy już to ci się znudzi, i równocześnie stracisz wszystko, co tylko miałeś, co do grosza, to wtedy wymyślisz sobie coś nowego... Następny złoty skarb na końcu nie istniejącej tęczycy. Szczęście polega na tym, żeby umieć zrobić co tylko się da najlepszego z tego, co się ma, a bogactwo na tym, żeby maksymalnie wykorzystać to, co się posiada. Masz tyle atutów. Dlaczego nie możesz tego dostrzec? Dlaczego zawsze chcesz więcej?

— Mówisz tak, jakbym myślał tylko o sobie. A tak nie jest. Myślę także o swoich siostrach i twoich wnukach. Może się wydawać, że sto tysięcy to dużo, ale będą jeszcze podatki do zapłacenia, a jeśli ty dalej będziesz trwonić te pieniądze na każdą kulawą kaczkę, która się do ciebie przyplącze i której przyjdzie ci fantazja pomóc...

— Noel, nie traktuj mnie tak, jakbym była zniedołężniałą umyślowo staruszką. Jestem całkowicie przy zdrowych zmysłach i wiem dokładnie, co robię. Będę sobie sama dobierała przyjaciół i sama podejmowała decyzje. Podróż do Kornwalii, mieszkanie w Hotelu Sands, towarzystwo Danusa i Antonii, to wszystko sprawiło, że po raz pierwszy w życiu poznałam, ile radości można mieć z hojności i z tego, żeby móc sobie pozwolić na trochę ekstrawagancji. Po raz pierwszy w życiu nie musiałam zastanawiać się nad każdym groszem. Po raz pierwszy w życiu mogłam się nie martwić, ile coś będzie kosztować. To było doświadczenie, którego nigdy nie zapomnę, a było ogromnie miłe sercu ze względu na takt, wdzięk i wdzięczność z jaką zostało przyjęte.

— Czy tego właśnie chcesz? Nieskończonej wdzięczności?

— Nie, ale myślę, że powinieneś postarać się zrozumieć. Jeśli jestem nieufna w stosunku do twoich projektów i machinacji, to dlatego, że ja to już wszystko brałam z twoim ojcem i nie zamierzam zaczynać od początku.

— Nie możesz przecież obwiniać mnie za mojego ojca.

— Nie robię tego. Byłeś małym chłopcem, kiedy on nas wszystkich opuścił. Ale zostawił bardzo dużo z siebie w tobie. Dobre strony. Swoją urodę, urok osobisty i niewatpliwe zdolności. Lecz i inne cechy swego charakteru, które są niezbyt pozytywne — manię wielkości, skłonność do życia ponad stan i kompletny brak szacunku w stosunku do cudzej własności. Przykro mi. Bardzo mi przykro, że muszę mówić takie rzeczy. Ale zdaje się, iż nadszedł czas, żebyśmy byli ze sobą zupełnie szczerzy, ty i ja.

— Nie miałem pojęcia, że tak bardzo mnie nie lubisz.

— Noel, jesteś moim synem. Czy nie widzisz, że gdybym ciebie tak bardzo nie kochała, nigdy nie zadawałabym sobie trudu, żeby ci to wszystko powiedzieć?

— Masz dziwny sposób okazywania miłości. Dajesz wszystko, co posiadasz, obcym... a nic swoim dzieciom.

— Mówisz jak Nancy. Nancy powiedziała mi, że nic jej nigdy nie dawałam. Co się z wami dwójkiem stało? Ty i Nancy, i Oliwia byliście całym moim życiem. Przez wiele lat żyłam tylko dla was. A tymczasem teraz, słysząc jak mówicie podobne rzeczy, ogarnia mnie rozpacz. Czuję, że jakoś, w czymś, całkowicie was zawiodłam.

— Myślę — odparł Noel powoli — że tak właśnie było, że nas zawiodłaś.

Po tym właściwie nic nie można już było powiedzieć. Dokończył drinka, odwrócił się i odstawił szklanę na półkę nad kominkiem. Było jasne, że zbierał się do wyjścia, i myśl o tym, że on wyjedzie z tą gorzką kłótnią wiszącą między nimi była dla Penelopy nie do zniesienia.

— Zostań z nami na kolacji, Noel. To nie potrwa długo. Będziesz w Londynie na jedenastą.

— Nie. Muszę jechać. — Ruszył ku drzwiom.

Wstała z fotela i poszła za nim przez kuchnię. Wyszli przed dom. Nie spojrzawszy na nią i unikając jej wzroku, wszedł do samochodu, zatrzasnął drzwiczki, zapiął pas i włączył silnik.

— Noel!

Odrzucił twarz ku matce, jego przystojne rysy były sztywne, zacięte, bez uśmiechu i bez miłości.

— Przepraszam — powiedziała Penelopa. Skinął krótko głową, przyjmując jej przeprosiny. Starła się uśmiechnąć. — Przyjedź znowu, niedługo. — Ale samochód już ruszył i jej słowa zagłuszył ryk motoru.

Kiedy odjechał, weszła z powrotem do domu. Stała przy kuchennym stole, usiłując pomyśleć o kolacji, i nie miała pojęcia, co ma zrobić. Z ogromnym wisiłkiem zebrała myśli, ruszyła w kierunku spiżarni, wzięła koszyk z ziemniakami i zniosła do zlewozmywaka. Odkręciła kurek z zimną wodą i patrzyła, jak leje się woda. Myślała o łzach, ale nie mogła zapłakać.

Stała tak przez parę minut niezdolna do zrobienia czegokolwiek. Wtem odezwał się krótki, pojedynczy dzwonek w kuchennym aparacie telefonicznym i to jakoś przywróciło ją do rzeczywistości. Otworzyła szufladę i wyjęła swój mały, ostry nożyk. Kiedy Antonia zbiegła po schodach, żeby przyłączyć się do niej, zastała ją spokojnie obierającą ziemniaki.

— Przepraszam, strasznie długo gadaliśmy. Danus powiedział, że zapłaci ci za ten telefon. Musiał kosztować mnóstwo funtów. — Antonia usiadła na stole, machając nogami. Była uśmiechnięta i wyglądała jak świeżo wylizany, zadowolony, mały kot. — Przesyła ci serdeczności i pisze do ciebie długi list. Nie list dziękczynny tylko arcydziękczynny. Jutro rano ma się widzieć z lekarzem i zadzwoni do nas, jak tylko będzie wiedzieć, jaki jest wynik. Miałam wrażenie, że czuje się świetnie i jest dobrej myśli, wcale się nie martwi. I mówił, że nawet w Edynburgu świeci słońce. Jestem pewna, że to dobry znak, nie sądzisz? Znak nadziei. Gdyby padało, nie byłoby mu tak rażno. Słyszałam tu czyjś głos. Czy miałas gościa?

— Tak. Tak, miałam. To był Noel, wracał do Londynu z weekendu w Walii. To był bardzo długi weekend, jak mnie zapewnił. — Wszystko wróciło do normy. Jej głos był w sam raz, ton zdawkowy o silnym,

równym brzmieniu. — Prosiłam, żeby został na kolacji, ale musiał już wracać. Więc wypił sobie drinka i pojechał.

— Przykro mi, że go przegapiłam. Ale tyle miałam do powiedzenia Danusowi. Nie mogłam przestać gadać. Może ja obiorę te ziemniaki? Albo może pójdę po kapustę lub nakryję do stołu? Czyż to nie wspaniale być znowu w domu? Wiem, że to nie mój dom, ale czuję się tak, jakby był mój, a to takie miłe uczucie wrócić tu z powrotem. Ty też czujesz to samo, prawda? Niczego nie żałujesz?

— Nie — odparła Penelopa. — Niczego nie żałuję.

Następnego ranka o dziewiątej rano, odbyła dwie rozmowy telefoniczne z Londynem i umówiła się na dwa spotkania. Jedno z nich miało być z Lallą Friedman.

Danus był umówiony z lekarzem na dziesiątą i omawiając to poprzedniego wieczora ustaliły, że najwcześniej o wpół do dwunastej uda mu się dotrzeć do jakiegoś telefonu, żeby dać im znać o wynikach. Ale telefon odezwał się tuż przed jedenastą i odebrała go Penelopa, bo Antonia była w sadowie, gdzie wieszala pranie w ten wietrzny dzień.

— Podmore's Thatch.

— Mówi Danus.

— Danus! Ojej, Antonia jest w ogrodzie. Jakie wiadomości? Powiedz mi od razu, jakie masz dla nas wiadomości?

— Żadne.

Penelopie aż się słabo zrobiło z rozczarowania.

— Nie widziałeś się z lekarzem?

— Widziałem się i potem pojechałem do szpitala po wyniki EEG, ale... nigdy byś w to nie uwierzyła... komputer im wysiadł i nie mogli mi dać wyników.

— Rzeczywiście nie wierzę. Ależ to potwornie irytujące! Jak długo musisz czekać?

— Nie wiem. Nie umieli mi powiedzieć.

— No, to co zrobisz?

— Czy pamiętasz, jak opowiadałem wam o moim przyjacielu Roddym McCrae? Poszedłem z nim wczoraj na drinka do pubu Tilted Wig i on wybiera się jutro na ryby na tydzień do Sutherland. Zaprosił mnie, żebym pojechał z nim razem do ich szałasów, więc postanowiłem przyjąć jego zaproszenie i po prostu wyrwać się stąd. Jeśli mam czekać na wyniki przez dwa dni, to równie dobrze mogę czekać tydzień. A przynajmniej nie będę się obijał po domu, gryzł paznokcie i doprowadzał moją matkę do szału.

— To kiedy wracasz do Edynburga?

— Przypuszczalnie w czwartek.

— Czy nie ma żadnego sposobu, żeby twoja matka skontaktowała się z tobą, gdy będziesz w tej chałupie i przekazała ci wiadomość?

— Nie. Mówiłem wam, że to jest na końcu świata. I prawdę mówiąc, ja już tak długo z tym żyłem, że mogę poczekać następne siedem dni.

— W takim razie może rzeczywiście lepiej, żebyś pojechał. A my tu tymczasem będziemy trzymać kciuki. Nie przestaniemy myśleć o tobie ani na chwilę. Obiecujesz zadzwonić do nas, gdy tylko wrócisz?

— Oczywiście. Czy jest tam gdzieś Antonia?

— Pójdę po nią. Poczekaaj chwilę.

Zostawiła słuchawkę wiszącą na sznurze i wysłała przez cieplarnię. Antonia szła przez trawnik, niosąc pusty kosz po bieliznie. Miała na sobie różową bluzkę z rękawami podwiniętymi do łokci i granatową bawełnianą spódnicę powiewającą na wietrze.

— Antonio, szybko, dzwoni Danus...

— Już? — Zbladła. — Och, i co powiedział? Co się stało?

— Jeszcze nie ma żadnych wiadomości, bo komputer się popsuł. Ale niech on ci sam to powie. Czeka przy telefonie. Daj, wezmę kosz.

Antonia podała jej kosz i wbiegła do domu. Penelopa zaniósła go na ławeczkę stojącą pod oknem salonu. Życie było rzeczywiście zbyt okrutne. Jak nie jedno zmartwienie, to drugie. Ale może to i lepiej, że Danus wyjedzie z przyjacielem. Towarzystwo dawnego kolegi było czasami najlepszym lekarstwem w takiej sytuacji. Wyobraziła sobie dwóch młodych mężczyzn w tym świecie niezmiernych wrzosowisk i wysokich gór, lodowato zimnego północnego morza i głębokich, brązowych, szybko płynących rzek. Będą razem łowić ryby. Tak, to była dobra decyzja. Podobno łowienie ryb może mieć bardzo uspokajający i wręcz leczniczy wpływ.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Spojrzała i zobaczyła Antonię wynurzającą się z cieplarni i idącą ku niej przez trawę. Dziewczyna wyglądała na załamana, powłóczyła nogami jak dziecko. Usiadła ciężko na ławeczce obok Penelopy i powiedziała:

— Niech to szlag trafi.

— Wiem. To okropne rozczarowanie. Dla nas wszystkich.

— Cholerny, wstrętny, stary komputer. Dlaczego oni nie umieją tak się nimi posługiwać, żeby się nie psuły? I dlaczego to musiało akurat trafić na Danusa?

— Muszę przyznać, że to szczególnie okrutny pech. Ale nic na to nie możemy poradzić, więc musimy jakoś się z tym na razie pogodzić.

— Tak, jemu to dobrze; jedzie sobie na ryby na cały tydzień.

Penelopa musiała się uśmiechnąć.

— Mówisz — powiedziała Antonii — zupełnie jak zanedbywana żona.

— Naprawdę? — Antonia zawstydziała się. — Wcale nie miałam takiego zamiaru. Mówię tak po prostu dlatego, że następny tydzień czekania zdaje się wiecznością.

— Wiem. Ale naprawdę siedzenie w domu i czekanie na telefon byłoby dla niego męczarnią. Nie ma nic bardziej deprymującego. O wiele lepiej będzie, jak zajmie się czymś, co lubi robić. Na pewno nie masz o to do niego żalu. A tydzień minie. Ty i ja zajmiemy się tu czymś wesołym. W poniedziałek jadę do Londynu. Czy chcesz pojechać ze mną?

— Do Londynu? Dlaczego?

— Po prostu żeby odwiedzić starych przyjaciół. Już i tak zbyt długo nie widziałam się z nimi. Jeśli chcesz pojechać ze mną, to weźmiemy samochód. Ale jeśli wolisz zostać tutaj, może mogłabyś podwieźć mnie do Cheltenham i stamtąd złapię pociąg.

Antonia zastanowiła się chwilę nad tą propozycją. Wreszcie powiedziała:

— Chyba zostanę. Będę przypuszczalnie i tak musiała pojechać do Londynu już całkiem niedługo i szkoda mi nawet jednego dnia, który mogę jeszcze spędzić na wsi. A w ten poniedziałek akurat nie przychodzi pani Plackett z powodu urodzin Darrena, więc posprzątam w domu i ugotuję pyszną kolację na twój powrót. Poza tym — uśmiechnęła się, znów odzyskując swój zwykły pogodny wygląd — zawsze jest jakiś cień szansy, że Danus znajdzie się w odległości dziesięciu mil od jakiegoś telefonu i postanowi do mnie zadzwonić. To byłaby tragedia, gdyby mnie tu wtedy nie było.

I tak Penelopa pojechała do Londynu sama. Tak jak to zaplanowały, Antonia zawiozła ją do Cheltenham, gdzie Penelopa złapała pociąg do Londynu o dziewiątej piętnaście. W Londynie odwiedziła Królewską Akademię i zjadła lunch z Lallą Friedman. Potem pojechała taksówką na Gray's Inn Road do biura firmy adwokackiej Enderby, Looseby & Thring. Podała swoje nazwisko dziewczynie siedzącej za biurkiem w recepcji i poprowadzono ją wąskimi schodami dwa piętra wyżej do biura pana Enderby. Dziewczyna zapukała i otworzyła drzwi.

— Pani Keeling do pana, panie Enderby.

Cofnęła się. Gdy Penelopa weszła do gabinetu, pan Enderby wstał z za biurka i podszedł, żeby się z nią przywitać.

W dawnych czasach, kiedy Penelopa musiała liczyć każdy grosz, przejechałaby z Gray's Inn Road na Stację Paddington autobusem albo metrem. Tak to zresztą i tym razem zaplanowała, ale gdy już wyszła z biura firmy prawniczej Enderby, Looseby & Thring i stanęła na chodniku, stwierdziła, że sama myśl o przedzieraniu się przez Londyn

przy pomocy środków transportu publicznego wydała jej się nagle nie do zniesienia. Zauważyła przejeżdżającą taksówkę i zatrzymała ją.

W taksówce usiadła opierając się wygodnie, wdzięczna za to, że może być sama; pogrążona w myślach, przypominała sobie swoją rozmowę z panem Enderby. Wiele zostało omówione, podjęli ważne decyzje. Już nic więcej nie musiała robić. Wszystko zostało załatwione, ale było to bardzo wyczerpujące i stwierdziła, że jest u kresu sił, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Bolała ją głowa i miała spuchnięte stopy. W dodatku czuła się spocona i zgrzana, bo popołudnie, choć pochmurne, zrobiło się dosyć ciepłe, a powietrze było ciężkie i duszne. Patrząc przez okna taksówki na zmieniające się z czerwonych na zielone światła, poczuła się nagle jakby przybita i bardzo przygnębiona tym, co widzi. Ogrom miasta, miliony ludzi tłoczących się na ulicach, o twarzach niespokojnych i zmartwionych, wszyscy śpieszący się gdzieś, jakby bali się spóźnić na jakieś śmiertelnie ważne spotkanie. Kiedyś mieszkała w Londynie. Tu był jej dom. Tutaj wychowała swoje dzieci. Teraz nie mogła sobie wyobrazić, jak zniosła te wszystkie lata.

Miała zamiar złapać pociąg o czwartej piętnaście, ale ruch na Marylebone Road osiągnął tak straszne rozmiary i było tyle korków, że gdy minęli Madame Tussaud's, była już pogodzona z myślą, iż na ten pociąg się spóźni i będzie musiała jechać późniejszym. Przyjechawszy na stację Paddington musiała wyłuskać sporo banknotów, żeby zapłacić ogromny rachunek za taksówkę, a potem sprawdziła godziny odjazdów pociągów i znalazła budkę telefoniczną, aby zadzwonić do Antonii i powiedzieć jej, że przyjedzie do Cheltenham za piętnaście ósma. Po czym kupiła sobie jakieś czasopismo, weszła do Hotelu Dworcowego, zamówiła cały czajniczek herbaty i usiadła przy stoliku.

Podróż pociągiem trwała wieki. W zatłoczonych przedziałach było gorąco i niewygodnie, toteż ulga, jakiej doznała docierając wreszcie na miejsce, była ogromna. Antonia czekała na nią na peronie i kiedy Penelopa wysiadła z pociągu, poczuła się szczęśliwa, że ktoś po nią wyszedł, pocałował, uściaskał i zaopiekował się, tak że już wreszcie nie musiała być sama za wszystko odpowiedzialna. Wyszły na plac obok dworca i Penelopa podniosła oczy na przejrzyste wieczorne niebo, poczuła zapach drzew i trawy i z wdzięcznością odetchnęła, napełniając płuca słodko pachnącym, świeżym powietrzem.

— Czuję się tak — powiedziała Antonii — jakbym wracała z wielotygodniowej podróży.

Usadowiwszy się w starym volvo, wyruszyły w kierunku domu.

— Czy miałś udany dzień? — zapytała Antonia.

— Tak, ale jestem kompletnie wykończona. Czuję się wyczerpana i nie domyta całkiem jak jakiś stary wygnaniec. Zapomniałam już, jaki Londyn potrafi być męczący. Samo dostanie się z jednego miejsca na

drugie zabiera większą część dnia. Dlatego spóźniłam się na pociąg. A ten, do którego potem wsiadłam, był zatłoczony ludźmi wracającymi z pracy, a w dodatku człowiek z największym tyłkiem świata usiadł właśnie koło mnie.

— Na kolację przygotowałam pieczonego kurczaka, ale może nie masz ochoty na jedzenie tak późno.

— To czego mi najbardziej potrzeba to gorąca kąpiel i łóżko.

— W takim razie, jak tylko wrócimy, to od razu to właśnie sobie zafundujesz. A potem, gdy już będziesz w łóżku, przyjdę do ciebie na górę i zobaczę, czy będziesz miała ochotę na małą kolację i jeśli tak, to przyniosę ci coś na tacy i możesz sobie zjeść u siebie.

— Jesteś przekochanym dzieciakiem.

— Powiem ci coś. Podmore's Thatch bez ciebie to żadna frajda.

— Jak spędziłaś swój samotny dzień?

— Przyszyrzygłam trawę. Udało mi się puścić w ruch tę nową kosiarkę i teraz trawnik wygląda jakby się nim zajął prawdziwy profesjonalista.

— Czy dzwonił Danus?

— Nie. Ale tak naprawdę to się nie spodziewałam, że zadzwoni.

— Jutro jest wtorek, już tylko dwa dni i będziemy mieć od niego jakieś wiadomości.

— Tak — odparła Antonia, po czym obie zamilkły. Droga przed nimi wiła się pod górę. Wjeżdżały w rejon Costwold.

Myślała, że natychmiast zapadnie w głęboki sen, ale nie mogła zasnąć. Prawdziwy sen umykał przed nią, drzemała i budziła się. Przewracała się z boku na bok i znów drzemała. Te półsny nawiedzane były głosami, słowami, urywkami rozmów, w których nie było żadnego sensu. Był tam Ambrose i Dolly Keeling, trajkocząca coś o zamiarze urządzenia pokoju w kolorze magnolii. A potem Doris plotąca coś trzy po trzy i zanosząca się swoim wysokim śmiechem. Lalla Friedman, znowu młoda. Młoda i przerażona, bo jej mąż, Willy, był bliski kompletnego załamania nerwowego. „Nigdy mi nic nie dawałaś. Musiałaś postradać zmysły. Oni cię wykorzystują”. Antonia wsiadała do pociągu i odjeżdżała na zawsze. Starła się coś Penelopie powiedzieć, ale rozległ się gwizd i Penelopa widziała tylko, jak otwierają się i zamykają jej usta, i bardzo się zdenerwowała, bo wiedziała, że to, co mówiła Antonia, było ogromnie ważne. I wreszcie ten stary sen, pusta plaża i gęsta mgła, i wielka samotność, ponieważ na świecie nie było żadnej innej osoby oprócz niej.

Nie kończąca się ciemność. Od czasu do czasu unosząc się zapalała światło i patrzyła na swój zegarek. Druga. Wpół do czwartej. Kwadrans po czwartej. Pościel na jej łóżku była zgnieciona i pomięta, a jej ciało, ciężkie od zmęczenia, wciąż nie znajdowało odpoczynku ani ulgi od niepokoju. Tęskniła za światłem.

W końcu nadeszło. Obserwowała, jak nadchodzi i uspokoiła się. Zdrzemnęła się raz jeszcze, a potem otworzyła oczy. Zobaczyła pierwsze niskie promienie słońca i blade niebo bez żadnej chmurki; usłyszała ptaki nawołujące się nawzajem. A potem drozda z drzewa kasztanowego.

Noc skończyła się, Bogu dzięki. O siódmej, niewyspana, jeszcze bardziej zmęczona niż poprzedniego wieczora, powoli wstała z łóżka, znalazła pantofle i szlafrok. Wszystko przychodziło jej z ogromnym wysiłkiem, tak że nawet te proste czynności wymagały skupienia i koncentracji. Poszła do łazienki, umyła twarz i wyczyściła zęby; poruszała się ostrożnie, żeby nie narobić hałasu i nie obudzić Antonii. Wróciwszy do swego pokoju, ubrała się, usiadła przed lustrem, uczesała, zawinęła włosy do góry i upięła je. Zobaczyła cienie, jak siniaki, pod swymi ciemnymi oczami i błądź skóry.

Podreptała na dół. Pomyślała o zrobieniu sobie herbaty, ale po chwili zmieniła zdanie. Zamiast tego wyszła przez cieplarnię, otwierając szklane drzwi, do ogrodu. Pod wpływem chłodnego i ostrego jak diament powietrza wstrząsnął nią dreszcz i ciasniej otuliła się swetrem, ale równocześnie było to odświeżające, odświeżające jak chłodna źródłana woda albo jak skok do lodowatego basenu. Przystrzyżona niedawno trawa lśniła rosą, ale pierwsze ciepłe promienie słońca dotknęły już jednego kąta i tam rosa zniknęła, a trawa miała już inny odcień zieleni.

Poczuła się raźniej, jak zawsze podniesiona na duchu widokiem trawy, drzew, kwiatów... jej własne sanktuarium, które sama stworzyła przez pięć lat ciężkiej i dającej wielką satysfakcję pracy. Cały dzisiejszy dzień spędzi tutaj. Było sporo do zrobienia.

Doszła do tarasu, na którym stała stara drewniana ławeczka. W szparach pomiędzy kamiennymi płytami rosły kępki tymianku i aubretii⁰ (która później w ciągu roku zmienia się w grube poduszki białych i fioletowych kwiatów) — ale oczywiście jak zawsze były też i chwasty. Wpadł jej w oko bezczelny mlecz i pochyliła się, żeby go wyrwać, szarpiąc za upartą, silną łodygę. Ale okazało się, że nawet ten niewielki fizyczny wysiłek to było już za dużo, bo gdy się wyprostowała, poczuła się tak dziwnie, tak bardzo kręciło jej się w głowie i czuła się tak dezorientowana, że miała wrażenie, iż zaraz zemdleje. Instynktownie sięgnęła do oparcia ławeczki i trzymając się go kurczowo, powoli usiadła. Niepewna czekała, co się dalej stanie. Stało się prawie natychmiast. Ból jak gorący prąd przebiegł w górę lewego ramienia, opasał klatkę piersiową i ścisnął jak stalowa obręcz. Nie mogła oddychać; nigdy w życiu nie doświadczyła jeszcze tak strasznego cierpienia. Z zamkniętymi oczami otworzyła usta, żeby wykrzyknąć z siebie ten ból, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Istnienie skurczyło się do odczuwania bólu. Do bólu i do tych

aubretia lub aubrietria — niskopienna roślina skalna, kwitnie na wiosnę (przyp. red.)

zaciśniętych wokół mlecza palców. Z jakiegoś powodu było ogromnie ważne, żeby wciąż go trzymać. Czuła chłodne i wilgotne grudki ziemi przyczepione do korzenia, czuła silny, ostry zapach ziemi. Daleko i jak przez mgłę słyszała śpiew drozda.

I wtedy, skradając się, powoli zaczęły nadchodzić inne zapachy i inne dźwięki. Świeżo ścięta trawa sprzed wielu, wielu lat, taras, który opadał lekko aż do brzegu rzeki, tam gdzie rosły dzikie żonkile. Słony zapach przypływu, podnoszącego się, żeby napełnić rzeczkę. Nawoływania małych mew. Kroki mężczyzny.

Najwspanialszy z możliwych luksusów. Otworzyła oczy. Ból zniknął. Słońce też zniknęło. Może za chmurą. To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

On nadchodził.

— Richard.

Już tu był.

Przy Ranfurly Road kwadrans po dziewiątej we wtorek rano, pierwszego maja, Oliwia stała w swojej małej kuchni, parząc sobie kawę, gotując jajko na śniadanie i przeglądając poranną pocztę. Była już uczesana i miała zrobiony makijaż, jak to miała w zwyczaju, ale nie była jeszcze ubrana do pracy. Pomiędzy listami znalazła bardzo kolorową widokówkę z Assyżu, gdzie jeden z redaktorów z działu sztuki spędzał swój urlop. Obróciła kartkę na drugą stronę, żeby przeczytać jego żartobliwe pozdrowienia i właśnie w tym momencie zadzwonił telefon.

Wciąż jeszcze trzymając kartkę w ręku, przeszła przez pokój, żeby odebrać telefon.

— Oliwia Keeling, słucham.

— Panna Keeling? — głos kobiety, akcent wiejski.

— Tak.

— Och, zastałam panią jeszcze! Tak się bałam, że pani już wyruszyła do biura...

— Nie wychodzę przed wpół do dziesiątej. Kto mówi?

— Pani Plackett. Z Podmore's Thatch.

Pani Plackett. Z ogromną, przesadną wręcz ostrożnością, jak gdyby zrobienie tego było sprawą najwyższej wagi, Oliwia odłożyła jaskrawą widokówkę na półkę biegnącą nad kominkiem, opierając ją o złoconą ramę lustra. W ustach miała sucho.

— Czy z mamusią wszystko w porządku? — zapytała.

— Panno Keeling, niestety... to znaczy, mam smutną wiadomość. Przykro mi. Pani matka umarła, panno Keeling. Dziś rano. Bardzo wcześnie, kiedy wszyscy jeszcze spali.

Assyż pod niebem wręcz niemożliwie niebieskim. Nigdy nie była w Assyżu. Mamusia nie żyła.

— Jak to się stało?

— Atak serca. Musiał przyjść nagle. W ogrodzie. Antonia znalazła ją siedzącą na ławeczce. Chyba plewiła. W ręce trzymała wyrwany mlecz. Musiała poczuć jakieś ostrzeżenie i zdążyła dojść do ławeczki. Nie wyglądała na... nie wyglądała na cierpiącą.

— Czy ostatnio źle się czuła?

— Wcale nie. Wróciła z Kornwalii opalona, wypoczęta i taka sama jak zawsze. Ale wczoraj była cały dzień w Londynie...

— Mamusia była w Londynie? Dlaczego mi nie dała znać?

— Nie wiem, panno Keeling. Nie wiem, dlaczego pojechała. Pojechała pociągiem z Cheltenham i kiedy Antonia wieczorem wyszła po nią na dworzec, mówiła, że pani Keeling była bardzo zmęczona. Wykąpała się i poszła do łóżka, jak tylko wróciła do domu, a Antonia zaniósła jej kolację na tacy na górę. Więc może pani Keeling się przemęczyła.

Mamusia nie żyła. To, czego się najbardziej obawiała, to niewyobrażalne, stało się. Mamusia odeszła na zawsze, a Oliwia, która kochała ją bardziej niż jakiegokolwiek innego człowieka, nie czuła nic — tylko potworne zimno. Jej ręce w luźnych rękawach szlafroka pokryły się gęsią skórką. Mamusia nie żyła. Łzy i ból, i potworne uczucie straty były w niej i jednocześnie jakby nie były obecne, i za to czuła się wdzięczna. Później, mówiła sobie, będę rozpaczać. A teraz ból i rozpacz zostaną odłożone na bok, jak paczka, którą się otworzy później, w dogodniejszym czasie. To był stary podstęp, którego nauczyły ją trudne doświadczenia. Zamykała swój ból jak w wodoszczelnym pomieszczeniu i skupiała się wyłącznie na praktycznej stronie problemu, na tym, co trzeba było zrobić najpierw. Najpierw trzeba się zająć tym co najpilniejsze. Powiedziała:

— Proszę mi o tym opowiedzieć, pani Plackett.

— No więc, przyszedł tu dziś rano o ósmej. Zwykle nie przychodzę we wtorki, ale wczoraj były urodziny mojego wnuka i wyjątkowo zmieniłam dzień. Przyszedł wcześniej, bo we wtorki muszę też posprzątać u pani Kitson. Otworzyłam drzwi sama, własnym kluczem i na dole nie było nikogo. Właśnie robiłam coś przy bojlerze, kiedy Antonia przyszła na dół. Spytała się, gdzie jest pani Keeling, bo drzwi do jej sypialni są otwarte i łóżko jest puste. Zdziwiłyśmy się, nie wiedziałyśmy, gdzie mogła być. I wtedy zauważyłam, że drzwi do cieplarni są otwarte, więc powiedziałam do Antonii: „Na pewno jest w ogrodzie”. Antonia poszła zobaczyć. Potem usłyszałam, że mnie woła. Więc pobiegłam i wtedy zobaczyłam.

Oliwia z ulgą rozpoznała po głosie pani Plackett, że należała ona do tych wiejskich kobiet, które miały za sobą już wiele takich kryzysowych sytuacji. Była kobietą w dojrzałym wieku i przypuszczalnie nie jeden raz stawiała oko w oko ze śmiercią, która jej już nie przerażała.

— Pierwszą rzeczą, jaką musiałam zrobić, to uspokoić Antonię. Była naprawdę w okropnym szoku, szlochała, płakała i trzęsła się jak mały kotek. Ale przytuliłam ją, uściskałam i posadziłam z filiżanką herbaty. Wyszła z tego jak dzielna dziewczyna i siedzi tu teraz ze mną w kuchni. Jak tylko ona poczuła się lepiej, zadzwoniłam po doktora do Pudley i przyjechał w dziesięć minut. Potem pozwoliłam sobie też zadzwonić po pana Placketta. On teraz pracuje na ostatnią zmianę w fabryce wyrobów elektronicznych, więc mógł przyjechać na rowerze. On i doktor, razem zanieśli panią Keeling do domu, na górę do jej sypialni. Jest tam teraz, na swoim łóżku, przywoicie ułożona, spokojna. Nie musi się pani o to martwić.

— Co lekarz powiedział?

— Powiedział, że to był atak serca, panno Keeling. Przymuszczałnie nagły. Podpisał świadectwo zgonu i zostawił je mnie. A potem powiedziałam do Antonii: „Trzeba zadzwonić do pani Chamberlain”, ale ona uważała, że lepiej najpierw zadzwonić do pani. Może powinnam była skontaktować się wcześniej, ale nie chciałam, żeby pani wiedziała, że pani biedna matka nie żyje i jeszcze leży w ogrodzie.

— To bardzo delikatnie z pani strony, że pani o tym pomyślała. A więc nikogo innego jeszcze pani nie zawiadamiała?

— Nie, panno Keeling. Tylko panią.

— Tak, rozumiem. — Oliwia popatrzyła na zegarek. — Ja dam znać pani Chamberlain i zawiadomię także mego brata. Potem przyjadę do Podmore's Thatch, gdy tylko wszystko tu sobie zorganizuję. Będę tam chyba gdzieś w porze lunchu. Czy pani może tam zostać do tego czasu?

— Niech się pani o to nie martwi, panno Keeling. Będę tutaj tak długo, jak pani tylko zechce.

— Będę musiała tam pozostać przez parę dni. Może mogłaby pani przygotować dla mnie łóżko w pokoju gościnnym. I proszę upewnić się, czy w domu jest dosyć jedzenia. Jeśli to będzie potrzebne, to niech Antonia weźmie samochód i zrobi zakupy w Pudley. Będzie w ten sposób miała coś do roboty, to jej dobrze zrobi. — Przyszła jej do głowy pewna myśl. — A co z tym młodym ogrodnikiem — Danusem? Czy jest gdzieś w pobliżu?

— Nie, panno Keeling. On jest w Szkocji. Pojechał tam prosto z Kornwalii. Był umówiony w jakiejś ważnej sprawie.

— To się fatalnie składa. No trudno, nic na to nie poradzimy. Proszę pozdrowić ode mnie Antonię.

— Czy chce pani z nią rozmawiać?

— Nie — odrzekła Oliwia. — Nie w tej chwili. To może poczekać.

— Przykro mi, panno Keeling. Przykro mi, że to ja musiałam pani o tym powiedzieć.

— Ktoś musiał to zrobić. I, proszę pani... dziękuję.

Odłożyła słuchawkę. Spojrzała przez okno i dopiero teraz zobaczyła, że był piękny dzień. Był idealnie piękny majowy poranek, a mamusia nie żyła.

Później, kiedy już było po wszystkim, Oliwia zastanawiała się, co by zrobili bez pani Plackett. Mimo że Oliwia miała już spore doświadczenie w różnych sprawach, ale nigdy dotąd nie musiała przygotowywać pogrzebu.

A było, jak się okazało, mnóstwo do roboty. NaTomiasz pierwszą przeszkodą, którą przyszło jej pokonać po przyjeździe do Podmore's Thatch, było poradzenie sobie z Nancy.

Kiedy Oliwia zadzwoniła z Londynu do Old Vicarage, telefon odebrał George i po raz pierwszy w życiu była głęboko wdzięczna, gdy usłyszała ponury głos swojego szwagra. Powiedziała mu, co się stało, jak najprościej i jak najszybciej umiała; wyjaśniła, że ona sama jedzie prosto do Podmore's Thatch i zakończyła rozmowę, zostawiając jemu zadanie przekazania smutnej wiadomości Nancy. Miała nadzieję, że na razie będzie z tym miała spokój na jakiś czas, ale gdy jej alfasud skręcił w bramę wjazdową do Podmore's Thatch, zobaczyła samochód Nancy i zrozumiała, że niestety nie uda jej się tak łatwo uniknąć kontaktów ze swoją siostrą.

Ledwie Oliwia wysiadła z samochodu, a już Nancy wypadła z domu i pędziła ku niej z otwartymi ramionami, z wytrzeszczonymi oczami i twarzą spuchniętą od płaczu. Zanim Oliwia zdołała zrobić jakiś unik, Nancy zarzuciła jej ramiona na szyję i przycisnęła swój gorący policzek do bladego, chłodnego policzka Oliwii i znów roztopiła się cała w hałaśliwym pochlipywaniu.

— Och, moja droga... od razu przyjechałam. Jak tylko George mi powiedział, po prostu natychmiast przyjechałam. Musiałam tu być z wami wszystkimi. Musiałam... musiałam być tutaj...

Oliwia stała sztywno jak kamienny posąg, wytrzymując ten mokry, niesmaczny uścisk tak długo, jak tylko to było konieczne ze względów grzecznościowych. Po czym łagodnie się wyswobodziła.

— To bardzo miłe z twojej strony, Nancy. Ale to naprawdę nie było konieczne.

— George też tak powiedział. Powiedział, że będę tylko przeszkadzać. — Nancy poszukała swojej mokrej chusteczki w rękawie od swetra, spróbowała wysiąkać nos i wziąć się w garść. — Ale przecież to jasne, że nie mogłam zostać w domu. Musiałam tu być. — Otrząsnęła się i wyprostowała ramiona, pokazując swoją dzielną postawę. — Wiedziałam, że muszę tu przyjechać. Jazda była koszmarem, byłam cała roztrzęsiona, kiedy tu dotarłam, ale pani Plackett zrobiła mi herbatę i teraz czuję się już lepiej.

Perspektywa podtrzymywania na duchu Nancy i pocieszania jej w zmartwieniu przez najbliższych parę godzin wydała się Oliwii czymś ponad jej siły.

— Nie powinnaś tu zostawać — powiedziała swojej siostrze, szukając gorączkowo jakiegoś przekonywającego argumentu, który pozwoliłby jej pozbyć się Nancy. Natchnienie podsunęło jej genialny pomysł. — Musisz przecież pomyśleć o swoich dzieciach i o George'u. Nie możesz ich zaniedbywać. Ja jestem sama, nie muszę brać pod uwagę nikogo innego, więc jest oczywiste, że to ja powinnam tu zostać.

— A twoja praca?

Oliwia odwróciła się do samochodu i wzięła małą walizkę z tylnego siedzenia.

— Wszystko już załatwione. Nie muszę wracać do biura aż do poniedziałku. Chodźmy do środka. Wypijemy razem jakiegoś drinka i potem pojedziesz do domu. Jeśli ty nie potrzebujesz ginu z tonikiem, to ja w każdym razie muszę się napić.

Poszła pierwsza, a Nancy za nią. W dobrze znanej kuchni jak zawsze panował idealny porządek i było w niej ciepło, ale potwornie pusto.

— A co z Noelem? — zapytała Nancy.

— A co ma być?

— Powiedziałaś mu?

— Oczywiście. Zaraz po telefonie do George'a zadzwoniłam do niego, do pracy.

— Czy był bardzo wstrząśnięty?

— Wydaje mi się, że tak. Nie mówił wiele.

— Czy wybiera się tutaj?

— Nie w tej chwili. Powiedziałam mu, że jak będę go potrzebować, to dam mu znać.

Nancy, jakby nie była zdolna stać dłużej niż dwie minuty, wyciągnęła sobie krzesło i usiadła przy stole. Nagły, dramatyczny wyjazd z Old Vicarage wyraźnie nie zostawił jej czasu ani na uczesanie się ani na przypudrowanie nosa, czy na dobranie takiej bluzki, która by pasowała do spódnicy.

Wyglądała więc nie tylko na roztrzęsioną, ale także okropnie niechlujnie i Oliwia poczuła przypływ znanego jej uczucia poirytowania i zniecierpliwienia wobec Nancy. Wszystko jedno co się stało, dobrego czy złego, Nancy zawsze robiła z tego dramat, a w dodatku ustawiała siebie w wiodącej w nim roli.

— Pojechała wczoraj do Londynu — mówiła Nancy. — Nie wiemy dlaczego. Ot tak, wsiadła w pociąg i pojechała na cały dzień. Pani Plackett mówiła, że wróciła do domu zupełnie wyczerpana. — Ton jej głosu był obrażony, tak jakby i tym razem uważała, że Penelopa chciała wystrychnąć ją na dudka. Oliwia prawie że spodziewała się usłyszeć, jak Nancy

doda: „I nawet w ogóle nam nie powiedziała, że ma zamiar umrzeć”. Żeby zmienić temat, Oliwia zapytała:

- Gdzie jest Antonia?
- Pojechała do Pudley zrobić zakupy.
- Czy widziałaś się z nią?
- Jeszcze nie.
- A pani Plackett?
- Na górze, chyba przygotowuje pokój dla ciebie.
- W takim razie wezmę moją torbę na górę i zamienię z nią parę słów.

Ty zostań tutaj. Jak zejdę, to wypijemy sobie drinka i wtedy możesz wracać do George'a i dzieci...

- Ale nie mogę przecież tak po prostu zostawić cię tutaj samą...
- Oczywiście, że możesz — odparła chłodno Oliwia. — Będziemy się kontaktować telefonicznie. Lepiej się będę czuła, zajmując się wszystkim samodzielnie.

Nancy w końcu wyjechała. Zostawszy same, Oliwia i pani Plackett mogły się wreszcie zabrać poważnie do pracy.

— Będziemy musiały skontaktować się z przedsiębiorcą pogrzebowym, pani Plackett.

- Joshua Bedway. Najlepszy człowiek w tym fachu jaki jest w okolicy.
- Gdzie on mieszka?

— Tutaj, w Tempie Pudley. Jest cieślą i stolarzem w miasteczku, ale ma też zakład pogrzebowy, jako dodatkowy fach. To dobry człowiek, bardzo taktowny i dyskretny. Świetnie się wywiązuje ze swoich obowiązków. — Pani Plackett zerknęła na zegar. Była prawie za kwadrans pierwsza. — Będzie teraz w domu, bo to pora obiadowa. Chce pani, żebym do niego zadzwoniła?

— Mogłaby pani? I proszę go poprosić, żeby przyszedł jak najszybciej.

Pani Plackett zrobiła to bez przesadnie dramatycznego tonu, bez pobożnego zniżania głosu. Wyjaśniła sprawę bardzo prosto i złożyła zamówienie. Równie dobrze mogłaby go prosić, żeby przyszedł naprawić płot. Zadowolona z siebie odłożyła słuchawkę.

— No, to sprawa załatwiona. Będzie tu o trzeciej. Przyjdę razem z nim. Będzie pani łatwiej, jak tu będę.

- Tak — rzekła Oliwia. — Tak będzie o wiele łatwiej.

Potem siadły przy kuchennym stole i zaczęły spisywać listę spraw do załatwienia. Oliwia piła już drugi gin z tonikiem, a pani Plackett dała się namówić na małą szklaneczkę porto. To naprawdę pyszne, powiedziała Oliwii. Miała słabość do porto.

— Następną osobą, z którą musimy się skontaktować, panno Keeling, jest proboszcz. Będzie pani przecież chciała, żeby odbyło się nabożeństwo

w kościele i chrześcijański pogrzeb. Trzeba będzie pomyśleć o działce na cmentarzu i ustalić dzień i godzinę pogrzebu. A potem omówić takie sprawy jak na przykład, które hymny wybrać i tym podobne. Będą hymny, mam nadzieję. Pani Keeling bardzo lubiła posłuchać koncertu, a zawsze jest ładniej na pogrzebie, jak jest trochę muzyki.

Omawiając praktyczne szczegóły, Oliwia czuła się odrobinę lepiej. Zdjęła zakrętkę z wiecznego pióra.

— Jak proboszcz się nazywa?

— Wielebny Tomasz Tillingham. Nazywamy go tu po prostu pan Tillingham. Mieszka na plebanii obok kościoła. Najlepiej byłoby do niego zadzwonić i może zaprosić go na jutro rano. Poda mu pani kawę.

— Czy on znał moją matkę?

— Och, tak. Wszyscy ją tu znali.

— Nigdy nie chodziła jednak regularnie do kościoła.

— Nie. Może i nie. Ale zawsze była gotowa pomóc w zbieraniu datków na organy i przy wyprzedaży na cele charytatywne. A od czasu do czasu zapraszała państwa Tillingham na obiad. Na stole pojawiały się wtedy najlepsze koronkowe serwetki i butelka jej najlepszego wina.

Nie trudno było to sobie wyobrazić. Oliwia po raz pierwszy w tym dniu uśmiechnęła się.

— Podejmowanie swoich przyjaciół — to było to, co lubiła najbardziej.

— Była przemiłą osobą, pod każdym względem. Można z nią było porozmawiać o wszystkim. — Pani Plackett upiła drobny łyżeczek ze swego kieliszka, jak prawdziwa dama. — I jeszcze jedna rzecz, panno Keeling. Powinna pani dać znać adwokatowi pani Keeling, że nie ma jej już wśród nas. Trzeba jakoś załatwić sprawę konta w banku i różne tam takie sprawy.

— Tak, myślałam już o tym. — Oliwia zapisała: *Enderby, Looseby & Thring*. — I musimy dać ogłoszenie do gazety. Do *Timesa* i może do *Telegraphu*.

— No i kwiaty w kościele. Dobrze by było, gdyby były kwiaty, a pani może nie mieć czasu zająć się tym sama. Jest taka miła dziewczyna w Pudley. Ma swoją furgonetkę. Kiedy umarła teściowa pani Kitson, zrobiła na pogrzeb piękną dekorację z kwiatów.

— Dobrze, zobaczymy. Ale najpierw musimy się zdecydować, kiedy ma być pogrzeb.

— A po pogrzebie... — pani Plackett zawahała się. — Dzisiaj sporo ludzi uważa, że to nie jest potrzebne, ale ja uważam, że to miło, jeśli ludzie mogą potem przyjść do domu i napić się herbaty i coś przekąsić. Placek z owocami byłby dobry. Oczywiście że to zależy od tego, kiedy będzie nabożeństwo, ale jeśli ludzie przyjeżdżają z daleka — a jestem pewna, że będą znajomi, którzy przejadą szmat drogi, żeby tu dojechać — to wydaje

się tak jakoś niewdzięcznie, żeby odesłać ich bez niczego, nawet bez filiżanki herbaty. A poza tym to jakoś poprawia nastrój. Można trochę pogadać, a pogawędka odpędza choć na trochę smutek. Człowiek czuje, że nie jest sam.

Stary wiejski zwyczaj stypy nie przyszedł Oliwii do głowy, ale dostrzegła sporo zdrowego rozsądku w sugestii pani Plackett.

— Tak, ma pani całkowitą rację. Zorganizujemy coś takiego. Ale muszę panią ostrzec, że jestem beznadziejna jako kucharka. Będzie mi pani musiała pomóc.

— To proszę już mnie zostawić. Placek z owocami to moja specjalność.

— W takim razie to już chyba wszystko. — Oliwia odłożyła pióro i oparła się plecami o oparcie krzesła. Obie spojrzały na siebie ponad stołem. Przez chwilę żadna z nich nic nie mówiła. Wreszcie Oliwia powiedziała:

— Sądzę, pani Plackett, że pani była najlepszym przyjacielem mojej matki. A w tej chwili wiem na pewno, że jest pani moim.

Pani Plackett poczuła się zażenowana.

— Nie zrobiłam nic nad to, co powinnam była, panno Keeling.

— Czy Antonia da sobie radę?

— Myślę, że tak. Była okropnie wstrząśnięta, ale to rozsądna dziewczyna. To był dobry pomysł, żeby wysłać ją na zakupy. Dałam jej taką długą listę sprawunków jak moja ręka. W ten sposób będzie zajęta i będzie się czuła pożyteczna. — To mówiąc pani Plackett wypła resztkę porto, odstawiła pustą szklaneczkę na stół i dzwignęła się z krzesła. — No to, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, to pójdę teraz do domu i podam coś do jedzenia panu Plackett. Ale wrócę o trzeciej, żeby wpuścić Joshuę Bedwaya do domu. I zostanę, aż on skończy i wyjdzie.

Oliwia odprowadziła ją do drzwi i popatrzyła, jak odjeżdża na swoim rowerze. Stojąc w drzwiach usłyszała silnik nadjeżdżającego samochodu i w następnej chwili przez bramę wjazdową wjechało volvo. Oliwia została w tym samym miejscu, nie ruszając się. Jakkolwiek silne były jej uczucia dla córki Kośmy i mimo że żal jej było tej dziewczyny, Oliwia wiedziała, że nie da sobie rady z jeszcze jedną falą emocji i następnym mokrym i łzawym uściskiem. Pancierz rezerwy, mocny jak zbroja, był jak na razie jej jedyną bronią. Patrzyła, jak samochód stanął. Antonia odpięła pas i wysiadła zza kierownicy. W tym momencie Oliwia założyła ręce, krzyżując je przed sobą na piersi, co w symbolicznym języku gestów jest sygnałem niechęci do fizycznego zbliżenia. Ponad dachem samochodu, poprzez dzielącą ich odległość paru stóp, ich oczy spotkały się. Nastąpiła chwila przerwy, a potem Antonia zamknęła drzwiczki samochodu z miękkiem stuknięciem i podeszła do Oliwii.

— Jesteś już tutaj. — To było wszystko, co powiedziała.

Oliwia rozprostowała ręce i położyła je na ramionach Antonii.

— Tak. Jestem tutaj.

Pochyliły się ku sobie i przywitały się sztywno, lekkim muśnięciem w policzki. Wszystko było w porządku. Nie zanosilo się na żadne dramatyczne gesty. I Oliwia poczuła się głęboko wdzięczna, że zostało jej to oszczędzone, ale równocześnie było jej smutno, bo to jest zawsze smutne, kiedy ktoś, kogo znaliśmy jako dziecko, w końcu dorasta i wiemy, że już nigdy więcej nie będzie tak naprawdę młody.

Dokładnie o trzeciej pojawił się Joshua Bedway w swojej małej furgonetce z panią Plackett siedzącą obok niego. Oliwia obawiała się, że będzie ubrany cały na czarno i w dodatku, z dopasowaną do tej czerni, ponurą miną, ale jedyne co zrobił, to przebrał się ze swojego roboczego kombinezonu w porządną garnitur i włożył czarny krawat, a jego opalona wiejska twarz nie wyglądała na taką, która potrafiłaby zostać poważną zbyt długo.

W tym jednak momencie był zarówno zasmucony jak i współczujący. Powiedział Oliwii, że będzie im wszystkim bardzo brakowało jej matki we wsi. Przez te sześć lat, w czasie których mieszkała w Tempie Pudley, żyła się z tutejszą społecznością i stała się jej częścią.

Oliwia podziękowała mu za te miłe słowa i kiedy już wymienili wzajemne grzeczności, pan Bedway wyciągnął z kieszeni notes. Pozostało parę szczegółów do omówienia, powiedział i wymienił je. Słuchając go, zdała sobie sprawę, że był fachowcem w swojej dziedzinie i za to czuła się głęboko wdzięczna. Mówił o miejscu na grób, o grabarzu i urzędniku prowadzącym zapiski w Urzędzie Stanu Cywilnego. Stawiał pytania, na które Oliwia odpowiadała. Gdy ostatecznie zamknął swój notes, włożył go do kieszeni i powiedział:

— Myślę, że to już wszystko, panno Keeling. Resztę może pani spokojnie mnie zostawić.

Oliwia odetchnęła z ulgą i wzięwszy ze sobą Antonię, wyszła.

Nie poszły w dół do rzeki. Minęły bramkę, przeszły na drugą stronę szosy i ruszyły starą ścieżką prowadzącą na wzgórze za wioską. Ścieżka wiodła przez pola z pasącymi się owcami z jagniętami. Krzaki tarniny pokryły się już kwieciami, a w rowach wymoszczonych mchem pokazywały swe główki dzikie pierwiosnki. Na wierzchołku wzgórza panowały pnie prastarych buków, wystawione na wichry i zmienną pogodę przez całe stulecia. Dotarwszy do nich, zdyszane i rozgrzane wspinalczką, usiadły, dumne z siebie, że odbyły tę drogę, i spojrzyły w dół.

Jak okiem sięgnąć rozciągał się malowniczy widok na nie zepsuty przez cywilizację wiejski zakątek Anglii. Grzało ciepłe słońce wyjątkowo pogodnego popołudnia wiosennego. Gospodarstwa, pola, traktory, domy

wydawały się rozmiarów zabawek. Daleko w dole pod nimi drzemało Tempie Pudley: przypadkowa kompozycja kamiennych domów złotawej barwy. Cisy na pół zasłaniały kościół, ale Podmore's Thatch i bielone mury Sudeley Arms były doskonale widoczne. Dym unosił się z kominów jak szare pióropusze; w jednym ogrodzie ktoś zapalił ognisko.

Panowała niezmacona cisza. Słysząc było jedynie beczenie owiec i lekki szmer kołyszących się na wietrze gałęzi buków. Po chwili wysoko wśród błękitu ukazał się samolot, bzyząc i sunąc leniwie po niebie jak senna pszczoła, ale w niczym nie zakłócił spokoju.

Jakiś czas siedziały w milczeniu. Odkąd się znów spotkały, Oliwia prawie bez przerwy telefonowała, już to odbierając rozmowy, już to dzwoniąc sama (dwa takie telefony były od Nancy, całkowicie bez określonego powodu); nie było sposobności, żeby swobodnie porozmawiać. Teraz patrzyła na Antonię, siedzącą na rosnącej kępkami trawie o kilka stóp od niej, w swoich spłowiały eh dżinsach i różowej bluzce z bawełny. Jej sweter, który zrzuciła podczas długiego, rozgrzewającego marszu, leżał obok niej. Twarz dziewczyny skrywały włosy, które zsunęły się do przodu. Antonia Kośmy. Mimo własnego, przygniatającego ją nieszczęścia Oliwia musi okazać jej dużo serca. Osiemnaście lat to za mało, by wytrzymać tak wiele okropnych rzeczy, które się jej wydarzyły. Ale tego nie da się cofnąć i Oliwia wiedziała, że po odejściu Penelopy ona była znów odpowiedzialna za Antonię.

Przerywając milczenie rzekła:

— Co zrobisz?

Antonia obróciła się i popatrzyła na nią.

— Co znaczy: co zrobię?

— Pytam, co zrobisz teraz? Teraz, kiedy mamy nie będzie, nie masz więcej powodu, by zostać w Podmore's Thatch. Będziesz musiała podejmować decyzje. Pomyśl o przyszłości, o twojej przyszłości.

Antonia odwróciła się z powrotem, podciągnęła kolana i oparła na nich brodę.

— I owszem, myślałam.

— Chcesz przenieść się do Londynu? Przyjąć tę moją propozycję?

— Tak, jeżeli pozwolisz. Chciałabym. Ale za jakiś czas. Nie w tej chwili.

— Nie rozumiem.

— Myślałam sobie, że może byłoby dobrze, gdybym tu przez jakiś czas... gdybym tu jakiś czas pozostała... to znaczy — co się stanie z domem? Czy zostanie sprzedany?

— Wyobrażam sobie, że tak. Ja nie mogę tu mieszkać, Noel też nie. A nie przypuszczam, żeby Nancy chciała się przenieść do Tempie Pudley. To nie jest miejsce, które spełniałoby jej i George'a wygórowane wymagania.

— W takim razie, ludzie będą chcieli zobaczyć dom i obejrzeć go dokładnie. Masz o wiele większą szansę dostać lepszą cenę za ten dom, jeżeli będzie urządzony i umeblowany, otoczony kwiatami i z zadbanym ogrodem. Pomyślałam, że może mogłabym tu zostać, by mieć oko na wszystko. Oprowadzać przyszłych nabywców i dopilnować strzyżenia trawy. A potem, gdy dom będzie sprzedany i wszystko zostanie załatwione — wtedy może mogłabym przenieść się do Londynu.

Oliwia zdziwiła się.

— Ależ Antonio, byłabyś tu sama w całym domu. Nie przeszkadzałoby ci to?

— Sądzę, że nie. To nie jest dom, w którym naprawdę byłabym samotna.

Oliwia zastanowiła się i zdała sobie sprawę, że pomysł jest właściwie całkiem sensowny.

— Jeżeli jesteś zdecydowana, myślę, że my wszyscy bylibyśmy ci ogromnie wdzięczni. Bo nikt z rodziny nie będzie mógł tu zostać, a pani Plackett ma inne obowiązki. Rzecz jasna, nic nie zostało jeszcze przesądzone, ale jestem pewna, że dom będzie sprzedany. — Po chwili przerwy dodała: — Jednak nie widzę powodu, dlaczego musiałabyś zajmować się również ogrodem. Chyba Danus Muirfield wróci do pracy?

— Nie wiem — odparła Antonia.

Oliwia skrzywiła się.

— Myślałam, że on po prostu **pojechał do Edynburga**, bo był umówiony na jakieś spotkanie.

— Tak, na spotkanie z lekarzem.

— On jest chory?

— Ma epilepsję. On jest epileptykiem.

Oliwia przeraziła się.

— Epileptykiem? Cóż za koszmar. Czy mama wiedziała?

— Nie, ani mama, ani ja. Nie powiedział nam aż do samego końca wakacji w Kornwallii.

Oliwia poczuła się zaintrygowana. Nigdy nie przyglądała się bliżej młodemu człowiekowi, chociaż wszystko, co słyszała o nim od siostry, matki i Antonii, raczej wzbudzało jej zainteresowanie.

— Jakże bardzo musi być zamknięty w sobie.

Antonia nic się na to nie odezwała. Myśl Oliwii szła dalej w tym samym kierunku.

— Mama mówiła mi, że on nie pije alkoholu i nie prowadzi samochodu, a ty także wspomniałaś o tym w liście. To musiało być przyczyną.

— Tak.

— Jak wypadła wizyta u doktora?

— Widział się z lekarzem i miał kolejne badanie mózgu, ale komputer w szpitalu się zepsuł, tak że nie mógł dostać wyników testu. Telefonował do nas, żeby nam o wszystkim powiedzieć. To było w ostatni czwartek. A potem pojechał z przyjacielem na ryby. Uważał, że tak będzie lepiej, niż żeby miał siedzieć w domu beczynnienie.

— Kiedy wraca z tej wycieczki na ryby?

— W czwartek. Pojutrze.

— Czy wtedy będzie wiedział o wyniku badania mózgu?

— Tak.

— A potem co? Czy wraca do Gloucestershire do pracy?

— Nie wiem. Przypuszczam, że to zależy od tego, w jakim stopniu jest chory.

Wszystko to brzmiało raczej smutno i beznadziejnie. A jednak, gdy się nad tym zastanowiła, nie całkiem niespodziewanie. Odkąd Oliwia sięgała pamięcią, cała kolekcja ekscentryków i nieudaczników życiowych, jeden po drugim, jakoś się przyklejali do mamusi, niczym pszczoły do miodu. Nigdy im nie odmawiała wsparcia i opieki, a ta hojną ręką udzielana pomoc z towarzyszącą temu czasem szeleszczącą gotówką doprowadzała Noela do szału. I to być może tłumaczyło spontaniczną antypatię okazywaną przez Noela Danusowi Muirfieldowi.

— Mama go bardzo lubiła, prawda? — zapytała.

— Tak, ogromnie. A on był dla niej bardzo, bardzo miły. Opiekował się nią.

— Bardzo się zmartwiła, kiedy jej powiedział o swojej chorobie?

— Bardzo. Nie ze względu na siebie, tylko na niego. Ta wiadomość była niemałym wstrząsem. Aż trudno sobie wyobrazić. Kornwalia to była czysta magia i tak świetnie nam tam było... czuliśmy się tak, jak gdyby nic złego już nie mogło nas spotkać. Akurat tydzień temu. Kiedy Kosma umarł, myślałam, że to jest najgorsze ze wszystkiego. Ale chyba żaden tydzień nie był tak okropny, ani się nie włókł, jak ten.

— Antonio, tak mi przykro.

Bała się, że Antonia wybuchnie płaczem, ale w tej chwili dziewczyna obróciwszy się popatrzyła na nią i Oliwia zobaczyła z ulgą, że jej oczy są suche, a twarz, choć poważna, opanowana.

— Niech ci nie będzie przykro — powiedziała Antonia. — Powinnaś się cieszyć, że Penelopa zdażyła jeszcze przed śmiercią pojechać do Kornwalii. Każda chwila dawała jej poczucie szczęścia. Myślę, że to było jak powrót młodości. Jej energia i entuzjazm były niewyczerpane. Każdy dzień potrafiła wypełnić. Nie zmarnowała ani jednej chwili.

— Ona bardzo cię lubiła, Antonio. To, że miała cię przy sobie, musiało podwajać jej radość.

Antonia westchnęła i z pewnym wahaniem odparła:

— Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć. Dała mi

kolczyki. Kolczyki, które jej podarowała ciocia Ethel. Nie chciałam ich wziąć, ale ona nie ustąpiła. W tej chwili mam je w moim pokoju w Podmore's Thatch. Czy nie uważasz, że powinnam je zwrócić...?

— Dlaczego miałabyś je zwracać?

— Bo one są bardzo kosztowne. Są warte cztery tysiące funtów. Sądzę, że powinny być twoje albo Nancy, albo jej córki.

— Gdyby mamusia chciała, żeby tak się stało, nie byłaby ci ich dawała.

Oliwia uśmiechnęła się i dodała: j,

— A mnie nie musiałaś mówić o kolczykach, bo ja już wiedziałam. Napisała do mnie list, żeby mi powiedzieć, co zrobiła.

Antonia była zaskoczona.

— Czemu tak zrobiła, zastanawiam się...

— Przypuszczam, że myślała o tobie i twoim dobrym imieniu. Nie chciała, żeby ktoś cię oskarżył, że je zwędziłaś z jej szkatułki z kosztownościami.

— Ależ to niesamowite! Przecież mogła ci to powiedzieć kiedykolwiek.

— Lepiej, kiedy takie rzeczy są na piśmie.

— Nie sądzisz, że ona miała jakieś przeczucie? Że wiedziała, iż umrze?

— Wszyscy to wiemy.

Wielebny Tomasz Tillingham, proboszcz Tempie Pudley, pojawił się w Podmore's Thatch o jedenastej rano następnego dnia. Oliwia nie oczekiwała tej wizyty z przyjemnością. Nie miała doświadczenia w kontaktach z proboszczami i niepokoiła ją myśl, jak wzajemnie będą się do siebie odnosić. Przed jego przybyciem usiłowała się przygotować na wszelkie jego ewentualne wymagania, ale było to trudne do wykonania, bo nie wiedziała, jakiego rodzaju człowiekiem się okaże. Może podstarzałym, o wyglądzie półnieboszczyka, z jęklwym głosem i staromodnymi poglądami. Albo młodym, idącym z prądem czasu, sprzyjającym zagranicznym programom uwspółcześniającym religię, nawołującym wiernych do podawania sobie rąk i zachęcającym do śpiewania nowoczesnych, optymistycznych hymnów do wtóru muzyki pop w wykonaniu miejscowej grupy. I jedna, i druga perspektywa była niepokojąca. Ale najbardziej przerażała myśl, że proboszcz może sugerować, by ona uklękła obok niego do modlitwy. Postanowiła, że gdyby taka, budząca w niej zgrozę, ewentualność miała miejsce, uda mały ból głowy, wymówi się, że źle się poczuła i ucieknie z pokoju.

Wszystkie jej obawy okazały się, na szczęście, całkiem płonne. Wielebny Tillingham nie był ani młody, ani stary: po prostu był miłym, zwyczajnym panem w średnim wieku, w marynarce z tweedu i koloratce.

Potrafiła doskonale zrozumieć, dlaczego Penelopa go lubiła i zapraszała na obiady. Otworzyła mu drzwi i zaprowadziła do ciepłarni, która wydawała jej się najpogodniejszym miejscem w całym domu. Okazało się to szczęśliwym pomysłem, bo mogli rozmawiać o kwiatach Penelopy, potem o jej ogrodzie i tak dotarli do sedna sprawy.

— Bardzo nam będzie brakowało pani Keeling, bardziej, niż da się powiedzieć — rzekł wielebny Tillingham.

Brzmiało to bardzo szczerze i Oliwia wiedziała, że nie chodziło o niewysłowiony żal za obiadkami, których miało już nie być.

— Była niezmiernie dobrą osobą i nadawała w dużej mierze ton życiu naszej wsi.

— To samo mówił pan Bedway. To taki miły człowiek. A zwłaszcza wobec mnie, bo widzi ksiądz, nigdy dotychczas nie miałam do czynienia z pogrzebami. To znaczy nigdy dotąd nie musiałam organizować pogrzebu. Ale pani Plackett i pan Bedway tak mi we dwojkę pomogli, że zdołałam zapanować nad sytuacją.

Jakby słysząc wezwanie na scenę, ukazała się pani Plackett z tacą, na której niosła dwa garnuszki kawy i talerzyk z herbatnikami. Wielebny Tillingham wsypał sobie dużą porcję cukru do swojego kubka i przystąpił do sprawy obrzędów. Nie zabrało to wiele czasu. Pogrzeb Penelopy miał się odbyć o trzeciej po południu, w sobotę. Porozumieli się na temat formy nabożeństwa i przeszli do sprawy muzyki.

— Moja żona jest organistą — powiedział ksiądz Tillingham. — Będzie jej miło zagrać, jeżeli pani to odpowiada.

— Bardzo się cieszę i całkiem mi to odpowiada. Ale nie chciałabym czegoś żałobnego. Coś pięknego. Coś, co ludzie znają. Wybór pozostawiam pani Tillingham.

— A hymny?

Zdecydowali, który hymn będzie śpiewany.

— A czytanie epistoły?

Oliwia zawahała się.

— Proszę księdza, jak już mówiłam, nie orientuję się zbyt dobrze w tych sprawach. Może pozostawilibyśmy to księdzu.

— Ale czy pani brat nie chciałby czytać epistoły?

Oliwia odparła, że nie; jej zdaniem Noelowi by na tym nie zależało.

Ksiądz Tillingham zastanawiał się jeszcze nad paroma szczegółami, które szybko zostały załatwione. Potem dopił kawę i wstał. Oliwia odprowadziła go, przechodząc przez kuchnię i drzwi frontowe do jego marniutkiego renaulta zaparkowanego na zwirowanym podjeździe.

— Do widzenia, panno Keeling.

— Do widzenia. — Wymienili uścisk dłoni. — Bardzo ksiądz był dobry.

Uśmiechnął się, a był to uśmiech pełen nieoczekiwanego ciepła i uroku. Przedtem ani razu nie uśmiechnął się tak wyraźnie, lecz teraz jego banalna twarz nabrała takiego wyrazu, że momentalnie Oliwia przestała o nim myśleć jako o proboszczu i przyszło jej bez żadnej trudności podjęcie tematu, który tkwił gdzieś na dnie jej myśli, odkąd ksiądz wszedł do domu.

— Nie pojmuję doprawdy, czemu ksiądz okazuje mi tyle dobroci i zrozumienia. Przecież oboje wiemy, że moja matka nie chodziła regularnie do kościoła. Nawet nie była tak naprawdę osobą wierzącą. A ideę Zmartwychwstania i życia po śmierci z wielkim trudem przyjmowała do wiadomości.

— Wiem. Raz o tym rozmawialiśmy, ale nie doszliśmy do żadnego porozumienia.

— Wręcz nie jestem pewna, czy przyjmowała istnienie Boga.

Ksiądz Tillingham, wciąż się uśmiechając, wyciągnął rękę do klamki samochodu.

— Nie zamartwiałbym się tym. Ona mogła nie wierzyć w Boga, ale gwarantuję, że Bóg w nią wierzył.

Dom pozbawiony właściciela był martwy. Z ciała została skorupa, w której nie biło serce. Opuszczony, dziwnie cichy, zdawał się jakby na coś czekać. Cisza była czymś fizycznym, od czego nie można było uciec. Uciskała jak jakiś wielki ciężar. Żadnego odgłosu kroków, żadnego ludzkiego głosu, żadnego dzwonienia garnkami; ani Vivaldi, ani Brahms nie sączył się łagodną melodią z magnetofonu na kuchennym stole. Drzwi zamknięte pozostawały zamknięte. Za każdym razem, gdy wychodziła po wąskich schodach, Antonia stawała naprzeciw zamkniętych drzwi sypialni Penelopy. Przedtem zawsze zostawały otwarte: można było dojrzeć jakiś fragment ubrania rzuconego na krzesło, poczuć powiew z otwartego okna, miły zapach charakterystyczny dla Penelopy. Teraz tylko drzwi.

Na dole nie było lepiej. Jej pusty fotel przed kominkiem w saloniku. Ogień wygasły, pokrywa biurka spuszczone. Żadnego swojskiego nieporządku, żadnego śmiechu, żadnych ciepłych, spontanicznych uścisków. W świetle, w którym żyła Penelopa, w którym istniała, oddychała, słuchała, wspominała, można było wierzyć, że nic zbyt okropnego naprawdę nie nastąpi. A gdyby nastąpiło — a dla Penelopy się to stało — to można było szukać sposobów stawieniu temu czoła, akceptacji lub nie przyznania się do klęski.

Nie żyła. W ten upiorny poranek przechodząc z cieplarni do ogrodu, widząc Penelopę jakby spoczywającą na starej drewnianej ławeczce z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie i zamkniętymi oczami, Antonia powiedziała sobie ostro, że Penelopa chwilowo odpoczywa; widać zażywa rześkiego porannego powietrza i białych promieni wczesnego słońca. Rzeczywistość była na jedną, przyprowadzającą o szaleństwo,

chwile zbyt potwornie ostateczna, zbyt nieodwołałna, by jej się spokojnie przyglądać. Samotna egzystencja, bez tego źródła ciągłej radości, tego poczucia bezpieczeństwa jakby opartego na skale, wymykała się myśli. A jednak to, co nie dawało się pomyśleć, stało się. Penelopa odeszła.

Najgorzej było przeżyć do końca każdy pojedynczy dzień. Dni bowiem, które dotąd zdawały się za krótkie, by starczyło czasu na rozmaite czynności, teraz rozciągały się jak cała wieczność; tykanie zegara od świtu do zmroku zdawało się obejmować epokę. Nawet ogród nie przynosił pociechy, bo nie było Penelopy, żeby go ożywić i trzeba było prawdziwego wysiłku, aby wyjść z domu i znaleźć coś do zrobienia na zewnątrz, jak zebrać naręcze narcyzów czy poplewić. Narcyze dawniej trzeba było włożyć do dzbanka. Teraz nie było to ważne. Nic nie było już ważne. Taka samotność była przeraźliwym przeżyciem. Nigdy nie zaznała podobnego odcięcia od świata. Dotąd zawsze był ktoś. Naprzód Kosma; a potem, kiedy umarł, pocieszająca świadomość, że w zasięgu jest Oliwia. W Londynie, może całe mile od Ibizy, a jednak w zasięgu. Na końcu drutu telefonicznego, gotowa powiedzieć po rozmowie:

— Dobrze, przyjeźdź do mnie, zajmę się tobą.

Lecz Oliwia nie była na razie dostępna. Praktyczna, zorganizowana, sporządzająca listy sprawunków, pogrążona w rozmowach telefonicznych — miało się wrażenie, że nie wypuszcza słuchawki z ręki. Jasno dała do zrozumienia Antonii, choć wprost tego nie powiedziała, że nie czas teraz na długie, poufne rozmowy, czy na zwierzenia. Antonia była wystarczająco przytomna, żeby zdać sobie sprawę, że po raz pierwszy ma do czynienia z drugim obliczem Oliwii; dostrzegła chłodną, sprawną kobietę, czynną zawodowo, która potrafiła wnieść się walcząc, by zostać naczelnym redaktorem *Wenus* i w trakcie tej wspinaczki po szczeblach kariery stała się osobą bezlitosną wobec ludzkich słabości i nie znoszącą sentymentalizmu. Ta „pierwsza” Oliwia, którą Antonia najpierw poznała za „dawnych czasów”, jak to już sobie mówiła, była według wszelkiego prawdopodobieństwa zbyt wrażliwa, by ryzykować zdradzenie swoich uczuć i chwilowo się zamknęła. Antonia to rozumiała i szanowała, ale to w niczym nie ułatwiało wzajemnych stosunków.

Z powodu tej bariery, która teraz między nimi wyrosła, a także ponieważ było oczywiste, że Oliwia ma obecnie wystarczająco dużo własnych problemów, Antonia niewiele jej powiedziała o Danusie. Rozmawiały o nim zdawkowo, wysoko na szczycie wzgórza, podczas gdy pan Bedway robił te niewyobrażalne rzeczy, które miał do zrobienia w Podmore's Thatch, lecz nic ważnego nie zostało powiedziane. Przynajmniej nic naprawdę ważnego. „Ma epilepsję. On jest epileptykiem”, powiedziała Antonia do Oliwii. Ale nie powiedziała: ja go kocham. On jest pierwszym człowiekiem, którego pokochałam i on czuje to samo do

mnie. On mnie kocha. Nic sobie nie robię z tego, że on nie ma pieniędzy. Chcę, żeby do mnie wrócił, gdy tylko będzie mógł, a jeżeli jest chory, będę czekać aż wyzdrowieje i zajmę się nim, i będziemy żyli na wsi, i razem uprawiali kapustę.

Nie powiedziała tego, gdyż wiedziała, że Oliwia była zaabsorbowana innymi rzeczami... Istniało nawet i takie prawdopodobieństwo, z którym trzeba się poważnie liczyć, że Oliwia nie będzie zainteresowana i nie zechce słuchać. Mieszkanie z Oliwią w tym samym domu przypominało podróż pociągiem z kimś obcym. Nie było prawdziwego zbliżenia i kontaktu i Antonia poczuła, że jest odosobniona w swoim przeżywaniu nieszczęścia.

Przedtem zawsze był ktoś bliski. Teraz nie było nawet Danusa. Był daleko, hen na północ od Sutherland, dokąd nie można ani zadzwonić, ani wysłać telegramu, ani nawet dotrzeć jakimkolwiek normalnym środkiem komunikacji. Powiedziała sobie, że nie byłby się odciął od niej bardziej radykalnie, gdyby był podjął wyprawę kajakiem w górę Amazonki albo udał się psim zaprzęgiem pod biegun północny. Niemożność skomunikowania się z nim była prawie nie do zniesienia. Penelopa nie żyła i Antonia go potrzebowała. Jak gdyby telepatia była jakimś systemem radarowym, na którym można polegać, spędzała większość czasu wysyłając do niego pozytywne sygnały myślowe, wzywając go, by je odbierał, by czuł nacisk skłaniający go do nawiązania kontaktu. Aby pojechał, jeśli tak trzeba, dwadzieścia mil do najbliższej budki telefonicznej, nakręcił numer Podmore's Thatch i dowiedział się, co zaszło.

Jednakże tak się nie stało i Antonia nawet się nie dziwiła. Zadzwoni w czwartek, mówiła sobie. Wraca do Edynburga w czwartek i wtedy zadzwoni, gdy tylko będzie mógł. Obiecał. Zadzwoni, żeby mi powiedzieć... nam powiedzieć?... o wynikach badania mózgu i diagnozie lekarskiej. (Jakie to dziwne, że ta sprawa wydawała się w tej chwili mniej pilna.) I wtedy ja mu powiem, że Penelopa nie żyje, a on przyjedzie, takim czy innym sposobem, i będzie tutaj, i ja będę mogła znów zebrać siły. Antonia potrzebowała tych sił, by móc sprostać ciężkiej próbie, jaką był pogrzeb Penelopy. Bez Danusa przy sobie nie miała pewności, czy się potrafi na to zdobyć.

Powoli, powoli mijały godziny. Środa wlokła się, ale w końcu przeszła i nadszedł czwartek. Dziś zadzwoni. Czwartek w południe. Czwartek po południu.

Nie było telefonu. O wpół do czwartej Oliwia wyszła do kościoła, by się tam spotkać z dziewczyną z Pudley, która miała zająć się kwiatami na nabożeństwo żałobne. Zostawszy sama, Antonia kręciła się bez celu po ogrodzie, zesłała do sadu, żeby zdjąć ze sznura rozwieszzone ścierki i poszewki, które tam się suszyły. Na wieży kościelnej wybiła czwarta i nagle, w jednej chwili, jakby pod wpływem objawienia, poczuła, że już

nie może czekać dłużej ani chwili. Nadszedł czas, żeby podjąć jakąś zdecydowaną akcję i jeśli tego nie zrobi natychmiast, albo wpadnie w histerię, albo zbiegnie nad brzeg Windrush i wskoczy do wody, by się utopić. Zostawiła koszyk z bielizną, wyszła z ogrodu, przebiegła przez cieplarnię do kuchni, chwyciła za słuchawkę i nakręciła numer Edynburga.

Było ciepłe, ospałe popołudnie. Dłonie miała wilgotne, usta wyschnięte. Zegar kuchenny tykał, odliczając sekundy szybciej niż uderzenia jej serca. Czekaając, aż ktoś podniesie słuchawkę, zdała sobie sprawę, że nie ma bladego pojęcia, co powinna powiedzieć. Jeżeli Danusa nie ma, a podejdzie jego matka, to trzeba mu zostawić wiadomość. „Czy można prosić o przekazanie Danusowi, że umarła pani Keeling. I proszę, żeby do mnie zadzwonił. Antonia Hamilton. On ma mój numer”. Do tego miejsca — wszystko dobrze. Ale czy zdobędzie się, żeby ciągnąć dalej i zapytać panią Muirfield, czy są wiadomości ze szpitala — czy też byłoby to nachalnością i brakiem taktu z jej strony? Przypuśćmy, że diagnoza już jest i jest pesymistyczna. Matce Danusa nie bardzo będzie w smak dzielić swoją bardzo zrozumiałą troskę z osobą kompletnie nieznaną, reprezentowaną przez daleki, niemal „odcielesniony” głos telefonujący z dalekiego Gloucestershire. Z drugiej strony...

— Halo?

Wśród myśli rozbieganych we wszystkich kierunkach Antonia poczuła się zaskoczona i prawie wypuściła słuchawkę.

— Ja... chciałam... czy to pani Muirfield?

— Nie. Przykro mi, ale pani Muirfield chwilowo nie ma. — Głos był kobiecy, z wyraźnym szkockim akcentem, o niezbyt starannej dykcji.

— To... kiedy wróci?

— Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia. Wyszła na zebranie „Save the Children Fund”⁰, a potem, o ile wiem, była umówiona na herbatę ze znajomą.

— A pan Muirfield?

— Pan Muirfield jest w biurze. — Odpowiedź była natychmiastowa, jak gdyby pytanie Antonii było głupie — a było takie — zaś odpowiedź rozumiała się sama przez się. — Nie będzie w domu przed wpół do siódmej.

— Kto mówi?

— Ja pomagam pani Muirfield w domu.

Antonia zawahała się. Głos, którego właścicielka chciała może wracać do zamiatania, stał się niecierpliwy.

— Czy pani chce zostawić wiadomość?

⁰ Save the Children Fund — międzynarodowa organizacja pomocy potrzebującym dzieciom (przyp. tłum.)

Z pewną desperacją Antonia zapytała:

- Danusa nie ma?
- Danus wyjechał na ryby.
- Wiem. Ale miał wrócić dziś i myślałam, że może już jest.
- Nie. Nie przyjechał i nie mam pojęcia, kiedy ma wrócić.
- To może...

Nie było alternatywy.

- Czy pani może przekazać wiadomość?
- Będzie pani musiała poczekać, aż wezmę kawałek papieru i ołówkę. Antonia czekała. Upłynęła chwila.

— Proszę po prostu powiedzieć, że dzwoniła Antonia. Antonia Hamilton.

- Chwileczkę, zapiszę. An—to—nia Ha—mil—ton.

— Dobrze. Proszę powiedzieć... że pani Keeling umarła we wtorek rano. Pogrzeb odbędzie się w Tempie Pudley w sobotę po południu. On zrozumie. On może — powiedziała, modląc się w duchu, żeby mógł się na to zdobyć, żeby zdążył — może będzie chciał przyjechać.

W Podmore's Thatch w piątek rano o dziesiątej zadzwonił telefon. Był to czwarty telefon od śniadania i na wszystkie odpowiedziała Antonia, biegnąc z każdego miejsca, gdzie w danej chwili się znajdowała, żeby być pierwszą przy aparacie. Ale w tej chwili nie było Antonii; poszła do miasteczka odebrać gazety i mleko, więc Oliwia siedząca przy stole w kuchni wstała i podniosła słuchawkę.

- Podmore's Thatch.
- Panna Keeling?
- Jestem przy telefonie.

— Tu Charles Enderby z zespołu adwokackiego Enderby, Looseby i Thring.

- Dzień dobry panu.

Nie składał kondolencji, bo już to zrobił, gdy Oliwia z nim rozmawiała, powiadamiając go oficjalnie, jako adwokata Penelopy, że jej matka nie żyje.

— Panno Keeling, ja się oczywiście wybieram w sobotę do Gloucestershire, żeby wziąć udział w pogrzebie pani Keeling, ale przyszło mi do głowy, że może, jeżeli to nie sprawi kłopotu, mógłbym po pogrzebie spotkać się z panią i z pani bratem i siostrą, by omówić te punkty z testamentu pani matki, które ewentualnie wymagają wyjaśnienia i wszystkich państwa poinformować o aktualnym stanie rzeczy. Może to wyglądać na trochę zbyt spieszne i oczywiście możecie państwo wybrać inną datę, ale wydaje się, że dobrze byłoby wykorzystać okazję, kiedy cała rodzina będzie zgromadzona pod jednym dachem. Nie powinno to trwać dłużej niż pół godziny.

Oliwia zastanowiła się nad propozycją.

— Nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy zebrać się od razu. Im prędzej tym lepiej, a my nieczęsto jesteśmy akurat razem.

— Mogłaby pani zaproponować jakąś godzinę?

— Nabożeństwo zaczyna się o trzeciej, potem będzie filiżanka herbaty dla każdego, kto zechce wrócić do domu. Sądzę, że do piątej powinno być po wszystkim. Co pan myśli o piątej godzinie?

— Świetnie. Zapiszę sobie. A czy pani zawiadomi panią Chamberlain i pani brata?

— Oczywiście.

Zadzwoiła do Old Vicarage.

— Nancy, mówi Oliwia.

— Och, Oliwio, właśnie miałam do ciebie dzwonić. Jak się czujesz? Jak wszystko się układa? Czy jestem ci potrzebna w Podmore's Thatch? Mogę przyjechać bez trudności. Czuję się taka nieprzydatna i ...

— Nancy, dzwonił pan Enderby — przerwała jej Oliwia. — Chciałby spotkać się z nami po pogrzebie mamy, żeby omówić sprawy związane z jej testamentem. O piątej godzinie. Czy możesz tu być?

— Piąta godzina?

W głosie Nancy zabrzmiało jakby przerażenie. Można by sądzić, że Oliwia proponuje jakieś konspiracyjne i podejrzane spotkanie.

— Och nie, o piątej nie mogę.

— Dlaczego, na miłość boską, nie możesz akurat wtedy?

— George ma spotkanie z proboszczem i z kanonikiem. Chodzi o pobory wikarego. Strasznie ważne. Będziemy musieli udać się prosto do domu po pogrzebie...

— To jest także ważne. Powiedz mu, żeby odłożył spotkanie.

— Oj, Oliwio, nie mogłabym tego zrobić.

— W takim razie będziecie musieli przybyć na pogrzeb dwoma samochodami i będziesz musiała sama wrócić do domu. Twoja obecność jest konieczna...

— Czy nie możemy spotkać się z panem Enderby kiedy indziej?

— Możemy oczywiście, ale żaden inny termin nie będzie ani w części tak dogodny. A ja już powiedziałam panu Enderby, że będziemy obecni, więc właściwie nie ma innej możliwości. — Głos Oliwii, nawet w jej własnych uszach, brzmiał po dyktatorsku i szorstko. Dodała łagodniejszym tonem:

— Jeśli nie chcesz tego wieczoru siadać za kierownicą, to możesz zostać na noc i wrócić rano. Ale musisz być na tym spotkaniu.

— Niech już będzie.

Nancy poddała się, choć niechętnie.

— Ale nie zostanę na noc. Dziękuję ci za propozycję. W sobotę pani Croftway ma dzień wolny i będę musiała ugotować dzieciom kolację.

Niech szlag trafi panią Croftway. Oliwia przestała próbować być grzeczna.

— W takim razie, czy można liczyć, że zadzwonisz do Noela i powiesz mu, że on także musi być obecny? Będę miała jedną rzecz mniej do zrobienia, a ty, mam nadzieję, nie będziesz czuła się taka niepotrzebna.

Po długim okresie suszy, która spowodowała katastrofalne obniżenie poziomu wody w rzece, a zatoki na łososie leżały płytkie i nieruchome, w Sutherland spadł deszcz. Wiatr przy dmuchał go na opasłych szarych chmurach, kłębiących się od zachodu, zasłaniających błękit nieba i blask słońca, osiadających na szczytach wzgórz i opadających w wąskie dolinki, niosących mgłę wśród lekkiego odgłosu kapania kropel.

Wrzosowiska, spalone, wysuszone jak hubka, chłonęły wilgoć, a potem przepuszczały jej nadmiar w szczeliny wypełnione torfem i woda ściekała, tworząc małe strumyczki, potem większe i tak w dół zbczy wzgórz aż do samej rzeki. Doba deszczu wystarczała, by ożywić spływ wody. Ten spływ się rozszerzał, nabierał mocy, przelewał się jasnym strumieniem, tworząc głębokie sadzawki, płynął dalej w dół łagodnej pochyłości doliny, zmierzał do otwartego morza. W czwartek rano perspektywa łowienia ryb nagle nabrała rumieńców, otwierając nowe, podniecające możliwości, na co dotąd nie było szans.

Czwartek był dniem planowanego powrotu do Edynburga dwóch młodych ludzi. Teraz stali w otwartych drzwiach chaty, obserwując deszcz i omawiając sytuację. Po tygodniu raczej niewiele dającego wędkowania, pokusa, żeby odwlec ich powrót, była trudna do zwalczenia. Ale wątpliwości też się, rzecz jasna, nasuwały.

Pierwszy odezwał się Roddy.

— Ja nie muszę być w biurze aż do poniedziałku. Jest mi obojętne, czy zostajemy, czy wracamy. Ty rozstrzygasz, stary. To tobie zależy, żeby dostać się do domu i dowiedzieć się, co ci cholerni doktorzy zdecydowali. Jeżeli nie możesz już czekać ani jednego dnia więcej na ich diagnozę, to pakujemy się i wyruszamy teraz. Ale wydaje mi się, że skoro czekasz tak długo, to możesz zaczekać jeden dzień więcej i będziesz miał jeszcze trochę frajdy. I nie sądzę, żeby twoja mama wpadła w panikę, jeżeli się dziś wieczór nie pojawi. Jest już z ciebie kawał chłopca, a jeśli będzie słuchała komunikatów o pogodzie, to zgadnie, co się stało.

Danus uśmiechnął się. Prosty, bezpretensjonalny sposób Roddy'ego przejścia od razu do sedna sprawy napełnił go wdzięcznością. Od lat byli przyjaciółmi, ale przez ostatnie parę dni, mając tylko swoje wzajemne towarzystwo, żyli się niezmiernie. Tu, w tym oddalonym i niedostępnym miejscu, niewiele było rozrywek i wieczorami po przyrządzeniu

kolacji i ułożeniu ogniska z torfu jedynym sposobem na przyjemne spędzenie czasu była rozmowa. Danusowi bardzo się to przydało, dobrze mu zrobiło wyrzucenie z siebie tego wszystkiego, co trzymał w tajemnicy przez tak długi czas. Ciężko mu to, nawet wprawiało w zakłopotanie. Opowiedział Roddy'emu o Ameryce, o nagłym ataku choroby — i tak wyciągnięte na światło jego przeżycia straciły wiele z tego, czym przerażały. Pozbywszy się tego ciężaru, czuł, że może się zwierzyć i z innych rzeczy. Czuł, że może wyjaśnić przeskok w swoich zamysłach życiowych i naszkicować plany na przyszłość. Opowiedział Roddy'emu o swojej pracy u Penelopy Keeling w Podmore's Thatch. Opisał mu sielankowy tydzień w Kornwalii. Wreszcie powiedział mu o Antonii.

— Ożeń się z nią — brzmiała rada Roddy'ego.

— Chcę to zrobić. Kiedyś. Ale najpierw muszę dojść z sobą do ładu.

— Az czym ty znowu masz dochodzić do ładu? O co ci chodzi?

— Jeżeli się pobierzemy, mielibyśmy dzieci. Nie wiem, czy epilepsja jest dziedziczna.

— Bzdury. Jasne że nie jest.

— A moja praca nie zapewnia mi wysokich zarobków. Mówiąc dokładniej, nie mam właściwie złamanego grosza.

— Weź sobie pożyczkę od twojego starego. Jemu na pewno nie brakuje gotówki.

— Mógłbym, oczywiście. Ale wolałbym tego nie robić.

— Z taką dumą daleko nie zajedziesz, koleś.

— Zapewne nie. — Zastanowił się nad tym przez chwilę, ale nie chciał nic przyrzekać. — Zobaczą. — To wszystko co powiedział.

Teraz podniósł twarz ku pochmurnemu niebu i pomyślał o powrocie do domu i o wyroku, który na niego czekał i od którego zależało jego dalsze życie. Pomyślał o Antonii, o tym, jak próbuje jakoś wypełnić te dni w Podmore's Thatch, czekając na jego telefon.

— Obiecałem Antonii, że zadzwonię dzisiaj zaraz po powrocie do Edynburga — rzekł po chwili.

— Możesz to zrobić jutro. Jeśli jest taką dziewczyną, jak mi mówiłeś, to zrozumie.

Rzeka będzie teraz bardzo wezbrana. W wyobraźni Danus czuł już miły ciężar łososa na swojej wędce na łososie, której dotąd jeszcze nie miał okazji wypróbować. Słyszał szum kręcącego się szybko kołowrotka, czuł, jak ryba chwyta przynętę. Było takie jezioro, gdzie chowały się duże okazy. Roddy niecierpliwił się.

— No, zdecyduj się wreszcie. Żyjmy niebezpiecznie i darujmy sobie jeszcze jeden dzień. Jak na razie złapaliśmy tylko pstrągi i zjedliśmy je. Łososie są tam i czekają na nas. Jesteśmy im przynajmniej tyle winni, żeby dać im szansę zmierzyć się z nami. Sportowo.

Widać było, że aż się trzęsie, żeby wyruszyć na te łososie. Danus/ obrócił głowę i spojrział na przyjaciela. Na rumianej twarzy Roody'ego malował się taki wyraz, jaki mają mali chłopcy, kiedy radość z jakiejś czekającej ich przyjemności wprost rozsadza im serca, i Danus wiedział, że nie może mu teraz odmówić.

Uśmiechnął się szeroko i poddał się.

— Okay. Zostaniemy.

Następnego dnia, wcześniej rano, wyruszyli w powrotną drogę do domu, na południe. Tył samochodu Roody'ego był zawalony torbami, wędkami, oszczepami, wysokimi gumowcami i koszykami wędkarskimi, ale co najważniejsze — znajdowały się tam dwa wielkie łososie, które udało im się złowić w ciągu wczorajszego popołudnia, ponieważ decyzja, żeby zostać trochę dłużej, okazała się więcej niż opłacalna. Mała chata, wysprzątana i z zabezpieczonymi okiennicami, została za nimi i wkrótce' zniknęła im z oczu. Jechali wąską, krętą drogą, wijącą się przez odludne wrzosowiska Sutherland. Deszcz przestał padać, ale po niebie wędrowały jeszcze ciężkie, wodniste chmury, których cienie przesuwały się po niezmiernych, ciągnących się kilometrami bagnach i wrzosowiskach. Wreszcie dotarli do Lairg, przejechali na drugą stronę rzeki przez most Bonar i okrążyli zatokę Dornoch. Potem w górę krętą drogą po stromych zboczach Struie i do Black Isle. Teraz droga była szeroka i solidna, więc mogli już rozwinąć większą prędkość. Dobrze im znane punkty orientacyjne doganiały jedno drugie, mijali je i zostawiali za sobą w zastraszającym tempie. Inverness, Culloden, Carrbridge, Aviemore i tu droga dużym łukiem skręcała na południe od Dalwhinnie, żeby wspiąć się na Cairngorms i zostawić na uboczu góry Glengarrie. Około jedenastej przejechali już Perth, omijając go wjechali na autostradę przecinając Fife jak skalpelem chirurga i wtedy ukazały się dwa wielkie mosty przerzucone przez Forth, błyszczące w porannym słońcu, które wyglądały jakby były zbudowane z drutu. Przejechali przez rzekę i byli już na drodze wjazdowej do Edynburga. Widziana z daleka sylwetka starego miasta, na którą składały się strzeliste iglice wież, stroma skała i bryła zamku z flagą powiewającą na maszcie, wydawała się niezmienna, odwieczna i jakby poza czasem, jak starodruk.

Autostrada się skończyła. Samochód zwolnił do czterdziestu, a potem trzydziestu mil na godzinę. Ruch na szosie był coraz większy. Pojawiły się już domy, sklepy, hotele, światła na skrzyżowaniach ulic. Prawie w ogóle nic nie mówili do siebie przez całą drogę. Teraz Roddy przerwał ciszę.

— Było wspaniale — powiedział. — Musimy tam jeszcze razem kiedyś pojechać.

— Tak. Kiedyś, koniecznie. Wprost nie wiem, jak ci dziękować.

Roddy zabębnił dłońmi po kierownicy.

— A jak się czujesz?

— Okay.

— Boisz się trochę?

— Właściwie nie. Staram się być realistą. Jeżeli mam z tym żyć do końca życia, to muszę, będę po prostu musiał się z tym pogodzić.

— Nigdy nic nie wiadomo.

Światła zmieniły się na zielone. Wóz ruszył naprzód.

— Wiadomość może być dobra.

— Nie myślę o tym. Wolę oczekiwać najgorszego i czuć się gotowy, by temu stawić czoła.

— Cokolwiek to będzie... cokolwiek tam znaleźli... Nie pozwolisz, by to odniosło zwycięstwo? Chcę powiedzieć, że jeżeli sprawy będą bardzo niewesoło wyglądać, nie duś tego w sobie. Gdyby nie było nikogo innego, z kim byś czuł, że możesz porozmawiać, masz zawsze mnie. Jestem gotów i do dyspozycji.

— Jak się czujesz, gdy masz kogoś odwiedzać w szpitalu?

— Błahostka, stary. Zawsze lubiłem popatrzeć na ładną pielęgniarkę. Przyniosę ci winogrona i wszystkie sam zjem.

Queensferry Road. Teraz wjechali w szerokie ulice dzielnicy New Town, w których widać było ich świetne proporcje. Świeżo wymyte, skapanie w słonecznych promieniach kamienne ściany koloru miodu. W Moray Place drzewa były przysłonięte zielonymi listeczkami, a drzewa wiśniowe już zakwitły.

Heriot Row. Wysoka, wąska kamieniczka, która była domem. Roddy podjechał do krawężnika i zgasił motor. Wysiedli i wyładowali rzeczy Danusa z koszykiem, zawierającym cenne ryby i ustawili wszystko na progu.

Kiedy skończyli, Roddy powiedział:

— No, to wszystko.

Zawahał się jeszcze, jakby nie chciał się rozstać ze starym przyjacielem.

— Chcesz może, żebym wszedł z tobą?

— Nie — odparł Danus — dam sobie radę.

— Zadzwoń do mnie do domu dziś wieczór.

— Dobra.

Roddy poklepał serdecznie Danusa po ramieniu.

— Adieu, stary.

— Bardzo dobrze nam było, Roddy.

— I powodzenia.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Danus patrzył za nim, potem sięgnął do kieszeni swoich dżinsów po klucze i otworzył masywne, czarno pomalowane drzwi. Otworzyły się do wewnątrz. Zobaczył znany od

dawna hol, piękne, kręcone schody. Zawsze ten sam ład i porządek. Ciszę przerywało tylko tykanie starego, wysokiego zegara, który kiedyś był własnością pradziadka Danusa. Meble, napastowane, lśniły, starannie utrzymywane w dobrym stanie przez lata. Przy telefonie stał wazonik z hiacyntami, napełniając powietrze swoim ciężkim, zmysłowym zapachem.

Zawahał się. Na górze drzwi otworzyły się i zamknęły. Dało się słyszeć kroki. Spojrzył w górę i zobaczył matkę, która ukazała się na szczycie schodów.

— Danus.

— Warunki do łowienia ryb poprawiły się i zostałem jeden dzień dłużej — powiedział.

— Och, Danus...

Wyglądała jak zawsze, schludnie i elegancko, w gładkiej tweedowej spódnicy i pulowerze z jagnięcej wełny, a jej siwe włosy były idealnie zaczesane. A jednak wyglądała jakoś inaczej. Schodziła do niego po schodach... a właściwie biegła, co było niezwykle. Objął ją wzrokiem. Na ostatnim stopniu stanęła z ręką na politurowanej poręczy. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Z tobą wszystko jest dobrze. Jesteś zdrowy — powiedziała.

Nie płakała, ale jej niebieskie oczy błyszczały jak od nie wylanych łez. Nigdy dotąd nie widział jej w stanie takiego podniecenia.

— Och, Danus, wszystko jest dobrze. Nie masz żadnej choroby. Nigdy nie miałeś. Zatelefonowali wczoraj wieczór i miałam długą rozmowę ze specjalistą. Ta diagnoza, którą ci postawili w Ameryce była całkowicie błędna. Przez te wszystkie lata... Nigdy nie miałeś epilepsji w ogóle. Nigdy nie byłeś epileptykiem.

Nie mógł nic powiedzieć. Jego mózg przestał działać, zmienił się w watę i czuł kompletną pustkę. A potem tylko jedna myśl.

— Ale...

Wydobycie z siebie głosu kosztowało go wiele wysiłku, a dźwięk zabrzmiał jak chrypienie. Przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz.

— Ale te utraty świadomości?

— Wynik infekcji wirusowej i bardzo, bardzo wysokiej gorączki. Podobno tak się może zdarzać. I zdarzyło się tobie. Ale to nie epilepsja. Nigdy nie była. I gdybyś tylko nie był takim głupim kołkiem i nie dusił tego w sobie, byłbyś sobie oszczędził udręki przez te wszystkie lata.

— Nie chciałem, żebyś ty się tym gryzła. Myślałem też o lanie. Nie chciałem, żebyś znów musiała przeżyć coś podobnego.

— Wolałabym siarczysty ogień piekielny niż narażać cię na takie męczarnie. I wszystko niepotrzebnie. Bez żadnego powodu. Jesteś całkowicie zdrow.

Całkowicie zdrów. Nigdy nie byłem epileptykiem. Nigdy nie miałem epilepsji. Przerażająca jak zły sen, ale naprawdę nigdy nie miała miejsca. Jest całkowicie zdrów. Żadnych więcej pigułek, żadnej niepewności. Ulga czyniła go lekkim, jak gdyby w każdej chwili mógł wznieść się w powietrze i wlecieć pod sufit. Teraz mógł robić cokolwiek. Wszystko. Mógł się ożenić z Antonią. „Boże kochany. Panie Wszchemocny, mogę się ożenić z Antonią i możemy mieć dzieci. Nie ma słów, które by potrafiły wyrazić moją wdzięczność. Dziękuję Ci za ten cud. Taki jestem wdzięczny, nigdy nie przestanę być wdzięczny. Nigdy tego nie zapomnę. Obiecuję Ci, że nigdy nie zapomnę”.

— Oj, Danusie, cóż tak stoisz jak drąg? Czy nie rozumiesz?

— Tak, rozumiem — odparł i dodał: — Kocham cię, mamó.

Chociaż była to prawda i zawsze tak było, nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem to jej powiedział. Jego matka z punktu wybuchła płaczem, co było następnym nowym przeżyciem, a Danus objął ją ramieniem i trzymał mocno, aż do chwili, kiedy przestała płakać i zaczęła pociągać nosem, macając wkoło za chustką do nosa. W końcu odsunęli się od siebie, a ona wytarła nos i oczy i poprawiła fryzurę.

— Głupio się zachowałam. Ostatnia rzecz, jaką zamierzałam zrobić, to rozpłakać się. Ale to była taka wspaniała wiadomość i ojciec, i ja okropnie denerwowaliśmy się, że nie możemy porozumieć się z tobą i podzielić się z tobą tą wiadomością i cię uspokoić. Ale teraz, skoro ci powiedziałam, jest jeszcze coś innego o czym powinienes wiedzieć. Był wczoraj po południu telefon do ciebie. Mnie nie było, ale pani Cooper zapisała i zostawiła mi kartkę. Boję się, że cię to może zmartwić, ale chyba bardzo cię to nie ugodzi...

Już na jego oczach powracała znów do swojego zwykłego praktycznego sposobu bycia. Okazanie wzruszenia i uczucia skończyło się chwilowo; wciskając chusteczkę w rękaw swetra, delikatnie odsunęła Danusa i podeszła do skrzyni, na której stał telefon i wzięła leżący tam notes. Poszukała odpowiedniej kartki.

— O tu. Od kogoś, kto się nazywa Antonia Hamilton. Lepiej sam przeczytaj.

Antonia.

Wziął notatnik, dojrzał pokręcone pismo pani Cooper. Pisała ołówkiem.

Antonia Hamilton dzwoniła o czwartej we czwartek. Mówi, że pani Keeling umarła we wtorek. Pogrzb o trzeciej po południu w Tempie Pudley w sobotę. Myśli, że będzie Pan chciał być obecny. Mam nadzieję, że dobrze zapisałam. L. Cooper.

Rodzina zebrała się na pogrzeb matki. Państwo Chamberlain przybyli pierwsi. Nancy w swoim samochodzie, a George ciężkim, starym, roverem. Nancy miała na sobie granatowy żakiet, spódnicę i filcowy kapelusz, który absolutnie nie nadawał się na tę okazję. Jej twarz pod sterzącym rondem, zastygła w grymasie, mającym świadczyć o dzielności i opanowaniu.

Oliwia, ubrana w swój ulubiony ciemnopopielaty kostium z kolekcji Jean Muir, powitała i ucałowała ich oboje. Pocałowanie George'a było jak całowanie kogoś w kolano, poza tym śmierdziało od niego kulkami przeciwmolowymi i jakimś zapachem antyseptycznym, jak od dentysty. Jakby byli gośćmi i osobami obcymi poprowadziła ich do ustrojonego kwiatami saloniku.

— Wybaczcie, że nie mogłam was obojga zaprosić na obiad — przepraszając zdała sobie sprawę, że rzeczywiście traktuje ich jak gości. — Ale jak prawdopodobnie zauważyliście, pani Plackett nakryła na stole jadalnym do podwieczorku i wszystkie krzesła odsunęła bliżej ścian. Antonia i ja cały rano robiliśmy kanapki. Jako południowy posiłek miałyśmy piętki i skrawki.

— Nie przejmuj się. Przekąśliśmy coś w barze jadąc tu.

Nancy z westchnieniem ulgi rozsiadła się w fotelu mamy.

— Pani Croftway wyszła na cały dzień, więc musieliśmy upchnąć dzieci u znajomych w wiosce. Melanię zostawiliśmy zalaną łzami. Odejście jej babci bardzo nią wstrząsnęło. Biedactwo pierwszy raz ma do czynienia ze śmiercią jak gdyby twarzą w twarz.

Oliwia nic nie odpowiedziała. Zapadło kłopotliwe milczenie. Nancy ściągnęła czarną rękawiczkę.

— Gdzie jest Antonia?

— Na górze. Przebiera się.

George spojrzął na zegarek.

— Niech się pośpieszy. Już pięć po wpół do trzeciej.

— George, dojdzie stąd do kościoła zabiera równo pięć minut.

— Być może. Ale nie powinniśmy wpadać w pośpiechu w ostatniej chwili. Nie wypada.

— Gdzie matka? — głos Nancy był ściszony.

— W kościele, przygotowana, czeka na nas — szybko odpowiedziała jej Oliwia. — Pan Bedway proponował nam kondukt żałobny z domu, ale ja się natychmiast temu sprzeciwiłam. Mam nadzieję, że się oboje zgodzacie ze mną.

— A kiedy przyjeżdża Noel?

— Powinien być lada chwila, mam nadzieję. Jedzie samochodem z Londynu.

— W sobotę ruch jest bardzo duży — zawyrokował George. — Prawdopodobnie się spóźni.

Lecz jego ponura przepowiednia nie sprawdziła się, bo pięć minut później wiejski spokój został zakłócony przez dobrze znane odgłosy. Ryk silnika jaguara Noela, zgrzyt opon na żwirze i hamulców, zatrzaśnięcie drzwiczek samochodu. W chwilę potem dołączył do nich. Był bardzo elegancki, wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle, w szarym garniturze, najwidoczniej skrojonym dla niego z myślą o kosztownych obiadach w gronie współpracowników, i jednocześnie sprawiającym wrażenie zbyt uroczyste jak na mały pogrzeb wiejski.

Wszystko było mało ważne, grunt że był. Nancy i George siedzieli i patrzyli na niego, ale Oliwia wstała i ucałowała go. Pachniał Eau Sauvage, nie płynem dezynfekcyjnym, i Oliwia była wdzięczna za ten miły drobiazg.

— Jak minęła podróż?

— Nie najgorzej, choć ruch na drodze makabryczny. Cześć, Nancy. Czołem, George. Oliwia, kto to jest ten starszy gość w niebieskim ubraniu, kręcący się przy garażu?

— Ach, to pan Plackett. Miał przyjść i posiedzieć w domu, gdy wszyscy będziemy w kościele.

Noel uniósł brwi.

— Czy spodziewamy się bandytów?

— Nie, ale to jest miejscowy zwyczaj. Pani Plackett to bardzo podkreślała. To albo przynosi pecha, albo nie jest *comme il faut*,[^] gdy się zostawi dom pusty w czasie żałobnego nabożeństwa. Więc ona ustaliła, że pan Plackett zostanie i poprosi się go, żeby doglądał ognia, nastawił imbryki z wodą i tak dalej.

— Jaka dobra organizacja.

George znów spojrział na zegarek. Stawał się niespokojny.

— Sądzę, że naprawdę powinniśmy iść. Ruszajmy się, Nancy.

Nancy wstała i podeszła do lustra zawieszzonego nad biurkiem mamy, sprawdzając, czy dobrze leży jej okropny kapelusz. Załatwiwszy to naciągnęła rękawiczki.

— Co z Antonią?

— Zawołam ją — rzekła Oliwia, ale Antonia była już na dole i czekała na nich w kuchni, siedząc na wyszorowanym drewnianym stole i rozmawiając z panem Plackettem, który był już w środku, obejmując swoje obowiązki „nadzorcy”. Gdy weszli przez drzwi kuchenne, zeszła ze stołu i grzecznie się uśmiechnęła. Miała na sobie bawełnianą spódnicę w prążki biało-granatowe i białą bluzkę ze stojącym kołnierzem, na którą włożyła granatowy rozpinany sweter. Jej włosy, jasne i błyszczące, były z tyłu ściągnięte w koński ogon związany granatową wstążką. Wyglądała młodo, jak uczennica, troszkę zalękniona i straszliwie blada.

comme il faut — (fr.) dosł. jak się należy (przyp. red.)

- Czy dobrze się czujesz? — spytała ją Oliwia.
- Tak, oczywiście tak.
- George mówi, że czas iść...
- Jestem gotowa.

Oliwia poprowadziła wszystkich przez hol. Wyszli na białe, jasne światło słoneczne. Reszta obecnych szła za nią, nieduża, milcząca grupka. Gdy ruszyli ścieżką ze żwiru, zabrzmiał nowy dźwięk. Był to dzwon kościelny, odzywający się z powagą. Miarowe uderzenia rozbrzmiewały nad spokojną okolicą. Zaniepokojone wrony uniosły się i kracząc odleciały z wierzchołków drzew. „Dzwoni dzwon na pogrzeb mamusi” — powiedziała sobie Oliwia i nagle wszystko stało się bardzo rzeczywiste w sposób przerażająco zimny. Zatrzymała się czekając, żeby Nancy się z nią zrównała. W trakcie tego odwróciła się i zobaczyła Antonię, która nagle stanęła bez ruchu. Widziała jej błądność przedtem, ale teraz dziewczyna była błądą jak chusta.

- Co się dzieje, Antonio?

Antonia wyglądała, jakby się czegoś nagle zlekła i wpadła w panikę.

- Ja... czegoś zapomniałam.

- Co zapomniałaś?

— Ja... chusteczkę. Nie mam chusteczki. Muszę mieć chustkę... to nie potrwa długo. Proszę nie czekać. Idźcie dalej... Dogonię was...

I biegiem wróciła do domu.

- Osobliwa sprawa. Czy ona się dobrze czuje? — zapytała Nancy.

— Myślę, że tak. Jest trochę wytracona z równowagi. Może powinienam na nią poczekać...

— Nie możesz czekać — odezwał się stanowczo George. — Nie ma czasu na czekanie. Spóźnimy się. Z Antonią wszystko będzie dobrze. Zajmiemy jej miejsce. Chodź już, Oliwio...

Ale akurat kiedy tam stali niepewni co robić, usłyszeli odgłos szybko jadącego samochodu. Ukazał się na zakręcie obok pubu, zwolnił i podjechał, zaledwie o kilka stóp od nich, pod otwartą bramę Podmore's Thatch. Ciemnozielony ford escort wydawał się nieznanym. Zaskoczeni umilkli i patrzyli, jak kierowca wysiadł zza kierownicy i zatrzaskał za sobą drzwi. Był to młody człowiek, równie nieznanym jak jego samochód. Oliwia nie widziała go nigdy w życiu.

Stał. Spojrzenie wszystkich skierowane było na niego. Nikt nie wyrzekł ani słowa. W końcu to on przerwał milczenie.

— Przepraszam za takie nieoczekiwane i w dodatku spóźnione przybycie. Miałem bardzo długą drogę. — Spojrzał na Oliwię i zobaczył kompletne oszołomienie malujące się na jej twarzy. Uśmiechnął się.

— Chyba nie poznaliśmy się dotąd. Pani musi być Oliwią. Nazywam się Danus Muirfield.

Wszystko było jasne. Wysoki jak Noel, ale potężniejszej budowy, o szerokich barkach i opalanej twarzy. Świetnie się prezentujący, bardzo miły młody człowiek i Oliwia od razu zrozumiała, dlaczego mamusia tak go polubiła. Danus Muirfield. Któż to mógłby być inny?

— Myślałam, że jest pan w Szkocji. — Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

— Byłem. Dopiero wczoraj dowiedziałem się o pani Keeling. Strasznie mi przykro, strasznie.

— Idziemy w tej chwili do kościoła. Jeżeli pan...

— Gdzie jest Antonia? — przerwał jej.

— Wróciła do domu. Coś zapomniała. Nie sądzę, żeby długo zabawiła. Jeśli chce pan czekać, to pan Plackett jest w kuchni...

George, którego cierpliwość była już na wyczerpaniu, nie mógł dalej spokojnie stać i słuchać

— Oliwio, nie ma już czasu, by stać i gwarzyć. I nie ma mowy o czekaniu. Musimy iść i to od razu. A ten młody człowiek może przyspieszyć dojsie Antonii i upewnić się, że ona się nie spóźni. Teraz już nie stójmy tu... — Zaczął je poganiać, jakby były owcami.

— Gdzie znajdę Antonię? — spytał Danus.

— Sądzę, że w jej pokoju — rzuciła Oliwia przez ramię. — Zajmiemy wam obojgu miejsca.

Znalazł pana Placketta siedzącego przy stole kuchennym i czytającego spokojnie swoje *Wieści z wyścigów*.

— Gdzie jest Antonia, proszę pana?

— Poszła na górę. Wydawała się zapłakana.

— Czy mogę pójść na górę i poszukać jej?

— Dlaczegoż by nie? — odparł pan Plackett.

Danus zostawił go i pobiegł na górę, przeskakując po dwa schody, wąską klatką schodową.

— Antonia!

Zatrzymał się na podeście i zobaczył otwarte drzwi do sypialni, wyraźnie przez kogoś używanej, choć chwilowo pustej. Po drugiej stronie korytarza były jeszcze inne drzwi. Nie pukając wpadł do środka i tam w końcu ją znalazł, siedzącą ze spuszczoną głową na skraju łóżka i zalaną łzami.

Ulga, którą odczuł, dodała mu otuchy.

— Antonia. — Dwoma krokami podbiegł do niej, usiadł obok, wziął ją w ramiona i przycisnął twarz dziewczyny do ramienia. Obsypał pocałunkami jej głowę, jej czoło, jej zażawione, spuchnięte oczy. Łzy miały słony smak, policzki były mokre, ale nic nie było ważne prócz tego, że ją odnalazł i że ją trzyma w ramionach, i że ją kocha bardziej niż jakiegokolwiek ludzkie stworzenie na ziemi, i że już nigdy, nigdy nie będzie od niej daleko.

— Nie słyszałaś, jak wołałem?

— Słyszałam, ale nie wierzyłam, że to może być twój głos. Niczego naprawdę nie mogłam dobrze słyszeć, prócz tego okropnego dzwonu. Wszystko było dobrze, dopóki to dzwonienie się nie zaczęło i wtedy... Nagle poczułam, że się rozlecę na kawałki. Nie mogłam iść z innymi. Tak bardzo mi jej brakuje. Bez niej wszystko jest nie do zniesienia. Och, Danus, ona nie żyje, a ja tak ją kochałam. Tak jej potrzebuję. Cały czas myślę o niej...

— Wiem — odparł cicho. — Wiem.

Wciąż szlochała oparta o jego ramię.

— Wszystko było takie okropne. Od twojego wyjazdu. Okropne. Nie było nikogo...

— Przepraszam...

— I tyle o tobie myślałam. Bez przerwy. Słyszałam twoje wołanie, ale nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę ty. Bił ten okropny dzwon i myślałam, że ten głos to moja wyobraźnia. Tak bardzo chciałam cię tu mieć.

Nic nie powiedział. Nadal płakała, ale szloch zaczynał słabnąć, najwyraźniej napięcie mijało i powoli się uspokajała. Po chwili jego uścisk osłabł nieco, a ona się odsunęła, zwracając ku niemu twarz. Pukiel włosów opadł jej na czoło. Odsunął go, ułożył, potem sięgnął po czystą chusteczkę i podał jej. Patrzył z czułością, jak wyciera sobie oczy, a potem z dziecinną energią wydmuchuje nos.

— Ale, Danus, gdzie ty byłeś? Co się działo? Dlaczego nie telefonowałeś?

— Wróciliśmy do Edynburga dopiero wczoraj w południe. Łowienie ryb szło tak dobrze, że nie chciało się przerywać i nie miałem serca odmawiać Roddy'emu tej przyjemności. Kiedy znalazłem się w domu, moja matka przekazała mi wiadomość od ciebie. Ale za każdym razem, gdy próbowałem dzwonić, telefon tu był zajęty.

— Dzwoni bez przerwy.

— W końcu powiedziałem sobie: do diabła z tym wszystkim, wsiadłem do samochodu matki i przyjechałem.

— Przyjechałeś — powtórzyła. Trzeba było sekundy lub dwóch, żeby znaczenie tych słów dotarło do niej. — Przyjechałeś? Sam prowadziłeś?

— Tak. Znowu mogę prowadzić. I mogę zalać się w pestkę, jeżeli tylko zechcę. Wszystko jest w najlepszym porządku. Nie jestem epileptykiem i nigdy nim nie byłem. Wszystko się zaczęło od błędnej diagnozy tego doktora w Arkansas. Byłem chory. Przez jakiś czas byłem bardzo chory. Ale to nigdy nie była epilepsja.

Przez jedną straszną chwilę wydało mu się, że ona znów wybuchnie płaczem. Ale Antonia tylko zarzuciła mu ręce na szyję i tak mocno uścisnęła, że miał wrażenie, iż go całkiem udusi.

— Och, Danus, najdroższy Danus, to jest cud.

Delikatnie się oswobodził, ale trzymał ją nadal za obie ręce.

— Ale to jeszcze nie koniec. To dopiero początek. Przed nami nowe życie. Bo cokolwiek będę robił, chcę to robić z tobą, we dwójkę. Nie wiem, za cholere nie wiem, co to będzie i wciąż nie mam ci nic do ofiarowania, ale proszę, jeżeli mnie kochasz, nie rozłączajmy się już nigdy więcej.

— Nie. Nigdy więcej. W żadnym wypadku.

Nie płakała już, zapomniała o łzach i znów była jego jedyną, kochaną Antonią.

— Zdobędziemy tę szkółkę sadzonek. Gdzieś. Kiedyś. W końcu jakieś pieniądze się znajdą...

— Ja naprawdę nie chcę, żebyś jechała do Londynu na tę modelkę.

— Nie pojechałabym, nawet gdybyś tego żądał. Musi istnieć jakieś inne wyjście z sytuacji — Nagle olśniła ją wspaniała myśl. — Wiem. Mogę sprzedać kolczyki. Kolczyki cioci Ethel. One są warte najmniej cztery tysiące funtów... Wiem, że to nie jest bardzo dużo, ale byłby początek, nie sądzisz? Mielibyśmy od czego zacząć. A Penelopa nic by nie miała przeciw temu. Gdy mi je dawała, powiedziała, że jeśli zechcę, mogę je sprzedać.

— Czy nie chcesz ich zatrzymać? Jako pamiątkę po niej?

— Och, Danus. Nie potrzebuję kolczyków na pamiątkę po niej. Tysiące rzeczy mi o niej przypomina i te mam wszędzie.

Podczas ich rozmowy z wieży kościelnej rozlegało się nieustanne bicie dzwonu. Bong, bong, bong, szeroko na wiejskie pola. Teraz nagle ustało.

Spojrzeli na siebie.

— Musimy iść. Musimy tam być. Nie można się spóźnić — powiedział Danus.

— Oczywiście.

Wstali. Szybko, opanowanymi ruchami poprawiła włosy, dotknęła palcami policzków.

— Czy widać, że płakałam ?

— Tylko troszkę. Nikt nie zauważy.

Odwróciła się od lustra.

— Jestem gotowa.

Wziął ją za rękę i razem wyszli z pokoju.

Gdy rodzina wchodziła do kościoła, głos dzwonu się nasilił, uderzenia stały się głośniejsze i zagłuszały wszystkie inne dźwięki płynące od wsi. Oliwia ujrzała samochody zaparkowane wzdłuż krawężnika, niewielką grupkę uczestników pogrzebu, którzy wchodziли przez bramę i posuwali się po ścieżce, kręcącej się między starymi, pochylonymi nagrobkami.

Bong, bong, bong.

Przystanąła na moment, by zamienić dwa słowa z panem Bedwayem, po czym weszła za innymi do kościoła. Po ciepłym, nagrzanym słońcem powietrzu na zewnątrz powiało chłodem od płyt podłogi i zimnego kamienia. Było to trochę tak jak wkroczenie do jaskini. Od starych organów bił mocny zapach stęchlizny i pleśni, kojarzący się z odmianą kornika zwanego kołatkciem. Ale nie wszystko niesło ponure skojarzenia, bo dziewczyna z Pudley zrobiła swoje i gdzie tylko spojrzeć widać było bogactwo wiosennych kwiatów. A że kościół był nieduży, więc nawet ta niezbyt liczna grupa ludzi wypełniła go po brzegi. To podniosło Oliwię na duchu; dla niej widok pustych ławek w kościele był głęboko przygnębiający.

Gdy szli wzdłuż nawy, uderzenia dzwonu nagle ustały. W ciszy, która nastąpiła odezwały się odgłosy ich kroków na płytach posadzki. Dwie przednie ławki były puste, do nich więc weszli po kolei. Oliwia, Nancy, George, Noel. To była chwila, której Oliwia się najbardziej obawiała, bo u stopni ołtarza czekała trumna. Stchórzywszy odwróciła spojrzenie i rozejrzała się wkoło. Wśród wielu nieznanym jej twarzy — jak sądziła — mieszkańców Tempie Pudley przybyłych tu z ostatnią przysługą, dojrzała inne oblicza, znane jej od lat, ludzi, którzy zjechali się z daleka. Atkinsonowie z Devon; pan Enderby z firmy Enderby, Looseby & Thring; Roger Wimbush, portrecista, który lata temu, jako student sztuk pięknych, osiedlił się w starym atelier Lawrence'a Sterna w ogrodzie przy Oakley Street. Dojrzała Lallę i Willy'ego Friedmanów, jak zawsze dystygowanych, z bladymi twarzami emigrantów-uchodźców. Dostrzegła Luizę Duchamp, niesłychanie elegancką w głębokiej czerni — Luizę, córkę Charlesa i Chantal Rainierów, jedną z najstarszych przyjaciółek Penelopy, która odbyła długą drogę z Paryża, by się tu pojawić. Luiza podniosła oczy, pochwyciła spojrzenie Oliwii i uśmiechnęła się. Oliwia odwzajemniła uśmiech, ujęta tym, że Luiza zadała sobie trud przyjazdu z tak daleka i wdzięczna za jej obecność.

Teraz, kiedy umilkł dzwon, zaczęła się muzyka. Pierwsze tony wlały się w zakurzoną ciszę kościoła. Pani Tillingham, zgodnie z obietnicą grała na organach. Organy w Tempie Pudley były wiekowe i dychawiczne jak stary człowiek, ale nawet te defekty nie odebrały chłodnej doskonałości *Eine Kleine Nachtmusik*. Mozart. Ukochany kompozytor mamy. Czy pani Tillingham wiedziała, czy też kierowała się intuicją, która okazała się natchnieniem?

Zobaczyła Rosę Pilkington, bliską dziewięćdziesiątki, ale równie szykowną jak zawsze, w czarnej aksamitnej pelerynie i fioletowym słomkowym kapeluszu tak znoszonym, jakby odbył dwukrotnie podróż dookoła świata. Co prawdopodobnie miało miejsce. Pomarszczona twarz Rosę, przypominająca orzeszek, była opanowana; jej przyciśnięte oczy

patrzyły ze spokojną akceptacją na to, co się zdarzyło i co ma się jeszcze zdarzyć. Samo spojrzenie na Rosę wzbudziło w Oliwii zażenowanie na myśl o własnym tchórzostwie. Popatrzyła przed siebie, słuchała przez chwilę muzyki i wreszcie skierowała wzrok na trumnę mamy. Ale ledwie ją było widać, tak była zasypana kwiatami.

Z tyłu kościoła, od otwartego wejścia dobiegły odgłosy małego zamieszania i przyciszone głosy. Potem wzdłuż nawy rozległy się kroki i Oliwia odwróciła się, by zobaczyć, jak Antonia i Danus siadają w pustej ławce za nimi.

— Zdażyliście.

Antonia pochyliła się do przodu. Wyglądała z powrotem normalnie, jej policzki odzyskały kolory. Szepnęła:

— Bardzo przepraszam za spóźnienie.

— Akurat na czas.

— Oliwio, to jest Danus.

Oliwia uśmiechnęła się.

— Wiem — powiedziała.

Wysoko w górze zegar na wieży wybił trzecią godzinę.

Nabożeństwo było prawie skończone, krótkie wspomnienie zostało wygłoszone i wielebny Tillingham zapowiedział odśpiewanie hymnu. Pani Tillingham zagrała pierwsze takty i obecni, trzymając śpiewniki otwarte, powstali.

*Twym Świętym co po znoju spoczęli
Każdy Ciebie się Jezu wyznać ośmielił
Twoja chwała szczęścia udzieli.
Alleluja.*

Mieszkańcy wsi Tempie Pudley dobrze znali melodię i ich podniesione głosy odbijały się echem od belek sklepienia. Może nie był to hymn najlepiej dobrany na pogrzeb, ale Oliwia wybrała go, bo to był jedyny, o którym wiedziała, że mamusia go lubi naprawdę. Nie wolno jej zapominać o niczym, co mama naprawdę lubiła; nie tylko śliczną muzykę i goszczenie ludzi u siebie, i hodowanie kwiatów, i długie telefony do znajomych, żeby z nimi pogadać właśnie wtedy, gdy oni najbardziej tego potrzebowali. Ale w grę wchodziły inne sprawy, jak swobodny śmiech i siła wewnętrzna, i wyrozumiałość dla innych, i miłość. Oliwia wiedziała, że nie może dopuścić, by te cechy zniknęły z jej życia tylko dlatego, że mamusia odeszła. Bo gdyby z tym się pogodziła, ta lepsza strona jej złożonej osobowości skurczyłaby się i zgasła, i pozostałyby z niej wyłącznie wrodzona inteligencja i dynamiczna, bezlitosna ambicja. Nigdy nie zastanawiała się nad małżeństwem, choć potrzebowała męż-

czyn — jeżeli nie jako kochanków, to jako przyjaciół. Żeby dostawać miłość, musi pozostać kobietą gotową, by ją dawać, w przeciwnym razie skończy jako rozgoryczona i osamotniona starsza pani o ostrym języku i prawdopodobnie bez jednego przyjaciela na świecie.

Ale najbliższych kilka miesięcy nie będzie łatwe. Póki żyła mamusia, Oliwia czuła, że jakaś mała jej częśćka pozostawała dzieckiem, kochanym i adorowanym. Może człowiek nie dorasta tak naprawdę, aż umrze jego matka.

*Tyś Opoką, Twierdzą, ich Możliwością,
Wodzem w dobrym boju, żarliwością...*

Śpiewała. Głośno. Nie dlatego, że miała szczególnie mocny głos, ale ponieważ, jak dziecku pogwizdującemu w ciemności, dodawało jej to odwagi.

*/ wśród grozy mroku, Tyś Światłością,
Alleluja.*

Nancy rozpłakała się. Przez całe nabożeństwo trzymała nerwy na wodzy, aż nagle przestało jej zależeć i hamulce puściły. Jej szlochanie było hałaśliwe i niewątpliwie krępujące dla innych, ale nic nie mogła na to poradzić prócz wytarcia nosa od czasu do czasu i to głośno. Wkrótce zużyje wszystkie chusteczki higieniczne, które przezornie włożyła do torby.

Przed wszystkim tak bardzo żałowała, że nie zdążyła się z matką jeszcze wtedy zobaczyć... albo przynajmniej z nią pomówić... po tej ostatniej, straszliwej rozmowie telefonicznej, kiedy Penelopa zadzwoniła z Kornwalii, żeby życzyć im wszystkim wesołych Świąt Wielkanocnych. Ale matka zachowała się dziwnie, a o pewnych rzeczach lepiej było niewątpliwie powiedzieć bez ogródek, wyciągnąć je na światło dzienne, nie trzymać pod kocem. Ostatecznie matka odłożyła słuchawkę w trakcie rozmowy i zanim Nancy znalazła czas lub sposobność, żeby wszystko wyjaśnić, Penelopa umarła.

Nancy nie winała siebie. Lecz ostatnio, budząc się w środku nocy z twarzą zalaną łzami, czuła się dziwnie samotnie w ciemności. Teraz też płakała, nic sobie nie robiąc z tego, czy ludzie widzą, ani czy słyszą objawy jej cierpienia. Nieszczęście było oczywiste i nie czuła się zawstydzona. Łzy płynęły, a Nancy nie starała się ich powstrzymywać; płynęły jak woda, zwilżając twarde, gorące popioły jej własnej, nie wyznanej winy.

*Niech Twe wojska z Twych sług poświęceniem
Walczą z Świętych Twych dawnym natchnieniem,
By zwycięstwa zdobyć złoty wieniec.*

Noel nie przyłączył się do śpiewu, nawet nie usiłował stwarzać pozorów i nie otworzył śpiewnika. Stał na końcu ławki, jedną rękę trzymając w kieszeni marynarki, drugą oparłszy na drewnianej poręczy przed sobą. Kamienny wyraz jego przystojnej twarzy nie pozwalał odgadnąć, o czym myśli.

*Wspaniała łączność, jedność tak błoga!
My wałczymy, oni chwalą Boga.*

Pani Plackett, stojąca w tyle kościoła, podniosła głos w radosnym hymnie pochwalnym. Śpiewnik trzymała wysoko, wysoko uniosła swój niemały biust. Piękne nabożeństwo. Muzyka, kwiaty, a teraz ten porywający hymn... to właśnie byłoby się podobało pani Keeling. Ludzi też spora liczba. Cała wioska się stawiła. Sawcombe'owie, państwo Hodgkins z pubu Sudeley. Pan Kitson, kierownik banku z Pudley i Tom Hadley kierujący agencją prasową i jeszcze z tuzin innych. I rodzina dobrze się prezentowała, wszyscy prócz pani Chamberlain, która tak szłocha, że cały kościół słyszy. Pani Plackett nie uważała za słuszne okazywanie uczuć. Swoje sprawy trzeba trzymać dla siebie — brzmiała jej zasada. To była jedna z przyczyn, dla których ona i pani Keeling zawsze żyły w przyjaźni. Tak. Pani Keeling była prawdziwą przyjaciółką. Zrobi się teraz wyrwa w życiu pani Plackett. Rozejrzała się po pełnym kościele, starając się policzyć w myślach, ile osób przyjdzie do domu na herbatę. Jak dobrze pójdzie, pan Plackett będzie pamiętał, żeby postawić imbryki i zagotować wodę.

*Wszystkim jedna jest do Ciebie droga.
Alleluja.*

Miała nadzieję, że wystarczy placka z owocami.

ROZDZIAŁ 15

PAN ENDERBY

Kwadrans po piątej podwieczorek podany po pogrzebie dobiegł końca, goście pożegnali się i wyruszyli do domów. Oliwia, która ich odprowadziła, widziała, jak ostatni samochód minął zakręt przy bramie, po czym z pewną ulgą odwróciła się i weszła z powrotem do domu. W kuchni szumiało jak w ulu. Pan Plackett i Danus, którzy przez minione pół godziny kierowali ruchem, starając się usprawnić wyjazdy niezdarne zaparkowanych wozów, wrócili teraz do środka i pomagali pani Plackett i Antonii w zbieraniu i zmywaniu naczyń po podwieczorku. Pani Plackett stała przy zlewozmywaku z rękami zanurzonymi po łokcie w pianie. Pan Plackett, jak zawsze pomocny, stanął obok niej i wycierał srebrny czajnik. Rozlegał się odgłos wody wyciekającej z maszyny; Danus wszedł z kolejną tacą filiżanek i spodków, a Antonia wyciągała elektroluks ze schowka.

Oliwia poczuła się zbyteczna i nie wiedziała co robić.

— Do czego mam się zabrać? — spytała panią Plackett.

— Do niczego. — Pani Plackett nie odwróciła się od zlewozmywaka; jej zaczerwienione ręce ustawiały rzędy spodków z szybkością i dokładnością pasa transmisyjnego. — Zawsze mówię, że dużo rąk czyni pracę lekką. — Podwieczorek był wspaniały. I nawet kruszynka nie została z placka z owocami.

Ale pani Plackett nie miała czasu ani ochoty na pogawędkę.

— Może by pani poszła do salonu i trochę odpoczęła. Nogi muszą dokuczać. Pani Chamberlain i brat pani, i ten drugi pan teraz tam siedzą. Jeszcze dziesięć minut i jadalnia będzie uprzątnięta, gotowa na wasze spotkanie.

Pomysł był doskonały i Oliwia nie protestowała. Czuła się bardzo zmęczona — plecy ją bolały od stania. Przechodząc przez hol myślała, jak miło byłoby wbiec chyłkiem po schodach, zanurzyć się w gorącej wodzie, a potem wskoczyć do łóżka z chłodną pościelą, miękką poduszką i z ciekawą książką w ręce. To później, obiecała sobie. Dzień jeszcze się nie

skończył. Później. W pokoju, gdzie już nie było śladu po podwieczorku, znalazła Noela, Nancy i pana Enderby, wymieniających grzecznościowe, zdawkowe uwagi. Nancy i pan Enderby rozsiedli się w fotelach po obu stronach kominka, a Noel zajął swoją zwykłą pozycję, plecami do ognia, wsparty ramionami o ramę kominka. W chwili wejścia Oliwii pan Enderby wstał. Był mężczyzną ledwie po czterdziestce, ale przez swoją łysinę, okulary bez oprawy i staranne ubranie wyglądał znacznie starzej. Jednak miał swobodny sposób bycia i Oliwia zauważyła w czasie tego popołudnia, jak podchodził do innych gości, napełniał ich filiżanki i podawał kanapki i ciasta. Przez chwilę rozmawiał z Danusem, co było miłe, bo Nancy i Noel postanowili go ignorować. Wakacje w Kornwalii na koszt mamusi i pobyt w eleganckim Hotelu Sands ciągle jeszcze tkwiły im w pamięci jak drzazga.

— Z żalem stwierdzam, panie Enderby, że straciliśmy trochę czasu i jesteśmy spóźnieni. — Z przyjemnością zagłębiła się w fotelu i pan Enderby znów usiadł.

— Nic się nie stało. Nie spieszę się.

Z jadalni dochodził odgłos elektroluksu.

— Gdy tylko uprzątną jadalnię, możemy zaczynać. Jak z twoim czasem, Noel? Masz jakąś pilną sprawę w Londynie?

— Nie dziś wieczorem.

— A Nancy? Nie musisz się śpieszyć?

— Właściwie nie. Ale muszę odebrać dzieci, a obiecałam, że się nie spóźnię. — Nancy, przepłakawszy większość nabożeństwa, przysłała teraz do siebie i wyglądała z powrotem pogodnie. Może dzięki temu, że zdjęła kapelusz. George'a już nie było, pożegnał się na cmentarzu. Nancy wyprawiła go z głośnymi upomnieniami, żeby ostrożnie prowadził i żeby pozdrowił arcydiakona. Obiecał pamiętać o jednym i o drugim. — Chciałabym wrócić przed zmrokiem. Nie cierpię sama jeździć po zmroku.

Odgłos odkurzania nie ustawał. W następnej chwili drzwi się otworzyły i głowa pani Plackett, już w kapeluszu, ukazała się zza framugi.

— To już wszystko, panno Keeling.

— Bardzo dziękuję, pani Plackett.

— Jeżeli można, to my z mężem już pójdziemy.

— Doskonale. Ogromnie wam dziękuję.

— Pomogliśmy z przyjemnością. Do jutra.

Wyszła. Nancy się skrzywiła.

— Jutro jest niedziela. Dlaczego ona przychodzi jutro?

— Pomoże mi posprzątać pokój mamy. — Oliwia podniosła się. — To idziemy?

Poszła przodem do jadalni. Wszystko było należycie przygotowane, stół nakryty zielonym sukniem.

Noel zmarszczył się, unosząc brwi.

— Wygląda na posiedzenie jakiejś dyrekcji.

Nikt się nie odezwał na tę uwagę. Usiedli. Pan Enderby zajął miejsce u szczytu stołu z Noelem i Oliwią po obu stronach. Nancy usiadła przy Noelu. Pan Enderby otworzył swoją teczkę i wyjął różne papiery, które ułożył przed sobą. Cierpliwie czekali, aż zacznie.

Pan Enderby odchrząknął.

— Na wstępie chciałbym podziękować, że wszyscy państwo zgodzili się zostać po pogrzebie waszej matki. Mam nadzieję, że nikogo to nie naraziło na kłopoty. Formalne odczytanie testamentu nie jest, rzecz jasna absolutnie konieczne, jednakże wydało mi się fortunną okolicznością, skoro wszyscy zgromadzili się razem pod jednym dachem, powiadomić państwa, jak matka wasza życzyła sobie rozdysponować swój majątek i w razie potrzeby wyjaśnić coś, czego moglibyście ewentualnie w pełni nie zrozumieć. Otóż... — Pan Enderby wyciągnął z papierów przed nim rozłożonych długą kopertę i wyjął z niej ciężki, złożony dokument. Rozłożył go i położył na stole. Oliwia zauważyła, że Noel odwrócił wzrok i zaczął się przypatrywać swoim paznokciom, jakby starał się, by nie zwrócono uwagi, że patrzy spod oka, niby uczeń oszukujący przy egzaminie.

Pan Enderby poprawił okulary.

— Jest to ostatnia wola i testament Penelopy Zofii Keeling z domu Stern, z dnia ósmego lipca 1980. — Podniósł wzrok. — Jeżeli państwo pozwolą, nie będę czytał dosłownie, tylko wymienię w skrócie życzenia waszej matki. — Wszyscy skinęli głową aprobująco. Ciągnął dalej. — Na początek mamy dwa zapisy poza rodziną. Dla pani Florence Plackett, 43 Hodges Road, Pudley, Gloucestershire, kwota dwóch tysięcy funtów. I dla pani Doris Penberth, 7 Wharf Lane Porthkerris, Kornwalia, pięć tysięcy funtów.

— Wspaniale — rzekła Nancy, chociaż raz pochwalając hojność matki. — Pani Plackett była prawdziwym skarbem. Jak matka dałaby sobie bez niej radę, nie mogę sobie wyobrazić.

— I Doris też. Doris była najserdeczniejszą przyjaciółką mamy. Przeżyły razem wojnę. Bardzo się żyły — zauważyła Oliwia.

— Zdaje się, że panią Plackett poznałem — powiedział pan Enderby. — Pani Penberth dziś wśród nas nie było, o ile się nie mylę.

— Nie. Nie mogła przybyć. Telefonowała z wytłumaczeniem. Jej mąż źle się czuł i nie mogła go zostawić. Ale była bardzo, bardzo przybita.

— W takim razie napiszę do obu tych pań i powiadomię je o zapisach. — Zrobił notatkę. — Przechodzę do dalszych punktów. Skoro to jest załatwione, zajmijmy się sprawami rodziny. — Noel odchylił się do tyłu, sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął srebrne pióro. Zaczął się

nim bawić. Odkręcił kciukiem zakrętkę, potem zamknął z powrotem. — Naprzód są szczegółowe dyspozycje dotyczące mebli, które chciała zostawić każdemu z państwa. Dla Nancy jest dziewiętnastowieczna toaletka z sypialni. Dla Oliwii przeznaczyla biurko z salonu, swego czasu należące do ojca pani Keeling, śp. Lawrence'a Sterna. A dla Noela stół z jadalni i komplet ośmiu krzeseł też należących do jadalni. Na nich zresztą, wyobrażam sobie, w tej chwili siedzimy.

Nancy obróciła się do brata.

— Gdzie ty je poustawiasz w tej dziurce wielkości króliczej nory. Nazywa się, że to jest mieszkanie, ale tam nie ma miejsca, żeby kota wcisnąć.

— Może kupię inne mieszkanie.

— Będzie musiało mieć jadalnię.

— Będzie ją miało — odparł krótko. — **Proszę kontynuować, panie Enderby.**

Ale Nancy nie skończyła.

— Czy to już wszystko?

— Nie rozumiem, pani Chamberlain.

— Mam na myśli... co z kosztownościami?

Oho, zaczyna się, pomyślała Oliwia.

— Mama nie miała żadnych kosztowności, Nancy. Sprzedała swoje pierścionki lata temu, żeby spłacić długi naszego ojca.

Nancy drgnęła jak zawsze, gdy Oliwia mówiła tym swoim twardym głosem o kochanym, kochanym tatusiu. Po co mówić tak bez ogródek, po co wywlekać takie rzeczy w obecności pana Enderby.

— A co z kolczykami cioci Ethel? Tymi, które ciocia Ethel jej zostawiła? Muszą być warte najmniej cztery albo pięć tysięcy funtów. Czy nic o nich nie ma mowy?

— Oddała je już przedtem — powiedziała Oliwia. — Dała je Antonii.

Po tym wyjaśnieniu nastąpiła cisza. Przerwał ją Noel, który oparł łokieć na stole i przejechał palcami po włosach w geście rozpaczny.

— O, Boże kochany! — jęknął.

Ponad zielonym sukniem Oliwia odwzajemniła spojrzenie siostry. W jej intensywnie niebieskich oczach, wpatrzonych wprost przed siebie, pojawiły się niebezpieczne błyski. Nancy oblała się purpurą. Wreszcie przemówiła:

— To chyba nieprawda?

— Obawiam się — głos pana Enderby był opanowany — że taka jest prawda. Pani Keeling podarowała kolczyki Antonii, gdy były na wakacjach w Kornwalii. Powiedziała mi o tym tego dnia, kiedy przyjechała się ze mną zobaczyć w Londynie, w przeddzień swojej śmierci. Podkreśliła to, ponieważ bardzo jej zależało, żeby nie było żadnych sporów o te kolczyki ani żadnej wątpliwości co do tytułu ich prawnego posiadania.

— Skąd ty wiedziałaś — **Nancy zwróciła się do Oliwii — że matka** zrobiła coś podobnego?

— Bo napisała mi o tym.

— Powinny były dostać się Melanii.

— Nancy, Antonia była bardzo dobra dla mamy i mama bardzo ją lubiła. Antonia uczyniła ostatnie tygodnie jej życia niezwykle szczęśliwymi. I pojechała z nią do Kornwalii, i dotrzymywała jej towarzystwa, czego nikt z nas nie zadał sobie trudu uczynić.

— To znaczy, że powinniśmy być za to wdzięczni? Jeżeli mogę mówić bez ogródek, to kto inny powinien tu czuć się wdzięcznym...

— Antonia czuje się wdzięczna...

Spór, który mógł się ciągnąć w nieskończoność, zakończył pan Enderby, który znów dyskretnie odchrząknął. Oburzona Nancy zamilkła, a Oliwia westchnęła z ulgą. Kłótnia na ten temat chwilowo została zażegnana, ale było dla niej zupełnie jasne, że sprawa kolczyków cici Ethel będzie wznowiona i stanie się przedmiotem sporów na długi czas.

— Przepraszam, panie Enderby. Zatrzymujemy pana. Proszę mówić dalej.

Posłał jej wdzięczne spojrzenie i powrócił do sprawy.

— Teraz przechodzimy do reszty majątku. Kiedy pani Keeling spisała swój testament, dała mi bardzo jasno do zrozumienia, że chce uniknąć wszelkiej niezgody między wami trojgiem co do dyspozycji dotyczących jej własności. W związku z tym zdecydowaliśmy, że należy całość sprzedać, a otrzymaną sumę podzielić między was wszystkich. Aby to przeprowadzić, trzeba było wyznaczyć powierników majątku i ustalono, że wykonawcy testamentu, Enderby, Looseby i Thring podejmą się tego zadania. Czy to całkiem jasne? Doskonale. W takim razie... — Zaczął czytać. — Niniejszym przekazuję cały mój majątek, tak rzeczowy, jak osobisty moim powiernikom z tym zamysłem, by go sprzedali i mając na względzie okazane zaufanie zamienili na pieniądze. Słucham, pani Chamberlain?

— Nie rozumiem, co to znaczy.

— Dotyczy to całej pozostałości majątku pani Keeling, która obejmuje dom i jego zawartość, oszczędności, udziały i bieżące konto bankowe.

— Wszystko ma być sprzedane, potem podsumowane i podzielone na trzy części?

— Właśnie tak. Oczywiście po spłaceniu dających się stwierdzić długów, opłat podatkowych i stemplowych oraz kosztów pogrzebu.

— Brzmi to strasznie skomplikowanie.

Noel sięgnął do kieszeni i wyciągnął kalendarzyk* Otworzył go na niezapisanej stronie i odkręcił pióro.

— Może byłby pan łaskaw wyjaśnić bardziej szczegółowo, to będziemy mogli dokonać pewnych obliczeń i ustalić sumę, o jaką chodzi.

— Doskonale. Zaczniemy od domu. Podmore's Thatch z dodatkowymi zabudowaniami i ogrodem w bardzo dobrym stanie jest wart, w moim przekonaniu nie mniej niż dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Wasza matka kupiła go za sto dwadzieścia tysięcy, ale to było pięć lat temu, a od tego czasu wartość nieruchomości znacznie poszła w górę. Poza tym jest to własność ziemską nader ponętna ze względu na jej lokalizację blisko Londynu. Co do ceny zawartości domu, tego nie mogę być pewny. Może dziesięć tysięcy funtów? Nadto w tym momencie wartość udziałów pani Keeling sięga mniej więcej dwudziestu tysięcy.

Noel gwizdnął.

— Aż tyle! Nie miałem pojęcia.

— Ja też nie — rzekła Nancy. — Skąd się wzięły te wszystkie pieniądze?

— To pozostało po sprzedaży domu na Oakley Street. Starannie zainwestowane po tym, jak wasza matka kupiła Podmore's Thatch.

— Ach, tak.

— A jej konto bieżące? — Noel spisał wszystkie te liczby w swoim kalendarzu i wyraźnie ledwie wytrzymawał, żeby ich nie podsumować i dojść do olśniewającej liczby końcowej.

— Jej bieżące konto opiewa obecnie na bardzo wysoką kwotę, ponieważ właśnie wpłynęło sto tysięcy funtów, które otrzymała ze sprzedaży dwóch malowideł pędzla jej ojca, Lawrence'a Sterna, a które zostały sprzedane prywatnemu nabywcy przez Boothby'ego. Wszystko to będzie oczywiście podlegać opodatkowaniu i opłata Tom.

— Ale i tak... — Noel szybko policzył. — To wychodzi przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy. — Nikt nie skomentował tej sumy, która mogła przyprawić o zawrót głowy. Nie mówiąc nic więcej, zakreślił pióro, położył je na stole i odchylił się, opierając się na krześle. — Wszystko zważywszy, dziewczęta, niezła sumka.

— Cieszę się — rzekł pan Enderby sucho — że państwo jesteście zadowoleni.

— No, to koniec sprawy. — Noel zrobił ruch, jak gdyby zamierzał wstać. — Co pan na to, bym przyniósł nam wszystkim drinka? Miałby pan ochotę na whisky, panie Enderby?

— Bardzo chętnie. Ale jeszcze nie w tej chwili. Obawiam się, że nasza sprawa nie jest jeszcze całkowicie skończona.

Noel skrzywił się.

— Ale co jeszcze jest do omówienia?

— Jest kodycył do testamentu państwa matki, z datą trzydziestego kwietnia 1984. To oczywiście zmienia datę poprzedzającego testamentu,

ale skoro niczego nie zmienia w tym, co już zostało powiedziane, więc data jest nieistotna.

Oliwia cofnęła się myślą do tego, co usłyszała.

— Trzydziesty kwietnia. To był dzień jej przyjazdu do Londynu. Przeddzień jej śmierci.

— Tak właśnie.

— Przyjechała umyślnie, by się z panem zobaczyć, panie Enderby?

— Tak sędzę.

— Żeby sformułować ten kodycył?

— Tak.

— To może pan nam go przeczyta. To chyba ważne. y

— Właśnie do tego dochodzę, panno Keeling. Ale zanim to uczynię, powinienem — jak sędzę — podać do wiadomości, że jest pisany odręcznie przez panią Keeling i podpisany przez nią w obecności mojej sekretarki i kancelisty. — Zaczął czytać głośno. — Danusowi Muirfieldowi, Tractorman's Cottage Sawcombe's Farm, Pudley, Gloucestershire zapisuję czternaście olejnych szkiców do najwybitniejszych obrazów malowanych przez mojego ojca Lawrence'a Sterna między rokiem 1890 a 1910. Tytuły obrazów są następujące: *Ogród Terrazzo*, *Nadejście kochanka*, *Zaloty rybaka*, *Pandora...*

Szkice olejne. Noel podejrzewał już uprzednio ich istnienie, zwierzył się Oliwii ze swoich podejrzeń; przeszukał dom matki, starając się znaleźć szkice, w końcu zrezygnował. Oliwia teraz obróciła głowę i patrzyła przez stół na brata. Siedział, zmartwiały i bardzo blady. Dolna szczęka drgała mu w nerwowym tiku. Czekała, jak długo wytrzyma bez słowa, zanim wybuchnie, protestując ze wzburzeniem.

— ...*Roznosiciele wody*, *Targ w Tunisie*, *List miłosny...*

Gdzie one były przez te wszystkie lata? W którym posiadaniu? Skąd się tam znalazły?

— ... *Duch wiosny*, *Poranek pasterza*, *Ogród Amoretty...*

Noel dłużej nie wytrzymał.

— Gdzie one były? — jego głos był ochrypliwy i napięty od wzburzenia. Pan Enderby, któremu tak ostro, bez ogródek przerwano, zachował olimpijski spokój. Prawdopodobnie był przygotowany na taki wybuch. Spojrzał na Noela ponad swoimi okularami.

— Może pan pozwoli mi dokończyć, panie Keeling, a potem wyjaśnię.

Nastąpiła nieprzyjemna przerwa.

— Proszę mówić dalej.

Pan Enderby ciągnął, nie spiesząc się:

— *Bóg morza*, *Pamiętka*, *Białe róże i Kryjówka*. Te prace są w tej chwili w posiadaniu pana Roya Brooknera z firmy Boothby's, Handel dziełami sztuki, New Bond Street, Londyn W 1, ale mają być sprzedane

w Nowym Jorku przy pierwszej okazji. Gdyby moja śmierć nastąpiła przed tą sprzedażą, będą one do dyspozycji Danusa Muirfielda, który może je zatrzymać albo sprzedać, wedle własnego życzenia. — Pan Enderby poprawił się na krześle i czekał na uwagi.

— Gdzie one były?

Nikt się nie odezwał. Atmosfera zrobiła się nieprzyjemnie napięta. Wtedy Noel kolejny raz powtórzył swoje pytanie.

— Gdzie one były?

— Przez szereg lat wasza matka trzymała je schowane na tyle szafy w jej sypialni. Sama je tam umieściła i zakleiła papierem do tapetowania w taki sposób, by ich nie można było znaleźć.

— Nie chciała, byśmy o nich wiedzieli?

— Nie sądzę, by chodziło jej o dzieci. Ukrywała je przed mężem. Znalazła szkice w starej pracowni ojca na Oakley Street. W tym czasie powstały pewne trudności finansowe, a ona nie chciała, aby szkice zostały sprzedane tylko po to, żeby uzyskać trochę gotówki.

— Kiedy ujrzały światło dzienne?

— Poprosiła pana Brooknera, żeby przyjechał do Podmore's Thatch, aby wycenił i ewentualnie kupił dwa inne obrazy malowane przez waszego dziadka. To wtedy pokazała mu całą tekę szkiców.

— A kiedy pan usłyszał po raz pierwszy o ich istnieniu?

— Pani Keeling opowiedziała mi całą historię tego dnia, kiedy sporządziła swój kodycył. W przeddzień swojej śmierci. Pani Chamberlain, czy pani chciała coś powiedzieć...

— Tak. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówicie. Nie wiem, o co chodzi. Nikt nigdy nie mówił mi o tych szkicach. Pierwszy raz dziś o nich słyszę. I czego dotyczy cały zatarg? Dlaczego Noel uważa, że one są takie ważne?

— Są ważne — Noel z pewnym trudem się opanował — bo mają swoją cenę.

— Odręczne szkice? Myślałam, że takie rzeczy się wyrzuca.

— Nikt przyTomny tak nie robi.

— No, a ile są warte?

— Cztery, pięć tysięcy każdy. A jest ich czternaście. Czternaście!
— powtórzył, wykrzykując to słowo, jak gdyby Nancy była głucha.
— Więc oblicz to sobie, jeżeli zdołasz wykonać taką skomplikowaną operację arytmetyczną, w co wątpię.

Oliwia podliczyła to sobie w głowie. Siedemdziesiąt tysięcy. Mimo okropnego zachowania Noela ogarnęło ją współczucie dla niego. Taki był pewny w swoim czasie, że te szkice gdzieś się znajdują w Podmore's Thatch. Spędził nawet jedną długą sobotę w deszczową pogodę, bardzo przygnębiającą, siedząc na strychu pod pozorem wysprzątania go, a faktycznie szukając tych szkiców. Zastanawiała się, czy Penelopa

wiedziała, jaka była prawdziwa przyczyna tej gorliwości, a jeżeli wiedziała, co skłoniło ją do milczenia. Wyjaśnienie było prawdopodobnie takie, że Noel to wykapany ojciec i Penelopa nie ufała mu całkowicie. Wobec tego nic nie powiedziała, tylko oddała je panu Brooknerowi pod opiekę, a w końcu, w dniu przed swoją śmiercią zdecydowała się zostawić je Danusowi.

Ale dlaczego tak? Jaki był powód?

— Panie Enderby... — odezwała się po raz pierwszy od chwili, gdy została poruszona sprawa kodycylu. Pan Enderby zdawał się doznać ulgi, usłyszawszy jej spokojny głos i zwrócił się do niej, skupiając całą uwagę na słowach Oliwii. — ...czy podała jakiś powód, zostawiając szkice Danusowi Muirfieldowi? To znaczy — dobierała słowa starannie, nie chcąc by wyglądało, że zgłasza pretensje lub okazuje chciwość — było to coś bardzo szczególnego i osobistego... a Danusa znała dopiero od niedawna.

— Nie mogę oczywiście odpowiedzieć na to pytanie, bo nie znam odpowiedzi. Ale było wyraźne, że bardzo lubi tego młodego człowieka i sądzę, że chciała mu pomóc. Mam wrażenie, że on chce puścić w ruch jakiś mały interes i będzie wdzięczny za te pieniądze.

— Czy możemy to zakwestionować? — spytał Noel.

Oliwia zwróciła się do niego.

— Niczego nie będziemy kwestionować — powiedziała bez ogródek. — Nawet gdyby to było prawnie możliwe, nic z tym nie będę miała wspólnego.

Nancy, która nie bez trudu liczyła w głowie, włączyła się teraz do dyskusji.

— Ale pięć razy czternaście wynosi siedemdziesiąt. Czy twierdzi pan, że ten młody człowiek dostaje siedemdziesiąt tysięcy funtów?

— Jeżeli sprzeda szkice, to je dostanie, pani Chamberlain.

— W takim razie to jest okropnie niesprawiedliwe. Ona ledwie go znała. Był jej ogrodnikiem. — Wystarczyło zaledwie kilka chwil, aby Nancy doprowadziła się do stanu wielkiego wzburzenia. — To jest skandal. Miałam rację co do niego cały czas. Zawsze mówiłam, że ma jakiś straszny wpływ na matkę. Mówiłam ci to, prawda Noel, gdy telefonowałam do ciebie, by ci powiedzieć, że podarowała *Poszukiwaczy muszelek* A kolczyki ciotki Ethel... też poszły w cudze ręce. A teraz to. To jest ukoronowanie wszystkiego. Wszystkiego. Poszły w cudze ręce. Matka nie mogła zdawać sobie sprawy, co robi. Była chora i nie była w pełni świadoma, co robi. Nie ma innego wytłumaczenia. Musimy mieć jakiś prawny sposób.

Noel tym razem trzymał z Nancy.

— Co do mnie, nie zamierzam siedzieć spokojnie z założonymi rękami...

- ... widać wyraźnie, że nie zdawała sobie sprawy, co robi...
- ... idzie o zbyt wiele...
- ... wykorzystanie sytuacji...

Oliwia nie mogła dłużej tego znieść.

— Przestańcie! Bądźcie cicho! — Mówiła ze spokojem, ale tym władczym głosem pełnym wewnętrznej pasji, który zespół redakcyjny *Wenus* znał od lat i nauczył się respektować, a nawet przyjmować z pewną obawą. Na Tomiast Noel i Nancy nigdy dotąd nie słyszeli siostry przemawiającej takim tonem. Zaskoczeni patrzyli na nią z pewnym zdziwieniem, w milczeniu, jak gdyby odebrało im mowę. Wśród ciszy, która nastąpiła, Oliwia zaczęła mówić.

— Nie chcę więcej tego słyszeć. Jest po wszystkim. Mamusia nie żyje. Dziś ją pogrzebaliśmy. Słuchając, jak wy dwoje ujadacie jak dwa wściekłe psy, można by pomyśleć, żeście o tym zapomnieli! Nie możecie myśleć ani mówić o niczym innym tylko o tym, co po niej dostaniecie. A teraz wiemy, bo pan Enderby nam powiedział. A mamusia nigdy nie straciła rozeznania ... wprost przeciwnie — była najinteligentniejszą kobietą, jaką znałam. Zgoda, była hojna aż do przesady, ale nigdy w bezmyślny sposób. Była praktyczna. Planowała zawsze z góry. Jak inaczej dałaby sobie radę przez te wszystkie lata, gdy myśmy dorastali, prawie zupełnie bez grosza i z mężem, który przegrywał na wyścigach każdego miedziaka, jakiego dostał do ręki? Jeżeli o mnie chodzi, nie mam najmniejszych pretensji i myślę, że wy także nie macie prawa ich zgłaszać. Zawdzięczamy jej bajkowe dzieciństwo, fantastyczny start życiowy — a teraz, po jej śmierci jest jasne, że każde z nas zostało dobrze zaopatrzone. Jeżeli chodzi o kolczyki — rzuciła Nancy oskarżające, chłodne spojrzenie — jeżeli chciała, by Antonia je miała, a nie ty albo Melania, to jestem pewna, że miała po temu ważne powody. — Nancy spuściła oczy. Strzepnęła pyłek z rękawa kostiumu. — A jeżeli Danus dostanie szkice, a nie Noel, jestem pewna, że i to nie bez przyczyny. — Noel otworzył usta, potem zmienił zamiar i znów je zamknął, nic nie mówiąc. — Napisała testament. Zrobiła to, co chciała zrobić. Tylko to jest ważne i nikt nie potrzebuje nic więcej mówić. Ani słowa. «*

Nie podnosząc głosu ani razu, powiedziała wszystko, co trzeba. Zapadła niemiła cisza. Oliwia czekała, co Noel i Nancy odpowiedzą na tę ostrą reprimendę, której im udzieliła. Po krótkiej chwili z drugiej strony stołu Noel odsunął krzesło. Oliwia rzuciła lodowate spojrzenie w jego kierunku, przygotowana na utarczkę słowną, ale zdawało się, że brat nie ma nic do powiedzenia. Wykonał gest, którym przyznawał się do przegranej wyraźniej niż jakimikolwiek słowami. Przetarł oczy, potem pogładził swoje ciemne włosy. Wyprostował ramiona, poprawił węzeł czarnego jedwabnego krawata. Wróciło mu panowanie nad sobą. Nawet zdołał się zdobyć na kwaśny uśmiech.

— Po tym małym wybuchu — rzekł do całego towarzystwa — sędzę, że wszyscy zasłużyliśmy na tego drinka. — Wstał. — Whisky dla pana, panie Enderby?

I tak, zręcznie rozładował napiętą sytuację, zamykając spotkanie.

Pan Enderby z widoczną ulgą przyjął propozycję Noela i zaczął zbierać papiery i pakować je do teczki. Nancy, mruczając coś o przypudrowaniu się, wstała, chwyciła torebkę i z miną obrażonej królowej opuściła pokój. Noel, który przypomniał sobie o lodzie, wyszedł za nią. Oliwia i adwokat zostali sami.

— Przepraszam — rzekła Oliwia.

— Proszę nie przepraszać. To była wspaniała wypowiedź.

— Pan nie uważa, że mama nie wiedziała, co robi?

— Ani przez chwilę tak nie myślałem.

— Rozmawiał pan z Danusem dziś po południu. Czy odniósł pan wrażenie, że to człowiek niepewny?

— Wprost przeciwnie. Uważam, że to bardzo porządny młody człowiek.

— Ale bądź co bądź, naprawdę chciałabym wiedzieć, co zdecydowało o pozostawieniu mu tak ogromnego spadku.

— Nie sędzę, panno Keeling, byśmy się kiedykolwiek tego dowiedzieli.

— Kiedy mu pan powie?

— Kiedy tylko nadarzy się odpowiednia chwila.

— Czy myśli pan, że teraz jest odpowiednia chwila?

— I owszem, jeżeli by się dało porozmawiać z nim na osobności.

Oliwia uśmiechnęła się.

— To znaczy, gdy nie będzie Noela i Nancy.

— Może lepiej poczekać do tego czasu.

— Czy to nie opóźni zbyttno pańskiego powrotu do domu?

— Nie, ale może mógłbym zatelefonować do żony?

— Oczywiście. Chcę, żeby Danus wiedział jak najprędzej, bo będzie tu prawdopodobnie jutro, a może się zrobić niezręczna sytuacja, jeżeli ja będę wiedziała, a on nie.

— Doskonale to rozumiem.

Wrócił Noel, niosąc kubeł z lodem.

— Oliwio — rzekł do siostry — jest kartka do ciebie na stole kuchennym. Danus i Antonia poszli na drinka do pubu Sudeley Arms. Wrócą o wpół do siódmej.

Powiedział to całkiem naturalnie, wymieniając ich imiona pierwszy raz bez przekąsu czy jadowitego tonu — było to krzepiące w tych okolicznościach. Oliwia zwróciła się do pana Enderby.

— Czy może pan zaczekać do tego czasu?

— Jak najbardziej.

— Bardzo, bardzo dziękuję. Okazał nam pan nieskończoną cierpliwość.

— To należy do mojego zawodu, panno Keeling. Po prostu należy do tego zawodu.

Nancy, która w pokoju na górze uczesała się, przypudrowała nos i w ogóle doprowadziła się do porządku, teraz wróciła do jadalni i oświadczyła, że wraca do domu.

— Nie zostaniesz z nami ha drinka? — zdziwiła się Oliwia.

— Chyba nie. Mam daleką drogę. Nie chcę żadnych wypadków. Do widzenia, panie Enderby, i dziękuję za pomoc. Proszę nie wstawać. Do widzenia, Noel. Szczęśliwego powrotu do Londynu. Nie wychodź, Oliwio. Wyjdę sama.

Ale Oliwia odstawiała kieliszek i wyszła z siostrą. Na dworze piękny wiosenny dzień ustępował powoli chłodnemu, pachnącemu wieczorowi. Lekki wiatr chwiał najwyższymi gałęziami drzew, a od strony wzgórz za wsią dochodziły wyraźne głosy owiec i ich jagniąt.

Nancy spojrzała dookoła.

— Jak wspaniale udało się z pogodą. Po prostu wszystko można było załatwić. I dobrze poszło, Oliwio. Wszystko zorganizowałeś znakomicie.

Było widoczne, że bardzo się stara być miła.

— Dziękuję — odparła Oliwia.

— Mnóstwo roboty. Zdaję sobie sprawę.

— Tak. Trzeba było zaplanować i przygotować to i tamto. Ale jeszcze trzeba się zakreślić koło pewnych szczegółów. Musimy pomyśleć o nagrobku dla mamy. Jednak o tym możemy porozmawiać przy innej okazji.

Nancy wsiadła do samochodu.

— Kiedy wracasz do Londynu?

— Jutro wieczór. Muszę być w pracy w poniedziałek rano.

— Będę z tobą w kontakcie.

— Bardzo cię proszę — Oliwia zawahała się, a potem przypomniała sobie o podjętym po południu postanowieniu. Mamusia nigdy nie pozwalała żadnemu ze swoich dzieci wyjeżdżać bez pocałunku na pożegnanie. Nachyliła się do otwartego okna samochodu i ucałowała Nancy w policzek.

— Szczęśliwej drogi — powiedziała do siostry, po czym, chcąc okazać maksimum dobrej woli (jak już, to już), dodała: — Uściskaj George'a i dzieci.

Wróciwszy do domu, stwierdziła, że dwaj mężczyźni opuścili już jadalnię i weszli do salonu. Noel zaciągnął kotary i zapalił ogień na kominku, ale gdy popatrzył na zegarek, wstał i oświadczył, że czas się żegnać. Pan Enderby delikatnie przypomniał, że chciał zadzwonić do żony, więc Oliwia zostawiła go przy tej czynności i odprowadziła Noela do drzwi frontowych.

— Czuję się tak, jak gdybym nic nie robiła, tylko żegnała się z ludźmi cały dzień — powiedziała.

— Musisz być bardzo zmęczona. Idź wcześniej spać.

— Myślę, że chyba wszyscy jesteśmy zmęczeni. Mamy za sobą długi dzień.

Robiło się chłodniej. Przeszedł ją dreszcz i skuliła ramiona.

— Noel, przykro mi, że sprawy przybrały taki obrót. Przyjemnie by ci było mieć te szkice. Bóg jeden wie, ile zadałeś sobie trudu poszukując ich. Ale teraz nic już nie możemy zrobić. A musisz przyznać, że żadne z nas nie wyszło znów tak źle na całej sprawie. Sprzedanie tego domu to będzie bombowa operacja. Więc nie zadreńczaj się, rozmyślając o wymagowanych niesprawiedliwościach. Bo skończysz na najgorszym rodzaju duchowej niestrawności, cały pokręcony i rozgoryczony.

Uśmiechnął się. Nie był to radosny uśmiech, ale jednak.

— Potwornie gorzka pigułka do przełknięcia, ale cóż... A przecież chciałbym wiedzieć, dlaczego nigdy nic nam nie powiedziała o tych szkicach, nigdy nawet nie wspomniała, że istnieją. I dlaczego zapisała je temu młodemu człowiekowi?

Oliwia wzruszyła ramionami:

— Lubiła go? Żał jej go było? Chciała mu pomóc?

— Jest w tym coś więcej

— Być może — przyznała. Ucałowała go na pożegnanie. — Ale nie sądzę, że kiedykolwiek się dowiemy.

Wsiadł do swojego jaguara i odjechał, a Oliwia stała bez ruchu, nasłuchując słabnącego warkotu samochodu, czekając, aż odgłos wadliwie działającej rury wydechowej roztopił się w wieczornej ciszy i całkowicie ustał. Wiejskie dźwięki raz jeszcze zagorowały — beczenie owiec ze zbocza wzgórz po drugiej stronie drogi, nasilający się wiatr, kołyszący wysokimi gałęziami, szczekanie psa. Usłyszała żwawe kroki zbliżające się od wsi i młode głosy. Danus i Antonia wracający z Sudeley Arms. Ich głowy pojawiły się nad szczytem muru, a gdy przechodzili przez otwartą bramkę, zahaczyła, że Danus obejmował Antonię ramieniem. Dziewczyna miała szyję obwiązaną czerwonym szalikiem, a jej policzki były zaróżowione. Podniosła oczy i ujrzała, że Oliwia na nich czeka.

— Oliwio, co tu robisz stojąc tak sama?

— Noel właśnie odjechał. Usłyszałam, że nadchodzicie. Dobrzeście się bawili?

— Poszliśmy na drinka. Nie miałaś nic przeciw temu? Nigdy nie byłam dotąd w barze. Bardzo tam ładnie. Naprawdę staromodnie, a Danus grał z listonoszem w strzałki rzucane do tarczy.

— Wygrałeś? — spytała Oliwia.

— Nie. Byłem całkiem do niczego. Musiałem mu postawić guinnessa.

Razem weszli z powrotem do domu. W ciepłej kuchni Antonia zdjęła swój szalik.

— Skończyło się spotkanie rodzinne?

— Tak. I Nancy już pojechała. Ale pan Enderby jeszcze jest.

— Zwróciła się do Danusa. — Chce z tobą zamienić parę słów.

Danus wyglądał tak, jakby nie mógł w to uwierzyć.

— Ze mną?

— Tak. Jest w salonie. Nie każ mu czekać, bo śpieszy mu się do żony.

— Ale co on ma mi do powiedzenia?

— Nie mam pojęcia — błyskawicznie skłamała Oliwia. — Najlepiej sam się dowiedz.

Poszedł z zakłopotaną miną. Drzwi się za nim zamknęły.

— Dlaczego, na miłość boską, on chce rozmawiać z Danusem?

— Wyraz twarzy Antonii świadczył o poważnej obawie. — Chyba to nie będzie jakaś okropna sprawa?

Oliwia oparła się o brzeg stołu.

— Niczego takiego nie przypuszczam. — Antonia jednak nie wyglądała na uspokojoną. Nie chcąc dalej prowadzić rozmowy na ten temat, Oliwia postanowiła zwrócić ją na inne tory. — No, a co będziemy jedli na kolację? Czy Danus zostanie?

— Jeżeli można.

— Oczywiście, bardzo proszę. Niech tu także przenocuje. Znajdziemy mu jakieś łóżko.

— To by wiele ułatwiło. Nie mieszkał w swoim domku przez dwa tygodnie i będzie tam wilgotno i ponuro.

— Powiedz mi, jak było w Edynburgu. Jak poszły badania? Co wykazały?

— Wszystko jest w porządku. Oliwio, on jest zdrów. Nie jest epileptykiem i nigdy nim nie był.

— To wspaniała wiadomość.

— Jeszcze jak! Prawdziwy cud.

— Bardzo jesteś do niego przywiązana, prawda?

— Oj, tak.

— I on do ciebie, jak myślę.

Antonia skinęła głową, promieniejąc.

— To jakie macie plany?

— On chce prowadzić szkółkę sadzonek... **na własną rękę. A ja mu będę pomagać. Będziemy to robić razem.**

— A co z jego pracą w Autogarden?

— Pójdzie do nich w poniedziałek i podziękuje im za pracę z miesięcznym terminem wymówienia. Tacy byli dobrzy dla niego, gdy musiał się zwolnić na ten okres, więc sądzi, że miesiąc to minimum, jakie im się należy.

— A potem?

— Potem pojedziemy i poszukamy jakiegoś miejsca, które moglibyśmy kupić albo wynająć, na ile nam wystarczy pieniędzy. Może w Somerset. Albo w Devon. Ale mówiłam prawdę podkreślając, że chcemy tu pozostać jeszcze jakiś czas. Nie wyjedziemy, aż Podmore's Thatch będzie sprzedane i meble zabrane. Tak jak wspominałam, mogę ludzi oprowadzać, a Danus może się zaopiekować ogrodem.

— Cóż za świetny pomysł! Ale niech nie wraca do swojego domku, musi tu pozostać z tobą. Będę się znacznie lepiej i spokojniej czuła wiedząc, że on jest na miejscu i nie jesteś zdana tylko na siebie. I może używać samochodu mamy, a ty będziesz mnie informowała o tym, jak wielu przyszłych klientów się pojawia. I zatrzymam panią Plackett, jeżeli będzie miała ochotę, aż do sprzedania domu. Będzie tu mogła jeszcze zrobić wiosenne porządki, a ty będziesz miała towarzystwo, kiedy Danus będzie objężdżał cudze ogrody. — Uśmiechnęła się, jakby to wszystko sama zaplanowała. — Jak to świetnie się ułożyło.

— Jest jeszcze jedna rzecz. Ja już nie wrócę do Londynu.

— Zorientowałam się, że tak będzie.

— Byłaś taka miła proponując mi pomoc i naprawdę czułam się wdzięczna, ale nie byłoby ze mnie wielkiej pociechy jako modelki. Jestem stanowczo zbyt nieśmiała.

— Chyba słusznie. Będziesz znacznie szczęśliwsza w kaloszach, z palcami umazanymi błotem. — Zaśmiały się. — Prawda, że jesteś szczęśliwa, Antonio?

— Rzeczywiście. Nigdy bym nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś będę się czuła tak bardzo szczęśliwa. Przedziwny był ten dzień. Zdumiewająco szczęśliwy i przeraźliwie smutny równocześnie. Ale tak jakoś myślę, że Penelopa byłaby to zrozumiała. Bardzo się bałam pogrzebu. Pogrzeb Kośmy był jedynym, na którym dotąd byłam, a było to tak przynębiające i straszne, że ogromnie się bałam czegoś podobnego. Ale dziś po południu było całkiem inaczej. Było to bardziej podobne do jakiejś uroczystości.

— Chciałam, żeby miało taki właśnie charakter. Tak to zaplanowałam. A teraz... — Oliwia ziewnęła. — Dotarliśmy do mety. Bogu dzięki, mamy to już za sobą.

— Wyglądasz na zmęczoną.

— Jesteś drugą osobą, która tego wieczoru mi to mówi. Zazwyczaj znaczy to, że wyglądam staro.

— Nie wyglądasz staro. Idź na górę i weź kąpiel. Nie martw się o kolację. Ja przygotuję kolację. Jest trochę zupy w spiżarni i bitki baranie w lodówce. Jeżeli chcesz, przyniosę małą tacę i możesz zjeść w łóżku.

— Aż taka stara i zmęczona nie jestem. — Oliwia odsunęła się od

stołu i zgięła się, bo bolały ją plecy. — Ale zrobię sobie porządną kąpiel. Jeżeli pan Enderby wyjedzie, zanim wrócę, przeprosisz go ode mnie?

— Oczywiście.

— I pożegnasz go ode mnie. Powiedz mu, że będę z nim w kontakcie.

Pięć minut później, gdy Danus i pan Enderby, skończywszy swoją rozmowę, weszli do kuchni, Antonia stała przy zlewozmywaku, skrobiąc marchew.

Odwróciła się od zlewozmywaka, żeby się do nich uśmiechnąć, oczekując, że zaraz powiedzą, o czym rozmawiali. Ale żaden się nie odezwał i w obliczu takiej męskiej solidarności nie miała odwagi zapytać. Zamiast tego przekazała panu Enderby wiadomość od Oliwii.

— Jest bardzo zmęczona i poszła wziąć kąpiel. Ale prosiła mnie, żeby pana przeprosić i pożegnać w jej imieniu. Ma nadzieję, że pan zrozumie.

— Ależ, rzecz jasna.

— Mówiła, że będzie z panem w kontakcie.

— Dziękuję ci za przekazanie mi tego. A teraz — czas iść. Żona czeka na mnie w domu z obiadem. — Przełożył teczkę do lewej ręki. — Do widzenia, Antonio.

— O... — Antonia, zaskoczona, pośpiesznie wytarła rękę o fartuch.

— Do widzenia, panie Enderby.

— I wszystkiego najlepszego.

— Dziękuję.

Wyszedł, a za nim Danus. Antonia wróciła do skrobania marchwi, ale myślała o czym innym. Dlaczego życzył jej wszystkiego najlepszego i co właściwie, mój Boże, się działo? Danus nie wyglądał na szczególnie przygnębionego, więc może to było jednak coś miłego. Może — przyszła jej do głowy myśl podnosząca na duchu — pan Enderby poczuł sympatię do Danusa, gdy gawędzili przy herbacie i proponował, że mu pomoże zebrać trochę gotówki, by udało się kupić tę szkółkę sadzonek. Wyglądało to niezbyt prawdopodobnie, ale jaki mógł być inny powód, że chciał z nim rozmawiać...?

Usłyszała, jak samochód pana Enderby odjeżdża. Przerwała skrobanie i oparła się o zlewozmywak, czekając z nożem w jednej ręce a marchewką w drugiej na powrót Danusa.

— Co ci powiedział? — spytała, zanim jeszcze przekroczył próg kuchni. — Dlaczego chciał z tobą rozmawiać?

Danus wyjął jej z rąk nóż i marchew, położył na suszarce i wziął ją w ramiona.

— Mam wiadomość dla ciebie.

— Tak?

— Nie będziesz musiała sprzedawać kolczyków ciotki Ethel.

- Hop, hop!
- Pani Plackett?
- Gdzie pani jest?
- Jestem na górze, w sypialni mamy.

Pani Plackett wyszła na piętro.

- Zabrała się już pani do roboty?
- Właściwie nie. Właśnie się zastanawiam, jak to zrobimy. Nie sądzę, żeby było cokolwiek, co warto zatrzymać. Wszystkie ubrania mamusi były takie stare i niemodne, że nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek miał na nie ochotę. Mam tu worki na odpadki. Wsadzimy to do nich i zostawimy śmieciarzom.

— Pani Tillingham organizuje wyprzedaz używanych rzeczy w przyszłym miesiącu. Na zakup organów.

— No dobrze. Zobaczymy. Niech pani decyduje. A teraz może pani opróżni szafę z ubraniami, a ja zabiorę się za komodę.

Pani Plackett wzięła się do pracy, otwierając na oścież drzwi szafy. Zaczęła wyciągać całe naręcza sfatygowanych, ale wywołujących jakże miłe wspomnienia, ubrań. Gdy je ułożyła w poprzek łóżka — niektóre tak znoszone, że aż całkiem wytarte — Oliwia odwróciła wzrok. Wydawało się nieprzyzwoitością nawet patrzeć. Obawiała się tego smutnego zajęcia, a teraz miała wrażenie, że jest nawet bardziej przygnębiające, niż przewidywała. Lecz zachęcona niezwykle trzeźwym podejściem do sprawy pani Plackett, ukłękła i otworzyła dolną szufladę. Swetry i pulowery, mocno połatanne na łokciach. Biały dziecięcy szal z wełny szetlandzkiej; granatowy kaftan z Guernsey, który mama wkładała do pracy w ogrodzie.

— A co się stanie z domem? — nieoczekiwanie zapytała pani Plackett.

— Wystawi się go na sprzedaż, na przetarg. Tak życzyła sobie mamusia, a i tak żadne z nas nie chciałoby tu mieszkać. Ale Antonia i Danus tu zamieszkają i będą oprowadzać ludzi, i w ogóle opiekować się domem do chwili, gdy się go sprzeda. Gdy to się stanie, pozbędziemy się też mebli.

— Antonia i Danus? — pani Plackett skinęła głową gestem wyrażającym namysł i doświadczenie. Rozważała wymowę tej informacji.
— To bardzo miło słyszeć.

— Potem mają wyjechać i rozejrzeć się za jakimś kawałkiem ziemi, który mogliby kupić lub wydzierżawić. Chcą założyć szkółkę sadzonek i pracować w niej razem.

— Dla mnie to brzmi, jak gdyby zabierali się do uwicia gniazdka — stwierdziła pani Plackett. — A nawiasem mówiąc, gdzie oni są w tej chwili? Nie widziałam żadnego z nich, gdy przyszłam do domu.

- Poszli do kościoła.
- Ach tak?

— Wydaje się pani to pochwałać, pani Plackett.

— Miło, jak młodzi idą do kościoła. Nie zdarza się to zbyt często w dzisiejszych czasach. I cieszę się, że będą razem. Świetnie do siebie pasują, takie zawsze miałam wrażenie. No, trzeba pamiętać, że są młodzi. Ale przy tym mają głowy na karku. A co z tym będzie?

Oliwia spojrzała. Stara peleryna mamusi. Nagle bardzo ostro i wyraźnie pojawił się w jej pamięci obraz sprzed lat. Mama i młoda Antonia przyjeżdżają na lotnisko. Ibiza. Mama ma na sobie tę pelerynę, a Antonia pędzi w ramiona Kośmy. Wszystko to wydawało się być przeraźliwie dawno.

— To za dobre, żeby wyrzucić. Proszę odłożyć na wyprzedaż używanych rzeczy w kościele — odparła.

Ale pani Plackett najwyraźniej przeżywała rozterkę.

— Grube i ciepłe jak nie wiem co. Jeszcze lata noszenia przed tą peleryną.

— To niech pani ją weźmie dla siebie. Przyda się na jazdę na rowerze.

— Bardzo pani dobra, panno Keeling. Bardzo jestem wdzięczna. — Położyła pelerynę na krześle. — Będę myśleć o pani matce za każdym razem, gdy to włożę.

Następna szuflada. Bielizna osobista, szlafroki, wełniane rajtki, paski i szaliki; chiński szal jedwabny, z obfitymi frędzlami, haftowany w szkarłatne piwonie. Czarna koronkowa mantylka.

Szafa była prawie wypróżniona. Pani Plackett sięgnęła w głąb.

— Niech pani popatrzy na to! — Wyjęła razem z wieszakiem suknię o młodzieńczym fasonie i na szczupłą osobę. Była uszyta z jakiegoś taniego materiału, koloru czerwonego, w białe stokrotki, z prostokątnym dekoltem i z poduszczkami wszytymi na ramionach. — Nigdy dotąd tego nie widziałam.

— Ja też nie. Zastanawiam się, czemu mamusia trzymała coś takiego. Wygląda na coś, co mogła nosić w czasie wojny. Niech pani wyrzuci, pani Plackett.

Górna szuflada. Kremy, płyny toaletowe, pilniczki do paznokci, stare flaszeczki z perfumami, pudełko pudru i łabędzi puszek. Sznur szklanych paciorków bursztynowego koloru. Kolczyki. Nic nie warte resztki sztucznej biżuterii.

Wreszcie buty. Wszystkie buty mamusi. Buty były najgorsze z wszystkiego, były rzeczami dojmująco osobistymi, bardziej niż cokolwiek innego. Oliwia stawała się coraz bardziej bezlitosna. Worki na śmieci pęczniały w oczach.

W końcu jednak było po wszystkim. Pani Plackett ciasno pozawiazywała plastikowe worki i we dwie zepchnęły je ze schodów i wyniosły, stawiając obok kubłów na śmieci.

— Jutro rano je zabiorą. I ma już pani z tym spokój.

Wróciwszy do kuchni, pani Plackett włożyła płaszcz.

— Serdecznie pani dziękuję, pani Plackett.

Oliwia patrzyła, jak pani Plackett starannie złożyła pelerynę i wcisnęła ją do torby.

— Nie byłabym w stanie zrobić tego sama.

— Cieszę się, że mogłam się na coś przydać. No, trzeba iść. Muszę się zająć obiadem pana Placketta. Szczęśliwej drogi do Londynu, panno Keeling, i proszę dbać o siebie. Należy się pani trochę odpoczynku. Mieliśmy koniec tygodnia pełny zajęć.

— Pozostanę w kontakcie, pani Plackett.

— Dziękuję. A niech pani znów przyjedzie i zagłądnie do nas. Gdybym pani nie miała już widzieć, byłoby mi przykro.

Wsiadła na rower i odjechała, wyprostowana, dziarsko pedałowując. Jej torba luźno zwisała, zaczepona przy kierownicy.

Oliwia wróciła na górę do pokoju mamy. Po usunięciu wszystkich rzeczy osobistych wyglądał niewiarygodnie ogołoceny. Po niedługim czasie Podmore's Thatch miał być sprzedany i ten pokój miał należeć do kogoś innego. Będą inne meble, inne ubrania, inne zapachy, inne głosy, inny śmiech. Usiadła na łóżku i zobaczyła za oknem świeże, zielone liście kwitnącego kasztana. Ukryty gdzieś w jego gałęziach śpiewał drozd.

Rozejrzała się dokoła. Zobaczyła nocny stolik ze stojącą białą chińską lampą i gufrowanym abażurem. W stoliku była mała szufladka. Przeoczyła tę szufladę w ferworze porządków. Teraz ją otworzyła, znalazła flaszeczkę aspiryn, jeden guzik, niezaostrzony ołówek, stary kalendarzyk. A na dnie — książkę.

Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła ją. Cienka książka, w niebieskiej oprawie. *Dziennik jesienny* Louisa MacNeice'a. W jednym miejscu był wybrzuszony przez jakąś grubą zakładkę i tam właśnie, gdzie ona była wsunięta, sam się otworzył. Zobaczyła zwitek cienkiego, żółtego papieru, ciasno złożony... może list? I fotografię.

Była to fotografia mężczyzny. Popatrzyła na nią, potem odłożyła na bok i zaczęła rozwijać list, ale jej uwagę przykuł urywek poezji, przyciągający spojrzenie, tak jak tkwiące w pamięci nazwisko rzuca się w oczy w kolumnie druku w gazecie.

*Wrzesień nadszedł, jest jej,
której żywiołowość skacze susami przez jesień,
której natura woli
drzewa bez liści i ogień na kominku.
Więc daję jej ten miesiąc i następny
choć cały mój rok powinien być jej,
która sprawiła już,
że tyle moich dni jest niespokojnych i nie do zniesienia,*

ale o ileż więcej szczęśliwych.

*Która przesycała moje życie aromatem i zostawiła moje ściany
tańczące od jej cienia,
której włosy wplątały się we wszystkie moje wodospady
i cały Londyn usłany jest zapamiętanymi pocałunkami.*

Słowa nie były dla niej nowe. Jako studentka w Oxfordzie Oliwia odkryła MacNeice'a i odtąd stała się wielbicielką jego poezji, czytając dosłownie wszystko, co napisał. A jednak po tylu latach stwierdziła, że to tak samo wciąga i porywa, jak przy pierwszym zetknięciu. Przeczytała powtórnie, po czym odłożyła książkę. Jakże to miało znaczenie dla mamusi kiedyś? Sięgnęła znowu po fotografię.

Mężczyzna. W jakimś mundurze, choć bez czapki. Odwrócił się z uśmiechem do fotografującego, jak gdyby zaskoczony. Na ramieniu miał zwój liny używany do wspinaczki. Wiatr zmierzwiał jego włosy. Daleko w tyle widniał horyzont morski. Mężczyzna. Nieznany Oliwii, a przecież w jakiś dziwny sposób nie całkiem obcy. Zmarszczyła brwi. Podobieństwo? Nie tyle podobieństwo co przypomnienie. Ale kogo? Kogoś...?

Ależ jasne. Gdy raz już go rozpoznała, rzecz była oczywista. Danus Muirfield. Nie jego rysy, nie jego oczy, ale inne szczegóły, które go przypominają. Kształt głowy, wzniesienie podbródka. Nieoczekiwanie ciepły uśmiech.

Danus. A więc ten człowiek był odpowiedzią na pytanie, na które ani pan Enderby, ani Noel, ani Oliwia odpowiedzi nie znajdowali?

Teraz już głęboko zaciekawiona, wzięła list i rozwinęła cienkie, pożółkłe stroniczki. Papier był liniowany, pismo szkolne, litery starannie kształtowane piórem o szerokiej stalówce.

Gdzieś w Anglii.

20 maja 1944

Penelopo najmilsza!

W ciągu ostatnich paru tygodni z tuzin razy zabierałem się do pisania do Ciebie i za każdym razem udawało mi się napisać nie więcej niż pierwsze cztery linijki, po czym odzywał się jakiś telefon, głośne wołanie, pukanie do drzwi, czy inne pilne wezwanie do roboty, takiej czy innej.

Ale wreszcie nadeszła chwila w tym zakazanym miejscu, gdy mogę być jako tako pewny, że przez godzinę nikt nie będzie mi przeszkadzał. Twoje listy wszystkie doszły bez przeszkód i przynoszą mi wiele radości. Noszę je przy sobie jak zakochany sztubak i czytam wciąż na nowo, bez końca. Jeżeli nie mogę być z Tobą, to mogę przynajmniej słuchać Twego głosu...

Dom dookoła był pusty i pogrążony w ciszy, przerywanej tylko szelestem przeczytanych stron, odkładanych na bok. Można było zapomnieć o świecie, o chwili obecnej. Oliwia odkrywała przeszłość, przez lata okryty tajemnicą rozdział życia mamy.

Zawsze istnieje możliwość, że Ambrose zachowa się jak gentleman i pozwoli Ci na rozwód... Jedyne, co ma znaczenie, to żebyśmy mogli być razem i potem wreszcie — miejmy nadzieję, że raczej wcześniej niż później — mogli się pobrać. Wojna kiedyś się skończy... Lecz tysięczmilowe podróże zaczynają się od pierwszego kroku, a żadna wyprawa nie straciła na tym, że się nad nią ktoś dobrze zastanowi...

Nie wiem, dlaczego nie obawiam się, że nie przeżyję wojny. Śmierć, ostatni nieprzyjaciel, wciąż wydaje się bardzo odległa, jakbym miał dożyć sędziwego wieku, umrzeć, kiedy już będę stary i niedołączony. I nie mogę jakoś uwierzyć, że los, który nas zetknął ze sobą, nie zamierza połączyć nas na zawsze...

A jednak zginął. Tylko śmierć mogła zakończyć taką miłość. Zginął i nigdy do mamy nie wrócił. Wszystkie jego nadzieje i plany na przyszłość obróciły się wniwecz, skończone po wieczne czasy przez jakąś kulę lub pocisk armatni. Zginął — a ona po prostu żyła dalej. Wróciła do Ambrose i walczyła z losem przez resztę życia bez żalu i bez goryczki, czy śladu litowania się nad sobą. A jej dzieci nigdy o niczym się nie dowiedziały. Ani nawet nie podejrzewały. Nikt niczego nie wiedział. To, w jakiś sposób, zdawało się najsmutniejsze. „Powinnaś była mi o tym powiedzieć, mamó. Zwierzyć mi się. Ja byłabym zrozumiała. Byłabym chciała wysłuchać”. Poczwała ze zdziwieniem, że łzy napływają jej do oczu. Zaczęły spływać po policzkach, a odczuła to jako coś, czego dotąd nie знаła, jako coś dziwnego, jak gdyby się to zdarzyło komuś innemu, a nie jej. A przecież płakała za matką. „Chcę, żebyś tu była. Teraz chcę z Tobą mówić. Potrzebuję Ciebie”.

Może było dobrze się wypłakać. Kiedy mamusia umarła, nie stać jej było na łzy, ale teraz tak. W odosobnieniu, bez świadków, którzy mogliby wyśmiać jej słabość, pozwalała łzom lać się bez przerwy. Twarda, wzbudzająca lęk panna Keeling, redaktor naczelny *Wenus*, mogła nigdy nie istnieć. Była znowu uczennicą, wpadającą przez drzwi wejściowe tego ogromnego pokoju w suterenie na Oakley Street, wołającą „Mamusiu!”, wiedząc, że mama skądś ją usłyszy i odpowie. I w miarę płaczu ta zbroja, w którą się odziała — ta twarda skorupa panowania nad sobą — pękła i rozleciała się. Bez tej zbroi nie byłaby wytrzymała tych pierwszych dni życia w zimnym świecie, w którym mamy już nie było. Teraz, gdy cios, który ją spotkał, uwolnił ją z uścisku, znów była po prostu człowiekiem i znów po prostu sobą.

Po jakimś czasie, wróciwszy jako tako do siebie, wzięła ostatnią stronę listu i doczytała ją do końca.

.. .I marzę o tym, żeby być tam razem z Wami, dzieląc z Wami śmiech, radość i wszystkie domowe sprawy tego miejsca, o którym nauczyłem się już myśleć jako o swoim drugim domu. Wszystko to było dobre, w każdym sensie tego słowa. A w tym życiu nic prawdziwie dobrego nie idzie na marne. Pozostaje częścią człowieka, częścią jego charakteru. I tak, częśćka Ciebie jest ze mną wszędzie. A częśćka mnie pozostanie Twoja na zawsze. Moja najdroższa, moja ukochana.

Richard.

Richard. Głośno powtórzyła to imię. *Częstka mnie pozostanie Twoja na zawsze.* Złożyła list i wsunęła z powrotem, wraz z fotografią, między stronicę *Dziennika jesiennego*. Zamknęła książkę, oparła się na poduszce i patrzyła w sufit. Pomyślała: teraz wiem wszystko. Ale równocześnie wiedziała, że wcale tak nie jest; zdała sobie sprawę, że czuje potrzebę poznania każdego, nawet drobnego, szczegółu wszystkiego, co zaszło. Jak się poznali; jak on wszedł w jej życie; jak ogarnęła ich tak głęboka, nieunikniona miłość; jak zginął.

Ale kto mógł o tym wiedzieć. Tylko jedna osoba. Doris Penberth. Doris i mama przeżyły całą wojnę razem. Między nimi nie mogło być tajemnic. Oliwia, podniecona, zaczęła układać plany. Któregoś dnia... może we wrześniu, gdy sprawy w redakcji biegną spokojnie... weźmie parę dni urlopu i pojedzie do Kornwalii. „Naprzód napiszę do Doris i zapowiem wizytę”. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Doris zaprosi Oliwię, żeby się u niej zatrzymała. Będą rozmawiać, wspominać Penelopę i w końcu wypłynie imię Richarda, a wtedy Oliwia dowie się wszystkiego. Ale nie będzie chodzić tylko o rozmowę. Doris pokaże Oliwii Porthkerris i wszystkie miejsca, które były tak bardzo częścią życia mamusi, a których Oliwia nigdy nie widziała. I zabierze Oliwię, żeby zobaczyła dom, gdzie mama kiedyś mieszkała i zwiedzą małą galerię sztuki, którą Lawrence Stern kiedyś pomógł stworzyć i Oliwia zobaczy jeszcze raz *Poszukiwaczy muszelek*.

Pomyślała o czternastu szkicach wykonanych przez Lawrence'a Sterna na przełomie stuleci — obecnie należących do Danusa. Przypomniała sobie Noela żegnającego się wczoraj wieczór.

Dlaczego zapisała je temu młodemu człowiekowi?

Lubiła go? Żal jej go było? Chciała mu pomóc?

Jest w tym coś więcej.

Być może. Ale nie sądzę, że kiedykolwiek się dowiemy.

Myliła się. Mama zostawiła szkice Danusowi z kilku powodów. Noel, ze swoimi wiecznymi, nigdy nie kończącymi się żądaniem, wyczerpał jej cierpliwość, a w Danusie znalazła kogoś, komu warto było pomóc. Kiedy byli w Porthkerris, widziała, jak jego miłość do Antonii rośnie i rozkwita, i zgadła, że gdy upłynie trochę czasu prawdopodobnie ożeni się z dziewczyną. Byli kimś szczególnym dla niej i bardzo jej zależało na tym, by im ułatwić start życiowy. Ale najważniejsze ze wszystkiego: Danus przypominał jej Richarda. Musiała to zauważyć, gdy po raz pierwszy zobaczyła silne fizyczne podobieństwo, i wobec tego od razu poczuła bezpośrednią bliskość i jakby pokrewieństwo z młodym człowiekiem. Może w Danusie i Antonii widziała coś w rodzaju drugiej szansy szczęścia... może w jakiś sposób utożsamiała się z nimi. Cokolwiek to było — uczynili ostatnie tygodnie jej życia maksymalnie szczęśliwymi i za to im podziękowała w swój zwykły, spektakularny sposób.

Spojrzała na zegarek. Było prawie południe. Lada chwila Danus i Antonia wrócą z kościoła. Wstała z łóżka, zamknęła i zaryglowała okno ostatni raz. Przed lustrem przystanęła na chwilę, żeby sprawdzić swój wygląd i upewnić się, czy jej twarz nie zdradza śladu łez. Potem wzięła książkę, list i fotografię włożone między kartki i wyszła z pokoju, zamykając drzwi za sobą. Na parterze w opuszczonej kuchni, chwyciła ciężki pograbacz i posłużyła się nim, żeby unieść pokrywę z bojlera. Buchnął żar paleniska, parząc jej policzki, a ona wrzuciła sekret matczyzny między rozżarzone węgle i patrzyła, jak ogień go obejmuje.

Trwało to zaledwie kilka sekund i było po wszystkim.

ROZDZIAŁ 16

PANNA KEELING

Połowa czerwca, lato w pełni. Spełniła się obietnica wczesnej i ciepłej wiosny i teraz cały kraj pławił się w fali upałów. Oliwia była tym zachwycona. Rozkoszowała się ciepłem spieczonych słońcem ulic Londynu, widokiem przechadzających się turystów, lekko ubranych; rzędami pasiastych parasoli poustawianych na chodnikach na zewnątrz pubów, zakochanych par leżących w cieniu drzew w parku. Wszystko to składało się na wrażenie, jakby się było za granicą i gdy inni usychali i czuli się okropnie w tej spiekocie, Oliwia była w swoim żywiole. Była znów panną Keeling, dynamiczna jak nigdy, a sprawy *Wenus* zajmowały ją całkowicie.

Była wdzięczna, że mogła się poddać terapii absorbującej i dającej wiele satysfakcji pracy. Sprawy rodziny i to co się stało, odsunęła od siebie jak najdalej i nie myślała o tym. Od czasu pogrzebu Penelopy nie widziała się ani z Nancy, ani z Noelem, chociaż od czasu do czasu rozmawiała z nimi przez telefon. Domek Podmore's Thatch został dosłownie porwany, kupiony natychmiast, gdy tylko wystawiono go na sprzedaż i to za sumę tak okazałą, że przerosła nawet najśmielsze marzenia Noela. Gdy tę sprawę załatwiono, a zawartość domu sprzedano na aukcji, Danus i Antonia wyjechali. Danus kupił stare volvo mamusi i zapakowawszy do niego ich skromny dobytek wyruszyli na zachód w poszukiwaniu kawałka ziemi, który nadawałby się na szkółkę sadzonek i który mogliby nazwać swoim własnym. Zadzwonili do Oliwii, żeby się pożegnać, miesiąc temu i od tego czasu Oliwia nie miała już od nich żadnych wiadomości.

Teraz był wtorek rano, siedziała przy swoim biurku. Nowa, młoda kobieta została przyjęta do pracy w Dziale Mody jako redaktor i Oliwia czytała właśnie kopię przedstawionej przez nią próbki artykułu. *Twoim najlepszym dodatkiem jesteś Ty sama.* To było dobre. Intrygujące. *Zapomnij o szalikach, apaszkach, kołczykach i kapeluszkach. Skoncentruj się na oczach, na pięknie wyglądającej skórze, na blasku, jakie daje pełnia zdrowia...*

Odezwał się jej **wewnętrzny telefon**. Nie podnosząc oczu Oliwia wcisnęła przycisk.

— Tak?

— Panno Keeling — powiedziała jej sekretarka — telefon do pani na zewnętrznej linii. Dzwoni Antonia. Chce pani z nią rozmawiać?

Antonia. Oliwia zawahała się, zastanawiając się nad tym. Antonia odeszła z jej życia, zakopana gdzieś na prowincji, w zachodniej części kraju. Dlaczego dzwoni do niej nagle? O czym chce rozmawiać? Oliwie irytowało, gdy jej przerywano. I co za pora na telefon! Westchnęła, zdjęła okulary i oparła się o oparcie krzesła.

— Dobrze, niech już pani łączy. — Sięgnęła po słuchawkę.

— Oliwia? — Znany jej dobrze, młodzieńczy głos.

— Gdzie jesteś?

— W Londynie. Oliwio, wiem, że jesteś okropnie zajęta, ale czy przypadkiem nie mogłabyś spotkać się ze mną dzisiaj na lunchu?

— Dzisiaj? — Oliwii nie udało się ukryć konsternacji, którą słychać było w jej głosie. Wiedziała przecież, że na dzisiejszy dzień miała umówionych mnóstwo spotkań i zamierzała spędzić lunch roboczo, jedząc kanapkę przy swoim biurku. — Tak bez żadnego uprzedzenia?

— Wiem. Przepraszam, ale to naprawdę ważne. Proszę cię, zgódź się, powiedz tak, jeśli tylko możesz.

W jej głosie brzmiała gorąca, usilna prośba. Cóż takiego się znowu stało? Bez entuzjazmu Oliwia sięgnęła po swój kalendarz spotkań. O wpół do dwunastej miała być u prezesa, a o drugiej miała umówione spotkanie z szefem Działu Reklamy. Szybko się zastanowiła. Prezes zapewne nie zajmie jej więcej jak godzinę, ale to i tak zostawiało tylko...

— Och, Oliwio, błagam.

Poddała się, aczkolwiek niechętnie.

— Dobrze. Ale to będzie musiał być bardzo szybki lunch. Muszę tu być z powrotem o drugiej.

— Jesteś aniołem.

— Gdzie się spotkamy?

— Ty wybieraj.

— Niech będzie Kettners.

— Zamówię stół.

— Nie. Ja się tym zajmę. — Oliwia nie miała zamiaru siedzieć przy byle jakim stoliku tuż przy kuchennych drzwiach. — Moja sekretarka załatwi rezerwację. O pierwszej i nie spóźnij się.

— Nie spóźnię się...

— Antonio, gdzie jest Danus?

Ale Antonia już odłożyła słuchawkę.

Taksówka posuwała się powoli, to ruszając to stając, przez zatłoczone o tej porze ulice. W środku siedziała Oliwia, nieznacznie tylko, ale jednak zaniepokojona. Głos Antonii zdradzał stan emocjonalnego podniecenia i Oliwia nie była pewna, jakie przyjęcie ją czeka. Wyobrażała sobie ich spotkanie. Zobaczyła siebie wchodzącą do restauracji Kettners i znajdującą Antonię, która tam na nią czeka. Antonia miałaby na sobie jak zawsze swoje wytarte dżinsy i bawełniany podkoszulek i wyglądałaby całkiem nie na miejscu w tym lokalu dla zamożnych biznesmenów. „To naprawdę ważne”. Cóż mogło być tak ważne, że Antonia chce zająć Oliwii całą godzinę jej cennego czasu w roboczy dzień, a o odmowie nie chciała nawet słyszeć? Trudno było wprost uwierzyć, że coś złego spotkało Danusa i Antonię, ale zawsze lepiej przygotować się na najgorsze. Istniało kilka możliwości. Nie mogli znaleźć żadnej odpowiedniej działki ziemi, na której mogliby uprawiać swoją kapustę i teraz Antonia chciała przedyskutować jakiś nowy projekt. Znaleźli kawałek ziemi, ale mieli wątpliwości co do domu, który trzeba było kupić równocześnie z ziemią i prosiła Oliwię, żeby pojechała go obejrzeć. Antonia zaszła w ciążę. Albo może doszli jednak do wniosku, że niewiele ich łączy i nie widzą dla siebie wspólnej przyszłości, więc postanowili się rozstać.

Drżąc na samą myśl o czymś podobnym, Oliwia miała nadzieję, że to nie będzie to.

Taksówka zatrzymała się przed restauracją. Wysiadła, zapłaciła kierowcy, przeszła przez chodnik i weszła do środka. Wewnątrz jak zwykle było ciepło, rojno i gwarno. Jak zawsze pachniało przepysznym jedzeniem, świeżą kawą i drogimi cygarami. Zamożni biznesmeni tłoczyli się przy barze i tam także przy małym stoliku zobaczyła Antonię. Ale nie była sama, obok niej siedział Danus, i Oliwia prawie ich nie poznała. Ponieważ wcale nie byli ubrani w swoje zwykłe, wygodne, sfatygowane ciuchy, tylko wystrojeni jak na jakąś wyjątkową okazję. Antonia miała na sobie prześliczną suknię w kolorze tego błękitu, jaki ma porcelana Wedgwood, a na tym tle rzucone były wielkie białe kwiaty. Błyszczące włosy związała w węzeł z tyłu głowy, odsłaniając wpięte w uszy kolczyki ciotki Ethel. Danus na Tomiast, wspaniale ostrzyżony i gładko ogolony, był ubrany w ciemnoszary garnitur skrojony tak świetnie, że Noel Keeling zawyłby z zazdrości. Wyglądali fantastycznie; młodo, bogato i szczęśliwie. Wyglądali pięknie.

Dostrzegli Oliwię natychmiast, wstali i podeszli, żeby się z nią przywitać.

— Och, Oliwio...

Oliwia, niemal otwierając usta ze zdziwienia, wzięła się w garść. Pocałowała Antonię i zwróciła się do Danusa.

— To niespodziewane. Nie wiem dlaczego, ale nie sądziłam, że ty tu będziesz.

Antonia roześmiała się.

— Tak właśnie chciałam, żebyś **myślała**. **Chciałam**, żeby to była niespodzianka.

— Żeby co było niespodzianką?

— To jest nasz lunch weselny. To dlatego było takie ważne, żebyś przyszała. Dziś rano wzięliśmy ślub.

Danus stawiał. Wcześniej zamówił szampana i butelka czekała już w wiaderku z lodem przy ich stoliku. Ten jeden raz Oliwia postanowiła pozwolić sobie na małe szaleństwo usprawiedliwione tą specjalną uroczystością i złamała swoją regułę o niepicciu alkoholu w robocze dni w czasie lunchu. Wzniosła toast za ich szczęście.

Zaczęli rozmawiać. Mieli sobie wiele do powiedzenia.

— Kiedy przyjechaliście do Londynu?

— Wczoraj rano. Wczorajszą noc spędziliśmy w Hotelu Mayfair i jest tam prawie tak samo wykwintnie jak w Hotelu Sands. A dziś po południu wsiadamy w samochód i jedziemy do Edynburga, gdzie spędzimy parę dni z matką i ojcem Danusa.

— A co ze szkicami? — spytała Danusa Oliwia.

— Byliśmy wczoraj u pana Brooknera w agencji Boothby's. Tam zobaczyliśmy je po raz pierwszy.

— Czy sprzedacie je?

— Tak. Zostaną przesłane do Nowego Jorku w przyszłym miesiącu i tam sprzedane na aukcji w sierpniu. W każdym razie trzynaście z nich tam pojedzie. Jeden zatrzymamy dla siebie. *Ogród Terazzo*. Czuliśmy, że musimy zostawić sobie chociaż jeden.

— Oczywiście. A jakie wieści, jeśli chodzi o szkótkę sadzonek? Czy udało się wam coś znaleźć?

Opowiedzieli jej. Po długich poszukiwaniach znaleźli to, czego szukali, w hrabstwie Devon. Trzy akry ziemi, które kiedyś stanowiły olbrzymi, otoczony murem sad należący do starego, dużego domu. Częścią tej posiadłości był także mały ogród i kilka szklarni w dobrym stanie, więc Danus zgłosił swoją ofertę kupna i jego propozycja została przyjęta.

— To wspaniale! Ale gdzie będziecie mieszkać?

— Jest tam też domek, niezbyt duży i wymagający generalnego remontu. Ale właśnie ponieważ był w marnym stanie, no to, to obniżyło bardzo cenę i dlatego stać nas było na niego.

— A skąd bierzecie pieniądze, bo — jak słyszę — szkice nie zostały jeszcze sprzedane?

— Dostaliśmy pożyczkę z banku. A żeby zaoszczędzić pieniędzy będziemy sami wykonywać prace remontowe przy domku, ile tylko damy radę.

— A gdzie będziecie mieszkać w tym czasie?

— Wynajęliśmy przyczepę campingową. — Antonia z trudem opanowywała swoje podniecenie. — I Danus kupił kultywator, i na początek posadzimy ogromną ilość ziemniaków, żeby oczyścić glebę. A potem będziemy naprawdę mogli już zacząć z sadzonkami. A ja będę hodować kury i kaczki i będę mogła sprzedawać jajka...

— Jak daleko jesteście od cywilizacji?

— Tylko trzy mile do małego miasteczka, gdzie jest targ... Tam będziemy mogli sprzedawać nasze produkty. A także kwiaty i inne rośliny. Szklarnie będą pękały od wcześniej kwitnących odmian. A także rośliny doniczkowe... Och, Oliwio, wprost nie mogę się doczekać, żeby ci to wszystko móc pokazać. Kiedy skończymy już remont domu, czy przyjedziesz nas odwiedzić?

Oliwia zastanowiła się nad tym zaproszeniem. Wypiła już trzy kieliszki szampana i nie miała zamiaru podejmować nagłych, nie przemyślanych decyzji, których potem mogłaby żałować.

— Czy w waszym domku będzie ciepło?

— Założymy centralne ogrzewanie.

— I będzie miał kanalizację? Nie będę musiała chodzić za stodołę z każdą potrzebą?

— Nie. Obiecujemy, że nie będziesz musiała chodzić za stodołę.

— I będzie gorąca woda na kąpiel o każdej porze dnia i nocy?

— Wrząca.

— I będziecie mieć pokój gościnny, którego nie będę musiała dzielić z żadną istotą ludzką, kotem, psem lub kurą?

— Będziesz go miała tylko dla siebie.

— A w pokoju gościnnym będzie szafa, w której nie będzie czyichś starych sukni tracących stęchlizną lub na pół zjedzonych przez mole futer, tylko dwadzieścia cztery nowiuteńkie wieszaki?

— Nowe i obszyte satyną.

— W takim razie — Oliwia oparła się wygodniej o oparcie krzesła — lepiej zabierajcie się żwawo do roboty. Bo ja mam zamiar przyjechać.

Nieco później stali już na chodniku, czekając na taksówkę, która miała zawieźć Oliwię z powrotem do biura.

— Sprawiliście mi dużą frajdę. Do widzenia, Antonio. — Uściskały się bardzo mocno i serdecznie pocałowały.

— Och, Oliwio... dziękuję ci za wszystko. Ale najbardziej dziękuję za to, że przyszedłeś dzisiaj.

— To ja powinnam wam podziękować za zaproszenie mnie. Dawno już nie miałam tak wspaniałej niespodzianki ani takiego pysznego, zakrapianego lunchu. Po takiej ilości szampana wątpię, czy będę potrafiła mówić i robić cokolwiek sensownego dziś po południu.

Podjechała taksówka. Oliwia zwróciła się do Danusa:

— Do widzenia kochany chłopcze. — Pocałował ją w oba policzki.
— Opiekuj się Antonią. I powodzenia!

Otworzył jej drzwiczki samochodu i Oliwia wsiadła, a on zatrzasnął za nią drzwiczki.

— Redakcja *Wenus* — rzuciła kierowcy szybko i gdy taksówka ruszyła, zaczęła bardzo energicznie machać im przez tylną szybę. Danus odpowiedział takim samym gestem, a Antonia posyłała jej całusy, po czym odwrócili się i zaczęli iść w odwrotnym kierunku, trzymając się za ręce.

Usadowiła się wygodnie na tylnym siedzeniu z westchnieniem zadowolenia. Dla Antonii i Danusa wszystko się dobrze skończyło. Mamusia miała rację i nie pomyliła się w ocenie ich. Ponieważ oni byli właśnie takimi młodymi ludźmi, którzy zasługiwali na zachętę, a jeśli tego potrzebowali — także i na wyciągnięcie do nich pomocnej dłoni. I to właśnie zrobiła. Teraz reszta już zależała od nich, z ich chyłą się ku ziemi chatą, z ich kultywatorem i kurami, i planami na przyszłość, i ich wspaniałym, niezachwianym optymizmem.

A co się stanie z dziećmi Penelopy? Jaki one zrobią pożytek ze swej wielkiej fortuny i jak im się powiedzie? Nancy, stwierdziła Oliwia, zafunduje sobie coś. Może będzie to wspaniały, nowy samochód terenowy, którym mogłaby się popisać przed swoimi znajomymi w czasie jakiejś lokalnej fety, ale to by było najwyżej tyle. Cała reszta pieniędzy zostanie przeznaczona na finansowanie symbolu statusu czyli najdroższej prywatnej edukacji dla Melanii i Ruperta. Na końcu której okaże się, że absolutnie nie czują wdzięczności za to, co otrzymali i prawdopodobnie ani trochę nie poprawią się ich obyczaje, czy ich postawa wobec życia.

Pomyślała o Noelu. Noel na razie wciąż jeszcze pracował w tym samym miejscu, ale kiedy tylko dostanie należną mu część spadku w swoje ręce, Oliwia wiedziała dokładnie, co zrobi. Zrezygnuje z pracy w reklamie i zrealizuje wymarzony projekt usamodzielnienia się, startując ze swoim własnym interesem. Pośredniczenie w sprzedaży i kupnie na giełdzie albo w jakichś niebywale drogich transakcjach nieruchomościami. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wyczerpie w ten sposób cały swój kapitał i w końcu zostanie bez niczego. Po czym ożeni się z jakąś bogatą dziewczyną z dobrymi koneksjami, bardzo nieszczególną, która go będzie wielbić i adorować, a którą on będzie systematycznie zdradzać. Oliwia uśmiechnęła się. Noel był niemożliwym facetem, ale w końcu był jej bratem i w głębi serca dobrze mu życzyła.

I w końcu zostawała ona sama i tutaj nie było znaków zapytania. Oliwia zainwestuje pieniądze mamusi bardzo roztropnie z myślą o starości i emeryturze. Wyobraziła sobie siebie za dwadzieścia lat — samą, niezamężną i mieszkającą wciąż w swoim małym domku przy Ranfurly

Road. Ale niezależną i całkiem zamożną. Mogącą sobie pozwolić na różne drobne luksusy i przyjemności, które lubiła. Chodzenie do teatru i na koncerty, podejmowanie przyjaciół, wakacje za granicą. Może dla towarzystwa będzie miała małego pieska. I będzie jeździła do Devon, i odwiedzała Danusa i Antonię Muirfield. A kiedy oni będą przyjeżdżać do Londynu, przywożąc ze sobą gromadkę dzieci, której z pewnością się doczekają, wtedy będą składać wizytę Oliwii, a ona pokaże tym dzieciom swoje ulubione galerie i muzea i będzie je zabierała na przedstawienia baletu i panTomimy w okresie Bożego Narodzenia. Zostanie taką miłą ciocią. Nie, nie ciocią, miłą babcią. Tak, jakby miała wnuki. I przyszło jej do głowy, że to będą przecież wnuki Kośmy. To było dziwne. Jakby patrzyło się na skłębione nitki, które rozplatają się i zaplatają znowu w jeden porządny warkocz, ciągnący się daleko w przyszłość.

Taksówka zatrzymała się. Spoglądając dokoła z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że dojechała na miejsce i że samochód zaparkowany był już przed imponującym budynkiem, w którym mieściły się biura redakcji *Wenus*. Kamień kremowego koloru i szkło odbijały słoneczne światło, połyskując, a najwyższe piętra rysowały się na tle błękitnego nieba.

Wysiadła i zapłaciła kierowcy.

— Proszę zatrzymać resztę.

— Och, dziękuję bardzo, kochana.

Wbiegła po szerokich, białych schodach prowadzących do wejścia i gdy zbliżyła się do niego portier wyszedł, żeby otworzyć i przytrzymać jej drzwi.

— Piękny dzień, panno Keeling.

Zatrzymała się, obdarzając go uśmiechem pełnym takiego blasku, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział.

— Tak — powiedziała. — To jest szczególnie piękny dzień.

Weszła przez drzwi. Weszła do swojego królestwa, do swojego własnego świata.